

# Mrok w Sethanon

Feist Raymond

Książka IV z Wojna Światów



calibre 0.9.27



# **MROK W**

## ***SETHANON***

*(Tłumaczył: Mariusz Terlak)*

*Książkę tę dedykuję*

*mojej matce, Barbarze A. Feist,*

*która ani przez, chwilę we mnie nie zwątpiła.*

### **PODZIĘKOWANIA**

*Mrok w Sethanon jest kolejną częścią Opowieści o Wojnie Światów,*

*rozpoczętej dwutomowym Adeptem i Mistrzem magii i kontynuowanej w*

*Srebrzystym Cierniu. Chciałbym jeszcze raz złożyć płynące ze szczerego serca*

*podziękowania wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do jej*

*mniejszego czy większego sukcesu.*

*Wśród nich są pierwsi architekci Midkemii:*

*April i Stephen Abrams, Steve Barrett, Anita i Jon Everson, Dave Guinasso,*

*Conan LaMotte, Tim LaSelle, Ethan Munson, Bob Potter, Rich Spahl, Alan Springer,*

*Lori i Jeff Velten.*

*Dziękuję wielu innym, którzy przez całe lata dołączali do nas w piątkowe*

*wieczory, wzbogacając własnymi pomysłami tę cudowną rzeczywistość, jaką jest*

*świat Midkemii.*

*Moim przyjaciółom w Doubleday, dawnym i obecnym, wśród których są:*

*Adrian Zackheim, Pat LoBrutto, Kate Cronin, Marry Ellen Curley, Peter*

*Schneider oraz Elaine Chubb – każde z nich ofiarowało mi bardzo wiele;*

*Haroldowi Matsonowi, memu agentowi, dziękuję za to, że umożliwił mi*

*dokonanie pierwszego przełomu;*

*Janny Wurts, utalentowanej pisarce i artystce, za to, że pokazała mi i nauczyła, jak wydobywać więcej z każdej postaci wtedy, gdy myślałem, że wiem już o nich wszystko.*

*Każda z wyżej wymienionych osób przyczyniła się na swój własny, niepowtarzalny sposób do powstania tych trzech powieści, składających się na *Opowieść o Wojnie Światów*. Trylogia pozbawiona wkładu i wpływu choćby jednej z nich byłaby o wiele uboższa.*

*Raymond E. Feist San Diego, California październik 1984*

*NASZA OPOWIEŚĆ DO TEJ PORY...*

*Po zakończeniu Wojny Światów, w której zmagano się z Tsuranimi, najeźdźcami z innego świata – Kelewanu, w Królestwie Wysp zapanował pokój. Trwał prawie rok. Król Lyam i jego bracia, książęta Arutha i Martin, objeżdżali miasta wschodnich prowincji i sąsiednie królestwa, aby powrócić w końcu do królewskiego miasta Rillanon, stolicy państwa. Ich siostra, księżniczka Carline, stawia ultimatum swemu ukochanemu, trubadurowi Lauriemu: „Albo ożenisz się ze mną, albo opuścisz pałac na zawsze”. Arutha i księżniczka Anita zaręczają się. Ślub ma się odbyć w Krondorze, tytularnym mieście Aruthy.*

*Późną nocą Arutha wraca do Krondoru. Miejski złodziejaszek – Jimmy Rączka napotyka na dachu zabójcę – Nocnego Jastrzębia i udaremnia jego zamiary. Celem jego ataku miał być książę Arutha. Wszyscy Prześmiewcy, znani również jako Szyderycy, mieli bezwzględny obowiązek natychmiastowego meldowania o wszelkich ruchach Nocnych Jastrzębi. Jimmy stanął przed trudnym wyborem: wobec kogo powinien najpierw być lojalny. Czy wobec Prześmiewców – swego Cechu Złodziei, czy też wobec Aruthy, którego miał okazję poznać rok wcześniej. Zanim zdążył*

podjąć decyzję. Śmiejący się Jack, jeden z dowódców Szyderców, stojący wysoko w hierarchii organizacji, zastawia na niego śmiertelną pułapkę, co dowodzi, że Jack sprzymierzony jest z Nocnymi Jastrzębiami. Jimmy zostaje ranny a Jack zabity.

Jimmy decyduje się ostrzec Aruthę.

Otrzymał ostrzeżenie. Księżę, Laurie i Jimmy wciągają w zasadzkę dwóch zabójców, którzy zostają następnie uwięzieni w pałacu. Arutha odkrywa, że obaj Nocni Jastrzębie są w jakiś sposób powiązani ze świątynią Bogini Śmierci, Lims-Kragma. Rozkazuje Wysokiej Kapłance, by natychmiast stawiała się przed nim. Zanim zdążyła przybyć do pałacu, jeden z zabójców umiera, a drugi kona. Kapłanka pragnie dowiedzieć się, w jaki sposób dokonała się infiltracja jej świątyni przez Nocne Jastrzębie. Tuż przed śmiercią drugiego zabójcy udaje się odkryć, iż był to magicznie przeobrażony moredhel, ciemny elf. Po śmierci obaj zabójcy, wezwani przez swego pana i mistrza Murmandamusa, wstają z łoża śmierci i rzucają się na Wysoką Kapłankę i Aruthę. W ostatniej chwili nie dające się w żaden sposób zabić potwory zostają powstrzymane magiczną interwencją doradcy księcia, ojca Nathana.

Gdy Wysoka Kapłanka i ojciec Nathan dochodzą do siebie po straszliwych przejściach, ostrzegają Aruthę, iż mroczne i obce moce pragną jego śmierci. Arutha niepokoi się o bezpieczeństwo swego brata. Króla oraz innych dostojników, mających zjechać na jego ślub. Najbardziej lęka się o swą ukochaną, Anitę. Zamiast długotrwałych magicznych badań Arutha decyduje się na szybkie rozwiązanie.

Upoważnia Jimmiego, aby zorganizował jego spotkanie ze Sprawiedliwym, tajemniczym przywódcą Prześmiewców.

W mroku nocy dochodzi do spotkania Księcia z osobą, która twierdzi, iż

*przemawia ustami Sprawiedliwego. Do końca nie wiadomo, czy rozmówcą Aruthy jest przywódca złodziei we własnej osobie. Uzgadniają, że należy bezwzględnie uwolnić miasto od Nocnych Jastrzębi. Dobijają również targu w sprawie Jimmiego. Zostaje on oddany pod opiekę i w służbę Księcia, otrzymując jednocześnie tytuł szlachcica dworskiego. Ponieważ Jimmy złamał przysięgę Szyderców, jego złodziejska kariera dobiegła końca.*

*Po pewnym czasie Sprawiedliwy zawiadamia Księcia o miejscu przebywania Nocnych Jastrzębi. Arutha z oddziałem najbardziej zaufanych żołnierzy atakuje główną kwaterę zabójców, mieszczącą się w podziemiach najdroższego w mieście domu publicznego. Wszyscy zabójcy zostają zabici albo popełniają samobójstwo. Odnalezienie zwłok Złocistego, złodzieja, który udawał przyjaciela Jimmiego, potwierdza, iż Nocne Jastrzębie dokonały głębokiej infiltracji szeregów Prześmiewców. Powołani przez mroczne siły ze śmierci do życia, zabójcy wstają i dopiero spalenie całego domu unicestwia ich ostatecznie.*

*Arutha uważa, że bezpośrednie niebezpieczeństwo zostało zażegnane i życie w pałacu powraca do normy. Jednak gdy na uroczystości przybywają Król, ambasador Wielkiego Keshu i inni dostojnicy, Jimmy dostrzega w tłumie Śmiejącego się Jacka. Chłopak jest zaszokowany: był święcie przekonany, iż Jack został zabity.*

*Arutha ostrzega o niebezpieczeństwie kilku najbardziej zaufanych doradców. Dowiaduje się przy okazji, że na północy kraju dzieją się dziwne rzeczy. Księżę i doradcy dochodzą do wniosku, że między tymi wydarzeniami a zabójcami istnieje związek. Jimmy przybywa z wieścią, że cały pałac poprzecinany jest tajemnymi przejściami i korytarzami. Dzieli się też swymi obawami związanymi z pojawieniem*

się Jacka. Arutha decyduje się na wprowadzenie szczególnych środków ostrożności, nie odwołuje jednak ceremonii ślubnych.

Ślub stał się okazją do ponownego spotkania wszystkich, których los rozdzielił po zakończeniu Wojny Światów. Na uroczystości przybywa Pug, mag ze Stardock, gdzie wznosi się Akademię Magów. Pug pochodzi z Crydee, rodzinnego miasta Króla i jego rodziny. Przybywa również Kulgan, jego stary nauczyciel, oraz Vandros, księżę Yabon i Kasumi, były dowódca Tsuranich, obecnie księżę LaMut. Razem z Królem zjawia się ojciec Tully, również dawny nauczyciel z chłopięcych czasów Puga, obecnie doradca Króla.

Tuż przed ślubem Jimmy odkrywa, że ktoś majstrował przy oknie umieszczonym pod sufitem sali koronacyjnej. W głębokiej wnęce spostrzega Śmiejącego się Jacka. Zabójca rzuca się na chłopca i wiąże go. W ostatniej chwili, tuż przed oddaniem przez Jacka strzału z kuszy, Jimmy'emu udaje się zmienić pozycję i kopnąć zabójcę. Ratuje w ten sposób życie Aruthy. Jack i Jimmy spadają. Wybawia ich magia Puga. Po dojściu do siebie Jimmy dowiaduje się, że pocisk z kuszy trafił Anitę.

Ojcowie Tully i Nathan badają dziewczynę. Dochodzą do wniosku, że pocisk był zatruty i Księżniczka umiera. Jack zostaje przesłuchany. Wyjawia tajemnicę Nocnych Jastrzębi. Opowiada jak, w zamian za obietnicę zglądzenia Aruthy, został wyrwany z objęć śmierci przez nieznaną moc o imieniu Murmandamus. O truciznie wiedział tylko, że nazywała się Srebrzysty Cień. Wkrótce potem kona. Anita z każdą chwilą jest coraz bliższa śmierci. Mag Kulgan przypomina sobie o przebogatej bibliotece w opactwie Ishap w Sarth, mieście położonym na wybrzeżu Morza Gorzkiego. Pug i ojciec Nathan, wykorzystując magię, sprawiają, że Anita zostaje

*zawieszona w czasie i czeka, aż zostanie znaleziony lek, który powinien ją uzdrowić.*

*Arutha postanawia udać się w podróż do Sarth. Używając przemyślnych forteli, mających zmylić ewentualnych szpiegów, Arutha, Laurie, Jimmy, Martin i Gardan – kapitan Królewskiej Gwardii Pałacowej – wyruszają na północ. W lasach na południe od Sarth atakują ich jeźdźcy moredheli w czarnych zbrojach. Ich dowódcą jest moredhel, którego Laurie rozpoznaje jako jednego z wodzów górskich klanów z Yabon. Moredhele ścigają oddziałek Aruthy do samych wrót opactwa w Sarth. Tam zostają odparci potęgą magii brata Dominica, mnicha z Ishop. Inni wysłańcy Murmandamusa dwukrotnie atakują opactwo. Nieomal uśmiercają brata Micaha, którym okazał się być były książę Krondoru, Dulanic. Opat, ojciec Jan, wyjawia księciu istnienie przepowiedni mówiącej o powrocie moredheli do władzy, gdy umrze „Pan Zachodu”. Jeden z wysłanników Murmandamusa nazwał Aruthę po imieniu, co mogło wskazywać, iż moredhele wierzą w wypełnianie się tego proroctwa. W Sarth Arutha dowiaduje się również, że Srebrzysty Cierń to przekręcone słowo z języka Elfów. Decyduje się na podróż do Elvandar, na dwór królowej Elfów. Książę i opat polecają Gardanowi i Dominikowi, aby udali się do Stardock. Mają powiadomić Puga i innych magów o ostatnich wydarzeniach. W Ylith oddziałek księcia napotyka najemnika Roalda, przyjaciela Lauriego z lat dziecińczych, oraz Baru, górala Hadati z północnego Yabonu. Baru poszukuje dziwnego wodza moredheli o imieniu Murad, aby pomścić wymordowanie przez moredhela mieszkańców swej rodzinnej wioski. Baru i Roald decydują się towarzyszyć księciu w dalszej podróży.*

*W Stardock Dominie i Gardan atakowani są przez latające byty elementarne, sługi Murmandamusa. Pug ratuje wszystkich z opresji. Dominie poznaje maga*



*Kulgana, Katalę, żonę Puga oraz ich syna Williama. Zapoznaje się także ze smokiem ognistym Fantusem. Pug wysłuchuje z uwagą opowieści gości, a następnie prosi o pomoc innych mieszkańców wyspy, mających magiczne zdolności. Ociemniały jasnovidz Rogen spostrzega w swojej wizji przerażającą moc kryjącą się za Murmandamusem. Wbrew logice i możliwościom oraz wbrew temu, co Pug do tej pory wiedział o magii, potęga z wizji sięga poprzez czas i przestrzeń, by zaatakować widzącego. Gamina, niema dziewczynka opiekująca się starym Rogeniem, dzieli z nim wizję. Jej krzyk przekazywany umysłem powala Puga i pozostałych. Rogeniowi w jakiś sposób udaje się wyjść z życiem ze straszliwej męki. Gamina, wykorzystując telepatyczne zdolności, odtwarza wizję dla Puga i jego towarzyszy. Widzą obraz płądrowanego i palonego miasta, a przerażająca moc przemawia w starożytnym języku Tsuranich. Pug i kilka innych osób, które znały Tsuranich, są zaszokowane, słysząc ten prawie wymarły język świątyni Kelewanu.*

*W lasach Elvandaru Arutha i jego oddział napotyka gwali. Są to łagodne, podobne do małpek stworzonka, nawiedzające co jakiś czas kraj Elfów. Gospodarze Elvandaru opowiadają o dziwnych spotkaniach z tropicielami moredheli w pobliżu północnych granic puszczy Elfów. Arutha wyjaśnia cel swojej misji. W odpowiedzi Tathar, doradca królowej Aglaranny i Tomasa, księcia małżonka oraz spadkobiercy starożytnej i potężnej mocy Valheru – Jeźdźców Smoków, udziela informacji o Srebrzystym Cierniu. Ziele to rośnie tylko w jednym miejscu, na brzegach Czarnego Jeziora, Moraelin, w siedzibie mrocznych potęg zła. Tathar ostrzega Księcia, że wyprawa może być bardzo niebezpieczna. Arutha jednak decyduje się kontynuować podróż.*

*W tym czasie w Stardock Pug dochodzi do wniosku, że wiszące nad*

*Królestwem niebezpieczeństwo ma swoje korzenie w świecie Tsuranich. Losy Kelewanu i Midkemii splatają się ponownie. Jedyne wiarygodnym źródłem informacji o zagrożeniu może być Zgromadzenie Magów Kelewanu, do którego jednak, jak powszechnie mniemano, dostęp został na zawsze odcięty. Pug wyjawia Kulganowi, że odkrył sposób przedostania się do Kelewanu. Pomimo sprzeciwu przyjaciół decyduje się na powrót do świata Tsuranich, aby spróbować uzyskać dostęp do potrzebnej wiedzy. W tej sytuacji Meecham, dawny gajowy i nieodłączny towarzysz Kulgana oraz Dominie wymuszają na Pugu zgodę, aby zabrał ich ze sobą. Mag otwiera przejście między światami i cała trójka przechodzi na drugą stronę. W imperium Tsuranuanni Pug wraz z przyjaciółmi udają się najpierw do Netohy, byłego zarządcy majątku Puga a następnie do Kamatsu, pana rodu Shinzawai, ojca Kasumiego. W imperium wrze. Państwo znajduje się na krawędzi otwartego rozłamu pomiędzy Wodzem Wojny a Cesarzem. Pomimo to Kamatsu zobowiązuje się jednak przekazać Zgromadzeniu ostrzeżenie Puga o pojawieniu się obcej i straszliwej mocy. Pug jest przekonany, że jeśli Midkemia padnie, to i Kelewan wkrótce pójdzie w jej ślady. Spotyka się ze swoim starym przyjacielem Hochopepą, Wielkim z Imperium. Ponieważ Pug został ogłoszony zdrajcą Cesarstwa i ciąży na nim zaoczny wyrok śmierci, mag godzi się wystąpić w jego imieniu na forum Zgromadzenia. Tuż przed wyruszeniem w drogę zostają zaatakowani siłą magii i aresztowani przez ludzi Wodza Wojny.*

*Arutha i jego oddziałek, zdolawszy uniknąć szczęśliwie licznych patroli i wartowników moredheli, docierają do Czarne Jeziora, Moraelin. Tomas wysyła do nich Elfa Galaina z wiadomością o istnieniu ukrytego przejścia nad jezioro. Wysłannik ma im towarzyszyć aż do krawędzi „Szlaku Beznadziei”, wąwozu*

otaczającego płaskowyż, na którym znajduje się Moraelin. Wkrótce potem docierają na brzeg jeziora. Odnajdują tam dziwny czarny budynek. Z początku wydaje się im budowlą wzniesioną przez Valheru. Poszukiwania Srebrzystego Ciernia kończą się niepowodzeniem. Arutha i jego towarzysze spędzają noc w jaskini pod płaskowyżem. Podejmują decyzję o wejściu do tajemniczego budynku.

Pug, Meecham i Dominie dochodzą do siebie w lochu. Pug stwierdza, że jego magiczna moc została zablokowana przez jakieś zewnętrzne zaklęcie. Wódz Wojny przy pomocy dwóch magów, braci Ergorana i Elgahara, przesłuchuje Puga. Stara się z niego wydobyć cel powrotu do Imperium. Wódz jest przekonany, iż ma to jakiś związek z polityczną opozycją sprzeciwiającą się odebraniu przez niego władzy Cesarzowi. Ani Wódz, ani Ergoran nie wierzą opowieściom i zapewnieniom Puga o zagrażającej Midkemii obcej mocy, pochodzącej ze świata Tsuranich. Drugi z magów, Elgahar, powraca do celi Puga, by jeszcze raz przedyskutować wszystkie problemy. Na zakończenie rozmowy obiecuje poważnie rozważyć ostrzeżenie Puga. Tuż przed wyjściem wyjawia mu na ucho wniosek, do którego doszedł, i z którym Pug nie mógł się nie zgodzić. Hochopepą chce się dowiedzieć, co Elgahar powiedział, lecz Pug odmawia rozmowy na ten temat. Następnie Pug, Meecham i Dominie zostają poddani torturom. Dominie wpada w trans, by zablokować ból. Meecham po dłuższych mękach traci przytomność. Przychodzi kolej na Puga. Doznany ból i opór przeciwko magii blokującej jego własną sprawił, że Pugowi udaje się próba zastosowania magii Niższej Drogi, co do tej pory było powszechnie uznawane za niemożliwe. Pug uwalnia siebie i swych towarzyszy w chwili, gdy do pałacu Wodza przybywa Cesarz w towarzystwie Pana Shinzawai. Wódz Wojny zostaje powieszony za zdradę, a Pug otrzymuje zgodę na prowadzenie poszukiwań w zbiorach

Zgromadzenia. W uwolnieniu Puga zasadniczą rolę odgrywa Elgahar. Zapytany o motywy swego działania, wyjawia to, co uprzednio przekazał Pugowi. Obaj uznali bowiem, iż powróciła starodawna, przerażająca potęga – Nieprzyjaciel, która w okresie Wojen Chaosu zmusiła ludzkość do ucieczki na Kelewan. W księgozbiorach Zgromadzenia Pug odnajduje zapiski o Obserwatorach, dziwnych istotach zamieszkujących polarne lody Kelewanu. Żegna się z przyjaciółmi i rusza na poszukiwanie Obserwatorów. Hochopepą, Elgahar, Dominie i Meecham wracają na Midkemię i do akademii.

Jimmy'emu udaje się podsłuchać urywki rozmowy pomiędzy moredhelem a ludźmi, wyrzutkami społeczeństwa wynajętymi przez ciemne Elfy. Z jej treści wynikało, że z czarnym budynkiem związana jest jakaś tajemnica. Jimmy przekonuje Aruthę, że na zbadanie wnętrza budowli powinien udać się sam, ponieważ ma o wiele większe szansę, by uniknąć zasadzki czy pułapki. Chłopak dociera do samego serca czarnego gmachu i chociaż odkrywa coś, co wydaje się Srebrzystym Cierniem, to jednak zbyt wiele rzeczy dookoła wygląda sztucznie i podejrzanie. Wraca do jaskini z informacją, że cały budynek jest jedną wielką i przemyślną pułapką. Dalsze badania prowadzą do odkrycia, że jaskinia w której spędzili noc, w rzeczywistości stanowi fragment rozległej podziemnej siedziby Valheru ledwo rozpoznawalnej po wiekach niszczącego działania erozji. Jimmy dochodzi w końcu do wniosku, że Srebrzystego Ciernia należy szukać pod wodą. Elfy poinformowały ich, że ziele występuje nad samą wodą, a tego roku opady deszczu były wyjątkowo obfite. Jeszcze tej samej nocy odnajdują roślinę i rozpoczynają odwrót. Jimmy zostaje przypadkowo ranny, co spowalnia tempo ucieczki. Udaje im się uniknąć wartowników moredheli, lecz zmuszeni są do zabicia jednego z nich.

*Murad, dowodzący oddziałem wysłanym w celu pochwylenia Aruthy, zostaje zaalarmowany. W pobliżu granicy puszczy Elfów śmiertelnie zmęczeni uciekinierzy są zmuszeni do zatrzymania się. Galain zostawia ich i biegnie do przodu, aby ściągnąć pomoc swych pobratymców. Pierwszy oddział moredheli atakuje Księcia. Po krótkim boju zostaje odparty. Po pewnym czasie, wraz z liczniejszym oddziałem oraz Czarnymi Zabójcami, nadciąga Murad. Baru wyzywa go na pojedynek. Przedziwny kodeks honorowy ciemnych Elfów zmusza go do przyjęcia wyzwania. Baru zabija Murada. Ażeby nie dopuścić do jego powrotu z krainy śmierci, wycina mu serce. Zanim góralowi udaje się powrócić do swoich szeregów, zostaje powalony na ziemię potężnym ciosem innego moredhela. Bitwa wybucha na nowo. Niemal w ostatniej chwili, gdy oddziałek księcia Aruthy cofa się pod naporem wroga, przybywają z odsieczką Elfy. Moredhele zostają odparci. Jeden z Elfów odkrywa, że Baru przeżył jakimś cudem, chociaż jego stan jest bardzo ciężki. Elfy niosą go, prowadząc pozostałych ku Elvandarowi, ku bezpiecznemu schronieniu w jego puszczech. Padli w boju Czarni Zabójcy budzą się ponownie do życia i ruszają w pościg, trwający aż do granicy lasu Elfów, gdzie przybywa Tomas i Czarodzieje. Czarni Zabójcy zostają zniszczeni. W czasie uczty świętującej powodzenie misji Arutha dowiaduje się, że Baru będzie żył, chociaż powrót do pełni sił i zdrowia potrwa długi czas. Arutha wraz z Martinem rozważają zakończenie wyprawy. Obaj zdają sobie sprawę, że ostatnia bitwa to zaledwie drobny fragment większego konfliktu, którego wynik wcale nie jest przesądzony.*

*Pug dociera do północnych rubieży Imperium. Żegna eskortę żołnierzy Tsuranich i zagłębia się w dziką tundrę, którą władają Thunowie. Dziwne, podobne do centaurów stworzenia, które same siebie nazywają Lasura, wysyłają starego*

wojownika, by porozmawiał z Pugiem. Thun informuje go o mieszkańcach lodów, stwierdza, że Pug jest szalony i ucieka. Pug dociera w końcu do krawędzi lodowca. Na jego spotkanie wychodzi zakapturzona postać. Obserwator prowadzi go pod pokrywą lodową bieguna Kelewanu. Pug przekonuje się ze zdumieniem, że rośnie pod nią wspaniały, magiczny las. Nazywa się Elvardein i jest bliźniaczo podobny do Elvandaru na Midkemii. Odkrywa, że Obserwatorzy to dawno zaginiona gałąź rasy Elfów – eldar. Pug ma pozostać z nimi przez rok, by nauczyć się magicznej sztuki o wiele potężniejszej niż jego dotychczasowa moc.

Arutha bezpiecznie dociera do Kronodoru z lekiem dla Anity. Księżniczka wraca do zdrowia. W pałacu planuje się dokończenie przerwanej ceremonii ślubnej. Carline nalega, aby Laurie i ona, nie zwlekając, również wzięli ślub. Na pewien czas pałac krondorski staje się miejscem szczęśliwym i radosnym.

Do Królestwa Wysp powraca pokój. Trwa niecały rok...

# MACROS REDUX

*Słuchajcie! Słuchajcie! Śmierć wzniosła sobie tron*

*W przedziwnym mieście. Poe. The City in the Sea*

# MRO CZNY WIATR

*Wiatr pojawił się nagle i nie wiadomo skąd.*

*Niesiony echem głuchy, rozedrgany pogłos przetoczył się po niebie jak uderzenie młota wieszczącego zagładę. Buchnęło gorącym powietrzem niczym z rozgrzanego do białości paleniska, w którym wykuwa się szaleństwo wojny i palące dotknięcie śmierci. Wicher narodził się w sercu zagubionego gdzieś w bezkresnych przestrzeniach łądu, w przedziwnym miejscu pomiędzy tym, co jest, a tym, co pragnie dopiero zaistnieć. Powiał z południa, gdzie węże suną wyprostowane porozumiewając się w starożytnym języku. Gorące, gniewne podmuchy cuchnęły odwiecznym złem i pobrzmiwały echem dawno zapomnianych prorocत्व. Wicher zawirował wściekle i wytrysnął z pustki. Kręcił się w kółko, szukając właściwego kierunku. Zawahał się przez moment i pognął na północ.*

*Stara piastunka szyla spokojnie, nucąc cichutko pod nosem prostą melodię przekazywaną z pokolenia na pokolenie, z matki na córkę. Przerwała na chwilę i podniosła wzrok znad robótki. Dwa maleństwa pozostające pod jej opieką spały cichutko, śniąc swe maleńkie sny. Na drobniutkich twarzyczkach malował się błogi spokój. Co jakiś czas któryś z chłopców przebierał delikatnie paluszkami albo poruszał ustami, jakby ssał pierś mamy, by po chwili zapaść ponownie w spokojny bezruch. Niemowlaki były wyjątkowo piękne i staruszka była pewna, że w przyszłości wyrosną na wspaniałych, przystojnych młodzieńców. Kiedy staną się dorosłymi mężczyznami, będą pamiętali siedzącą przy nich kobietę jak przez mgłę. Teraz jednak w równym stopniu należeli do niej, jak i do swej matki, która towarzyszyła mężowi, czyniąc honory domu podczas oficjalnej kolacji. Przez uchylone okno wdarł się podmuch dziwnego wiatru. Mimo że było ciepło, przeszył ją*



dreszcz. Szum wichru niósł w sobie jakiś obcy i fałszywy dźwięk, ledwo słyszalną nutę zła i nienawiści. Piastunka wzdrygnęła się i spojrzała na dzieci. Poruszyły się niespokojnie, jakby za chwilę miały się obudzić z płaczem. Staruszka gwałtownie podniosła się i pośpiesznie poczłapała do okna. Zamknęła oba skrzydła i okiennice, odcinając dostęp przedziwnego, budzącego niepokój nocnego powietrza. Przez moment wydawało się, że czas całego wszechświata wstrzymał oddech. Po chwili z cichutkim westchnieniem wiatr zamarł i noc znowu była spokojna i cicha. Piastunka ciaśniej owinęła ramiona szalem. Niemowlęta jeszcze przez chwilę poruszały się niespokojnie, zanim ponownie zapadły w głęboki, spokojny sen.

W tym samym czasie w innym, niezbyt odległym pokoju młody człowiek pracował nad listą. Zmagając się wewnątrz, usiłował zapomnieć o osobistych sympatiach i antypatiach, decydując, kto następnego dnia pełnić będzie różne funkcje. Nienawidził tego zadania, ale wykonywał je doskonale. Nagły podmuch wiatru poruszył zasłonami, wydymając je do wnętrza pokoju. Młodzieniec zadziałał instynktownie. W ułamku sekundy zsunął się z krzesła i przyczaił za stołem.

Wykształcone w ulicznym życiu zmysły wietrzyły zagrożenie. Nie wiadomo kiedy, sztylet wyfrunął z cholewy buta, lądując pewnie w jego dłoni. Przez długą chwilę trwał w napięciu gotów do walki. Serce waliło mu niby młot. Jak wiele już razy w swym burzliwym, rozdzieranym konfliktami życiu, był niemal pewien czekającej go walki na śmierć i życie. Nie widząc jednak nikogo, młody człowiek powoli odprężył się. Niebezpieczeństwo minęło. Z niedowierzaniem pokręcił głową. Ruszył powolutku w stronę okna. Stąpając ostrożnie krok za krokiem, czuł jednocześnie, jak w żołądku narasta ciężkie jak kamień uczucie mdłości. Przez długie, trwające wieczność minuty wpatrywał się w nocną dal, ku północy, gdzie jak wiedział,

rozciągał się łańcuch niebotycznych gór, i dalej jeszcze, poza skaliste tumie, gdzie czaił się przeciwnik, mroczna potęga zła. Oczy młodzieńca zwięzły się w wąskie szparki. Patrzył przed siebie, starając się przebić wzrokiem mrok, jakby spodziewał się dostrzec kryjące się pod osłoną nocy niebezpieczeństwo. Po paru chwilach fala strachu i napięcia odpłynęła i młody człowiek powrócił do przerwanej pracy.

Jednak przez resztę nocy co jakiś czas podnosił głowę znad kart papieru i wpatrywał się w mrok.

Daleko, po krętych uliczkach miasta szła zataczając się grupka mocno podchmielonych hulaków. Rycząc na całe gardło pijackie piosenki, szukali następnej gospody i weselszej kompanii. Owiał ich gwałtowny podmuch przedziwnego wiatru. Zatrzymali się na moment i wymienili zdziwione spojrzenia. Jeden z nich, doświadczony w wielu wyprawach najemnik, ruszył znowu przed siebie, lecz po paru krokach zatrzymał się. Pochylił głowę i nad czymś się zadumał. Stracił nagle całe zainteresowanie zabawą. Życzył swoim towarzyszom dobrej nocy i natychmiast powrócił do pałacu, gdzie gościł prawie od roku.

Podmuchy wiatru pognały ku morzu, na którym zmagał się z falami statek. Pędził ku macierzystemu portowi, zakończywszy długi patrol. Kapitan, stary, wysoki mężczyzna o pooranej bliznami twarzy i z bielmem na oku, zatrzymał się w pół kroku, gdy poczuł pierwszy, ożywczy podmuch. Miał już wydać komendę, by zrefowano żagle, kiedy nagle przeszył go lodowaty dreszcz. Spojrzał na swego zastępcę, starego wilka morskiego o dziobatej twarzy, który służył u jego boku przez wiele lat. Wymienili spojrzenia. Wiatr przemknął po pokładzie i ucichł nagle. Kapitan zawahał się. Po chwili wydał ludziom rozkaz, by udali się na reje. Zamilkł, dumając nad czymś, a następnie donośnym głosem polecił, by zapalono dodatkowe

*latarnie. Mrok dookoła zgęstniał nagle złowroźnie.*

*Jeszcze dalej na północy wichur pognał zaułkami miasta, tworząc z ulicznego kurzu wirujące tumany tańczące w dzikich płasach po kocich łbach jak zidiociałe wesółki dworskie. W mieście obok ludzi tam urodzonych żyli przybysze z innego świata. W koszarach garnizonu miejskiego trwały właśnie zmagania dwóch zapaśników. Gość z obcego świata walczył dzielnie przeciwko temu, który urodził się i wychował w promieniu niecałych dwóch kilometrów od miejsca pojedynku.*

*Widzowie obstawili wysokimi zakładami obu zapaśników. Obaj mieli już na swoim koncie jedno • położenie na łopatki i dopiero trzecia walka miała wyłonić zwycięzcę. Wiatr uderzył nagle. Obaj przeciwnicy zamarli w pół ruchu, rozglądając się dookoła niepewnym wzrokiem. Tumany kurzu szczypały w oczy. Kilku starych wiarusów z trudem powstrzymało narastające dreszcze. Obaj zapaśnicy zeszli bez słowa z maty, widzowie zaś bez protestów wycofali swoje zakłady. W całkowitym milczeniu tłum rozszedł się do domów. Radosny nastrój współzawodnictwa i zabawy prysł zmieciony podmuchami gorzkiego wiatru.*

*Wichur pognał dalej na północ. Uderzył w ścianę bezkresnej puszczy, w której żyły niewielkie, podobne do małpek stworzonka. Były łagodne i płochliwe. Siedziały teraz na gałęziach ciasno przytulone do siebie, szukając ciepła, które może zapewnić jedynie bliski kontakt fizyczny. Poniżej, na ziemi pod drzewami, siedział w medytacyjnej pozie mężczyzna – nogi miał skrzyżowane, wierzchy dłoni oparte na kolanach. Złączone kciuki i palce wskazujące tworzyły symbol Kręgu Życia, do którego należą wszystkie istoty żyjące. Wraz z pierwszym, delikatnym z początku powiewem ciemnego wiatru w liściach jego oczy otworzyły się gwałtownie. Spojrzał uważnie na siedzącą przed nim postać. Stary Elf, po którym ledwie było widać*

*pierwsze oznaki mijającego czasu – typowe zjawisko dla jego rasy – wpatrywał się w człowieka, odczytując w jego spojrzeniu nieme pytanie. Skinął ledwo zauważalnie głową. Człowiek podniósł leżący obok oręż. Wsunął za szarfę w pasie oba miecze: długi bojowy i szeroki, krótszy. Szybki gest pożegnania i mężczyzna ruszył między drzewa, rozpoczynając długą wędrówkę ku morzu. Po dotarciu na miejsce będzie się starał odszukać innego mężczyznę, którego Elfy również zaliczały w poczet swoich przyjaciół, by wspólnie przygotować się do ostatecznej konfrontacji. Miała się wkrótce rozpocząć. Gdy wojownik przemykał między drzewami, kierując się ku oceanowi, słyszał nad sobą szum wiatru w konarach i liściach.*

*W innym lesie także poruszyły się liście. Zatrzepotały delikatnie, jakby współczując swym pobratymcom niepokojonym podmuchami ciemnego wiatru. Na drugim brzegu gigantycznej otchłani wypełnionej lśnieniem gwiazd gorąca planeta zataczała rytmiczne kręgi wokół zielonkawożółtego słońca. W tamtym świecie, pod lodową pokrywą północnego bieguna, trwała ogromna puszcza bliźniaczo podobna do tej, którą zostawił za plecami wędrujący wojownik. Głęboko, w samym sercu podlodowej kniei siedział milczący krąg istot, które zgłębiły wszystkie tajniki ponadczasowej wiedzy. Dookoła rozsnuwała się materia czarów. Siedzących spowijała ciepła poświata, tworząc wokół kręgu migotliwą kulę. Chociaż uczestnicy kręgu siedzieli na ziemi, ich bajecznie kolorowych szat nie zbrukała najmniejsza plamka. Mieli zamknięte oczy, a mimo to każda kobieta i każdy mężczyzna widzieli to, co widzieć powinni. Jeden z magów tak stary, iż nikt z pozostałych nie sięgał pamięcią jego młodości, siedział ponad kręgiem, unosząc się w powietrzu siłą wspólnie plecionego czaru. Włosy, białe jak śnieg, przytrzymywane prostą, miedzianą obręczą ozdobioną na czole pojedynczym nefrytem, opadały nisko na*

plecy starca. Dłonie miał wyciągnięte w górę i przed siebie. Oczy wpatrzone nieruchomo w ubraną na czarno ludzką postać, unoszącą się tuż przed nim. Ta druga postać wznosiła się na prądach tajemnej energii tworzącej wokół niej uporządkowany wzór–matrycę. Po wyraźnie widocznych liniach mężczyzna wysyłał fale swej świadomości, bogacąc i szlifując tajniki obcej magii. Człowiek w czerni siedział w lustrzanej do starca pozie z wzniesionymi ku górze dłońmi, lecz jego oczy były zamknięte. Uczył się. Dotykał delikatnie myślą materii starożytnej magii Elfów i czuł całym sobą przenikające się, splatane w jedno energie każdej żywej istoty zamieszkującej puszcę. Ich myśli i siły życiowe były czerpane i delikatnie obracane, nigdy na siłę, na służbę całej społeczności. Tak oto czarodzieje Elfów korzystali ze swych mocy: delikatnie, lecz z drugiej strony natarczywie, plotąc przedzę odwiecznych naturalnych energii w materię dającej się wykorzystać magii. Młody mężczyzna dotykał tej magii umysłem i wiedział. Wiedział, iż jego moc rośnie w siłę, wykraczając poza granicę ludzkiego zrozumienia i wyobraźni, czyniąc go podobnym bogom w porównaniu do wiedzy i mocy, o których myślał, że stanowią granice jego talentu. W ciągu mijającego roku posiadał ogromną wiedzę. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeszcze wiele przyjdzie mu się nauczyć. Teraz jednak, po przygotowaniu pod okiem Elfów, posiadał środki, które pomogą mu odnaleźć inne źródła wiedzy. Poznał tajemnice znane zaledwie kilku największym mistrzom magii. Rozumiał teraz dobrze, iż możliwe jest przemieszczanie się siłą woli pomiędzy różnymi światami. Wiedział również, iż samą śmierć można oszukać. Pojmował te prawdy i jasne było, że pewnego dnia odkryje sposoby, by zawładnąć tymi tajemnicami w wymiarze praktycznym. Pod warunkiem, że będzie mu dany wystarczająco długi czas. A czas właśnie był teraz na wagę złota. Liście drzew

powtórzyły niczym echo szelest wydawany przez braci szarpanych czarnym wichrem. Obaj wycofali jednocześnie świadomość i myśli z matrycy energii. Czarno odziany człowiek wbił ciemne oczy w wiekową postać unoszącą się przed nim. Posługując się siłą rozumu zadał krótkie pytanie: „To już? Tak szybko, Acaila?” Elf uśmiechnął się. Bładoniebieskie oczy rozświeciły się wewnętrznym blaskiem, który tak zdumiał człowieka w czerni, gdy ujrzał go po raz pierwszy. Teraz wiedział już, że ta wewnętrzna światłość pochodzi z głębin niewyobrażalnej mocy i potęgi, której nie posiadał żaden znany mu śmiertelnik... z wyjątkiem jednego. Tu jednak miał do czynienia z innym rodzajem siły. Nie zadziwiającej, nie zwalającej z nóg mocą swej potęgi, lecz delikatnej, łagodnej i uzdrawiającej mocy życia, miłości i spokoju wewnętrznego. Postać siedząca przed nim prawdziwie stanowiła jedność ze wszystkim dookoła. Spoglądanie w te rozjarzone świetliście oczy oznaczało osiągnięcie wewnętrznej jedności i pełni. Uśmiech Elfa przynosił ukojenie i spokój. Jednak myśli przenikające przestrzeń pomiędzy nimi, gdy powolutku opadali na ziemię, nie były spokojne i jasne. „Już rok minął. Nam wszystkim przydałoby się trochę więcej czasu, lecz czas płynie swoim własnym rytmem i być może jesteś już gotów, kto wie?” Potem, wraz ze specyficzną fakturą myśli, którą młody człowiek nauczył się rozpoznawać jako poczucie humoru, rozbrzmiały wypowiedziane na głos słowa.

– Ale gotów czy nie gotów, na ciebie i tak już czas. Pozostali uczestnicy kręgu powstali i przez krótką chwilę człowiek w czerni poczuł, jak ich umysły łączą się z jego myślami w ostatnim kontakcie pożegnania. Wysyłali go z powrotem tam, gdzie wkrótce miała się rozpocząć walka. Miał odegrać w niej decydującą rolę. Odsyłali go jednak z o wiele bogatszym bagażem wiedzy i doświadczenia niż ten, z którym

*przybył do nich przed rokiem. Odczuł ostatnie muśnięcie kontaktu myślnego.*

*– Dziękuję. Udam się teraz do miejsca, skąd będę mógł szybko powrócić do domu.*

*Nie marnując czasu na zbędne słowa, zamknął oczy i zniknął. Postacie z kręgu trwały przez chwilę w milczeniu, po czym rozeszły się do czekających ich zajęć. Liście drzew szumiały i szeleściły niespokojnie, a echo czarnego wiatru jeszcze długo pobrzmiwało w konarach.*

*Mroczny podmuch gnał przed siebie, aż dotarł do górskiego szlaku trawersującego daleką dolinę. Pomiędzy skalistymi załomami kryła się grupa mężczyzn. Przez parę chwil patrzyli na południe, jak gdyby chcieli dojrzeć źródło dziwnie niepokojącego wiatru, po czym powrócili do obserwacji rozciągającej się u ich stóp niziny. Dwaj stojący najbliżej krawędzi urwiska wyruszyli w drogę natychmiast po otrzymaniu raportu od wysuniętego patrolu i mieli za sobą długą i wyczerpującą jazdę. U ich stóp gromadziła się armia pod złowróżbnie wyglądającymi sztandarami. Dowódca grupki, wysoki, siwiejący mężczyzna z czarną przepaską na prawym oku, przycupnął tuż poniżej skalistej ścieżki.*

*– Złe to wygląda – powiedział przyciszonym głosem. – Tak jak się obawialiśmy.*

*Przyczajony obok za występem skalnym drugi mężczyzna, nieco niższy, lecz potężniej zbudowany, podrapał zafrasowany przyprószoną siwizną czarną brodę.*

*– Nie, jest jeszcze gorzej – szepnął. – Sądząc po liczbie ognisk, tam w dole zbiera się na tęgą burzę... cholernie tęgą. Mężczyzna z przepaską na oku milczał przez dłuższą chwilę.*

*– No cóż, i tak udało się zyskać prawie rok. Spodziewałem się, że ruszą na nas*

*zeszłego lata. Bogom niech będą dzięki, żeśmy mogli się przygotować, bo jak amen w pacierzu teraz zaatakują z pewnością.*

*Nie podnosząc się z przysiadu, powrócił w pobliże wysokiego blondyna pilnującego jego konia.*

*– Zostajesz?*

*– Tak, poobserwuję ich jeszcze. Widząc, ilu nowych przybywa i w jakim tempie, będziemy mogli w dokładniejszym przybliżeniu ocenić, ilu przywiedzie ze sobą.*

*Dowódca dosiadł konia.*

*– Co to za różnica? – szepnął blondyn. – Kiedy przyjdzie, to nadciągnie ze wszystkimi, których zdoła zgromadzić.*

*– Mimo wszystko zostanę. Po prostu, może nie lubię niespodzianek?*

*– Jak długo? – zapytał pierwszy.*

*– Najwyżej dwa, trzy dni. Potem zrobi się tutaj zbyt tłoczno.*

*– Na pewno rozpuścili już patrole po okolicy. Najwyżej dwa dni, nie dłużej. –*

*Po chwili dorzucił z gorzkim uśmiechem: – Nie jesteś zbyt towarzyski, ale po dwóch latach przyzwyczailem się mieć cię przy boku. Uważaj na siebie.*

*Mężczyzna błysnął zębami w szerokim uśmiechu.*

*– Ten kij ma dwa końce. Przez ostatnie lata szarpałeś ich wystarczająco dotkliwie, by nie chcieli zarzucić sieci i na ciebie. Nie chciałbym, by ukazali się u bram miasta, dzierżąc twą głowę nadzianą na pikę.*

*– Tak się nie stanie – powiedział blondyn. Jego szeroki uśmiech, towarzyszący słowom, pozostawał w ostrym kontraście do tonu, z jakim zostały wypowiedziane. Pobrzmiewała w nich niezłomna determinacja i zdecydowanie,*



*doskonale znane pozostałej dwójce.*

*– Dobra, więc dopilnuj, żeby tak się rzeczywiście nie stało. No, pora na was.*

*Znikajcie.*

*Oddziałek ruszył w drogę, pozostawiając jednego jeźdźca, który miał towarzyszyć zostającemu na czatach. Po długim czasie, gdy pilnie wpatrywał się w obozowisko w dolinie, potężny mężczyzna mruknął cicho pod nosem.*

*– I co tym razem knujesz ty wściekły, poroniony synu dziwki i alfonsa? Co nam chcesz zgotować tego lata, Murmandamusie?*

*ŚWIĘTO*

*Jimmy pędził korytarzem.*

*Przez ostatnie kilka miesięcy rósł jak na drożdżach. W Dniu Przesilenia Letniego miał skończyć szesnaście lat, chociaż tak naprawdę nikt nie znał jego prawdziwego wieku. Szesnaście lat wydawało się trafną oceną, ale równie dobrze mógł zbliżać się do siedemnastu czy nawet osiemnastu. Zawsze atletycznej budowy zaczął rozrastać się w ramionach. Od chwili pojawienia się na dworze urósł o głowę i bardziej już przypominał mężczyznę niż chłopca.*

*Jednak pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Należało do nich z pewnością poczucie obowiązku Jimmiego. Chociaż z jednej strony zawsze można było na niego liczyć, gdy chodziło o sumienne wywiązanie się z ważnych zadań, to jednak z drugiej, całkowite lekceważenie rzeczy przyziemnych i drobnych nie raz, nie dwa groziło pojawieniem się na dworze księcia Krondoru zupełnego chaosu. Obowiązek nakazywał, aby Jimmy, jako starszy szlachcic dworu książęcego, pierwszy pojawiał się przy okazji większych uroczystości czy ceremonii. On jednak prawie zawsze zjawiał się ostatni. W jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób punktualność*

*zdawała się umykać jego uwadze. Pojawiał się albo za wcześnie – to najczęściej, albo zbyt późno, ale nigdy na czas.*

*Szlachcic Locklear stał w progu mniejszej sali wykorzystywanej przez młodzież szlachecką do zgromadzeń. Machał na Jimmiego jak szalony, aby się pośpieszył. Od chwili, gdy Jimmy powrócił z Aruthą z wyprawy po Srebrzysty Cierń, z całego tłumu szlacheckiej młodzieży szlifującej na dworze swe wychowanie, jedynie Locklear został przyjacielem książęcego szlachcica Jamesa. Pomimo trafnej od pierwszego wejrzenia oceny Jimmiego, że Locklear był jeszcze pod wieloma względami dzieciakiem, najmłodszy syn barona z Końca Ziemi przejawiał pewne zamiłowanie do lekkomyślności i brawury. W równym stopniu dziwiło to jego przyjaciela i sprawiało mu przyjemność. Bez względu na to, jak ryzykowny plan ukuł Jimmy, Locklear przeważnie wyrażał zgodę. Gdy sprawa kończyła się poważnymi kłopotami, będącymi skutkiem hazardowych zagrywek Jimmiego wobec oficjeli dworskich, Locklear przyjmował kary z godnością. Traktował je jako uczciwą cenę, jaką trzeba zapłacić za to, że dali się złapać na gorącym uczynku. Jimmy wpadł do sali jak burza. Próbując się raptownie zatrzymać, wpadł w poślizg i ostatnie kilka metrów prześlizgał się po wyczyszczonej do połysku marmurowej posadzce. W sali czekały dwa tuziny ustawionej w równe szeregi młodzieży szlacheckiej, ubranej w jednakowe stroje w kolorze brązu i zieleni. Jimmy błyskawicznie rozejrzał się, czy wszyscy są na swoich miejscach. Sam zajął przypisane mu miejsce dokładnie w chwili, gdy do sali wkroczył Mistrz Ceremonii, Brian DeLacy.*

*Kiedy Jimmy otrzymał rangę starszego szlachcica, wydawało mu się, iż z awansem łączyć się będą tylko nowe przywileje bez żadnych obowiązków. Nie mógł*

się bardziej pomylić. Bardzo szybko został pozbawiony złudzeń. Choć jego osoba była niewielkim tylko trybikiem w machinie dworu książęcego, to jednak spełniał ważne funkcje. Kiedy nie wywiązał się z przypisanych sobie obowiązków, stawał wobec faktu znanego na pamięć wszystkim urzędnikom bez względu na kraj czy epokę: tych na górze nie interesowały usprawiedliwienia, tylko rezultaty. Jimmy przeżywał głęboko, jak swoje własne, wszystkie błędy popełnione przez podległą mu młodzież. Do tej pory ten rok nie był dla niego najlepszy.

Mistrz Ceremonii, wysoki i trzymający się z godnością mężczyzna, ruszył miarowym krokiem w szeleście wspaniałej czerwono czarnej szaty, przypisanej jego urzędowi. Po chwili stanął za Jimmym, który teoretycznie był jego pierwszym asystentem po Zarządcy Domu Królewskiego, a w rzeczywistości i najczęściej jego największym problemem. Po obu stronach Mistrza deLacy'ego zajęło miejsca dwóch paziów w purpurowożółtych uniformach. Byli to synowie prostych ludzi. W przyszłości mieli zasilić szeregi służby pałacowej w przeciwieństwie do młodej szlachty, która pewnego dnia miała dołączyć do grona włodarzy Zachodniego Królestwa. Mistrz DeLacy postukał odruchowo okutą laską w posadzkę.

– I co, panie James, znowu udało ci się wyprzedzić mnie o sekundę, hej?  
W tylnych szeregach rozległy się zduszone chichoty. Jimmy'e-mu z trudem udało się zachować powagę.

– Wszyscy obecni lub usprawiedliwieni. Mistrzu DeLacy. Nieobecny szlachcic Jerome przebywa w swojej kwaterze. Jest... lekko ranny – powiedział patrząc wprost przed siebie kamiennym wzrokiem.

DeLacy spojrzał na niego zrezygnowany.

– Tak, słyszałem o waszym wczorajszym drobnym nieporozumieniu na

boisku – powiedział zmęczonym głosem. – Ale myślę, że nie będziemy tutaj dłużej roztrząsali twoich stałych problemów ze szlachcicem Jerome. Otrzymałem właśnie kolejną skargę od jego ojca. Sądzę, iż w przyszłości po prostu będę jego listy przekazywał wprost tobie.

Jimmy usiłował za wszelką cenę utrzymać niewinny wyraz twarzy, lecz nic z tego nie wyszło.

– Aha, jeszcze jedno, zanim przystąpimy do omawiania dzisiejszych zadań.

Uważam za stosowne podkreślenie jednego faktu: pamiętajcie, że zawsze jesteście zobowiązani zachowywać się, jak na młodych dżentelmenów przystało. Aby doprowadzić do osiągnięcia tego szczytnego celu, wydaje się również właściwe zniechęcenie was do popierania rodzącego się pewnego brzydkiego zwyczaju. Mam tu na myśli obstawianie wysokimi zakładami wyników meczów piłki kopanej do beczki, które odbywają się Szóstego Dnia. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Pytanie z pozoru było adresowane do wszystkich młodych ludzi zgromadzonych w sali, lecz ręka deLacy'ego dziwnym trafem spoczęła ciężko na ramieniu Jimmiego.

– Począwszy od dzisiejszego dnia, żadnych zakładów. Nie mówię oczywiście o rzeczach honorowych jak na przykład konie, sami rozumiecie. Żeby nie było żadnych wątpliwości i odstępstw – to rozkaz! Zrozumiano?!

W szeregach młodzieńców rozległ się niechętny szmer potwierdzenia. Jimmy z powagą skinął głową. Ulżyło mu na sercu, gdyż jeszcze rano obstawił wynik popołudniowego meczu. Pośród służby i pomniejszej szlachty zrodziło się tak ogromne zainteresowanie dzisiejszą grą, że Jimmy przez cały dzień główkował gorączkowo, co by tu zrobić, aby można było pobierać opłaty za jej oglądanie.

*Zdawał sobie sprawę, że jeśli Mistrz DeLacy w jakiś sposób dowie się, że Jimmy już obstawił wynik meczu, trzeba będzie zapłacić wysoką cenę. Uważał jednak, że wymogi kodeksu honorowego zostały spełnione – przecież DeLacy nie wspomniał ani słowem o zakładach już obstawionych.*

*DeLacy szybko przejrzał listę przygotowaną przez Jimmy' ego poprzedniego wieczoru. Bez względu na to, jak wiele miał zastrzeżeń w stosunku do swego starszego szlachcica, nie mógł mieć absolutnie żadnych w stosunku do wykonanej przez niego pracy. Jeśli Jimmy do czegoś się zobowiązał, wykonywał to bez zarzutu. Natomiast problemem było skłonienie go, by się podjął jakiejś pracy. Rozdzielono poranne obowiązki.*

*– Na piętnaście minut przed drugą po południu macie się zgromadzić na stopniach pałacowych. W dwie godziny od południa księżę Arutha i jego dwór przybędą na ceremonię Prezentacji. Po zakończeniu uroczystości jesteście zwolnieni z obowiązków do końca dnia, więc ci z was, którzy mają tu rodziny, mogą się z nimi spotkać. Obawiam się jednak, że dwóch z was będzie musiało być w pogotowiu i pod ręką, by w razie potrzeby usłużyć rodzinie księżęcej i jej gościom. Do wypełnienia tego obowiązku wybrałem paniczów Lockleara i Jamesa. Macie stawić się natychmiast w biurze księcia Volneya do jego dyspozycji. To wszystko.*

*W Jimmym wszystko zamarło. Długo stał w ciszy jak porażony piorunem.*

*DeLacy opuścił salę i równe szeregi młodzieńców poszły w rozsypkę. Locklear zbliżył się powolutku i stanął przed przyjacielem. Wzruszył od niechcenia ramionami.*

*– No i co, czyż nie mamy szczęścia? Wszyscy inni rozbiegli się, by jeść, pić i...*

*– zerknął z ukosa na Jimmiego i dorzucił z szelmowskim uśmiechem – całować się z dziewczynami. A my będziemy mieli zaszczyt pozostawać w towarzystwie Ich*

*Wysokości.*

*– Zatlukę go na śmierć – wysyczał Jimmy, dając upust swej wściekłości.*

*Locklear pokręcił głową.*

*– Jerome'a?*

*– A kogo innego? – Jimmy skinął na przyjaciela i razem opuścili salę. –*

*Doniósł deLacy'emu o zakładach. Zemścił się za podbite oko z wczorajszego dnia.*

*– Teraz – Locklear westchnął z rezygnacją – gdy żadnego z nas nie będzie w*

*drużynie, nie mamy najmniejszej szansy, aby pobić czeladników. – Locklear i*

*Jimmy byli w drużynie młodych szlachciców najlepszymi sportowcami. Locklear*

*niemal równie szybki i zwinny jak Jimmy, tylko jemu ustępował w szermierce.*

*Razem stanowili w pałacu najlepszą parę graczy w piłkę, z którą nikt nie mógł się*

*równać. Brak ich w dzisiejszym meczu oznaczał prawie pewne zwycięstwo drużyny*

*przeciwnej.*

*– Jak wysoko obstawiłeś?*

*– Wszystko.*

*Locklear skrzywił się boleśnie i aż syknął przez zęby. Drużyna szlachecka w*

*oczekiwaniu na ten mecz od miesięcy gromadziła wszystkie swoje zasoby w srebrze i*

*złocie.*

*– Cholera, skąd mogłem widzieć, że DeLacy wyskoczy z tym pomysłem? A*

*poza tym, dzięki naszym porażkom w ostatnich czasach udało mi się wyciągnąć pięć*

*do dwóch na korzyść czeladników. – Szykując się do tego ostatniego, wielkiego*

*zakładu, Jimmy od ładnych paru miesięcy pracował wytrwale nad wytworzeniem*

*obrazu przegrywającej drużyny szlacheckiej. Zaczął się zastanawiać.*

*– Może jeszcze nie wszystko stracone... coś wymyślę.*

– Dzisiaj zdążyłeś dosłownie w ostatnim ułamku sekundy. Co cię zatrzymało tym razem? – Locklear zmienił temat.

Jimmy wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Natychmiast poprawił mu się humor.

– Rozmawiałem z Marianną. – Na twarzy pojawił się znowu zły grymas. –

Miała się ze mną spotkać zaraz po meczu... a my będziemy włóczyli się za Księciem i Księżną. – Od zeszłego lata gwałtownemu wzrostowi towarzyszyła jeszcze jedna zmiana: Jimmy odkrył istnienie dziewcząt. Nagle ich towarzystwo i ich dobra o nim opinia stały się niemal sprawą życia i śmierci. Ze względu na swoje pochodzenie, wychowanie i wiedzę o życiu Jimmy w porównaniu z pozostałymi młodzieńcami był prawdziwym światowcem, bił ich doświadczeniem na głowę. Od kilku miesięcy były złodziejaszek dał się poznać młodszym dziewczętom służącym w pałacu. Marianna była ostatnią, która wpadła mu w oko. Momentalnie zadurzyła się po uszy w przystojnym, bystrym i dowcipnym młodzieńcu. Jego kręcone kasztanowe włosy, czarujący uśmiech i błyszczące czarne oczy stały się źródłem poważnych niepokojów rodziców niejednej z dziewcząt spośród pałacowej służby.

Locklear starał się sprawić wrażenie, że temat jest mu obojętny. Poza ta jednak szybko topniała, gdyż i on stawał się coraz częściej obiektem zainteresowania dziewcząt dworskich. Z tygodnia na tydzień rósł jak na drożdżach. Wzrostem dorównywał już prawie Jimmy'emu. Układające się miękko brązowe, przetykane jaśniejszymi pasmami włosy, chabrowoblękitne oczy w oprawie długich, nieledwie kobiecych rzęs, otwarty, jasny uśmiech i przyjazne nastawienie do całego świata, uczyniły go bardzo popularnym pośród młodszych przedstawicielek płci pięknej. Wychowany w majątku ojca wyłącznie w otoczeniu braci nie czuł się jeszcze pewnie

w towarzystwie dziewczyn. Przebywanie z Jimmym przekonało go, że mogą być o wiele bardziej interesujące, niż mu się wydawało w Końcu Ziemi.

– Hm, zastanówmy się... – zaczął, wpadając w rytm kroków Jimmiego – jeśli nawet DeLacy nie znajdzie powodu, by cię definitywnie wykopać ze służby, albo Jerome nie wynajmie zbirów z miasta, aby cię sprali, to i tak jakiś zazdrosny kuchcik albo rozwścieczony ojciec zrobi ci przedziałek tasakiem... Tak czy inaczej żaden z nich nie odmówi nad nami nawet krótkiej modlitwy, jeśli spóźnimy się do Volneya, bo każe zatknąć nasze głowy na piki. Lećmy!

Locklear parsknął śmiechem, rąbnął łokciem w żebra Jimmiego i ruszył pędem długim korytarzem. Jimmy wystartował tuż za nim. Stary sługa odkurzający meble podniósł wzrok na przebiegających chłopców i zamyślił się nad nieuchwytną magią młodości. Po dłuższej chwili pokiwał powolutku głową i pogodzony ze skutkami mijającego nieuchronnie czasu powrócił do swojej pracy.

W głównym wejściu pojawili się heroldowie. Schodzili powoli z frontowych schodów. Tłum zaczął wiwatować. Ludzie cieszyli się, ponieważ miał do nich przemówić sam książę. Pomimo że trzymał lud na dystans, darzony był jednak szacunkiem i wydawał sprawiedliwe wyroki w przedstawionych pod jego osąd sprawach. Radowali się także z tego, że za moment mieli ujrzeć księżną Anitę, która była dla nich żywym symbolem ciągłości starej rodowej linii, ogniwem łączącym przeszłość z przyszłością. Najbardziej cieszyło ich jednak to, że zostali zaliczeni do grona tych szczęśliwców spoza kręgów szlachetnie urodzonych, którym dane będzie posilać się ze spiżami książęcej i pić wina z jego piwnicy.

Święto Prezentacji obchodzono w trzydzieści dni po narodzeniu nowego członka rodziny królewskiej. Początki tego zwyczaju skrywał mrok dziejów. Przyjęło



*się uważać, iż starożytni władcy miasta – państwa Rillanon byli zobowiązani pokazać wszystkim mieszkańcom, bez względu na ich pochodzenie i pozycję społeczną, że nowo narodzeni następcy tronu przyszli na świat bez skazy czy ułomności. W obecnych czasach tradycja przerodziła się w witane radośnie przez lud święto, gdyż były to jakby dodatkowe uroczystości Przesilenia Letniego.*

*W dniu tym ogłaszano amnestię; sprawy honorowe uważano za automatycznie rozwiązane. Przez tydzień i jeden dzień po Prezentacji obowiązywał zakaz pojedynkowania się; darowywano długi nie zapłacone od dnia poprzedniej Prezentacji, czyli od dziewiętnastu lat, gdy przedstawiano miastu księżniczkę Anitę.*

*Ponadto na całe popołudnie i wieczór zapominano o tytułach i urzędach, a pospólstwo posilało się wraz z wielkimi tego świata przy tym samym stole.*

*Jimmy, zajmując miejsce za plecami heroldów, zdał sobie nagle sprawę, że ktoś zawsze musi pracować. Ktoś przecież musiał przygotować jedzenie, które wieczorem pojawi się na stołach, i ktoś będzie musiał posprzątać po biesiadzie. A i on sam musi być w pogotowiu, by usłużyć Arucie czy Anicie, gdyby zaszła taka potrzeba. Westchnął głęboko, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że jeśliby nawet schował się w mysią dziurę czy zapadł pod ziemię, i tak dopadną go obowiązki i pracę.*

*Locklear nucił cichutko pod nosem, patrząc, jak zajmują swoje miejsca heroldowie, a tuż po nich Gwardia Pałacowa Aruthy. Przybycie Gardana, marszałka Kronodoru oraz księcia Volneya, pełniącego obowiązki kanclerza oznaczało, iż wkrótce rozpocznie się ceremonia.*

*Siwowłosy wiarus z rozbawionym wyrazem na czarnej twarzy skinął głową ku postawnemu Kanclerzowi i dał znak Mistrzowi Ceremonii DeLacy'emu, by*

rozpoczął uroczystość. Rozległ się głuchy stukot laski. W tym samym momencie dały się słyszeć werble i fanfary. Mistrz DeLacy ponownie uderzył laską o kamienie podestu. Tłum uciszył się. Jeden z heroldów wystąpił kilka kroków do przodu.

– Słuchajcie! Słuchajcie! Jego Wysokość Arutha conDoin, książę Krondoru, Pan Ziem Zachodnich Królestwa, następca tronu Rillanonu.

Rozległy się wiwaty i gwizdy, bardziej pewnie dla zachowania formy niż z rzeczywistej potrzeby serca i prawdziwej radości. Arutha należał do ludzi, którzy w społeczeństwie budzili głęboki respekt i podziw, ale nie miłość.

W drzwiach pojawił się wysoki, szczupły i ciemnowłosy mężczyzna. Miał na sobie ubiór z delikatnego materiału w stonowanych brązach oraz czerwony płaszcz – oznakę piastowanego urzędu. Zatrzymał się, przymrużywszy lekko oczy. Herold zapowiedział Anitę i po chwili u boku męża pojawiła się kasztanowowłosa księżniczka Krondoru. Wesoly błysk zielonych oczu sprawił, iż Arutha uśmiechnął się ciepło. W tłumie zawrzało. Stała oto przed nimi ich ukochana Anita, córka poprzednika Aruthy, Erlanda.

Chociaż sama ceremonia miała trwać bardzo krótko, to przedstawianie kolejnych wielmożów zajmowało bardzo wiele czasu. Do bezpośredniego udziału w Prezentacji uprawnieni byli pałacowi notable i specjalnie zaproszeni goście. Herold oznajmiał już przybycie pierwszej pary:

– Ich Wysokości książę i księżna Saladoru.

Przystojny blondyn podał ramię ciemnowłosej kobiecie. Laurie, były minstrel i wagabunda, a teraz książę Saladoru i małżonek księżnej Carline prowadził swą piękną żonę do boku jej brata. Przybyli do Krondoru przed tygodniem, aby zobaczyć swoich bratanków i mieli zabawić w mieście jeszcze tylko tydzień.

Głos herolda wznosił się monotoniem i opadał jak buczenie trzmiela. U szczytu schodów pojawiali się kolejni przedstawiciele wysoko urodzonej szlachty, a w końcu wizytujący miasto dygnitarze, łącznie z ambasadorem Keshu. Pan Hazara-Khan wkroczył bez zwykłej dla swych ziomków pompy, jedynie w towarzystwie czterech wojowników straży przybocznej. Miał na sobie strój mieszkańców pustyni Jal-Pur: na głowie zawój i zasłonę zostawiającą tylko wąską szparę na oczy, długą szatę w barwie indygo narzuconą na białą tunikę i spodnie, których nogawki były wpuszczone w cholewy wysokich do tydek butów. Straż przyboczna była ubrana od stóp do głów w czerń.

W końcu DeLacy wystąpił do przodu.

– Niech lud się przybliży.

U stóp schodów zgromadziło się kilkaset mężczyzn i kobiet: od najnędzniejszego żebraka po najbogatszego przedstawiciela niższego stanu.

Arutha wypowiedział rytualne słowa Prezentacji.

– Dzisiaj jest trzechsetny i dziesiąty dzień drugiego roku panowania naszego pana i władcy, króla Lyama Pierwszego. Dzisiaj prezentujemy ludowi naszych synów.

DeLacy zastukał laską w płyty.

– Ich królewskie wysokości księżęta Borric i Erland – ogłosił herold.

W tłumie zapanowało szaleństwo. Ludzie wyli z radości, śmiali się i płakali ze szczęścia – przedstawiono im po raz pierwszy synów Aruthy i Anity. Piastunka, wybrana specjalnie do sprawowania opieki nad bliźniętami, podeszła bliżej i podała pociechy ich matce i ojcu. Arutha wziął na ręce Borrika, który otrzymał imię po jego

*ojcu, a swoim dziadku, a Anita drugiego, noszącego po jej ojcu imię Erland. Oba niemowlaki wytrzymały dzielnie i z godnością publiczny pokaz, chociaż Erland zaczął w końcu trochę kaprysić. Nawet gdy Arutha i Anita oddali już dzieci piastunce, tłum nie przestawał wiwatować. Arutha zaszczyił zgromadzonych u podnóża schodów jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.*

*– Moi synowie są zdrowi i silni. Urodzili się bez żadnej skazy czy ułomności. Są w stanie podjąć trud rządzenia. Czy przyjmujecie ich jako synów domu królewskiego?*

*Tłum wydał z siebie okrzyk aprobaty. Anita uśmiechnęła się radośnie. Arutha pomachał do zgromadzonych.*

*– Dziękuję wam, dobrzy ludzie. A teraz, do czasu uczyty, życzę wszystkim miłego dnia.*

*Ceremonia dobiegła końca. Jimmy, spełniając swój obowiązek, pośpieszył do boku Aruthy. Locklear zbliżył się do Anity. Locklear z formalnego punktu widzenia miał rangę młodszego szlachcica. Tak często jednak otrzymywał zadanie towarzyszenia księżnej Anicie, iż powszechnie uważano go za jej osobistego sługę. Jimmy podejrzewał po cichu, że to robota DeLacy'ego, który chciał trzymać razem Lockleara i jego, by chociaż w niewielkim stopniu ułatwić sobie ich pilnowanie. Księżę, obserwując żonę i siostrę roztkliwiające się nad bliźniakami, rzucił Jimmy'emu roztargniony półuśmiech. Ambasador Keshu zdjął z twarzy tradycyjną zasłonę. Przyglądając się rodzinnej scenie zbliżył się i uśmiechnął od ucha do ucha. Jego straż przyboczna podążała za nim krok w krok.*

*– Wasze Wysokości zostały po trzykroć pobłogosławione. Zdrowe dzieci to dar od bogów. Do tego synowie. I to jeszcze dwóch naraz.*

*Rozanielony Arutha nie mógł się nasycić widokiem rozpromienionej żony, patrzącej z czułością na bliźnięta trzymane przez piastunkę.*

*– Dziękuję za życzliwe słowa, panie Hazara-Khan. To nieoczekiwany zaszczyt gościć cię tego roku pośród nas.*

*– Pogoda w Durbinie jest okropna – odpowiedział ambasador z roztargnieniem, strojąc pocieszne miny do małego Borrika. Przypomnił sobie nagle swój wiek i pozycję. Wyprostował się. – A poza tym. Wasza Wysokość – dorzucił poważniejszym tonem – mamy tu pewną niewielką sprawę, której omawianie chciałbym wkrótce skończyć. Dotyczy ona przebiegu nowej granicy, tu na Zachodzie.*

*– W twoim przypadku, mój drogi Abdurze – Arutha parsknął śmiechem – „niewielkie sprawy” stają się poważnymi problemami. Wcale mi się nie spieszy, aby znowu zasiąść z tobą po przeciwnych stronach stołu rokowań. No, ale oczywiście przekażę skrupulatnie Jego Wysokości wszelkie sugestie, które zechcesz nam przedstawić.*

*Ambasador Keshu skłonił się lekko.*

*– Jestem gotów rozpocząć rozmowy, gdy tylko Wasza Wysokość będzie dysponował czasem.*

*Arutha udał, że nagle dostrzegł straż przyboczną Abdura.*

*– Nie widzę ani twoich synów, ani pana Daoud-Khana. Dlaczego nie towarzyszą ci w podróży?*

*– Zajmują się sprawami mego ludu w Jal-Pur. Zwykle sam je nadzoruję, ale musiałem pojawić się tutaj.*

*– A to kto? – spytał Arutha, wskazując czterech strażników. Wszyscy mieli na*

*sobie kruczoczarne szaty. Nawet pochwy szerokich, zakrzywionych mieczów też były tej samej barwy. Chociaż ich strój przypominał ubiory ludzi pustyni, jednak różnił się w widoczny sposób od wszystkich, które Księżę widział na mieszkańcach Kesh.*

*– To izmalici. Wasza Wysokość, osobista straż przyboczna, nic więcej.*

*Arutha przemilczał odpowiedź ambasadora. Krąg osób wokół dzieci powoli malał. Izmalici byli znani szeroko jako wspaniała straż przyboczna, najdoskonalsza ochrona klasy wyższej w Imperium Wielkiego Keshu. Z drugiej jednak strony krążyły plotki, że to doskonale wyszkoleni szpiedzy i od czasu do czasu – zabójcy do wynajęcia. Ich zdolności obrosły legendą. Powszechnie sądzono, iż byli w stanie niezauważeni dostać się wszędzie, a następnie niepostrzeżenie wycofać się.*

*Ustępowali w tym jedynie duchom. Anicie niezbyt się podobało, że jest zmuszony gościć pod swym dachem ludzi, którzy niewiele się różnili od zawodowych morderców. Abdur miał jednak oczywiście prawo do osobistej ochrony, a poza tym ambasador Keshu z pewnością nie pojawiłby się w Krondorze z kimś, kto mógłby stanowić jakiegokolwiek, choćby najmniejsze, zagrożenie dla Królestwa.*

*– Będziemy musieli również przedyskutować zagadnienie ostatnich żądań*

*Queg. Chodzi o zagwarantowanie prawa zawijania do portów Królestwa – dorzucił po chwili Hazara-Khan.*

*Arutha zaniemówił ze zdziwienia. Po chwili zaskoczenie zniknęło z jego twarzy, a zamiast niego pojawiła się otwarta irytacja.*

*– A o tym pewnie usłyszałeś od przypadkowo spotkanego na ulicy rybaka albo może jakiś marynarz szepnął ci słówko, gdy schodziłeś na ląd?*

*– Wasza Wysokość, Kesh ma przyjaciół w wielu miejscach. – odpowiedział*

*ambasador z przymilnym uśmiechem.*

*– Hm, oczywiście w tej sytuacji nie ma co wspominać o Cesarskim Korpusie*

*Wywiadowczym Keshu, ponieważ obaj dobrze wiemy, że... – w tym miejscu*

*Hazara-Khan włączył się i dokończył zdanie razem z Księciem – że taka grupa w ogóle nie istnieje.*

*Abdur Rachman Memo Hazara-Khan skłonił się nisko.*

*– Czy Wasza Wysokość pozwoli... ? Arutha odklonił się lekko. Ambasador*

*Keshu pożegnał się z pozostałymi. Księżę spojrział na Jimmiego.*

*– I co, łobuzy, dyżurowanie padło dzisiaj na was? Co się stało?*

*Jimmy wzruszył ramionami, informując w ten sposób, że to nie był jego*

*pomysł. Arutha usłyszał, że żona daje wskazówki piastunce i odsyłają z dziećmi do pokoju.*

*– Chyba musieliście niezłe narozrabiać skoro DeLacy wkurzył się na was?*

*No, ale przecież nie możemy dopuścić, abyście zostali pozbawieni całej*

*przyjemności, prawda? Słyszałem, że dziś po południu miał się odbyć wyjątkowo ważny mecz piłki kopanej do beczki.*

*Jimmy udał kompletne zdziwienie, a twarz Lockleara rozjaśniła się*

*momentalnie.*

*– Taa... chyba tak – bąknął Jimmy wymijająco. Orszak księżęcy skierował*

*się do wnętrza pałacu. Arutha skinął na chłopców, by poszli za nim.*

*– No to nie ma wyjścia. Zajrzemy na chwilę na boisko i zobaczymy, jak im leci, dobra?*

*Jimmy puścił oko do Lockleara.*

*– A poza tym... – dorzucił przez ramię Księżę – jeżeli przegracie zakład, to*

*wasza skóra nie będzie warta funta kłaków, gdy pozostałe chłopaki dobiorą się do was.*

*Jimmy przemilczał uwagę Księcia. Kierowali się w stronę wielkiej sali, gdzie trwało przyjęcie dla notabli. Wkrótce miano wpuścić lud, który miał ucztować na dziedzińcu. Po paru krokach Jimmy wykorzystał nadarzącą się okazję i nachylił do ucha Lockleara.*

*– Ten facet ma cholernie irytujący zwyczaj, zawsze dokładnie wie, co się dookoła niego dzieje.*

*Zabawa rozkręcała się na dobre. Szlachta bratała się z przedstawicielami prostego ludu, którzy otrzymali przepustki na dziedziniec pałacowy. Ustawiono tu długie stoły uginające się wprost pod ciężarem wyśmienitych potraw i napojów. Dla wielu biesiadników miał to być najlepszy i najbardziej obfity posiłek w całym roku.*

*Chociaż ze względu na okazję zapomniano o wszelkich formalnościach, to jednak prości ludzie zachowywali wobec Aruthy i jego dworu pełen szacunku dystans, kłaniając się i zwracając w przewidzianej protokołem formie. Jimmy i Locklear kręcili się w pobliżu na wypadek, gdyby mieli być potrzebni.*

*Carline szła pod ramię z Lauriem tuż za Arutha i Anita. Od ślubu księżęcej pary z Saladoru minęło już trochę czasu. Małżonkowie wiedli spokojne życie, pozostające w jaskrawym kontraście do ich burzliwego i szeroko komentowanego romansu na królewskim dworze. Anita odwróciła się do swej szwagierki.*

*– Tak się cieszę, że mogłaś zostać dłużej. Prawie wszyscy mieszkańcy pałacu Krondor to mężczyźni. A teraz, jakby jeszcze tego było mało, dwóch kolejnych...*

*– A będzie jeszcze gorzej – przerwała Carline. – Byłam wychowana przez ojca i dwóch braci i dobrze wiem, co to oznacza. Arutha obejrzał się na Lauriego.*



– Oznacza to, że została rozpuszczona jak dziadowski bicz. Laurie parsknął śmiechem. Język go świerzył, by dorzucić swój własny cięty komentarz, ale zrezygnował, gdy dostrzegł kątem oka, jak błękitne oczy żony zwęziły się w wąskie szparki.

– Następnym razem będzie córka – włączyła się Anita.

– Będzie kogo rozpuszczać – skwitował Laurie.

– A wy? Kiedy będziecie mieli dzieci? – spytała Anita. Arutha powrócił od stołu z dzbanem piwa i napełnił kubek Lauriego i swój. Na ten widok podbiegł sługa i pośpiesznie podał paniom czarki do wina.

– Będą, kiedy przyjdą na świat – rzuciła Carline. – Wierzcie mi, że nie wynika to z braku naszych starań.

Anita przysłoniła usta dłonią, starając się zdusić wybuch histerycznego śmiechu. Arutha i Laurie wymienili zdziwione spojrzenia. Carline popatrzyła po otaczających ją twarzach.

– Chyba nie chcecie mi wmówić, że się zaczerwieniliście.

– Zerknęła na Anitę. – Ach ci mężczyźni...

– W ostatnim liście Lyam napisał, że prawdopodobnie królowa Magda oczekuje potomka. Spodziewam się potwierdzenia wraz z następnym plikiem rozkazów i listów.

– Biedny Lyam – westchnęła Carline. – Zawsze rozrywany przez kobiety, teraz przez wzgląd na rację stanu musiał się ożenić z Magdą. Chociaż z drugiej strony to porządna dziewczyna, trochę nudna co prawda, ale Lyam jest chyba z nią szczęśliwy.

– Królowa nie jest wcale nudna – sprzeciwił się Arutha. – W porównaniu z

*tobą cała flota piracka z Queg wydaje się nudna i bez wyrazu. – Laurie nie pisał ani słówka, lecz po oczach widać było, że całym sercem zgadza się z komentarzem Aruthy.*

*– Mam nadzieję, że będą mieli syna. Anita uśmiechnęła się.*

*– Arutha pragnie za wszelką cenę, by ktoś inny został zamiast niego księciem Krondoru.*

*– Ale i tak się nie wymigasz od spraw państwa. – Carline posłała bratu domyślne spojrzenie. – Teraz, gdy Caldric nie żyje, Lyam będzie chciał się oprzeć na tobie i Martinie. – Caldric z Rillanonu zmarł wkrótce po ślubie króla z księżniczką Magdą z Roldem, zostawiając wakat na stanowisku księcia Rillanonu, Królewskiego Kanclerza i Pierwszego Doradcy Króla.*

*Arutha, próbując pierwszy kęs z dużego talerza, wzruszył ramionami.*

*– Nie wydaje mi się, aby Lyam cierpiał na brak chętnych na stanowisko po Caldricu.*

*– I to jest właśnie problem – skomentował Laurie. – Zbyt wielu możnowładców Królestwa chce uzyskać przewagę nad swoimi sąsiadami. Już miały miejsce trzy znaczne potyczki graniczne między baronami ze Wschodu. Nie były na tyle poważne, by Lyam musiał wysyłać swoje wojska, lecz wystarczające ostre, by wszyscy na wschód od Krzyża Malaca poczuli się trochę nieswojo. To dlatego przecież Bas-Tyra wciąż nie ma swego księcia. Księstwo to jest zbyt potężne, by oddać jego tron pierwszemu lepszemu z brzegu. Jeżeli nie będziesz uważał, sam możesz otrzymać tytuł księcia Krondoru albo Bas-Tyra, gdyby Magda urodziła syna.*

*– Dość tego – przerwała Carline. – Dzisiaj mamy święto. Koniec z polityką na*

*ten wieczór.*

*– Chodź. – Anita ujęła Aruthę pod ramię. – Zjedliśmy wspaniałą posiłkę, uroczystość się rozkręca i dzieci na szczęście śpią spokojnie. Poza tym – dodała ze śmiechem – od jutra zaczniemy się martwić, z czego zapłacimy za dzisiejszą uroczystość i Święto Banapis przypadające za miesiąc. Dzisiaj cieszymy się tym, co mamy.*

*Jimmy'emu udało się prześlizgnąć w pobliże księcia.*

*– Czy księżę nie byłby zainteresowany obejrzeniem meczu? – spytał, rzucając jednocześnie Locklearowi niespokojne spojrzenie. Gra już dawno się rozpoczęła.*

*Anita spojrzała na męża.*

*– Obiecałem Jimmy'emu, że zajrzemy na boisko, by obejrzeć, jak kopią piłkę do beczki. Wymyślili na dzisiaj jakiś specjalny mecz.*

*– To może być o wiele bardziej interesujące niż pokazy kolejnej trupy akrobatów, żonglerów i aktorów – wtrącił się Laurie.*

*– Wydaje ci się tak, bo większość życia spędziłeś pośród nich – powiedziała Carline. – Pamiętam, gdy byłem jeszcze małą dziewczynką, największa zabawa polegała na tym, by siedząc gdzieś z boku i udając, że się nie patrzy, obserwować spod oka każdego Szóstego Dnia, jak chłopaki tłuką się na śmierć, kopiąc piłkę do beczki. Nie wiem jak wy, ale ja wybieram żonglerów i aktorów.*

*– A może pójdziecie we dwóch z chłopcami? – rzuciła Anita. – Dzisiaj wszystko jest nieformalnie, pamiętacie? Dołączymy do was później, w wielkiej sali, przed rozpoczęciem wieczornej zabawy.*

*Arutha i Laurie zgodzili się ochoczo i ruszyli za młodzieńcami, przepychając się przez tłum. Opuścili wkrótce główny dziedziniec i przeszli kilka korytarzy*

łączących centralny kompleks budynków pałacowych z zewnętrznymi zabudowaniami. Na tyłach pałacu, obok stajni i placu musztry gwardii, rozciągało się wielkie boisko. Zgromadził się tu nieprzebrany tłum, który zawył niemiłosiernie, gdy pojawili się Arutha, Laurie, Jimmy i Locklear. Przepchnęli się do pierwszego rzędu, nie przejmując się specjalnie widzami. Kilku z nich odwróciło się, protestując gwałtownie, lecz widząc przed sobą księcia, ugryźli się w język i nie odezwali się słowem.

Księżciu i jego towarzyszom zrobiono miejsce za plecami rezerwowych graczy drużyny szlacheckiej. Arutha pomachał do Gardana, stojącego po przeciwnej stronie boiska w otoczeniu żołnierzy na przepustce. Laurie przez chwilę z uwagą przyglądał się grze.

– A niech to, panuje tu o wiele większy porządek i organizacja niż za moich czasów.

– Dzięki DeLacy'emu – powiedział Arutha. – Przyszedł do mnie kiedyś na skargę, że po meczach zbyt wielu chłopców jest tak poobijanych i potłuczonych, że nie nadają się do żadnej pracy. Po czym, jak to DeLacy, usiadł i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie opracował i nie spisał reguł gry. – Wskazał przed siebie ręką. – Widzisz tego tam z klepsydrą? Pilnuje czasu rozgrywek. Teraz mecz trwa równo godzinę. W obu drużynach jest po dwunastu graczy. Muszą zmieścić się z grą pomiędzy tymi liniami kredowymi na ziemi, widzisz? Jimmy, jakie są pozostałe zasady?

Jimmy przygotowywał się do gry, zdejmując pas i pochwę ze sztyletem.

– Jak zawsze, nie wolno używać rąk. Gdy jedna z drużyn zdobędzie punkt, cofa się za linię środkową, a przeciwnik dostaje piłkę i rozpoczyna grę. Żadnego

*gryzienia i chwytania za ubranie. Żadnej broni na boisku.*

*– Żadnej broni? – zdziwił się Laurie. – Trochę to zbyt cywilizowane i uładzone jak dla mnie.*

*Locklear ściągnął z siebie wierzchnią odzież i pas. Klepnął jednego z własnych zawodników w ramię.*

*– Jaki wynik?*

*Młody szlachcic nawet na ułamek sekundy nie oderwał oczu od boiska.*

*Chłopak stojący prowadzący piłkę został podcięty przez zawodnika szlachty, lecz piłka i tak została przechwycona przez czeladnika piekarza. Celnym kopnięciem umieścił ją w jednej z beczek, ustawionych po przeciwnych końcach boiska. Młody szlachcic stojący przed Locklearem jęknął głucho.*

*– No, to jest już cztery do dwóch dla nich, a do końca został niecały kwadrans.*

*Jimmy i Locklear spojrzeli jednocześnie na Aruthę. Księżę skinął głową.*

*Wpadli jak burza na boisko, zastępując dwóch pokrwawionych i zakurzonych niemiłosiernie kolegów.*

*Jimmy wziął piłkę od jednego z dwóch sędziów – sędziowie to była kolejna innowacja wprowadzona przez DeLacy'ego – i kopnął w kierunku środka boiska.*

*Locklear już tam czekał. Ku zdziwieniu kilku czeladników, którzy rzucili się gremialnie ku niemu, kopnął ją z powrotem do Jimmiego. Jimmy, szybki jak błyskawica, przemknął koło nich, zanim zdążyli ochłonąć po nieoczekiwanym manewrze. W ostatniej chwili zrobił unik przed wycelowanym w jego głowę łokciem. Zamachnął się potężnie, kierując piłkę w stronę beczki. Piłka uderzyła w krawędź. W tym samym czasie Locklear zdołał się już wyrwać z tłumu przeciwników i kopnął ją tak, że wpadła do beczki. Młodzież szlachecka i dorośli z*

*pomniejszej szlachty zerwali się na nogi rycząc z radości. Czeladnicy prowadzili już tylko jednym punktem.*

*Na boisku doszło do krótkiej bijatyki, ale sędziowie byli na miejscu i natychmiast interweniowali. Nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń i gra została po chwili wznowiona. Czeladnicy rozpoczęli od środka boiska. Jimmy i Locklear cofnęli się szybko. Jeden z potężniej zbudowanych graczy drużyny szlacheckiej zablokował ostro akcję przeciwników, popychając kuchcika na zawodnika prowadzącego piłkę. Jimmy rzucił się szczupakiem i kopnął piłkę do Lockleara. Młodszy kolega zwinnie przerzucił ją dalej w stronę beczki przeciwników, do jednego z własnych zawodników. Tłum czeladników rzucił się ku niemu. Chłopak błyskawicznie podał piłkę z powrotem. Potężny stajenny rzucił się na Lockleara. Nawet nie próbował odebrać mu piłki, lecz schylił po prostu głowę i przetoczył się przez boisko, spychając Lockleara, piłkę i siebie poza kredowe linie. Natychmiast wybuchła kolejna bójka. Po krótkiej szamotaninie sędziowie rozdzielili walczących i pomogli Locklearowi podnieść się na nogi. Chłopak był zbyt poturbowany, aby dalej uczestniczyć w grze. Inny młody szlachcic zajął jego miejsce. Ponieważ obaj gracze znaleźli się poza linią końcową boiska, sędzia zarządził wolną piłkę i rzucił ją na środek. Natychmiast poszły w ruch kolana, stopy i łokcie – obie strony zażarcie walczyły o przechwycenie piłki.*

*– Ha! – krzyknął zachwycony Laurie. – Nareszcie, tak właśnie powinna wyglądać piłka kopana do beczki!*

*Niespodziewanie chłopak stajenny wyrwał się z tłumu. Pomiędzy nim a beczką szlachty nie było nikogo. Jimmy wyskoczył za nim jak z procy. Nie widząc szans na przechwycenie piłki, powtórzył zagranie zastosowane wobec Lockleara i*

rzucił się całym ciałem na chłopaka. I znowu sędzia ogłosił wolną piłkę i na środku boiska rozpętała się następna bijatyka.

Młody szlachcic o imieniu Paul zdobył niespodziewanie piłkę i z wielkim kunsztem zaczął prowadzić ją ku beczce czeladników. Na ułamek sekundy przed tym, jak został przechwycony przez dwóch potężnych piekarczyków i zwalony na murawę, zdołał kopnąć piłkę ku swoim. Piłka, odbijając się, potoczyła się do stóp szlachcica Friederika, który nie namyślając się wiele, kopnął ją w stronę Jimmiego. Jimmy oczekiwał, że za chwilę czeladnicy rzucą się na niego bezładną kupą. Ze zdumieniem spostrzegł, iż cofają się pod swoją beczkę. Była to nowa taktyka, która miała uchronić czeladników przed szybkimi jak błyskawica wypadami, zainicjowanymi przez Jimmiego i Lockleara. Drużyna szlachecka po obu stronach boiska krzyczała, zachęcając do szybkiej akcji.

– Zostało tylko kilka minut! – wrzasnął jeden z nich.

Jimmy kiwnął na Friederika a gdy ten podbiegł, wykrzyczał mu do ucha szybkie instrukcje i błyskawicznie ruszył w lewo. Po kilkunastu metrach podał piłkę z powrotem do Friederika, który już zdążył cofnąć się trochę ku środkowi boiska.

Jimmy przebiegł na prawą stronę i przejął celne dośrodkowanie od kolegi. W ostatniej chwili ominął zgrabnie długi wypad przeciwnika i wkopał piłkę do beczki.

Zachwycony tłum zawył z radości. Dzisiejszy mecz wprowadził do kopanej piłki nowe elementy: taktykę i wypracowane umiejętności. Gra zawsze była twarda, nawet brutalna. Teraz pojawiał się w niej element precyzji.

Po chwili wybuchło następne zamieszanie. Sędziowie pobiegli szybko ku kłębowskiemu ciału, lecz czeladnicy nie przejawiali chęci przerwania bójki. Locklear, który w międzyczasie doszedł trochę do siebie, podszedł do Aruthy i Lauriego.

– Grają na zwłokę. Chcą przedłużyć kłótnię aż czas meczu dobiegnie końca.

Dobrze wiedzą, że wygramy, jak tylko znowu się dorwiemy do piłki.

W końcu porządek został przywrócony. Locklear uznał, że czuje się już na tyle dobrze, że może powrócić do gry. Zmienił kolegę, który nieźle oberwał w czasie ostatniej bójki. Jimmy skinięciem nakazał drużynie wycofanie się pod własną beczkę. W biegu udzielał ostatnich instrukcji. Czeladnicy nadchodzili powoli. Nieudolnie próbowali naśladować szybką wymianę piłek zademonstrowaną przez Jimmiego, Lockleara i Friederika. Niewiele brakowało, a dwukrotnie wykopaliby piłkę poza wyznaczone linie boiska, odzyskując w ostatniej chwili kontrolę nad nią. I wtedy nastąpił niespodziewany atak Jimmiego i Lockleara. Locklear udał, że chce odebrać piłkę prowadzącemu ją czeladnikowi, zmuszając go tym samym do oddania jej koledze, po czym odskoczył w bok i pognął w stronę beczki przeciwnika. Jimmy pędził parę kroków za nim. Reszta drużyny, biegnąc szerokim wachlarzem, pełniła funkcję parawanu. Odebranie przeciwnikowi źle podanej piłki było kwestią kilku zaledwie sekund. Natychmiast powędrowała w kierunku Lockleara. Przejął ją zgrabnie i popędził jak po sznurku ku beczce przeciwnika. Co prawda jeden z obrońców rzucił się za nim w pogoń, lecz nie potrafił sprostać szybkiemu jak wiatr szlachcicowi. Nie przerywając biegu, czeladnik wyciągnął coś zza koszuli, zamachnął się z całej siły i cisnął w Lockleara.

Zdumionym widzom wydawało się, że Locklear padł po prostu jak długi, a piłka potoczyła poza granice boiska. Jimmy podbiegł do przyjaciela i nachylił nad nim. Nagle zerwał się na równe nogi i ruszył w pościg za chłopakiem, który usiłował wprowadzić piłkę na boisko. Nie próbując nawet udawać, że gra toczy się nadal, z całej siły uderzył tamtego w twarz. Czeladnik nakrył się nogami. Rozpętała się



*ogólna bijatyka.*

*Arutha spojrzął na Lauriego.*

*– To może się źle się skończyć. Nie uważasz, że powinienem interweniować?*

*Laurie przyglądał się przez chwilę. Bijatyka stawała się coraz bardziej zaciekle.*

*– Jeśli chcesz mieć jutro chociaż kilku zdolnych do służby szlachciców...*

*Arutha dał znak Gardanowi, a ten nakazał kilku żołnierzom wejście na boisko. Stare, doświadczone wygi szybko przywróciły porządek. Arutha podszedł do Jimmiego trzymającego na kolanach głowę Lockleara i ukląkł przy nich.*

*– Ten sukinsyn trafił go w głowę kawałkiem podkowy. Mały zemdłał.*

*Arutha przypatrzył się leżącemu nieruchomo chłopcu, po czym zwrócił się do Gardana.*

*– Każ go zanieść na kwaterę. Niech szybko zbada go chirurg.*

*– Przeniósł wzrok na trzymającego klepsydrę. – Gra skończona.*

*– Jimmy chciał głośno zaprotestować, ale zastanowił się przez chwilę, ugryzł się w język i nie odezwał ani słowem. Sędzia z klepsydrą wyszedł na środek boiska.*

*– Remis: cztery do czterech. Nikt nie wygrał. Jimmy westchnął z ulgą.*

*– Przynajmniej nikt również nie przegrał...*

*Dwóch gwardzistów chwyciło Lockleara i wyniosło z boiska.*

*Arutha zerknął na Lauriego.*

*– Nie było tak źle, miejscami pogrywali dość ostro.*

*Były trubadur skinął głową.*

*– DeLacy będzie jeszcze musiał trochę popracować nad przepisami, żeby sobie łbów nie porozbijali.*

Tłum rozchodził się powoli. Jimmy podszedł do miejsca, gdzie leżało jego ubranie i pas. Arutha i Laurie zbliżyli się do niego.

– Będziemy musieli spróbować jeszcze raz za jakiś czas.

– To może być interesujące – zauważył Arutha. – Teraz, kiedy poznali ten wasz trick z szybkimi podaniami, będą przygotowani.

– My też. Wymyślimy coś nowego.

– No to warto zrobić z tego prawdziwe święto piłkarskie. Powiedzmy za tydzień lub dwa? – Arutha położył dłoń na ramieniu Jimmiego. – Chyba będę musiał się przyjrzeć bliżej tym przepisom opracowanym przez DeLacy'ego. Laurie ma rację. Jeżeli macie ganiać po całym boisku na łeb na szyję, to nie możemy dopuścić, abyście jeszcze ciskali w siebie podkowami.

Jimmy sprawiał wrażenie, jakby nagle stracił zainteresowanie grą. Coś w otaczającym tłumie przykuło jego uwagę.

– Czy Księżę widzi tego faceta? W niebieskiej kurcie i szarej czapce?

Arutha rzucił okiem we wskazanym kierunku.

– Nie.

– Schylił się, gdy księżę spojrział w jego stronę. Ale ja go znam. Czy mogę oddalić się na chwilę i sprawdzić?

Coś w tonie Jimmiego upewniło Aruthę, że to nie kolejny wybieg, aby wymigać się od pełnienia służby.

– Biegiem. Ale masz wrócić niedługo. Laurie i ja udajemy się do wielkiej sali.

Jimmy pobiegł w stronę miejsca, gdzie po raz ostatni widział znajomego człowieka. Zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Dostrzegł znajomą postać w pobliżu wąskich schodków prowadzących do bocznego wejścia. Mężczyzna stał oparty o

*ścianę, schowany głęboko w cieniu. Jadł z wielkiego talerza. Gdy Jimmy się zbliżył, podniósł nieznacznie wzrok.*

*– To tutaj sobie mieszkasz, Jimmy Rączka.*

*– Już nie Rączka. Młody szlachcic James z Krondoru, Szybki Alvarny.*

*– I to już przeszłość. – Stary złodziej zachichotał. – Chociaż, przyznać muszę, że za moich czasów byłem rzeczywiście szybki, nie da się ukryć. – Zniżył głos, aby nikt ich nie podsłuchał. – Mój pan przesyła wiadomość dla twojego pana.*

*Jimmy natychmiast zorientował się, że w powietrzu wisi coś poważnego, ponieważ Szybki Alvarny był Mistrzem Dnia u Prześmiewców, Cechu Złodziei. Nie był zwykłym chłopakiem na posyłki, lecz jednym z najwyższej stojących w złodziejskiej hierarchii i najbardziej zaufanym doradcą i pomocnikiem Sprawiedliwego.*

*– Tylko ustnie. Mój pan mówi, że drapieżne ptaki, o których sądziliśmy, że zniknęły z miasta na dobre, powróciły z północy.*

*Jimmy poczuł, jak w żołądku narasta mu ciężki, lodowaty kamień.*

*– Te, które polują nocami?*

*Stary złodziej kiwnął głową i włożył do ust kawałek lekko przyrumienionego ciasta. Przymknął oczy i mruknął z zachwytem. Po chwili wbił wzrok w Jimmiego.*

*Oczy zwężyły mu się w wąskie szparki.*

*– Przykro mi, że musiałeś nas opuścić, Jimmy Rączka. Byłeś obiecujący chłopakiem. Gdybyś tylko zdołał uchronić swoje gardło przed poderżnięciem, mógłbyś zejść bardzo wysoko. Mogłeś być pośród nas prawdziwą potęgą, Jimmy.*

*Ale jak mówią, ta woda spłynęła już do morza. Wróćmy do głównej sprawy.*

*Znaleziono młodego Tyburna Reemsa – pływał sobie w zatoce... martwy. Na wybrzeżu są takie zakazane miejsca, gdzie przemytnicy oddają się z zapalem*

swojemu fachowi. Jedno z nich śmierdzi jak zaraza. Dla Prześmiewców miejsce to nie ma właściwe żadnego znaczenia, więc nie zaglądamy tam często. Nie można wykluczyć, że to właśnie w nim ukrywają się nasze ptaszki. No, to tyle miałem do przekazania. Bywaj. – Szybki Alvarny, Mistrz Dnia Prześmiewców i były mistrz złodziejstwa odwrócił się na pięcie i oddalił niespiesznym krokiem, wtapiając się bez śladu w rozradowany tłum.

Jimmy nie wahał się ani chwili. Pognał, ile sił w nogach na miejsce, gdzie zostawił Aruthę. Nie znalazłszy go już tam, skierował się do wielkiej sali. Gęsty tłum utrudniał poruszanie się. Widok setek obcych twarzy wypełniających szczelnie pałacowe korytarze, przyprawił go o nagłą panikę. W ciągu tych kilku miesięcy, które minęły od powrotu z wyprawy do Moraelin po Srebrzysty Cierń, który uratował życie Anity, spokojne, osiadłe życie pałacowe przytępiło ich ostrożność.

Jimmy ujrzał nagle w każdej dłoni zabójczy sztylet wzniesiony do zadania śmiertelnego ciosu, truciznę w każdym kielichu z winem i łucznika z napiętym do strzału łukiem, czającego się w ciemnych zakamarkach. Nie zważając na głośnie protesty, przeciskał się gorączkowo przez tłum przelewający się po korytarzach.

Jimmy przemykał pomiędzy zgromadzonymi licznie wielmożami i mniej dystyngowanymi gośćmi stłoczonymi w wielkiej sali. Przed podwyższeniem tronu stała grupka osób zatopionych w rozmowie. Laurie i Carline bawili rozmową ambasadora Keshu. Arutha wchodził właśnie po schodkach, zbliżając się do tronu. Środek sali okupowała trupa linoskoczków i akrobatów, chwaląca się swoim kunsztem przed patrzącymi z uznaniem widzami. Jimmy musiał ich obejść szerokim łukiem. Przepychając się przez gęstą ciżbę ludzką, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z umieszczonych wysoko pod kopułą okien, schowanych w głębokich

wnękach. W sercu kołatały mu koszmarne wspomnienia z niedalekiej przeszłości.

Był wściekły w równym stopniu na siebie, jak i na cały świat. To on spośród wszystkich mieszkańców pałacu powinien zdawać sobie najlepiej sprawę z tego, jakie zagrożenia mogą się kryć w takich zacienionych miejscach.

Jimmy przebiegł koło Lauriego i dopadł Aruthę, gdy ten zasiadał na tronie.

Rozejrzał się błyskawicznie. Nigdzie nie widział Anity. Patrząc na księcia, skłonił głowę w kierunku pustego tronu.

– Poszła zajrzeć do dzieci. Dlaczego...?

Jimmy wsparł się o tron księcia, nachylając lekko nad nim.

– Mój były pan i mistrz przestał wiadomość. Nocne Jastrzębie powróciły do Krondoru.

Arutha spoważniał gwałtownie. Na ustach pojawił się gorzki grymas.

– Domyśla się, czy jest pewien?

– Po pierwsze. Sprawiedliwy nie przysłałby z wiadomością tego, kogo przysłał, gdyby nie uważał, że sprawy przybrały zły obrót i wymagają szybkiego rozwiązania. Naraził na publiczne pojawienie się jedną z osób najwyżej postawionych w hierarchii Prześmiewców. Po drugie, jest... to znaczy był, taki młody hazardzista, Tyburn Reems, który kręcił się po całym mieście. Cieszył się u Prześmiewców pewnego rodzaju dyspensą. Mógł sobie pozwolić na wiele rzeczy, które dozwolone były tylko nielicznym spoza naszego cechu. Teraz wiem już dlaczego. Tyburn był osobistym agentem mego byłego pana. Nie żyje. Podejrzewam, że Sprawiedliwy został ostrzeżony o możliwości powrotu Nocnych Jastrzębi i Tyburn został wysłany, by wysledzić ich kryjówkę. Znowu zaszyli się gdzieś w mieście. Gdzie? Tego Sprawiedliwy nie wie, ale podejrzewa, że w okolicach nory

przemytników.

*Jimmy mówił do księcia nie spuszczając wzroku z sali. Skończył i spojrzał na Aruthę. Aż go zamurowało. Rysy Aruthy stężały w maskę ledwo kontrolowanej wściekłości. Usta wykrzywiły się w złym grymasie. Kilka stojących w pobliżu osób zamilkło nagle i wpatrywało się w Księcia ze zdumieniem.*

*– Zatem na nowo się zaczyna – szepnął Arutha ochryłym głosem.*

*– Na to wygląda. Arutha zerwał się z tronu.*

*– Nie zgodzę się być więźniem we własnym pałacu ze strażnikami przy każdym oknie!*

*Wzrok Jimmiego wędrował niestrudzenie po sali. Na chwilę zatrzymał się na księżnej Carline czarującej ambasadora Keshu.*

*– To wszystko prawda, lecz dziś wieczór, panie, w twoim pałacu aż się roi od obcych. Zdrowy rozsądek nakazuje, abys jak najwcześniej udał się do swoich komnat. Nigdy nie będą mieli lepszej okazji, aby cię dopaść niż dzisiaj, niż teraz właśnie. – Jego spojrzenie wędrowało wytrwale od twarzy do twarzy, szukając najmniejszego sygnału, że coś jest nie tak. – Jeśli Nocne Jastrzębie znajdują się w Krondorze, to z pewnością są już w pałacu lub pojawią się wraz z nadejściem wieczoru. Mogą już na ciebie, Książę, czekać między salą a twymi komnatami.*

*Oczy Aruthy rozszerzyły się gwałtownie.*

*– Moje pokoje! Anita i dzieci!*

*Nie zwracając uwagi na zaskoczone spojrzenia zgromadzonych, Arutha rzucił się pędem przez salę. Jimmy biegł tuż za nim. Carline i Laurie zauważyli, że coś się stało i poszli szybko za nimi.*

*Po paru chwilach w ślad za Księciem podążało już kilkanaście osób. Gardan*

*zauważył pośpieszne wyjście. Dogonił Jimmiego.*

*– Co się dzieje?*

*– Nocne Jastrzębie.*

*Marszałek Krondoru nie potrzebował dalszych wyjaśnień. Chwył za rękaw pierwszego napotkanego na korytarzu gwardzistę. Dał znak następnemu, by szedł z nimi. Odwrócił się, mówiąc:*

*– Poślij natychmiast po kapitana Valdisa. Niech do mnie dołączy.*

*– Gdzie pan będzie?*

*Gardan popchnął go, każąc natychmiast ruszać.*

*– Powiedz mu, żeby mnie odszukał.*

*Szli pośpiesznie korytarzem. Gardan zgarniał po drodze wszystkich napotkanych żołnierzy i po paru minutach towarzyszyło im już kilkunastu gwardzistów. Arutha dobiegł do drzwi swoich komnat. Zawahał się przez moment, stojąc z ręką wyciągniętą ku klamce, jakby bał się ją nacisnąć.*

*Pchnął drzwi. Anita siedziała przy dwóch kołyskach, w których spokojnie spały bliźniaki. Podniosła głowę i natychmiast na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Zerwała się z krzesła i podbiegła do męża.*

*– Co się stało?*

*Arutha zamknął drzwi, prosząc Carline i pozostałych, by zostali na zewnątrz.*

*– Jeszcze nic. – Zamilkł na chwilę. – Anita, chcę żebyś zabrała dzieci i odwiedziła swoją matkę.*

*– Och, mama bardzo się ucieszy – odpowiedziała Anita spokojnie, lecz ton jej głosu wskazywał, iż dobrze rozumiała, że pod słowami męża kryje się dużo więcej, niż wynikałoby to z ich treści. – Choroba szczęśliwie minęła, lecz mama jest jeszcze*

*zbyt słaba, by udać się w podróż. Sprawimy jej prawdziwą radość. – Wbiła w Aruthę pytające spojrzenie. – A i nas będzie łatwiej ochronić w jej małym majątku niż tutaj, prawda?*

*Arutha zbyt dobrze znał swą żonę, by coś przed nią ukrywać.*

*– Tak. Znowu mamy na głowie Nocne Jastrzębie. Anita podeszła do męża i przytuliła się, kładąc głowę na jego piersi. Ostatnia próba zamachu kosztowała ją niemal utratę życia.*

*– Nie boję się o siebie, Arutha, ale dzieci...*

*– Jutro wyjeżdżasz.*

*– Zaraz zacznę się szykować.*

*Arutha pocałował ją i ruszył w kierunku drzwi.*

*– Zaraz wrócę. Jimmy radzi, bym nie opuszczał naszych komnat do chwili, gdy obcy wyniosą się z pałacu. Rada jest dobra, ale jeszcze przez jakiś czas muszę pokazywać się publicznie. Nocne Jastrzębie sądzą, że nic nie wiemy o ich powrocie. Nie możemy dopuścić, aby zaczęli coś podejrzewać.*

*Mimo przerażenia Anita zdołała wykrzesać z siebie iskierkę humoru.*

*– Jimmy nadal stara się zostać Pierwszym Doradcą Księcia, co?*

*Arutha uśmiechnął się ciepło.*

*– Od prawie roku nie wspomniał ani słowem, że chce zostać mianowany księciem miasta Krondor. A swoją drogą, często wydaje mi się, że chłopak nadaje się na to stanowisko o wiele bardziej niż wielu innych, którzy je pewnie obejmą.*

*Arutha otworzył drzwi. Na korytarzu czekali ciągle Gardan, Jimmy i Laurie z Carline. Reszta została usunięta przez oddział Gwardii Księżęcej. Kapitan Valdis stał koło Gardana.*



– Kapitanie, chcę, aby oddział lansjerów był gotów do wymarszu z samego rana. Księżna wraz z dziećmi udaje się w podróż do majątku swej matki. Strzeż ich dobrze. – Valdis zasalutował i odwrócił się, by wydać stosowne rozkazy. – A ty, Gardan, zacznij powolutku rozmieszczać posterunki w całym pałacu. Tylko dyskretnie. Każ też przeszukać wszelkie możliwe zakamarki, gdzie można się ukryć. Gdyby ktoś dopytywał się, co się stało, powiedz, że Jej Wysokość źle się poczuła, a ja jej towarzyszę. Wkrótce pojawię się w wielkiej sali. – Gardan skinął krótko głową i odszedł. – A dla ciebie – Arutha zwrócił się do Jimmy'ego – mam zadanie.

– Wyruszam natychmiast.

– A wiesz, co masz zrobić? Jeszcze nic nie powiedziałem.

– Wycieczka do doków, prawda? – odpowiedział chłopak z ponurym uśmiechem.

Arutha potwierdził skinieniem głowy. Zdziwiło go to i ucieszyło jednocześnie.

Jimmy chwycił w lot.

– Zgadza się. Jeżeli będzie trzeba, szukaj przez całą noc. Sprowadź tutaj Trevora Hulla, tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

# ODKRYCIE

*Jimmy przebiegł wzrokiem salę.*

*Gospoda pod Krabem była często odwiedzana przez ludzi, którzy szukali bezpiecznego portu, w którym nie groziłyby im dociekliwe pytania czy wścibskie oczy. Przed zachodem słońca salę wypełniali stali bywalcy. Jimmy, ubrany w pałacowy strój, wyróżniał się pośród szarego tłumu i od razu stał się obiektem zainteresowania. Kilku miejscowych znało go z widzenia – doki to był przecież jego drugi po dzielnicy nędzy dom – lecz większość klientów gospody uznała go za bogatego chłopca, szukającego wieczornej rozrywki. Niejednemu z nich przyszła do głowy myśl, że młodzieniec może mieć przy sobie parę sztuk złota, które należałoby z niego wytrząsnąć.*

*Któryś z gości, sądząc po wyglądzie marynarz, podpity i bojowo nastawiony do całego świata, zastąpił drogę Jimmy'emu.*

*– W takim miejscu... i o takiej porze? No... no... Taki ładniutki i elegancki młodzieniaszek jak ty z pewnością ma monetę czy dwie, by podzielić się z ubogim żeglarzem i godnie uczcić młodych księżąt. Dobrze główkuję, co? – Oparł znacząco dłoń na rękojęści sztyletu zatkniętego za pasem.*

*Jimmy zwinnie ominął przeszkodę.*

*– Chyba nie – powiedział, oddalając się od pijaka. Marynarz wyciągnął rękę, próbując chwycić Jimmiego za ramię i zatrzymać go. Chłopak płynnym ruchem obrócił się wokół własnej osi, a marynarz, ku swojemu osłupieniu, stwierdził nagle, że do szyi przytknięte ma ostrze sztyletu.*

*– Przecież ci powiedziałem, że nie mam żadnego złota na zbyciu.*

*Podchmielony marynarz cofnął się gwałtownie. Kilku z obserwatorów tej*

sceny gruchnęło rubasznym śmiechem, lecz niektórzy zaczęli otaczać Jimmiego coraz ciaśniejszym kręgiem. Jimmy natychmiast zorientował się, iż popełnił błąd. Nie miał czasu rozejrzeć się za jakimś ubraniem, które pasowałoby do miejsca i okoliczności, ale mógł przecież odstawić małe przedstawienie i oddać żeglarzowi na wpół pustą sakiewkę. No, ale teraz nie było już wyjścia. Gdy się raz zaczęło tego rodzaju rozgrywkę, trzeba było grać do końca. Jeszcze chwilę wcześniej zagrożona była tylko sakiewka, teraz i życie.

Cofał się powoli. Chciał znaleźć wolne miejsce, gdzie mógłby oprzeć się plecami o ścianę. Na twarzy pojawił się twardy, zacięty wyraz. W oczach nie było widać ani krzty strachu. Kilku otaczających go bywalców gospody zdało sobie nagle sprawę, że mieli przed sobą kogoś, kto doskonale znał niuanse życia w dokach.

– Szukam Trevora Hulla – powiedział Jimmy przez zaciśnięte zęby.

Natychmiast przestali na niego napierać. Jeden z nich wskazał ruchem głowy na tylne drzwi. Jimmy podbiegł szybko i szarpnięciem odsunął na bok zasłonę. W obszernym, zadymionym niemiłosiernie pokoju siedziała wokół stołu grupka mężczyzn. Grali w karty. Sądząc po liczbie żetonów na blacie, gra szła o bardzo wysoką stawkę. Grali w lin-lan, grę popularną na południu Królestwa i północy Keshu. Rozłożono szeroki wachlarz kolorowych kart. Gracze na zmianę wpłacali stawkę i brali karty, określając szansę i wysokość wypłat, według których odkrywano karty. Pomiędzy hazardzistami znajdowało się dwóch znajomych mężczyzn. Jeden miał szeroką bliznę ciągnącą się od czoła, poprzez zmętniałe, pokryte bielmem prawe oko aż po brodę, drugi był łysy i dziobaty na twarzy.

Łysy, Aaron Kucharz i pierwszy oficer na kutrze celnym Królewski Kruk, zauważył kątem oka przepychającego się do stołu Jimmy'ego i podniósł głowę.

*Trącił łokciem sąsiada, który z obrzydzeniem i złością wpatrywał się w swoje karty.*

*Po chwili cisnął je na blat. Gdy ujrzał chłopaka, na ustach pojawił się uśmiech. Zgasł jednak natychmiast, gdy dostrzegł wyraz jego twarzy.*

*– Twój stary przyjaciel, Arthur, chce się z tobą zobaczyć – powiedział Jimmy, przekrzykując z trudem gwar w izbie.*

*Trevor Hull, były pirat i przemytnik wiedział od razu, o kim mowa. Arutha przybrał to imię, gdy szmuglerzy Hulla i Prześmiewcy pomagali księciu i Anicie wydostać się z Krondoru, podczas gdy tajna policja Guya du Bas-Tyra przeczesywała miasto w ich poszukiwaniu. Po zakończeniu Wojny Światów Arutha puścił w niepamięć dawne przestępstwa Hulla i jego załogi i powołał ich do służby w Królewskiej Służbie Celnej.*

*Hull i Kucharz wstali jednocześnie, rezygnując z gry. Jeden z graczy, zwalisty facet, z wyglądu sądząc kupiec, któremu gra szła wcale nieźle, podniósł głowę.*

*– A wy dokąd? – wymamrotał, nie wyjmując fajki z ust. – Jeszcze nie skończyliśmy.*

*Hull, z gęstą szopą szpakowatych włosów otaczających głowę jak aureola, odwrócił się gwałtownie.*

*– Dla mnie skończona! – ryknął. – Cholera, miałem tylko kolor i parę czwórek. Czym tu grać? – sięgnął nad stół i rozsypał wszystkie swoje karty.*

*Jimmy skrzywił się odruchowo. Gracze zaczęli kląć na czym świat stoi i ciskać swoje karty na blat. Jedna z reguł lin-lan głosiła, że grę ostatecznie przerywano, gdy jeden z uczestników pokazał swoje karty. Pozostawienie stawek, przetasowanie całej talii i ponowne rozdanie byłoby jedynym w miarę uczciwym wyjściem.*

*Oczywiście, nie w smak było ono tym, którzy akurat mieli dobre karty w ręku.*

*Wyszli do ogólnej sali.*

*– Niezły z ciebie sukinsyn, Trevor – zauważył półgębkiem Jimmy.*

*Stary przemytnik przemieniony w królewskiego celnika parsknął złym śmiechem.*

*– Ten dumy grubas prowadził! I to kosztem mojego złota! Eee... nie ma o czym gadać. Chciałem po prostu zabrać mu trochę wiatru z żagli.*

*Opuścili gospodę. Szli spiesznie ulicami miasta, przeciskając się przez tłumy świętujących. Cienie domów wydłużyły się, a zabawa zaczynała się rozkręcać na dobre.*

*Arutha wpatrywał się z uwagą w rozłożone na stole szczegółowe plany ulic Kronodoru. Mapy zostały przed chwilą dostarczone z archiwów przez królewskiego architekta. Jedna z płacht pokazywała układ miejskich kanałów. Była już wykorzystana w czasie poprzedniej akcji likwidacyjnej Nocnych Jastrzębi. Od dziesięciu minut Trevor Hull wpatrywał się pilnie we wszystkie plany. Zanim podjął służbę u Aruthy, przewodził najlepiej prosperującemu gangowi szmuglerów w mieście. System kanałów ściekowych i labirynt zaułków były jego szlakami handlowymi, którymi dostarczał kontrabandę do miasta.*

*Hull wymienił z Kucharzem parę uwag. Potarł brodę w zamyśleniu. Po chwili wskazał palcem na miejsce, gdzie schodziło się w zapętłony węzeł kilkanaście tuneli.*

*– Jeżeli Jastrzębie zaszyły się w kanałach. Sprawiedliwy wytropiłby ich, zanim zdążyliby osiąść na dobre. Niewykluczone jednak, że korzystają z kanałów jedynie dla dostania się i wyjścia, na przykład... – Palec przesunął się w inne miejsce na planie – ... stąd. – Palec zawisł ponad obszarem doków biegnących łukowato wzdłuż zatoki. Gdzieś w połowie wygięcia doki się kończyły, a zaczynał się obszar*

*gęsto usiany magazynami i różnego rodzaju składami. Nad wodą przycupnęła enklawa Dzielnicy Biedoty, przypominająca swym wyglądem klin wbity pomiędzy lepiej prosperujące obszary handlu.*

*– Rybne Miasto – powiedział Jimmy.*

*– Rybne Miasto? – powtórzył jak echo zdziwiony Arutha.*

*– To najuboższa część Dzielnicy Biedoty – wyjaśnił Kucharz.*

*Hull pokiwał głową.*

*– Różnie to nazywają: Rybne Miasto, Miasto Nurków czy po prostu Doki.*

*Jest jeszcze parę innych nazw, o których nie warto teraz mówić. Dawno temu, na tych terenach znajdowała się wioska rybacka. Potem miasto zaczęło się rozrastać na północ wzdłuż zatoki i wioska została otoczona przez różne warsztaty, magazyny i temu podobne. Nadal jednak przetrwało tam kilka rodzin rybackich – przeważnie pracujących przy zatoce poławiaczy homarów czy małży. Kilka rodzin utrzymuje się z wykopywania mięczaków na plażach na północ od miasta. Ludzie ci mieszkają w bezpośrednim sąsiedztwie zakładów garbarskich, barwierzy i innych cuchnących przedsiębiorstw Krondoru, więc nikt, kogo stać na coś lepszego, tam się nie osiedla.*

*– Sprawiedliwy sądzi, powiedział Alvarny, że Jastrzębie mogą się ukrywać w miejscu, które śmierdzi – wtrącił Jimmy. – Musiał mieć na myśli właśnie Rybne Miasto. – Wpatrzył się w plan, kiwając głową w zamyśleniu. – Jeśli tak jest, to trudno będzie ich nakryć. Nawet Prześmiewcy nie sprawują w Rybnym Mieście równie silnej władzy jak w Dzielnicy Nędzy czy w porcie. Pełno tam zakamarków, dziur, ślepych zaułków, gdzie można się zaszyć na dobre.*

*Hull zgodził się z tą opinią.*

*– Pamiętam, że w pobliżu znajdował się wylot tunelu, w którym była spora*

wolna przestrzeń. Korzystaliśmy z niej w celu dostarczania towaru do portu z piwnicy pewnego kupca. – Arutha nachylił się nad mapą i pokiwał głową: wiedział, gdzie znajduje się miejsce, o którym wspomniał Hull. – Korzystaliśmy na przemian z kilku różnych kryjówek do przerzucania towaru. – Podniósł wzrok na Księcia. – Twoim pierwszym i najważniejszym problemem, panie, są kanały ściekowe. Z portu do Rybnego Miasta wiedzie kilkanaście podziemnych przejść. Będziesz musiał zablokować wszystkie. Jedno z nich jest tak szerokie, że do blokady będziesz musiał użyć załogi z łodzią.

– Największy problem polega na tym, że nie wiemy, w którym dokładnie miejscu Rybnego Miasta ukryły się Jastrzębie – powiedział Kucharz.

– Jeżeli w ogóle tam się zaszyli – dopowiedział Arutha.

– Wątpię, by Sprawiedliwy w ogóle wspominał o tym, gdyby nie miał solidnych podstaw, by twierdzić, że tam właśnie się przyczaili.

– Zgadza się. – Hull pokiwał głową z przekonaniem. – Nie znam innego rejonu miasta, gdzie mogliby się ukrywać równie skutecznie. Po zauważeniu Jastrzębia przez pierwszego Prześmiewcę Sprawiedliwy od razu wytropiłby ich kryjówkę. Złodzieje często korzystają z kanałów, by przekraść się w rejon działania. Są jednak obszary, gdzie raczej się nie kręcą. A Rybne Miasto jest jeszcze gorsze. Członkowie starych rybackich rodzin to bardzo niezależni i twardzi ludzie. Żyją niemal w klanach. Gdyby ktoś zamieszkał w jednej z ruder w pobliżu doków i nie wtykał nosa w nie swoje sprawy... kto wie? Nawet Prześmiewcy, gdy pytają o coś mieszkańców tej dzielnicy, w odpowiedzi słyszą martwą ciszę. Gdyby Jastrzębiom udało się przeniknąć tam powoli i niepostrzeżenie, tylko ludzie z najbliższego sąsiedztwa mieliby pojęcie o ich istnieniu. Rejon przypomina do złudzenia norę

*króliczą:*

*pełno krętych zaułków, przejść, alejek i ślepych zakamarków. – Pokręcił głową. – Ta część mapy jest bezużyteczna. Połowa pokazanych tu budynków wypaliła się do fundamentów w częstych pożarach. Wszędzie, gdzie był tylko wolny skrawek miejsca, stawiano jakieś szopy i komórki. Prawdziwe poplątanie z pomieszaniem. – Spojrzał na Księcia. – Niektórzy nazywają Rybne Miasto Labiryntem.*

*– Trevor ma rację – włączył się Jimmy. – Bywałem w Rybnym Mieście równie często jak inni Prześmiewcy, czyli rzadko. Nie ma tam właściwie nic, co warto byłoby ukraść. Trevor myli się wszak co do jednego. Największym naszym problemem nie jest odcięcie dróg ucieczki, lecz wytropienie Jastrzębi. Mieszka tam w zaułkach sporo zwykłych, uczciwych ludzi. Nie można więc tak po prostu najechać ich i wyrznąć wszystkich w pień. Musimy odnaleźć prawdziwą kryjówkę Nocnych Jastrzębi. – Zamyślił się na chwilę. – Z tego, co wiem o nich, z pewnością poszukali sobie miejsca, którego: łatwo byłoby bronić i z którego można by w razie potrzeby z łatwością uciec. Moim zdaniem są tu. – Jego palec wskazał bez wahania miejsce na planie.*

*– Tak... to całkiem prawdopodobne – potwierdził Hull po chwili zastanowienia. – Ten dom wciśnięty jest między dwa mury. Do obrony pozostawałby tylko front. Pod ulicą rozciąga się sieć kanałów, wąskich i krętych. Trzeba dobrze je znać, aby nie pobłądzić. Tak, to bardzo prawdopodobna kryjówka.*

*– Lepiej pójdę się przebrać. – Jimmy zerknął na Aruthę.*

*– Nie podoba mi się ten pomysł, ale z nas wszystkich najlepiej nadajesz się na zwiad w tych zakamarkach.*



*Kucharz spojrział na Hulla, który lekko skinął głową.*

*– Ja też mógłbym pójść. Jimmy pokręcił głową.*

*– To prawda, że znasz niektóre partie kanałów o wiele lepiej ode mnie,*

*Aaron, aleja potrafię wślizgnąć się i wyjść niepostrzeżenie, tak że na wodzie nie powstanie najmniejsza zmarszczka. Ty tego nie potrafisz. Ponadto nie ma żadnego sposobu, abyś zdołał się przedostać do Rybnego Miasta niezauważony, nawet w tak gwarny wieczór jak dzisiejszy. Wierz mi, będę bezpieczniejszy, jeśli pójdę sam.*

*– Nie powinieneś poczekać trochę? – spytał Arutha. Jimmy pokręcił głową.*

*– Jeśli zdołam odkryć ich norę, zanim się zorientują, że zostali namierzeni, możliwe, że uda się nam zlikwidować ich, nim zdadzą sobie sprawę, kto ich dopadł.*

*Ludzie robią czasem dziwne rzeczy. Nawet zawodowi zabójcy. Dzisiaj jest święto.*

*Ich straże nie podejrzewają zapewne, że właśnie teraz ktoś będzie węszyć po okolicy.*

*Miasto ucztuje na całego. I tak będzie przez całą noc – hałaśliwie. Mnóstwo dziwnych, nietypowych dźwięków, które nie powinny dziś budzić podejrzeń u nikogo, kto czuwa w kanałach pod tamtym budynkiem. A ja przecież muszę pokręcić się trochę i po ulicach. Obcy, biedny chłopak włóczący się po Rybnym Mieście nie zostanie tak łatwo zauważony jak w każdą zwykłą noc. Powinno się udać, pod warunkiem że wyruszę natychmiast.*

*– No cóż, sam wiesz najlepiej – zgodził się niechętnie Arutha. – Pamiętaj jednak, jeśli zorientują się, że ktoś koło nich się kręci, zareagują natychmiast i bez wahania. Gdy zauważy cię i rozpozna choćby jeden Jastrząb, natychmiast będą ich miał na karku.*

*Jimmy zauważył, że nie tylko ten fakt budzi niepokój Księcia. Podejrzewał w duchu, że Arutha nie miałby nic przeciwko otwartej konfrontacji. Nie, chłopak*

*słusznie sądził, iż Księżciu najbardziej leżało na sercu bezpieczeństwo innych.*

—

*To*

*oczywiste.*

*Nie*

*zapominajmy*

*jednak,*

*że*

*istnieje*

*duże*

*prawdopodobieństwo, iż dziś w nocy i tak zechcą uderzyć. W pałacu aż kłębi się od*

*obcych. – Jimmy wyjrzał przez okno. Zachodzące słońce znajdowało się nad*

*horyzontem. – Od południa minęło prawie siedem godzin. Na ich miejscu,*

*odczekałbym jeszcze jakieś dwie, trzy godziny, a potem przemycił kogoś do pałacu.*

*Wykorzystałbym czas, gdy zabawa osiągnie apogeum. Przez bramy w obie strony*

*będą się przelewały tłumy aktorów, akrobatów, gości. Rozluźnieni i zmęczeni*

*całodzienną zabawą będą mieli mocno w czubie. Później już jednak nie ociągałbym*

*się za bardzo. Wartownicy mogliby zwrócić uwagę na tak późno przybywających*

*gości. Księżę, jeśli będziesz miał się na baczności, nic nie powinno ci grozić, gdy mnie*

*nie będzie. Zamelduję się z powrotem, gdy tylko zdobędę jakieś informacje.*

*Arutha dał znak, że Jimmy może się oddalić. Wkrótce po nim odeszli również*

*Trevor Hull i Kucharz. Księżę został sam na sam z kipiącym w sercu gniewem i*

*niespokojnymi myślami. Wbił się plecami w oparcie krzesła, dłoń zwiniętą w pięść*

*przyłożył do ust i patrzył przed siebie pustym wzrokiem.*

*Stanął twarzą w twarz ze sługami Murmandamusa nad Czarnym Jeziorem, Moraelin, ale ostateczna rozgrywka miała dopiero nastąpić. Przeklinał siebie w duchu za to, że w ciągu ostatniego roku spoczął na laurach, zadowolony z siebie i życia. Gdy powrócił ze Srebrzystym Cierniem – kluczem do ocalenia i uleczenia Anity ze skutków kontaktu z trucizną Nocnych Jastrzębi, był prawie gotów, aby powrócić natychmiast na północ. Potem jednak nastąpił cały ciąg wydarzeń: jego ślub, podróż do Rillanonu, aby uczestniczyć w ślubie brata i królowej Magdy, następnie pogrzeb księcia Caldrica i wreszcie narodziny synów. Do tego doszły codzienne sprawy i obowiązki dworskie. Wszystko to sprawiło, że nie zajął się należycie sprawami na północy Królestwa. Za niebotycznymi szczytami górskich łańcuchów rozciągały się bezkresne połacie Ziem Północy. To było siedlisko potęgi jego przeciwnika. Tam właśnie Murmandamus ściągał pod swoje rozkazy wielkie siły. A teraz oto ponownie sięgał z dalekiej, północnej stolicy, by dotknąć życia księcia Krondoru, Pana Zachodu, człowieka, którego przeznaczeniem, zgodnie ze starodawnym proroctwem, było położenie mu kresu. Zapory Ciemności. Jeżeli oczywiście przeżyje. I znowu Arutha musiał walczyć na własnej ziemi, gdyż zagrożenie stanęło na samym progu jego domostwa. Uderzył pięścią w otwartą dłoń. Z ust wyrwało się straszne przekleństwo. Poprzysiągł przed sobą i przed wszystkimi bogami, którzy go akurat słuchali, że gdy tylko zakończy sprawy w Krondorze, on, Arutha conDoin, odwróci bieg wydarzeń i powiedzie swe armie na północ, by walczyć na ziemi Murmandamusa.*

*Mrok krył tysiące skarbów pomiędzy masami śmieci bez najmniejszej wartości. Wody w kanałach ściekowych płynęły leniwie i cicho. Co jakiś czas odpadki zbijały się w splątaną kupę, tworząc zator. Kanały zamieszkiwali ludzie,*

*którzy utrzymywali się przy życiu dzięki wygrzebanym z odpadków cennym przedmiotom straconym bezpowrotnie dla pierwotnych właścicieli w podziemnych czeluściach. Rozbijając zatory, ułatwiali jednocześnie spływ ścieków, dzięki czemu nie cofały się one z powrotem do domów. Jednak wszystko to niewiele obchodziło Jimmiego. Całą swoją uwagę skupił na stojącym kilka metrów przed nim kanałowym łowcy skarbów.*

*Młody szlachcic ubrany był na czarno, tylko stare, wygodne buty były w innym kolorze. Z sali tortur podwędził nawet klasyczny, katowski kaptur. Pod wierzchnim, maskującym okryciem miał zwykłe, skromne ubranie, aby łatwiej wtopić się w tło Dzielnicy Ubogich. Podziemny śmieciarz już kilka razy spojrział wprost na niego, lecz choć mocno wytrzeszczał oczy, sylwetka Jimmiego doskonale wkomponowana w atramentową czerń kanałów, była dla niego trudno zauważalna.*

*Dobre pół godziny tkwił bez ruchu w głębokim cieniu skrzyżowania dwóch tuneli, podczas gdy stary śmieciarz przebierał bez pośpiechu w śmierdzącej masie przepływającej obok. Chłopak mógł jedynie żywić cichą nadzieję, iż nie było to jego ulubione miejsce pracy, ponieważ w przeciwnym razie mógł tu sterczeć godzinami. Jeszcze żarliwiej modlił się w duchu, aby staruch był prawdziwym śmieciarzem, a nie podstawioną przez Jastrzębie czujką.*

*W końcu zbieracz poczłapał w mrok. Jimmy odprężył się, chociaż nadal nawet nie drgnął, dając staremu sporo czasu na zagłębienie się w boczny kanał. Po długim wyczekiwaniu oderwał się wreszcie od ściany i począł bezszelestnie skradać ze zręcznością, której mogły mu pozazdrościć nawet duchy. Kierował się ku kanałom znajdującym się pod centrum Rybnego Miasta.*

*Wędrował nie kończącymi się tunelami cicho jak zjawą. Nawet gdy wchodził do wody, na jej powierzchni pojawiały się jedynie drobne, niezauważalne prawie zmarszczki. Dary, którymi obdarzyła go natura: błyskawiczny refleks, zdumiewająca koordynacja ruchów, zdolność podejmowania decyzji i natychmiastowego reagowania na najdrobniejsze bodźce zewnętrzne, zostały doprowadzone niemal do perfekcji podczas nauki u Prześmiewców. Zahartowane w najgorętszym, najbardziej bezwzględny piecu świata: codziennym życiu aktywnego zawodowo złodzieja. Każdy następny ruch Jimmy planował i wykonywał z rozmysłem, jakby od pozostania niezauważonym zależało jego życie. Bo też i tak istotnie było.*

*Niestrudzenie zapuszczał się w kolejne kanały. Jego zmysły, napięte do ostatnich granic, badały nieprzenikniony mrok. Dobrze wiedział, które z nikłych dźwięków dochodzących z powierzchni może zignorować. Doskonale wiedział, jak powinno brzmieć w uszach cichutkie echo, miękki pogłos delikatnego falowania wody odbijającej się od kamiennych ścian tuneli. Najmniejsza zmiana, ledwo zauważalne wythumienie było ostrzeżeniem, że ktoś może się wyłonić z atramentowej ciemności. Cuchnące powietrze podziemi maskowało skutecznie ewentualne ostrzegawcze zapachy. Z drugiej strony pozostawało w całkowitym bezruchu, jakiegokolwiek więc, nawet najmniejsze, poruszenie ostrzegłoby go przed atakiem z bliska.*

*Nagle zafalowanie powietrza! Jimmy zamarł w absolutnym bezruchu. Coś się zmieniło. Natychmiast przysiadł bezgłośnie i powolutku wsunął w jeszcze czarniejszy mrok pod ceglany występ w ścianie kanału. Na policzkach poczuł delikatny powiew powietrza. Przed sobą w ciemności usłyszał szurnięcie skóry buta*

*o metal. Ktoś schodził po drabinie z ulicy. Woda zafalowała S delikatnie. Chłopak napiął mięśnie, gotów do natychmiastowego działania. Ktoś wszedł do kanału i posuwał się w jego stronę. Ktoś, kto czynił to prawie tak cicho jak on sam.*

*Jimmy skulił się, zmalął jak tylko mógł, wtulił w ciemność i pilnie obserwował. W mroku przed sobą, czerń na tle czerni, na poły dostrzegł, a na poły wyczuł kierującą się w jego stronę postać. Po chwili pojawiło się za nią światło i Jimmy zobaczył wyraźnie zbliżającego się mężczyznę. Był szczupły, okryty płaszczem i uzbrojony. Odwrócił się.*

*– Zastoń to cholerne światło, idioto – wyszeptał ochryple.*

*Ułamek sekundy, przez który twarz obcego zwrócona była ku światłu, wystarczył Jimmy'emu. Człowiekiem w kanale ściekowym był Arutha, a przynajmniej ktoś tak do niego podobny, że mógłby wprowadzić w błąd wszystkich, poza najbliższym kręgiem przyjaciół.*

*Jimmy wstrzymał oddech. Fałszywy książę przesuwiał się zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów od niego. Ktokolwiek szedł za nim, zakrył już latarnię i nieprzenikniona ciemność znowu spowiła tunel, uniemożliwiając zauważenie Jimmiego. Usłyszał, jak drugi człowiek przechodzi tuż, tuż. Uważnie nasłuchiwał nowych odgłosów, które mogły zdradzić zbliżanie się następnych osób. Czekał długo, dopóki nie nabrał pewności, że nikogo więcej nie ma. Wstał szybko i bezszelestnie i ruszył w mrok, ku miejscu, skąd wyłonili się obcy. Schodziły się tam trzy tunele i musiałby poświęcić wiele czasu, by określić, którym zeszli do podziemi fałszywy książę i jego towarzysze. Jimmy rozważał przez chwilę możliwe kroki. Uznał, że potrzeba śledzenia tajemniczej pary jest znacznie ważniejsza niż odkrycie, którym wejściem weszła ona kanałów.*

*Jimmy znał tę część podziemnego labiryntu równie dobrze jak pozostałe pod całym Kronidorem, lecz gdyby tych dwóch zbyt się oddało, mógł ich zgubić.*

*Zaczął przemykać przez mrok, nasłuchując na każdym skrzyżowaniu tuneli, w który zagłębiła się jego „zwierzyna”.*

*Szedł szybko przez gęsty mrok przejść pod miastem, stopniowo doganiając ściganych.*

W

*pewnej*

*chwili*

*zauważył*

*kątem*

*oka*

*błysk*

*światła.*

*Najprawdopodobniej tajemniczy podróżnicy odślepnili na moment latarnię, by zorientować się w kierunku marszu. Podążył w tamtą stronę.*

*Okręzał właśnie róg, gdy poczuł nagły ruch powietrza. Zrobił błyskawiczny unik. W miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa, przemknęło coś z szumem. Ktoś sieknął z wysiłku. Jimmy wyciągnął błyskawicznie sztylet i zwrócił się w stronę ciężkiego oddechu, wstrzymując własny. Walka w całkowitych ciemnościach była głównie ćwiczeniem w panowaniu nad dławiącym gardło przerażeniem. Każdy mógł umrzeć ze strachu przed obrazami podsuwanymi przez pobudzoną i wyostrzoną do granic wyobraźnię. Starał się ocenić boleśnie napiętymi zmysłami dokładną pozycję przeciwnika. Dziwne dźwięki, złudzenie dostrzeżonego kątem oka ruchu, przeczucie bezgłośnie podpowiadające miejsce przebywania przeciwnika mogły sprowokować fałszywy ruch, zdradzający własną pozycję, czego skutkiem mogła być nagła śmierć. Przez długie minuty obaj przeciwnicy stali w absolutnym bezruchu.*

*Jimmy usłyszał nagle szybki ruch. Natychmiast rozpoznał szczura, sądząc po dźwięku, musiał być bardzo duży. Mądre zwierzę opuszczało rejon potencjalnego*



zagrożenia. Jimmy powstrzymał instynktowną reakcję, by zadać cios, zanim ciało zdążyło zareagować ruchem. Jego przeciwnik jednak pchnął sztyletem, uderzając w ścianę. Zgrzyt stali po kamieniu wystarczył Jimmy'emu. Pchnął z całej siły sztyletem i poczuł, jak ostrze wchodzi głęboko w ciało. Mężczyzna zeszywniał i z cichym westchnieniem osunął się w wodę. Cała walka sprowadziła się do trzech zaledwie ciosów: od pierwszego, wymierzonego w głowę Jimmiego, do ostatniego, który zakończył potyczkę.

Jimmy wyciągnął sztylet i nasłuchiwał. Po towarzyszu martwego przeciwnika nie było śladu. Młodzieniec zaklął po cichu. Wprawdzie nie groził mu kolejny atak, lecz z drugiej strony, walka dała tamtemu czas na ucieczkę. Wyczuł niedaleko siebie źródło ciepła. Wyciągnął rękę i niewiele brakowało, a sparzyłby się boleśnie o gorący metal latarni. Odsłonił płomień i przyjrzał się poległemu przeciwnikowi. Chociaż był to ktoś zupełnie obcy, Jimmy i tak wiedział, że należał do Nocnych Jastrzębi. Nic innego nie tłumaczyło jego obecności w kanałach w towarzystwie wiernej kopii księcia. Przeszukał zabitego. Znalazł na jego szyi figurkę jastrzębia z hebanu i czarny pierścień z ukrytą wewnątrz trucizną. Nie było najmniejszych wątpliwości: Nocne Jastrzębie powróciły do miasta. Jimmy zacisnął zęby, szykując się do koszmarnego zadania, które nań czekało. Wziął głęboki oddech i szybkim ruchem rozciął klatkę piersiową trupa. Włożył rękę, szarpnął i wyrwał mu serce. Odrzucił je daleko w wody ścieku. Z Jastrzębiami Nocy nigdy nie było wiadomo, który z nich może ożyć i służyć nadal swemu panu. Wolał więc nie ryzykować.

Pchnął zwłoki w główny nurt ścieku, by spłynęły do morza razem z innymi śmieciami. Zostawił latarnię i rozpoczął powrotną wędrówkę do pałacu. Śpieszył

się, przeklinając w duchu samego siebie za czas stracony przy trupie. Musiał za wszelką cenę dotrzeć do pałacu przed fałszywym księciem. Przekonany, że ścigany znacznie go wyprzedził, pędził przed siebie, rozbryzgując hałaśliwie wodę. Brał zakręt, gdy pod czaszką rozdzwoniły się nagle tysiące alarmowych dzwonek: echo przed nim zabrzmiało fałszywie! Wykonał błyskawiczny unik, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Zdołał wprawdzie uniknąć cięcia mieczem, lecz otrzymał cios w głowę jego rękojeścią. Poleciał bezwładnie na ścianę, uderzając boleśnie głową o cegły. Rzucił się w przód, padając w środek ścieku. Zniknął pod powierzchnią gęstego, śmierdzącego kożucha. Na wpół ogłuszony zdołał jednak odwrócić się na plecy i wystawić usta nad powierzchnię. Poprzez łupanie pod czaszką przedarł się dźwięk rozbryzgiwanej nieopodal wody. Jimmy czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości. Jak przez mgłę zdawał sobie jednak sprawę, że ktoś go szuka. Szczęśliwie latarnia została daleko w tyle, w miejscu pierwszego starcia. Chłopak dał się ponieść nurtowi, a przyjazny mrok skrył go przed Jastrzębiem szukającym go gorączkowo, by zabić.

Jimmy poczuł, jak potrzęsają nim gwałtownie czyjeś ręce, wrywając z letargu. Dziwił się, dlaczego płynie sobie w całkowitych ciemnościach, skoro miał się spotkać z księciem Krondoru. Nie mógł jednak odnaleźć swoich wyjściowych butów, a Mistrz Ceremonii DeLacy nie wpuści go przecież na pokoje pałacowe w starych. Otworzył oczy. Tuż nad sobą ujrzał starą, pomarszczoną twarz. Bezzębny uśmiech powitał jego powrót do przytomności.

– No, no... – powiedział stary, chichocząc radośnie. – Wygląda na to, że nareszcie jesteś z nami. Przez te wszystkie lata widziałem, jak kanałami spływają różne rzeczy, różne różniste, ha, ha. Nigdy jednak nie myślałem, że wyrzucą do

*ścieku królewskiego kata, o nie... ha, ha. – Zaniósł się wesołym śmiechem. W tańczącym niespokojnie świetle świecy ruchliwa twarz wyglądała groteskowo.*

*Jimmy przez dłuższą chwilę nie był w stanie zrozumieć, o czym staruch gada, aż przypomniał sobie o kapturze, który miał na głowie. Stary musiał go zdjąć.*

*– Kto?*

*– Nazywają mnie Tolly, młodzieńcze, zwany Jimmy Rączka. – Znowu chichot. – Musiałeś zabrnąć w nie lada kłopoty, skoro wpadłeś w takie gówienko.*

*– Jak długo tu jestem?*

*– Dziesięć, piętnaście minut. Usłyszałem chlapaninę i pofatygowałem się, żeby sprawdzić co i jak. No i proszę – znalazłem cię, jak sobie splywałeś spokojniutko do morza. Myślałem, żeś trup. Wyciągnąłem cię na bok, żeby sprawdzić, czy nie znajdę jakiego złota, albo co. Myślałem, że tego drugiego rozerwie na strzępy, tak się wściekał, że nie może cię znaleźć. – Kolejna fala starczego rehotu. – Jak nic znalazłby cię, gdybyś został w wodzie, ale ja zaciągnąłem cię do mojej maleńkiej kryjóweczki, bocznego tunelu. Siedziałem w ciemności, aż sobie poszedł na dobre. Znalazłem to – powiedział, zwracając Jimmy'emu sakiewkę.*

*– Możesz ją zatrzymać. Ocaliłeś mi życie... i jeszcze więcej. Gdzie jest najbliższe wyjście na ulicę? Stary pomógł mu dźwignąć się na nogi.*

*– Znajdziesz schody do podziemi farbiarni Teecha. Jest opuszczona.*

*Pamiętasz, gdzie to jest? W Alei Smrodów. – Jimmy kiwnął głową. W rzeczywistości ulica nazywała się Collington, lecz z powodu ulokowanych przy niej licznych farbiarni, rzeźni i garbami mieszkańcy Dzielnicy Biedoty nazywali ją potocznie Aleją Smrodów.*

– Co prawda opuściłeś nasz cech, Jimmy, ale ten i ów szepnął mi słówko, że możesz się kręcić po okolicy. Pamiętaj, że hasło na dziś brzmi „zięba”. Nie wiem, z kim tam walczyłeś, ale w ciągu ostatnich trzech dni kręciły się tutaj jakieś bardzo dziwne typy. Sprawy nabrały chyba żywszego tempa.

Jimmy zdał sobie sprawę, że ten prosty śmieciarz w pełni ufał wyżej postawionym Prześmiewcom i miał nadzieję, że zajmą się skutecznie intruzami na jego terenie.

– Tak, w ciągu najbliższych dni zajmiemy się nimi – uspokoił go. Zamilkł i zastanawiał się przez chwilę. – Słuchaj, Tolly, w sakiewce jest ponad trzydzieści sztuk złota. Odszukaj Szybkiego Alvarny i powiedz mu, że jest tak, jak podejrzewał, i że mój pan zadziała natychmiast. Jestem tego pewien. Weź całe złoto i zabaw się później porządnie przez parę dni. Zgoda?

Staruch zezował na niego, szczerząc w uśmiechu bezzębne usta.

– To znaczy, trzymaj się przez kilka dni z daleka? Zgadza się? Nie ma sprawy, mogę poświęcić dzień czy dwa, przepijając twoje złoto. Wystarczy tyle?

– Tak, za dwa dni powinno być po wszystkim. – Stary ruszył w kierunku tunelu prowadzącego do wyjścia na ulicę. – Tak czy inaczej będzie po wszystkim – dorzucił Jimmy cichszym głosem. Rozejrzał się w gęstym mroku i stwierdził, że został zaciągnięty z powrotem do miejsca, gdzie spotkał Nocne Jastrzębie po raz pierwszy. Wyciągnął przed siebie rękę, wskazując skrzyżowanie kanałów.

– Czy jest tam metalowa drabinka?

– Trzy, nadające się do użytku – odpowiedział stary, pokazując kolejne tunele.

– Tolly, dzięki jeszcze raz. A teraz nie zwlekaj i zanieś mi wiadomość do

*Alvarny'ego.*

*Stary poczłapał żywo, znikając w głębi szerokiego tunelu. Jimmy zabrał się do oględzin najbliższej drabinki. Była zardzewiała i niebezpieczna. Podobnie druga.*

*Trzecia jednak była niedawno reperowana i mocno przytwierdzona do kamieni.*

*Wdrapał się po cichu na samą górę i zbadał uważnie klapę zamykającą wlot.*

*Była wykonana z drewna, a zatem stanowiła część podłogi budynku. Jimmy zastanawiał się, gdzie jest farbiarnia Teecha. Jeśli zmysł orientacji w terenie nie zwodził go w ciemnościach, znajdował się dokładnie pod domem, który, jak podejrzewał, mógł być kryjówką Jastrzębi. Nasłuchiwał przez kilka minut z uchem przytkniętym do desek klapy. Nic, absolutna cisza.*

*Delikatnie naparł barkiem i podniósł klapę do góry. Zajrzał w wąziutką szparkę. Tuż przed nosem dojrzał parę skrzyżowanych w kostkach butów. Zamarł w bezruchu. Gdy jednak buty przez dłuższy czas nie poruszyły się, podniósł klapę o kilka centymetrów wyżej. Stopy należały do paskudnie wyglądającego faceta. Spał jak zabity, przyciskając kurczowo do piersi częściowo pustą flaszkę. Z duszącego odoru dochodzącego z pomieszczenia wywnioskował, że facet musiał żłopać pagę – mocny alkohol, silnie zaprawiony ziołami i słodko pachnącym, lekkim narkotykiem, sprowadzanym z Keshu. Zaryzykował szybki rzut oka dookoła. Poza śpiącym wartownikiem w pokoju nie było nikogo. Po chwili jednak usłyszał głosy dochodzące słabo zza drzwi w ścianie obok.*

*Nabrał bezgłośnie powietrza w płuca i bezszelestnie wsunął się do pokoju, nawet nie musnąwszy śpiącego. Jednym susem znalazł się przy drzwiach i nadstawił ucha. Głosy były mocno przytłumione i niewyraźne. Wąziutka szparka między deskami pozwoliła zajrzeć do środka.*

*Dojrzał jedynie plecy jednego mężczyzny i twarz drugiego. Ze sposobu, w jaki rozmawiali, wynikało, że w pomieszczeniu znajduje się więcej osób. Dochodzące zza drzwi dźwięki zdradziły dodatkowo, że było ich co najmniej kilkanaście. Jimmy rozejrzał się jeszcze raz dookoła i pokiwał głową. Tak, to była kwatera główna Nocnych Jastrzębi. A ci za drzwiami to Jastrzębie. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Nawet gdyby nie widział hebanowego jastrzębia przy zabitym przez siebie obcym. Przebywający w drugim pokoju z pewnością w niczym nie przypominali prostego ludu zamieszkującego Rybne Miasto.*

*Żałował, że nie może dokładniej zbadać wnętrza budynku. Z pewnością było tam co najmniej kilkanaście innych pomieszczeń. Niespokojne ruchy śpiącego wartownika zaalarmowały zmysły dawnego złodzieja. Czas na szybki odwrót. Falszywy książę wkrótce dotrze do pałacu. Jimmy mógł wprowadzić szybko biec ulicami, podczas gdy tamten musiał brnąć przez ścieki, ale wcale nie było pewne, który z nich pierwszy dotrze do pałacu.*

*Jimmy po cichutku odsunął się od drzwi i zbliżył do dziury w podłodze.*

*Zsunął się w dół i delikatnie zamknął klapę nad głową. Gdy był w połowie drabinki, tuż nad sobą usłyszał donośne głosy.*

*– Matthew!*

*Serce podskoczyło mu do gardła.*

*– Czego! – odpowiedział natychmiast inny głos.*

*– Jeśli się schlałeś i zasnąłeś na warcie, zeżrę twoje gały na kolację.*

*– Dobra, dobra... – odpowiedział poirytowany głos. – Tylko na chwilę przymknąłem oczy, akurat gdy wchodziliście. A w ogóle to przestań mnie straszyć, bo rzucę twoją wątrobę wronom na pożarcie.*

*Jimmy usłyszał, że kłapa unosi się do góry. Bez chwili namysłu przekręcił się na bok drabinki. Zawisł w powietrzu na jednym ręku, wspierając się koniuszkiem buta o krawędź szczebla. Rozpłaszczył się na ścianie włazu, usiłując znaleźć w szczelinach kamieni choćby minimalne wsparcie dla drugiej ręki i stopy. Całą nadzieję pokładał w czarnym ubraniu na tle czerni kanałów. Liczył także, że minie jakiś czas, zanim wzrok tych na górze przywyknie do atramentowego mroku na dole. Nad głową pojawiło się światło. Schylił głowę, chowając twarz, jedyny nie czarny element jego sylwetki. Wstrzymał oddech. Wydawało mu się, że wisiał tak przez całą wieczność, spodziewając się, że w każdej chwili może zostać odkryty. Starał się pozostawać w bezruchu. Napięte do granic wytrzymałości mięśnie paliły żywym ogniem. Nie ośmielił się zerknąć w górę. Mógł sobie jedynie wyobrażać, co Jastrzębie robiły. Nawet w tej chwili, myślał, mogli przecież wyciągać broń. W jego czaszkę mógł już być wycelowany pocisk z kuszy. W ułamku sekundy, bez żadnego ostrzeżenia, jego życie może być zdmuchnięte jak płomyk świecy. Usłyszał nad sobą szuranie nóg i ciężkie oddechy.*

*– Widzisz? Nic tam nie ma. Spokój. A teraz odczep się, bo spłyniesz do morza razem z innymi śmieciami.*

*Rozległ się huk zamykanej kłapy. Niewiele brakowało, a Jimmy puściłby drabinkę i spadł. Policzył po cichu do dziesięciu i błyskawicznie zsunął się na dół, wkroczył w wody kanału i ruszył przed siebie.*

*Kłótniwe głosy zamierały stopniowo w oddali, a on maszerował szybko w stronę farbiarni Teecha i powrotnej drogi do pałacu.*

*Noc minęła już półmetek, lecz zabawa trwała w najlepsze. Jimmy pędził przez pałac, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia mijanych ludzi. Zjawa w czerni*

była czymś niecodziennym na korytarzach książęcego pałacu. Jimmy był boleśnie poobijany. Na twarzy nabrzmiewał mu krwisty siniak. A do tego wszystkiego śmierdział niemożliwie ściekami. Dwukrotnie już pytał napotkanych żołnierzy o księcia i dwa razy został poinformowany, iż księżę kieruje się do prywatnych komnat.

Przemknął obok dwóch znajomych twarzy. Gardan i najemnik Roald zwrócili ku niemu zdziwione spojrzenia. Marszałek Kronodoru był wyraźnie zmęczony długim, a jeszcze nie zakończonym dniem. A przyjaciel Lauriego z dzieciństwa sprawiał wrażenie na wpół pijanego. Chociaż od powrotu z Moraelin Roald konsekwentnie odrzucał propozycje Gardana, by zasilił szeregi gwardii Aruthy, to pozostawał gościem w pałacu.

– Lepiej chodźcie za mną – rzucił Jimmy w biegu. Obaj serio potraktowali słowa chłopaka i podążyli za nim. – Nie uwierzycie, co oni tym razem szykują. – Żadnemu z nich nie musiał wyjaśniać, kim byli „oni”. Gardan właśnie wtajemniczył Roalda w sprawę, informując o ostrzeżeniu przekazanym przez Sprawiedliwego. Obaj też mieli już okazję u boku Aruthy stawić czoło Nocnym Jastrzębiom i Czarnym Zabójcom.

Skręcili za róg korytarza w momencie, gdy Arutha miał właśnie otworzyć drzwi swej komnaty. Zatrzymał się z wyciągniętą przed siebie ręką, czekając aż podejdą bliżej. Patrzył ze zdumieniem to na jednego to na drugiego.

– Wasza Wysokość, Jimmy coś odkrył – powiedział Gardan.

– Wejdźcie. – Arutha zirytował się. – Musicie się streszczać, bo mam jeszcze kilka niecierpiących zwłoki spraw do załatwienia.

Pchnął drzwi i poprowadził ich przez przedpokój do prywatnej sali narad.



*Gdy sięgał ku drzwiom, te otworzyły się same.*

*Ciemne oczy Roalda zrobiły się nagle okrągłe jak spodki. Tuż przed nimi stał... drugi Arutha. Księżę w drzwiach obrzucił ich zdziwionym wzrokiem.*

*– Co...? Księżę i jego sobowtór jednocześnie sięgnęli po broń. Roald i Gardan zawahali się. To, co mówiły ich własne oczy, było po prostu niemożliwe. Jimmy przyglądał się uważnie. Obaj księżęta rzucili się do walki. Sobowtór Aruthy, który wyszedł z pokoju, jednym susem odskoczył w tył do komnaty narad, zyskując przestrzeń do walki. Gardan krzyknął na strażę i po kilku sekundach pędził ku nim tuzin gwardzistów.*

*Jimmy nadal obserwował z napięciem. Podobieństwo było wprost niesłychane. Znał Aruthę równie dobrze jak innych, lecz gdy dwaj mężczyźni zmagali się w upiornym pojedynku, nie potrafił powiedzieć, który jest który.*

*Sobowtór nawet bronią władał z równą zręcznością jak prawdziwy Arutha.*

*– Chwytajcie ich obu – rozkazał Gardan. Jimmy przerwał mu krzykiem.*

*– Zatrzymać się! Czekać. Jeżeli najpierw obezwładnicie prawdziwego*

*Księcia, sobowtór może to wykorzystać, by go zabić.*

*Gardan natychmiast odwołał swój rozkaz.*

*Obaj walczący zadawali pchnięcia i parowali ciosy, krążąc po całym pomieszczeniu. Twarze ich stężały w zacięte, pełne determinacji maski. W pewnej chwili Jimmy rzucił się przez pokój i bez wahania runął na jednego z nich. Uderzył sztyletem, zwalając tamtego z nóg. Gwardziści włączyli się do komnaty i momentalnie obezwładnili drugiego Księcia, zgodnie z rozkazem Gardana. Marszałek Kronodoru nie był pewien celu niespodziewanej akcji Jimmiego, więc wolał nie ryzykować.*

*Postanowił przytrzymać obu aż do pełnego wyjaśnienia całej sprawy.*

*Jimmy szamotał się na podłodze z sobowtórem Aruthy, który uderzył nagle na odlew, ogłuszając go. Jimmy potoczył się na bok. Arutha począł dźwigać się z podłogi, lecz zatrzymał się w pół ruchu, opadając z powrotem na posadzkę, gdy Roald przyłożył mu ostrze miecza do gardła.*

*– Temu chłopakowi odbiło – krzyknął. – Straże! Aresztować go! – Podniósł się powoli z podłogi. Nagle schwycił się za bok i skrzywił boleśnie. Spojrzał na dłoń pomazaną krwią. Pobladł i zachwiał się. Wydawało się, że za chwilę straci przytomność. Tymczasem drugi Arutha stał bez ruchu, znosząc ze stoickim spokojem powstrzymujące go ręce gwardzistów.*

*Jimmy potrząsał przez chwilę głową, próbując dojść do siebie po drugim tego dnia poważnym ciosie w czaszkę. Przetarł oczy i dostrzegł nagle stan rannego przeciwnika.*

*– Uwaga na pierścień! – wrzasnął.*

*Jeszcze nie skończył, a ranny już trzymał dłoń przy ustach. Roald i jeden z gwardzistów chwycili go momentalnie za ręce. Opadł bez sił i stracił przytomność.*

*– Jego królewski sygnet jest fałszywy – powiedział Roald.*

*– To pierścień z trucizną, taki sam, jakie mieli tamci, pamiętacie? Żołnierze uwolnili prawdziwego Aruthę.*

*– Zdążył ją zażyć? – spytał Księżę. Gardan obejrzał uważnie pierścień.*

*– Nie, zemdlął z upływu krwi.*

*– To wprost niesamowite... ich podobieństwo. Nie do wiary.*

*– powiedział Roald. – Jimmy, skąd wiedziałeś?*

*– Widziałem go w kanałach.*

*– Dobrze, ale skąd wiedziałeś, że to on właśnie jest sobowtórem? – dopytywał*

*się Gardan.*

*– Buty. Spójrzcie na buty. Są uwalane tym świństwem ze ścieku.*

*Gardan spojrział na wyczyszczone do lustrzanego połysku buty Aruthy, a potem na szarobrzazowe od błota i wilgotne jeszcze buty sobowtóra.*

*– Miałem szczęście, że przechodziłem dzisiaj przez świeżo skopany ogródek Anity albo coś w tym rodzaju. Jak nic wylądowałbym w mym własnym lochu.*

*Jimmy przyglądał się z uwagą leżącemu sobowtórowi i prawdziwemu*

*Księciu. Obaj mężczyźni mieli na sobie stroje identycznego kroju i barwy.*

*– Gdy wchodziliśmy do pokoju, czy byłeś. Księżę, z nami, czy już w środku?*

*– Wchodziłem razem z wami. Tamten musiał przedostać się do pałacu wraz ze spóźnionymi gośćmi i udał się jak gdyby nigdy nic wprost do moich komnat.*

*– Miał nadzieję, że cię tu zastanie. – Jimmy pokiwał głową. – Chciał cię zabić, wrzucić ciało do jednego z sekretnych przejść albo do kanału ściekowego, a potem zająć twe miejsce. Nie sądzę, aby taka mistyfikacja mogła trwać długo, ale nawet gdyby tylko przez kilka dni, i to by wystarczyło. Mógł przewrócić wszystko do góry nogami i spowodować kompletny chaos.*

*– I znowu spisałeś się wspaniale, Jimmy. – Spojrział na Roalda. – Przeżyje?*

*Najemnik nachylił się nad nieprzytomnym.*

*– Nie wiem. Ci faceci mają wielce wkurzający nawyk umierania w momencie, gdy nie powinni, by następnie nie pozostawać martwymi, kiedy właśnie powinni.*

*– Sprowadź Nathana i pozostałych. Zabierzcie go do wschodniej wieży.*

*Gardan, wiesz, co masz robić, prawda?*

*Jimmy przyglądał się z zainteresowaniem jak ojciec Nathan, kapłan Białej*

*Sung oraz jeden z doradców Aruthy prowadzą badanie zabójcy. Wszyscy, których dopuszczono do wieży służącej za więzienie, stawali w progu jak wryci.*

*Podobieństwo było zdumiewające. Kapitan Valdis, barczysty wojak, były pierwszy porucznik Gardana, który objął po nim dowództwo gwardii przybocznej Aruthy, stał, kręcąc z niedowierzaniem głową.*

*– I nie dziwota, że chłopaki nic tylko salutowały, kiedy ten paradował sobie pałacowym korytarzem. Wasza Wysokość. To twoja wierna kopia.*

*Ranny leżał na łóżku rozpiętym między solidnymi kolumnami do baldachimu.*

*Tak samo jak w przeszłości, gdy chwymano Nocnego Jastrzębia, został pozbawiony pierścienia z trucizną i wszelkich innych środków, za pomocą których mógł popełnić samobójstwo. Nathan stał nieopodal więźnia.*

*– Stracił dużo krwi. Oddech jest płytki. W normalnych warunkach jego życie wisiałoby na włosku.*

*Medyk królewski przytaknął skinieniem głowy.*

*– Gdybym nie widział, jak bardzo pragnął odejść, uważałbym, że powinien wyjść z tego. Wasza Wysokość. – Spojrzał za okno. Nad wschodnim horyzontem różował świt. Przez ładnych kilka godzin pracowali wspólnie w pocie czoła, próbując naprawić szkody poczynione przez sztylet Jimmiego.*

*Arutha zamyślił się. Rezultatem ostatniej próby przesłuchania Nocnego Jastrzębia było stworzenie ożywionego trupa, który uśmiercił kilku gwardzistów i niewiele brakowało, a zabiłby również Wysoką Kapłankę Lims-Kragmy i samego Księcia.*

*– Nathan, jeżeli więzień odzyska przytomność, użyj całej swej mądrości, żeby wyciągnąć z niego wszystko, co wie. Daję ci wolną rękę... Jeżeli umrze, natychmiast*

*każ spalić ciało.*

*Skinął na Gardana, Jimmiego i Roalda.*

*– Pójdziecie ze mną. – Zwrócił się do Valdisa. – Kapitanie, podwoić strażę.*

*Natychmiast, ale po cichu.*

*Wyszli z pokoju pozostającego pod silną strażą. Księżę poprowadził ich ku swym prywatnym komnatom.*

*– Całe szczęście, że Anita i dzieci są już w drodze do jej matki. Nie muszę się niepokoić o nic innego, jak tylko o to, by wypłenić raz na zawsze te zabójcze chwasty, zanim znajdą jakiś sposób, by znowu mnie dopaść.*

*– Ale Jej Wysokość jeszcze nie wyjechała... – powiedział Gardan.*

*– Co? – Arutha obrócił się na pięcie. – Pożegnała się z godzinę temu, gdy zaczynało świtać.*

*– Być może, panie, ale ciągle jeszcze jest tysiąc drobiazgów do załatwienia.*

*Dopiero przed chwilą zakończono ładowanie bagażu. Gwardziści czekają w pogotowiu od przeszło dwóch godzin. Wydaje mi się, że powozy jeszcze nie ruszyły.*

*– No to pośpiesz się. Zostaniesz z nimi aż do wyjazdu. Nie może im spaść włos z głowy. Ruszaj!*

*Gardan pobiegł natychmiast, a Księżę w towarzystwie Jimmiego i Roalda szli dalej.*

*– Wiecie doskonale, co nam grozi. Ze wszystkich ludzi w pałacu tylko ci, którzy byli w Moraelin, zdają sobie w pełni sprawę z potęgi wroga, który za tym wszystkim stoi. Wiecie również, że to wojna, w której nie ma miejsca na rozejm czy warunkowy pokój. To walka na śmierć i życie, aż jedna czy druga strona zostanie całkowicie pokonana.*

*Jimmy pokiwał w milczeniu głową. Ton Aruthy wprowadził go w zdziwienie. W tym ostatnim zamachu na życie Księcia było coś, co poruszyło go do żywego. Odkąd znał Aruthę, zawsze był ostrożny. Spokojnie rozważał wszelkie dostępne informacje, by dokonać najtrafniejszego osądu sytuacji. Jedynym odstępstwem od tej reguły, którego Jimmy był świadkiem, była chwila, gdy Anita, raniona niecelnym pociskiem wystrzelonym z kuszy przez Śmiejącego się Jacka, leżała na jego kolanach. Wtedy Arutha zmienił się. I teraz znowu. Jak wtedy, gdy Anita balansowała na krawędzi życia i śmierci, Arutha sprawiał wrażenia człowieka opętanego. Był wściekły z powodu naruszenia świętych obszarów życia prywatnego. Zagrożone zostały bezpieczeństwo i szczęście jego bliskich i jego własnej osoby. Arutha był żądny krwi tych, którzy byli odpowiedzialni za ten stan rzeczy.*

*– Odszukasz znowu Trevora Hulla – rozkazał Jimmy'emu. – Jego najlepsi ludzie mają być gotowi do wymarszu zaraz po zachodzie słońca. Ma tu przyjść z Kucharzem tak szybko, jak to będzie możliwe. Wspólnie z Gardanem i Valdisem opracujemy plan działania.*

*– Roald, twoim zadaniem jest zajęcie Lauriego. Z pewnością zauważy, że coś jest nie tak, gdy nie pojawię się na codziennej audiencji. Daj mu coś do roboty. Może zrobicie na przykład rundkę po paru znanych knajpach? Pamiętaj, nie wolno mu się zbliżyć do wschodniej wieży. – Jimmy spojrzał na niego zdziwiony. – Teraz, gdy Carline i on są małżeństwem, nie chcę ryzykować życia drugiego członka jej rodziny. Jest na tyle zwariowany, że z pewnością chciałby wziąć we wszystkim udział. Roald i Jimmy wymienili spojrzenia. Obaj odgadli natychmiast, co Księżę planował na dzisiejszy wieczór. Arutha zamyślił się.*

*– Idźcie już. Przypomniałem sobie coś, co muszę przedyskutować z*

*Nathanem. Jimmy, zawiadam mnie, gdy Hull wróci.*

*Bez zbędnych słów zajęli się wykonaniem poleceń. Księżę zaś wrócił do swoich komnat, by porozmawiać z kapłanem Sung.*

## **ZABÓJSTWO**

*Zbrojni mężczyźni stali w pogotowiu.*

*Krondor świętował bez chwili wytchnienia. Arutha zarządził drugi dzień zabaw. Narodziny dwóch synów stały się argumentem przemawiającym za wprowadzeniem drugiego dnia Prezentacji. Wiadomość ta została entuzjastycznie powitana przez wszystkich mieszkańców miasta z wyjątkiem służby pałacowej, ale Mistrz Ceremonii DeLacy szybko zapanował nad sytuacją. W Krondorze królował niepodzielnie radosny, świąteczny nastrój z dnia poprzedniego. Wszystkie gospody, piwiarnie dosłownie pękały w szwach. Dziesiątki idących spokojnie i nie znających się z pozoru mężczyzn nie budziły większego zainteresowania. Około północy wszyscy „obojętni” przechodnie zgromadzili się w pięciu wyznaczonych punktach miasta: w ogólnej sali Gospody pod Tęczową Papugą, w trzech rozrzuconych magazynach pozostających pod kontrolą Prześmiewców oraz na pokładzie Królewskiego Kruka.*

*Na umówiony znak – błędne oddzwonienie godziny przez straż miejską – pięć oddziałów miało wyruszyć jednocześnie ku kwaterze głównej bractwa zabójców.*

*Kompanią zebraną pod Tęczową Papugą dowodził Arutha. Trevor Hull i Aaron Kucharz objęli komendę nad marynarzami i żołnierzami, którzy wpłynęli do kanałów ściekowych na łodziach. Jimmy, Gardan i kapitan Valdis mieli poprowadzić ulicami Dzielnicy Biedoty ukrywających się w starych magazynach.*

*Jimmy rozglądał się czujnie dookoła. Ostatni żołnierz przemknął cichutko*

*przez wąską szparę w drzwiach składu. Magazyn, gdzie Prześmiewcy przechowywali skradzione dobra, był pełen ludzi. Jimmy ponownie skierował uwagę na pojedyncze okno, przez które obserwował ulicę wiodącą wprost do pozycji Jastrzębi. Roald zerknął na klepsydrę, którą obrócił, gdy straż obwieściła ostatnią godzinę. Żołnierze nasłuchiwali pilnie przy drzwiach. Jimmy jeszcze raz obrzucił spojrzeniem swój oddział. Laurie, który nieoczekiwanie pojawił się z Roaldem przed godziną, posłał mu nerwowy, trochę niepewny uśmiech.*

*– Przynajmniej jest tu wygodniej niż w jaskiniach pod Moraelin.*

*Jimmy odwzajemnił półuśmiezek nieproszonemu uczestnikowi nocnego wypadu.*

*– Zgadza się. – Dobrze wiedział, że podniesiony do rangi szlachcica trubadur śmiechem pokrywa zdenerwowanie. Wszyscy je odczuwali. Tym razem nie byli najlepiej przygotowani do akcji. Nie mieli też pojęcia, z jaką liczbą sług Murmandamusa przyjdzie im się zmierzyć. Pojawienie się fałszywego księcia zwiastowało kolejne zamachy agentów moredheli i Arutha uznał, że szybkość działania ma decydujące znaczenie. Księżę podjął decyzję samodzielnie. Zebrał błyskawicznie siły z rozkazem zaatakowania Nocnych Jastrzębi, zanim nad Krondorem zaświta kolejny dzień. Jimmy nalegał usilnie, by dać mu czas na dokładne zbadanie terenu, ale Księżę pozostał niewzruszony. Wyjawiając mu, jak niewiele brakowało, by został odkryty przez wroga, Jimmy popełnił poważny błąd. Poza tym Nathan zawiadomił Aruthę, że jego sobowtór niedawno zmarł. Nie było jak sprawdzić, czy zmarły miał na terenie pałacu pomocników lub czy nie dysponowali oni innymi sposobami sprawdzenia, czy ich plan powiódł się czy zakończył fiaskiem. Księżę postanowił działać niezwłocznie. Ryzykowali wiele.*



*Mogli wpaść w zastawioną pułapkę lub co gorsza, stwierdzić, że gniazdko opustoszało przed ich przybyciem. Jimmy rozumiał niecierpliwość Aruthy, jednak uważał, że jeszcze jeden wypad zwiadowczy nikomu by nie zaszkodził. Nie mieli nawet pewności, czy zablokowali wszystkie drogi odwrotu.*

*Próbowali zwiększyć szansę powodzenia akcji przez zaopatrzenie miasta w ogromne ilości darmowego wina i piwa, daru Księcia dla obywateli Krondoru.*

*Prześmiewcy również przyszli z pomocą, gdyż dziwnym trafem do Dzielnicy Biedoty, a szczególnie Rybnego Miasta, trafiły nieproporcjonalnie duże ilości alkoholu. Cała uczciwa społeczność Rybnego Miasta – bez względu na to jak liczna, zadumał się Jimmy ponuro – spędza teraz wspólnie miłe chwile nad pełnym kubkiem czy kielichem. Niewesołe myśli przerwał mu czyjś głos.*

*– Dzwon straży.*

*Roald spojrział na klepsydrę. W górnej części zostało jeszcze piasku co najmniej na kwadrans.*

*– Tak, to sygnał.*

*Jimmy pierwszy wysunął się przez drzwi, prowadząc resztę. Jego oddział złożony ze starych wiarusów, którzy z niejednego pieca chleb jedli, miał dotrzeć pierwszy do legowiska Nocnych Jastrzębi. Jedyne Jimmy miał okazję widzieć przez moment wewnątrz budynku, zgłosił się więc na ochotnika na wykurzenia ich z ukrycia. Ludzie Gardana i Valdisa w barwach księżęcych mieli udzielić mu wsparcia, blokując w chwili ataku otaczające budynek ulice. Oddziały pod dowództwem Aruthy i Trevora Hulla, korzystając z tajemnego przejścia pod Tęczową Papugą oraz portowego tunelu przemytników, już dawno przedostały się do kanałów. Ich zadaniem była blokada wszelkich podziemnych dróg odwrotu, z*

*których mogły skorzystać uciekające Jastrzębie.*

*Żołnierze opuszczali szybko magazyn, rozbiegając się na dwie strony wąskiej ulicy. Trzymając się w głębokim cieniu pod murami i płotami, zbliżali się błyskawicznie do celu. Wszyscy otrzymali wyraźny rozkaz, by poruszać się możliwie najciszej. Jednak przy tej masie zbrojnych biegnących jednocześnie, najważniejsza była szybkość. W wypadku wykrycia, nie czekając na innych, mieli natychmiast zaatakować.*

*Jimmy dotarł do skrzyżowania ulic w pobliżu celu wyprawy i ruszył na krótki rekonesans. Nigdzie nie dostrzegł wartowników. Machnął bez słowa ręką, wskazując dwie boczne uliczki i nakazując ich blokadę. Żołnierze w okamgnieniu wykonali rozkaz. Gdy wszyscy znaleźli się na właściwych pozycjach, Jimmy ruszył w kierunku głównego wejścia do budynku. Pokonanie ostatnich dwudziestu metrów było najtrudniejsze – teren był otwarty, bez żadnej osłony. Podejrzewał, że Jastrzębie uprzątnęły z wszelkiego śmiecia obszar przed frontem, na wypadek takiej nocy jak dzisiejsza. Wiedział także, że w oknie narożnego pokoju na drugim piętrze wystawiono co najmniej jedną czujkę. Rozciągał się stamtąd doskonały widok na obie, zbiegające się przed domem ulice. Echo przyniosło z przeciwnej strony odległy brzęk metalu o kamień. Zbliżali się ludzie Gardana. Za oddziałem Jimmiego w pewnej odległości posuwała się kompania dowodzona przez Valdisa. W oknie na drugim piętrze dostrzegł jakiś ruch. Zamarł, przywarłszy do ściany. Nie miał pojęcia, czy został zauważony. Jeśli tak, wkrótce ktoś będzie chciał to sprawdzić, chyba że zdoła rozproszyć podejrzenia. Oderwał się gwałtownie od muru, zatoczył potężnie i rozrzucił gwałtownie ramiona, opierając się w ostatniej chwili o ścianę. Zwiesił ciężko głowę. Jeszcze jeden pijak wyrzucający nadmiar wina z udręczonego*

żołądka. Roald krył się w mroku o parę metrów za nim. Jimmy odwrócił lekko głowę w tamtym kierunku.

– Szykujcie się – rzucił cicho przez zęby między jednym potężnym czknięciem a drugim.

Ruszył chwiejnym krokiem w stronę narożnego budynku. Zatrzymał się po paru krokach. Postał chwilę w miejscu, po czym poszedł dalej. Przez cały czas podśpiewywał pod nosem głupawą piosenkę. Miał nadzieję, że uznają, iż wraca do domu po zbyt długiej zabawie. O parę kroków przed drzwiami zatoczył się, jakby chciał skręcić w przecznicę, by w następnej sekundzie podskoczyć do muru tuż przy wejściu. Wstrzymał oddech i przyłożył ucho do desek. Zza drzwi dochodziły niewyraźne, przytłumione odgłosy rozmowy. Ich ton nie zdradzał niepokoju. Jimmy pokiwał głową. Oderwał się od muru i zataczając przeszedł parę metrów sąsiednią ulicą, na której czekali ludzie Gardana. Udając, że znowu zbiera mu się na wymioty, oparł się o ścianę. Z pijacką radością wrzasnął na całe gardło coś głupiego. Liczył, że głośny krzyk odwróci na chwilę uwagę wartownika w oknie.

Z głębi ulicy nadbiegło kilkunastu żołnierzy dźwigających lekki taran. Szybko zajęli pozycję. Tuż za nimi stanęło czterech łuczników z orężem gotowym do strzału. Zarówno okna na drugim piętrze, jak i główne wejście znajdowało się dokładnie na linii strzału.

Zataczając się ruszył w stronę budynku. Gdy znalazł się pod narożnym oknem, pojawiła się w nim głowa wartownika. Śledził z zainteresowaniem jego zawiłą trasę. Nocny Jastrząb z upodobaniem oglądał zabawne przedstawienie na ulicy i nie zauważył nadciągających jeźdźców. Jimmy miał nadzieję, że Roald wie, co ma robić.

*I rzeczywiście. Najemnik dobrze wykorzystał nadarzającą się okazję. Mrok przecięła strzała. Jeżeli nawet nad pierwszym czuwał wyżej drugi strażnik, i tak nie tracili, zabijać tego w oknie. Może zyskali kilka cennych chwil, by móc całkowicie zaskoczyć przeciwnika. Wartownik wychylał się z okna coraz bardziej, jakby chciał lepiej śledzić drogę Jimmiego przy ścianie domu. Nagle zsunął się przez krawędź parapetu i gruchnął martwy o ziemię kilka kroków za chłopakiem. Jimmy nawet się nie obejrzał. Jeden z ludzi Gardana miał zaraz wyciąć Jastrzębiowi serce.*

*Dopadł drzwi, dobył rapier i dał znak żołnierzom. Sześciu z taranem – długim balem z zahartowaną w ogniu końcówką – podbiegło do wejścia. Przyłożyli go cicho do drzwi, cofnęli, wzięli trzy tęgę zamachy i za czwartym razem rąbnęli z hukiem.*

*Wejście było zaryglowane, ale nie zamknięte sztabami. Drzwi runęły do środka, zasypując wewnątrz deszczem drzazg i śrub z zamka. Jastrzębie skoczyły po broń.*

*Zanim szóstka z taranem zdążyła rzucić go i dobyć mieczy, nad ich głowami śmignęła do środka chmura strzał. Taran spadał jeszcze po schodach, objając się z hukiem na kamieniach, gdy ludzie Roalda wdarli już się do wnętrza.*

*Obszerny pokój wypełniły wrzaski, odgłosy zajadłej walki i przekleństwa. Z innych pomieszczeń dobiegały okrzyki zaniepokojonych tumultem Jastrzębi. Jimmy ogarnął pomieszczenie jednym rzutem oka i zaklął pod nosem. Okręcił się na pięcie i stanął przed sierżantem dowodzącym drugą kompanią.*

*<– Przebili drzwi do sąsiednich domów! – Wskazał na parę drzwi w bocznej ścianie, zza których dobiegały podenerwowane głosy. Sierżant natychmiast wydał rozkaz ataku. Jego ludzie rozdzielili się sprawnie, rzucając się jednocześnie ku obu wejściom. Drugi sierżant biegł na czele swego oddziału po schodach na górę. Ludzie Lauriego i Roalda szybko uporali się z kilkoma zabójcami we frontowym pokoju i*

*teraz szukali pilnie ukrytych w podłodze klap czy tajemnych przejść w ścianach.*

*Jimmy podbiegł do wejścia, które musiało prowadzić do pomieszczenia nad zejściem do kanałów. Potężnym kopniakiem wywalił drzwi i wpadł do środka.*

*Wewnątrz leżał martwy Jastrząb, a przez klapę w podłodze wlewali się ludzie Aruthy. W pokoju były jeszcze jedne drzwi. Jimmy zauważył kątem oka cień znikający za rogiem. Natychmiast ruszył w pościg, wołając o wsparcie. Wypadając za róg, zrobił unik, lecz nie było tam już nikogo. W czasie ostatniego spotkania z Nocnymi Jastrzębiami zabójcy woleli raczej umrzeć w walce, niż dać się pochwycić przez konnicę Aruthy. Tym razem najbardziej im zależało, by uciec.*

*Jimmy pędził korytarzem. Tuż za nim biegło pół tuzina żołnierzy. Pchnął pierwsze napotkane drzwi. Wewnątrz leżały trzy trupy Jastrzębi. Żołnierze już szykowali pochodnie. Rozkazy Aruthy były bardzo wyraźne i konkretne. Wszystkim zabitym miano wyciąć i spalić serca. Tej nocy żaden Czarny Zabójca nie powstanie z martwych, by dalej zabijać dla Murmandamusa.*

*– Czy ktoś przebiegał tędy? – krzyknął Jimmy.*

*Jeden z żołnierzy podniósł głowę znad koszmarnej roboty.*

*– Nikogo nie widziałem, panie, ale jeszcze przed chwilą mieliśmy tu pełne ręce roboty.*

*Jimmy skinął głową i pognął korytarzem. W odgałęzieniu natknął się na walkę wręcz. Schylił się i przemknął koło gwardzistów wycinających w pień garstkę Jastrzębi, kierując się w stronę kolejnego przejścia. Nie było całkowicie zamknięte, jakby ktoś trzasnął za sobą drzwiami, ale nie miał już czasu sprawdzić, czy się zamknęły. Chłopak pchnął drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Znajdował się w szerokiej alejce. Tuż przed nim stało otworem troje przez nikogo nie pilnowanych drzwi. Serce*

*w nim zamarło. Odwrócił się. Arutha i Gardan stali za nim. Książę zaklął szpetnie.*

*To, co kiedyś było wielkim, wypalonym do fundamentów budynkiem, zostało zastąpione kilkoma mniejszymi. W miejscu solidnego muru stało teraz otworem kilkoro drzwi. Żaden z żołnierzy nie dotarł tutaj na czas, by powstrzymać uciekających.*

*– Czy ktoś uciekł tędy? – spytał Arutha.*

*– Nie wiem – odpowiedział Jimmy. – Chyba jeden, przez któreś z tych drzwi.*

*– Mamy ruszyć w pościg? – Żołnierz podbiegł do Gardana. Arutha zawrócił do budynku, gdy w sąsiednich domach rozległy się zaniepokojone głosy. Tumult i odgłosy walki obudziły mieszkańców Rybnego Miasta.*

*– Nie ma sensu – rzucił krótko Książę. – Zbyt dużo tu różnych przejść i drzwi prowadzących na sąsiednie ulice. Tym razem zawaliliśmy sprawę. Gardan pokręcił głową.*

*– Jeśli ktoś tu przebywał, mógł nawiać natychmiast, gdy tylko usłyszał nasz atak.*

*Wąską alejką zbliżało się kilku gwardzistów. Wielu z nich miało pokrwawione mundury. Ich dowódca podbiegł do Aruthy.*

*– Książę, dwóch uciekło chyba w tamtą boczną uliczkę. Arutha przepchnął się między nimi bez słowa i wrócił do domu. W głównej sali Valdis nadzorował żołnierzy trudzących się nad koszmarnym zadaniem, które miało zapobiec ożywieniu zabitych Jastrzębi. Z zaciśniętymi zębami rozcinali klatki piersiowe, wrywali serca i natychmiast ciskali je w ogień. W drzwiach ukazał się zdyszany marynarz.*

*– Wasza Wysokość, kapitan prosi, aby Książę natychmiast przyszedł do*

*niego.*

*Arutha w towarzystwie Jimmiego i Gardana wychodził z sali, gdy z przeciwnej strony ukazali się Laurie i Roald z dobytą jeszcze bronią. Księżę obrzucił zbryzganego krwią szwagra złym spojrzeniem.*

*– A ty co tu robisz?*

*– Wpadłem, żeby mieć na wszystko oko. – Roald spojrział niepewnie na Księcia. – On nigdy nie potrafił dobrze kłamać. Gdy zaproponował, abysmy pouprawiali hazard, od razu wiedziałem, że coś się święci.*

*Zniecierpliwiony Arutha machnął ręką, nie chcąc słuchać dalszych wyjaśnień. Ruszył biegiem za marynarzem, by po chwili zniknąć w kłapie prowadzącej do kanałów. Reszta poszła za jego przykładem. Brnęli tunelem, przy którego końcu czekał Hull ze swoimi ludźmi w łodziach. Zaprosił Księcia na pokład. Arutha wsiadł razem z Gardanem. Jimmy, Roald i Laurie znaleźli miejsce w drugiej łodzi.*

*Wiosła zaskrzypiały w dulkach i wkrótce wyłynęli na otwartą przestrzeń, w miejscu, gdzie zbiegało się sześć kanałów. Przy brzegu kołysała się łódź przywiązana do żelaznego pierścienia. Z kłapy w sklepieniu zwieszała się drabinka sznurowa.*

*– Udało nam się zatrzymać trzy łodzie, ale jedna zdołała się przebić bokiem.*

*Zanim ich dogoniliśmy, zdążyli uciec na górę.*

*– Ilu?*

*– Jakieś pół tuzina – poinformował Hull. Arutha znowu zaklął pod nosem.*

*– Zgubiliśmy dwóch czy trzech w bocznej uliczce. A teraz jeszcze ci... Nie można wykluczyć, że w mieście grasuje teraz kilkunastu Jastrzębi.*

*Zamilkł, namyślając się nad czymś. Po chwili zwrócił spojrzenie ku*

*Gardanowi. Oczy zwężyły mu się w wąskie szparki.*

*– Od tej chwili obowiązuje w Krondorze stan wyjątkowy – wycedził przez zęby. – Zamknij szczelnie miasto, Gardan. Natychmiast.*

*Już drugi raz w ciągu czterech lat Krondor musiał dźwigać uciążliwości stanu wyjątkowego. Po raz pierwszy miasto zostało szczelnie zamknięte, gdy Anita uciekła z aresztu domowego w pałacu ojca i poszukiwał jej Radburn, kapitan tajnej policji Guya du Bas-Tyra. Teraz jej mąż przeczesywał ulice w poszukiwaniu potencjalnych zamachowców. Oczywiście przyczyny tego stanu rzeczy były zupełnie odmienne, ale jego skutki dla społeczeństwa niczym się nie różniły. Dodatkowym wstrząsem, trudną do przelknięcia pigułką, był fakt zarządzenia stanu wyjątkowego tuż po przedłużonym, dwudniowym świętowaniu.*

*Nie minęło kilka godzin od zamknięcia miasta, a już bramy pałacu szturmowały ze skargami nieprzeliczone rzesze kupców. Pierwsi pojawili się oczywiście agenci okrętowi, których działalność została skutecznie zablokowana. Statki stojące w porcie otrzymały kategoryczny zakaz wychodzenia w morze, a czekających na redzie nie wpuszczono do portu. Dowództwo eskadry mającej czuwać nad przestrzeganiem blokady powierzono Trevorowi Hallowi. Jako były przemytnik znał na pamięć wszystkie sposoby jej przełamania. Już dwa statki usiłowały wyjść niepostrzeżenie w morze. Oba przechwycono. Ludzie Księcia weszli na pokład, aresztowali kapitanów, a załogi pozbawili prawa zejścia na ląd. W obu przypadkach szybko ustalono, iż motywem działania była chęć zysku, a nie ucieczka spod czujnego oka Aruthy. Ponieważ nikt nie wiedział, kto jest poszukiwany, wszystkich aresztowanych zatrzymano w więzieniu miejskim, lochach pałacowych lub więziennych barakach koszar.*



*W ślad za agentami okrętowymi pojawili się wkrótce przedsiębiorcy przewozowi, a potem młynarze, którzy nie mogli pracować, ponieważ rolników zatrzymano przed bramami miasta. Potem cała reszta. Każdy ze skarżących się operował bardzo rozsądnymi i umotywowanymi argumentami przemawiającymi za tym, że jego przypadek jest całkowicie wyjątkowy i powinien być rozpatrywany osobno – oczywiście pozytywnie. Wszyscy zostali odprawieni z kwitkiem.*

*Prawo Królestwa zasadzało się na idei Wielkiej Wolności, prawie powszechnym. Wszyscy ludzie, powodowani wolnym wyborem, decydowali się na służbę swojemu panu. Wyjątek stanowili kryminaliści skazani za swe zbrodnie na niewolnictwo lub odpracowujący warunki umowy długoterminowej. Szlachta, w zamian za ochronę powierzonych sobie ludzi, cieszyła się różnymi przywilejami wynikającymi z urodzenia i stanowiska. Zależności lenne rozpoczynały się na samym dole drabiny społecznej. Od prostych kmieci płacących swym baronom czy innym szlachetnie urodzonym za użytkowanie ziemi. Ci z kolei wnosili opłaty podatkowe swoim księżętom pomniejszej rangi. Oni zaś służyli księżętom wielkich rodów, a ci ostatni odpowiadali bezpośrednio przed koroną. Gdy jednak naruszano prawa wolnych ludzi, natychmiast podnosili oni głośne okrzyki protestu i niezadowolenia. W obrębie Królestwa i poza jego granicami czyhało stanowczo za wielu wrogów, by łamiący prawa możnowładca, mógł się utrzymać przy władzy zbyt długo. Piraci z Wysp Zachodzącego Słońca, korsarze z Queg, bandy goblinów oraz Bractwo Mrocznego Szlaku – ciemne Elfy – stwarzali konieczność utrzymania przynajmniej minimum wewnętrznej stabilności. Tylko raz w dziejach państwa zdarzyło się, że ludność wytrzymała prześladowania bez otwartego protestu: miało to miejsce pod rządami opętanego króla Rodrica, poprzednika Lyama. Na cóż*

*protesty, skoro ostateczną ucieczką skrzywdzonych i rozżalonych obywateli była sama korona. Za panowania Rodrica obrazę majestatu ponownie uznano za najwyższą zbrodnię i lud nie mógł otwarcie wyrażać niezadowolenia. Lyam wykreślił to przekroczenie z kodeksu królestwa: dopóki nie zaistniała zdrada, ludzie mogli swobodnie wyrażać wszystko, co leżało im na sercu. I obywatele Krondoru korzystali skwapliwie z przysługujących im praw, manifestując swoje niezadowolenie niezwykle donośnie.*

*Dawny spokój i harmonijne życie miasta przeszły do historii. W Krondorze wrzało. Przez pierwsze dni po wprowadzeniu stanu wyjątkowego słychać było na razie narzekania, gdy jednak rozpoczął się drugi tydzień całkowitej izolacji miasta, niedostatek stał się powszechny. Popyt przerósł podaż towarów. Ceny strzeliły w górę jak raca. Gdy wyschły kurki w pierwszej piwiarni na obrzeżach portu, wybuchły prawdziwe zamieszki uliczne. Arutha wprowadził godzinę policyjną. Na ulicach pojawiły się wspólne patrole straży miejskiej i uzbrojonych żołnierzy z Królewskiej Gwardii Pałacowej. Agenci Kanclerza i Sprawiedliwego podsluchiwali kogo się tylko dało w poszukiwaniu najdrobniejszych wskazówek co do miejsca ukrycia zabójców.*

*A wolni ludzie protestowali coraz głośniej i natarczywiej.*

*Jimmy śpieszył długim korytarzem w stronę prywatnych komnat Księcia.*

*Został wysłany z wiadomością do komendanta straży miejskiej i wracał teraz z nim u swego boku. Aruthę opętała żądza odnalezienia ukrywających się Jastrzębi. Inne sprawy poszły w ką. Codzienne obowiązki wykonywano coraz wolniej i wolniej, by w końcu w ogóle zawiesić je na kołku. Arutha szukał Nocnych Jastrzębi.*

*Jimmy zapukał do drzwi komnaty Księcia. Zaproszono ich do środka. Jimmy*

*zajął miejsce koło Lauriego i księżnej Carline. Komendant wyprężył się na baczność przed Księciem. Fotel Aruthy otaczali wianuszkami Gardan, kapitan Valdis i księżę Volney. Arutha podniósł wzrok.*

*– Komendant Bayne? Przesłałem wam rozkazy. Nie żądałem przybycia.*

*Komendant, mocno posiwiał weteran służący w wojsku od ponad trzydziestu lat, wyprężył się jak struna.*

*– Zapoznałem się z twoimi rozkazami. Wasza Wysokość. Przyszedłem tu razem z młodym szlachcicem, by je potwierdzić.*

*– Są takie, jak je zapisano. Coś jeszcze?*

*Komendant Bayne gwałtownie poczerwieniał na twarzy. Zaczął cedzić słowa przez zaciśnięte zęby. Ledwo panował nad narastającym gniewem.*

*– Tak, Wasza Wysokość. Czy Waszej Wysokości zupełnie odbiło?*

*Zgromadzeni w sali podnieśli gwałtownie głowy. Wbili w żołnierza zdumione spojrzenia. Zanim Gardan czy Volney zdążyli go powstrzymać, mówił dalej.*

*– Wykonanie rozkazu oznacza wsadzenie za kraty ponad tysiąc ludzi. Niech Wasza Wysokość dowie się więc, że po pierwsze...*

*– Komendancie! – wrzasnął Volney, który zdołał w końcu ochłonąć po doznanym szoku.*

*Stary wiarus nie zwracał na potężnie zbudowanego Księcia najmniejszej uwagi i dalej brnął w bolesną skargę.*

*– ...że po pierwsze, aresztowanie „każdego, kto nie jest powszechnie znany lub znany co najmniej trzem mieszkańcom miasta, cieszącym się dobrą reputacją”, oznacza wsadzenie do pudła każdego marynarza odwiedzającego Kronodor po raz pierwszy, wędrowców, trubadurów, wagabundów, pijaczków, żebraków, dziwek,*

szulerów czy po prostu przejezdnych. Oznacza wsadzenie za kraty bez przysługującego im prawa przesłuchania w magistracie, co się w jaskrawy sposób klóci z prawem powszechnym. Po drugie, nie mam tylu ludzi, aby wykonać rozkaz. Po trzecie, nie mam tylu cel, aby wszystkich zatrzymanych poupychać w nich i przesłuchać. Nie starczy ich nawet dla tych, których przyjdzie zatrzymać dłużej ze względu na niejasne odpowiedzi czy podejrzane zachowanie. Do diabła! Nawet ci, którzy już siedzą, ledwo się mieszczą. A poza tym, cała sprawa śmierdzi jak stąd do Crydee! Człowieku, postradałeś zmysły, czy co? Nie miną dwa tygodnie, a w mieście rozpęta się piekło, otwarta rebelia. Nawet ten sukinsyn Radburn nigdy nie odważył się na coś takiego.

– Komendancie, milczeć! Rozkazuję wam milczeć! – ryknął Gardan.

– Zapominasz się! – krzyknął Volney.

– To Jego Wysokość się zapomina, panowie. A ja będę głośno mówił, co mi leży na wątrobie, chyba że obraza majestatu powróci znowu na listę przestępstw w Królestwie!, – Czy to wszystko? – Arutha wpatrywał się w komendanta kamiennym wzrokiem.

– Nawet nie połowa – wypalił stary żołnierz. – Czy Wasza Wysokość anuluje rozkaz?

– Nie – odpowiedział Arutha beznamiętnym głosem. Komendant sięgnął gwałtownym ruchem do swych dystynkcji i jednym szarpnięciem oderwał od kaftana.

– Zatem, Arutho conDoin, musisz sobie znaleźć kogoś innego, by ukarać miasto. Ja tego nie uczynię.

– Doskonale. – Arutha odebrał dystynkcje i podał je kapitanowi Valdisowi. –

*Znajdź starszego rangą strażnika i awansuj go natychmiast.*

*Były komendant spojrzał dumnie na Księcia.*

*– Nikt nie wykona takiego rozkazu. Wszyscy ludzie ze straży, co do jednego, stoją za mną murem. – Wsparł się rękami o blat stołu dzielący go od Księcia. Ich oczy znalazły się na jednym poziomie. – Lepiej wyślij na ulice swoje wojska. Żaden z moich chłopaków nie przyłoży do tego ręki. Możesz być tego pewien. Księżę. Gdy to wszystko wreszcie się skończy i wyciszy, to oni właśnie, nie kto inny, będą patrolowali ulice po nocach. Będą chodzili dwójkami czy trójkami, starając się przywrócić zdrowy rozsądek rozszalalej i nienawidzącej wszystkiego, co pochodzi od władzy, ulicy. Ty to rozpętałeś. Księżę, więc sam sobie musisz poradzić...*

*– Dosyć – przerwał krótko Arutha. – Odmaszerować. – Odwrócił się do Valdisa. – Wyprowadź oddziały z koszar i przejmij dowództwo nad posterunkami straży. Każdy, kto zechce pozostać na służbie, jest mile widziany. Ci, którzy odmówią, mają natychmiast zdać swoje kaftany.*

*Stary komendant przygryzł wargi, odwrócił się na pięcie i sztywno wymaszerował z pokoju. Jimmy pokręcił głową. Rzucił zaniepokojone spojrzenie ku Lauriemu. On równie dobrze jak były złodziejaszek zdawał sobie sprawę, że czarne chmury gromadzą się nad ulicami Krondoru.*

*Przez następny tydzień Krondor zdławiony stanem wyjątkowym trwał w letargu. Arutha ignorował całkowicie wszelkie prośby i groźby, by znieść ograniczenia. Pod koniec trzeciego tygodnia każdy, kogo tożsamości nie dało się wyraźnie określić, znalazł się za kratami. Jimmy skontaktował się z agentami Sprawiedliwego. Zapewnił Aruthę, że Prześmiewcy również dokonują generalnych porządków na swoim podwórku. Do tej pory na falach zatoki kołysało się leniwie*

*sześć ciał.*

*Arutha i jego doradcy byli wreszcie gotowi rozpocząć przesłuchania zatrzymanych. Znaczna część magazynów na północy miasta, w pobliżu Bramy Kupieckiej, została zamieniona na tymczasowe więzienie. Arutha, w asyście kompanii gwardzistów o zaciętych twarzach, przyglądał się pierwszej piątce więźniów.*

*Jimmy stał nieco z boku.*

*' – Jeżeli badania będą prowadzone w takim tempie, to najbliższy rok mamy z głowy. Nic tylko przesłuchania... – usłyszał szept jednego z gwardzistów.*

*Chłopak przyglądał się przez kilka chwil, jak Arutha przy pomocy Gardana, Volneya i kapitana Valdisa bada więźniów. Oczywiście było, że większość z nich to prości ludzie, którzy przez przypadek znaleźli się w sytuacji, której w ogóle nie rozumieli. Mogli też być aż tak wybornymi aktorami. Wszyscy byli brudni, wychudzeni, na pół przerażeni a zarazem wyzywający i zadziorni.*

*Jimmy miał dosyć i opuścił towarzystwo. Na obrzeżach tłumu gapiów natknął się na Lauriego, siedzącego na ławce przed piwiarnią. Chłopak dołączył do księcia Saladoru.*

*– Zostało im tylko trochę domowego sikacza, Jimmy. Drogie jak cholera, ale przynajmniej zimne. – Laurie nie odrywał wzroku od Aruthy prowadzącego przesłuchanie w palących promieniach słońca.*

*– Wszystko to do bani. Nic z tego nie będzie... – Jimmy otarł czoło wierzchem dłoni.*

*– Ale przynajmniej Arutha spuści trochę pary.*

*– Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie, Laurie. Nawet w czasie*

wyprawy do Moraelin. Jest...

– Wściekły, przerażony i czuje się bezradny. – Laurie pokręcił głową. – Wiele się nauczyłem od Carline o moich zacnych szwagrach. Musisz wiedzieć jedno, choć sam już pewnie do tego doszedłeś, Arutha nie potrafi znieść sytuacji, w której jest bezradny. Zabrnął w ślepią uliczkę, a teraz własny upór i temperament nie pozwalają mu przyznać się, że stanął przed kamiennym murem, którego nie może ani obejść, ani przeskoczyć. Poza tym, jeśli teraz zniósłby blokadę miasta. Jastrzębie natychmiast wyfrunęłyby z klatki albo zleciałyby się następne.

– No i co z tego? I tak są w Krondorze. Bez względu na to, co Arutha sądzi, nie ma absolutnie żadnej gwarancji, że znaleźli się pod kluczem. A może, jak Prześmiewcy w zeszłym roku, przeniknęli w szeregi służby pałacowej? Kto to może wiedzieć? – Jimmy westchnął ciężko. – Gdyby pojawił się Martin albo Król, moglibyśmy doprowadzić sprawę do sensownego końca.

Laurie pociągnął łyk piwa, krzywiąc się niemilosiernie.

– Może? Wymieniłeś imiona dwóch ludzi, których Arutha byłby ewentualnie skłonny posłuchać. Ja i Carline próbowaliśmy przemówić mu do rozsądku.

Wysłuchuje wszystkiego cierpliwie, a potem po prostu mówi nie. Jest nieugięty.

Nawet Gardan i Volney nie potrafią zmienić jego stanowiska.

Jimmy przyglądał się przesłuchaniu jeszcze przez jakiś czas. Przed majestat

Księcia doprowadzono trzy kolejne grupy więźniów.

– Są też i dobre strony – mruknął – czterech zwolniono do domu.

– Jeśli jednak wpadną w łapy kolejnego patrolu, znowu wylądują w pudle.

Minie wiele dni, zanim komuś zechce się pofatygować i sprawdzić, czy rzeczywiście zostali już raz wypuszczeni przez Księcia. Pozostała szesnastka wróciła za kraty.

*Miejmy tylko nadzieję, że Arutha zda sobie wreszcie sprawę, że obrona przez niego droga prowadzi donikąd. Święto Banapis za niecałe dwa tygodnie. Jeśli do tego czasu nie zniesie blokady, w mieście rozpęta się istne piekło. – Laurie był zdesperowany. Przygryzł wargi. – Gdyby tak można było w jakiś magiczny sposób rozpoznać, kto jest Jastrzębiem, a kto nie...*

*– Co? – Jimmy poderwał się z miejsca.*

*– Co „co”?*

*– To, co powiedziałaś przed chwilą. Dlaczego by nie?*

*Laurie odwrócił powoli głowę i spojrzał na przyjaciela.*

*– Co ci chodzi po głowie?*

*– Chodzi mi po głowie, że już najwyższy czas na krótką pogawędkę z ojcem*

*Nathanem. Idziesz?*

*Laurie bez żalu odstawił kufel gorzkiego piwa i zerwał się z ławy.*

*– Mój koń jest przywiązany tam.*

*– Jeździliśmy już kiedyś we dwóch, pamiętasz? Niech Wasza Wysokość raczy ruszyć tyłek.*

*Po raz pierwszy od wielu dni Laurie parsknął wesołym śmiechem.*

*Nathan słuchał uważnie z głową lekko przechyloną w jedną stronę. Jimmy kończył właśnie wyluszczać swój pomysł. Przez moment kapłan Białej Sung turlał podbródek w zamyśleniu. W tej chwili bardziej przypominał zapaśnika, którym kiedyś był, niż kapłana.*

*– Choć istnieją magiczne sposoby, aby zmusić kogoś do ...' wyjawienia prawdy, to są one bardzo czasochłonne i nie zawsze można polegać na ich wynikach. Wątpię, by udało się opracować i zastosować metody bardziej skuteczne*



*niż te, którymi się posługiwano do tej pory. – Ton jego głosu wyraźnie wskazywał, że nie ma najlepszego zdania o obecnej procedurze.*

*– A co w innych świątyniach? – dopytywał się Jimmy.*

*– Hm... w niektórych istnieją niewielkie różnice, niuanse zaledwie w konstruowaniu zaklęć, co nie zmniejsza trudności. Jimmy zwiesił głowę. Jego pomysł brał w łeb.*

*– Miałem nadzieję, że uda się jakoś wyłuskać zabójców z tłumu zatrzymanych, ale to chyba niemożliwe.*

*Nathan stanął za stołem w sali narad Aruthy, z której korzystali, gdy Księżę nadal przesłuchiwał więźniów.*

*– Odpowiedź na wszystkie pytania można uzyskać dopiero, gdy człowiek umiera i przechodzi do królestwa Lims-Kragmy.*

*Jimmy zachmurzył się jeszcze bardziej. Nagle palnął się dłonią w czoło. Na twarzy pojawił się radosny uśmiech.*

*– No właśnie! To może być sposób.*

*– Jaki sposób? Przecież nie możecie wszystkich pozabijać! – krzyknął Laurie.*

*– Jasne, że nie. – Machnął zniecierpliwiony ręką, oddalając absurdalność sugestii przyjaciela. – Słuchaj, czy mógłbyś tu sprowadzić kapłana Lims-Kragmy Juliana, czy jak mu tam?*

*– Mówisz, jak mniemam, o Wysokim Kapłanie ze Świątyni Lims-Kragmy*

*Julianie? – zapytał urażonym tonem Nathan. – Czyżbyś zapomniał, młody*

*człowieku, że objął on najwyższe stanowisko w swej świątyni, gdy jego*

*poprzedniczka postradała zmysły w czasie starcia z mocami ciemności? – Twarz*

*Nathana zdradzała tłumione z trudem emocje. Kapłan Sung kosztem wielkich*

*cierpień sam pokonał niezmarłego sługę Murmandamusa. Od tamtej pory często nawiedzały go we śnie koszmary.*

*– Och... – wykrztusił Jimmy.*

*– Jeśli poproszę, być może zgodzi się udzielić nam audiencji. Wątpię jednak, czy przybiegnie na pierwsze zawołanie tylko dlatego, że ja się z tym do niego zwrócę. Jestem, co prawda, duchowym doradcą Księcia, lecz w kategoriach rangi świątynnej tylko zwykłym kapłanem o skromnym znaczeniu i pozycji.*

*– No to sprawdźmy, czy zechce nas przyjąć. Coś mi mówi, że jeśli pomoże, wkrótce to całe szaleństwo w Krondorze dobiegnie końca. Zanim wyjawię plan Księciu, muszę jednak zapewnić sobie współpracę świątyni Lims-Kragmy. W przeciwnym wypadku może mnie nie wysłuchać.*

*– Prześlę wiadomość. Angażowanie się świątyni w sprawy miasta nie zdarza się co dzień, lecz od pojawienia się Murmandamusa nasze wzajemne kontakty oraz kontakty z wysokimi urzędnikami księstwa bardzo się ożywiły. Miejmy nadzieję, że Julian będzie w dobrym nastroju i zechce pomóc. Domyślam się, że masz już opracowany konkretny plan?*

*– Na pewno – odpowiedział Laurie. – Jimmy, gadaj, co kryjesz w tych swoich szerokich rękawach?*

*Jimmy przekrzywił głowę i uśmiechnął się łobuzersko.*

*– Zobaczysz, spodoba ci się teatralna strona mego planu. Odstawimy parę numerów, które tak powinny przerazić Jastrzębie, że sami zaczną gadać.*

*Księżę Saladoru rozparł się wygodnie w krześle, rozmyślając nad słowami przyjaciela. Po kilku minutach jego jasne wąsy i broda rozdzieliły się ukazując w szerokim uśmiechu błyszczące zęby. Nathan spoglądał to na jednego to na drugiego i*

wkrótce w jego umyśle zaświtało rozwiązanie podsunęte przez Jimmiego.

Rozpromienił się i zachichotał radośnie. Po chwili zorientował się, że chyba odrobinę się zapomniał, on, kapłan Bogini Jedynej Drogi. Wziął się w garść i spoważniał. Nie na długo, po paru sekundach znowu jego ciałem wstrząsały wybuchy niepohamowanej wesołości.

Spośród wszystkich znaczniejszych świątyń Kronodoru, ta poświęcona Bogini Śmierci, Lims-Kragmie, należała do najrzadziej odwiedzanych. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że przecież wcześniej czy później bogini i tak wszystkich przygarnie do siebie. Składanie ofiar i zmawianie modlitw za zmarłych w ostatnim czasie nie należało do rzadkości, ale stałych i gorliwych jej wyznawców można było policzyć na palcach obu rąk. W zamierzchłych wiekach praktykowali oni krwawe rytuały, nie wyłączając ofiar składanych z ludzi. Z czasem praktyki te zlagodniały i wierni Lims-Kragmy zostali wchłonięci przez społeczeństwo. A jednak stare przyzwyczajenia i obawy z trudem zamierają. Nawet w obecnych czasach fanatycy działający pod jej sztandarami dokonali zbyt wielu krwawych dzieł, by świątynie jej poświęcone nie były wolne od ponurego piętna grozy dostrzeganego przez zwykłych ludzi. Teraz właśnie grupka takich zwykłych, prostych ludzi, pośród których mogło się ukrywać kilku bardzo niezwykłych, prowadzona była pod strażą do świątyni Bogini Śmierci.

Milczący Arutha stał z rękami założonymi na piersi u wejścia do wewnętrznego sanktuarium Lims-Kragmy. Wokół ścian świątyni zewnętrznej stali uzbrojeni po zęby gwardziści Księcia. Sanktuarium pozostawało pod ochroną strażników świątynnych noszących srebrzystoczarne stroje zakonne. Siedmiu kapłanów i siedem kapłanek czekało w pełnej gali na wielką ceremonię pod

przewodnictwem samego Wysokiego Kapłana – Juliana. Początkowo był nieprzychylnie nastawiony do wzięcia udziału w zaplanowanej przez Jimmiego maskaradzie. Przez wzgląd na los swej poprzedniczki, którą konfrontacja z wysłannikiem Murmandamusa zepchnęła w otchłań obłędu, był gotów poprzeć każdą próbę zdławienia zła w czystej postaci. Po długich oporach wewnętrznych, aczkolwiek niechętnie, w końcu się zgodził.

Zbitych w gromadę więźniów popchnięto ku mrocznemu wejściu. Większość z nich, przerażona perspektywą przekroczenia progów świątyni śmierci, zapierała się i nie chciała tego zrobić, więc gwardziści musieli zachęcać ich włóczniami. W pierwszej grupie znaleźli się najbardziej podejrzani o przynależność do bractwa zabójców. Arutha niechętnie zgodził się wziąć osobiście udział w przedstawieniu. Z obawy przed zdemaskowaniem planu Jimmiego i przeciekiem informacji do następnych więźniów zarządził, by podejrzani o przynależność do Nocnych Jastrzębi zostali sprawdzeni w pierwszej kolejności. Mocno przerażona grupka z niemałym trudem została ustawiona wokół ołtarza Bogini Śmierci. Julian wystąpił do przodu. Rozległ się jego donośny głos.

– Niech sąd się rozpocznie.

Natychmiast rozbrzmiał monotony i ponury chóralny śpiew, tchnący lodowatą nutą śmierci.

Wysoki Kapłan zwrócił się do około pięćdziesięciu więźniów, otoczonych ciasnym kręgiem straży świątynnej.

– Na ołtarzu, na kamieniu śmierci nikt nie może głosić fałszu. Przed obliczem Tej Która Czeki, Tej Która Ściąga Sieci, Tej Która Miłuje Życie każdy człowiek musi bowiem poprzeć przysięgą każde swoje słowo, każdy swój czyn. Niech będzie wam

wiadome, mieszkańcy Kronodoru, iż pośród was znajdują się tacy, którzy odrzucili naszą Panią, tacy którzy zaliczają się do szeregów ciemności i którzy służą ciałem i duszą mocom zła. Nie doświadczą łaski spokojnej śmierci, nie im będzie dany wieczny odpoczynek w ramionach Lims-Kragmy. Ludzie ci, zaprzędani bez reszty woli swego potwornego pana i władcy, zdradzili wszystkich. Nadszedł czas, by oddzielić ich raz na zawsze od reszty naszej społeczności. Każdy, kto leżąc na kamieniu Bogini Śmierci wypowie kłamstwo, zostanie poddany srogiej próbie. Ci, z których ust wypłyną słowa prawdy, nie muszą się niczego obawiać. Ci, którzy zawarli pakt z mocami ciemności, zostaną ujawnieni i staną twarzą w twarz z gniewem Tej Która Czeka.

Czarny, kamienny posąg za ołtarzem – wyobrażenie pięknej, lecz groźnie wyglądającej kobiety – zaczął nagle pulsować dziwnym błękitnozielonkawym światłem. Jimmy i Laurie byli pod wrażeniem. Nieoczekiwany efekt tajemniczej poświęty przydał scenerii dodatkowego dramatyzmu.

Julian dał znak, by przyprowadzono pierwszego więźnia. Ponieważ ten opierał się i wyrywał jak szalony, strażnicy musieli zawlec go siłą do ołtarza. Trzech osiłków dźwignęło go i złożyło na ołtarzu, na którym składano przed wiekami ofiary z ludzi. Julian wyciągnął z rękawa czarny sztylet. Przyłożył ostrze do piersi więźnia.

– Czy służysz Murmandamusowi? – zapytał po prostu. Człowiek leżący na ołtarzu był tak przerażony, iż z trudem wychrypiał przez zaciśnięte gardło przeczącą odpowiedź. Julian odsunął sztylet.

– Człowiek ten jest wolny od winy – obwieścił uroczystym głosem. Jimmy i Laurie wymienili ukradkowe spojrzenia, ponieważ pierwszy więzień był jednym z marynarzy służących pod rozkazami Trevora Hulla. Wybrano go ze względu na

wyjatkowo dziki i groźny wygląd. Był oczywiście poza wszelkim podejrzeniem, a gdyby sądzić go po przedstawieniu, które przed chwilą odstawił, miał również niezły talent aktorski. Podstawiono go na początek, by przydać wiarygodności sprawdzianowi. Podobnie było z następnym. Ciągnięty ku ołtarzowi lkał rozdzierająco, wrzeszczał, by zostawiono go w spokoju, i błagał o litość.

Jimmy przysłonił usta ręką.

– Żeby tylko nie przedobrzył – szepnął.

– To i tak nie ma znaczenia. W całej sali aż cuchnie od przerażenia.

Jimmy przyglądał się uważnie więźniom wpatrzonym trwożliwie w ołtarz i zafascynowanym procedurą przesłuchania. Ogłoszono, że drugi z badanych również nie przynależał do zabójców. Wartownicy chwycili pierwszego, który miał być poddany prawdziwemu badaniu. Patrzył przed siebie udręczonym, zniewolonym wzrokiem, jak ptak poddający się bezwiednie woli węża. Szybko zaprowadzono go na ołtarz, a po nim, bez większych problemów, czterech następnych. Arutha podszedł do Jimmiego i Lauriego. Odwrócił się plecami do ołtarza, zasłaniając ich przed spojrzeniami więźniów.

– Nic z tego nie będzie – szepnął.

– Może jeszcze nie przyszła kolej na prawdziwego Jastrzębia – odpowiedział półgłosem Jimmy. – Trzeba spokojnie poczekać. Nawet jeżeli wszyscy przejdą pomyślnie przez próbę i tak mamy ich pod kluczem...

W tym momencie jeden z zatrzymanych, stojący w pierwszym szeregu, rozepchnął dwóch strażników świątynnych i pognął ku drzwiom. Gwardziści Aruthy natychmiast zablokowali wyjście. Uciekinier rzucił się na nich całym ciałem, spychając ich do tyłu. W drzwiach zakotłowało się. Więzień sięgnął po sztylet

*jednego z żołnierzy, usiłując wyszarpnąć go z za pasa. Gwałtowny cios w rękę i wytrącona broń poleciała po gładkiej posadzce. Inny żołnierz zdzielił więźnia w twarz drzewcem włóczni. Uciekinier padł bezwładnie na podłogę.*

*Uwagę Jimmiego, jak i wszystkich pozostałych, pochłonęła bez reszty potyczka przy wejściu. Potem wypadki potoczyły się w zwolnionym tempie. Jak w dziwnym śnie, Jimmy ujrzał, że inny więzień schyla się spokojnie, powolutku i podnosi sztylet. Z całkowitym opanowaniem mężczyzna wyprostował się i odwrócił. Przełożył sztylet, chwytając go za ostrze palcem wskazującym i kciukiem. Odchylił ramię w tył i w chwili, gdy usta Jimmiego otwierały się, by krzyknąć ostrzegawczo, cisnął z całej siły.*

*Jimmy skoczył do przodu jak tygrys, by odepchnąć Aruthę w bok. Spóźnił się o ułamek sekundy. Sztylet ugodził w cel.*

*– Świętokradstwo! – krzyknął donośnie kapłan. Oczy wszystkich zwróciły się ku Księciu. Zachwiał się. Z niesamowitym zdziwieniem i niedowierzaniem spojrział w dół. Z piersi sterczała rękojeść sztyletu. Laurie i Jimmy chwycili go pod ramiona, nie pozwalając upaść. Arutha spojrział na Jimmiego. Jego usta poruszały się bezgłośnie. Chęć wypowiedzenia choćby jednego słowa okazała się najtrudniejszym zadaniem na świecie. Oczy uciekły w tył głowy i Księżę opadł bezwładnie, zwieszając się całym ciężarem w ramionach przyjaciół.*

*Jimmy pogrążył się w milczeniu. Roald spacerował nerwowo. Carline, zagubiona we własnych myślach, siedziała naprzeciwko chłopaka. Czekali przed progiem sypialni Aruthy, gdzie ojciec Nathan i królewski medyk zwijali się jak w ukropie, starając się ratować życie Księcia. Nathan nie zwracał najmniejszej uwagi na urodzenie czy tytuły. Bezceremonialnie wyprosił wszystkich z pokoju. Odmówił*

nawet Carline, która chciała chociaż przez chwilę popatrzeć na brata. Z początku Jimmy sądził, że rana jest poważna, ale nie śmiertelna. Widział już gorsze, z których ludzie wylizywali się bez szwanku. Gdy jednak czas mijał, a z pokoju nie nadchodziły żadne wieści, zaczął się naprawdę niepokoić. Według jego rozeznania Arutha powinien już wypoczywać spokojnie po zabiegach, a tu panowała martwa cisza. Obawiał się, że oznaczało to poważne komplikacje.

Przymknął oczy i przetarł je pięściami. Westchnął ciężko. I tym razem zareagował, zadziałał, lecz zbyt późno, by zapobiec nieszczęściu. Na próżno walczył z zalewającym go poczuciem strasznej winy. Drgnął. Tuż obok usłyszał głos.

– Jimmy, nie obwiniaj się.

Otworzył oczy. Carline siedziała obok niego. Uśmiechnął się słabo.

– Czytasz w myślach. Księżno?

Pokręciła głową, z trudem walcząc z napływającymi do oczu łzami.

– Nie. Pamiętam tylko, jak bardzo cierpiałeś, gdy Anita została ranna.

Jimmy mógł jedynie skinąć głową. Pojawił się Laurie. Podeszedł do drzwi sypialni i mówił coś cicho do wartownika. Ten szybko zniknął za drzwiami, by po chwili powrócić z cichą odpowiedzią. Laurie zbliżył się do żony i pocałował ją delikatnie w policzek.

– Wysłałem jazdę, aby natychmiast sprowadzili Anitę. Zniosłem też blokadę miasta. – Laurie, obecnie najstarszy rangą szlachcic w Krondorze, działał wspólnie z Gardanem i Volneyem, by przywrócić ład i porządek we wzburzonym mieście.

Chociaż nic nie wskazywało, by kryzys mógł się odrodzić, utrzymano jednak – aż do odwołania – pewne obostrzenia, aby zapobiec akcjom odwetowym ze strony rozwścieczonej ludności. Przez kilka następnych dni miała jeszcze obowiązywać



godzina policyjna. Podtrzymano także zakaz organizowania większych zgromadzeń.

– Carline, mam jeszcze sporo obowiązków, z którymi muszę się teraz uporać

– szepnął do jej ucha. Wstał i wyszedł z przedpokoju. Czas włókł się niemiłosiernie.

Jimmy trwał pogrążony w niewesołych myślach. W krótkim czasie, który

spędził w otoczeniu Księcia, jego świat uległ dramatycznej przemianie.

Błyskawiczne przeobrażenie z ulicznika i złodzieja w młodego szlachcica na dworze

książęcy pociągnęło za sobą całkowite przewartościowanie jego stosunku do

innych ludzi, chociaż pozostała z dawnych czasów ostrożność okazała się bardzo

przydatna, gdy przyszło stawić czoło dworskim intrygom. Księżę i jego rodzina oraz

kilku przyjaciół stali się w jego życiu jedynymi ludźmi, którzy cokolwiek dla niego

znaczyli, na których mu zależało i o których los się martwił. Niepokój i napięcie

wzrastały wraz z upływem kolejnych godzin. Był już bliski paniki. Zabiegi medyka i

kapłana trwały stanowczo zbyt długo. Czuł przez skórę, że dzieje się coś bardzo

złego.

Nagle drzwi otworzyły się. Poproszono wartownika do środka. Pojawił się

chwilę później i pobiegł korytarzem. Po niecałej minucie zjawili się w krótkich

odstępach Laurie, Gardan, Valdis i Volney. Nie odrywając oczu od zamkniętych

drzwi, Carline chwyciła z całej siły dłoń Jimmiego. Chłopak odwrócił się ku niej.

Zaskoczony spostrzegł, że oczy dziewczyny zaszkliły się raptownie łzami. Z

prerażającą pewnością wiedział już, co się stało.

Drzwi otworzyły się powoli. Pokazał się blady jak ściana Nathan. Spoglądał

na zebranych. Przez zaciśnięte gardło nie był w stanie wydusić słowa.

– Nie żyje – powiedział w końcu ledwo słyszalnym głosem. Jimmy nie wierzył

własnym uszom. Zerwał się z ławy, przepchnął przez grupkę osób przed drzwiami i wpadł do sypialni.

– Nieee! – krzyknął, nie rozpoznając własnego głosu. Żołnierze byli zbyt zdumieni wybuchem, by zapobiec jego wejściu do komnaty Księcia. Chłopak zatrzymał się jak wryty. Nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Na łóżku nieruchomo spoczywało tak dobrze znane ciało Aruthy. Podbiegł do pośłania i spojrzał na stężałe rysy przyjaciela. Wyciągnął powoli rękę, by dotknąć policzka. Dłoń zawisła nieruchomo o kilka centymetrów od twarzy. Nie musiał go dotykać. Nie było miejsca na złudzenia – człowiek na łóżku, pan i przyjaciel w jednej osobie, nie żył. Jimmy opuścił powoli głowę, wspierając się czołem o pośłanie, i zaczął rozdzierająco płakać.

## POCZĄTEK MISJI

Tomas przebudził się.

Coś go wołało. Usiadł na łóżku i rozejrzył się po ciemnym pomieszczeniu. Jego wzrok przewyższający sprawnością oczy zwykłych ludzi pozwalał mu dostrzec każdy szczegół wnętrza, jakby panowała w nim poświata. Apartament Królowej i Księcia małżonka wycięty w pniu gigantycznego drzewa miał mikroskopijną powierzchnię. Rozejrzył się. Wszystko było w porządku. Przez mgnienie oka przeraził się, że znowu wracają szaleńcze sny z przeszłości. Gdy resztki snu uleciały, otrząsnął się i uspokoił. Gdzie jak gdzie, ale w tym miejscu był panem swojej potęgi. Z drugiej jednak strony, dawne koszmary pojawiały się nieraz nagle i bez ostrzeżenia.

Zerknął na żonę. Aglaranna spała mocno. Zsunął się cicho z pośłania i podszedł do łóżeczka Calisa. Mały miał już prawie dwa lata i sypiał w alkwie

sąsiadującej z pokojem rodziców. Maleńki księżę Elvandar spał smacznie, a jego twarzyczka miała błogi wyraz.

I znowu nadbiegło wołanie. Tym razem Tomas nie miał już wątpliwości.

Wiedział, kto go przyzywa, ale nie przyniosło mu to bynajmniej ukojenia. Zamiast tego doznał przedziwnego uczucia, jakby namacalności losu i przeznaczenia.

Podszedł do złocistobiałej zbroi. Od zakończenia Wojny Światów tylko raz przywdział pancerz, by zniszczyć Czarnych Zabójców, którzy ośmielili się przekroczyć święte granice Elvandar. Zrozumiał, że nadszedł czas, by ponownie założyć strój bojowy.

Po cichu zdjął pancerz z haka i wyniósł na zewnątrz. Powietrze letniej nocy pachniało upojnie. Delikatna woń kwiatów mieszała się z falami zapachów chleba pieczonego na zbliżający się dzień.

Tomas ubierał się pod zielonym baldachimem przykrywającym Elvandar. Na spodnie ubranie nałożył złocistą kolczugę, a na głowę ochronny czepek pod hełm. Potem przyszła kolej na biały kaftan ozdobiony złocistym smokiem. Przepasał się i przypiął złoty miecz. W końcu założył złoty hełm i sięgnął po białą jak śnieg tarczę. Był gotów.

Przez długą chwilę stał nieporuszenie w strój u Ashen-Shugara, ostatniego Valheru, Jeźdźca Smoków. Magiczna spuścizna sięgnęła poprzez otchłań czasu i złączyła ich razem. W przedziwny sposób Tomas był jednocześnie Valheru i człowiekiem. Podstawowe elementy jego natury wykształciły się w kuchni zamku Crydee, gdzie jak każdy inny człowiek wychowywał się i dorastał pod okiem rodziców. Jednak potęga Tomasa daleko wykraczała nie tylko poza możliwości, ale i poza ludzką wyobraźnię. Teraz już nie zbroja była źródłem przerażającej mocy.

*Posłużyła ona tylko czarnoksiężnikowi Czarnemu Macrosowi jako narzędzie, pewnego rodzaju kanał oddziaływania na Tomasa. Zamiarem Macrosa było, aby chłopak odziedziczył starożytną moc Valheru. I plan się powiódł. Tomas stał się Valheru i potęga znalazła swoje miejsce w jego osobie, chociaż gdy nie miał na sobie złotobiałej zbroi, w dalszym ciągu czuł się jakby słabszy, niepełny.*

*Zamknął oczy i przywołał dawno nie używaną sztukę magii. Siłą woli wyruszył w podróż do miejsca, gdzie czekał ten, który go przyzywał.*

*Jego postać spowiała złocista poświata. Uniósł się nagle do góry i szybciej niż mogłoby śledzić oko ludzkie poszybował między drzewami Elvandaru. Przemknął ponad niczego nie podejrzewającymi strażami, by w niedługim czasie dotrzeć do ogromnej polany na północny zachód od dworu Królowej. Przybrał cielesną postać i poszukał wzrokiem sprawcy wezwania. Spomiędzy drzew wyłoniła się znajoma postać w długiej czarnej szacie. Zbliżyła się i obaj młodzi mężczyźni uścisnęli się mocno. W dzieciństwie wychowywali się razem, jak rodzeni bracia.*

*– Dziwne spotkanie po latach, Pug. Rozpoznałem twój zew jak podpis, ale po co magia? Czy nie prościej było po prostu pojawić się w moim domu?*

*– Musimy porozmawiać w cztery oczy. W spokoju i bez świadków. Nie było mnie tu dłuższy czas.*

*– Wiem. Arutha przestał mi wiadomość ubiegłego lata. Napisał, że powróciłeś do świata Tsuranich, aby odkryć powód ataków mrocznej potęgi – Murmandamusa.*

*– W ciągu ostatniego roku wiele się nauczyłem. – Wskazał Tomasowi zwalony pień. Podeszli i usiedli. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, nie może być mowy o pomyłce. Za Murmandamusem stoi kryje się coś, co Tsurani nazywają*

Nieprzyjacielem. Starożytny byt o niewyobrażalnej, przerażającej mocy. Pragnie przedostać się do naszego świata. W tym celu zręcznie manipuluje moredhelami oraz ich sprzymierzeńcami. Przyznaję otwarcie, że nie wiem jeszcze, jaki jest jego cel. Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób mobilizacja armii moredheli czy zamordowanie Aruthy przez bractwo zabójców może pomóc Nieprzyjacielowi w przeniknięciu do naszego świata. – Zamyślił się na chwilę. – Mimo długoletniej nauki jest jeszcze tyle rzeczy, których nie potrafię ogarnąć umysłem, Tomas. Już prawie kończę poszukiwania w bibliotece Zgromadzenia. Zostało tylko jedno. – Wpatrzył się w twarz przyjaciela z dzieciństwa. Zawładnęło nim bez reszty poczucie umykającego czasu i nagła świadomość, że nie można zwlekać. – To, co udało mi się odnaleźć, jest zaledwie cieniem wskazówki, drobnym śladem, który jednak zaprowadził mnie na daleką północ Kelewanu, do bajecznego miejsca ukrytego pod pokrywą polarnych lodów.

– Tomas, przez ostatni rok przebywałem w Elvardein. Przyjaciel zamrugał oczami i popatrzył na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem.

– Elvardein? Przecież to oznacza „ucieczka” albo „schronienie” Elfów, tak jak Elvandar znaczy „dom Elfów”. Kto... ?

– Moimi nauczycielami byli tam eldarowie.

– Eldarowie! – Tomas był zupełnie zbity z tropu. Potężną falą napłynęły wspomnienia z życia Ashen-Shugara. Eldarowie byli Elfami, którzy cieszyli się największym zaufaniem ich panów, Jeźdźców Smoków. Dany był im dostęp do poświęconych wszechpotężnym mocom niezliczonych tomów, które Jeźdźcy rabowali w czasie najazdów na inne światy. Oczywiście, w porównaniu ze swoimi panami, eldarowie byli słabi. Jednak w stosunku do innych śmiertelników na

*Midkemii była to rasa przepotężnych magów. Zniknęli nagle w czasie Wojen Chaosu. Uważano powszechnie, iż wyginęli u boku swych panów. – I oni żyją w świecie Tsuranich?!*

*– Kelewan nie jest w większym stopniu rodzinnym światem Tsuranich niż eldarów. Obie rasy znalazły tam schronienie, gdy trwały Wojny Chaosu. – Pug zamilkł i zamyślił się znowu. – Elvardein został założony przez eldarów jako swoisty posterunek obserwacyjny na wypadek, gdyby stało się coś takiego jak obecnie.*

*– Bardzo przypomina Elvandar, Tomas. Są jednak subtelne różnice. –*

*Zamilkł, przypominając sobie. – Gdy przybyłem, zostałem powitany z otwartymi ramionami. Eldarowie zabrali się od razu do uczenia mnie. Nie były to studia, jakie poznałem tu czy na Kelewanie. Uczyłem się w całkowicie odmienny sposób. Jeden z Elfów – Acala – był, jak sądzę, odpowiedzialny za moją naukę, ale miałem wielu nauczycieli. Wierz mi, przez cały rok spędzony pod wiecznymi lodami nie zadałem ani jednego pytania. Zamiast tego śniłem. – Opuścił głowę. – To było takie... przedziwne... obce. Tomas, ty jeden ze wszystkich ludzi na świecie możesz zrozumieć, co mam na myśli.*

*– Dobrze cię rozumiem. – Tomas położył mu rękę na ramieniu. – Ludzkie istoty nie zostały stworzone dla tego rodzaju magii. – Uśmiechnął się ciepło. – Ale nie było wyjścia, obaj musieliśmy się nauczyć, prawda?*

*– Zgadza się. – Pug odwzajemnił uśmiech. – Acala albo inny eldar inicjowali czar czy zaklęcie, a ja siedziałem i patrzyłem. Minęły całe tygodnie, zanim zorientowałem się, że prowadzili lekcje dla mnie. W końcu, pewnego dnia, włączyłem się. Opanowałem sztukę snucia czarów, splatania wielu zaklęć w jeden wątek. Dopiero wtedy rozpoczęła się właściwa nauka. – Uśmiechnął się. – Wszyscy*

*byli przygotowani. Wiedzieli, że się u nich zjawię.*

*– Ale skąd? – Tomas spojrział zdumiony na przyjaciela.*

*– Macros. Wygląda na to, iż uprzedził ich, że może się pojawić u nich*

*„odpowiedni uczeń”.*

*– Ależ to wskazuje na jakiś bezpośredni związek między wojną a dziwnymi*

*wydarzeniami zeszłego roku.*

*– Nie mylisz się. – Pug znowu zamilkł. – Nauczyłem się trzech rzeczy. Po*

*pierwsze: nasze pojmowanie, nasza koncepcja wielości dróg magii jest z gruntu*

*falszywa. Wszystko jest magią, Tomas. Wybór konkretnej drogi determinowany jest*

*wyłącznie przez takie czy inne ograniczenia uprawiającego magię. Po drugie: mimo*

*wielu lat nauki dopiero teraz zaledwie zaczynam pojmować wszystko, co mi*

*wbijano do głowy. Bo jak wspomniałem, nigdy nie zadałem żadnego pytania, a*

*eldarowie nigdy mi nie udzielili żadnej odpowiedzi. – Wzdrygnął się. – Są tak*

*odmienni od wszystkiego, co poznałem do tej pory. Nie wiem, czy wynika to z długiej*

*izolacji od reszty świata, braku jakichkolwiek kontaktów z innymi*

*przedstawicielami ich rasy, czy z innych przyczyn, ale sprawia, że w porównaniu z*

*Elvardein Elvandar jest swojski jak lasy otaczające Crydee. – Westchnął głęboko. –*

*To takie trudne... Każdego dnia po obudzeniu włóczyłem się po lasach, czekając aż*

*nadarzy się okazja do nauki. Wiem, że teraz, gdy odszedł Macros, nie ma na naszym*

*świecie nikogo, kto mógłby mi dorównać w wiedzy o magii. Nadal jednak moja*

*wiedza o tym, przed czym stoimy, jest prawie żadna. Odnoszę wrażenie, że w jakiś*

*przedziwny sposób zostałem wykuty jak proste narzędzie, które tylko w niewielkim*

*stopniu rozumie cel swego działania.*

*– Coś jednak przeczuwasz, podejrzewasz, prawda?*

– Tak, nie chcę się tym jednak z nikim dzielić, nawet z tobą, Tomas. Dopóki nie będę w stu procentach pewien. – Pug wstał. – Dużo się nauczyłem, ale muszę się nauczyć znacznie więcej. Pewne jest jedno – i to jest właśnie trzecia sprawa, którą pojąłem. Oba światy, Midkemia i Kelewan, stanęły wobec zagrożenia największego od czasów Wojen Chaosu. – Spojrzał w oczy przyjacielowi. – Tomas, musimy ruszać w drogę.

– W drogę? Dokąd?

Wszystko stanie się z czasem oczywiste. Jesteśmy bardzo kiepsko wyposażeni przed przystąpieniem do bitwy. Brak nam wiedzy, a nową zdobywamy niezwykle wolno. Musimy więc wyruszyć na jej poszukiwanie. Musisz udać się ze mną. I to teraz. Natychmiast. Nie ma chwili do stracenia.

– Ale dokąd?

– Tam, gdzie możemy osiąść wiedzę, która da nam przewagę: do Wyroczni Aal.

Tomas przyglądał się z uwagą twarzy przyjaciela. Nigdy jeszcze podczas ich długoletniej znajomości i przyjaźni nie widział, aby młody mag był tak spięty.

– Do innych światów? – spytał cicho.

– Dlatego właśnie jesteś mi potrzebny. Sztuka, którą posiadłeś, jest mi zupełnie obca i nie znana. Potrafię otworzyć przejście do Kelewanu, lecz podróż do światów znanych mi jedynie z tysiącletnich ksiąg...? Działając razem, mamy szansę. Pomożesz mi?

– Oczywiście. Muszę tylko pomówić z Aglaranną...

– Nie. – Głos Puga był stanowczy. – Są powody. Przede wszystkim podejrzewam, iż jest coś o wiele bardziej przerażającego niż to, co wiem dzisiaj. Jeśli



*moje przypuszczenia są słuszne, nikt poza nami dwoma nie może wiedzieć, co zamierzamy. Zdradzenie naszych planów komukolwiek może być równoznaczne z ruiną wszystkiego, co znamy, Tomas. Ci, których pragniesz teraz uspokoić, zostaną zniszczeni. Lepiej niech przez czas jakiś trapią ich wątpliwości i niepewność.*

*Tomas rozważał w sercu słowa przyjaciela. Dla chłopca z Crydee, który stał się Valheru, było jasne i pewne: przemawiała do niego jedna z nielicznych istot z tego wszechświata – całkowicie godna niepodważalnego zaufania.*

*– Nie podoba mi się to zbyt, ale akceptuję twoją ostrożność i rozwagę. Co robimy?*

*– Aby przeciąć otchłań kosmosu, a być może nawet przepłynąć strumień czasu, potrzebny jest nam wierzchowiec, któremu tylko ty możesz rozkazywać.*

*Tomas zapatrzył się w ciemność.*

*– Minęły całe wieki. Przez ten czas wola istot, o których mówisz, jak i wszystkich byłych sług Valheru, umocniła się i wyzwoliła z pęt. Nie będzie łatwo przekonać ich, by ponownie służyli z ochotą. – Zamyślił się, przywołując obrazy z zamierzchłej przeszłości. – No cóż, spróbuję. Nie ma wyjścia.*

*Ruszył ku środkowi polany. Zamknął oczy i wznosił wysoko ręce. Pug obserwował go w milczeniu. Przez długie minuty trwali obaj w bezruchu. W końcu młody mężczyzna w bieli i złocie zwrócił się do przyjaciela.*

*– Jeden odpowiada. Jest bardzo daleko, lecz nadlatuje z wielką szybkością.*

*Wkrótce powinien... powinna tu być.*

*Czas mijał. Gwiazdy na nieboskłonie wędrowały swym odwiecznym torem.*

*W końcu dał się słyszeć przeciągły szum ogromnych skrzydeł w cichym, nocnym powietrzu. Po chwili odległy szum zmienił się w ogłuszający, zwałający z nóg*

wicher. Gigantyczny kształt przesłonił gwiazdy.

Zwierzę, choć ogromne, lądowało na polanie lekko i z gracją. Gigantyczne cielsko, przewyższające masą i rozmiarami wszystkie stwory Midkemii, opuszczało się zwinnie na skrzydłach o prawie siedemdziesięciometrowej rozpiętości. Gdy smok opadał łagodnie na powierzchnię ziemi, na złocistych łuskach zatańczyły srebrzyste refleksy księżycowego światła. Łeb wielkości towarowego wozu obniżał się powoli, aż zawisł tuż nad czekającymi ludźmi. Ogromne, płonące rubinowym światłem oczy wpatrywały się uważnie. W końcu stwór odezwał się.

– Kto ośmielił się mnie wezwać?

– Ja, który byłem kiedyś Ashen-Shugarem. Z zachowania ogromnego smoka przebijała jednocześnie mieszanina irytacji i zaciekawienia.

– I cóż? Zamyślasz rozkazywać mi, jak drzewiej przodkom mym? Wiedz przeto, iż ród smoczy stał się potężny, niezależny i chytry wielce. Już nigdy dobrowolnie nie będziem służyć. Czyś gotów wdać się w dysputy?

Tomas wzniósł ręce w błagalnym geście.

– Szukamy sprzymierzeńców, a nie sług. Nazywam się Tomas. Wraz z Krasnoludem Dolganem czuwałem do ostatnich chwil przy łożu śmierci Rhuagha. Zaliczał mnie do grona swych przyjaciół. To jego dar uczynił mnie na powrót Valheru.

Smok dumiał w milczeniu.

– Tak, pomnę jak dziś... jego pieśń rozbrzmiewała donośnie i wspaniale,

Tomasie, przyjacielu Rhuagha. Zaiste, w dziejach naszych nie wydarzyło się nic równie cudownego. Gdy Rhuagh odchodził, dane mu było jeszcze ostatni raz poszybować w niebiosa, jak gdyby wróciła mu młodość. Wyśpiewywał swoją pieśń

*śmierci radośnie i z wielką mocą. Mówił w niej o tobie i Krasnoludzie Dolganie.*

*Wszystkie smoki większe chłonęły słowa jego pieśni, czyniąc dzięki. Przez wzgląd na to, cożeś uczynił był dla Rhuagha, naklonię ucho ku twojej potrzebie.*

*– Musimy dotrzeć do miejsc, od których dzielą nas zarówno czas, jak i przestrzeń. Dosiadając twego grzbietu mogę pokonać te bariery.*

*Mimo zapewnień Tomasa smok podchodził z rezerwą do pomysłu, aby ponownie dosiadł go Valheru.*

*– A cóż to jest celem twym, ha? Pug zabrał głos.*

*– Musisz wiedzieć, iż w niedługim czasie świat ten nawiedzi wielkie niebezpieczeństwo. Nawet dla ciebie, dla całej smoczej rasy stanowić ono będzie niewyobrażalne, śmiertelne zagrożenie.*

*– Hm... prawdę rzeczesz, człowieku. Na północy dzieją się dziwne rzeczy.*

*Nocami ponad ziemią hulają złowróżbne wichry. – Smok zadumał się, rozważając wypowiedziane słowa. – Słuszną zatem rzeczą będzie, gdy ty i ja dobijemy targu.*

*Dla celów któreś wyjawił, ochoczo poniosę ciebie i przyjaciela twego. Zowię mnie Ryath. – Smok pochylił jeszcze bardziej głowę i Tomas zwinnie wspiął się na grzbiet, pokazując Pugowi, gdzie ma postawić stopy, by nie urazić wielkiego gada. Zasiedli w płytkim zagłębieniu między skrzydłami, tam gdzie szyja przechodziła w grzbiet.*

*– Jesteśmy twoimi dłużnikami, Ryath – powiedział Tomas. Smok uderzył potężnie skrzydłami, wzbijając się w powietrze. Szybowali ostro do góry ponad Elvandar. Zaklęcie wypowiedziane przez Tomasa utrzymywało Puga pewnie na grzbiecie Ryatha. Po pewnym czasie smok przemówił.*

*– Długi przyjaźni długami nie są, człowiecze. Jam zrodzona z Rhuagha. Był dla mnie tym, kogo wy, ludzie, zwykliście nazywać ojcem, a jam mu była córką. I*

*choć do pokrewieństwa nie przywiązujemy tak wielkiej wagi, jak czynią to ludzie, to jednak nie jest ono pozbawione znaczenia. Valheru, oto nadszedł czas, byś objął komendę.*

*Tomas sięgnął do pokładów mocy nie używanej od tysiącleci. Czerpiąc z jej bogactwa siłą woli, zarządził przemieszczenie się do miejsca poza czasem i przestrzenią, gdzie ongiś jego bracia i siostry buszowali bez ograniczeń, niosąc zagładę niezliczonym światom. Po raz pierwszy od wielu, wielu stuleci Jeździec Smoków przekroczył granicę światów.*

*Tomas za pomocą myśli wydawał polecenie Ryath, kierując jej lotem. Gdy zaistniała taka potrzeba, odnalazł w sobie zdolności nigdy nie używane w obecnym życiu. Znowu czuł obecność Ashen-Shugara. Tym razem jednak nie miało to nic wspólnego z wszechogarniającym szaleństwem, którego tak boleśnie doświadczył, zanim zdołał zapanować nad spuścizną Valheru i odzyskać zagrożone człowieczeństwo.*

*Niemal instynktownie podtrzymywał wokół siebie, smoka i Puga iluzję namacalnej przestrzeni. Otaczał ich niezrównany przepych tysięcy milionów gwiazd rozświetlających nieprzenikniony mrok przestworzy. Obaj doskonale zdawali sobie sprawę, iż nie znajdują się w tym, co Pug zwykł nazywać „rzeczywistą przestrzenią”, a raczej w nieuchwytniej, szarawej nicości. Doświadczył już jej, gdy z Macrosem zamknęli przetokę w przestrzeni i czasie pomiędzy Kelewanem a Midkemią. Szarość pozbawiona wszelkiej dotykanej czy dającej się zarejestrować zmysłami substancji istniała sama w sobie i dla siebie, pomiędzy pasmami materii przestrzeni i czasu. Mogli się tutaj zestarzeć i pojawić się z powrotem w swojej rzeczywistości zaledwie w chwilę po zniknięciu. Tu, gdzie się teraz znajdowali, w nieprzestrzeni czas po*

*prostu nie istniał. Jednak umysł ludzki, bez względu na to, jak szczerze przez naturę obdarowany, miał swoje granice. Tomas nie zapomniał, że Pug, pomimo swej niemal nadludzkiej mocy, nadal pozostawał człowiekiem i nie czas teraz sprawdzać granice jego wytrzymałości. Ryath pozostawała zupełnie obojętna na stworzone wokół niej złudzenie prawdziwej przestrzeni. Tomas i Pug wyczuli, że smok zmienił nagle kierunek.*

*Pug bardzo interesował się tym, jak smok mógł nawigować w nicości.*

*Podejrzewał, że Macros w zamierzonych czasach, gdy uczył się u boku Rhuagha, mógł uzyskać wgląd w tajniki poruszania się zgodnie ze swoją wolą pomiędzy światami. Zakarbował sobie w pamięci, aby zaraz po powrocie do Stardock przejrzeć prace Macroasa. Miał nadzieję znaleźć tam jakąś informację.*

*Wynurzyli się w normalnej przestrzeni. Ich pojawieniu się towarzyszyła ogłuszająca eksplozja. Ryath uderzała mocno skrzydłami, przecinając gniewne niebiosa, pociemniałe od deszczowych chmur wiszących nisko ponad dzikim, posępnym krajobrazem strzelistych szczytów i poszarpanych, przepastnych urwisk. Powietrze miało nieprzyjemny, metaliczno-gorzki posmak, jakby przenikliwy, lodowaty wicher rozsiał po tym świecie jakieś smrodliwe, zapierające dech w piersiach świństwo. Ryath przestała do Tomasa myśleć.*

*„Miejsce to ma obcą, nieprzyjazną naturę. Nie podoba mi się to”.*

*Tomas odpowiedział głośno, aby Pug mógł usłyszeć.*

*– Nie zabawimy tu długo i nie musimy się niczego obawiać.*

*„To nie ma nic wspólnego z obawą, Valheru. Po prostu nie lubię takich dziwnych miejsc”.*

*Pug wskazał coś, wyciągając rękę. Tomas podążył wzrokiem za jego gestem.*

*Wydał w myśli komendę, polecając smokowi wypełnić wskazówkę Puga. Pomknęli między nagimi i ostrymi jak brzytwa graniami, poskręcanyymi upiornie skalami jak z koszmarnego snu szaleńca. Daleko na horyzoncie gigantyczne wulkany wyrzucały z siebie ciężkie kłęby dymów. Smoliste wyziewy podświetlone od dołu pomarańczową poświatą rozżarzonej do czerwoności lawy wznosiły się ku niebu, rozszerzając wachlarzowato. Po stokach spływały leniwie bulgocące, krwawe węże lawy. Nadlecieli ponad miasto. Dumne niegdyś, sięgające chmur mury leżały w gruzach. Ogromne wyrwy w pozostałych szczątkach szczyły zęby poszarpanym tynkiem. Tu i tam ocalały pojedyncze, niebotyczne wieżycy, lecz większa część miasta została obrócona w perzynę. Ani śladu życia. Zniżyli lot, okrążając przestrzeń, która była kiedyś wielkim, śródmiejskim placem, gromadzącym nieprzebrane tłumy. Teraz panowała tu martwa cisza, zakłócona jedynie przez poszum skrzydeł Ryath, górujący ponad lodowatymi podmuchami wiatru.*

*– Co to za miejsce? – spytał Tomas.*

*– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że to kraina Aal, a raczej to, co z niej pozostało. To bardzo starożytny świat, spójrz tylko na słońce.*

*Tomas podniósł wzrok na błyszczącą ponuro niewielką plamkę, prześwitującą między pędzącymi po niebie chmurami.*

*– Dziwne jakieś.*

*– Bardzo stare. Kiedyś świeciło jak nasze. Było oślepiająco jasne i gorące. Teraz zanika.*

*Wiedza Valheru, uszpiona od wieków, powróciła nagłą falą do Tomasa.*

*– Dobiega końca swego cyklu. Znam się na tym. Czasem słabną i gasną, ale nie zawsze. Zdarza się, że eksplodują niespodziewanie z tytaniczną furią. Ciekaw*

*jestem, do których to tutaj należy.*

*– Nie mam pojęcia. Może wyrocznia będzie wiedziała. – Pug skierował smoka ku odległemu łańcuchowi górskiemu, mającemu na horyzoncie.*

*Potężne skrzydła Ryath przybliżyły ich do celu z każdym uderzeniem. Miasto znajdowało się na skraju uprawianego niegdyś, jak sądzili, płaskowyżu. Jednak poza kilkoma przęsłami dawnego akweduktu, tkwiącymi pośrodku płaskiej jak stół doliny – milczącego pomnika myśli i pracy dawno zmarłego ludu – nie przetrwał nawet najdrobniejszy ślad, który mógłby wskazywać na istniejące tu kiedyś farmy. Zbliżali się do gór. Ryath poczęła wzbijać się w górę. Ponownie przemknęli pomiędzy szczytami. Te z kolei były stare i łagodnie wymodelowane przez wiatry i deszcze.*

*– Tam – powiedział nagle Pug. – Jesteśmy na miejscu. Tomas przekazał instrukcje smokowi. Zaczęli krążyć nad jednym ze szczytów. Pośród skalistych złomów południowego stoku, przed ziejącym czernią wejściem do ogromnej pieczary rozciągała się płaska przestrzeń. Była jednak zbyt mała, by pomieścić lądującego smoka. Tomas użył swej mocy, by opuścić siebie i Puga na ziemię. Ryath poinformowała go w myślach, że udaje się na łowy i powróci na jego życzenie. Tomas życzył jej sukcesów w polowaniu, chociaż w głębi serca podejrzewał, że smok powróci głodny.*

*Polecieli poprzez wilgotne powietrze szarpani ostrymi podmuchami wichru. Szarogranatowe chmury tak przysłoniły niebo, że było niewiele jaśniej niż w nocy. Wylądowali na skalnej półce przed jaskinią. Zerknęli w górę. Smok oddalał się szybko.*

*– Tutaj nic nam nie grozi, ale być może przyjdzie nam podróżować do krain*

*gdzie będą czyhały wielkie i liczne niebezpieczeństwa. Czy Ryath jest rzeczywiście tak nieustraszona jak twierdzi?*

*Tomas uśmiechnął się do przyjaciela.*

*– Tak, chyba tak. W swoich przemyśleniach o starożytnych czasach nie raz i nie dwa dotykałem myślą umysłu jej przodków, a przecież ma ich wspólnych z twoim Fantusem.*

*– W takim razie mamy szczęście, że zgodziła się dołączyć i pomóc nam z własnej woli. W przeciwnym razie byłoby niezwykle trudno wyperswadować jej zmianę stanowiska.*

*Tomas skinął głową.*

*– Nie mam wątpliwości, że mógłbym ją unicestwić, ale nagiąć jej wolę do mojej? Wątpię. Czasy, gdy Valheru niepodzielnie rządili światem, dawno minęły.*

*Pug studiował z uwagą ponury krajobraz rozciągający się u ich stóp.*

*– Strasznie puste i ponure miejsce. Znalazłem opis tego świata w wielu dziełach w zbiorach Elvardeinu. Kiedyś zdołały go ogromne miasta, będące domem dla całych narodów. Teraz nie zostało dosłownie nic. Pustka.*

*– A co się stało z mieszkańcami? – spytał Tomas cichym głosem.*

*– Słońce gasło, klimat się zmieniał. Trzęsienia ziemi, głód, wojna. Kto wie, co jeszcze? Cokolwiek to było, sprowadziło na ten świat całkowitą zagładę.*

*Ktoś się pojawił u wejścia do jaskini. Odwrócili się w tamtą stronę.*

*Nieznajomą postać spowijała od stóp do głów długa szata. Z głębin przepastnego rękawa wystawała tylko chuda ręka zakończona starczą, powykręcaną dłonią, dzierżącą długi kij. Mężczyzna, bo tak przynajmniej wyglądał, zbliżał się powoli. Zatrzymał się kilka kroków przed nimi. Z wnętrza ciemnego kaptura wydobył się*



*cichutki głos, jak poszum dawno przebrzmiałego wiatru.*

*– Kto pragnie się widzieć z Wyrocznią Aal?*

*– Ja, Pug, zwany również Milamberem, mag dwóch światów.*

*– I ja, Tomas, zwany Ashen-Shugar, który żył po dwakroć. Postać wskazała ręką na wejście do pieczary. Weszli do niskiego, ciemnego korytarza. Pug zakreślił ręką łuk w powietrzu i wokół nich pojawiła się dziwna poświata. U wylotu korytarza znajdowała się gigantycznych rozmiarów jaskinia. Tomas zatrzymał się.*

*– Pug, znajdujemy się tuż pod szczytem góry. Przecież to niemożliwe, aby jaskinia mieściła się wewnątrz... Pug położył mu rękę na ramieniu.*

*– Znajdujemy się gdzie indziej.*

*Jaskinia była oświetlona delikatnym światłem sączącym się ze stropu i ścian, więc Pug odwołał swoje zaklęcie. W odległych kątach majaczyły niewyraźnie inne zakapturzone postacie, żadna z nich nie zbliżyła się na ich powitanie.*

*Przewodnik minął ich i podążył dalej. Poszli za nim.*

*– Jak powinniśmy się do ciebie zwracać? – spytał Pug.*

*– Tak jak wam wygodnie. Tutaj nie mamy ani imion, ani przeszłości, ani przyszłości. Jesteśmy po prostu sługami wyroczni. – Podprowadził ich do sporego występu skalnego, na którym spoczywała dziwaczna postać. Była to młoda kobieta, a dokładniej dziewczyna, miała nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat. Nie można było wykluczyć, że mogła jednak mieć o kilka lat więcej, trudno to było dokładnie ocenić. Była zupełnie naga. Jej ciało okrywała ciemna skorupa brudu, strupów i własnych ekskrementów. Długie włosy lepiły się od brudu. Gdy się zbliżyli, jej oczy rozszerzyły się gwałtownie. Cofała się, pełzając ku skalnej ścianie i krzycząc z przerażenia. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna jest szalona. Wrzask trwał*

*nieprzerwanie. Wariatka obejmowała się ciasno ramionami, wtulając się w skałę. Po chwili krzyk ucichł i przeszedł w szaleńczy chichot. Nagle dziewczyna obdarzyła ich zalotnym i pełnym uznania spojrzeniem. Zaczęła ciągnąć i szarpać włosy w nieudolnej i żalostnej imitacji czesania się. Jakby zaczęło jej zależeć na wyglądzie zewnętrznym. Nie mówiąc ani słowa, zakapturzony mężczyzna wskazał na nią kijem.*

*– Zatem... to jest wyrocznia? – spytał Tomas. Przewodnik potwierdził skinieniem głowy.*

*– Tak, to obecna wyrocznia. Będzie służyła aż do śmierci. Potem przyjdzie następna, jak i ona nastąpiła na miejsce tej, która zmarła przed nią. Tak zawsze było i będzie.*

*– Jak się wam udało przetrwać w tym martwym świecie?*

*– Handlujemy. Nasza rasa wyginęła, ale przecież są inni – jak wy na przykład – którzy nas potrzebują. Jakoś dajemy sobie radę. – Wskazał na skuloną na ziemi dziewczynę. – Ona jest naszym skarbem. Pytajcie, o co tylko chcecie.*

*– A cena? – spytał się Pug. Zakapturzona postać powtórzyła swoje słowa.*

*– Pytajcie, o co tylko chcecie. Wyrocznia odpowiada, co chce i kiedy chce.*

*Jeżeli w ogóle. Może poprosić o słodycze, owoce albo o twe bijące serce, by je pożreć.*

*Może zapragnąć jakiejś błahostki do zabawy. – Wskazał na stos przeróżnych rzeczy*

*ciśniętych w kącie. – Może jej się zachcieć setek owiec albo cetnara zboża czy złota.*

*Sami musicie zdecydować, czy wiedza, której pożądamy, jest warta wymienionej*

*ceny. Niekiedy odpowiada, nie oczekując niczego w zamian. Często zaś nie chce*

*udzielić żadnej odpowiedzi niezależnie od tego, co jej ofiarowują. Ma bardzo*

*kapryśną naturę.*

*Pug zbliżył się do skulonej dziewczyny. Wpatrywała się długo w jego twarz.*

*Uśmiechnęła się, bawiąc się bezwiednie strąkami włosów.*

*– Chcemy poznać przyszłość – oznajmił.*

*Oczy dziewczyny zwięzły się w wąskie szpareczki. Niespodziewanie*

*wyparowało z niej całe szaleństwo. Jakby w jej wnętrzu pojawiła się zupełnie inna osoba. Odezwała się spokojnym, opanowanym głosem.*

*– Zatem, aby ją poznać, gotów jesteś zapłacić cenę, którą proponuję?*

*– Podaj swoją cenę.*

*– Ocal mnie.*

*Tomas spojrział na przewodnika. Z wnętrza głębokiego kaptura zaskrzeczał suchy głos.*

*– Często nie rozumiemy do końca, o co jej chodzi. Jest uwięziona w matni swego własnego umysłu. To właśnie szaleństwo, które jednocześnie obdarzyło ją darem przepowiadania. Gdy ją od niego uwolnisz, przestanie być wyrocznią. Musi mieć na myśli coś innego.*

*– Ocalić cię? Przed czym? – spytał Pug. Dziewczyna parsknęła śmiechem. Po chwili jednak odezwała się znowu spokojnym głosem.*

*– Jeśli tego nie pojmujesz, nie możesz mnie ocalić. Zakapturzona postać wzruszyła ramionami. Pug zastanawiał się przez chwilę. Podniósł wzrok na dziewczynę.*

*– Chyba już rozumiem. – Sięgnął ku niej i chwycił jej głowę w dłonie.*

*Zesztywniała. Usta otworzyły się do krzyku, lecz Pug przesłał jej kojącą zmysły myśl. To, co zamierzał uczynić uważano do tej pory za wyłączną domenę kapłanów.*

*Gdy przebywał z eldarami w Elvardein, nauczył się, że jedynymi, rzeczywistymi*

*ograniczeniami magii są ograniczenia samego jej praktyka.*

*Przymknął oczy i wkroczył w szaleństwo.*

*Znalazł się w krajobrazie przesuwających się nieustannie ścian, labiryntie ogłupiających zmysły kolorów i kształtów. Z każdym krokiem horyzont zmieniał się.*

*Prawa perspektywy nie istniały. Spojrzał w dół na swoje dłonie. Patrzył zafascynowany, jak rosną błyskawicznie, by po chwili osiągnąć rozmiary melonów.*

*W następnej sekundzie skurczyły się równie raptownie i stały się maleńkie jak u dziecka. Podniósł wzrok ku górze. Ściany labiryntu cofały się i napierały. Ruchem zdawał się kierować czysty przypadek. Ich barwy i pokrywające je wzory przechodziły nieustannie przez setki zmian, rozbłyskując i gasnąc. Nawet powierzchnia, po której stąpał, była teraz białoczerwoną szachownicą, by już po chwili zmienić się w układ czarnych i szarych linii, a następnie rozbłysnąć wielkimi błękitnymi i szmaragdowymi plamami na czerwonym tle. Błyskające wściekle światła oślepiały.*

*Pug wziął się w karby i zapanował nad zmysłami. Dobrze wiedział, że nadal znajduje się w jaskini, a te iluzje, których doświadczał, to tylko wewnętrzna potrzeba fizycznej przeciwwagi w zmaganiach z szaleństwem dziewczyny. Po pierwsze, ustabilizował własną osobę. Natychmiast ustały dziwne przemiany członków ciała. Nie mógł posługiwać się drastycznymi środkami, gdyż groziło to uszkodzeniem kruchej struktury umysłu dziewczyny. Nie dysponował żadnym sposobem, by ocenić, jaki to mogłoby mieć wpływ na jego własny mózg – teraz – gdy pozostawał z nią w bezpośrednim, myślnym kontakcie. Nie mógł wykluczyć, iż wpadnie na zawsze w pułapkę oszalałych zmysłów, co nie było zbyt przyjemną perspektywą. W ciągu ostatniego roku wiele się nauczył o kontrolowaniu swej*

sztuki. Poznał również dobrze jej ograniczenia i dowiedział się, gdzie się definitywnie kończy. Był doskonale świadom, że to, co czynił w tej chwili, związane było ze sporym ryzykiem.

Po chwili ustabilizował bezpośrednio go otaczającą przestrzeń. Przemienił zmienne, pulsujące ściany i oslepiające światła. Zdawał sobie sprawę, że każdy kierunek jest równie dobry jak pozostałe, więc nie zwlekając ruszył przed siebie. Jego marsz – o czym wiedział – również był uludą, lecz iluzja ruchu była niezbędna, by dotrzeć do siedliska jej świadomości. Podobnie jak większość problemów i ten wymagał jakiejś struktury odniesienia, a miała ją zapewnić sama dziewczyna. On mógł jedynie reagować na to, co wyśni dla niego jej obląkany umysł.

Niespodziewanie został wepchnięty w mrok. Ciemność tak cichą i spokojną, że chyba tylko sama śmierć mogła się z nią równać. Jego zmysł słuchu zarejestrował pojedynczy, dziwny dźwięk. Potem następny, dobiegający z innej strony. W końcu delikatne pulsowanie w powietrzu. Otaczający go smolisty przestwór punktowany był z narastającą częstotliwością drganiem powietrza i dziwnymi odgłosami. Po paru kolejnych chwilach cała przestrzeń pulsowała rytmicznie nieznośnymi dla ucha dźwiękami i cuchnącymi falami smrodu. Poczul na twarzy dziwne podmuchy. Jakieś nie znane mu pierzaste stworki muskały go w locie. Były zbyt szybkie, by dało się je dokładnie obejrzeć, nie mówiąc już o schwyтaniu. Stworzył wokół siebie światło. Skonstatował, że znajduje się w ogromnej jaskini przypominającej do złudzenia tę, w której znajdował się w rzeczywistości razem z Tomasem. Nic się już nie poruszało. Pozostając wewnątrz uludy, zawołał głośno. Cisza, żadnej odpowiedzi.

Krajobraz wokół zatrząsł się w posadach i ponownie zmienił swoją postać.

*Teraz znajdował się na pięknej murawie otoczonej pięknymi, kształtnymi drzewami – zbyt doskonałymi, aby mogły istnieć w rzeczywistości. Linie drzew zbiegały się w perspektywie zamkniętej przecudownym wprost pałacem z białego marmuru, przystrojonym ornamentami ze szczerego złota, turkusów, bursztynu i jadeitu, opali i chalcedonu. Miejsce to było tak niewymownie piękne, tak czarowne, że Pug mógł tylko stać w milczeniu i podziwiać. Pod obrazem wizji snuło się ledwie uchwytnie uczucie, że to najpiękniejsze miejsce na świecie, sanktuarium wolne od wszelkich kłopotów. Miejsce, gdzie można było spędzić wieczność w poczuciu pełni szczęścia.*

*I znowu ruch i zmiana widoków. Stał oto w wielkiej sali pałacu. Wszystko, od śnieżnobiałych marmurowych posadzek nakrapianych złocistymi cętkami do hebanowych kolumn, było kwintesencją największego przepychu, jaki miał okazję oglądać w życiu. Przepychu bijącego na głowę nawet wspaniałości siedziby Komendanta Wojny w Kentosani. Strop tworzyły palety z rytego kwarcu. Promienie słoneczne, wpadające swobodnie do wnętrza, miały leciutko różowe zabarwienie. Ściany od podłogi po sufit okrywały przebogate materie, utkane ze złotych i srebrnych nitek. Wszystkie drzwi, bez względu na ich przeznaczenie, wykonano z hebanu zdobionego kością słoniową. W portalach lśniły drogie kamienie. Gdzie tylko rzucił okiem, dostrzegał złoto. W samym sercu tych wspaniałości znajdowało się podwyższenie skąpane w kręgu oślepiającej światłości. Na szczycie stały dwie postaci:*

*kobieta i dziewczyna.*

*Zrobił ku nim kilka kroków. Z płyt posadzki, na podobieństwo kielkujących błyskawicznie pędów roślin, wyskoczyli wojownicy. Każdy z nich to mocarz nad mocarze o przerażającym, okrutnym wyglądem. Jeden wyglądał jak ucłowieczony*

wielki dzik. Drugi jak gigantyczna modliszka w ludzkiej postaci. U trzeciego spoczywała na barkach lwia głowa. Czwarty straszył łbem słonia. Wszyscy zbrojni. Na każdym drogocenny pancerz wysadzany klejnotami. Ryczeli groźnie. Pug stał spokojnie.

Wojownicy ruszyli do ataku. Pug trwał nieporuszenie na miejscu. Gdy któryś potwór rodem z koszmaru sennego ciął go mieczem, oręż przechodził przez niego, nie czyniąc krzywdy, a stwór rozpływał się w powietrzu. Gdy ostatni zniknął, Pug zaczął się zbliżać do postaci na podwyższeniu.

Ku jego zdumieniu podium zaczęło się oddalać, jakby zostało umieszczone na maleńkich kółkach czy nóżkach. Odsuwało się nieustannie, nabierając coraz większej szybkości. Pug kroczył za uciekinierem, angażując całą wolę, by go doścignąć. Nie minęła minuta, a już krajobraz dookoła przeistoczył się w rozmyte pędem smugi. Według subiektywnej oceny Puga dawno powinni byli oddalić się od pałacu o kilka kilometrów. Wiedział dobrze, że bez problemu mógłby zatrzymać umykające podium, ale nie chciał narazić na niebezpieczeństwo dziewczyny. Jawny akt przemocy, nawet tak błahej jak rozkaz, by uciekinierzy zatrzymali się, mógł się dla niej skończyć trwałym urazem.

Podwyższenie zaczęło obłąkańczy, rozchybotany taniec, przemykając z komnaty do komnaty. Objęło się z hukiem o napotymane przeszkody – portale czy uchylone skrzydła drzwi. Pug został zmuszony do wykonywania gwałtownych uników i pościgu zygzakiem, ponieważ zaczęły spadać na niego różne przedmioty ciskane z podwyższenia. Mógłby bez trudu unicestwić blokujące drogę przeszkody, lecz skutek tego byłby dla dziewczyny równie oplakany jak rozkaz zatrzymania. Gdy wnikasz do innej rzeczywistości, musisz przestrzegać obowiązujących tam reguł,

*pomyślał.*

*Podium zatrzymało się niespodziewanie i Pug szybko dogonił parę uciekinierek. Kobieta stała nieporuszenie i bez słowa przyglądała się z uwagą zbliżającemu się magowi. Dziewczyna usiadła u jej stóp. W przeciwieństwie do rzeczywistego obrazu dziewczyna z wizji miała na sobie piękną szatę z miękkiego, przejrzystego jedwabiu. Włosy kunsztownie zebrane na czubku głowy podtrzymywały srebrne i złote szpile zakończone wspaniałymi klejnotami. W realnym świecie trudno było dostrzec, co kryje się pod skorupą brudu, ale tutaj była młodą kobietą o olśniewającej urodzie.*

*Piękna dziewczyna powoli powstała, rosnąc jednocześnie. Wkrótce osiągnęła przerażające, monstrualne rozmiary. Z delikatnych, miękko zarysowanych barków wystrzeliły ogromne, gęsto owłosione ręce. Dziewczęca główka przemieniła się raptownie w łeb rozwścieczonego orła. Z płonących rubinowe oczu sypnęły się kaskady błyskawic. Rozcapierzone szpony pomknęły ku twarzy Puga.*

*Nadal się nie poruszał. Ponieważ nie chciał uczestniczyć w tej rzeczywistości, pazury przeniknęły bezboleśnie przez jego ciało. Monstrum zniknęło równie niespodziewanie, jak się pojawiło. Dziewczyna była taka, jaką widział w jaskini, naga, brudna i opętana.*

*Pug spojrzał prosto w twarz kobiety.*

*– Ty jesteś wyrocznią.*

*– Jam jest. – Była dumna, władcza i obca. I chociaż w każdym calu sprawiała wrażenie ludzkiej istoty, Pug odgadł, iż stanowiło to również fragment iluzji. W rzeczywistości byłaby kimś zupełnie innym... lub była tym kimś za życia. Pug wreszcie zrozumiał.*



– Jeśli ją uwolnię, co stanie się z tobą?

– Muszę znaleźć inną, i to szybko. W przeciwnym razie moja egzystencja dobiegnie kresu. Tak było zawsze i tak musi być teraz.

– Zatem inna musi temu się poddać?

– Tak było zawsze.

– Jeśli uwolnię tę dziewczynę, jaki los ją czeka?

– Będzie taka, jaką była, gdy ją tutaj sprowadzono. Jest młoda. Odzyska zmysły.

– Czy będziesz mi się sprzeciwiać?

– Wiesz dobrze, że nie mogę. Potrafisz przejrzeć iluzje na wylot. Zdajesz sobie sprawę, że to tylko potwory i skarby zrodzone przez umysł. Zanim jednak mnie jej pozbawisz, jedno musisz zrozumieć, magu. U zarania dziejów, gdy formowały się niezliczone wszechświaty, przyszliśmy na świat my, istoty z Aal. Kiedy twój towarzysz Valheru i jego rasa szaleli po niebiosach, siejąc spustoszenie i śmierć, istnieliśmy już od tak dawna i posiadaliśmy tak ogromną wiedzę, że nie byli w stanie ogarnąć tego rozumem. Ja jestem ostatnią kobietą mej rasy, chociaż nie jest to opis, lecz raczej przystępne przybliżenie, by ci ułatwić zrozumienie. Ci w jaskiniach to mężczyźni. Trudzimy się wspólnie, by zachować nasze największe dziedzictwo – moc wyroczni. Jesteśmy bowiem gospodarzami, zarządcami prawdy i sługami wiedzy. Całe wieki temu stwierdzono, że mogę istnieć w umysłach innych. Niestety, za cenę ich zdrowych zmysłów. Psychiczna destrukcja kilku przedstawicieli niższych ras została uznana za mniejsze i konieczne zło, które pozwoli w zamian podtrzymać potęgę Aal. Oczywiście wolelibyśmy, aby nie musiało odbywać się to w ten sposób. Nie było wyjścia, by przetrwać, potrzebowałam umysłów żywych ludzi. Zabierz

*dziewczyne, wiedz jednak, że wkrótce znajdę sobie następną, by w niej zamieszkać.*

*Ona jest nikim. Proste dziecko. Nikt nie zna jej rodziców. W jej świecie w najlepszym wypadku zostałaby popychadłem u jakiegoś wieśniaka. W najgorszym – dziewczką uliczną, żyjącą tylko dla uciechy mężczyzn. Ja obdarzyłam ją w umyśle bogactwami, o których nawet nie śniło się najbardziej potężnym królom. Co dasz jej w zamian?*

*– Jej własny los. Jednak, jak mi się zdawało, mowa była o innym ocaleniu, jednym dla was obu.*

*– Bystry jesteś, magu, i spostrzegawczy. Gwiazda, wokół której krąży ten świat, wkrótce zgaśnie. Jej kapryśny cykl stał się przyczyną jego ruiny. Już teraz wkroczyliśmy w erę wulkaniczną, nie spotykaną tutaj od eonów. Wkrótce – na wyciągnięcie ręki – nadejdzie czas, gdy świat ten skona strawiony ognistą śmiercią. To już trzeci świat, który Aal nazywają swym domem. Teraz jednak rasa nasza rozplynęła się w czasie. Nie mamy środków, aby znaleźć sobie czwarty. Jeśli pragniesz, by odpowiedziano na twoje pytania, twoje potrzeby, i ty musisz nam pomóc.*

*– Przeniesienie was do innego świata nie powinno stanowić problemu. Jest was mniej niż tuzin. Zgoda. Być może uda się nawet znaleźć sposób, by ocalić przed ofiarą kolejny umysł. – Ruchem głowy wskazał na skuloną dziewczynę.*

*– Byłoby to pożądane, lecz na razie nie udało się nam odkryć sposobu. Tak czy inaczej jedno jest pewne – jeśli znajdziesz nam jakiś raj, gdzie będziemy mogli spokojnie istnieć, odpowiem na wszystkie twoje pytania. Dobiliśmy targu.*

*– Proponuję więc następujące rozwiązanie. W moim rodzinnym świecie mam do dyspozycji miejsce i środki, aby zapewnić spokój i bezpieczeństwo tobie i twojemu*

*ludowi. Poprzez adopcję zaliczam się do rodziny Króla. Przekonany jestem, iż moja prośba spotka się z jego przychylnością. Musisz jednak wiedzieć, że nad mym światem zawisło niebezpieczeństwo. Ty również będziesz narażona na ryzyko.*

*– To nie do przyjęcia.*

*– Zatem nie dobijemy targu i wszystkich spotka zagłada. Ja nie wykonam powziętego zadania, a twój świat rozplynie się w chmurze płonących gazów.*

*Kobieta spoglądała na niego ponurym wzrokiem. Milczała długo.*

*– Zgoda, wprowadzę poprawkę do naszego układu. Obdarzę cię mocą wyroczni w zamian za bezpieczny świat, gdy zrealizujesz swoją misję.*

*– Misję?*

*– Odczytuję przyszłość. Gdy zbliżamy się do osiągnięcia porozumienia, linie prawdopodobieństwa nakładają się na siebie i rozmywają, ukazując mym oczom najbardziej prawdopodobną przyszłość. Nawet w tej chwili, podczas naszej rozmowy widzę wyraźnie, czego się podejmiesz. Jest to droga najeżona trudami i pełna niebezpieczeństw. – Trwała przez chwilę w całkowitym milczeniu. – Teraz rozumiem, przed jakim wyzwaniem stoisz – powiedziała po chwili ciepłym głosem.*

*– Przyjmuję twoje warunki. Ty też musisz.*

*– Umowa stoi. – Pug wzruszył ramionami. – Gdy wszystko znajdzie swe pomyślne rozwiązanie, przeniesiemy cię w bezpieczne miejsce.*

*– Wróć do jaskini.*

*Pug otworzył oczy. Tomas i słudzy wyroczni tkwili w tych samych miejscach, w których ich zostawił, wchodząc w kontakt myślny.*

*– Jak długo tu stoję? – spytał Tomasa.*

*– Zaledwie kilka chwil, nie dłużej.*

*Pug odsunął się od dziewczyny. Otworzyła oczy. Jej głos był mocny i pewny, pozbawiony najmniejszego śladu szaleństwa, chociaż pobrzmiwało w nim echo mowy tamtej kobiety.*

*– Wiedz, że mrok narasta i rozprzestrzenia się. Nadciąga z miejsca, gdzie pozostawał uwięziony. Pragnie odzyskać to, co był utracił. By zrujnować i całkowicie unicestwić wszystko, co bliskie twemu sercu. By uwolnić i ożywić to, co napawa cię przerażeniem. Idź i znajdź tego, który wie wszystko, tego, który od samego początku poznał prawdę. Tylko on może poprowadzić cię i wspomóc w przygotowaniu ostatecznej konfrontacji... tylko on.*

*Tomas i Pug spojrzeli po sobie.*

*– Kogo mamy szukać? – spytał Pug. Nie skończył jeszcze mówić, a znał już odpowiedź na swoje pytanie.*

*Oczy dziewczyny zdawały się przewiercać mu duszę na wylot.*

*– Musisz odnaleźć Czarnego Macrosa.*

# CRYDEE

*Martin przykucnął.*

*Gestem nakazał ciszę. Nasłuchiwał pilnie, czy z gęstwiny nie da się słyszeć jakiś ruch. Słońce chyliło się ku zachodowi i nad brzeg leśnego jeziora powinna nadciągać zwierzyna. Jednak coś musiało spłoszyć większość mieszkańców lasu.*

*Usiłował dociec przyczyny zakłócenia zwykłego rytmu. Las trwał w ciszy. Jedyne wysoko, w koronach drzew świergotały ptaszki. Coś zaszeleściło w krzakach.*

*Z zarośli wypadł jeleń. Jednym skokiem pokonał wolną przestrzeń. Martin schylił się gwałtownie, unikając dosłownie w ostatniej chwili rogów i kopyt przerażonego zwierzęcia. Jeleń pogalopował w las. Martin usłyszał za plecami gwałtowne ruchy towarzyszy, którzy rozpierzchli się w popłochu, aby uniknąć stratowania. W miejscu, skąd wyskoczył jeleń, rozległo się głucho porykiwanie.*

*Cokolwiek zmusiło wielkiego rogacza do panicznej ucieczki, zbliżało się teraz przez gęste poszycie. Martin czekał z łukiem gotowym do strzału.*

*Z lasu wytoczył się chwiejnie niedźwiedź. O tej porze roku, kiedy to powinien gromadzić zapasy tłuszczu i pokrywać się gęstym, lśniącym futrem, był słaby i chudy jak szczapa, jakby dopiero co przebudził się z długiego, zimowego snu. Martin obserwował zwierza, gdy ten pochylił łeb i zaczął głośno chleptać wodę z jeziora.*

*Musiał być ranny. Osłabienie i kalectwo uniemożliwiło zdobywanie wystarczających ilości pożywienia. Dwie noce wcześniej jakiś niedźwiedź poturbował ciężko wieśniaka, który próbował stanąć w obronie swojej krowy. Chłop zmarł i od tamtej chwili Martin tropił zwierza. Był niebezpieczny dla otoczenia i należało go zabić.*

*Po lesie poniósł się tętent końskich kopyt. Niedźwiedź uniósł ciężko pysk i*

*zaczął intensywnie węszyć. Z gardzieli wydobył się niepewny jeszcze, jakby pytający pomruk. Stanął na tylnych łapach. Wyczuł konie i ludzi. Ryknął wściekle.*

*– Niech to szlag...! – krzyknął Martin, zrywając się na równe nogi. Napiął łuk. Miał nadzieję na pewny strzał, a teraz niedźwiedź mógł się odwrócić na pięcie i czmychnąć w gęstwinę.*

*Strzała przemknęła ponad malutką łączką. Ugodziła zwierzę w kark poniżej szyi. To nie był strzał, który sprowadzał natychmiastową śmierć. Niedźwiedź szarpał strzałę. Z gardzieli dobywał się mokry, bulgocący charkot. Martin wyskoczył z ukrycia z dobytym nożem. On i jego trzech towarzysze biegli brzegiem jeziora w stronę rannego zwierza. Garret, teraz Wielki Łowczy Crydee, wypuścił swoją strzałę. Trafił w pierś. Kolejna ciężka, lecz nie śmiertelna rana. Martin skoczył na bestię, gdy uwagę jej pochłonęły całkowicie strzały tkwiące głęboko w ciele.*

*Księżę Crydee nie chybił. Klinga myśliwskiego noża przecięła ze świstem powietrze i ugodziła pewnie w szyję. Zanim niedźwiedź runął na ziemię, był już martwy.*

*Baru i Charles zbliżali się ostrożnie z łukami gotowymi do strzału. Niski, o kabłąkowatych nogach Charles, miał na sobie taki sam zielony strój ze skóry jak Garret – uniform leśniczego na służbie Martina. Wysoki i muskularny Baru, nosił przewieszony przez ramię pled w zieloną i czarną kratę – znak przynależności do Hadati, klanu z Żelaznych Wzgórz. Oprócz tego odziany był w skórzane spodnie i wysokie buty z koźlej skóry. Martin ukląkł nad powalonym zwierzem. Operował klingą przy barku. Odwrócił głowę, gdy buchnął słodkawy, zgniły odór. W ranę wdała się gangrena. Usiadł na ziemi, pokazując wszystkim zakrwawiony, ociekający ropą grot.*

*– Gdy za czasów mego ojca byłem Wielkim Łowczym, w chude lata*

*przymykałem oko, pozwalając, aby wieśniacy sobie co jakiś czas pokłusowali – powiedział do Garreta z rozgoryczeniem i oburzeniem. – Jeśli jednak znajdziesz człowieka, który postrzelił tego niedźwiedzia, chcę, żeby wisiał. Zrozumiano? Cały jego majątek, jeżeli coś będzie miał, przekaż wdowie po wieśniaku, który bronił krowy. Kłusownik jest winien jego śmierci tak, jakby to do niego strzelił zamiast do niedźwiedzia.*

*– Został odlany domowym sposobem. Wasza Wysokość. – Garret obejrzał grot z uwagą. – Spójrz tylko, panie, na tę dziwną linię biegnącą z boku. Ten, kto go wykonał, nie szlifuje grotów pilnikiem. W łucznictwie jest równie niechlujny, jak w kłusownictwie. Jeżeli znajdziemy kołczan z grotami z identyczną skazą – mamy naszego człowieka. Przekażę informację tropicielom. – Wielki Łowczy o końskiej twarzy spojrział wymownie na Martina.*

*– Gdyby Wasza Wysokość dopadł zwierza, zanim go trafiłem, moglibyśmy prawdopodobnie oskarżyć kłusownika o dwa morderstwa – powiedział z przyganą głósie.*

*– Ani przez chwilę nie wątpiłem w twe celne oko, Garret. – Martin uśmiechnął się. – Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który strzela celniej niż ja sam. Między innymi dlatego właśnie zostałeś Wielkim Łowczym.*

*– I jeszcze dlatego, że to jedyny z twych tropicieli, który jest w stanie dotrzymać ci kroku, gdy polujesz – dodał Charles.*

*– Zgadza się, panie. Narzucasz ostre tempo – dorzucił B ani.*

*– No dobra, dobra – pomrukiwał Garret, nie do końca ugłaskany słowami Martina. – Mogliśmy oddać co najmniej jeszcze jeden pewny strzał, zanim niedźwiedź rzuciłby się do ucieczki.*

– *Może tak, a może nie, któż to może wiedzieć. Z dwojga złego wolałem skoczyć na niego na otwartej przestrzeni, mając was trzech w odwodzie, niż zapuszczać się za nim w gęstwinę. Nawet jeśli tkwiłyby w nim trzy, a nie dwie tylko strzały.* – *Wskazał na odległy o kilka zaledwie metrów gąszcz.* – *Tam mogło być niewesoło.*

*Garret spojrzał na Charlesa i Baru.*

– *Nie przeczę. Wasza Wysokość... tylko, że i tu mogło nam być nie do śmiechu.*

*W pobliżu rozległo się nawoływanie. Martin powstał.*

– *Idźcie i zobaczcie, kto się tak wydziera. Niewiele brakowało, a stracilibyśmy przez niego zwierzynę.* – *Charles zerwał się i popędził w las.*

*Baru spoglądał na martwego niedźwiedzia, kręcąc głową.*

– *Człowiek, który go ranił, nie jest prawdziwym myśliwym.*

*Martin rozejrzał się po okolicy.*

– *Brakuje mi tego. Baru. Nawet byłbym gotów złagodzić nieco karę dla kłusownika, gdyby dał mi wymówkę, by nie wracać do zamku.*

– *Cienka to wymówka. Wasza Wysokość* – *skomentował Garret.* – *Według prawa i zwyczaju powinieneś był tę sprawę zostawić mnie i moim tropicielom.*

*Martin uśmiechnął się lekko.*

– *Fannon będzie na to nalegał.*

– *Rozumiem* – *odezwał się Baru.* – *Od prawie roku przebywałem z Elfami, a teraz z wami. Tęsknię za pagórkami i łąkami Wzgórz Yabonu.*

*Garret nic nie powiedział. Obaj z Martinem dobrze wiedzieli, dlaczego Hadati nie wrócił w rodzinne strony. Jego wioska została zrównana z ziemią przez wodza moredheli Murada. I chociaż Baru pomścił się srodze, zabijając Murada, nie wróciło*



*mu to ani domu, ani najbliższych. Może kiedyś znajdzie inną wioskę górali Hadati, gdzie będzie mógł się osiedlić. Na razie zdecydował się na włóczęgę z dala od domu. Gdy w Elvandarze doszedł do siebie, a rany się zabiły, przybył w gościnę do Martina, do Crydee.*

*Między drzewami pojawił się Charles, a za nim żołnierz z zamku. Wojak zsalutował przed Księciem.*

*– Mistrz Miecza Fannon prosi, abyś, panie, natychmiast wrócił do zamku.*

*– Co się dzieje? – Martin i Baru wymienili szybkie spojrzenia. Baru wzruszył ramionami.*

*– Mistrz Fannon pozwolił sobie podostać dwa zapasowe wierzchowce.*

*Wiedział, że poszliście pieszo.*

*– Prowadź – rozkazał Martin. Poszli ku pozostałym czekającym przy koniach. Gdy szykowali się do drogi powrotnej do zamku Crydee, Księżę poczuł nagły niepokój.*

*Fannon wyszedł na powitanie i czekał, aż Martin zsiądzie z konia.*

*– Co się stało, Fannon? – spytał, otrzepując się z kurzu.*

*– Czy Wasza Wysokość zapomniał, że dziś po południu przybywa pan Miguel?*

*Martin zerknął na słońce wiszące nisko nad horyzontem.*

*– W takim razie spóźnia się.*

*– Godzinę temu dostrzeżono jego statek na wysokości Boleści Żeglarza. Za godzinę powinien mijać latarnię na Długim Cyplu. A stamtąd do portu niedaleko.*

*Martin uśmiechnął się.*

*– Masz oczywiście rację, staruszk. Zapomniałem na śmierć. – Wbiegając po*

*schodach, obejrzał się. – Chodź, porozmawiamy, gdy będę się przebierał.*

*Popędził do swych komnat, zajmowanych kiedyś przez ojca, księcia Borrika.*

*Paziowie przygotowali już gorącą kąpiel. Martin szybko zrzucił z siebie myśliwski strój. Chwycił mocno pachnące mydło i myjkę.*

*– Skocz no po zimną wodę. Tylko migiem... i dużo. To pachnidło może podobałoby się mojej siostrze, ale mnie tylko kręci w nosie. – Paź wybiegł, aby przynieść więcej wody.*

*– No, Fannon, cóż to sprowadza w moje skromne progi znakomitego księcia Rodez z drugiego końca Królestwa? Stary Mistrz Miecza przysiadł na kozetce.*

*– Tego lata po prostu podróżuje. Czy to takie niebywale, Wasza Wysokość?*

*– Och. Fannon. – Martin parsknął śmiechem. – Przecież jesteśmy sami.*

*Przestań się sadzić. Głowę daję, że ciągnie za sobą co najmniej jedną córkę na wydaniu.*

*– Dwie. – Fannon westchnął ciężko. – Miranda ma dwadzieścia lat, a Inez piętnaście. Mówi się, że jedna i druga to prawdziwe piękności.*

*– Piętnaście! Bogowie, człowieku! Toż to jeszcze dzieciak. Fannon uśmiechnął się ponuro.*

*– Według moich informacji o tego dzieciaka stoczono już dwa pojedynki. Nie zapominaj, że pochodzą ze wschodu, Martin. Martin wyciągnął się wygodnie w wannie.*

*– Rzeczywiście, dosyć wcześnie zabierają się tam za politykę, prawda?*

*– Posłuchaj Martin. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś Księciem i bratem Króla. Nie ożeniłeś się jeszcze. Gdyby nie to, że żyjesz w zapadłym kącie Królestwa, od powrotu do domu miałbyś już sześćdziesiąt takich wizyt, a nie sześć.*

*Martin skrzywił się.*

*– Jeżeli będzie podobna do ostatniej, pakuję manatki i wracam natychmiast do puszczy i niedźwiedzi. – Ostatnią wizytę złożył księżę Tarloff, wasal księcia Ran. Jego córka była nawet dość czarująca, lecz okazała się kapryśna i chichotała nieustannie bez najmniejszego powodu. Jedno i drugie doprowadzało Martina do szału. Pożegnał dziewczynę dość luźną obietnicą, że któregoś dnia odwiedzi Tarloff.*

*– Chociaż trzeba przyznać, że była niczego sobie.*

*– Niczego sobie... i tak dalej nie ma z tym nic wspólnego, jak dobrze wiesz. Na Wschodzie nadal zamęt, chociaż od śmierci króla Rodrica minęły prawie dwa lata. Guy du Bas-Tyra zaszył się gdzieś i tylko bogowie wiedzą, co knuje. Niektórzy z jego stronników przyczaili się i nadal czekają, kto zostanie księciem Bas-Tyra. Dorzuć do tego śmierć Caldrica i utrzymujący się wakat na stanowisku księcia Rillanonu, a dojdiesz do wniosku, że cała wschodnia prowincja to domek z kart. Wyciągnij niewłaściwą i cała konstrukcja zwali się Królowi na łeb. Tully dobrze mu doradza, aby wstrzymał się i poczekał na synów i bratanków. Wtedy będzie mógł obsadzić więcej urzędów sprzymierzeńcami z prawdziwego zdarzenia. Dobrze by było, Martin, abyś nie tracił z oczu podstawowych faktów życia królewskiej rodziny.*

*– Tak jest. Mistrzu. – Młody księżę pokiwał ze smutkiem głową. Wiedział, że Fannon miał rację. Gdy Lyam wyniósł go na tron księżęcy Crydee, utracił wiele ze swej wolności, a był to dopiero początek kolejnych ograniczeń.*

*W progu pojawiło się trzech paziów z wiadrami lodowatej wody. Martin stanął w wannie i kazał się polać obficie. Dygocząc z zimna owinął się szybko miękkim ręcznikiem. Paziowie wyszli.*

*– Wszystko, co mówisz, Fannon, to oczywiście święta racja, tylko że nawet*

rok nie minął, odkąd wróciliśmy z Aruthą z Moraelin. A przedtem był ten ciągnący się w nieskończoność objazd Wschodu. Czy nie mógłbym mieć kilku miesięcy wyłącznie dla siebie, żeby spokojnie pomieszkać w domu?

– Już je miałeś. Zimą.

– Och dobrze, już dobrze. – Martin parsknął śmiechem. – Ale i tak sądzę, że zainteresowanie wiejskim Księciem stanowczo wykracza poza ustalone normy. Fannon pokręcił głową.

– Wykracza poza ustalone normy? Zainteresowanie bratem Króla?

– Żaden z moich ewentualnych potomków nie będzie mógł ubiegać się o koronę. Nawet gdyby w kolejce do tronu nie wyprzedzało ich trzech, może wkrótce czterech pretendentów. Chyba nie zapomniałeś, że wyrzekłem się jakichkolwiek roszczeń w imieniu mych potomnych.

– Martin, nie jesteś prostakiem. Nie zgrywaj dobrodusznego niewiniątka. W dniu koronacji Lyama mogłeś sobie gadać, co ci się żywnie podobało. Gdy jednak jakiś twój potomek znajdzie się w przyszłości w sytuacji, że będzie mógł objąć tron, a któreś ze stronnictw w Kongresie zechce go na Króla, twoje uroczyste przysięgi nie będą warte funta kłaków.

– Wiem. – Martin zaczął się ubierać. – Zrobiłem to tylko po to, aby powstrzymać niektórych od wystąpienia przeciwko Lyamowi, rzekomo w moim imieniu. Może i spędziłem w lasach większość życia, lecz gdy zasiadałem do wspólnego stołu z Tullym, Kulganem i ojcem, miałem uszy szeroko otwarte. Wiele się nauczyłem.

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu pojawił się wartownik.

– Wasza Wysokość, okręt pod flagą Rodez mija właśnie latarnię na Długim

*Cyplu. Martin odesłał go machnięciem ręki.*

*– Chyba musimy się pośpieszyć, aby przywitać Księcia i jego urocze córeczki*

*– powiedział do Fannona. Kończył się ubierać. – No, jestem gotów poddać się*

*inspekcji i zalotom księżęcych cór, ale jeśli któraś zacznie chichotać, niech bogowie mają ją w swojej opiece...*

*Fannon pokiwał ze współczuciem głową i wyszedł za Martinem.*

*Martin uśmiechnął się z żartu księcia Miguela, dotyczącego jednego ze*

*wschodnich możnowładców, którego miał kiedyś okazję spotkać. Jego słabostki*

*mogły być pożywką dla nieustannych żartów wschodnich panów, ale Martin nie*

*zauważył w nim nic śmiesznego. Zerknął na córki Księcia. Obie były bardzo ładne.*

*Delikatne rysy i jasna cera w oprawie prawie czarnych włosów. Obie miały też*

*ogromne, ciemne oczy. Miranda była pogrążona w rozmowie z młodym szlachcicem*

*Wilfriedem, trzecim synem barona Carse, od niedawna przebywającym na dworze*

*księcia Crydee. Inez, nie kryjąc tego specjalnie, wpatrywała się w Martina. Poczul,*

*jak kark mu czerwienieje. Szybko zwrócił się do jej ojca. Zrozumiał, dlaczego z jej*

*powodu pojedynekowali się w gorącej wodzie kąpani młodzieńcy. Nie wiedział, co*

*prawda, zbyt wiele o kobietach, ale był za to wytrawnym myśliwym i potrafił na*

*pierwszy rzut oka rozpoznać drapieżnika. Dziewczyna rzeczywiście mogła mieć*

*piętnaście lat, ale z pewnością była weteranką wschodnich dworów. Martin nie miał*

*najmniejszych wątpliwości, że wkrótce mała ustrzeli potężnego i wpływowego*

*męża. Miranda zaś była po prostu jeszcze jedną ładniutką dworską kobietką, ale*

*charakter jej siostry zdradzał pewne ostre cechy, które mu się nie podobały.*

*Dziewczyna z pewnością była niebezpieczna i niejednego okręciła wokół swego*

*paluszka. Martin poprzysiągł sobie solennie nigdy nie stracić tego faktu z pola*

widzenia.

Kolacja, zgodnie z upodobaniami Martina, przebiegła spokojnie. Jutro posiłek miała uświetnić wędrowna trupa akrobatów, żonglerów i trubadurów, która zawitała w te strony. Po objeździe wschodnich prowincji Martin nie przepadał za oficjalnymi bankietami, wypadalo jednak coś niecoś urządzić ku rozweseleniu gości. Do sali niespodziewanie wbiegł paź. Pędził na złamanie karku, klucząc między stolami. Dopadł do zarządcy Samuela i szeptał mu coś do ucha. Samuel wstał natychmiast i zbliżył się do Martina. Stanął za jego krzesłem i schylił się.

– Właśnie przybyły gołębie pocztowe z Ylith, Wasza Wysokość. Osiem!

Martin zrozumiał natychmiast. Skoro wysłano tak wielką liczbę ptaków, wiadomość musiała być bardzo pilna. Zazwyczaj, na wypadek gdyby któryś z pierzastych posłańców nie zdołał pokonać szczęśliwie pełnej niebezpieczeństwa trasy nad Górami Szarych Wież, wysyłano jednocześnie dwa, najwyżej trzy gołębie. Korzystano z ich usług bardzo ogłędnie, ponieważ podróż powrotna na wozie czy pokładzie okrętu zabierała kilka tygodni. Martin powstał.

– Czy Wasza Wysokość wybaczy na chwilę? – skłonił się lekko w stronę księcia Rodez. – Panie? – skłonił się obu siostram i wyszedł za paziem.

W korytarzu czekał już na niego Mistrz Sokolniczy, odpowiedzialny za sokoły i gołębnik. W dłoni trzymał niewielkie zwitki pergaminu. Podał je bezzwłocznie księciu i cofnął się o kilka kroków. Martin od razu zauważył, że mikroskopijne karteczki były owinięte banderolami, na których widniały królewskie pieczęcie z herbem Kronodoru. Oznaczało to, że wiadomość jest przeznaczona wyłącznie dla oczu Księcia.

– Przeczytam to w sali narad.

*Gdy znalazł się sam, spostrzegł, że przesyłki były ponumerowane: jeden i dwa. Cztery pary. Wiadomość przesłano czterokrotnie, by uzyskać pewność, że dotrze w całości. Martin rozwinął pergamin oznaczony cyfrą jeden. Przebiegł go szybko wzrokiem i oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki. Drżącymi palcami rozwinął drugi zwitek. Ta sama wiadomość powtórzona. Przeczytał wiadomość numer dwa i oczy zaszły mu łzami.*

*Przez kilka długich minut Martin otwierał pozostałe zwitki. Czytał je z nadzieją, iż odnajdzie w nich coś innego, coś, co mu powie, że źle zrozumiał wiadomość. Niestety, treść wszystkich ruloników była identyczna. Usiadł ciężko i długo patrzył bezsilnie na karteczki. Czuł, jak w żołądku narasta mu lodowaty, ciężki kamień. W końcu zapukano do drzwi.*

*– Tak? – odpowiedział słabym głosem. Drzwi otworzyły się powoli. Wszedł Fannon.*

*– Martin, nie ma cię już prawie od godziny... – przerwał w pół zdania, gdyż dostrzegł, że Martin ma ściągniętą twarz i zaczerwienione oczy. – Co się stało? Martin mógł jedynie wskazać ruchem dłoni zwitki piętrzące się na stole.*

*Fannon przeczytał je i opadł ciężko na krzesło. Drżącą dłonią zakrył twarz i trwał tak długo. Obaj milczeli.*

*– Jak to możliwe? – spytał wreszcie Fannon.*

*– Nie wiem. W wiadomości mówi się tylko o zabójcy. – Wzrok Martina wędrował bezwiednie po komnacie. Każdy kamień w ścianie, każdy mebel związany był nieodłącznie z jego ojcem, księciem Borrikiem. W rodzinie właśnie Arutha najbardziej przypominał mu ojca. Martin kochał ich wszystkich, ale Arutha był niemal jego lustrzanym odbiciem. Obaj mieli wspólny sposób patrzenia na wiele*

*spraw. Wiele razem przeżyli: oblężenie zamku w czasie Wojny Światów, gdy Lyam przez długi czas przebywał z ojcem poza domem; długą i śmiertelnie niebezpieczną wyprawę do Moraelin, aby odnaleźć Srebrzysty Cierń. W Arucie Martin znalazł najbliższego przyjaciela. Ukształtowany przez Elfy Martin zdawał sobie doskonale sprawę z nieuchronności śmierci. Był jednak tylko zwykłym śmiertelnikiem i nie mógł się uporać z narastającą w sercu straszliwą pustką. Z trudem zdołał się opanować. Wstał.*

*– Trzeba powiadomić księcia Miguela. Obawiam się, że jego wizyta będzie bardzo krótka. Jutro wyruszamy do Kronodoru.*

*Martin podniósł głowę – Fannon znowu wchodził do pokoju.*

*– Przygotowania zajmą całą noc i rano, ale kapitan mówi, że twój statek będzie gotów do wyjścia w morze z popołudniowym przypiływem.*

*Martin wskazał, by Fannon przysunął sobie krzesło i usiadł przy nim. Milczał bardzo długo.*

*– Jak to możliwe, Fannon?*

*– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. – Stary zadumał się. – Wiesz dobrze, Martin, że boleję z tobą całym sercem. My wszyscy tutaj. On i Lyam byli dla mnie jak synowie.*

*– Wiem.*

*– Ale są inne sprawy, których nie można odkładać na później.*

*– To znaczy...?*

*– Stary już jestem, Martin. Poczulem nagle na sobie ciężar wieków.*

*Wiadomość o śmierci Aruthy sprawiła, że znowu naszły mnie myśli o własnej śmiertelności. Chciałbym przejść na emeryturę.*



*Martin potarł brodę w zamyśleniu. Fannon był już po siedemdziesiątce. Nie odbiło się to w najmniejszym stopniu na sprawności jego umysłu, ale brakowało mu już wigoru i tężyzny fizycznej – tak potrzebnych zastępcy Księcia.*

*–Rozumiem. Po powrocie z Rillanonu...*

*– Nie, to zbyt długo – przerwał mu Fannon. – Nie będzie cię przez parę miesięcy. Mój następca musi otrzymać nominację teraz, przed twoim wyjazdem. Muszę mieć czas, by go podszkolić przed zdaniem urzędu. Gdyby był tutaj Gardan, nie miałbym żadnych wątpliwości, że zmiana warty przebiegnie gładko. Ale Arutha podkradł go... – w oczach starego wojaka pojawiły się łzy – i zrobił go Marszałkiem Kronodoru, no cóż...*

*– Rozumiem. O kim myślałeś? – Pytanie to rzucił machinalnie, ponieważ od kilku chwil walczył z sobą, by nie dać ponieść się emocjom i zachować spokój umysłu.*

*– Od biedy kilku sierżantów, ale tak naprawdę nie ma pośród nich nikogo, kto mógłby dorównać Gardanowi. Nie, myślałem raczej o Charlesie.*

*– Zawsze byłem przekonany, że mu nie ufasz. – Martin uśmiechnął się leciutko.*

*– To było dawno temu. –Fannon westchnął. – I mieliśmy wtedy wojnę. Od tego czasu dowiódł wielokrotnie, czego jest wart. Głowę daję, że nie ma drugiego równie nieustraszonego jak on. A poza tym był oficerem u Tsuranich, co odpowiada mniej więcej naszemu porucznikowi. Godzinami potrafi gadać o różnicach w prowadzeniu wojny przez Tsuranich i nas. Wiem jedno:*

*gdy się czegoś raz nauczy, nie zapomni już do końca życia. Jest bardzo rozsądny i wart tuzina innych. Ponadto żołnierze szanują go i bardzo cenią. Pójdą*

*za nim choćby w ogień.*

*– Rozważę twoją propozycję i podejmę decyzję wieczorem. Co jeszcze?*

*Fannon milczał przez dłuższą chwilę, jakby zbierał siły do tego, co za chwilę miał powiedzieć.*

*– Martin... ty i ja nigdy nie byliśmy zbyt blisko. Gdy twój ojciec powołał cię do służby, czułem jak i inni, że jest w tobie coś dziwnego. Zawsze zadzierałeś trochę nosa, a jeszcze te dziwaczne zwyczaje przejęte od Elfów. Teraz oczywiście wiem, że częścią tajemnicy była prawda twego stosunku do pokrewieństwa z Borrikiem. W pewnych sprawach wątpiłem w ciebie. Przykro mi to przyznać... Ale tak naprawdę usiłuję po prostu powiedzieć, że przynosisz zaszczyt swemu ojcu.*

*Martin wziął głęboki oddech.*

*– Fannon, dziękuję ci bardzo.*

*– Chcę, abyś dobrze zrozumiał to, co muszę ci jeszcze powiedzieć. Wizyta księcia Miguela należała do irytujących, jak pozostałe, podobne do niej. Teraz jednak sprawa nabiera innej wagi. Gdy dotrzesz do Rillanonu, musisz koniecznie porozmawiać i poradzić się ojca Tully'ego. Zдай się na niego i pozwól, aby to on znalazł ci żonę.*

*Martin odrzucił głowę w tył i zaśmiał się gorzkim, złym śmiechem.*

*– A cóż to za żarty, Fannon? Mój brat dopiero co zmarł, a ty chcesz, abym rozglądał się za żoną?*

*Fannon zachował stoicki spokój wobec rosnącego gniewu Martina.*

*– Nie jesteś już tylko Wielkim Łowczym Crydee, Martin. Wtedy nikogo nie obchodziło, czy kiedykolwiek ożenisz się i spłodzisz synów. Teraz jesteś jedynym bratem Króla. Na Wschodzie ciągle się gotuje. Księstwa Bas-Tyra, Rillanon i*

*Krondor pozostają nieobsadzone. Nie ma nawet samego księcia Krondoru. - Głos Fannona łamał się i chrypl z wyczerpania i emocji. – Jeżeli Bas – Tyra zaryzykuje powrót z wygnania do Królestwa, to Lyam znajdzie się na bardzo niebezpiecznym i niepewnym tronie. W sytuacji, gdy na sukcesję czekają tylko nieletnie dzieci Aruthy, będzie potrzebował przymierzy. I właśnie to miałem na myśli. Tully dobrze wie, które ze szlacheckich domów można pozyskać dla sprawy Króla przez odpowiednie małżeństwo. Nawet jeżeli miałyby to być ta diaboliczna Miguela – Inez, czy chichotka Tarloffa, ożeń się z nią, Martin... dla dobra Lyama, dla dobra Królestwa.*

*Martin zdusił w sobie gniew. Fannon dotknął czulego i bolesnego punktu, nawet jeśli miał rację. Martin był w zasadzie samotnikiem. Nie otwierał się przed nikim z wyjątkiem braci. Zawsze czuł się źle w towarzystwie kobiet. A teraz wmawiają mu, że musi się ożenić, aby jego brat mógł osiągnąć polityczne korzyści. Z drugiej strony widział i czuł, że w słowach Fannona kryła się głęboka mądrość. Jeśli zdradziecki Bas-Tyra knuł coś w ukryciu, korona Lyama wcale nie była ani taka pewna, ani bezpieczna, jakby się mogło wydawać. Śmierć Aruthy pokazała w sposób nadzwyczaj jaskrawy, jak śmiertelni bywają władcy tego świata.*

*– Przemyszę i to, Fannon. Obiecuję – powiedział w końcu. Stary Mistrz wstał powoli. Stojąc przy drzwiach, odwrócił się jeszcze.*

*– Wiem, choć dobrze to skrywasz, jaki ból jest w twym sercu. Przykro mi, że w pewien sposób jeszcze pogłębiam twe cierpienie, ale to musiało być w końcu głośno powiedziane.*

*Martin mógł tylko skinąć głową.*

*Fannon wyszedł. Martin został samotnie w komnacie – towarzyszyły mu jedynie nieregularne, tańczące po ścianach cienie kopających pochodni.*

*Martin przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, obserwował tętniący przygotowaniami do wyjazdu dziedziniec. On i książę Rodez mieli wkrótce wyruszyć w morze. Książę Miguel zaproponował uprzejmie, aby Martin zechciał mu towarzyszyć na pokładzie jego statku. Martin odmówił. Jego krótkie i stanowcze „nie” tylko ktoś bardzo wyrozumiały mógł przyjąć spokojnie i bez dalszych konsekwencji. Tłumaczyło go tylko głębokie cierpienie po śmierci brata. W przeciwnym razie szorstka odmowa mogła skończyć się ciężką obrazą.*

*Książę Miguel w towarzystwie córek, ubrani do drogi, pojawili się w wejściu głównego zamku. Dziewczyny starały się nie pokazywać po sobie irytacji wywołanej koniecznością tak rychłego wznowienia podróży. Rejs do Krondoru zajmie co najmniej dwa tygodnie, jeśli nie dłużej. A potem ich ojciec, jako przedstawiciel arystokracji od razu będzie śpieszył do Rillanonu na oficjalne uroczystości pogrzebowe Aruthy. Książę Miguel był drobnym mężczyzną o nienagannych manierach i ubiorze.*

*– To doprawdy przygnębiające, że musimy opuszczać twój wspaniały dom.*

*Książę, w tak tragicznych dla ciebie i Królestwa okolicznościach. Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, z prawdziwą radością zaofiaruję gościnę we własnym, gdyby Książę zechciał odpocząć nieco po pogrzebie brata. Ze stolicy do Rodez to tylko krótka podróż.*

*W pierwszym odruchu Martin chciał go zbyć wymówką, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, co powiedział Fannon w czasie ich wieczornej rozmowy.*

*– Jeśli tylko czas i okoliczności pozwolą, będę najszczęśliwszy, mogąc odwiedzić twój dom. Wasza Wysokość. Dziękuję bardzo za zaproszenie. – Zerknął spod oka na obie dziewczyny i zdecydował w duchu, że jeśli Tully doradzi*

*skoligacenie Crydee z Rodez, będzie zabiegał o rękę cichej i spokojnej Mirandy. Inez, jak na jego gust, zapowiadała zbyt wielkie kłopoty.*

*Księżę wraz z córkami udał się do portu powozem. Martin przypomniał sobie czasy, gdy księciem Crydee był jego ojciec. Nikt wtedy nie potrzebował powozów i karet. Nie sprawdzały się na zwykłych drogach księstwa, które po nawałnicach nawiedzających często wybrzeże, zmieniały się w rzeki błota. Z uwagi jednak na to, że Zachód coraz częściej był odwiedzany przez wielmożów wschodnich prowincji, Martin polecił zbudować powóz. Głównie ze względu na damy ze Wschodu, gdyż w dworskich strojach nie bardzo radziły sobie w siodle. Przypomniał sobie Carline, jak w czasie Wojny Światów cwałowała nie gorzej niż niejeden mężczyzna. W dobrze dopasowanych spodniach i krótkiej bluzie lubiła ścigać się z Rolandem ku bezgranicznemu oburzeniu i przerażeniu guwernantki. Westchnął. Żadna z dziewcząt Miguela nigdy nie będzie tak jeździła. Niejednokrotnie zastanawiał się, czy istnieje gdzieś kobieta, która zechciałaby dzielić z nim zamiłowanie do prostego życia. Być może jedyne, na co mógł liczyć, to dziewczyna, która przynajmniej uzna i zaakceptuje jego potrzeby. Nie poskarży się na jego długie nieobecności, gdy będzie polował czy odwiedzał przyjaciół w Elvandarze.*

*Niewesołe myśli zostały przerwane przez pojawienie się żołnierza w towarzystwie Sokolnika, który wręczył mu kolejny mały zwitek pergaminu.*

*– Właśnie nadszedł. Wasza Wysokość.*

*Martin wziął przesyłkę. Znajdował się na niej herb Saladoru. Martin odczekał, aż Sokolnik wyjdzie i dopiero wtedy otworzył zwitek. Prawdopodobnie prywatny liścik od Carline. Przeczytał. Potem jeszcze raz. Zwinął pergamin i skrupulatnie schował do sakiewki przy pasie. Jakiś czas siedział całkowicie*

*pogrążony w myślach. W końcu wezwał żołnierza pełniącego wartę.*

*– Sprowadź tu Mistrza Fannona. Stary wojak stawiał się po paru minutach.*

*– Przemyslałem wszystko i przyznaję ci rację. Zaproponuję godność Mistrza Miecza Charlesowi.*

*– To dobrze. Sądzę, że ją przyjmie.*

*– Zaraz po moim wyjeździe zajmij się jego szkoleniem i przygotuj dobrze do objęcia funkcji.*

*– Tak jest. Wasza Wysokość. – Odwrócił się i ruszył do drzwi. Po paru krokach zatrzymał się i odwrócił powoli. Spojrzał z uwagą na Martina. – Wasza Wysokość?*

*Martin, który już podązał w stronę głównego zamku, zatrzymał się również.*

*– Tak?*

*– Czy... czy Księżę dobrze się czuje?*

*– Doskonale, Fannon. Właśnie dostałem wiadomość od Lauriego. Carline i Anita czują się dobrze. – A teraz rób swoje. – Odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Po chwili zniknął w wielkich drzwiach głównego zamku.*

*Fannon zawahał się, zanim ruszył w swoją stronę. Ton i zachowanie Martina zdumiały go. Gdy maszerował do zanku, w jego wyglądzie było coś... coś dziwnego.*

*Baru spokojnie wpatrywał się w Charlesa. Obaj mężczyźni ze skrzyżowanymi nogami siedzieli na podłodze. Obok Charlesa, po lewej stronie stał niewielki gong.*

*Pomiędzy mężczyznami tliło się wonne kadzidło, napędzając komnatę słodkokorzennym zapachem. Pomieszczenie oświetlały cztery świece. Jedyne jego wyposażenie stanowiła przykrywająca podłogę mata, którą Charles wolał odsunąć od łóżka oraz niewielka drewniana skrzynia i stos poduszek. Obaj mieli na sobie*

*proste szaty, a na ich kolanach spoczywały miecze. Baru czekał spokojnie. Wzrok*

*Charlesa wbity był w jakiś niewidzialny punkt pomiędzy nimi.*

*– Co to jest Droga? – spytał Tsurani.*

*– Droga to lojalna służba panu i głęboka wierność w stosunkach z towarzyszami broni. Droga, w odniesieniu do miejsca każdego na Kręgu, sprowadza się do stawiania obowiązku ponad wszystko inne.*

*Charles skinął krótko głową.*

*– W sprawach obowiązku kodeks honorowy wojownika nie podlega dyskusji.*

*To absolut. Obowiązek ponad wszystko. Aż do śmierci.*

*– Tak, to rozumiałe.*

*– Jaka jest więc natura obowiązku?*

*– Jest obowiązek wobec pana. – Baru mówił spokojnym, cichym głosem. –*

*Obowiązek wobec klanu i rodziny. Jest obowiązek w stosunku do pracy, którą się wykonuje, co z kolei pozwala zrozumieć obowiązek wobec samego siebie. W sumie wszystkie te elementy stają się zbiorowym obowiązkiem, którego nigdy nie można wypełnić w sposób całkowicie zadowalający, nawet przez trud całego życia.*

*Obowiązek próbowania osiągnięcia doskonałej egzystencji, wspięcia się na wyższe miejsce na Kręgu.*

*Charles skinął głową.*

*– Tak jest zaprawdę. – Małym filcowym młoteczkiem uderzył w gong. –*

*Słuchaj.*

*Baru zamknął oczy w medytacyjnej zadumie, wsłuchując się w jękliwy dźwięk, który stopniowo cichnąc i zanikając, wtapiał się w ciszę.*

*– Znajdź tę chwilę, gdy kończy się dźwięk a rozpoczyna cisza. Staraj się*

zaistnieć w tym momencie, bo tam znajdziesz swoją jaźń. To twoje tajemne centrum bytu, miejsce doskonałego spokoju wewnątrz ciebie samego. I przywołaj w pamięci najstarszą, odwieczną lekcję Tsuranich: obowiązek jest miarą wszystkich rzeczy, jest ciężki jak tylko brzemie ciężkie być potrafi, śmierć zaś to nic, jest lżejsza niż powietrze.

Drzwi się otworzyły i do środka wślizgnął się Martin. Zarówno Baru, jak i Charles chcieli podnieść się z podłogi, lecz dał im znak, by pozostali na miejscach. Ukląkł pomiędzy nimi, wpatrując się w kadzidło.

– Przepraszam, że przerywam.

– Ależ, Wasza Wysokość... – odpowiedział Charles.

– Przez lata całe walczyłem z Tsuraniami i mogę stwierdzić, że to honorowi przeciwnicy – powiedział Baru. – Teraz dowiaduję się o nich jeszcze więcej. Charles wyraził zgodę, bym poznał Kodeks Wojownika, podobnie jak jego ludzie.

Martin nie wydawał się tym wcale zdziwiony.

– Dużo się nauczyłeś?

– Są tacy sami jak my – powiedział góral, uśmiechając się lekko. – Nie znam się na tych sprawach zbyt dobrze, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy jak dwa pędy wyrastające z tego samego korzenia. Podążają Drogą i rozumieją Krąg tak samo jak Hadati. Podobnie jak oni pojmują sprawy honoru i obowiązku. My, którzy żyjemy w Yabon, dużo przejęliśmy od Królestwa:

imiona naszych bogów i zasady naszego języka oraz słownictwo, lecz Hadati zachowali wiele starych tradycji i zwyczajów. Wiara Tsuranich w Drogę jest niezwykle podobna do naszej. To dziwne, ponieważ aż do chwili pojawienia się Tsuranich nikt, kogo spotkaliśmy wcześniej, nie podzielał naszych wierzeń.



*Martin spojrzął na Charlesa pytającym wzrokiem. Tsurani wzruszył lekko ramionami.*

*– Być może w obu światach odkryliśmy tę samą prawdę? Któż to może wiedzieć?*

*– Zdaje się, że warto by o tym porozmawiać z Kulganem i Tullym – zasugerował Martin. Na chwilę zapadła cisza. Charles, czy przyjmiesz propozycję objęcia urzędu Mistrza Miecza?*

*Charles zamrugał oczami. Była to jedyna oznaka zdziwienia, jaką dało się zauważyć na twarzy Tsuraniego.*

*– Czynisz mi wielki zaszczyt. Wasza Wysokość. Tak.*

*– To dobrze, cieszę się. Po moim wyjeździe Fannon zacznie cię wprowadzać w sprawy, które musisz poznać, zanim obejmiesz funkcję. – Martin spojrzął ku drzwiom i ściszył głos. – Chcę, abyście obaj wyświadczyli mi pewną przysługę.*

*Charles nie wahał się ani przez sekundę, by usłużyć swemu panu. Baru przez kilka chwil przypatrywał się z uwagą Martinowi. W czasie wyprawy z Aruthą do Moraelin powstała między nimi bliska więź. Niewiele brakowało, a Hadati postradałby życie, lecz łaskawy los go oszczędził. Baru czas jakiś temu zrozumiał i przyjął, że koleje jego życia w jakiś przedziwny sposób splątane zostały z losem tych, którzy uczestniczyli w wyprawie po Srebrzysty Cierń. W oczach Księcia dostrzegł coś dziwnego, lecz daleki był od zadawania pytań. Dowie się, o co chodzi, gdy przyjdzie na to czas.*

*– Ja również jestem na twe usługi, panie.*

*Martin usiadł pomiędzy nimi i zaczął mówić cichym głosem.*

*Martin owinął się szczelniej peleryną. Z północy wiała ostra, przejmująca*

chłodem popołudniowa bryza. Spojrzał za rufę. Crydee zniknęło z oczu, przysłonięte wzniesieniem Boleści Żeglarza. Skinął kapitanowi i udał się na niższy pokład.

Wszedł do kabiny kapitana i zamknął szczelnie drzwi za sobą. Wewnątrz czekał już na niego jeden z żołnierzy Fannona – Stefan. Wzrostem i budową ciała dorównywał Księciu. Miał na sobie identyczną bluzę i spodnie jak Martin. Bardzo wczesnym rankiem został przemycony na pokład przebrany za zwykłego żołnierza. Martin zrzucił z ramion pelerynę i podał żołnierzowi.

– Nie wychodź na pokład przed nocą, zanim nie miniecie Queg. Jeśli z jakichś względów statek będzie musiał zawinąć do Carse, Tulan czy Wolnych Miast nie chcę, żeby marynarze gadali o moim zniknięciu.

– Tak jest. Wasza Wysokość.

– Spodziewam się, że po dotarciu do Kronodoru będzie na was czekał powóz.

Nie mam pojęcia, jak długo uda ci się podtrzymać tę maskaradę. Większość szlachty, która mnie kiedyś spotkała, będzie już dawno w drodze do Rillanonu. Jesteśmy na tyle podobni, że przy pobieżnym rzuceniu okiem nikt ze służby też nie powinien cię rozpoznać. – Przyglądał się z uwagą swemu sobowtórowi. – Jeżeli będziesz trzymał głowę na kłódkę, możesz uchodzić za mnie nawet do samego Rillanonu, kto wie?

Stefan wyglądał nieswojo. Perspektywa długiego „oblężenia” – udawania arystokraty – wprawiała go w nerwowy nastrój.

– Spróbuję, Wasza Wysokość.

Statek zakołysał się. Kapitan zarządził zmianę kursu.

– To pierwszy sygnał – powiedział Martin. Szybko zrzucił buty, bluzę i spodnie i został tylko w bieliźnie.

W kabinie kapitana znajdowało się pojedyncze okienko. Przerdzewiałe

*zawiasy zaprotestowały głośnym skrzypieniem. Martin wysunął nogi na zewnątrz.*

*Tuż nad głową usłyszał gniewny okrzyk kapitana.*

*– Podchodzisz za blisko brzegu! Ostro na prawą burtę! W odpowiedzi doszedł go zmieszany głos sternika.*

*– Tak jest kapitanie, ostro na prawą burtę.*

*– Niech bogowie mają cię w swojej opiece, Stefan – szepnął Martin.*

*– I ciebie. Wasza Wysokość.*

*Martin puścił krawędź okna. Kapitan ostrzegł go o niebezpieczeństwie uderzenia w płetwę steru, więc z łatwością ominął przeszkodę. Kapitan podpłynął do brzegu na tyle blisko, na ile pozwalało bezpieczeństwo statku i odbił ostrym kursem na głębsze wody. Od plaży dzielił Martina dystans około półtora kilometra. Nie należał do najlepszych pływaków, lecz był bardzo silny i wytrzymały. Popłynął ku brzegowi swobodnie poruszając ramionami i nogami. Przewalające się leniwie bałwany zmniejszyły niebezpieczeństwo, że jakiś majtek w olinowaniu dostrzeże człowieka znajdującego się za rufą.*

*Wkrótce Martin dotknął stopami gruntu. Wyszedł na piasek, zataczając się ze zmęczenia. Dyszał ciężko. Rozejrzał się, szukając znajomych punktów na wybrzeżu. Prądy zniosły go nieco dalej na południe, niż oczekiwał. Wziął głęboki oddech i ruszył biegiem w przeciwną stronę.*

*Nie trwało to długo. W niecałe dziesięć minut później zza niskiej wydmy wyskoczyło trzech jeźdźców. Dostrzegł ich i zatrzymał się. Garret pierwszy zeskoczył z konia. Charles prowadził zapasowego wierzchowca. Baru pilnie obserwował okolice, wypatrując niepożądanych widzów. Garret podał Księżciu zawiniątko z ubraniami. Podczas biegu skóra Martina wyschła. Ubrał się błyskawicznie. Do siodła*

*zapasowego rumaka przytroczony był długi bojowy łuk owinięty w nieprzemakalną tkaninę.*

*– Czy ktoś zauważył, że opuściliście zamek? – spytał.*

*– Garret z twoim wierzchowcem uczynił to jeszcze przed świtem – rzekł*

*Charles. – A ja powiedziałem strażom, że odprowadzam Baru, który wraca do*

*Yabonu. Nikt nic nie komentował.*

*– To dobrze. Jak mieliśmy okazję przekonać się poprzednio, gdy przyszło zmierzyć się z agentami Murmandamusa, najważniejsze jest zachowanie tajemnicy.*

*– Martin dosiadł konia. – Dziękuję za pomoc. Garret i Charles wracajcie jak najszybciej do zamku, zanim ktoś zacznie coś podejrzywać.*

*– Cokolwiek los przyniesie. Wasza Wysokość, niech również obdarzy honorem – powiedział Charles.*

*– Wszystkiego dobrego. Księżę.*

*Czterech jeźdźców wyruszyło w drogę. Dwóch wracało gościńcem ciągnącym się ponad wybrzeżem do Crydee, a dwóch zostawiło za sobą plażę, by po niedługim czasie zagłębić się w lasy ciągnące się na północny wschód.*

*Puszcza była cicha i spokojna. Tu i ówdzie dało się słyszeć ćwierkanie i śpiew ptaków czy szelest poszycia, w którym buszowały drobne zwierzątka. Odgłosy te jednak dowodziły, że wszystko było tak, jak być powinno. Od wielu dni Martin i Baru jechali forsownie, zmuszając wierzchowce do dawania z siebie wszystkiego.*

*Kilka godzin wcześniej przejechali w bród rzekę Crydee.*

*Spoza drzew wyłoniła się postać w ciemnozielonej bluzie i dopasowanych spodniach z brązowej skóry. Pomachała do nich na powitanie.*

*– Witaj, Martinie Długi Łuk i ty. Baru, Pogromco Węży.*

– Witaj Tarlen. Przybywamy, aby naradzić się z Królową.

– Zatem podążajcie śmiało dalej, ponieważ zawsze będziecie miłymi gośćmi na jej dworze. Ja muszę zostać na miejscu – trzymam wartę. Od waszego ostatniego pobytu sprawy przybrały nieco inny obrót i jest tu trochę niespokojnie.

Wyczulone ucho Martina rozszyfrowało ton głosu Elfa. Było oczywiste, że coś go nurtowało, ale najwyraźniej nie chciał o tym mówić. Martin będzie musiał poczekać z wyjaśnieniem tej zagadki, aż zobaczy się z Królową i Tomaszem. Zamyślił się. Ostatni raz Elfy były czymś zaniepokojone, gdy Tomasz doszedł do szczytu swego szaleństwa. Martin dał ostrogę koniowi i pogalopował przez las.

Wkrótce dotarli w pobliże centrum puszczy, Elvandaru, odwiecznego domu Elfów. Miasto drzew skąpane było w promieniach. Słońce świeciło wysoko nad głowami i korony drzew lśniły pełnym blaskiem. Poruszone delikatnym wietrzykiem liście migotały wszystkimi odcieniami zieleni i złota, czerwieni i bieli czy wreszcie srebra i miedzianego poblasku brązu.

Gdy zsiadali z koni, podszedł jeden z Elfów.

– Zajmiemy się waszymi rumakami. Księżę. Jej Wysokość życzy sobie, abyście natychmiast przybyli na dwór.

Nie zwlekając Martin i Baru ruszyli w górę wyciętymi w pniu drzewa schodami, prowadzącymi do wnętrza miasta Elfów. Szli w górę łukowato wygiętymi na powierzchni potężnych konarów chodnikami. Dotarli w końcu do wielkiej platformy w centrum Elvandaru – dworu Królowej.

Aglaranna siedziała na tronie w milczeniu, a u jej boku stał główny doradca, Tathar. Wokół tronu zasiadła rada królewska, starsi czarodzieje. Drugi tron świecił pustką. Wyraz twarzy królowej był dla większości ludzi kamienną maską, lecz

*Martin doskonale obeznany z tajemnym życiem Elfów, dostrzegł w jej spojrzeniu napięcie i smutek. Mimo to nadal olśniewała urodą i dostojnością. Jej uśmiech był jak ciepły promyk słońca.*

*– Witaj, księżo Martinie. Witaj Baru z górali Hadati.*

*Obaj skłonili się nisko.*

*– Pójdźcie za mną, musimy porozmawiać.*

*Wstała i wraz z Tatharem zaprowadziła ich do swej komnaty. Gdy znaleźli się wewnątrz, wskazała miejsca i poprosiła, by usiedli. Wniesiono wino i posiłek. Goście nie skorzystali z poczęstunku, ponieważ Martin nie zwlekając, zabrał głos.*

*– Coś jest nie w porządku – i nie było to wcale pytanie, lecz stwierdzenie faktu.*

*Wyraz troski na twarzy Aglaranny pogłębił się. Od czasów Wojny Martin nie widział jej w takim stanie.*

*– Tomas odszedł.*

*– Dokąd? – Martin zamrugał nerwowo.*

*– Nie wiemy – odpowiedział Tathar. – Zniknął nagle w nocy, kilka dni po Święcie Przesilenia Letniego. Zdarzało się czasem, że się oddalał, aby pobyć sam na sam ze swoimi myślami, lecz nigdy nie trwało to dłużej niż dzień. Gdy nie pojawił się po dwóch dniach, wysłaliśmy tropicieli. Z Elvandaru nie prowadził żaden ślad, co nie zdziwiło nas zbytnio, ponieważ wiedzieliśmy, że miał własne sposoby podróżowania. Na polanie, na północ od Elvandaru udało nam się odkryć ślady jego butów. Obok widniały na ziemi ślady sandałów innego człowieka.*

*– Zatem udał się tam na spotkanie z kimś i nie powrócił.*

*– Były tam jeszcze trzecie ślady... smoka – powiedziała Aglaranna. – I znowu*

*Valheru dosiada smoka i wzbija się w powietrze...*

*Martin zrozumiał wszystko. Wyprostował się.*

*– Obawiacie się, że powróciło szaleństwo?*

*– Nie – odpowiedział Tathar natychmiast. – Tomas jest już od tego wolny.*

*Jest nawet silniejszy, niż sam podejrzewa. Nie, to nie to. Niepokoi nas, że Tomas musiał odejść bez słowa pożegnania. Niepokoi nas obecność tego drugiego.*

*– Sandały? – Oczy Martina rozszerzyły się raptownie.*

*– Sam wiesz najlepiej, Martin, jakiej mocy trzeba, aby dostać się do naszych puszczy niezauważonym. Tylko jeden człowiek w historii posiadał do tej pory taką zdolność: Czarny Macros.*

*– Być może nie on jeden. – Martin zamyślił się. – Wiem, że Pug został w świecie Tsuranich, aby zgłębić problem Murmandamusa i tego, kogo nazwał Nieprzyjacielem. Może to on właśnie powrócił?*

*– Który to z mistrzów magii czarnoksięskiej, nie ma akurat większego znaczenia – zauważył Tathar. Baru chrząknął delikatnie i zabrał głos,*

*– Ważne, że dwóch ludzi o potędze nie dającej objąć się naszym rozumem podjęło się jakiejś tajemniczej misji. I dzieje się to akurat w chwili, gdy z północy powróciły kłopoty.*

*– Tak, masz rację – powiedziała Królowa. Zwróciła się do Martina. – Doszły nas słuchy o śmierci tego, który bliski był twemu sercu. – Zgodnie z odwiecznym zwyczajem Elfów unikała wypowiedzenia na głos imienia zmarłego.*

*– Pani, są rzeczy, o których nie wolno mi mówić... nawet osobie tak szanowanej i cenionej jak ty. Przyrzekłem...*

*– W takim razie – odezwał się Tathar – czy wolno mi spytać, dokąd się*

*udajecie i co was sprowadziło do Elvandaru?*

*– Ponownie nadszedł czas, by udać się na północ. Trzeba zakończyć dzieło rozpoczęte przed rokiem.*

*– Bardzo roztropnie uczyniliście, kierując swe kroki do nas – powiedział Tathar. – Na wybrzeżu, na wschód stąd wyśledziliśmy oznaki masowych migracji goblinów na północ. Również moredhele poczynają sobie hardo, patrolując otwarcie granice naszych lasów. Wydaje się, iż za wszelką cenę chcą się upewnić, czy któryś z naszych wojowników nie przekroczył granic terytoriów Elfów. Otrzymaliśmy również meldunki o pojawieniu się band ludzkich renegatów przemykających na północ, w pobliżu granic z Kamienną Górą. Gwali uciekły na południe do Zielonego Serca, obawiając się, że nadciąga coś złego. Jakby tego było jeszcze mało, od ładnych paru miesięcy nawiedza nas nieustannie przedziwny i złowróżbny wiatr o wyraźnie magicznych właściwościach, jakby jakaś moc ciągnęła ku północy. Niepokoi nas wiele rzeczy.*

*Baru i Martin wymienili spojrzenia.*

*– Sprawy nabrały szybkiego obrotu... – powiedział Hadati półgłosem.*

*Dalszą rozmowę przerwał okrzyk dochodzący z dołu. Jakiś Elf zbliżył się do królowej.*

*– Wasza Wysokość, proszę przyjść – Powrót! Aglaranna wstała natychmiast.*

*– Martin, Baru chodźcie ze mną. Będziecie świadkami cudownego wydarzenia.*

*Tathar poszedł w ich ślady.*

*– Jeśli to naprawdę Powrót, a nie podstęp... – mruknął pod nosem.*

*Pozostali doradcy dołączyli do władczyni i jej doradcy. Pośpiesznie zeszli na*



*dno lasu. Ich oczom ukazał się siedzący na ziemi moredhel otoczony ciasnym kręgiem wojowników. Ciemny elf sprawił na Martinie dziwne wrażenie. Jak na przedstawiciela swojej rasy był wyjątkowo spokojny i opanowany.*

*Moredhel dostrzegł królową i skłonił się nisko.*

*– Pani, powróciłem – powiedział miękkim głosem. Aglaranna skinęła ku*

*Tatharowi. On i pozostali Czarodzieje zgromadzili się wokół moredhela. Martina ogarnęło nagle dziwne, odurzające wrażenie. Jakby powietrze wokół naelektryzowało się raptownie. Dało się słyszeć melodyjne, bardzo delikatne dźwięczenie. Czarodzieje zaczęli snuć swoje magiczne pasma.*

*– On rzeczywiście wrócił! – oznajmił nagle Tathar.*

*– Jakie jest twoje imię? – spytała Aglaranna.*

*– Morandis, Wasza Wysokość. •*

*– Już nie. Teraz nazywasz się Lorren.*

*Martin przed rokiem dowiedział się, iż nie istniała żadna istotna różnica pomiędzy poszczególnymi odłamami rasy Elfów. Rozdzieliła je tylko moc Mrocznego Szlaku, który wiązał moredheli z egzystencją przesyconą morderczą nienawiścią skierowaną przeciwko wszystkim obcym. Między Elfami i moredhelami istniały jednak subtelne różnice w podejściu do życia, zachowaniu i psychice.*

*Moredhel powstał z ziemi. Otaczające go Elfy pomogły mu zdjąć szarą bluzę puszczańskich klanów moredheli. Martin przez całe życie miał bliski kontakt z Elfami i wiele razy potykał się w walce z moredhelami, by z łatwością rozpoznać różnicę. Tym razem jednak zmysły go zwodziły. W jednej chwili moredhel wydawał mu się dziwny, jakiś inny od tego, co spodziewał się ujrzeć, by nagle przestać być moredhelem w ogóle. Przybysz otrzymał brązową bluzę i raptownie, w niemal*

*cudaowny sposób, Martin ujrzał przed sobą Elfa. Nadal miał ciemne włosy i oczy, tak charakterystyczne dla moredheli, lecz niejeden Elf miał takie same. Zdarzało się również, że moredhele były niebieskookimi blondynami. To był Elf!*

*Tathar obserwował spod oka reakcję Martina na dokonującą się przemianę.*

*– Marzą się co jakiś czas, że ten czy ów z zagubionych braci wyłamuje się z Mrocznego Szlaku. Jeśli jego pobratymcy nie odkryją przemiany i nie zabiją go, zanim do nas dotrze, witamy jego powrót do domu z otwartymi ramionami. To wielka radość i święto dla nas wszystkich.*

*Martin i Baru obserwowali, jak znajdujące się w pobliżu Elfy podchodziły, by objąć Lorrena w braterskim uścisku, witając go w domu.*

*– W przeszłości moredhele zazwyczaj próbowali podsylać nam swoich na przespīgi. Zawsze potrafimy odróżnić prawdziwie powracającego od agenta. Ten prawdziwie powrócił do swego ludu.*

*– Czy często się to zdarza? – spytał Baru.*

*– Ze wszystkich mieszkańców Elvandaru jestem najstarszy. Przed dzisiejszym byłem świadkiem tylko siedmiu prawdziwych Powrotów. – Zamilkł na chwilę. – Żywimy głęboką nadzieję, iż nadejdzie taki dzień, w którym odzyskamy wszystkich naszych braci. Nastąpi to jednak dopiero wtedy, gdy potęga Mrocznego Szlaku zostanie w końcu złamana na zawsze.*

*Aglaranna zwróciła się do Martina.*

*– Chodźcie, będziemy świętować i cieszyć się.*

*– Niestety, Wasza Wysokość, nie możemy. Musimy bezzwłocznie ruszać w drogę, by spotkać się z innymi.*

*– Czy możemy poznać wasze zamierzenia?*

*– Plan jest prosty – odpowiedział ksiączę Crydee. – Odnajdziemy*

*Murmandamusa.*

*– I zabijemy go – dodał Baru beznamiętnie.*

*W DROGĘ*

*Jimmy siedział w ciszy.*

*Nieobecny wzrokiem wodził po trzymanej w ręku liście, starając się skupić na sprawie, którą powinien załatwić. Nic z tego, nie był w stanie skoncentrować się na pracy. Rozmieszczenie młodych szlachciców w orszaku żałobnym i plan ich obowiązków były gotowe i nie zostaną już lepiej dopracowane. Jimmy czuł w sobie straszliwą pustkę. Wobec takiej tragedii konieczność podjęcia decyzji, jakie każdy z chłopców ma zająć miejsce, wydawała się beznadziejnie błaha, wręcz trywialna. Od dwóch tygodni starał się zwalczyć ściskające mu gardło uczucie, że został pochwycony w pułapkę jakiegoś koszmarnego snu, snu nieprzespanego, snu, z którego objąć nie sposób się wyrwać i otrząsnąć. Dotychczas w życiu nic jeszcze nie dotknęło go tak głęboko i boleśnie jak zamordowanie Aruthy. Chłopak ciągle jeszcze nie mógł sobie poradzić ze swoimi uczuciami. Sypiał teraz bardzo długo i często, sen był dla niego ucieczką od rzeczywistości. Po przebudzeniu, spięty i nerwowy, rzucał się natychmiast w wir pracy, jakby zajęcia mogły oddalić moment konfrontacji z boleścią w sercu. Trzymał ją ukrytą głęboko na dnie, by zmierzyć się z nią później. Westchnął. Jedno wiedział na pewno: przygotowania do pogrzebu trwały potwornie długo. Już dwa razy Volney i Laurie odwlekali wyruszenie konduktu. Mary zostały umieszczone na powozie na drugi dzień po śmierci Aruthy i czekały na ciało. Tradycja nakazywała, aby kondukt pogrzebowy wyruszył do Rillanonu i grobowca, w którym spoczywali wszyscy przodkowie rodu, w ciągu trzech dni od*

śmierci. Okazało się to niemożliwe. Najpierw minęło kilka dni, zanim Anita powróciła z majątku matki. Przez kilka następnych dochodziła do siebie, jej stan nie pozwalał wyruszyć w długą i męczącą podróż. Musieli odczekać jeszcze kilka kolejnych dni, aż zjedzie do Kronodoru cała mająca uczestniczyć w uroczystościach szlachta. Do tego wszystkiego w pałacu panował całkowity chaos i tak dalej, i tak dalej, bez końca. Jimmy dobrze sobie zdawał sprawę, że nie będzie w stanie pogodzić się z tragedią, dopóki Arutha nie trafi na miejsce swego wiecznego spoczynku.

Świadomość, że jego ciało leży teraz gdzieś blisko miejsca, w którym Jimmy się teraz znajdował, w tymczasowym grobowcu przygotowanym przez Nathana, doprowadzała go do szaleństwa. Potarł gwałtownie oczy i zwiesił głowę – raz jeszcze zostało zażegnane niebezpieczeństwo niekontrolowanego zalania się łzami. W swym krótkim życiu spotkał tylko jednego człowieka, który stał się prawdziwie bliski jego sercu. Logicznie rzecz biorąc, Arutha był ostatnim człowiekiem na świecie, który powinien był przejmować się losem złodziejaszka. A jednak zajął się nim. Udowodnił, że jest prawdziwym przyjacielem, a nawet kimś więcej. On i Anita stali się dla niego najbliższą i najlepszą namiastką rodziny, jaką miał kiedykolwiek w życiu.

Zapukano do drzwi. Gwałtownie poderwał głowę. W progu stał Locklear.

Jimmy gestem ręki, zaprosił go do środka. Chłopak zasiadł po przeciwnej stronie biurka. Jimmy rzucił w jego kierunku zwój pergaminu, nad którym ślęczał.

– Masz, ty to zrobisz.

Locklear przebiegł szybko wzrokiem listę i sięgnął po pióro w kałamarzu.

– Już prawie gotowe. Tylko Paul rozłożył się na jakieś choróbko i medyk zapakował go na dzień do łóżka. Potrzebuje wypoczynku. Ależ tu bałagan. Lepiej jak

*to przepiszę.*

*Jimmy, nieobecny duchem, pokiwał machinalnie głową. Poprzez szary woal cierpienia i żalu docierało do jego świadomości, że coś niepokozi jego umysł. Od trzech dni coś nie dawało mu spokoju, uporczywie tłukło się w najciemniejszym zakątku głowy. Mieszkańcy pałacu nadal nie mogli się otrząsnąć z szoku po śmierci Aruthy, lecz tu i ówdzie pojawiała się ledwo zauważalna dziwna nuta. To ktoś powiedział coś dziwnego, to zachował się nietypowo w stosunku do okoliczności. Na razie nie potrafił wskazać palcem na fałszywy ton. Nie wiedział nawet, czy jest ważny. Odepchnął niepokój w duszy. Przecież różni ludzie w odmienny sposób reagują na tragedię. Niektórzy, jak Volney czy Gardan, rzucili się w wir pracy. Inni, jak Carline, odsunęli się na bok, by zmagać się z cierpieniem w samotności. Księżę Laurie bardzo przypominał Jimmiego. Odłożył boleść na bok, by zmierzyć się z nią kiedy indziej. Nagle Jimmy zrozumiał jeden z powodów, dla których wyczuwa! w pałacu coś dziwnego. Jeszcze trzy dni wcześniej pełno było Lauriego w całym pałacu, teraz jakby wyparował.*

*Jimmy zerknął na Lockleara pieczołowicie przepisującego rozkład obowiązków.*

*– Locky, widziałeś gdzieś ostatnio księcia Laurie?*

*– Dziś rano, bardzo wcześnie – odpowiedział, nie odrywając oczu od pergaminu. – Nadzorowałem wydawanie śniadania dla przybyłej szlachty i zobaczyłem, jak wyjeżdżał przez bramę.*

*– Podniósł nagle głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. – ..  
.przez boczną bramę?*

*– Dlaczego miałby opuszczać pałac tylnym wyjściem? – zastanawiał się*

*głośno Jimmy. Locklear wzruszył ramionami i wrócił do pisania.*

*– Może tamtędy było mu najbardziej po drodze, to znaczy tam, dokąd zmierzał? – rzucił niedbale.*

*Jimmy zamyślił się. Jaki powód mógł mieć książę Saladoru, by o świcie w dniu, w którym miał ruszyć kondukt pogrzebowy księcia Kronodoru, jechać w stronę Dzielnicy Biedoty? Westchnął.*

*– Na starość robię się podejrzliwy.*

*Locklear parsknął śmiechem – był to pierwszy radosny odgłos w pałacu od wielu, wielu dni. Po chwili, jakby sam się przyłapał na niecnym uczynku, zakrył usta ręką i spojrzał z miną winowajcy na przyjaciela.*

*– Gotowe? – Jimmy wstał.*

*– Skończone – odpowiedział chłopak, oddając pergamin.*

*– Dobra robota. Chodź ze mną. Jeśli się spóźnimy, DeLacy tym razem nie okaże zwykłej wyrozumiałości.*

*Pospieszyli na miejsce zbiórki młodych szlachciców. Tym razem, ze względu na powagę chwili i żalobę, nie było pośród nich zwykłych przepychanek i zduszonych chichotów. DeLacy pojawił się w kilka minut po przybyciu Jimmiego i Lockleara.*

*– Rozkład – zażądał od wejścia bez żadnych wstępów. Jimmy podał listę.*

*Mistrz Ceremonii przebiegł ją szybko wzrokiem.*

*– W porządku... chociaż... albo poprawił ci się nagle charakter pisma, albo załatwiłeś sobie pomocnika.*

*W grupce młodzieńców dało się zauważyć pewne poruszenie, jednak zachowali powagę.*

– Muszę zmienić jeden przydział. Harold i Bryce mają służyć jako przyboczni księżnej Alicji i Anity. James i Locklear zostaną w pałacu, by wspomagać Zarządcę Domu Królewskiego.

Jimmię zaskoczyło. On i Locklear nie mieli uczestniczyć w kondukcji pogrzebowej do bram miasta! Będą stali bezczynnie na wypadek, gdyby zarządca zdecydował, że jakaś drobna sprawa wymaga obecności młodego szlachcica. DeLacy odczytał pozostałe przydziały i zwolnił chłopców. Locklear i Jimmy wymienili szybkie spojrzenia. Jimmy dogonił wychodzącego z sali Mistrza Ceremonii.

– Panie... DeLacy odwrócił się.

– Jeśli chodzi ci o przydział, to nie będzie żadnej dyskusji – przerwał krótko.

Twarz chłopaka pokrył rumieniec gniewu.

– Ale przecież to ja byłem przybocznym księcia Aruthy! – niemal krzyknął.

Tym razem uległy zazwyczaj i spokojny Locklear też się postawił.

– A ja przybocznym Jej Wysokości! – wypalił ostrym tonem. DeLacy obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. –.. hm... to znaczy, tak jakby...

– To nie ma najmniejszego znaczenia – przerwał mu Mistrz.

– Otrzymałem swoje rozkazy. Wy macie swoje i kwita. Zrozumiano? To wszystko.

Jimmy chciał znowu zaprotestować głośno, lecz stary mistrz przerwał mu sucho.

– Powiedziałem: to wszystko, paniczu. Jasne? Jimmy odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Locklear dołączył do niego.

– Nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje – powiedział Jimmy przez zaciśnięte

*zęby – ale mam zamiar się dowiedzieć. Idziemy.*

*Jimmy i Locklear szli szybko, rozglądając się czujnie dookoła. Jakikolwiek polecenie od starszego rangą dworzanina uniemożliwiłoby tę niespodziewaną wizytę. Dokładali więc wszelkich starań, aby nie wpaść w oko komuś, kto mógłby znaleźć dla nich zajęcie. Orszak żałobny miał opuścić pałac dopiero za niecałe dwie godziny, dla dwóch młodzieńców mogło się więc znaleźć mnóstwo poleceń i pracy. Po rozpoczęciu uroczystości kondukt miał się wolno posuwać przez miasto. Na placu przed świątynią miały być odprawione publiczne modły. A potem długa droga do Rillanonu i grobowca przodków Aruthy. Młodzi szlachcice mieli opuścić orszak, gdy znajdzie się poza granicami miasta. Jimmy'emu i Locklearowi odmówiono nawet tego skromnego uczestnictwa w procesji.*

*Jimmy zbliżył się do wartownika pełniącego służbę przed drzwiami Księżnej.*

*– Czy Jej Wysokość może mi poświęcić kilka chwil?*

*Gwardzista uniósł brwi w zdziwieniu. Nie do niego wszakże należało zadawanie pytań nawet tak niskiemu rangą dworzaninowi jak młody szlachcic, przekaże więc pytanie dalej. Gdy żołnierz otwierał drzwi, Jimmy'emu zdawało się, że usłyszał coś dziwnego, coś, co nie pasowało do tej chwili. Jakiś dźwięk, który zamarł, nim Jimmy zdołał uchwycić jego naturę. Skupił się maksymalnie, usiłując zrozumieć, co go nurtuje, lecz powrót wartownika odwrócił jego uwagę. W chwilę potem on i Locklear zostali zaproszeni do środka.*

*Carline i Anita siedziały przy oknie, czekając na sygnał rozpoczęcia*

*ceremonii. Siedziały z nachylnymi ku sobie głowami, mówiąc coś półgłosem.*

*Księżna matka Alicja spacerowała za plecami córki. Cała trójka była ubrana na czarno. Jimmy z Locklearem przekroczyli próg komnaty i skłonili nisko.*



– *Przepraszam bardzo, że przeszkadzam. Wasze Wysokości – powiedział cicho.*

– *Nigdy nie przeszkadzasz, Jimmy. – Anita uśmiechnęła się. – O co chodzi?*

*Chłopak poczuł nagle, że to trochę małostkowe upominać się i skarżyć na wyłączenie z uczestnictwa w pogrzebie.*

– *Hm... właściwie drobnostka. Ktoś wydał polecenie, abym dziś nie opuszczał pałacu. Zastanawiałem się, hm... czy to Wasza Wysokość prosiła, abym tu pozostał?*

*Carline i Anita wymieniły błyskawicznie spojrzenia.*

– *Nie, Jimmy, to nie ja – odpowiedziała z lekkim wahaniem w głosie. – Może księżę Volney? Jesteś Starszym Szlachcicem i powinieneś zostać na urzędzie. Tak chyba zdecydował właśnie księżę... jak mi się wydaje.*

*Jimmy przyjrzał się jej uważnie. Wychwycił w jej głosie fałszywą nutę.*

*Księżna Anita wróciła z majątku matki, okazując publicznie boleść przystającą wdowie. Wkrótce jednak zaszła w niej jakaś subtelna, ledwo zauważalna przemiana. Dalszą rozmowę przerwał płacz jednego z chłopców, do którego dołączył po sekundzie drugi. Anita wstała.*

– *Ani razu się jeszcze nie zdarzyło, żeby tylko jeden... – powiedziała z rozczeniem. Twarz Carline rozjaśnił uśmiech, który zgasł jednak natychmiast, a jej rysy spoważniały.*

– *Przepraszamy, że przeszkodziliśmy. Wasza Wysokość. Przykro mi, że niepokoiłem taką błahostką.*

*Wyszli z pokoju. Znalazłszy się poza zasięgiem słuchu wartownika, Jimmy nachylił się do Lockleara.*

– *Czy ja tam czegoś nie przeoczyłem, Locky?*

*Locklear odwrócił się i przez moment wpatrywał się w drzwi.*

*– Jest coś dziwnego. Tak jakby starali się trzymać nas na dystans.*

*Jimmy myślał przez chwilę. Zrozumiał w końcu, co przykuło jego uwagę, gdy znaleźli się przed drzwiami Anity. Dźwiękiem, który mu nie pasował do całości, były głosy księżnych, a dokładniej to, jak mówiły: wszystkie trzy szczebiotały radośnie i beztrosko.*

*– Zaczynam podejrzewać, że masz rację. Chodź. Nie mamy zbyt wiele czasu.*

*– Czasu? Na co?*

*– Zobaczysz.*

*Jimmy wystrzelił jak z procy i młodszy chłopak musiał się nieźle napocić, aby za nim nadążyć.*

*Gardan i Volney w towarzystwie czterech gwardzistów śpieszyli w stronę dziedzińca, gdy zostali zaczepieni przez chłopców. Księżę ledwo zaszczyił ich spojrzeniem.*

*– Czy nie mieliście być na dziedzińcu?*

*– Nie, panie – odpowiedział Jimmy. – Przydzielono nas do pomocy Zarządcy.*

*Wydało mu się, że Gardan nieco się zdziwił, słysząc jego odpowiedź. Na Volneyu nie zrobiła ona jednak najmniejszego wrażenia.*

*– No to powinniście się chyba pośpieszyć. Mogą was potrzebować. Musimy zaczynać uroczystości.*

*– Panie – powiedział Jimmy – czy to ty kazałeś nas zostawić w pałacu?*

*Volney machnął zniecierpliwiony ręką.*

*– Tymi sprawami zajmowali się księżę Laurie i mistrz DeLacy. – Odwrócił się od nich, skinął na Gardana i zniknęli im z oczu za rogiem.*

*Gdy ucichło echo równo wybijanych na kamieniach kroków towarzyszącej im eskorty, Jimmy i Locklear zatrzymali się.*

*– Chyba zaczynam rozumieć – powiedział Jimmy. Chwycił Lockleara za ramię. – Chodź.*

*– Ale dokąd? – spytał przyjaciel nieco sfrustrowanym głosem.*

*– Zobaczysz – usłyszał w odpowiedzi i Jimmy ruszył biegiem.*

*Locklear podążył za nim.*

*– Zobaczysz... zobaczysz... – mamrotał pod nosem, przedrzeźniając Jimmiego. – Co zobaczę, do jasnej cholery?!*

*Dwóch gwardzistów trzymało straż.*

*– A szlachetni młodzieńcy to dokąd, co? – spytał jeden z nich.*

*Do Kapitanatu Portu – odpowiedział Jimmy wyzywająco, podtykając mu pod nos pośpiesznie nabazgrany rozkaz. – Zarządca nie może znaleźć jakiegoś manifestu okrętowego i wpadł w szal. Chce natychmiast mieć jego kopię. – Jimmy chciał coś jeszcze sprawdzić i był wściekły z powodu konieczności biegania na posyłki. A poza tym wydawało mu się, że zarządca wybrał sobie dość dziwny moment, by wpadać w histeryczną obsesję na temat jakiegoś głupiego świstka. Gwardzista obejrzał rozkaz uważnie.*

*– Chwileczkę. – Kiwnął na żołnierza w pobliżu wartowni oficerskiej przy głównej bramie pałacowej. Żołnierz podbiegł do niego.*

*– Masz chwilę, żeby zaprowadzić chłopaków do Kapitanatu i z powrotem? Mają coś przynieść zarządcy.*

*Żołnierz spojrział obojętnie i wzruszył ramionami. Droga tam i z powrotem nie zajmie więcej niż godzinę. Kiwnął głową i cała trójka ruszyła.*

*Dwadzieścia minut później Jimmy rozmawiał już z urzędnikiem Kapitanatu.*

*Inni udali się już do centrum, aby obserwować kondukt żałobny opuszczający miasto. Zręcząc pod nosem mężczyzna grzebał w stosie papierzyk w poszukiwaniu kopii ostatniego manifestu towarów dostarczonych na królewskie nabrzeże. Jimmy rozglądał się dookoła. Uwagę jego przykuła karta wisząca na ścianie. Znajdowała się na wprost wejścia i każdy mógł ją zauważyć. Był to tygodniowy plan wyjść w morze. Coś przykuło jego uwagę. Podszedł bliżej. Locklear szedł za nim krok w krok.*

*– Co?*

*Jimmy wskazał ręką.*

*– Ciekawe...*

*Locklear rzucił okiem na zestawienie.*

*– Dlaczego?*

*– Nie jestem pewien – odpowiedział Jimmy, zniżając głos – ale zastanów się chwilę nad niektórymi sprawami, które dzieją się w pałacu. Trzymają nas z dala od orszaku żałobnego. Pytamy o to księżnę. Nie mija dziesięć minut od wyjścia z jej komnaty i wysyłają nas do portu z jakimś durnym rozkazem. Powiedz sam, czy wszystko nie wskazuje na to, że celowo trzymają nas z daleka od uroczystości? Coś tu nie gra.*

*– Przecież sam to powiedziałem wcześniej – skomentował Locklear zniecierpliwionym tonem.*

*Urzędnik znalazł w końcu poszukiwany dokument i podał im. Pod eskortą żołnierza powrócili do pałacu. Przebiegając koło strażników w bramie, chłopcy pomachali im odruchowo i skierowali się w stronę biura zarządcy.*

*Dotarli na miejsce, gdy baron Giles właśnie wychodził.*

– A, tu jesteście – powitał ich oskarżycielskim tonem. – Już myślałem, że będę musiał wysłać gwardzistów, żeby przywlekli was za uszy. Gdzie to się leniuchowało, co? Gadać mi tu zaraz!

– Jimmy i Locklear wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jak widać zarządca zdążył już zapomnieć na śmierć o manifeście okrętowym. Jimmy podał mu dokument.

– Co to jest? – Przebiegł wzrokiem pergamin. – Ach, tak – powiedział, kładąc go niedbale na biurko. – Zajmę się tym później. Muszę już iść, by dopilnować wyruszenia konduktu. Wy macie zostać tutaj. Jeśli zdarzy się jakaś pilna sprawa, jeden będzie w biurze, a drugi pobiegnie po mnie. Wrócę, gdy tylko powóz z ciałem przekroczy bramy miasta.

– Czy przewidujesz jakieś problemy, panie? – spytał Jimmy.

– Oczywiście, że nie, ale warto być zawsze przygotowanym na wszystko.

Wkrótce wracam – powtórzył i wyszedł.

Gdy zniknął za progiem, Locklear zwrócił się do przyjaciela.

– W porządku. O co w tym wszystkim chodzi? I nie waz się odpowiadać:

„Zobaczysz”.

– Rzeczy nie są takimi, jakimi się zdają. Idziemy.

Jimmy i Locklear pędzili schodami w górę. Dotarli do okna wychodzącego na dziedziniec. Stojąc w milczeniu, obserwowali ostatnie przygotowania. Formowano kondukt. Zajechał powóz, na którym miały spocząć mary z ciałem. Eskortował go oddział dobranych specjalnie żołnierzy z Gwardii Pałacowej Aruthy. Powóz ciągnęła szóstka karych koni zdobnych w pióropusze z czarnych piór. Prowadził je stajenny również w czarnym stroju. Gwardziści ustawili się po obu stronach powozu.

*U wyjścia pojawiło się ośmiu żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym: nieśli trumnę. Podeszli do ruchomego rusztowania, pozwalającego na umieszczenie jej wysoko na podwyższeniu. Powolutku, z namaszczaniem wciągnęli doczesne szczątki księcia Krondoru i złożyli na spowitych czarnym kirem marach.*

*Jimmy i Locklear zajrzeli do środka trumny. Po raz pierwszy mieli okazję dokładnie przyjrzeć się martwemu Księciu. Tradycja nakazywała, aby trumna pozostała otwarta aż do bram miasta, żeby dać ludowi szansę ujżenia swego władcy po raz ostatni. Zaraz po opuszczeniu granic miasta zakładano wieko. Przez całą dalszą drogę trumna pozostawała zamknięta. Otwierano ją jeszcze raz – ostatni – w grobowcu pod pałacem królewskim Rillanon, gdzie najbliższa rodzina miała ostatecznie pożegnać Aruthę.*

*Jimmy poczuł dławiący uścisk w gardle. Przelknął na siłę spychając upartą kulę w dół. Zauważył, że Księcia złożono do trumny w jego ulubionym stroju: brązowej bluzie z atlasu i rdzawych, obcisłych spodniach. Do tego włożono zielony kaftan, chociaż zmarły nie nosił go zbyt często. Pomiędzy złączonymi dłońmi spoczywał ulubiony rapier. Głowa była odkryta. Zdawał się spać. Zanim powóz wytoczył się z dziedzińca, Jimmy zdążył jeszcze zauważyć na stopach Księcia delikatne, domowe pantofle z cienkiego atlasu.*

*W polu ich widzenia znalazł się kolejny stajenny, prowadzący rumaka Aruthy. Bez siodła i uprzęży miał podążyć za powozem z ciałem. Był to wspaniały szary ogier. Wyrzucał wysoko głowę, szarpiąc się i wyrywając stajennemu. Ze stajni wybiegł drugi parobek i dopiero we dwójkę zdołali ujarzmić kapryśne i podenerwowane zwierzę.*

*Oczy Jimmiego zwięzły się w wąskie szparki. Locklear odwrócił się akurat na*

*czas, by dostrzec dziwny wyraz, który zagościł na twarzy Jimmiego.*

*– O co chodzi?*

*– A niech mnie gęś kopnie... coś bardzo dziwnego. Idziemy. Chcę rzucić okiem na to i owo.*

*– Ale dokąd?*

*Ale Jimmy już pędził w dół.*

*– Pośpiesz się – rzucił przez ramię. – Mamy tylko kilka minut.*

*Locklear puścił się w pogoń, jęcząc po cichu ze złości.*

*Jimmy skrył się w głębokim cieniu koło stajni.*

*– Patrz uważnie – szepnął, wypychając przyjaciela na dziedziniec. Gdy*

*wyprowadzano*

*ostatnie*

*wierzchowce*

*kompanii*

*honorowej,*

*Locklear*

*przespacerował się koło wejścia jak gdyby nigdy nic. W ostatniej drodze Księcia do*

*bram miasta miał mu towarzyszyć prawie cały garnizon. Dalej ciało miało być*

*eskortowane do Saladoru przez oddział Królewskich Lansjerów w pełnym składzie.*

*– Hej. chłopcze! Uważaj gdzie łazisz! – krzyknął stajenny biegnący między*

*dwoma wierzchowcami, trzymanymi za wodze. Locklear uskoczył w ostatniej chwili*

*i ruszył spokojnym krokiem z powrotem. Ukrył się za rogiem budynku, dołączając*

*do Jimmiego.*

*– Nie mam pojęcia, co spodziewałeś się odkryć, ale go tam nie ma.*

*– I tego właśnie oczekiwałem. Idziemy – zakomenderował, ruszając*

*jednocześnie biegiem w stronę głównego pałacu.*

*– Dokąd?*

*– Zobaczysz.*

*Locklear, coraz bardziej wściekły na Jimmiego, wbił oczy jak sztylety w plecy przyjaciela i pognał za nim przez plac musztry.*

*I znowu pędzili w górę, przeskakując po dwa schodki naraz. Łapiąc z trudem oddech, dopadli do okna wychodzącego na dziedziniec. Bieg do stajni i z powrotem zajął im dziesięć minut. Orszak żałobny miał za chwilę opuścić pałac. Jimmy patrzył uważnie. Karety podjeżdżały do podnóża szerokich schodów. Paziowie podbiegali, by otwierać i przytrzymać drzwiczki. Zgodnie z tradycją tylko członkowie rodziny królewskiej mieli prawo jechać. Pozostali, wyrażając szacunek dla zmarłego, szli pieszo za trumną ze zwłokami Aruthy. Księżna Alicja i Anita zajęły miejsca w pierwszej karecie. Carline i Laurie pośpieszyli do drugiej. Księżę Saladoru tak pędził, że omal się nie poślizgnął na gładkich stopniach. Wskoczył za żoną do środka i błyskawicznie zaciągnął zasłonę w drzwiach od swojej strony.*

*Jimmy zerknął z ukosa na Lockleara, który obserwował dziwaczne zachowanie Lauriego z nie skrywanym zdziwieniem. Widząc, że nie musi nic objaśniać młodszemu przyjacielowi, Jimmy milczał.*

*Gardan zajął miejsce na czele orszaku. Jego ramiona okrywała ciężka, czarna peleryna. Podniósł rękę. Samotny dobosz zaczął wybijać powolny rytm werbla na wytłumionym bębnie. Przy czwartym uderzeniu pochód ruszył bez słowa komendy. Żołnierze maszerowali w całkowitej ciszy, posuwając się miarowym krokiem w rytm uderzeń. Karety potoczyły się z turkotem po kamieniach. Szary*



*rumak stanął nagle dęba i kolejny stajenny musiał się znowu nieźle napocić, aby nad nim zapanować. Jimmy pokiwał głową. Ponownie naszło go stare, dobrze znane uczucie: wszystkie kawałki łamigłówek miały wkrótce zająć właściwe miejsca. Na ustach pojawił się z wolna pełen zrozumienia uśmiech.*

*Locklear obserwował z zainteresowaniem zmiany zachodzące na twarzy przyjaciela.*

*– Co jest?*

*– Już wiem, co Laurie kombinował. Wiem, co się dzieje, Locky. – Trzepnął przyjaciźnie w plecy Lockleara.*

*– Rusz się. Mamy bardzo wiele do zrobienia i bardzo mało czasu.*

*Jimmy prowadził przyjaciela tajemnym tunelem. Kopcąca pochodnia rzucała na wszystkie strony tańczące, migotliwe cienie. Obaj młodzieńcy mieli na sobie stroje podróżne. Za pasem broń, a na plecach przytroczone niewielkie worki i zwinięte derki do spania.*

*– Pewien jesteś, że nikogo nie postavili przy wyjściu? – zapytał Locklear po raz piąty z rzędu.*

*– Przecież ci już mówiłem. – Zniecierpliwiony Jimmy machnął ręką. – Tego przejścia nikomu nie zdradziłem. Nawet Księciu i Lauriemu. – Potem, jakby chciał się wytłumaczyć z przewiny polegającej na przemilczeniu tego faktu, dorzucił. – Hm... niektóre stare przyzwyczajenia trudniej przelamać niż inne.*

*Przez całe popołudnie wykonywali sumiennie swoje obowiązki, a gdy w końcu wszyscy młodzi szlachcice udali się na spoczynek, wymknęli się cichcem w jakiś ciemny kąt, gdzie pośpiesznie się spakowali i przygotowali do drogi. Teraz zbliżała się północ.*

*Doszli do kamiennych wrót. Jimmy pociągnął za metalową dźwignię w ścianie. Dał się słyszeć cichy trzask. Zgasił pochodnię i naparł barkiem na powierzchnię drzwi. Po kilku mocnych pchnięciach nieużywane od wieków drzwi puściły niechętnie, z głośnym protestem zardzewiałych zawiasów. Wydostali się na czworakach przez małe wyjście upodobnione z zewnątrz do kamiennych ozdóbek u podstawy muru po drugiej stronie placu ćwiczeń. Byli na ulicy przylegającej bezpośrednio do terenów pałacowych. Kilkadziesiąt metrów od nich znajdowała się boczna brama, a przed nią wartownicy. Jimmy próbował zamknąć drzwiczki ale się zacięły. Kiwnął na Lockleara. Pchnęli wspólnymi siłami. Tkwiły nieruchomo w miejscu, by nagle puścić i zatrzaskać się z donośnym, dudniącym hukiem. Od bramy natychmiast rozległ się głos.*

*– Stój, kto idzie? Zatrzymać się do kontroli. Jimmy nie zwlekał i natychmiast wziął nogi za pas. Locklear podążył pół kroku za nim. Żaden się nie obejrzał, by sprawdzić, czy pościg ruszył za nimi. Trzymając głowy nisko pochylone, pędzili po kocich łbach na złamanie karku.*

*Wkrótce zniknęli w gmatwaniu uliczek i zaułków Dzielnicy Biedoty i portu.*

*Jimmy zatrzymał się, by się zorientować, gdzie się znajdują. Po chwili wskazał kierunek.*

*– Tędy. Musimy się spieszyć. Kruk odpływa z północnym przyptywem.*

*Pognali przez mrok. W niedługim czasie przebiegali już pod szeregiem zamkniętych okiennic domów nabrzeża. Z przodu dochodziły okrzyki i komendy ze statku szykującego się do wyjścia w morze.*

*– Odpływa! – wrzasnął Locklear. Jimmy nic nie odpowiedział, tylko*

*przyspieszył kroku. Dobiegli do przystani w chwili, gdy rzucono ostatnie liny. Z*

*desperackim okrzykiem skoczyli na odsuwającą się od brzegu burtę. Stwardniałe od ciężkiej pracy dłonie pochwyciły ich mocno i wciągnęły na pokład.*

*– Co się tu dzieje? – usłyszeli głośnie pytanie i za moment pojawił się przed nimi Aaron Kucharz.*

*– A cóż to? Jimmy Rączka we własnej szlacheckiej osobie? Tak się palisz do morskich podróży, że gotów jesteś skręcić kark, by dostać się na pokład? Jimmy wyszczerzył zęby w uśmiechu.*

*– Cześć, Aaron. Muszę pogadać z Hullem. Stary wilk morski o dziobatej twarzy przyglądał się im podejrzliwie.*

*– Możesz sobie być księżęcym szlachcicem, czy jak ci tam, ale dla ciebie na pokładzie Królewskiego Kruka to nie żaden Hull tylko pan kapitan Hull, łachmyto! Zrozumiano? Zaraz sprawdzę, czy pan kapitan Hull będzie ci mógł poświęcić trochę czasu.*

*Wkrótce obaj młodzieńcy znaleźli się przed obliczem kapitana, który świdrował ich złowrogo swym jedynym okiem.*

*– Co to? Dezercja z posterunku?*

*– Trevor... – zaczął Jimmy, lecz widząc złe spojrzenie Kucharza, szybko się poprawił. – Panie kapitanie, musimy dostać się do Sarth. Widzieliśmy na liście wyjść w Kapitanacie, że dziś w nocy udajecie się na patrol w kierunku północnym.*

*– Posłuchaj no, bratku, możesz sobie myśleć, co ci się żywnie podoba. Nawet to, że musisz dostać się w górę wybrzeża, ale jesteś za krótki rangą, by włączyć mi na pokład i rozkazywać. Możesz co najwyżej prosić, ale nawet tego nie usłyszałem. A poza tym, mimo oficjalnej listy, która jak sam powinieneś wiedzieć najlepiej, przeznaczona jest dla szpiegów i im podobnych, naprawdę płyniemy na zachód.*

*Dostaliśmy sygnał, że handlarze niewolników z Durbinu zastawili pułapkę na biednych kupców z Królestwa. A do tego węższą tam jak zawsze galery z Queg. Nie. Mowy nie ma. Wysiadacie na ląd razem z pilotem, gdy tylko wyjdziemy poza główkę zewnętrznego falochronu. No, chyba że chodzi wam o coś innego niż darmowy transport?*

*Spojrzenie byłego przemysłowca wyraźnie mówiło, że choć żywił do Jimmiego przyjazne uczucia, nie będzie tolerował na pokładzie swego statku żadnych wybryków.*

*– Czy moglibyśmy zamienić słówko na osobności? – spytał Jimmy.*

*Hull wymienił zdziwione spojrzenia z Kucharzem. Wzruszył ramionami.*

*Jimmy przez dobre pięć minut szeptał coś do ucha starego wilka morskiego. Hull ryknął nagle śmiechem. Był prawdziwie rozbawiony.*

*– A niech mnie wieloryb połknie! Podszedł do Aarona.*

*– Każ ich zaprowadzić pod pokład. Jak tylko wyjdziemy za główkę, postawić wszystkie żagle. Kurs na Sarth.*

*Kucharz zawahał się, ale polecił najbliższemu marynarzowi, by zaprowadził chłopców na dół. Gdy znaleźli się na dole, a pilot portowy był już za burtą statku w swojej łodzi, pierwszy oficer wysłał całą wachtę na maszty i reje. Postawiono wszystkie żagle. Dziób statku skierował się na północ. Rzucił okiem na rufę, gdzie Trevor Hull stał obok sternika. Kapitan uśmiechał się do swoich myśli.*

*Jimmy i Locklear czekali wsparci o reling. Gdy łódź była gotowa, wskoczyli na pokład. Trevor Hull podszedł do nich.*

*– Pewni jesteście, że nie chcecie wrócić do Sarth? Jimmy pokręcił głową.*

*– Wolalbym, aby nie widziano, że przybywam na pokładzie królewskiego*

okrętu celnego. Przyciąga zbyt wielką uwagę. A po drugie, niedaleko stąd jest wioska, gdzie można kupić konie. O niecały dzień jazdy stąd biwakowaliśmy poprzednio. Można stamtąd obserwować wszystkich przejeżdżających. Tam łatwiej ich zauważymy.

– Chyba że już przejechali.

– Opuścili Krondor zaledwie o dzień wcześniej niż my. Myśmy płynęli dzień i noc, a oni musieli robić popasy dla wypoczynku. Nie, na pewno jesteście przed nimi.

– No cóż, chłopaki, niech chroni was Kilian, która w chwilach lepszego humoru roztacza opiekę nad żeglarzami i innymi typami spod ciemnej gwiazdy.

Oraz Banath, która czyni to samo dla złodziei, hazardzistów i głupców. – Po chwili dodał poważnym tonem. – Uważajcie na siebie, chłopaki. – Dał znak, by opuszczono łódź.

Nadal panował półmrok. Promienie słońca nie zdołały jeszcze przebić się przez grube zwały mgieł nad wybrzeżem. Dziób łodzi skierował się ku plaży i marynarze ostro naparli na wiosła. Szybko pomknęli po falach. Po kilku minutach dno zaszurało po piasku płycizny. Jimmy i Locklear znaleźli się na brzegu.

Początkowo karczmarz nawet nie chciał słyszeć o sprzedaży koni. Jednak poważna mina oraz władcza i zdecydowana postawa Jimmiego, sposób, w jaki nosił miecz, i okazała kupka złota – spowodowały, że zmienił zdanie. Zanim słońce wychynęło zza lasów na wschód od wioski Długa Droga, obaj młodzieńcy, dobrze zaopatrzeni na drogę, siedzieli już w siodłach, posuwając się gościńcem z Sarth w kierunku Widoku Kwestora.

Okolo południa dotarli na upatrzone miejsce, do zwężenia drogi. Od wschodu ostre wzniesienie porośnięte gęstymi krzakami uniemożliwiało przejazd. Z drugiej

strony gościniec graniczył ze stromym urwiskiem opadającym ku plaży. Z wysokości wzniesienia mieli doskonały widok na każdego, kto zbliżał się drogą czy plażą. W powietrzu wisiał wilgotny chłód. Rozpalili niewielkie ognisko i cierpliwie czekali.

W ciągu trzech dni, które nastąpiły później, dwukrotnie ich życiu groziło niebezpieczeństwo. Za pierwszym razem była to banda najemników obecnie bez zajęcia, która podążała z Widoku Kwestora na południe. Determinacja i odwaga młodzieńców skutecznie zniechęciły bandziorów, zwłaszcza że domyślali się, iż poza końmi nic więcej nie dałoby się ukraść. Jeden z nich próbował nawet zabrać wierzchowca, lecz błyskawiczna riposta rapiera Jimmiego przekonała go, że nie warto ponawiać próby. Doszli do wniosku, że nie ma po co przelewać krwi dla tak marnego łupu i zostawili młodzieńców w spokoju.

Drugie spotkanie było o wiele bardziej ryzykowne. Jimmy i Locklear stali do siebie plecami, broniąc siebie i swoich koni przed trzema typami spod ciemnej gwiazdy. Gdyby napastników było więcej, ani Jimmy, ani Locklear nie uszliby z życiem. Bandyty uciekli, słysząc odgłos kopyt końskich na kamieniach gościńca. Z zakrętu drogi wychynął niewielki patrol z garnizonu Widoku Kwestora.

Żołnierze przesłuchali chłopców i przyjęli ich opowieść za dobrą monetę.

Według niej podróżowali jako synowie jednego z pomniejszych szlachciców, który miał się z nimi wkrótce spotkać w tej okolicy. Obaj chłopcy i ojciec mieli wspólnie udać się na południe, do Krondoru, aby podążyć w ślad za orszakiem żałobnym Księcia. Sierżant dowodzący patrolem życzył im szczęśliwej podróży i odjechał.

Czwartego dnia późnym popołudniem Jimmy dostrzegł na plaży trzech jeźdźców. Przysłonił oczy dłonią i przypatrywał się im przez długą chwilę.

*– No, nareszcie. To oni!*

*Szybko dosiedli koni i zjechali wąską szczeliną w urwisku na piasek plaży.*

*Zatrzymali się, czekając, aż jeźdźcy się zbliżą. Ich konie grzebały niespokojnie kopytami.*

*Po paru minutach konni zbliżyli się na tyle, że ich dostrzegli. Zwolnili, a potem podjechali powoli, jakby z rezygnacją. Byli zmęczeni i brudni. Sądząc po ubraniu i orężu, mogli uchodzić za najemników. Cała trójka nosiła brody, chociaż zarost dwóch ciemnowłosych był dość świeży i jeszcze krótki. Na widok młodzieńców pierwszy jeździec zaklął krótko a szpetnie. Drugi kręcił głową z niedowierzaniem. Trzeci przepchnął się koniem między tamtymi i zatrzymał się przed chłopcami.*

*– Jak żeście...?*

*Locklear siedział w siodle nieruchomo jak kamienny posąg. Szczęka opadła mu prawie do pasa. Nie mógł wykrztusić słowa. Jimmy wiele mu powiedział, ale o jednym nie raczył wspomnieć. Starszy przyjaciel jak zwykle szczyrzył zęby w uśmiechu.*

*– To długa historia. Tam, na skarpie mamy skromny biwak, jeśli chcecie odpocząć, chociaż jest w pobliżu drogi....*

*Mężczyzna, zafrasowany, podrapał dwutygodniowy zarost.*

*– Równie dobrze możemy odpocząć teraz. Nie ma sensu podróżować dziś dalej.*

*Uśmiech Jimmiego rozszerzył się.*

*Ha, muszę przyznać, panie, że jesteś najżywszym trupem, jakiego widziałem, a widziałem ich sporo.*

*Arutha uśmiechnął się w odpowiedzi i zwrócił się do Lauriego i Roalda.*

*– Chodźcie, damy odpocząć koniom. Dowiemy się przy okazji, jak te łobuzy odkryły naszą tajemnicę.*

*Słońce kryło się powoli w falach oceanu. Płomień tańczył wesolo. Wszyscy, z wyjątkiem Roalda, który stał na warcie, obserwując drogę, rozłożyli się dookoła ogniska.*

*– To była zbitka wielu bardzo drobnych faktów – mówił Jimmy. – Po pierwsze, obie księżne wydawały się bardziej zaniepokojone niż pogrążone w żałobie. A kiedy nie dopuszczono nas do uczestnictwa w orszaku żałobnym, stałem się podejrzliwy.*

*– To ja powiedziałem – dorzucił z dumą Locklear. Jimmy rzucił mu złe spojrzenie, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że to on opowiada.*

*– Tak, rzeczywiście. Wspomniał, że trzymają go na dystans. Teraz wiem, dlaczego. Mogłem się dostać w pobliże fałszywego księcia na marach i rozpoznać go. A wtedy domyśliłbym się, że prawdziwy ruszył na północ, aby załatwić Murmandamusa.*

*– Właściwie tak było. Dlatego trzymaliśmy cię z daleka – powiedział Laurie.*

*– Na tym opierał się cały plan – dodał Roald.*

*– Przecież mogliście mi zaufać – powiedział Jimmy nieco urażonym tonem.*

*Arutha był na wpół rozbawiony, a na wpół zirytowany.*

*– Jimmy, tu nie chodziło o zaufanie czy jego brak. Po prostu nie chciałem tego. Nie chciałem cię mieć na głowie i tyle. – Jęknął z udawaną rozpaczą. – Cholera! A teraz mam dwóch.*

*Locklear zerknął na Jimmiego z niepokojem, lecz ton głosu przyjaciela dodał*



*mu otuchy.*

*– No cóż, nawet księżętom zdarza się błędnie ocenić sytuację. Tylko pomyśl*

*panie, w co byś wpadł, gdybym nie wytropił pułapki w Moraelin.*

*Arutha pokiwał głową, poddając się.*

*– Zatem wiedziałeś, że dzieje się coś dziwnego. Potem domyśliłeś się, że*

*Laurie i Roald wybierają się na północ. Ale co zdradziło, że żyję?*

*Jimmy parsknął śmiechem.*

*– Po pierwsze, do konduktu żałobnego wzięto szarego wierzchowca, a twój*

*gniady wyparował nagle ze stajni jak kamfora. Pamiętam, że szarego nigdy nie*

*lubiłeś.*

*– Jest zbyt narowisty. – Arutha pokiwał głową. – Co jeszcze?*

*– To mnie uderzyło, gdy patrzyłem na przejeżdżające obok zwłoki. Jeżeli*

*chciano cię pochować w ulubionym stroju, to w takim razie brakowało ulubionych*

*butów. – Wskazał na buty, które księżę miał na nogach. –: Ciało w trumnie miało*

*tylko te fikuśne salonowe pantofle. A to dlatego, że buty, które nosił zamachowiec w*

*pałacu, były uwalane błotem ze ścieków i krwią. Najwidoczniej osoba ubierająca*

*ciało woląla raczej poszukać innej pary, niż czyścić te uświnione – zabójcy. A*

*ponieważ ich nie znalazła albo żadne nie pasowały, więc włożyła pantofle. Od razu*

*się domyśliłem, gdy zobaczyłem to cudactwo. Nie spaliłeś ciała zamachowca, tylko*

*jego serce. Nathan musiał je otoczyć jakimś zaklęciem, aby zachowało świeżość.*

*– Z początku nie miałem pojęcia, co z nim zrobię, chociaż niejasno*

*przeczuwałem, że może mi się przydać. A potem doszło do próby zamachu w*

*świątyni. Jego sztylet to nie była zabawka – bezwiednie potarł zraniony bok. –*

*Szczęśliwie rana nie była poważna.*

– Akurat! – mruknął Laurie. – Dwa centymetry wyżej, cztery w prawo i mielibyśmy prawdziwy pogrzeb.

– Pierwszej nocy wyciszyliśmy całą sprawę. My, to znaczy Nathan, Gardan, Volney, Laurie i ja naradzaliśmy się, co zrobić, jaki plan przyjąć. W końcu zdecydowałem, że będę udawał martwego. Volney zwlekał z uroczystościami w Krondorze do przyjazdu miejscowych notabli. Zyskałem czas, aby rana zagoiła się na tyle, bym mógł jechać konno. Chciałem wymknąć się z miasta niepostrzeżenie, tak żeby nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń. Jeśli Murmandamus będzie uważał mnie za nieżywego, przestanie mnie szukać. A z tym – podniósł talizman otrzymany od opata bogini Ishap – nie odnajdzie mnie za pomocą magii. Mam nadzieję, że w ten sposób zmuszę go, sprowokuję do przedwczesnych działań.

– A jak się tutaj dostaliście? – spytał Laurie. – Przecież nie mogliście nas minąć na drodze?

– Przekonałem Trevora Hulla, aby nas tu przywiózł.

– Powiedziałaś mu? – spytał Arutha.

– Ale tylko jemu. Nawet Aaron nie wie, że żyjesz, panie.

– Wszystko jedno, i tak za wielu jak na jeden sekret – mruknął Roald.

– Ale przecież, panie... – Locklear zająknął się. – Przecież można ufać całkowicie każdemu, kto wie.

– To nie o to chodzi – odpowiedział Laurie. – Wiedziały Carline i Anita.

Podobnie Gardan, Volney i Nathan. Lecz nawet DeLacy i Valdis byli trzymani w nieświadomości. Więcej, sam król nie dowie się o tym, dopóki Carline nie wyjawি mu prawdy w rozmowie w cztery oczy w Rillanonie. Wiedzą tylko te osoby, które wymieniłem.

*– A Martin? – spytał Jimmy.*

*– Laurie przesłał mu wiadomość. Spotka się z nami w Ylith – poinformował Arutha.*

*– To ryzykowne – zauważył Jimmy.*

*– Nikt poza nami kilkoma nie byłby w stanie zrozumieć tej wiadomości.*

*Napisałem tylko: „Pod Północnym Włóczęgą. Przyjedź najszybciej, jak możesz”.*

*Wiadomość została podpisana: „Arthur”. Zrozumie, że nikt nie może się dowiedzieć o tym, że Arutha żyje.*

*Jimmy pokiwał z uznaniem głową.*

*– Nieźle, nieźle. Tylko my wiemy, że Pod Pomocnym Włóczęgą to gospoda w Ylith, gdzie Martin siłował się z tym typem Longly.*

*– A kto to jest Arthur? – spytał Locklear.*

*– To Jego Wysokość – odpowiedział Roald. – Pod tym imieniem podróżował wtedy z nami.*

*– Użyłem go po raz pierwszy, gdy przybyłem do Kronodoru z Martinem i Amosem. Jimmy zamyślił się.*

*– Już drugi raz udajemy się północ i po raz drugi żałuję, że nie ma z nami Amosa Traska.*

*– No cóż, rzeczywiście. Szkoda, że go nie ma – odpowiedział Arutha. –*

*Kładźmy się lepiej spać. Przed nami długa droga, a ja muszę jeszcze zdecydować, co z wami zrobić, łobuzy.*

*Jimmy zawinął się w derkę. Pozostali uczynili to samo. Roald trzymał wartę.*

*Po raz pierwszy od wielu tygodni Jimmy odpłynął błyskawicznie w sen wolny od wszelkich trosk i niepokojów.*

# TAJEMNICE

*Ryath mknęła z hukiem skrzydeł przez znajome niebo. Zataczała szerokie koło nad lasami Królestwa. Przesłała do nich myśl: „Muszę zapolować”. Podczas lotu smok zdecydowanie wolał porozumiewać się za pomocą myśli; gdy byli na ziemi, mówił na głos.*

*Tomas obrócił się w stronę Puga.*

*– Do wyspy Macroasa jest bardzo daleko – powiedział Pug. – Ponad półtora tysiąca kilometrów.*

*– Możemy znaleźć się na miejscu o wiele szybciej, niż sobie wyobrażasz. –*

*Tomas uśmiechnął się.*

*– Jak daleko Ryath może dolecieć?*

*– Bez lądowania wokół całej naszej planety, ale myślę, że trudno byłoby ją do tego przekonać. Do tej pory nie miałeś okazji poznać nawet jednej dziesiątej szybkości, do jakiej jest zdolna.*

*– To dobrze. Zapoluje więc dopiero, gdy wylądujemy na Wyspie*

*Czarnoksiężnika.*

*Tomas zażądał od smoka, aby jeszcze trochę się wstrzymał z polowaniem.*

*Ryath zgodziła się, aczkolwiek z wyraźną niechęcią. Postępując według wskazówek*

*Puga, wzbijała się wyżej w błękit przestworzy nad Midkemią i pomknęła ponad*

*szczytami górskimi w kierunku Morza Gorzkiego. Potężne uderzenia skrzydeł*

*wznosiły ich wyżej i wyżej, tam mogła szybować swobodnie. Krajobraz pod nimi*

*umykał do tyłu, zmieniając się w smugę rozmazanych kolorów. Pug zastanawiał się*

*w duchu, jakie są granice szybkości smoka. Lecieli szybciej niż galopujący koń, a*

*Ryath ciągle jeszcze przyspieszała. W jej lot wpleciona była magia. Z pozoru*

*szybowała teraz swobodnie, nie poruszając w ogóle skrzydłami, a jednak poruszała się coraz szybciej i szybciej. Dzięki zakłębom Tomasa czuli się na jej grzbiecie wygodnie, pewnie i bezpiecznie. Czar rzucony przez przyjaciela osłaniał ich przed wiatrem i zimnem. Z wewnętrznej radości i uniesienia Pugowi kręciło się w głowie. Puszcze i lasy Dalekiego Wybrzeża ustąpiły miejsca niebotycznym szczytom Szarych Wież. Wkrótce szybowali już nad ziemiami Wolnych Miast i Natalu. Następnie znaleźli się nad wodami Gorzkiego Morza. Głęboki błękit toni przetykany był tu i ówdzie lśniącymi w promieniach słońca pasmami srebrzystej szarości i stonowanej zieleni. Drobnie punkciki statków, nie większe od dziecinnych zabawek, znaczyły trasę letnich szlaków morskich z Queg do Wolnych Miast.*

*Gdy lecieli nad Queg, wyspą-królestwem, dostrzegli stolicę państwa i okoliczne wioski. Z tej wysokości sprawiały wrażenie budowli z klocków. Daleko pod nimi, wzdłuż wybrzeża leciała formacja uskrzydłonych sylwetek. Do ich myśli dobiegł radosny chichot smoka – „Znasz je, Władco Orlich Perci, nieprawdaż?”*

*– Nie są już takie jak kiedyś – zauważył Tomas.*

*– Co to jest? – spytał Pug.*

*– To potomkowie gigantycznych orłów, z którymi polowałem. .. z którymi polował Ashen-Shugar, całe wieki temu. Latałem na nich, podobnie jak mniejsi ludzie latają na sokołach. Starożytne ptaki były do pewnego stopnia obdarzone inteligencją.*

*„Wyspiarze przyuczają je i latają na nich tak, jak inni jeżdżą na koniach.*

*Zanikająca, upadła rasa”.*

*Tomas zdenerwował się.*

*– Tak jak wiele innych rzeczy są zaledwie cieniem tego, czym były kiedyś.*

*„Z drugiej strony jednak są i tacy, którzy są więksi i bardziej potężni,*

*Valheru” – skomentował smok żartem.*

*Pug nic nie odpowiedział. Choć bardzo dobrze rozumiał przyjaciela, to jednak było w nim coś, czego nikt nie był w stanie zgłębić i poznać. Tomas był absolutnie wyjątkowy, jedyny na świecie. Dźwigał na swych barkach i w sercu ciężary, których nie był w stanie ogarnąć nikt z żyjących. W nieokreślony, mglisty sposób Pug zdawał się rozumieć, jak potomkowie dumnych i wspaniałych kiedyś orłów, na których polował Ashen-Shugar, mogą ranić Tomasa. Zachował jednak milczenie. Jeżeli jakikolwiek niepokój nękał serce i duszę Tomasa, był to jego własny ból i cierpienie.*

*Wkrótce ich oczom ukazała się kolejna wyspa. W porównaniu do kraju Queg była maleńka, ale wystarczająco duża, aby pomieścić wielu ludzi. Pug jednak wiedział, że zamieszkiwali ją bardzo nieliczni, była to bowiem Wyspa Czarnoksiężnika, dom Czarnego Macrosa. Przelatywali nad północno-zachodnim brzegiem wyspy. Smok opuszczał się coraz niżej. Przemknęły pod nimi szczyty łańcucha łagodnych pagórków i niewielka dolina.*

*– To niemożliwe! – krzyknął Pug.*

*– Co?*

*– Poprzednio było tam takie... dziwne miejsce. Budynek główny i kilka mniejszych. To tam właśnie spotkałem Macrosa. Byli też wtedy Kulgan, Gardan, Arutha i Meecham.*

*Zatoczyli krąg ponad drzewami.*

*– Te dęby i sosny nie wyrosły tu przecież w ciągu zaledwie dwunastu lat, które minęły od pierwszego spotkania z czarnoksiężnikiem. Są bardzo, bardzo stare.*

– Kolejna z tajemnic Macrosa. Módl się lepiej, żeby zamek stał na swoim miejscu.

Ryath przeleciała ponad następnym łańcuchem wzgórz. Ich oczom ukazała się jedyna widoczna budowla na wyspie – stojący samotnie zamek. Smok przechylił się w locie, zawracając nad plażą, na której Pug i jego towarzysze wylądowali przed laty. Obniżył gwałtownie lot i osiadł łagodnie na ścieżce nad wybrzeżem. Pożegnał się i błyskawicznie wzbił w powietrze, by rozpocząć łowy. Tomas wpatrywał się w znikającą na lazurowym niebie Ryath.

– Już zapomniałem, jak to jest dosiadać smoka. – Zwrócił zamyślony wzrok w stronę Puga. – Kiedy poprosiłeś, abym ci towarzyszył, lękałem się, że obudzą się duchy drzemiące w moim sercu. – Klepnął się w pierś. – Sądziłem, że Ashen-Shugar tutaj, w środku, tylko czeka na okazję, aby znowu powstać i zapanować nade mną bez reszty.

Pug obserwował z uwagą twarz przyjaciela. Tomas dobrze skrywał uczucia, lecz widać było, że jego wnętrzem targają potężne, skryte głęboko emocje. – Teraz jednak wiem – kontynuował Tomas – że między Ashen-Shugarem a mną nie ma żadnej różnicy. Jestem i jednym i drugim. – Zwiesił głowę i wbił wzrok w ziemię. Przypominał w tej chwili małego Tomasa, który tłumaczył się przed matką z jakiejś psoty. – Czuję się, jakbym jednocześnie wiele zyskał, ale też dużo i bezpowrotnie stracił.

Pug pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tomas, nie będziemy już chłopcami, którymi byliśmy kiedyś. Ale spójrz na to z innej strony. Obaj staliśmy się postaciami, o których nam się nawet nie śniło w najśmielszych marzeniach. A po drugie, tylko bardzo nieliczne rzeczy, sprawy czy

*zdarzenia, które są cokolwiek warte, przychodzą prosto i łatwo.*

*– Myślałem o swoich rodzicach. – Tomas zapatrzył się w morze. – Nie odwiedziłem ich od zakończenia wojny. Nie jestem już tym, którego znali kiedyś.*

*Pug dobrze rozumiał, o czym mówi przyjaciel.*

*– Będzie to dla nich trudne, ale to dobrzy ludzie i z pewnością przyjmą i zaakceptują przemianę, jaka w tobie zaszła. Bardzo będą chcieli poznać swego wnuka.*

*Tomas westchnął i zaśmiał się na poły z radością, na poły z goryczą.*

*i– Calis jest inny niż dziecko, którego mieli prawo oczekiwać. Cóż, ja także jestem inny. Nie, nie obawiam się ponownego spotkania z nimi. – Spojrzał na Puga.*

*– Obawiam się, że mogę ich już nigdy nie zobaczyć – dokończył cichym głosem.*

*Pug pomyślał w tej chwili o swej żonie Katali i o wszystkich, których pozostawił w Stardock. Przez zaciśnięte gardło nie chciały mu przejść żadne słowa.*

*W milczeniu wyciągnął rękę i chwycił mocno przyjaciela za ramię. Trwali tak przez długą, wypełnioną natłokiem myśli chwilę. Pomimo mocy i zdolności, którymi dysponowali, pomimo talentów, jakimi nie był obdarzony żaden z żyjących ludzi, byli śmiertelni. Pug, w większym jeszcze stopniu niż Tomas, zdawał sobie sprawę z przerażającej natury tego, z czym przyjdzie im się zmierzyć w niedalekiej przyszłości. Co więcej, w głębi serca mag żywił jeszcze głębsze podejrzenia i bardziej mroczne obawy. Wszystko – począwszy od milczenia eldarów w czasie jego nauki, ich obecności na Kelewanie, po wreszcie wgląd w wiedzę zyskany dzięki nauce – wskazywało na zagrożenia, co do których Pug miał głęboką nadzieję, iż nigdy się nie spełnią. Ze wszystkich znanych mu wątków wysnuwała się jedyna konkluzja, o której wolał nie wspominać głośno, dopóki nie będzie miał innego wyboru.*



*Odechnął nurtujący go niepokój.*

*– Chodź, musimy zobaczyć się z Gathisem.*

*Znajdowali się w punkcie ponad plażą, gdzie ścieżka prowadząca ku górze rozdzielała się. Pug pamiętał, że jedna prowadzi do zamku, a druga do niewielkiej dolinki, gdzie stały te dziwne zabudowania. Macros, którego spotkał tam po raz pierwszy, nazwał je Villa Beata. Żałował teraz niezmiernie, że nie odwiedził ponownie dolinki, kiedy powrócił z towarzyszami na wyspę. Przybyli tam, aby przejąć spuściznę po Macrosie, stanowiącą obecnie główną część księgozbioru akademii w Stardock. Budynki zniknęły z powierzchni ziemi, a w ich miejsce pojawiły się kilkusetletnie z wyglądu drzewa... jeszcze jedna z wielu tajemnic otaczających Czarnego Macrosa. Ruszyli ścieżką w kierunku zamczyska. Stało na niewielkim płaskowyżu oddzielonym od reszty wyspy głęboką rozpadliną, której strome krawędzie opadały gwałtownie ku falom oceanu. Te zaś rozbijały się o skaliste ściany z hukiem, który towarzyszył im dudniącym echem, gdy przechodzili powolutku przez opuszczony zwodzony most. Zamek zbudowano z nie znanego im, ciemnego kamienia. Na potężnym łuku portalu bramy przysiadły dziwaczne stwory patrzące na nich zastygłym w kamieniu wzrokiem. Otoczenie zamku wyglądało prawie identycznie jak poprzednim razem. Kiedy znaleźli się na dziedzińcu, stało się jednak oczywiste, że cała reszta uległa gruntownej zmianie. W czasie ostatnich odwiedzin teren zamku był dobrze utrzymany i zadbany. Teraz w szparach kamieni u podstawy ścian rozplenilo się bujne zielsko. Płyty dziedzińca usiane były białymi plamkami ptasich odchodów. Pośpieszyli ku wejściu do głównego zamku, gdzie na poskręcanych zawiasach wisały krzywo wielkie odrzwia. Pchnęli je w bok, aby przejść dalej. Przerdzewiałe żelazo zazgrzytało*

*piskliwie. Pug poprowadził przyjaciela długim korytarzem, a potem schodami w górę wieży. Po paru minutach stanęli przed drzwiami do pracowni Macrosa.*

*Ostatnim razem, by je otworzyć, musiał użyć zaklęcia i odpowiedzieć na zadane w języku Tsuranich pytanie. Teraz wystarczyło proste popchnięcie. Pracownia świeciła pustkami. Zeszli na dół i udali się do wielkiej sali. Pug rozejrzył się ze zniecierpliwieniem.*

*– Halo, wy w zamku! Jest tu kto? Jego wołanie odbiło się pustym, zwielokrotnionym echem od kamiennych ścian.*

*– Wygląda na to, że wszyscy stąd odeszli – powiedział Tomas przyciszonym głosem.*

*– Nic nie rozumiem. Podczas ostatniej rozmowy z Gathisem zapewnił mnie, że będzie tu mieszkać, czekając na powrót Macrosa, będzie utrzymywał wszystko w należytych porządku. Nie poznałem go co prawda zbyt dobrze, ale dałbym głowę, że uczyni jak mówił i utrzyma zamek w stanie, w jakim widzieliśmy go wtedy...*

*– Widocznie nie mógł – powiedział Tomas. – Może ktoś miał powód, by odwiedzić wyspę? Piraci albo korsarze z Queg?*

*– Albo agenci Murmandamusa? – Pug wyraźnie zmarkotniał. – Miałem nadzieję, że uda się uzyskać od Gathisa bliższe wskazówki, które pozwolą na rozpoczęcie poszukiwań Macrosa. – Rozejrzył się po sali. Przy ścianie znajdowała się kamienna ława. Podeszedł i usiadł. – Nawet nie wiemy, czy Macros jeszcze żyje. Jak mamy go odnaleźć?*

*Tomas stał nad przyjacielem. Oparł stopę o ławę i nachylił się, wspierając skrzyżowanymi rękami o kolano.*

*– Możliwe, że zamek jest opuszczony, ponieważ Macros już wrócił, a*

*następnie znowu opuścił te strony. Pug uniósł głowę.*

*– Być może... hm... było takie zaklęcie, zaklęcie Niższej Drogi...*

*– O ile się na tym znam... Pug przerwał mu.*

*– W Elvardein nauczyłem się wielu rzeczy. Spróbuję... -Zamknął oczy i zaczął wypowiadać zaklęcie. Mówił niskim, przyciszonym głosem, kierując swój umysł w regiony magii, które ciągle były dla niego nowością. Otworzył raptownie oczy. – Zamek otoczony jest jakimś zaklęciem. Kamienie... coś z nimi nie w porządku... coś nie pasuje.*

*Tomas wpatrywał się w przyjaciela. W jego spojrzeniu czaiło się nieme pytanie. Pug wstał i przesunął dłonią po kamieniach. – Użyłem zaklęcia, które powinno wydobyć informację z samych ścian. Nie jestem pewien, czy wiesz, ale wszystko, co się dzieje w pobliżu jakiegoś przedmiotu, zostawia na nim niewielkie ślady, oddziałuje swoją energią. Ktoś znajdujący się na rzeczy może odczytać te ślady –jak ty czyja pismo skryby. Trudne to, ale możliwe. Jednak te kamienie niczego nie zdradzają, niczego nie wyjawiają. Jakby przez tę salę nigdy nie przeszła żadna żyjąca istota.*

*Pug obrócił się raptownie ku drzwiom.*

*– Chodź! – zakomenderował.*

*Szli ramię w ramię, aż stanęli w samym środku dziedzińca. Pug wznosił ręce ponad głowę. Tomas wyczuł, jak gromadzą się wokół nich potężne zasoby energii – w Pugu wzbierała moc. Zamknął oczy i przemówił nagle w przedziwnym języku, który jednak wydał się Tomasowi dziwnie znajomy. Przyjaciel otworzył oczy.*

*– Niech prawda się objawi!*

*Tomas odniósł wrażenie, jakby w przestrzeni, której centrum wraz z Pugiem*

stanowili, pojawiła się zmarszczka, taka jak powstaje na wodzie po wrzuceniu kamienia. Rozchodziła się koncentrycznie, oddalając od nich. Wraz z nią przemieszczał się i zmieniał widok przed jego oczami. Powietrze drgało. W jednej chwili miał przed sobą zapuszczony dziedziniec, a w następnej, po przesunięciu się wybrzuszenia przestrzeni, ukazywały mu się stopniowo dobrze utrzymane i czyste kamienne płyty. Krąg zakłócenia rozszerzał się gwałtownie i po chwili znajdowali się na tym samym z pozoru, jednak zupełnie innym dziedzińcu. Tuż koło nich przeszła dziwaczna postać dźwigająca naręczę szczap do pieca. Zauważywszy ich, stanęła jak wryta. Na twarzy stwora pojawił się wyraz nieopisanego zdumienia. Drewno wypadło z trzaskiem z opuszczonych bezwładnie rąk.

Tomas sięgnął po miecz, lecz Pug powstrzymał go, kładąc mu uspokajająco rękę na ramieniu.

– Przecież to górski troll!

– Gathis wspominał, że Macros zatrudniał wiele sług, a ocenił ich wartość wyłącznie na podstawie osobistych talentów.

Zaskoczony stwór, barczysty, z długimi kłami wystającymi z pyska i o przerażającym wyglądzie, popędził ku drzwiom w murze pochylony jak małpa. Ze stajni wyszedł kolejny stwór. Nie przypominał wyglądem niczego, co widzieli do tej pory. Zatrzymał się, wpatrując w nich zdziwionym wzrokiem. Miał niecały metr wzrostu i niedźwiedzi pysk, ale futro było czerwonozłotawe. Gdy spostrzegł, że przybysze przyglądają mu się, odstawił pod ścianę miotłę, którą trzymał w ręku, i powoli wycofał się do wnętrza stajni. Pug śledził go wzrokiem, póki całkiem się nie wtopił w mroczne wnętrze. Przyłożył do ust złożone dłonie.

–Gathis! – zawołał.

*Prawie natychmiast otworzyły się drzwi prowadzące do wielkiej sali. Na progu pojawiło się porządnie ubrane stworzenie przypominające do złudzenia goblina. Było nieco wyższe niż zwykłe gobliny. Wydatne łuki brwiowe i wyrazisty, typowy dla jego rasy nos wskazywały na pochodzenie. Jednak miało bardziej szlachetny wygląd i poruszało się płynnie i nawet z pewnym wdziękiem.*

*Przyodziane w błękitną koszulę i obcisłe spodnie, żółty kubrak i czarne buty zbiegało już po schodach, by po chwili pokłonić się przybyszom.*

*– Witaj, Mistrzu Pug – powiedział lekko syczącym głosem. – Przyjrzał się Tomasowi. – A to będzie z pewnością Mistrz Tomas?*

*Pug i Tomas wymienili pytające spojrzenia.*

*– Szukamy twego pana – powiedział Pug. Gathis posmutniał.*

*– To może się okazać trudne. Mistrzu. Jeśli potrafię ocenić sytuację, Macros już nie istnieje.*

*Pug sączył wino z kielicha. Gathis zaprowadził ich do sali, gdzie podano posiłek. Zarządca zamku nie przyjął zaproszenia do stołu i stojąc przed nimi, ciągnął swoją opowieść.*

*– Jak już wspominałem, w czasie twej ostatniej wizyty, Mistrzu Pug, pomiędzy mną a Czarnym istnieje pewnego rodzaju porozumienie. Potrafię wyczuć jego stan istnienia? W jakiś niezwykle sposób zawsze wiem, że on tam jest, gdzieś tam. Mniej więcej w miesiąc po twym odjeździe obudziłem się nagle pewnej nocy, czując brak tego kontaktu. Było to bardzo niepokojące.*

*– Zatem Macros nie żyje – powiedział Tomas. Gathis westchnął bardzo po ludzku.*

*– Obawiam się, iż tak właśnie jest. A nawet jeśli jest inaczej, to przebywa w*

*miejszu tak odległym i obcym, że nie ma to praktycznie większego znaczenia.*

*Pug milczał, rozmyślając nad czymś.*

*– Kto więc stworzył tę iluzję? – zapytał Tomas.*

*– Mój pan. Gdy tylko Mistrz Pug i jego towarzysze opuścili zamek, uaktywniłem zaklęcie. Wiedziałem, że bez jego dającej nam bezpieczeństwo obecności możemy być narażeni na wszelkie zagrożenia. Uznał, że trzeba zapewnić nam „barwy ochronne”, że tak się wyrażę. Już dwukrotnie od tamtej wizyty piraci przeczesali wyspę w poszukiwaniu łupów. Nic nie znaleźli.*

*Pug poderwał raptownie głowę.*

*– Czyli willa nadal istnieje?*

*– Tak, Mistrzu. Jest ukryta pod iluzją. – Gathis spojrzał na niego niepewnym, zaniepokojonym wzrokiem. – Muszę przyznać, chociaż nie jestem ekspertem w tej materii, iż sądziłem, że obalenie zaklęcia iluzji będzie poza zasięgiem twych możliwości. – Znowu westchnął. – A teraz boję się, że ty odejdziesz, a my pozostaniemy odkryci... wystawieni na widok...*

*– Nie bój się – Pug machnął ręką – zanim opuszczę wyspę, przywrócę zaklęcie. – Coś nie dawało mu jednak spokoju, kołatało się w najgłębszych zakamarkach umysłu... jakaś dziwna wizja rozmowy z Macrosem w willi. – Gdy spytałem Macrosa, czy mieszkał w tamtej willi, powiedział: „Nie, chociaż kiedyś tak, lecz było to bardzo dawno temu”. – Spojrzał na Gathisa. – Nie wiesz, czy miał tam pracownię, taką jak tutaj, w wieży?*

*– Tak. Całe wieki temu, zanim tutaj trafiłem.*

*Pug zerwał się od stołu.*

*– Musimy tam pójść. Natychmiast.*

*Gathis poprowadził ich ścieżką ku dolince. Dachy pokryte czerwoną dachówką były takie, jak je Pug zapamiętał.*

*– To jakieś dziwne miejsce – zauważył Tomas – chociaż dość miłe. Przy dobrej pogodzie można by tu wygodnie mieszkać.*

*– Mój pan też tak myślał... kiedyś. Lecz jak wspominał, musiał stąd odejść na pewien czas. Gdy powrócił, willa była opuszczona. Ci, z którymi tutaj mieszkał, odeszli bez słowa wyjaśnienia. Z początku starał się ich odnaleźć, ale potem dał spokój – obawiał się informacji o ich losie. Później jeszcze pojawił się niepokój o bezpieczeństwo ksiąg i innych prac, jak również o życie sług, których zamierzał tutaj sprowadzić. Wybudował więc zamek. I poczynił jeszcze inne kroki zabezpieczające...  
– dorzucił na koniec z radosnym chichotem.*

*– Legenda Czarnego Macrosa.*

*– Strach przed magią ciemności i zła często przydaje się bardziej niż potężne mury. Mistrzu Pug. A nie było to wcale takie proste i łatwe, jak się mogło z pozoru wydawać. Spowicie tej zazwyczaj słonecznej wyspy w wieczny woal mrocznych chmur czy podtrzymywanie piekielnego, błękitnego światła, które rozbłyskiwało, gdy do brzegu zbliżał się jakiś statek, było dla nas dość uciążliwe.*

*Weszli na dziedziniec willi otoczony niskim murkiem. Pug zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na fontannę z trzema delfinami wspinającymi się na kamienny cokół.*

*– Opracowałem rysunek w moim pokoju przejścia na wzór tej fontanny – powiedział Pug.*

*Gathis poprowadził ich dalej, ku głównemu budynkowi, i nagle Pug zrozumiał. Chociaż nie było tutaj systemu zadaszonych chodników, to jednak willa,*

*jej rozmiary i kształt były wierną kopią jego domu na Kelewanie. Układ zabudowań był identyczny. Wstrząśnięty do głębi, zatrzymał się w pół kroku.*

*– Co się stało? – spytał Tomas.*

*– Wydaje się, że Macros miał swój udział w wielu zdarzeniach, o których nie mieliśmy pojęcia. Był też o wiele subtelniejszy, niż nam się wydawało. Swój dom na Kelewanie zbudowałem dokładnie na wzór tego. Co więcej, nie miałem o tym pojęcia. Dziwne, nie kierowało mną przecież nic innego tylko wewnętrzne przeświadczenie, że właśnie tak powinienem go zaprojektować. Pewnie nie miałem wielkiego wyboru. Chodźcie, pokażę wam, gdzie jest pracownia.*

*Bez wahania zaprowadził ich do pokoju, który był usytuowany dokładnie tak samo, jak pracownia w jego domu. Różnica polegała tylko na tym, że drzwi były z solidnego drewna i normalnie otwierane, nie zaś przesuwane i pokryte materiałem jak na Kelewanie. Gathis skinął głową.*

*Pug otworzył drzwi i wszedł. Wielkość i kształt pokoju były identyczne. Tam, gdzie na Kelewanie stał niski stolik, a na ziemi leżał stos poduszek, tutaj znajdował się pokryty grubą warstwą kurzu stolik do pisania i krzesło. Pug, nie mogąc wyjść z podziwu, zaśmiał się donośnie i pokiwał głową z uznaniem.*

*– Czarownik miał wiele sztuczek w zanadrzu. – Podeszedł do skromnego kominka i wyciągnął jeden z kamieni. Ukazała się niewielka skrytka. – Kazałem coś takiego zrobić u siebie w domu, chociaż nie wiedziałem do końca dlaczego. Przecież tam schowek nie był mi do niczego potrzebny. – Wewnątrz leżał zwój pergaminu.*

*Pug wyjął go i uważnie obejrzał. Zwój opasywała pojedyncza wstążeczka bez żadnej pieczęci.*

*Rozwinął pergamin. Jego twarz ożywiła się.*



– Ach, ty mądry i przewidujący człowieku! – Podniósł wzrok i spojrzął na

Tomasa i Gathisa. – Tekst napisany jest w języku Tsuranich. Nawet gdyby zdarzyło się, że ktoś dostałby się do tego pokoju i znalazł jakimś cudem skrytkę, a w niej pergamin, i tak nie było najmniejszej szansy, aby zdołał go przeczytać. – Wrócił wzrokiem do pergaminu i zaczął czytać na głos. – „Pug, jeśli kiedyś będziesz czytał te słowa, możesz być prawie pewien, że nie żyję. A nawet jeśli zdołam przetrwać, to będę znajdował się poza granicami normalnej przestrzeni i czasu. W każdym przypadku nie będę w stanie przyjść ci z pomocą, o którą zabiegasz. Miałeś okazję odkryć i poznać w niewielkim stopniu naturę Nieprzyjaciela. Wiesz dobrze, że zagraża zarówno Midkemii, jak i Kelewanowi. Poszukaj mnie najpierw w Grotach Zmarłych. Jeśli tam mnie nie znajdziesz, uzyskasz pewność, że żyję. Będę zapewne uwięziony w miejscu, które bardzo trudno odnaleźć. Wtedy staniesz przed koniecznością wyboru: albo będziesz mnie szukać, albo na własną rękę spróbujesz poznać głębiej naturę Nieprzyjaciela. To droga najbardziej niebezpieczna, jaką sobie można wyobrazić, lecz z szansami powodzenia. Cokolwiek postanowisz, wiedz, że życzę ci błogosławieństwa bogów. Macros”.

– Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś więcej. – Pug odłożył zwój.

– Mój pan był potężnym magiem, ale i jego moc nie była bez granic – powiedział Gathis. – Jak przekazał w swym ostatnim przesłaniu do ciebie. Mistrzu, gdy znalazł się wraz z tobą w przejściu między dwoma światami, nie był w stanie przebić zasłony czasu. Od tamtej chwili czas stał się dla niego równie nieprzeniknioną tajemnicą, jak dla innych ludzi. Mógł jedynie zgadywać, spekulować.

– Nie ma więc wyjścia, musimy ruszać do Grot Zmarłych – powiedział

*Tomas.*

*– Ale gdzie ich szukać? – spytał Pug.*

*– Postuchajcie – odezwał się Gathis. – Za Bezkresnym Morzem leży południowy kontynent nazywany przez ludzi Novindus. Z północy na południe przecina go ogromny łańcuch górski, zwany w języku miejscowych Ratn'gari, co w naszym języku znaczy „Namiot Bogów”. Dwa najwyższe szczyty. Kolumny Niebios, zajmuje Niebiańskie Miasto, które jak ludzie mówią, jest domem bogów. U jego podnóża rozciąga się Nekropolis. Miasto Zmarłych Bogów. Świątynia znajdująca się najwyżej. Ta, która opiera się o podstawę gór, czci czterech zaginionych bogów. Znajdziecie tam wylot tunelu prowadzącego do serca Gór Niebiańskich. To wejście do Grot Zmarłych.*

*Pug zastanawiał się przez chwilę.*

*– Zgoda. Prześpimy się w zamku, a jutro rano przywołamy Ryath i polecimy na drugi koniec Bezkresnego Morza.*

*Tomas odwrócił się bez słowa i ruszył ścieżką ku zamkowi. Nie było żadnej dyskusji. Nie mieli wyboru. Czarnoksiężnik powiedział wszystko, co było do powiedzenia.*

*Ryath przechyliła się w skręcie. Od wielu godzin lecieli z niewyobrażalną prędkością. Fale Bezkresnego Morza ciągnęły się od horyzontu po horyzont, przewalając się leniwie. Morze zdawało się nie mieć końca. Jednak smok, po przyjęciu ich wskazówek, nie wahał się ani przez ułamek sekundy. Teraz, po wielu, wielu godzinach lotu szybowali ponad kontynentem po drugiej stronie świata. Ponieważ przesuwali się ze wschodu na zachód, a do tego znaleźli się na półkuli południowej, zyskali nieco na czasie. Dzień był pozornie dłuższy. Dostrzegli*

*Novindus późnym popołudniem. Z początku lecieli ponad jałowymi, piaszczystymi pustyniami, ciągnącymi się aż po horyzont. Od strony morza granicę pustyni stanowił wysoki, urwisty brzeg ciągnący się setkami kilometrów. Każdego, kto dotarłby statkiem do północnego wybrzeża, czekały długie dni niebezpiecznej wspinaczki i wędrówki, zanim trafiłby na słodką wodę. Później smok przeleciał nad trawiastą równiną. Daleko pod nimi setki dziwnych w kształcie wozów, otoczone stadami bydła, owiec i koni posuwały się z północy na południe. Jakiś szczerp nomadów kroczył śladami przodków, nie zdając sobie sprawy z obecności mknącego wysoko nad nimi smoka.*

*Wreszcie ujrzeli pierwsze miasto. Równinę przecinała potężna rzeka, przypominająca Pugowi Gagajin na Kelewanie. Na jej południowym brzegu wznosiło się miasto, a za nim rozciągały się pola uprawne. Daleko na południowym zachodzie majaczył w wieczornej mgiełce łańcuch górski: Namiot Bogów.*

*Ryath zaczęta obniżać lot. W niedługim czasie zbliżyli się do centralnej części łańcucha. Niknąc w chmurach, strzelały w niebo ogromne szczyty – Kolumny Niebios. Rozciągające się u ich podnóża gęste lasy kryły wszystko, cokolwiek znajdowało się w ich wnętrzu. Przez ostatnie kilka minut lotu smok krążył, szukając choćby niewielkiej polany, na której mógłby wylądować. Wreszcie Ryath osiadła powoli na ziemi.*

*– Lecę na polowanie. Kiedy skończę, pójdę spać. Potem przez czas jakiś będę odpoczywać.*

*– W dalszej podróży na tej ziemi nie będziemy cię potrzebowali. – Tomas uśmiechnął się. – Z miejsca, do którego się udajemy, może nie być drogi powrotnej. Miałabyś zresztą kłopoty ze znalezieniem nas.*

*Słyszac ostatnią uwagę, smok wyemanował falę humoru i rozbawienia.*

*– Odnoszę wrażenie, iż się nieco pogubił, Valheru. Może trochę zapomniałeś? W przeciwnym razie wiedziałbyś, że w całej przestrzeni nie istnieje miejsce, do którego dotrzeć nie mogę – powód jeno mieć muszę.*

*– Miejsce, o którym mówię, leży poza twoim zasięgiem, Ryath. Wchodzimy do Grot Zmarłych.*

*– Hm... zaiste, prawdę rzeczesz, Tomasie. Tam nawet ja nie potrafię was odnaleźć. Lecz jeśli ty i przyjaciel twój zdołacie przeżyć tę podróż i powrócić do rzeczywistości życia ziemskiego, zawołaj tylko, a natychmiast odpowiem na wezwanie. Niech ci się szczęści w łowach, Valheru, bo mnie się powiedzie na pewno.*

*– Smok wyprostował się i rozpostarł skrzydła. Kilka potężnych uderzeń i Ryath wzbiła się w mroczniejsze niebo.*

*– Jest zmęczona – zauważył Tomas. – Smoki polują przeważnie na dziką zwierzynę, ale tym razem obawiam się, że jakiś chłop stwierdzi jutro rano brak kilku owiec czy krowy. Z pełnym brzuchem Ryath będzie spała przez kilka dni.*

*Pug rozejrzał się po okolicy spowitej gęstniejącym mrokiem.*

*– W pośpiechu zapomnieliśmy o jedzeniu dla nas samych. Tomas usiadł na zwałonym pniu.*

*– Takie rzeczy nigdy się nie zdarzały w sagach naszej młodości.*

*Pug spojrział na niego pytającym wzrokiem.*

*– Pamiętasz lasy koło Crydee, gdzie bawiliśmy się jako chłopcy? – Poweselał.*

*– We wszystkich dziecięcych zabawach w wojnę zwyciężaliśmy przeciwników tak, by zdążyć do domu na obiad czy kolację.*

*Pug usiadł obok przyjaciela. Zachichotał cicho pod nosem.*

– Pamiętam. Ty zawsze grałeś wielkiego, tragicznego bohatera ginącego w wielkiej bitwie. Potem żegnałeś się długo ze swymi towarzyszami.

– Tylko że tym razem – Tomas spoważniał – jeśli nas zabiją, nie wstaniemy sobie po prostu z ziemi, by wrócić do ciepłej kuchni domowej na gorące żarcie.

Zapanowała cisza.

– No, ale przynajmniej możemy urządzić się najwygodniej jak to możliwe.

Miejsce jest równie dobre, by doczekać świtu jak każde inne. Podejrzewam, że całe Nekropolis jest zarośnięte, w przeciwnym razie widzielibyśmy coś z powietrza. Za dnia będzie łatwiej je znaleźć. – Uśmiechnął się lekko. – A poza tym nie tylko Ryath jest zmęczona.

– Śpij, jeśli musisz. – Tomas wpatrywał się w gęste poszycie lasu. – Ja nauczyłem się ignorować tę potrzebę, podporządkowując ją swej woli. – Wyraz jego twarzy sprawił, że Pug zwrócił głowę w kierunku lasu, idąc za jego wzrokiem. W ciemności coś się poruszało.

Nagle z gęstwiny za ich plecami rozległ się ogłuszający ryk. W jednej chwili polanka była cicha i spokojna, wręcz senna, a już w następnej coś lub ktoś skoczył Tomasowi na plecy.

Po zdławionym ryku nastąpiły inne. Pug zerwał się na nogi. Impet skoku z gęstwiny sprawił, że Tomas poleciał do przodu. Chociaż zwierzę czy człowiek wczepiony w jego plecy niemal dorównywał Tomasowi wielkością, to jednak żaden śmiertelnik na Midkemii nie mógł się z nim mierzyć siłą. Tomas wyprostował się i sięgnął za siebie ręką, chwytając błyskawicznie napastnika za futro na karku.

Jednym szarpnięciem oderwał go od siebie i cisnął nad głowę jak dziecinną piłkę, trafiając w następnego, który pędził ku niemu.

*Pug wznosił dłonie i klasnął. Nad polaną przetoczył się huk gromu. Był ogłuszający. Nadbiegający zawahali się. Z wzniesionych dłoni Puga trysnął snop oślepiającego światła. Napastnicy, otaczający Tomasa i Puga coraz ciasniejszym kręgiem, zamarli w pół kroku.*

*W pierwszej chwili sprawiali wrażenie tygrysów. Po bliższym przyjrzeniu się można było zauważyć, że ich torsy były prawie ludzkie. Pomarańczowe głowy poprzecinane czarnymi pasami. Podobnie ręce i nogi. Mieli na sobie pancerze z błękitnego metalu i obcisłe, sięgające do połowy uda spodnie z niebieskoczarne materiału. W dłoniach dzierżyli krótkie miecze. Zza psów sterczały rękojeści sztyletów.*

*Oślepieni światłem magii Puga przywarli do ziemi, przysłaniając oczy. Pug szybko wypowiedział inne zaklęcie i ludzie-tygrysy zwałili się ciężko na ziemię. Pug zachwiał się. Łapczywie chwycił powietrze otwartymi ustami. Usiadł na pniu.*

*– Niewiele brakowało. Trochę za dużo jak na jednego. Rzucenie zaklęcia snu na tak wielu jednocześnie...*

*Tomas słuchał jednym uchem. Wydobył miecz i stał z tarczą w ręku gotowy do walki.*

*– W lesie jest ich więcej.*

*Pug potrząsnął głową, pokonując zamroczenie i wstał. Mimo że noc była bezwietrzna, z otaczającej ich gęstwiny dochodziły delikatne szelesty, jakby gałązek poruszanych podmuchem delikatnej bryzy. Nagle z mroku wyłoniło się kilkanaście kolejnych postaci, identycznych jak te powalone snem.*

*Jedna z nich przemówiła głębokim, niewyraźnym głosem.*

*– Człowieku, odłóż broń. Jesteście otoczeni. – Pozostali pochyłili się lekko, jak*

*czające się do skoku gigantyczne koty, które do złudzenia przypominały.*

*Tomas spojrzął na Puga, który skinął głową. Wówczas pozwolił, by jeden z napastników rozbroił go. Przywódca machnął ręką w ich kierunku.*

*– Związać ich!*

*Tomas pozwolił się spętać. Pug uczynił podobnie.*

*– Zabiliście wielu moich wojowników – krzyknął dowódca.*

*– Oni tylko śpią – wytłumaczył Pug. Jeden z wojowników przyklęknął przy leżących i zbadał ich puls.*

*– Tuan, on mówi prawdę! Śpią.*

*Nazwany Tuanem przyjrzał się z uwagą twarzy maga.*

*– Potrafisz rzucać czary, a jednak pozwalasz się wziąć w niewolę bez oporu.*

*Dlaczego?*

*– Z ciekawości. Nie mamy zamiaru was krzywdzić. Ludzie-tygrysy zaczęły wydawać dźwięki, które pewnie oznaczały śmiech. I wtedy Tomas po prostu rozłożył ręce. Pęta pękły natychmiast. Wyciągnął rękę w stronę wojownika trzymającego jego złoty miecz i oręż wyfrunąwszy z uścisku zdziwionego stwora, wrócił do dłoni właściciela. Dziwny śmiech zamarł natychmiast. Zapadła długa cisza.*

*Z gardła Tuana wydobył się gniewny charkot. Rozcapierzona dłoń z długimi pazurami śmignęła w powietrzu, celując w twarz Puga. Mag błyskawicznie uniósł rękę. Z jego dłoni wytrysnął złocisty płomyk. Szponiasta ręka odsunęła się gwałtownie od światła, jakby uderzyła w stal.*

*Tygrysie stwory ponownie zerwały się do ataku. Dwa z nich chwyciły*

*Tomasa od tyłu. Strząsnął je z siebie, odrzucił na boki i chwycił Tuana za kark.*

*Przywódca miał ponad dwa metry wzrostu, lecz Tomas uniósł go w górę, jakby nic*

*nie ważył. Jak każdy kot złapany za kark, stwór zwisał bezradnie.*

*– Zatrzymać się albo on zginie!*

*Bestie zawahały się. W końcu jeden z nich przykląkł na jedno kolano. Inne poszły za jego przykładem. Tomas puścił Tuana, który obrócił się w powietrzu i wylądował zwinnie na ziemi.*

*– Kim jesteście... bo chyba nie ludźmi?*

*– Jestem Tomas, zwany niegdyś Ashen-Shugar, Władca Orlich Perci. Jam jest Valheru.*

*Po ostatnim słowie ludzie-tygrysy zaczęły piskliwie miauczeć, powarkić i skomleć płaczliwie.*

*– Starodawny! – rozległo się kilka razy. Przerazone stwory zbiły się w ciasną grupkę.*

*– O co tu chodzi? – spytał Pug. – I co to za stworzenia?*

*– Boją się mnie, ponieważ jestem legendą, która nagle ożyła na ich oczach. To menażeria Draken-Korina. – Zauważył, że Pugowi niewiele to mówi. – Jednego z Valheru. Był Władcą Tygrysów i wyhodował sobie tę rasę, aby strzegła bram jego pałacu. – Rozejrzał się. – Żyją pewnie w jednej z jaskiń w lesie. – Odwrócił się do Tuana. – Wydaliście wojnę ludziom?*

*Tuan, ciągle przygięty do ziemi, warknął gniewnie.*

*– Walczymy ze wszystkimi, którzy wkraczają w granice naszych lasów.*

*Starodawny. To nasza ziemia, sam wiesz najlepiej. To ty przecież uczyniłeś nas wolnym ludem.*

*Oczy Tomasa zwęziły się, a potem otworzyły gwałtownie.*

*– Ppp... pamiętam. – Poblądł. – Zdawało mi się, że zapamiętałem wszystko z*



*tamtych dni... – powiedział do Puga.*

*– Myśleliśmy, że jesteście zwykłymi ludźmi – warknął Tuan. – Rana z*

*Maharta walczy z Kapłanem-Królem z Lanada. Jego bojowe słonie panują niepodzielnie na równinach, lecz lasy nadal są w naszych rękach. W tym roku sprzymierzył się z najwyższym zwierzchnikiem Miasta nad Wężową Rzeką, który wspiera go swoimi żołnierzami. Rana wysyła ich przeciwko nam. Nie mamy wyboru, zabijamy wszystkich, którzy wejdą w nasze lasy, ludzi, Krasnoludy, gobliny czy ludzi-węże.*

*– Pantathianie! – krzyknął Pug.*

*– Tak nazywają ich ludzie. Ziemie węży rozciągają się na południe stąd.*

*Nadciągają czasem tu, na północ, by dokonywać rozbojów. Traktujemy ich z całą bezwzględnością. – Spojrzał spode łba na Tomasa. – Czy przybyłeś Starodawny, aby ponownie uczynić nas niewolnikami?*

*Tomas wyrwał się z zadumy.*

*– Nie, tamte dni zniknęły wraz z przeszłością. Szukamy Grot Zmarłych w Mieście Zmarłych Bogów. Poprowadzisz nas. Tuan machnął ręką na swych wojowników, aby odeszli.*

*– Zaprowadzę cię. – Powiedział coś do swoich w gardłowym, mrukliwym języku. W okamgnieniu zerwali się i wtopili w mrok między drzewami. – Chodźcie, przed nami długa droga – rzekł Tuan, gdy zostali we trzech.*

*Tuan prowadził ich pewnie przez ciemny las. Korzystając z okazji, Pug zadawał mu wiele pytań. Z początku człowiek-tygrys odnosił się do maga z niechęcią, lecz Tomas nakazał mu posłuszeństwo. Naród ludzi-tygrysów zamieszkiwał niewielkie miasto na wschód od miejsca, w którym wylądowała*

*Ryath. Smoki od dawna były przez nich znienawidzone, gdyż siały spustoszenie w stadach domowych zwierząt. Gdy zauważano smoka, wysyłano natychmiast cały oddział, aby przegonił go skutecznie.*

*Ich miasto nie miało własnej nazwy i wszyscy znali je tylko jako Miasto Tygrysów. Nie było na świecie żadnego człowieka, który by dotarł tam i przeżył, ponieważ jego mieszkańcy zabijali bezlitośnie każdego przybysza. Tuan żywił wobec ludzi wielką nieufność.*

*– Byliśmy tutaj przed ludźmi – odrzekł, gdy go o to zapytano. – Zabrali nam nasze lasy na wschodzie. Stawiliśmy im opór. Między nami zawsze była wojna. O Pantathianach Tuan nie wiedział zbyt wiele, z wyjątkiem tego, że powinno się ich zabijać natychmiast i przy każdej okazji. Natomiast, gdy Pug zapytał o początki historii ludzi-tygrysów i jak Tomas ich uwolnił, jedyną odpowiedzią była cisza. Tomas także nie wydawał się chętny do udzielenia odpowiedzi, Pug nie nalegał.*

*Po długiej wspinaczce przez porośnięte lasami wzniesienia u podnóża Kolumn Niebios dotarli do głębokiej przełęczy. Tuan zatrzymał się. Na wschodzie szarzał świt.*

*– Tutaj mieszkają bogowie. – Spojrzeli ku górze. Wierzchołki szczytów oświetlały już pierwsze promienie słońca. Kolumny Niebios spowijały mgliste, prześwietlone słońcem chmury, migoczące białymi i srebrzystymi iskierkami.*

*– Jak są wysokie te szczyty? – spytał Pug.*

*– Nikt tego nie wie. Nie dotarł tam żaden śmiertelnik. Zostawiamy pielgrzymów w spokoju, pozwalając im przejść bez przeszkód, pod warunkiem że trzymają się na południe od naszych granic. Ci, którzy się wspinają wyżej, nigdy nie*

wracają. Bogowie wolą odosobnienie i spokój. Idziemy.

Wprowadził ich na przełęcz opadającą w dół stromym wąwozem.

– Za przełęczą wąwóz rozszerza się, przechodząc w obszerny płaskowyż. Tam leży Miasto Zmarłych Bogów. Teraz cały teren porośnięty jest drzewami i pnączami. W środku miasta znajduje się wielka świątynia ku czci zaginionych bogów. Za świątynią rozciąga się mieszkanie tych, którzy odeszli. Dalej nie pójdę, Starodawny. Tobie i twemu rzucającemu czary towarzyszowi może uda się przeżyć. Dla zwykłych śmiertelników to droga, z której nie ma powrotu. Wejście do Grot Zmarłych równoznaczne jest z opuszczeniem ziemi żyjących.

– Już cię nie potrzebujemy. Odejdź w pokoju.

– Niech ci się szczęści w łowach. Starodawny – pożegnał się Tuan i ruszył długimi, zwinnymi skokami w powrotną drogę. Tomas i Pug zagłębili się w wąwóz. Szli powoli przez plac. Pug starał się zapamiętać wszystkie otaczające ich cuda. Dziwne budynki o kształtach piramid, pięcio i sześciobocznych czy romboidalnych. Rozmieszczone, jak się w pierwszej chwili wydawało, w zupełnie przypadkowy sposób, sprawiały jednak wrażenie pewnego logicznego i przemyślanego układu, jak gdyby przypadkowy widz nie był na tyle wyrobiony i inteligentny, aby potrafić rozgryźć tajemnicę ich układu. Cztery narożniki placu znaczyły pomniki o niesamowitych kształtach. Wielkie, strzelające w niebo kolumny z czarnego kamienia i kości słoniowej pokryte były inskrypcjami znaków runicznych, których znaczenia Pug nie znał. Nie mogło być wątpliwości – znajdowali się w mieście. Miasto to jednak było pozbawione gospod i straganów. Nie było w nim nawet najprostszej chałupy, w której mógłby zamieszkać zwykły człowiek. Niezależnie od tego, w którą stronę kierowali kroki, wszędzie wznosiły się

*grobowce. Nad wejściem do każdego z nich widniał napis –jedno imię i nazwisko.*

*– Kto to zbudował? – zastanawiał się Pug na głos.*

*– Bogowie. – Pug przyjrzał się przyjacielowi, lecz Tomas wcale nie żartował.*

*– Naprawdę?*

*Tomas wzruszył ramionami.*

*– Nawet dla takich jak my niektóre sprawy na zawsze będą osłonięte*

*tajemnicą. Jakieś moce wzniosły te grobowce. – Wskazał ręką na jedną z większych*

*budowli w pobliżu placu. – Na tamtym widnieje imię Isanda. – Tomas popadł w*

*zadumę, wspominając starodawne dzieje. –Gdy moja rasa zbuntowała się i*

*wystąpiła przeciw bogom, ja odsunąłem się na bok. – Pug nie przeoczył faktu, iż*

*Tomas powiedział: „moja” rasa. Poprzednio, gdy nawiązywał do tamtych*

*wydarzeń, mówił, że to Ashen-Shugar odsunął się na bok. Tomas ciągnął dalej. –*

*Bogowie byli wtedy jeszcze młodzi. Ich moce nie okrzepły, a Valheru byli starożytni.*

*Przemijał wówczas stary porządek i rodził się nowy. Jednak bogowie byli potężni,*

*przynajmniej ci, którym udało się przetrwać. Z setki stworzonej przez Ishap*

*przeżyło zaledwie szesnastu, dwunastu niższych i czterech wyższych bogów.*

*Pozostali spoczywają tutaj. – Znowu wskazał na majestatyczną budowlę.*

*– Isanda była Boginią Tańca. – Rozglądał się powoli po okolicy.*

*– Działo się to w czasach Wojen Chaosu.*

*Tomas zamilkł, minął Puga i poszedł dalej. Najwyraźniej nie chciał*

*kontynuować tematu. Na następnym grobowcu zobaczyli napis Onanka-Tith.*

*– Wiesz, kto to był?*

*Tomas, nie zatrzymując się, odpowiedział cichym głosem.*

*– Radosny Wojownik i Planujący Bitwy. Zostali śmiertelnie ranni, lecz łącząc*

*w jedno pozostałe w nich esencje istnienia, przetrwali jako nowy byt, Tith-Onanka.*

*Bóg Wojny o Dwóch Twarzach. Tutaj spoczywają szczątki, które nie przetrwały.*

*– Za każdym razem, gdy jestem świadkiem jakiejś niewyobrażalnej  
wspaniałości, cudu... czyni mnie to pokornym.*

*Zapadła długa cisza. Kroczyli niespiesznie pomiędzy dziesiątkami budowli z  
obcymi Pugowi imionami.*

*– Tomas, dlaczego nieśmiertelni umierają? Tomas nie spojrzął na  
przyjaciela.*

*– Nic nie trwa wiecznie. – Dopiero teraz odwrócił głowę ku Pugowi. Mag  
dostrzegł w jego oczach dziwne światło, jakby Tomas zbierał siły, szykując się do  
bitwy. – Nic. Nieśmiertelność, władza i potęga to wszystko iluzje, złudzenia. Nie  
widzisz tego? Jesteśmy zaledwie pionkami w grze, której reguł i celu nie jesteśmy w  
stanie pojąć.'*

*Wzrok Puga powędrował po starożytnym mieście, po jego dziwacznych  
budowlach, na poły zarośniętych przez pnącza i krzaki.*

*– I to właśnie czyni mnie jeszcze bardziej pokornym.*

*– Nie, nie można się poddawać. Musimy koniecznie odszukać tego, który  
rozumie zasady tej gry. Musimy znaleźć Macrosa.*

*– Pokazał na gigantyczny gmach przytłaczający pozostałe swym ogromem.*

*Na jego frontonie wyryto cztery imiona. Sarig, Drusala, Eortis i Wodar-Hospur.*

*– Ten grobowiec wzniesiono ku czci czterech zaginionych bogów – powiedział  
Tomas. – Wskazywał po kolei na imiona.*

*– Zaginiony Bóg Magii, jak się przypuszcza, zanim zniknął, ukrył gdzieś swe  
tajemnice. Niewykluczone, że dlatego właśnie ludzie w tym świecie rozwinęli tylko*

*Niższą Drogę. Drusala, Bogini Uzdrawień. Upuściła łaskę, Sung podniosła ją i zachowała do dnia powrotu siostry. Eortis, stary ogon delfina, prawdziwy Bóg Morza. Teraz nad jego żywiołem sprawuje rządy Kilian. Ona jest teraz matką całej natury. I wreszcie Wodar-Hospur. Strażnik Wiedzy, który jako jedyny spośród bytów niższych od Ishap, znał Prawdę.*

*– Tomas, skąd tyle wiesz?*

*– Pamiętam. – Tomas spojrzał na przyjaciela. – Nie powstałem przeciwko bogom, ale przecież tam byłem. Widziałem i zapamiętałem. – W jego głosie pobrzmiwało straszliwe cierpienie i ból, nie zdołał go ukryć przed długoletnim przyjacielem.*

*Ruszyli dalej. Pug domyślił się, że w najbliższym czasie Tomas nie powróci do tego tematu. Weszli do przeogromnej sali grobowca zaginionych bogów, oświetlonej niezemskim światłem, wypełniającej ją bursztynową poświatą. Nawet pod wysoko sklepionym sufitem nie było śladu cienia. Po obu stronach wzniesiono po dwa gigantyczne trony. Stały puste, czekały. Na wprost wejścia czerniał wylot wielkiej pieczary. Tomas wskazał na mroczną otchłań.*

*– Groty Zmarłych.*

*W całkowitej ciszy wkroczyli w mrok.*

*W jednej chwili istnieli jeszcze w realnym, chociaż obcym i nieznanym świecie, by w następnej wkroczyć w rzeczywistość ducha. Ich ciała przeszły potworny, z trudem dający się wytrzymać chłód. Odczuli jednocześnie wszechogarniające, druzgoczące przygnębienie i zarazem radosne uniesienie. Na dobre wkroczyli do Grot Zmarłych.*

*W świecie tym kształty i odległości nie miały większego znaczenia. Na*

początku znajdowali się w wąskim tunelu, by w następnej chwili iść po bezkresnej, rozświetlonej słońcem trawiastej równinie. Po paru krokach przechodzili już przez cudowny ogród z szemrzącym cichutko strumyczkiem i drzewami przygiętymi do ziemi pod ciężarem owoców. Następna chwila i oto przechodzą pod zamarzniętym wodospadem. Zastygła, sinobiała kolumna wypływa ze skalistego urwiska zwieńczonego wielką salą, z której sączy się delikatna muzyka. Jeszcze dalej odnieśli wrażenie, jakby kroczyli po chmurach. W końcu dotarli do bezkresnej i mrocznej groty, której skaliste sklepienie niknęło gdzieś w górze, poza zasięgiem wzroku. Pug przesunął dłoń po skale. Była śliska jak mydlany kamień, steatyt. Jednak gdy potarł opuszki palca wskazującego i kciuka, stwierdził, że nic nie pozostało. Odsunął od siebie naturalne zaciekawienie tym zjawiskiem. Ich drogę przecinała płynąca leniwie rzeka. Po drugiej stronie majaczył niewyraźnie drugi brzeg spowity tumanami mgły. Wyłoniła się z nich bezszelestnie łódź. Na rufie stała w długiej, ciężkiej szacie samotna postać popychająca łódź długim wiosłem. Z cichym szmerem dziób wsunął się na brzeg. Postać wyciągnęła wiosło z wody i gestem zaprosiła Puga i Tomasa na pokład.

– Przewoźnik? – spytał Pug.

– To znana historia. Tu przynajmniej jest prawdziwa, jak się okazuje. Chodź. Weszli do łodzi. Z przepastnych rękawów długiej szaty wyciągnęła się ku nim poskręcana, starcza dłoń. Pug wyjął z sakiewki dwa miedziaki, wsunął w dłoń przewoźnika i usiadł. Zauważył ze zdziwieniem, że łódź odwróciła się sama i płynęła ku przeciwnemu brzegowi. Nie odczuwał żadnego ruchu. Jakiś dźwięk za plecami kazał mu się odwrócić. Na brzegu, który opuścili przed chwilą, zamajaczyły niewyraźne kształty, lecz szybko skrył je mglisty tuman.

– To ci, którzy obawiają się przepłynąć na drugą stronę albo nie mają czym zapłacić przewoźnikowi. Przypuszcza się, że przez całą wieczność będą po drugiej stronie. – Pug mógł jedynie skinąć głową. Opuścił wzrok i spojrzał w wodę. Zdziwił się znowu, ponieważ rzeka, oświetlona od dołu, lśniła delikatnym, żółtawozielonkawym światłem. W głębinach stały jakieś postacie. Z podniesionymi głowami wpatrywały się w przesuwaną się nad nimi łódź. Machały słabiutko, jakby sennie albo wyciągały ku niej ręce, starając się ją uchwycić, lecz łódź płynęła zbyt szybko.

– To ci, którzy starali się przedostać na drugi brzeg bez pozwolenia przewoźnika. Na wieki wieków wpadli w podwodną pułapkę.

– Którędy chcieli się przedostać? – spytał Pug cichym głosem.

– Tylko oni to wiedzą.

Łódź stuknęła o brzeg. Przewoźnik wyciągnął rękę, wskazując im drogę.

Wyszli na brzeg. Pug odwrócił się, ale łódź już zniknęła.

– Tę podróż można odbyć tylko w jedną stronę – powiedział Tomas. – Chodź.

Pug wahał się przez moment. Po chwili zdał sobie sprawę, że punkt, z którego nie było już odwrotu, został przekroczony i ociąganie się nie miało sensu. Spojrzał jeszcze raz na rzekę, wpatrując się długo w jej leniwe wody, odwrócił się i szybko ruszył za Tomaszem.

Zatrzymali się. Przed chwilą szli przez szaroczną, pustą przestrzeń, teraz przed ich oczami wyrosło nagle, jak spod ziemi, ogromne gmaszysko. Jeżeli był to rzeczywiście budynek. Rozciągał się na wszystkie strony, niknąc gdzieś na horyzoncie, przez co bardziej przypominał monstrualny mur. Piął się w górę, dążąc ku dziwnej szarości, która w tym zagubionym świecie pełniła rolę nieba, aż oko nie



*było w stanie śledzić dłużej jego zarysów. Stali przed murem na tyle realnym w tej rzeczywistości, że znajdowały się w nim drzwi.*

*Pug zerknął przez ramię. Za nimi rozciągała się pusta połać szarej równiny.*

*Od momentu opuszczenia brzegu rzeki, co nastąpiło w jakimś trudnym do sprecyzowania momencie w przeszłości, Tomas i Pug wymieniali co jakiś czas kilka zdań. W otaczającej ich rzeczywistości nie było nic, co można by skomentować, a samo naruszanie martwej ciszy wydawało się nie na miejscu. Pug jeszcze raz zerknął przed siebie i zauważył, że Tomas patrzy na niego.*

*Tomas wyciągnął rękę, wskazując przed siebie. Pug pokiwał głową. Weszli na kilka prostych, kamiennych schodków prowadzących do wielkiego portalu. Po przekroczeniu progu zatrzymali się jak wryci. Powitał ich widok, który do reszty oszołomił zmysły. Jak okiem sięgnąć w każdym kierunku, nawet tam, skąd przed sekundą przyszli, ciągnęła się marmurowa posadzka, a na niej niezliczone rzędy katafalków. Na szczycie każdego z nich spoczywało ciało zmarłego. Pug podszedł do najbliższego i przyjrzał się uważnie rysom. Postać wydawała się spać, chociaż pierś się nie poruszała. Była to najwyżej siedmioletnia dziewczynka.*

*Dalej spoczywały ciała różnych mężczyzn i kobiet. Od żebraków w podartych lachmanach, po zwłoki w iście królewskich szatach. Ciała stare i zniszczone. Ciała tak popalone czy porozrywane, że nie dawało się ich zidentyfikować, leżały obok niczym się nie wyróżniających. Niemowlęta zmarłe przy narodzinach sąsiadowały z wysuszonymi starowinami. Naprawdę znajdowali się w Grotach Zmarłych.*

*– Każdy kierunek jest równie dobry – szepnął Tomas.*

*– Znajdujemy się w obrębie granic wieczności. – Pug pokręcił głową. –*

*Musimy chyba odnaleźć jakąś konkretną drogę. W przeciwnym razie możemy się tu*

*bląkać przez całe wieki. Nie wiem, czy czas odgrywa tutaj jakiegokolwiek znaczenie, ale jeśli tak, to nie możemy go zmarnotrawić. – Zamknął oczy i skoncentrował się. Nad jego głową pojawiła się świetlista mgielka. Uformowała się po chwili w pulsującą kulę, obracającą się gwałtownie wokół własnej osi. W jej wnętrzu pojawiło się na moment delikatne światełko. Po kilkunastu sekundach magiczna emanacja zniknęła. Oczy Puga pozostawały zamknięte. Tomas obserwował go w całkowitym milczeniu. Wiedział, że Pug wykorzystuje zmysł czarodziejskiego widzenia, aby w ciągu kilku chwil przebiec wzrokiem obszar, którego zbadanie pieszo zajęłoby im całe lata. Oczy przyjaciela rozwarły się raptownie. Wyciągnął przed siebie rękę.*

*– Tędy.*

*U wejścia do następnej sali czekały jakieś postacie. Do przedziwnych właściwości tego miejsca należało to, że kiedy patrzyło się pod jednym kątem, widać było rozchodzące się we wszystkie strony niezliczone szeregi zmarłych tworzących szachownicę leżących postaci. Gdy spojrzano się pod innym, przed oczami pojawiał się następny mur z łukowato wysklepionym portalem. Przed tym wejściem czekało w absolutnej ciszy ponad tysiąc mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewcząt. Gdy Tomas i Pug zbliżyli się, jedno z leżących ciał usiadło niespodziewanie, zeszło z katafalku na posadzkę, przeszło koło nich i dołączyło do czekających przed wejściem. Pug obejrzał się za siebie. Kolejna postać nadchodziła z innej strony. Zwrócił wzrok na dopiero co opuszczony katafalk. W miejsce poprzedniego ciała pojawiło się następne. Pug i Tomas przeszli obok oczekujących przed wejściem. Zauważyli, że zmarli nie zwracają na przybyszów najmniejszej uwagi. Pug wyciągnął rękę i dotknął ramienia stojącego obok chłopczyka. Dziecko, nie odwracając głowy, przesunęło od*

*niechcenia dłonią po jego ręce, jakby odpędzało natarczywą muchę. Jego zachowanie wskazywało, że nie zdaje sobie w ogóle sprawy z obecności maga. Tomas dał znak głową, że powinni iść dalej. Po drugiej stronie muru ujrzeli niezliczone rzędy ludzi niknące gdzieś na horyzoncie, poza zasięgiem ich wzroku. Teraz, jak i poprzednio, nikt nie zareagował na ich pojawienie się. Szybkim krokiem ruszyli do czoła kolejki.*

*Wydawało im się, że całe długie godziny jaśniało przed nimi coraz bardziej intensywne światło. Tysiące postaci tkwiły cierpliwie w kolejce, wpatrując się w jasność. W ich twarzach nie sposób było wyczytać żadnej reakcji, żadnego uczucia. Co jakiś czas ktoś w tym czy innym rzędzie robił krok do przodu, ale generalnie wszystkie rzędy sprawiały wrażenie nieruchomych. Zbliżyli się do jasności. Pug spojrzął za siebie i zauważył, że nikt nie rzuca cienia. Kolejne kuriozum tej przedziwnej rzeczywistości, pomyślał Pug. Dotarli wreszcie do schodów.*

*Na szczycie kilkunastu stopni stał tron skąpany w złocistej poświacie. Gdzieś na granicy słyszalności docierały do Puga melodyjne dźwięki, na tyle jednak nieuchwytnie, że niemal niesłyszalne. Wznosił powoli oczy, aż ujrzął postać siedzącą na tronie. Jej piękno było zniewalające i przerażające zarazem. Rysy twarzy idealne, lecz dziwnie odpychające. Spoglądając na zbiegające się przed jej majestatem rzędy ludzkości, przez krótką chwilę przyglądała się z uwagą każdej twarzy na początku kolejki. Następnie, wskazując na którąś z ludzkich postaci, dawała znak. Najczęściej osoba taka po prostu zniknęła, udając się ku przeznaczeniu wybranemu przez boginię. Co jakiś czas ten i ów zawracał i rozpoczynał długą, powrotną wędrówkę ku równinie katafalków. Po pewnym czasie bogini odwróciła się, by spojrzeć na dwóch żywych. Wzrok Puga został pochwycony w pułapkę oczu*

czarnych jak sadza, oczu bez najmniejszego połysku czy iskiarki wewnętrznego ciepła, oczu śmierci. Pomimo przerażającej powierzchowności, kredowobiałej twarzy i martwego spojrzenia, była to postać o nieodpartym powabie, niemal uwodzicielska, emanująca pokusą, by objąć jej kształtną kibić. Pug poczuł, jak jego ciało zapłonęło marzeniem zniknięcia w jej białych ramionach, wtulenia się w jej pierś. Skoncentrował swą moc, by odsunąć żądze. Oparł się pokusie. I wtedy kobieta na tronie zaśmiała się. Był to najbardziej lodowaty, przesywający śmiertelnym chłodem dźwięk, jaki Pug słyszał w swoim życiu.

– Witajcie w moim królestwie, Pug i Tomas. Przybywacie w niezwykle sposób.

Umysł Puga wirował w szaleńczym tańcu. Każde słowo wypowiedziane przez boginię było jak lodowy cień wwiercający się w mózg. Przerazliwie zimny ból, jakby już samo doznanie istnienia bogini wykraczało poza granice jego wytrzymałości.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, iż bez jego przygotowania i spuścizny odziedziczonej przez Tomasa potęga pierwszych, wypowiedzianych przez nią słów zmiotłaby ich z powierzchni świata, opanowała całkowicie i prawie na pewno uśmierciła. Z najwyższym trudem udało mu się zachować wewnętrzną równowagę i wytrwać nieporuszenie na miejscu.

– Pani, znasz nasze potrzeby – przemówił Tomas. Postać na tronie skinęła głową.

– Zaiste, być może nawet lepiej niż wy sami.

– Czy więc wyjawisz nam, co wiedzieć powinniśmy? Pozostajemy tutaj z niechęcią równą zapewne tej, z jaką ty sama nas tu widzisz.

I znowu mrozący krew w żyłach wybuch śmiechu.

– Nie odczuwam do ciebie niechęci, Valheru. Wielokrotnie marzyłam, by wziąć do siebie na służbę kogoś z twej rasy. Czas i okoliczności nigdy na to nie pozwoliły. Pug w końcu trafi do mnie, w swoim czasie. Gdy to jednak nastąpi, będzie on taki, jak ci przede mną – stojący cierpliwie i czekający na swą kolej, by zostać osądzonym. Wszyscy czekają na chwilę, kiedy zechcą ich przyjąć. Niektórzy wracają na kolejny obrót Koła. Inni otrzymają karę ostateczną – unicestwienie i zapomnienie. Jeszcze inni – mniej liczni – zasłużą sobie na finalną ekstazę i uniesienie – jedność z Ostatecznością.

Ale – mówiła dalej jakby w zamyśleniu – jego czas jeszcze nie nadszedł. Nie, wszyscy musimy działać zgodnie z przeznaczeniem. Ten, którego poszukujecie, nie zamieszkuje jeszcze w moim królestwie. On jeden ze wszystkich światów śmiertelnych był i jest najbardziej przebiegły w unikaniu mej gościnności. Nie, aby znaleźć Czarnego Macrosa, musicie szukać gdzie indziej.

Tomas zastanawiał się przez moment.

– Czy możemy dowiedzieć się, gdzie przebywa? Pani na tronie pochyliła się ku nim.

– Wiedz, Valheru, iż nawet moje możliwości nie są nieograniczone. Nie wszystko mi wolno. Zaprzęgnijcie umysły do pracy, a dowiecie się, gdzie zamieszkuje obecnie czarnoksiężnik. Na to pytanie może być tylko jedna odpowiedź.

– Skierowała wzrok na Puga. – Milczysz, magu? Nie odezwałeś się ani słowem.

– Zastanawiam się, pani – odpowiedział Pug cichym głosem. – Jeśli nalegasz, zadam ci jedno pytanie – szerokim gestem ręki wskazał na postacie wokół – czy w tej rzeczywistości istnieje radość?

Pani na tronie długo wpatrywała się w stojące przed nią niezliczone szeregi

*milczących ludzi. Sprawiała wrażenie, jakby pytanie było dla niej zupełnie nowe, jakby ją zaskoczyło.*

*– Nie, w świecie zmarłych nie ma radości. – Popatrzyła z uwagą na maga. –*

*Ale zwróć uwagę, że nie ma także smutku. No, musicie już stąd odejść. Żyjący mogą tutaj przebywać bardzo krótko. A poza tym w tym świecie są osoby, których widok sprawi wam niepotrzebny ból. Musicie iść.*

*Tomas skinął głową. Skłonił się sztywno i wziął Puga pod ramię, prowadząc przed sobą wzdłuż długich rzędów czekających. Jasność za plecami traciła powoli na intensywności. Wydawało się, że szli długie godziny. Nagle Pug zatrzymał się w pół kroku, porażony widokiem znajomej twarzy. Z pustym wzrokiem wbitym w przestrzeń przed sobą stał młody człowiek z długimi, kasztanowymi włosami opadającymi faliście na plecy.*

*– Roland – szepnął Pug ledwo słyszalnym głosem. Tomas również się zatrzymał. Przyjrzał się uważnie twarzy towarzysza zabaw z Crydee, który nie żył od prawie trzech lat. Nie zauważył obecności przyjaciół.*

*– Roland, to ja, Pug! – Cisza. Żadnej reakcji. Pug jeszcze raz wykrzyknął imię szlachcica z Tulan. Tym razem oczy zmarłego drgnęły leciutko, ledwo dostrzegalnie, jakby usłyszał wołający z oddali głos. Twarz Puga ściągnął skurcz cierpienia. Jego rywal o względy Carline z lat chłopięcych poruszył się, przesuając się o krok do przodu w długiej kolejce czekających na osąd. Myśli Puga wirowały pod czaszką. Koniecznie chciał coś powiedzieć, przekazać zmarłemu przyjacielowi.*

*– Z Carline wszystko w porządku, Roland. Jest szczęśliwa – wykrztusił w końcu.*

*Przez chwilę nie było żadnej reakcji. Po kilkunastu sekundach kąciki ust*

*Rolanda uniosły się leciutko ku górze, by zaraz powrócić na swoje miejsce. Pug odniósł jednak wrażenie, że spojrzenie przyjaciela wbiło pusto w przestrzeń stało się jakby spokojniejsze. Mag poczuł nagle, że na jego ramieniu spoczywa ręką Tomasza. Potężny wojownik popchnął go bez ceregieli dalej, odrywając od Rolanda. Pug usiłował się opierać, lecz na nic to się nie zdało. Poszedł potulnie za Tomaszem. W chwilę potem przyjaciel zwolnił żelazny uchwyt na jego ramieniu.*

*– Wszyscy tu są, Pug – szepnęła Tomas. – Roland. Księżę Borric i jego żona Catherine. Ludzie, którzy padli w Zielonym Sercu oraz ci, których uśmiercił potwór w Mac Mordain Cadal. Król Rodric. Wszyscy, którzy zginęli w Wojnie Światów. Wszyscy tu są. To ich miała na myśli Lims-Kragma, gdy mówiła, że ten widok może nam sprawić ból.*

*Pug tylko kiwnął głową. I znowu owładnęło nim poczucie ogromnej straty i tęsknoty za wszystkimi, których zabrał mu los. Zmusił umysł do skoncentrowania się na zasadniczym celu tej dziwnej wyprawy.*

*– Dokąd teraz?*

*– Nie udzielając odpowiedzi. Pani Śmierci jednak odpowiedziała. Jest tylko jedno miejsce, które znajduje się poza jej zasięgiem. Ten jedyne wyjątek istnieje poza granicami znanego nam wszechświata. Musimy odszukać Wieczne Miasto, miejsce, które znajduje się poza krawędzią czasu.*

*Pug zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Znowu znajdowali się na bezkresnej równinie zasłanej równymi rzędami ciał na katafalkach.*

*– Pozostaje w takim razie pytanie, jak je odnaleźć? Tomas położył dłoń na twarzy, zakrywając mu oczy. Ciało Puga przeszył przeraźliwy chłód. Wciągnął gwałtownie powietrze w płuca i pierś eksplodowała palącym płomieniem. Zęby*

*szczękały. Ciałem zawładnęły nie kontrolowane dreszcze. Zwijął się i skręcał z bólu.*

*Poruszył się i poczuł, że leży na zimnej marmurowej posadzce. Dłoń Tomasa zniknęła mu sprzed oczu. Rozchylił powieki. Leżał na podłodze świątyni Czterech Zaginionych Bogów, tuż przed wejściem do ciemnej pieczary. Niedaleko Tomas wstawał chwiejnie na słabych nogach. Dyszał ciężko, wciągając łapczywie hausty powietrza. Twarz przyjaciela była kredowobiała, a wargi sine. Mag opuścił wzrok na własne ręce. Paznokcie miał także sine aż do samej podstawy. Podnosząc się z ziemi, czuł, jak ciepło wraca powoli w członki ciała. Wszystko go bolało. Dygotał ciągle jak w febrze.*

*– Czy to było naprawdę? – wychrypiał przez zaciśnięte gardło.*

*Tomas rozejrzał się. Jego obce, wyostrzone ostatnim doświadczeniem rysy nie zdradzały najmniejszych emocji.*

*– Ze wszystkich śmiertelnych ludzi tej ziemi ty, Pug, powinieneś wiedzieć najlepiej, jak daremne jest to pytanie. Widziałeś, :o widziałeś. Czy było to konkretnie istniejące miejsce, czy też jedynie wizja goszcząca w naszych umysłach, nie ma żadnego znaczenia... Musimy działać na podstawie tego, co doświadczyliśmy, a więc... tak, przeżyliśmy to naprawdę.*

*– Co teraz?*

*– Muszę przywołać Ryath, jeśli nie zasnęła zbyt głęboko. Ponownie udamy się w podróż międzygwiazdą.*

*Pug mógł jedynie skinąć głową. Umysł miał otępiały. Pod czaszką plątały się bezładne i odrętwiąłe myśli: jakie cuda go jeszcze czekały poza tymi, których już doświadczył.*



# YABON

*W gospodzie panował spokój.*

*Do zachodu słońca brakowało około dwóch godzin, a więc wieczorna fala wesołości i zgiełku jeszcze nie nadeszła. Arutha był wdzięczny losowi za spokój i ciszę. Siedział wciśnięty w najdalszy i najciemniejszy kąt, podczas gdy Roald, Laurie i dwaj młodzieńcy zajmowali pozostałe krzesła przy stole. Świeżo przycięte włosy, dużo krótsze niż zazwyczaj nosił, oraz coraz dłuższa i bardziej gęsta broda nadawały mu ponury i groźny wygląd, przydając wiarygodności roli płatnych najemników, których odgrywali. Jimmy i Locklear kupili w Widoku Kwestora zwykłe ubrania podróżne, a swoje bluzy ze szlachetnego materiału po prostu spalili. Cała piątka wyglądała na kilku najemnych zabijaków, wędrujących w poszukiwaniu zarobku. Nawet Locklear wyglądał przekonująco. Nie był wcale młodszy od kilku spotkanych po drodze ambitnych i walecznych młodzieńców, pragnących zaciągnąć się do swej pierwszej w życiu służby.*

*Od trzech dni czekali na Martina. Arutha zaczynał się denerwować. Jeśli wziąć pod uwagę to, kiedy wysłali wiadomość, zakładali, iż Martin dotrze do Ylith pierwszy. Ponadto każdy kolejny dzień spędzony w mieście zwiększał niebezpieczeństwo, że rozpozna ich ktoś pamiętający Księcia i jego towarzyszy z poprzedniego spotkania w tym samym miejscu. Wprawdzie karczemne bójki kończące się śmiercią któregoś z uczestników nie należały wcale do rzadkości, to jednak istniało zagrożenie, że ktoś mógł zapamiętać twarz Księcia.*

*Po blacie stołu przesunął się cień. Poderwali głowy. Stali przed nimi Martin i Baru. Arutha podniósł się powoli i spokojnym ruchem podał Martinowi rękę na powitanie.*

– Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu.

– Ja też się cieszę. – Usta Aruthy wykrzywił charakterystyczny uśmiezek.

Ten uśmiech, który w odpowiedzi na słowa brata zagościł na ustach Martina, był bliźniaczo podobny do uśmiechu Aruthy.

– Inaczej wyglądasz.

Arutha skinął głową bez słowa. On i pozostali przywitali się z Baru.

– A ten jak się tutaj dostał? – spytał Martin, wskazując ruchem głowy Jimmiego.

– A znasz jakiś sposób, by go powstrzymać? – spytał Laurie. Martin spojrzał na Lockleara, unosząc brew ze zdziwieniem.

– Znam tę twarz, chociaż nie pamiętam imienia.

– To Locky.

– Protegowany Jimmiego – dorzucił Roald, chichocząc pod nosem.

Martin i Baru wymienili znaczące spojrzenia

– Czyli już dwóch? – spytał wysoki Książę.

– To długa historia – powiedział Arutha. – Ale teraz nie ma czasu na opowiadanie, powinniśmy się stąd zwijać jak najszybciej.

– Zgadza się – potwierdził starszy brat. – Będą potrzebne nowe konie. Nasze są przemęczone, a czeka nas, jak miemam, jeszcze długa droga.

Oczy Aruthy zwężyły się w szparki.

– Tak, bardzo długa.

Dotarli do małej polanki, niewiele większej niż rozszerzenie gościńca. Dla oddziałku Aruthy przydrożna karczma była niczym latarnia morska witana z ulgą przez żeglarzy. Wesole, żółte światła bijące ze wszystkich okien parteru rozświetlały

*nieprzyjemny, lepki mrok nocy. Od opuszczenia Ylith jechali bez żadnych przeszkód czy niebezpiecznych niespodzianek. Minęli Zun, następnie Yabon i znajdowali się u wrót ostatniego posterunku cywilizacji Królestwa, w miejscu, gdzie leśna droga skręca gwałtownie na wschód, w stronę Tyr-Sog. Wędrówka na północ wprowadziłaby ich w granice ziem Hadatich, a dalej przez północne łańcuchy górskie już poza oznaczonymi granicami Królestwa. Choć po drodze nic się nie wydarzyło, wszyscy powitali widok gospody z westchnieniem ulgi.*

*Stajenny ze słuchem jak ryś usłyszał ich z daleka. Gdy podjechali, zszedł już na podwórko, aby otworzyć wierzaje stodoły. O tej porze, po zmierzchu, niewielu decydowało się na podróż i chłopak szykował się już do snu. Szybko zajęli się końmi. Jimmy i Martin co jakiś czas zerkali czujnie w kierunku lasu, wypatrując oznak ewentualnego zagrożenia. Skończywszy oporządzać wierzchowce, zabrali bagaże i ruszyli do gospody.*

*– Nareszcie zjemy coś ciepłego – powiedział Laurie, gdy szli przez podwórko.*

*– Może po raz ostatni w najbliższym czasie – skomentował Jimmy, nachylając się do Lockleara.*

*Nad drzwiami frontowymi dostrzegli znak namalowany na desce: wieśniak śpiący na wozie; ciągnący go muł zerwał uprzęż i uciekał w galopie.*

*– A teraz coś gorącego do żarcia. Karczma Pod Śpiącym Woźnicą należy do najwspanialszych wiejskich gospod w Królestwie. Choć czasami zajmuje ją raczej dziwne i nieciekawe towarzystwo.*

*Pchnęli drzwi i znaleźli się w jasno oświetlonej i przyjemnej sali ogólnej. W ogromnym, otwartym kominku huczał ogień. Przed kominkiem stały trzy długie stoły. Po drugiej stronie, na wprost drzwi ciągnął się długi bar, zza którego*

wystawała ogromna beka piwa. Karczmarz, potężnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku, wyszedł już zza kontuaru i zbliżał się ku nim z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Ach, mili goście, witajcie, witajcie. – Gdy podszedł bliżej, jego uśmiech rozjaśnił się jeszcze bardziej. – Laurie! Roald! A niech to! Całe wieki! Jak to miło was znowu zobaczyć.

– Witaj, Geoffrey. To moi towarzysze – powiedział były trubadur.

Karczmarz wziął Lauriego pod rękę i zaprowadził do stołu w pobliżu baru.

– Twoi przyjaciele są równie mile widziani jak ty sam. – Posadził ich przy stole. – Jak mówię, bardzo miło cię widzieć, Laurie, chociaż żałuję, że nie było cię tutaj dwa dni wcześniej. Przydałby się wtedy dobry pieśniarz.

– Kłopoty? – spytał Laurie z uśmiechem.

Po twarzy karczmarza przemknął cień stałej udręki.

– Jak zawsze. Przechodził tędy oddział Krasnoludów. Całymi godzinami pili i ryczeli te swoje „pitewne” pieśni. Wzięli sobie za punkt honoru utrzymanie właściwego rytmu przez walenie w stoły wszystkim, co akurat znalazło się pod ręką: kubkami, kuriami czy toporami wojennymi. Naturalnie, nie zwracali najmniejszej uwagi na to, co stało czy leżało na stołach. Prawie cała zastawa w proszku, a blaty podziobane i poryte. Dopiero dziś po południu udało mi się tu zaprowadzić jaki taki porządek. Połowa stołów nadaje się do gruntownej naprawy.

– Popatrzył na Lauriego i Roalda z udawaną srogością. – Tylko żadnych szaleństw, jak ostatnim razem. Jedna rozróżba na tydzień wystarczy. – Rozejrzał po sali. – Teraz spokój, chociaż lada dzień spodziewam się sporej karawany. Zazwyczaj o tej porze roku przechodzi tędy Ambros, handlarz srebrem...

– *Geoffrey, umieramy z pragnienia – przerwał mu Roald. Karczmarz*

*natychmiast zaczął ich gorąco przeproszać.*

– *Ależ oczywiście, oczywiście. Panowie prosto z drogi, a ja tu stoję i paplę jak baba. Czego się napijecie?*

– *Piwa – odpowiedział Martin, a reszta powtórzyła za nim to samo jak echo.*

*Karczmarz opuścił ich pośpiesznie, by po krótkiej chwili wrócić z tacą zastawioną kufłami wypełnionymi po brzegi chłodnym piwem. Pociągnęli pierwszy łyk mocnego napoju.*

– *A co sprowadziło Krasnoludy tak daleko od domu? – spytał Laurie.*

*Gospodarz wytarł ręce w fartuch i przysiadł się do nich.*

– *To nic nie słyszeliście?*

– *Dopiero co przyjechaliśmy z południa. Co się dzieje?*

– *Krasnoludy gromadzą się na sejmiku przy Kamiennej Górze. Mają się spotkać w wielkiej sali wodza Harthorna w wiosce Delmoria.*

– *W jakim celu? – spytał Arutha.*

– *Hm, Krasnoludy, które tędy przechodziły, były aż z Dorgin. Z ich gadki wywnioskowałem, że po raz pierwszy od wieków wschodnie Krasnoludy wybrały się w odwiedziny do swych zachodnich pobratymców. Stary król Haldan z Dorgin wysłał syna Hogne z tą bandą rozrabiaków, aby byli świadkami restauracji linii Tholina na Zachodzie. Wraz z powrotem Młota Tholina w czasie Wojny Światów zachodnie Krasnoludy nie dają spokoju Dolganowi z Caldara. Namawiają go usilnie, by przyjął koronę zagubioną wraz z Tholinem. Krasnoludy z Szarych Wież, Kamiennej Góry, Dorgin i miejsc, o których nigdy w życiu nawet nie słyszałem, zbierają się, by obwołać Dolgana królem zachodnich Krasnoludów. Dolgan zgodził*

*się na sejmik, a Hogane uznał to za pewny znak, iż przyjmie koronę, ale sam wiesz najlepiej, jakie są Krasnoludy. Niektóre decyzje zapadają szybko, niemal od ręki, a nad innymi główkują całymi latami. Chyba bierze się to z ich długowieczności.*

*Arutha i Martin uśmiechnęli się lekko do siebie. Obaj pamiętali doskonale Dolgana i lubili go bardzo. Arutha spotkał go po raz pierwszy wiele lat wcześniej, gdy z ojcem udali się na wschód, by zawiadomić króla Rodrica o zbliżającej się inwazji Tsuranich. Dolgan pomógł im, przeprowadzając przez starożytną kopalnię Mac Mordain Cadal. Martin spotkał się z nim nieco później, już w czasie wojny. Wódz Krasnoludów był istotą o żelaznych zasadach, wielkiej, graniczącej z brawurą, odwadze, bystrym rozumie i ostrym, nieco złośliwym poczuciu humoru. Obaj wiedzieli, że będzie wspaniałym władcą.*

*Pociągając niespiesznie z kufli, pozbywali się stopniowo podróżniczego ekwipunku. Zdejmowali hełmy, odkładali na bok oręż, pozwalając, by spokojna atmosfera karczmy przeniknęła ich, niosąc wytchnienie i odprężenie. Geoffrey dawał pilnie baczenie, aby nie brakowało piwa. W niedługim czasie wjechał na stół wspaniały posiłek: dymiące mięsiva, sery, gotowane warzywa i rozmaite chleby. Rozmawiali o codziennych sprawach, a karczmarz snuł opowieści zasłyszane od przejeżdżających podróżnych.*

*– Spokojnie tu dzisiaj – zauważył Laurie.*

*– Tak, poza wami mam tylko jednego gościa. – Ruchem głowy wskazał na najdalszy kąt izby. Zdumieni zwrócili głowy w tamtym kierunku. Arutha dał im ukradkiem znak, by powrócili do jedzenia. Zastanawiali się, jak mogli go przeoczyć, będąc tu tak długo. Nieznajomy zachowywał się obojętnie i nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Wyglądał pospolicie. Był w średnim wieku i ani w jego ubiorze,*

ani zachowaniu nic nie rzucalo się w oczy. Miał na sobie obszerną, brązową kurtę, pod którą z łatwością mógł skryć skórzaną zbroję czy kolczugę – gdyby ją nosił.

Tarcza stała oparta o stół. Znak czy herb zakryty był kawałkiem zwykłej skóry. Fakt ten wzbudził zaciekawienie Aruthy. Jedyne ktoś wydziedziczony lub wędrujący z jakąś świętą misją mógł chcieć ukryć swój znak – jeżeli miał uczciwe zamiary, dodał w duchu.

– Kto to jest? – spytał Geoffreya.

– Nie mam pojęcia. Nazywa się Crowe. Siedzi tu od dwóch dni. Zjawił się zaraz po odejściu Krasnoludów. Spokojny i cichy typ. Samotnik. Ale płaci regularnie rachunki i nikomu nie wadzi. – Karczmarz zaczął sprzątać ze stołu.

Gdy zniknął w kuchni, Jimmy nachylił się ponad stołem, jakby chciał po coś sięgnąć w torbie po drugiej stronie.

– Dobry jest – szepnął. – Nie daje poznać po sobie, ale strzyże uszami ku nam aż się kurzy. Podśluchuje cały czas. Uważajcie, co mówicie. Będę miał na niego oko. Karczmarz powrócił do sali.

– Dokąd wędrujecie, Laurie?

– Tyr-Sog.

Jimmy'emu wydawało się przez ułamek sekundy, że samotny mężczyzna przy stole w kącie drgnął lekko, zainteresowany odpowiedzią Lauriego, ale nie był do końca pewien. Gość zdawał się skupiony wyłącznie na jedzeniu.

Geoffrey klepnął Lauriego w plecy.

– Chyba nie chcesz zobaczyć się ze swoją rodziną, co? Laurie pokręcił głową.

– Nie, niekoniecznie. Zbyt wiele lat minęło. Zbyt wiele różnic. – Wszyscy, poza Baru i Locklearem, wiedzieli, że Laurie został wydziedziczony i wyrzucony z domu

*przez ojca. Jako chłopiec Laurie, bardziej oddający się marzeniom na jawie i pieśniom niż gospodarce, okazał się bardzo kiepskim rolnikiem. Ojciec, mając w domu do wykarmienia wiele gąb, wyrzucił go na dobre, gdy chłopak miał trzynaście lat. Zmusił go w ten sposób do dawania sobie rady na własną rękę.*

*– Twój ojciec przechodził tędy dwa, nie, prawie trzy lata temu. Tuż przed zakończeniem wojny. On i kilku innych chłopów wieźli ziarno dla wojska w LaMut.*

*– Przyjrzał się z uwagą Lauriemu. – Wspominał o tobie.*

*Przez twarz byłego trubadura przeniknął dziwny, niezrozumiały dla pozostałych skurcz.*

*– Powiedziałem mu, że lata minęły, odkąd przechodziłeś tędy. A on na to:*

*„Ha, czyż nie jesteśmy obaj prawdziwymi szczęściarzami, Geoffrey? Ten nicpoń i śmierdzący leń mnie też się nie naprzykrzał od wielu lat”.*

*Laurie parsknął śmiechem. Roald zawtórował mu.*

*– To cały ojciec. Mam nadzieję, że stary ma się dobrze?*

*– Spodziewam się. On i twoi bracia nieźle sobie radzą. Jeśli chcesz, mogę ich zawiadomić, że byłeś tu. Słyszeliśmy o tobie po raz ostatni, gdy zaczepiłeś się przy wojsku i wyruszyłeś gdzieś z nimi. Skąd idziecie?*

*Laurie zerknął ku Arucie. Obaj pomyśleli jednocześnie o tym samym. Salador to skromny dwór w zapadłym kącie Wschodu. Na pogranicze nie dotarła jeszcze wiadomość, że syn Tyr-Sog był tam teraz księciem, który poślubił córkę króla.*

*Odetchnęli z ulgą.*

*Arutha przybrał obojętny wyraz twarzy.*

*– Kręcimy się tu i tam. Ostatnio w Yabon.*

*Geoffrey dosiadł się znowu do nich. Przebierał palcami po blacie stołu.*



– Moglibyście właściwie poczekać, aż Ambros będzie tędy przeciągał. Pójdzie właśnie do Tyr-Sog. Jestem przekonany, że przyda mu się parę dodatkowych mieczy. A poza tym, po tych drogach lepiej podróżować w większym towarzystwie.

– Jakież kłopoty ostatnio? – zapytał Laurie.

– W lasach? Zawsze, ostatnio jeszcze się pogorszyło. Od tygodni docierają do mnie wieści o napadach goblinów i zwykłych bandziorów. Niby nic nowego, ale mam wrażenie, że zdarza się to częściej niż dotychczas. Jest i nowość – dziwne jest to, że gobliny i różne typy spod ciemnej gwiazdy prawie zawsze wędrują na północ.

– Na chwilę zapadła cisza. – I jeszcze coś. Kiedy przybyły Krasnoludy, powiedziały coś, co wydało mi się bardzo, bardzo dziwne.

– Krasnoludy w ogóle są dziwne – skomentował z humorem Laurie, udając brak zainteresowania słowami karczmarza.

– Nie o to chodzi, Laurie. To było absolutnie niezwykle. Posłuchaj tylko, otóż powiedziały mi, że natknęły się w drodze na grupkę Mrocznych Braci i, jak to Krasnoludy, postanowiły dać im tęgiego łupnia. Normalka. Dziwne w tym wszystkim jest co innego. Ścigały ich, aż w końcu jednego zatłukły. To znaczy tak im się z początku wydawało. Krasnoludy przysięgały na wszystkie świętości, że ta cholera wcale nie przejawiała tendencji, by zejść z tego świata, jak przystało na zabitego. Pomyślałem, że smarkacze stroiły sobie żarty z prostego karczmarza, ale zaklinali się, że rozwalili mu głowę toporem wojennym, tak że pękła prawie na połowę. Ale to „coś” złożyło obie części do kupy i pognało jak zajac za swymi towarzyszami. Tak ich zatkało, że stanęli jak wryci, zapominając na śmierć o dalszym pościgu. To jednak nie wszystko. Krasnoludy mówiły także, że jeszcze nigdy nie spotkały bandy Mrocznych Braci, którym tak zależałoby, by wziąć nogi za pas.

*Wyglądało to tak, jakby się gdzieś śpieszyli i nie mieli czasu na walkę. Wiecie dobrze, że czarne elfy to zadziorne i złośliwe typy i nie cierpią Krasnoludów równie mocno jak wszystkiego innego, co się rusza. – Geoffrey uśmiechnął się i puścił oko. – Wiem, że starsze Krasnoludy to stworzenia trzeźwo podchodzące do życia i rzadko naginają fakty, ale te miedziaki... pewnie nabijały się ze mnie.*

*Arutha i jego towarzysze nie dali nic po sobie poznać. Doskonale wiedzieli, że opowieść była prawdziwa i oznaczała, że Czarni Zabójcy znowu nawiedzili granice Królestwa.*

*– Pewnie najlepiej byłoby poczekać na karawanę handlarza srebrem, ale spieszno nam w dalszą drogę. Musimy ruszać o świcie – powiedział Arutha.*

*– Skoro masz tylko jednego gościa, nie będzie kłopotu z dostaniem pokojów, co? – spytał Laurie.*

*– Żadnych. – Geoffrey nachylił się ku nim. – Nie żebym nie miał szacunku dla uczciwie płacącego gościa, ale wyobraźcie sobie, że ten tam, w kącie, śpi w ogólnej izbie. Mam pełno wolnego miejsca, zaproponowałem mu więc osobny pokój, opuszczając, ma się rozumieć, na cenie. Powiedział: nie. Nie macie pojęcia, do czego niektórzy się posuwają, by zaoszczędzić miedziaka czy dwa. – Karczmarz się podniósł. – Ile pokoi?*

*– Dwa będą akurat – odpowiedział Arutha.*

*Gospodarz wydawał się nieco rozczarowany, ale ponieważ dobrze wiedział, że podróżującym często brakuje grosza, nie był specjalnie zdziwiony. – Każę wnieść dodatkowe pośłania.*

*Arutha i reszta zbierała powoli bagaże, a Jimmy zerknął spod oka na samotnego gościa. Wydawało się, iż całą uwagę skupił wyłącznie na zawartości*

*kubka z winem. Geoffrey przyniósł kilka świec i zapalił je drzazgą od płomienia w kominku. Skinął ręką i poprowadził ich ciemnymi schodami do pokojów.*

*Coś zbudziło Jimmy' ego. Zmysły byłego złodzieja były o wiele bardziej wyczulone na wszelkie zmiany zachodzące w nocy niż zmysły jego towarzyszy. On i Locklear spali na dodatkowych posłaniach, dzieląc pokój z Roaldem i Lauriem.*

*Arutha, Baru i Martin spali po przeciwnej stronie wąskiego korytarzyka, mieszczącego się nad ogólną salą. Ponieważ cichy dźwięk doszedł go z zewnątrz, Jimmy był pewien, że nie obudził byłego Wielkiego Łowczego Crydee ani górala.*

*Młody szlachcic książęcego dworu wyteżył słuch. Po chwili dźwięk się powtórzył – cichy szelest w nocnym powietrzu. Wstał bezgłośnie z posłania na podłodze. Idąc na palcach, minął śpiącego Roalda i Lauriego i wyjrzał ostrożnie przez okno między ich łózkami.*

*Dostrzegł w ciemnościach cień ruchu, jakby coś czy ktoś zniknął właśnie za rogiem stodoły. Zastanawiał się przez moment, czy nie powinien zbudzić pozostałych. Pomyślał jednak, że byłoby głupotą podnosić alarm z byle powodu.*

*Wziął miecz i cichutko wymknął się z pokoju.*

*Bose stopy nie czyniły najmniejszego hałasu, gdy posuwał się ostrożnie ku schodom. Na podeście u szczytu schodów znajdowało się okno, wychodzące na podjazd do karczmy. Wyjrzał na zewnątrz. W gęstym mroku pomiędzy drzewami po drugiej stronie drogi poruszały się jakieś postacie. Uznał, że nikt, kto żywi uczciwe zamiary, nie czaiłby się w nocy po krzakach.*

*Zszedł szybko na dół. Ze zdziwieniem stwierdził, iż drzwi są otwarte od wewnątrz. Był prawie pewien, że kiedy udawali się na spoczynek, wewnętrzne zasuw były zamknięte. I wtedy przypomniał sobie samotnego gościa w gospodzie.*

*Obrócił się błyskawicznie. W ogólnej sali nie było nikogo. Mężczyzna zniknął.*

*Przysunął się do okna. Zrobił szparkę w zasłonie i wyjrzał. Nic nie dostrzegł.*

*Wyszedł cichutko na zewnątrz i przemknął schylony przy frontowej ścianie, mając nadzieję, że ciemność skryje jego postać. Pobiegł do miejsca, gdzie zauważył ruch.*

*Możliwość bezszelestnego posuwania się po okrytym mrokiem nocy lesie była mocno utrudniona. Wyprawa z Arutha do Moraelin obeznała go trochę z przyrodą, lecz w zasadzie pozostał typowym chłopakiem z miasta. Był zmuszony posuwać się bardzo powoli. Usłyszał głosy. Zwolnił jeszcze bardziej i ostrożnie podkrał się do rozmawiających. Ujrzał słabe światło.*

*Podchodził coraz bliżej. Rozumiał już urywane strzępy rozmowy. W końcu dojrzał kilka postaci na malutkiej łączce. Mężczyzna w brązowej kurcie, z zakrytą tarczą, rozmawiał z postacią w czarnej zbroi! Jimmy wciągnął w płuca haust powietrza, aby zapanować nad nerwami. Miał przed sobą Czarnego Zabójcę. Z boku stali spokojnie czterej moredhele. Trzech z nich miało na sobie szare stroje leśnych klanów, a jeden był ubrany w spodnie i kamizelę, jakie zwykle nosiły górskie szczepy. Mężczyzna w kurcie coś mówił.*

*– .. nic, jak mówię. Bezrobotni najemnicy sądząc po wyglądzie. Jest z nimi trubadur, ale...*

*Czarny Zabójca przerwał mu. Jego głos był głęboki, z lekkim pogłosem, jakby mówił z daleka. Oddychał głośno, z trudem. Głos wydał się Jimmy'emu niepokojąco znajomy.*

*– Nie płacimy ci, byś myślał, człowieku. Płacimy, byś służył. – Ostatnie słowo podkreślił, wbijając palec w pierś mężczyzny. – Pilnuj się, abym był nadal zadowolony z twojej pracy, a nasz układ będzie trwał dalej. Rozczaruj mnie choć raz,*

*a będziesz musiał ponieść bolesne konsekwencje. – Nieznajomy w brązowej kurcie nie wyglądał na człowieka, którego można łatwo przestraszyć czy zbić z pantafelku. Wprost przeciwnie, sprawiał wrażenie niezłego zabijaki, lecz teraz tylko pokiwał potulnie głową. Jimmy doskonale to zrozumiał – Czarnych Zabójców rzeczywiście należało się obawiać. Słudzy Murmandamusa, nawet po swej śmierci, wiernie mu służyli.*

*– Mówisz więc, że jest tam chłopak i pieśniarz? Jimmy przełknął z trudem ślinę.*

*Mężczyzna rozchylił trochę kunę, tak że wyjrzała spod niej brązowa kolczuga.*

*– Hm... gdy się zastanowić, to właściwie jest tam dwóch chłopaków. Ale bardzo wyrosnięci, prawie mężczyźni. Jego słowa wyrwały Czarnego z zadumy.*

*– Dwóch?*

*Mężczyzna kiwnął głową.*

*– Wyglądają prawie jak rodzeni bracia. Niemal tego samego wzrostu, chociaż włosy mają innego koloru. Ale w pewien sposób są do siebie podobni... właśnie jak bracia.*

*– Moraelin... był tam taki chłopak, ale nie dwóch... Powiedz, czy jest z nimi także Hadati? Mężczyzna wzruszył ramionami.*

*– Tak, ale tu wszędzie pełno górali. To przecież Yabon.*

*– Ten, o którym mówię, pochodził z północnego zachodu, z okolic*

*Niebiańskiego Jeziora. – Przez długi czas panowała cisza przerywana chrapliwym oddechem wydobywającym się z wnętrza czarnego hełmu, jakby moredhel trwał pogrążony we własnych myślach lub rozmawiał z kimś innym. Czarny Zabójca uderzył pięścią w otwartą dłoń. – To mogą być oni. Czy jest z nimi również taki*

*przebiegły typ? Szczupły, wysoki, szybki i zwinny wojownik z ciemnymi włosami, sięgającymi prawie do ramion i gładko wygolony?*

*Mężczyzna pokręcił głową.*

*– Jest tam taki jeden gładko wygolony, ale to potężny facet. A ten szczupły ma bardzo krótkie włosy i brodę. Kim oni mają niby być?*

*– Nie tobie to wiedzieć. – Jimmy przerzucił ciężar ciała na drugą nogę.*

*Domyślił się, że Czarny Zabójca próbował połączyć ich oddziałek z grupą, która najechała przed rokiem Moraelin w poszukiwaniu Srebrzystego Ciernia. –*

*Poczekamy. Dwa dni temu dotarła do nas wieść, że Pan Zachodu jest martwy. Aleja nie jestem na tyle głupi, by uznać kogoś za nieżywego, dopóki nie chwycę w dłonie jego serca. Hm... może to nic? Gdyby był z nimi Elf, jeszcze dziś w nocy spaliłbym karcznię na popiół, ale nie jestem pewien. Trzeba zachować czujność. To mogą być jego przyjaciele, wracający na północ, by go pomścić.*

*– Siedmiu ludzi, w tym dwaj to jeszcze chłopcy. Jakie to zagrożenie?*

*– Morganie Crowe – moredhel zignorował pytanie – wracaj natychmiast do karczmy i pilnie obserwuj. Płacimy ci szczerze i bez ociągania za posłuszeństwo, a nie zadawanie pytań. Gdy ci z karczmy wyjadą, będziesz ich śledził, ale dyskretnie.*

*Jeśli nie zboczą z drogi do Tyr-Sog jutro do południa, wrócisz do gospody i będziesz czekał dalej. Gdyby zaś skręcali wcześniej na północ, chcę o tym natychmiast wiedzieć. Wrócisz tu jutro wieczorem o tej porze i zdasz relację, dokąd pojechali. Nie ociągaj się. Segersen prowadzi już swój oddział na północ. Musisz się z nim spotkać, bo jeśli nie otrzyma kolejnej zapłaty, zabierze swych ludzi do domu. Potrzebuję tych inżynierów. Czy złoto jest bezpieczne?*

*– Zawsze ze mną.*

– To dobrze. Idź teraz. – Przez krótką chwilę Czarnym Zabójcą wstrząsały drgawki. Zachwiał się, lecz zaraz odzyskał równowagę i stanął prosto. – Rób, człowieku, jak nasz pan rozkazał – odezwał się nagle zupełnie innym głosem.

Odwrócił się i odszedł w mrok. Łąka opustoszała.

Jimmy stał z otwartymi szeroko ustami. Wreszcie zrozumiał. Pierwszy głos słyszał już poprzednio. Było to w pałacu, gdzie niezmarły moredhel usiłował zabić Aruthę. A potem jeszcze raz w Krondorze, w podziemiach Domu pod Wierzbami, gdy likwidowali gniazdo Nocnych Jastrzębi. Człowiek zwany Morganem Crowe nie rozmawiał z Czarnym Zabójcą, lecz raczej za jego pośrednictwem. I Jimmy nie miał najmniejszych wątpliwości z kim – z Murmandamusem!

Zdumienie sprawiło, że wahał się zbyt długo. Zrozumiał, że nie zdoła dobiec do karczmy przed Crowe'em, który opuścił już polankę, zabierając ze sobą latarnię.

W całkowitej ciemności Jimmy musiał posuwać się bardzo ostrożnie i powoli.

W chwili, gdy zdołał wreszcie dotrzeć do polany przy drodze, ujrzał przez moment czerwony blask węgla na kominku w ogólnej sali. Crowe zamykał właśnie drzwi do karczmy. Słysząc było stłumiony trzask zasuw.

Jimmy pobiegł schylony skrajem polany. Zatrzymał się na wprost okna do swego pokoju. Przygarbił się jeszcze bardziej i błyskawicznie podbiegł do ściany. Jej nierówna powierzchnia dostarczyła wystarczających punktów oparcia dla stóp i uchwytu dla rąk. Sięgnął pod bluzę i wyciągnął kawałek linki i haczyk. Sprawnym ruchem odciągnął prostą zasuwkę i otworzył okno. Pchnął je i wskoczył do środka.

Ostrza dwóch mieczy dziabnęły go w pierś. Zatrzymał się natychmiast. Gdy Laurie i Roald poznali go, opuścili broń. Locklear stał z wyciągniętym mieczem, pilnując drzwi.

– Co jest, do cholery? Szukasz nowych sposobów, by ponieść śmierć: z ręki przyjaciół? – zapytał zdenerwowany Roald.

– Co tam masz, złotko? – spytał Laurie podejrzliwym tonem, wskazując na linkę i haczyk. – Myślałem, że to należy już do przeszłości?

– Spokojnie – odpowiedział Jimmy, chowając narzędzia złodziejskiego rzemiosła. – A ty co? Prawie od roku nie jesteś trubadurem, a wszędzie targasz ze sobą lutnię – powiedział przyciszonym głosem. – Ten na dole robi dla Murmandamusa.

Laurie i Roald błyskawicznie wymienili spojrzenia.

– Trzeba zawiadomić Aruthę.

– Przynajmniej wiemy, że dotarły już do nich wieści o mojej śmierci. Wiemy jednak również, że pomimo przedstawienia w Krondorze, Murmandamus nadal ma wątpliwości. – Wszyscy zebrali się w pokoju Aruthy. Rozmawiali szeptem w ciemności.

– Pociuszające jest – powiedział Baru – że na razie, pomimo wątpliwości, działa, opierając się na założeniu, iż nie żyjesz. Przynajmniej do chwili, gdy okoliczności naprowadzą go na twój ślad.

– Nie może w nieskończoność trzymać przymierza Bractwa za uzdę – powiedział Laurie. – Musi wyruszyć wkrótce albo wszystko się rozpadnie.

– Jeśli przez następny dzień nie zboczymy z drogi do Tyr-Sog, zostawią nas w spokoju – powiedział Jimmy.

– Masz rację – szepnął Roald. – Ale nadal pozostaje problem Segersena.

– Kto to jest? – spytał Martin.

– To generał, najemnik – poinformował Roald. – Ale dziwny typ. Nie ma



*dużego oddziału. Nigdy więcej niż setka, a najczęściej poniżej pięćdziesiątki. Ma u siebie głównie specjalistów z różnych dziedzin: minerów, inżynierów, taktyków.*

*Najlepsi spece w branży – sama śmietanka. Specjalizuje się w obalaniu murów albo pilnowaniu, by pozostały na swoim miejscu nietknięte – w zależności od tego, która strona mu płaci. Widziałem go przy pracy. Gdy służyłem u barona Croswaita, wspierał go w pogranicznych potyczkach z baronem Lobromilla.*

*– Ja również o nim słyszałem – powiedział Arutha. – Ma bazy w Wolnych Miastach lub Queg i stamtąd działa, nie musi więc przejmować się prawami Królestwa regulującymi służbę najemniczą. Najbardziej jednak ciekawi mnie co innego: po co Murmandamusowi korpus słono opłacanych inżynierów? Skoro działa tak daleko na zachodzie, to musi przejść przez Tyr-Sog lub Yabon. Dalej na wschód są tylko baronie pogranicza. Ale przecież ciągle jest po drugiej stronie gór. Nawet jeśli przystąpi do oblężenia, nie będzie ich jeszcze potrzebował przez kilka najbliższych miesięcy.*

*– A może nie chce, aby ktoś inny go uprzedził, wynajmując Segersena? – zasugerował Locklear.*

*– Być może – szepnęła Laurie. – Ale najpewniej potrzebuje czegoś, co tylko Segersen może mu zapewnić.*

*– Nie ma więc wyjścia. Trzeba dopilnować, aby tego nie dostał – powiedział Arutha.*

*– To co? Jedziemy pół dnia w stronę Tyr-Sog i wracamy? – spytał Roald.*

*Arutha pokiwał głową.*

*Arutha dał znak.*

*Roald, Laurie i Jimmy ruszyli powolutku do przodu. Baru i Martin skierowali*

*się na boki, aby obejść teren dookoła. Locklear został z tyłu przy koniach. Przez pół dnia jechali do Tyr-Sog. Wczesnym popołudniem Martin zjechał na bok w dogodnym miejscu, by nie zostawić śladów, i cofnął się równoległe do drogi.*

*Wkrótce znalazł się przy nich z wiadomością, że Crowe zawrócił do karczmy. A teraz skradali się za nim przez noc, podczas gdy rzezimieszek spotykał się ze swymi mocodawcami, moredhelami.*

*Arutha podsunął się bliżej i wyjrzał ponad ramieniem Jimmiego. Po raz kolejny Arutha obserwował jednego z Czarnych Zabójców Murmandamusa. Okryty czarnymi blachami pancerza moredhel mówił coś.*

*– Śledziłeś ich?*

*– Tak. Jak po sznurku truchtali gościńcem do Tyr-Sog. Do cholery, przecież mówiłem ci, że to nic podejrzanego. Cały dzień straciłem, tłukąc się za nimi.*

*– Masz robić to, co nasz pan rozkaże.*

*– To nie ten sam głos – szepnął Jimmy. – To drugi. Arutha kiwnął głową.*

*Chłopak opowiedział mu o dwóch głosach. Zresztą sam słyszał, jak Murmandamus przejmuje kontrolę nad swymi sługami.*

*– Dobra – szepnął Księżę.*

*– Teraz poczekaś tu na Segersena – mówił dalej moredhel.*

*Wiesz...*

*Czarny Zabójca rzucił się nagle do przodu. Zaskoczony Crowe złapał go i podtrzymał, aby po sekundzie puścić na ziemię. Oczami okrągłymi jak spodki wpatrywał się z niedowierzaniem w długą strzałę sterczącą spod krawędzi hełmu na karku. Pocisk wystrzelony przez Martina przeszedł przez stalową kolczugę chroniącą szyję Czarnego i zabił go na miejscu.*

Zanim czterej pozostali moredhele zdołali dobyć broni, Martin zastrzelił już następnego. Baru wypadł z lasu. Gwałtowny świst, rozmazany błysk stali w powietrzu i trzeci czarny elf padł bez życia na ziemię. Roald przebiegł w tym czasie polankę i dopadł czwartego. Ostatni moredhel zginął od kolejnej strzały Martina. Jimmy i Arutha zaatakowali Crowe'a. Najemnik był tak zdumiony nagłym i niespodziewanym atakiem, że nawet nie zanadto próbował się bronić, tym bardziej, że był już sam przeciwko grupce napastników. Wodził dookoła nic nie rozumiejącym wzrokiem. Jego zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy ujrzał, że Martin i Baru ściągają z Czarnego Zabójcy broję.

Zdumienie przeszło w dzikie przerażenie, gdy zobaczył, jak Martin rozcina pierś zabitego i wyrywa mu serce. Jego oczy zrobiły się jeszcze większe, gdy rozpoznał w końcu, kto rozgromił oddziałek moredheli.

– To wy... więc... – spoglądał to na jedną twarz, to na drugą. Zatrzymał się na twarzy Aruthy. – Ty! Przecież ty nie żyjesz!

Jimmy szybko zrewidował go w poszukiwaniu ukrytej broni. Sprawdził kark.

– Nie ma jastrzębia z hebanu. Nie należy do nich.

– Ja? – Oczy Crowe'a rozgorzały dzikim blaskiem. – Do nich? Ależ skąd.

Wasze Wysokości. Nigdy w życiu! Jestem tylko skromnym posłańcem... za parę sztuk złota. Muszę jakoś zarabiać na życie. Wiesz, panie, jak to jest. Nie ma lekko.

– Ściągnij tu Lockleara. – Arutha skinął na Jimmiego. – Nie chcę, aby tkwił tam samotnie, jeśli w pobliżu kręcą się jeszcze inni Mroczni Bracia. – Odwrócił się do jeńca. – Co łączy Segersena z Murmandamusem?

– Segersen? A kto to jest?

Roald miał na dłoniach grube, skórzane rękawice. Podeszedł do jeńca i

*zaciśniętą w pięści rękojęścią ciężkiego sztyletu wyrzwał go w twarz, rozkwaszając nos i raniąc policzek. Crowe zalał się krwią.*

*– Roald! – krzyknął Laurie. – Na litość bogów, nie łam mu szczęki, bo nie będzie mógł nam nic powiedzieć!*

*Crowe leżał na ziemi, zwijając się z bólu. Roald kopnął go.*

*– Posłuchaj, chłoptasiu. Nie mam czasu, żeby się z tobą pieścić. Albo zaczniesz gadać natychmiast, albo wrócisz do karczmy w kilku kawałkach. – Dla lepszego efektu przesunął palcami po ostrzu sztyletu.*

*– Co łączy Segersena z Murmandamusem? – powtórzył Arutha.*

*– Nie wiem – wykrztusił Crowe przez zakrwawione wargi i wrzasnął znowu.*

*Roald kopnął go jeszcze raz. – Przysięgam. Nic nie wiem. Miałem się z nim tylko spotkać i przekazać wiadomość.*

*– Jaką? – rzucił Laurie.*

*– Krótką i prostą. Miałem tylko powiedzieć: „Przy Pochylej Przełęczy”.*

*– Pochyła Przełęcz albo inaczej Inclindel to wąski przesmyk przez góry, dokładnie na północ stąd – poinformował Baru. – Jeśli Murmandamus już ją opanował, jest też w stanie utrzymać ją wystarczająco długo, aby oddział Segersena swobodnie przedostał się na drugą stronę.*

*– A my nadal nie wiemy, po co Murmandamusowi oddziały inżynieryjne – mruknął Laurie.*

*– Pewnie po to, do czego przeważnie się ich używa – przygadał mu Roald.*

*– Ale co tu jest do oblegania? – zastanawiał się głośno Arutha. – Tyr-Sog? Nie sądzę. Zbyt łatwo można podesłać posiłki z Yabon. A po drugie musiałby przemknąć się w pobliżu wędrownych szczepów, przez Piekielne Stepy po drugiej stronie gór.*

*Żelazna Przełęcz i Warta Północy są zbyt daleko na wschód. A przecież nie potrzebuje inżynierów, aby ruszyć na Krasnoludy czy Elfy. Pozostaje więc Wysoki Zamek.*

*Martin skończył krwawą robotę.*

*– Niewykluczone, ale to przecież największa z fortec baronii pogranicza.*

*– Nie obawiałbym się oblężenia – powiedział Arutha. – Został tak*

*zbudowany, aby wytrzymywać nawet najdłuższe. Można tam zaangażować tysiące*

*ludzi, a mieliśmy już okazję przekonać się, że Murmandamus nie ma specjalnych*

*oporów, jeśli chodzi o szafowanie ludzkim życiem. A poza tym przez taki manewr*

*utkwilby na dobre w samym sercu Wysokich Wierchów, a to jakby ślepy zaulek. Nie*

*to nie ma najmniejszego sensu.*

*– Postuchajcie – odezwał się Crowe z ziemi –jestem tylko pośrednikiem,*

*któremu zapłacono za wykonanie konkretnej roboty, i tyle. Przecież nie możecie*

*mnie obwiniać za to, co knuje Bractwo, prawda? Wasza Dostojność?*

*W tej chwili Jimmy powrócił z Locklearem.*

*– Nie sądzę, aby coś jeszcze wiedział. – Martin zerknął na brata.*

*– Wie, kim jesteśmy. – Po twarzy Aruthy przemknął cień.*

*– Rzeczywiście. – Martin pokiwał powoli głową.*

*– Słuchajcie – z twarzy Crowe'a raptownie odpłynęła cała krew – możecie na*

*mnie całkowicie polegać. Nie puszczę pary z gęby. Wasza Wysokość. Nie musicie mi*

*nic dawać. Tylko mnie puśćcie i przyskam stąd, gdzie pieprz rośnie. Przysięgam!*

*Locklear patrzył na zacięte twarze swych towarzyszy, nic nie rozumiejąc.*

*Arutha zauważył to i skinął lekko w stronę Jimmiego. Starszy młodzieniec*

*brutalnie chwycił przyjaciela za ramię i ruszył, popychając go przed sobą.*

*– Co jest...? – krzyknął Locklear. Zatrzymali się po paru krokach.*

*– Poczekamy – powiedział krótko Jimmy.*

*– Ale na co? – Locklear nadal nie pojmował, co się wokół niego dzieje.*

*– Na nich, aby zrobili to, co zrobić muszą.*

*– Żeby co zrobili? – nalegał Locklear.*

*– Zabili najemnika.*

*Locky pobladł. Zrobiło mu się niedobrze. Jimmy spojrział na niego twardym wzrokiem.*

*– Locky, posłuchaj. To wojna. A na wojnie ludzie giną. Ten cały Crowe i tak jest najmniej istotny z tych, którzy stracą życie. – Locklear nie mógł uwierzyć własnym oczom. Okrutny, twardy wyraz, jaki zagościł na twarzy przyjaciela, zmroził go. Widział już wiele wcieleń Jimmiego: łobuza, kanalię, młodzieńca o nieodpartym uroku osobistym, teraz stanął oko w oko z kimś, kogo nie spodziewał się nigdy ujrzeć. Z zimnym, wyrachowanym i bezwzględny życiowym weteranem, młodzieńcem, który zabijał i nadal będzie to robił. – On musi umrzeć – powiedział Jimmy krótko. – Wie, kim jest Arutha. Jeśli puścilibyśmy go wolno, życie Księcia nie byłoby warte funta kłaków. Nie rozumiesz tego? Rusz głową!*

*Locklear był blady i roztrzęsiony. Powoli przymknął oczy.*

*– A nie moglibyśmy...?*

*– Co? – przerwał mu Jimmy bezlitośnie ostrym głosem. – Może poczekać na patrol, by doprowadził go do Tyr-Sog na proces sądowy? Potem wpaść tam na chwilę, by złożyć zeznania? A może związać na kilka miesięcy? Locky, jeśli to ci jakoś pomoże, pamiętaj tylko o jednym: Crowe to renegat i zdrajca. Arutha sprawuje sąd i wymierza sprawiedliwość, do czego, jako Księżę, ma prawo. Ale jakkolwiek byś na*

*to nie spojrzal, nie ma po prostu innego wyboru.*

*W głowie Lockleara kłębiły się setki myśli. Z polanki nagle dał się słyszeć zduszony krzyk. Chłopak zamrugał gwałtownie oczami. Zmieszanie ustąpiło.*

*Pokiwał głową. Jimmy położył rękę na ramieniu przyjaciela i lekko ścisnął. Zdał sobie nagle sprawę, że Locklear już nigdy nie będzie taki sam jak kiedyś.*

*Ku nieopisanej radości, ale i zdumieniu Geoffreya powrócili do karczmy.*

*Rozpoczęło się oczekiwanie. Trzeciego dnia pojawił się nieznajomy. Podszedł od razu do Roalda, który usiadł w kącie sali, na miejscu zajmowanym poprzednio przez*

*Crowe'a. Nastąpiła krótka wymiana zdań, po której przybysz, wściekły, opuścił karczmę. Roald poinformował go, że umowa między Murmandamusem a*

*Segersenem została zerwana. W rozmowie niby przypadkiem Martin wspomniał karczmarzowi, że bardzo znany i poszukiwany przez władze generał najemników może obozować gdzieś w okolicy. Słyszał, że została wyznaczona wysoka nagroda*

*dla tego, kto go odnajdzie i wskaże miejsce pobytu żołnierzom miejscowego garnizonu. Następnego dnia opuścili karczmę, kierując się od razu na północ.*

*Gdy gospoda zniknęła im z oczu, Jimmy odwrócił się ku pozostałym.*

*– Geoffreya czeka całkiem przyjemna niespodzianka.*

*– Dlaczego? – spytał Arutha.*

*– Hm, Crowe przecież nie uiścił rachunku za dwa ostatnie dni. Geoffrey wziął jego tarczę w zastaw, na wypadek gdyby tamten się więcej nie pojawił.*

*Roald parsknął śmiechem, wtórując Jimmy'emu.*

*– Chcesz przez to powiedzieć, że pewnego pięknego dnia nasz zacny Geoffrey zajrzy pod skórę na tarczy? Pozostali wymienili zdziwione spojrzenia.*

*– Jest cała ze złota – poinformował Jimmy.*

– To dlatego Crowe, pomimo ciężaru i wymiarów, targał ją wszędzie ze sobą

– dorzucił Roald.

– Teraz rozumiem, dlaczego zakopaliście wszystko z wyjątkiem tego, co zatrzymał Baru, a tarczę przydźwigaliście z powrotem – powiedział Martin.

– To była zapłata dla Segersena. Przecież nikt nie zaczepiałby wydziedziczonego wojaka bez grosza przy duszy – dorzucił Jimmy. Reszta wybuchnęła śmiechem. – To dobrze, że trafi do Geoffreya. Bogowie wiedzą najlepiej, że tam, gdzie my idziemy, na nic by się nie przydała. – Śmiech zamarł im na ustach. Arutha nakazał postój.

Już od tygodnia posuwali się wytrwale na północ. Dwukrotnie zatrzymali się na krótko w wioskach Hadatic, gdzie znano Baru. Witano go z podziwem, szacunkiem i wszelkimi honorami. Wieść o zabiciu Murada rozeszła się w jakiś sposób po całej górzystej krainie Hadatic. Jeśli nawet górale byli ciekawi, kim są towarzysze Baru, nie okazywali tego po sobie. Arutha i pozostali byli pewni, że wiadomość o ich przejściu nie rozniesie się po okolicy. Zatrzymali się u wylotu wąskiego szlaku prowadzącego w górę – do Wąskiej Przełęczy.

– Tutaj znowu wkraczamy na terytorium nieprzyjaciela – powiedział Baru, jadąc u boku Księcia. – Ponieważ Segersen nie ma się pojawić, niewykluczone, że moredhele zdejmą posterunki z przejścia. Nie możemy jednak mieć pewności, czy nie wjedziemy prosto w ich ramiona.

Arutha pokiwał w milczeniu głową. Baru ściągnął włosy w węzeł w tyle głowy oraz zawinął jak zwykle oręż w koc, chowając wszystko w derce do spania. U jego boku wisiał teraz miecz Morgana Crowe'a, a kaftan okrywała jego kolczuga. W ten prosty sposób Hadati zniknął nagle, a w jego miejsce pojawił się jeszcze jeden



zwykły najemnik. I to właśnie miała być ich historyjka na wypadek zatrzymania. Byli jeszcze jedną bandą renegatów ściągających pod sztandary Murmandamusa. Mieli nadzieję, że ta wersja zdoła się oprzeć ewentualnemu badaniu. Jadąc na północ, całymi dniami omawiali sposób dotarcia do Murmandamusa. Wszyscy się zgodzili, że nawet jeśli przeczuwał on, iż Arutha żyje, to ostatnią rzeczą, jaką mógłby podejrzewać, było to, że księżę Krondoru zechce zaciągnąć się do jego armii. Bez zbędnych dyskusji ruszyli w górę. Martin i Baru prowadzili. Potem jechali Arutha i Jimmy, a za nimi Laurie i Locklear. Roald zamykał pochód. Doświadczony najemnik nieustannie śledził przebyty już szlak. Wspinali się coraz wyżej i wyżej na Pochyłą Przełęcz. Jazda w górę trwała dwa dni. Pod koniec drugiego dnia szlak skręcił na północny wschód. Wznosił się nadal nieznacznie, chociaż ciągle biegł trawersem południowego stoku gór. Stwarzało to dość dziwną sytuację. Z formalnego punktu widzenia nie opuścili granicy Królestwa i Ziem Północy, której przebieg królewscy kartografowie wyznaczyli po szczytach. Ciągle jeszcze górowały one po lewej stronie. Jimmy nie miał specjalnych złudzeń co do takich „faktów”. Znajdowali się na wrogim terytorium i już. Każdy napotkany mógł ich natychmiast zaatakować. Martin czekał na zakręcie. Jak w czasie wyprawy do Moraelin, powrócił do zwyczaju pieszego zwiadu. Teren był zbyt skalisty, aby konie mogły poruszać się szybko. Bez trudu mógł ich wyprzedzać. Jimmy i Locklear natychmiast zeskoczyli z koni, zebrali pozostałe wierzchowce i odprowadzili w dół szlaku, obracając je na wypadek, gdyby przyszło im natychmiast uciekać. Jimmy pomyślał, że mogło to stanowić pewien problem, gdyż ze względu na wąskość skalistej ścieżki jedyną drogą ucieczki był szlak, którym się wspinali.

*Pozostali zbliżyli się do Księcia, który gestem ręki nakazał ciszę. Nadstawili uszu. W niedalekiej odległości słychać było gardłowe warczenie, przerywane krótkim, basowym szczekaniem. Co jakiś czas rozlegało się inne, dziwne powarkiwanie.*

*Dobyli broni i zaczęli się skradać. Niecałe dziesięć metrów za zakrętem spotykały się dwie ścieżki. Jedna prowadziła dalej na północny wschód, druga odbijała w kierunku zachodnim. W rozwidleniu szlaków leżał człowiek. Z tej odległości nie potrafili ocenić, czy żyje i czy jest przytomny. Nad ciałem stał ogromny, wprost gigantyczny pies. Przypominał jednocześnie wielkiego doga i mastifa, lecz był od nich dwa razy większy. Wzrostem sięgał ludziom do pasa. Potężny kark otaczała skórzana obroża nabijana ostrymi jak szpilki, stalowymi kolcami, co sprawiało wrażenie, jakby zwierzę miało błyszczącą grzywę. Szcherzył kły, warcząc głucho. Tuż przed nim przy warowały do ziemi trzy trolle.*

*Nie zastanawiając się ani sekundy, Martin wypuścił strzałę, trafiając trolla z tyłu w głowę. Ciężki pocisk przedziurawił czaszkę i bestia zdechła, nie wiedząc nawet kiedy. Dwie pozostałe odwróciły się, co okazało się fatalne w skutkach dla trolla znajdującego się najbliżej psa, który rzucił się, zatapiając kły w jego gardle. Gdy trzeci troll zauważył w końcu ludzi, próbował uciekać, ale było już za późno. Baru przeskoczył zwinnie ponad kłębowiskiem ciała na ziemi i po sekundzie troll już nie żył.*

*Jedynym dźwiękiem, jaki im teraz towarzyszył, był dziki charkot i zajadłe warczenie psa tarmoszącego zdechłego dawno trolla. Gdy podeszli bliżej, pies puścił bestię i cofnął się, by pilnować leżącego na ziemi człowieka.*

*Baru wpatrywał się w psa jak urzeczony. Gwizdnął przeciągle.*

– Nie, to niemożliwe – szepnął.

– Co? – spytał Arutha.

– Ten pies.

– Możliwe czy niemożliwe, jeśli ten człowiek żyje jeszcze, to za chwilę może umrzeć, bo ten potwór nie dopuści nas do niego – powiedział Martin.

Baru wypowiedział dziwnie brzmiące słowa. Pies zastrzygł uszami.

Przekrzywił lekko głowę. Warczenie ucichło. Ruszył powoli w stronę Baru. Góral przykląkł i zaczął drapać psa za uszami.

Martin i Arutha podbiegli do leżącego, by go zbadać. Roald i Laurie cofnęli się, by pomóc chłopcom sprowadzić konie. Po paru minutach wszyscy byli razem.

– Nie żyje – oznajmił Martin.

Pies odwrócił głowę i zaskomlał cichutko, lecz pozwolił się głaskać i drapać.

– Kto to jest? – zapytał Laurie głośno. – Co mogło sprowadzić człowieka z psem w tak dzikie i puste miejsce?

– Spójrz na trolle – dorzucił Roald.

– Tak, rzeczywiście. – Arutha pokiwał głową. – Są uzbrojone i w pancerzach.

– To górskie trolle – powiedział Baru. – Bardziej inteligentne, zajadłe i przebiegłe niż ich kuzyni z równin. Tamte to zwykłe dzikie bestie, a te to straszliwy przeciwnik, możecie mi wierzyć na słowo. Jak widzę, Murmandamus ściąga pod swe sztandary sprzymierzeńców.

– Ale ten człowiek? – Arutha wskazał na zwłoki. Baru wzruszył ramionami.

– Kim jest zmarły, nie potrafię powiedzieć. Ale mogę zaryzykować stwierdzenie, iż wiem, co to za pies. – Wpatrywał się w siedzące przed nim wielkie zwierzę, które z zamkniętymi z lubości oczami nadstawiało łeb do drapania. – Jest

*taki sam jak psy, które mamy w naszych wioskach, tylko wyższy i potężniejszy.*

*Nasze psy są potomkami tej rasy. Rasy, której nie widziano w Yabon od przeszło stu lat. Nazywa się Bestia.*

*Przed wiekami mój lud zamieszkiwał maleńkie wioski rozrzucone po tych górach i pagórkach u ich podnóża. Nie mieliśmy miast. Dwa razy w roku gromadziliśmy się na sejmik. Aby bronić naszych stąd przed drapieżnikami, wyhodowaliśmy tę rasę – Bestie. Jego pan był nazywany Łowczym Bestii. W hodowli dążono do uzyskania jak największych rozmiarów, aby psy mogły powstrzymać nawet niedźwiedzia jaskiniowego. – Wskazał im palcem fałdy skóry wokół oczu psa. – Gdy pies chwyta za gardło większego i wyższego od siebie przeciwnika, te fałdy odprowadzają krew, chroniąc oczy przed zalaniem. Trzeba wam wiedzieć, że nie puszczą gardła ofiary, dopóki nie padnie trupem albo na rozkaz pana. Nabijana obroża chroni jego szyję przed chwytem większego drapieżnika.*

*Locklear spojrział na niego szeroko rozwartymi ze zdziwienia oczami.*

*– Większego! Przecież ta bestia jest prawie wielkości kucyka!*

*Baru zaśmiał się z przesadnego porównania.*

*– Kiedyś używali tych psów do polowania na węże górskie.*

*– Co to jest wąż górski?*

*– To taki mały, głupi smok. Nie ma więcej niż jakieś cztery metry wzrostu –*

*odpowiedział Jimmy. Locklear spojrział na pozostałych, chcąc sprawdzić, czy Jimmy nie żartuje sobie z niego. Baru pokiwał głową, potwierdzając informację przyjaciela.*

*– Zatem ten człowiek to jego pan – spytał Martin.*

*– Najpewniej – zgodził się Baru. – Widzicie tę czarną, skórzaną zbroję i*

*metalowy, ochronny czepek? W jego rzeczach znajdziecie z pewnością żelazną maskę z rzemykami na głowę. Maskę nakłada się na czepek. Mój ojciec miał taką samą. Pamiątka starych czasów i spuścizna po przodkach. – Rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Jego wzrok zatrzymał się na martwych trollach.*

*– Tam. Skocz no po to.*

*Locklear podbiegł we wskazane miejsce i wrócił z ogromną kuszą. Podał ją Martinowi, który gwizdnął przeciągle.*

*– Niech mnie kule... ależ to piekielna machina.*

*– To jednak nawet nie połowa największej kuszy, jaką widziałem – zauważył Roald. Baru przytaknął.*

*– Nazywają ją Krwawa Bessy. Dlaczego nazwano ją imieniem Bessy, tego nikt już dziś nie wie, ale rzeczywiście jest krwiożercza. W każdej wiosce w moim kraju zatrudniano Łowczego Bestii, by chronił stada przed lwami, niedźwiedziami jaskiniowymi, gryfami i innymi drapieżnikami. Gdy Yabon znalazło się w granicach Królestwa, a wasi panowie zaczęli wznosić liczne zamki, budować miasta i wysyłać wojskowe patrole, które pacyfikowały teren, zapotrzebowanie na Łowczych stopniowo malało, aż w końcu zanikło zupełnie. Pozwolono także, by Bestie skarłały. Używano ich bowiem jedynie do polowań na mniejszą zwierzynę albo wręcz trzymano w domach dla przyjemności.*

*Martin odłożył kuszę. Obejrzał uważnie zawartość kołczana na biodrze zmarłego. Pociski były dwa razy większe niż do zwykłej kuszy, a ich groty miały stalowe końcówki.*

*– Wygląda na to, że mogłyby przebić mur zamkowy.*

*– No niezupełnie – Baru uśmiechnął się lekko – ale w łuskach węża górskiego*

*zostawiają dziurę wielkości twojej pięści. Jeden pocisk go nie zabije, ale jak oberwie, to dwa razy się zastanowi, zanim zaatakuje stado ponownie.*

*– Baru, przecież mówiłeś, że nie ma już Łowczych Bestii – zdziwił się Arutha.*

*– Tak... – Baru poklepał psa po głowie i wstał – tak się powszechnie*

*uważało... a jednak jeden z nich właśnie tu leży. – Na długą chwilę zapadła cisza. –*

*Gdy w Yabon nastąpiło Królestwo, byliśmy luźnym związkiem klanów. Podział*

*nastąpił na tle różnic w podejściu do waszych ludzi. Niektórzy z nas powitali twych*

*przodków, panie, z otwartymi ramionami, inni wprost przeciwnie. My, Hadati,*

*przeważnie trzymaliśmy się starych i utartych ścieżek, żyliśmy wysoko w górach,*

*doglądaliśmy stad owiec i bydła. Następował coraz większy napływ nowej ludności*

*i żyjący w miastach zostali szybko wchłonięci i zasymilowani, tak że różnica*

*pomiędzy rdzennymi mieszkańcami miasta Yabon a nowo przybyłymi prawie się*

*zatarła. Takie jest na przykład pochodzenie Roalda i Lauriego. I oto Yabon stał się*

*częścią Królestwa.*

*Inni patrzyli na Królestwo z niechęcią, a ich opór przekształcił się z czasem w*

*otwartą wojnę. Wasi żołnierze nadciągnęli w wielkiej liczbie i rebelia została szybko*

*stłumiona. Opowiadają też, chociaż nie wiem, czy można temu dać wiarę, że była*

*grupa naszych, którzy nie chcieli ani ugiąć się przed Królem, ani z nim walczyć.*

*Zamiast tego wybrali ucieczkę, znajdując nowy dom na północy, gdzie nie sięgała*

*władza Królestwa.*

*Martin spojrział na psa.*

*– Może rzeczywiście historia ta jest prawdziwa.*

*– Na to wygląda – potwierdził Baru. – Mam przeczucie, że gdzieś tam przed*

*nami spotkam dalekich krewnych.*

*– A my znajdziemy sprzymierzeńców. – Arutha przyglądał się uważnie psu. –*

*Nie ulega wątpliwości, że trolle były sługami Murmandamusa, a zmarły był ich nieprzyjacielem.*

*– A wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi – powiedział Roald.*

*– Nie zapominaj – Baru pokręcił głową – że ludzie ci uciekli przed*

*Królestwem z niego. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie będą cię darzyć zbyt wielką miłością. Możemy zastąpić jeden kłopot drugim. Książę. – Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z wymuszonym uśmiechem.*

*– Nie mamy wyboru. Dopóki nie upewnimy się, co leży po drugiej stronie gór, musimy szukać każdej pomocy, jaką ześle nam los.*

*Arutha pozwolił, aby zabezpieczono ciało kamieniami. Po kilkunastu*

*minutach nad Łowczym usypano skromny kopiec. Podczas pogrzebu pies*

*zachowywał się ze stoickim spokojem. Gdy skończyli, przywarował na ziemi, kładąc głowę na grobie pana, i nie dał się ruszyć.*

*– Zostawiamy go? – spytał Roald.*

*– Nie – odrzekł Baru. Przemówił w dziwnym języku i pies ociągając się podszedł do jego boku.*

*– Najwyraźniej język używany do wydawania poleceń naszym psom nie zmienił się zbyt wiele, bo jest posłuszny.*

*– No to co, idziemy dalej? – spytał Arutha.*

*– Tak, ale ostrożnie. Najlepiej będzie, jeśli pies nas poprowadzi –*

*odpowiedział góral. Wypowiedział dwa słowa. Zwierzę postawiło uszy i potruchtalo w górę szlaku. Gdy prawie zniknęło im z oczu, zatrzymało się, czekając, aż je dogonią.*

*Szybko dosiedli koni.*

*– Co mu powiedziałaś? – spytał Arutha.*

*– „Do domu”. Zaprowadzi nas do swoich.*



# W NIEWOLI

*Wiatr huczał przeciągle.*

*Jeźdźcy owinęli się ciasniej długimi pelerynami. Już minął ponad tydzień, jak szli krok w krok za psem. Następnego dnia po znalezieniu go przekroczyli wreszcie granie Wielkich Gór Północnych. Teraz posuwali się wąziutkim szlakiem prowadzącym na północny wschód tuż poniżej szczytów.*

*Pies zaakceptował Baru jako nowego pana i wypełniał posłusznie wszelkie polecenia. Ignorował natomiast zupełnie rozkazy wydawane przez innych. Baru nazwał psa Blutark. W starożytnym narzeczu Hadaticzn oznaczało to przyjaciela, który odnalazł się po latach lub powrócił z dalekiej podróży. Arutha miał nadzieję, że zostanie to uznane za dobry omen i że ci, którzy wychowali psa, będą żywili podobne uczucia wobec Aruthy i jego towarzyszy.*

*Pies już dwukrotnie okazał się bardzo przydatny na szlaku, sygnalizując zawczasu niebezpieczeństwo. Miał wspaniały węch i potrafił z daleka wyczuć to, czego nie wypatrzyłby nawet sokoli wzrok Martina czy Baru – wytrawnych myśliwych. Za jednym i drugim razem udało im się zaskoczyć gobliny obozujące przy drodze. Nie mogło być najmniejszych wątpliwości – Murmandamus kontrolował całkowicie szlak wiodący ku Ziemiom Północy. Oba spotkania miały miejsce przy rozwidleniach szlaku prowadzących wyraźnie w dół stoku.*

*Od Pochylej Przełęczy ścieżka prowadziła cały czas na południowy wschód i wiodła blisko północnych granic. Daleko na horyzoncie majaczyły bezkresne przestrzenie Ziemi Północy. Patrząc w mglistą dal, nie raz, nie dwa popadali w zadumę. Dla większości mieszkańców Królestwa nazwa „Ziemia Północy” była poręcznym i niewiele mówiącym hasłem, oznaczającym nieznane tereny po drugiej*

*stronie gór. Ich prawdziwa natura mogła być jedynie obiektem spekulacji i domysłów. Teraz prawdziwe Ziemie Północy rozciągały się u ich stóp, a rzeczywistość przyćmiła wszelkie, nawet najbardziej śmiałe domysły – przytłaczała swym ogromem. W kierunku północno-zachodnim rozciągała się ogromna równina, której krańce ginęły na mglistym horyzoncie – Piekielne Step. Tylko nieliczni mieszkańcy Królestwa przemierzali ten trawiasty świat i to za wyraźnym przyzwoleniem wędrownych szczepów, uważających Step za swój dom ojczysty. Od wschodu wielką równinę ograniczał łańcuch wzgórz. Rozciągały się za nim tereny nigdy nie oglądane okiem żadnego mieszkańca Królestwa. Każdy kolejny zakręt szlaku, każdy następny mijany występ skalny otwierał przed nimi nową panoramę.*

*Niepokoilo ich, że pies uparcie odmawiał zejścia niżej. Martin był przekonany, że na wzgórzach rozciągających się u podnóża gór nie byliby tak widoczni jak na skalnym, pozbawionym wszelkiej osłony szlaku. Podążali krętą ścieżką wijącą się pomiędzy załomami północnych stoków i tylko co jakiś czas opuszczali się poniżej linii lasu. Szlak nie był całkowicie wytworem natury. W trzech miejscach zauważyli dowody na to, że w dawnych czasach połączono jego naturalne odcinki w całość.*

*– A niech to, ten myśliwy nieźle oddalił się od domu – zauważył, nie po raz pierwszy zresztą, Roald. Od miejsca, w którym znaleźli ciało, dzieliło ich, lekko licząc, ponad sto pięćdziesiąt kilometrów.*

*– Tak, i to właśnie jest dziwne – powiedział Baru.– Zasadniczo do głównych zadań Łowczych Bestii należała obrona najbliższych położonych terenów. Być może przez jakiś czas był ścigany przez trolle? – Sam jednak wiedział, podobnie jak*

pozostali, że pościg taki mógł się odbywać na odcinku kilku, najwyżej kilkunastu, ale nie kilkudziesięciu kilometrów. Nie, musiał istnieć jakiś inny powód, dla którego myśliwy tak bardzo oddalił się od domu.

Aby czas mijał szybciej, a także w oczekiwaniu na dzień spotkania swojaków właściciela Blutarka, Arutha, Martin i chłopcy postanowili nauczyć się dialektu Hadati, którym posługiwał się Baru. Laurie i Roald mówili płynnie w narzeczu Yabonu. Zнали też trochę odmianę Hadati, więc nauka przyszła im bez większego trudu. Najwięcej kłopotów miał Jimmy, ale i on wkrótce już potrafił budować proste zdania.

Skacząc wielkimi susami, nadbiegł Blutark. Machał radośnie krótkim ogonem. By dopełnić miary tak nietypowego dla niego zachowania, szczekał głośno i kręcił się kółko.

– Dziwne... – powiedział Baru.

Zwykle, gdy pies zwiertzył niebezpieczeństwo, natychmiast zaczynał wystawiać. Szedł na wyprostowanych sztywno łapach aż do chwili, gdy sam został zaatakowany albo Baru kazał mu atakować. Góral z Martinem wysforowali się na czoło pochodu, rozkazując Blutarkowi biec przodem. Wielkie psisko popędziło przed siebie, znikając po chwili za zakrętem, w wąskim gardle pomiędzy urwistymi ścianami. W tym miejscu szlak schodził znowu niżej.

Wyjechali zza zakrętu. Natychmiast ściągnęli wodze, zatrzymując wierzchowce. Blutark stał na przeciwko innego psa --Bestii, obwąchując go zawzięcie. Oba machały ogonami. Obcy pies nie był jednak sam. Tuż za nim stał mężczyzna w czarnej, skórzanej zbroi i dziwnej żelaznej masce na twarzy. Mierzył do nich z Krwawej Bessy wspartej na drewnianej tyczce. Mówił coś, lecz ostre

*podmuchy wiatru porywały słowa i nic nie mogli zrozumieć.*

*Baru wzniosł obie ręce w górę i starając się przekrzyknąć wiatr, wołał coś do nieznajomego, ale niewiele z tego wyszło. Przynajmniej jego gest świadczył o pokojowych intencjach. Nagle z góry spadły ogromne siatki i unieruchomiły skutecznie całą siódmkę. Z wysokich skał zeskoczyło kilkunastu żołnierzy odzianych w brązowe skóry i w okamgnieniu ściągnęli ich na ziemię. Po paru chwilach Arutha i jego towarzysze stali spętani jak upolowane ptactwo. Dopiero wtedy mężczyzna w czarnej zbroi zdjął kuszę z tyczki, złożył drzewce na kilka części i przerzucił przez ramię razem z kuszą. Zbliżył się do nich i przyjaźnie poklepał swego psa i Dłutarka.*

*. Dźwięk kopyt końskich wyprzedził pojawienie się kolejnego oddziału żołnierzy w brązowych skórkach, tym razem typowej jazdy. Jeden z nich, kalecząc niemiłosiernie język Królestwa, zwrócił się do uwięzionych.*

*– Pojedziecie z nami. Nie wolno wam się odzywać. W przeciwnym razie zakneblujemy. Nie próbujcie uciekać, bo zabijemy na miejscu.*

*Baru skinął krótko ku swoim towarzyszom. Roald natomiast chciał coś powiedzieć. Natychmiast czyjeś ręce wepchnęły mu do ust szmatę, a inne obwiązały twarz chustą. Był uciszony na dobre. Arutha spojrzął po pozostałych i w milczeniu pokiwał głową. Nie bawiąc się w żadne ceregiele, napastnicy wrzucili ich na siodła i przywiązali stopy do strzemion. Po unieruchomieniu jeńców zawrócili konie i cała grupa ruszyła w dół szlaku.*

*Jechali dzień i noc. Krótkie popasy zarządzano jedynie, aby dać wytchnienie zmęczonym wierzchowcom. W tym czasie luzowano nieco więzy, by złagodzić kurcze i drętwienie rąk i nóg więźniów. Po kilku godzinach od wyruszenia w drogę, ku wielkiej uldze Roalda usunięto mu knebel z ust. Było jednak jasne, że napastnicy nie*

*pozwolą im wypowiedzieć ani słowa.*

*Gdy niebo na wschodzie pojaśniało, mogli zobaczyć, że pokonali prawie połowę dystansu dzielącego prowadzący szczytami szlak od wzgórz u podnóża gór. Minęli niewielkie stadko bydła pasące się pod czujnym wzrokiem uzbrojonych po zęby wartowników, którzy pomachali do nich. Wkrótce potem znaleźli się w pobliżu otoczonej murem osady.*

*Pas zewnętrznych umocnień tworzyła palisada z grubych, drewnianych bali ciasno powiązanych linami i spojonych gliną. Aby zbliżyć się do bramy, trzeba było zatoczyć szeroki łuk dość wąskim podjazdem, wznoszącym się pomiędzy głębokimi rowami. Na ich dnie jeżyły się ostro zakończone, utwardzone w ogniu tyki, gotowe przebić każdego jeźdźca, który by się zsunął ze szlaku. Roald rozejrzał się wokół.*

*– Muszą mieć czarujących sąsiadów – szepnął. Jeden z żołnierzy natychmiast pojechał do niego z gotowym kneblem w ręku. Dowódca odesłał go na miejsce machnięciem ręki. Podjeżdżali już pod bramę. Jej podwoje otworzyły się przed nimi. Ze zdumieniem stwierdzili, że za pierwszym murem znajduje się drugi. Nie było co prawda barbakanu, lecz prawie cały teren między jednym a drugim murem był polem śmierci. Arutha podziwiał proste, lecz skuteczne mistrzostwo budowniczych. Wprawdzie nowoczesna armia mogłaby szybko zdobyć wioskę, ale nie obeszloby się bez znacznych strat. Bandyci i gobliny zostaliby odparci z łatwością. Przejechali przez drugą bramę.*

*Księżę obserwował z zaciekawieniem otoczenie. Całą osadę stanowiło nie więcej niż tuzin chat. Wszystkie zbudowano z plecionych gałęzi uszczelnionych gliną. Tu i ówdzie dostrzegł bawiące się grupki dzieci. Wszystkie patrzyły na nich z powagą. Ubrane były w kubraki z grubej skóry, a kilkoro starszych miało nawet*

*skórzane zbroje. Zza pasów wystawały rękojeści sztyletów. Zresztą wszyscy byli uzbrojeni. Nawet starcy. Jeden z nich przykuśtykał obok, podpierając się włócznią zamiast laski.*

*– Możecie już mówić – odezwał się dowódca oddziału. – Prawa szlaku nie obowiązują na terenie osady. – Nadal posługiwał się językiem Królestwa. Jego ludzie rozcięli więzy mocujące stopy do strzemion i pomogli im zsiąść na ziemię. Przywódca dał znak, by weszli do jednej z chatup.*

*Blutark, który przez cały czas biegł wiernie u boku Baru, położył się teraz przy jego nogach i wywalił język, dysząc ciężko.*

*– Ten pies to rzadka rasa. Jest bardzo ważna dla naszego ludu – powiedział dowódca patrolu. – W jaki sposób go zdobyliście? Arutha kiwnął w stronę Baru.*

*– Znaleźliśmy na szlaku jego pana. Został zabity przez trolle – odpowiedział Hadati. – Zabiliśmy trolle, a pies zdecydował się przyłączyć do nas.*

*Dowódca zastanawiał się nad czymś przez chwilę.*

*– Gdybyście skrzywdzili jego właściciela, pies albo by was zabił, albo zginął, próbując to zrobić. Muszę wam wierzyć. Jednak rasa ta jest tak przyuczana, by tylko niektórym była posłuszna. Jak mu wydajesz polecenia?*

*Góral wypowiedział jedno słowo. Pies usiadł natychmiast z nastawionymi uszami. Drugie słowo i Blutark opadł na brzuch, rozwalając się wygodnie na podłodze.*

*– W mojej wiosce są psy podobnej rasy, chociaż nie tak wielkie jak ten.*

*Oczy komendanta zwężyły się raptownie.*

*– Kim jesteś?*

*– Jestem Baru, zwany Zabójcą Węży. Pochodzę z rodu Ordwinson z Klanu*

*Żelaznych Wzgórz. Jestem Hadati. – Baru mówił w rodzimym narzeczu. Rozwinął derkę i wyjął kraciasty koc i miecze.*

*Dowódca skinął głową. Odpowiedział w języku na tyle podobnym do mowy Baru, że pozostali zrozumieli większość słów. Jediną zasadniczą, chociaż w rzeczywistości nieistotną różnicą, była wymowa poszczególnych wyrazów.*

*– Wiele lat minęło od czasów, gdy ostatni z naszych krewniaków Hadatich zszedł na tę stronę gór. Baru, Zabójco Węży. Prawie całe pokolenie. To wiele tłumaczy. Mieszkańcy Królestwa zazwyczaj pojawiają się tutaj, by mieć i siać spustoszenie. Szczególnie w ostatnich czasach mamy ich nadmiar. Wydaje mi się, że jesteście inni niż ci renegaci, ale nie mnie o tym sądzić. Zdecyduje o tym mądrość Protektora. – Wstał. – Tutaj odpoczniemy przez noc. Rano wyruszymy w dalszą drogę. Za chwilę przyniosą posiłek. Gdyby ktoś chciał za potrzebą, to w kącie jest wiadro. Nie opuszczajcie chaty. Przy próbie wyjścia zostanieie znowu spętani. W razie stawiania oporu zginiecie.*

*Podszedł do drzwi.*

*– Dokąd nas zabieracie? – spytał Arutha. Dowódca obejrzał się.*

*– Armengar.*

*Wyjechali o pierwszym brzasku. Od razu skierowali się w dół i wkrótce zagłębili w gęste lasy. Blutark sadził długimi susami u boku wierzchowca Baru. I tym razem otrzymali całkowity zakaz rozmów na szlaku, ale zwrócono im broń. Arutha nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż górale założyli, że w razie zagrożenia na szlaku pojmani staną po ich stronie. W przekonaniu tym upewniło go to, że mogli spotkać jedynie tych, którzy służyli Murmandamusowi. W wielu miejscach w lesie zrobiono przecinki. Sama ścieżka wskazywała, że szlak był uczęszczany. Wyjechali z*

*gęstej kępy drzew na łąkę. Pasało się tam niewielkie stado krów pod strażą trzech wartowników. Jednym z nich był Łowczy Bestii, który opuścił osadę poprzedniego wieczoru. Dwaj pozostali byli zwykłymi pastuchami, ale uzbrojonymi we włócznie, miecze i tarcze.*

*Jeszcze dwa razy tego dnia mijali pasące się stada. Jedno bydła, drugie owiec. Były pilnowane przez wojowników, pomiędzy którymi dostrzegli kilka kobiet. Niedługo przed zachodem słońca dotarli do następnej osady, gdzie zapewniono im nocleg. I tym razem otrzymali bezwzględny zakaz opuszczania wyznaczonej chaty.*

*Rankiem następnego dnia, już czwartego w niewoli, wjechali w wąski wąwóz, biegnący wzdłuż rzeki spływającej z gór na niziny. Trzymając się jej brzegów, jechali aż do południa, kiedy dotarli do długiego wzniesienia. Droga, zamiast podążać z biegiem rzeki przedzierającej się w dół przez skaliste progi, okrążała potężne wzgórze. Prawie przez godzinę nie widzieli, co znajduje się poniżej.*

*Gdy w końcu wdrapali się na szczyt, Arutha i jego towarzysze wymienili pełne podziwu spojrzenia.*

*Dowódca, który, jak się dowiedzieli w drodze, nazywał się Dwyne, obrócił się ku nim.*

*– Armengar.*

*Z miejsca, gdzie się znajdowali, nie widać było całej panoramy miasta, ale i to, co widzieli, było wprost oszałamiające. Zewnętrzne mury wznosiły się na dobre dwadzieścia metrów. Co jakieś piętnaście metrów rozmieszczono na ich szczycie wieżyczki. Schowani w nich łucznicy mogli skutecznie razić przeciwnika, ponieważ pola ich ostrzału nakładały się. Wraz ze zbliżaniem się do murów ujawniało się coraz więcej szczegółów. Barbakan o trzydziestometrowej średnicy sprawiał*



*imponujące wrażenie. Bramy przypominały raczej ruchome odcinki murów. Rzeka opływała umocnienia, tworząc szeroką fosę, dzięki czemu pomiędzy jej brzegiem a podstawą murów pozostawał pas wolnej przestrzeni nie szerszy niż trzydzieści-czterdzieści centymetrów.*

*Gdy podjechali pod bramę, jej podwoje otworzyły się ze zdumiewającą szybkością, zważywszy na ich potężny, ciężki wygląd. Ze środka wyjechał oddział konnicy. Jeźdźcy zbliżali się w szybkim tempie do eskorty Aruthy. Gdy oba oddziały mijaly się, żołnierze pozdrowili się podniesieniem prawych rąk. Arutha zauważył, że wszyscy byli ubrani identycznie. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli na głowach skórzane czepki. Ciała chroniły również skórzane pancerze lub kolczugi. Nie zauważyli na nikim żelaznych blach zbroi. Wszyscy jeźdźcy uzbrojeni byli w miecze i tarcze. Mniej więcej połowa dzierżyła w rękach włócznie, a druga część oddziału była dodatkowo uzbrojona w tuki. Pancerzy nie przykrywały żadne kaftany, a na tarczach nie było znaków herbowych. Oddział zniknął im z oczu i uwaga Aruthy znowu skupiła się na wyglądzie miasta. Przejeżdżali właśnie przez most ponad fosą, który sprawiał wrażenie stałego.*

*Gdy przekraczali bramę, Arutha zauważył kątem oka chorągiew powiewającą na murze barbakanu. Chociaż nie mógł rozróżnić szczegółów znaku, a jedynie barwy – złoto i czerń – coś w wyglądzie sztandaru zaniepokoiło go. Brama zewnętrzna zaczęła się zamykać za nimi bez widocznego udziału ludzi.*

*– W murach musi być jakiś mechanizm, który porusza podwoje – powiedział Martin. Arutha obserwował w milczeniu. – Można stąd wysłać na wypad ze stu, a nawet stu pięćdziesięciu jeźdźców bez otwierania bramy wewnętrznej – ciągnął dalej Martin, podziwiając ogrom wewnętrznej części barbakanu. Arutha*

przypadła. Był to największy barbakan, jaki widział w życiu. Grubość murów była wprost nieprawdopodobna – około dziesięciu metrów. Podwoje bramy wewnętrznej rozsunęły się. Byli w Armengar.

Zabudowania dzielił od murów trzydziestometrowy pas pustej ziemi. Potem zaczynała się bardzo ciasna zabudowa składająca się z kamiennych domów oddzielonych od siebie wąziutkimi uliczkami. Ani śladu szerokich alei czy bulwarów, jak w Krondorze. Żaden z budynków nie zdradzał zewnętrznym wyglądem swego przeznaczenia. Podążając za eskortą, zauważyli, że przy wejściach do domów nie było prawie ludzi. Nawet jeśli prowadzono w nich jakąś działalność handlową ani Arutha, ani jego towarzysze nie potrafili odgadnąć jej natury. Wszyscy, których mieli w polu widzenia, mieli na sobie zbroje i nosili broń. Tylko raz udało im się dostrzec odstępstwo od tej reguły – kobieta w mocno zaawansowanej ciąży nie miała na sobie zbroi, ale także u jej pasa wisiał potężny sztylet. Uzbrojone były nawet dzieci powyżej siódmego czy ósmego roku życia.

Uliczki wiły się i zakręcały, łącząc się z przecznicami bez ładu i składu.

– To miasto zbudowano chyba bez żadnego planu – powiedział Locklear.

– Nie, nie masz racji. – Arutha pokręcił przecząco głową. – Wprost przeciwnie. Miasto zbudowano w oparciu o wspaniały plan o czytelnym i jasnym przeznaczeniu. Prawdą jest, że proste ulice lepiej służą kupcom, nie mówiąc już o tym, że łatwiej je budować, gdy teren jest płaski i dostępny. U nas kręte uliczki spotyka się tylko tam, gdzie trudno przebić proste. Na przykład w Rillanonie, który posadowiony został na skalistych wzgórzach, lub w okolicach pałacu w Krondorze. To miasto założono na płaskowyżu, a to oznacza, że ulice wiją się celowo. Martin, co o tym sądzisz?

– Co sądzą? Nawet gdyby wróg przedarł się już przez mury, to od tego miejsca aż po drugi kraniec miasta można organizować zasadzki i punkty oporu co dziesięć, piętnaście metrów. – Wskazał ku górze. – Zauważcie tylko, wszystkie budynki mają jednakową wysokość. Gwarantuję, że ich dachy są płaskie i łatwo dostępne z wnętrza. Idealne miejsce dla łuczników. Spójrzcie też na partery.

Jimmy i Locklear poszli za wskazówką Księcia i natychmiast zrozumieli, o czym mówił. Wszystkie domy na poziomie ulicy miały pojedyncze, okute żelaznymi sztabami drzwi i żadnych okien.

– To miasto zbudowano, mając na uwadze tylko jeden cel – obronę.

– Spostrzegawczy jesteś – powiedział Dwyne, obracając się ku nim na chwilę.

Mieszkańcy patrzyli przez chwilę na obcych i spokojnie wracali do swoich spraw.

Wyjechali z gąszczu budynków na plac targowy zastawiony straganami.

Kłębił się przy nich tłum sprzedających i kupujących.

– Patrzcie – powiedział Arutha, wskazując na główną twierdzę. Sprawiała wrażenie, jakby wyrastała z gigantycznej skały, do której przytulone było całe miasto. Twierdza wznosiła się przynajmniej na wysokość trzydziestu kondygnacji. Wokół niej wił się kolejny mur dziesięciometrowej wysokości, a u jego podstawy kolejna fosa.

– Muszą spodziewać się odwiedzin kiepskiego towarzystwa – mruknął

Jimmy.

– Ich sąsiedzi to rzeczywiście dosyć nieprzyjemne bractwo – potwierdził

Roald.

Kilku pilnujących ich wartowników, którzy znali język Królestwa, parsknęło głośnym śmiechem i pokiwało głowami.

– Gdybyśmy ich zaatakowali, błyskawicznie rozwaliliby budy i stragany, a my wjechałibyśmy na kolejny pas nagiej ziemi. Mieliby nas jak na patelni i mogliby wystrzelać jak kaczki. Zdobywanie tego miasta musi pociągać za sobą ogromne straty w ludziach – powiedział Arutha.

– I o to chodzi – rzucił przez ramię Dwyne. Wjechali na teren twierdzy.

Kazano im zsiąść z koni, a wierzchowce odprowadzono. Dwyne zaprowadził ich do lochu, który był czysty i obszerny. Zatrzymali się przed dużą zbiorową celą, oświetloną mosiężną latarnią. Kazał im wejść do środka.

– Tu zaczekacie. Jeżeli usłyszycie alarm, idźcie na centralny dziedziniec.

Powiedzą wam, co macie robić. Jeżeli nic nie będzie się działo, macie czekać, aż wezwie was Protektor. Za chwilę przyślę wam posiłek. – Odwrócił się na pięcie i zostawił ich.

Jimmy rozejrzał się.

– Nie zamknęli celi i nie zabrali broni. Dlaczego?

– A po co mieliby się tym przejmować? – powiedział Baru. Laurie rzucił się na stary koc leżący na kupie słomy.

– Przecież nigdzie nie możemy pójść. Nie możemy udawać mieszkańców, a więc nie możemy się też nigdzie ukryć. I jeżeli chodzi o mnie, nie mam zamiaru wyrąbywać sobie mieczem drogi ucieczki z twierdzy.

– Tak, masz rację. – Jimmy usiadł przy nim. – No to co robimy?

– Czekamy – powiedział Arutha, odpinając miecz.

Czekali bardzo długo, wiele godzin. Przyniesiono posiłek, który szybko zjedli.

Gdy skończyli, powrócił Dwyne.

– Nadchodzi Protektor. Podajcie mi swoje imiona i cel podróży.

*Wszystkie oczy skierowały się na Aruthę.*

*– Myślę, że nic nie zyskamy, ukrywając prawdę, a wiele, gdy będziemy całkowicie szczerzy. – Zwrócił się do Dwyne'a. – Nazywam się Arutha, jestem księciem Krondoru.*

*– Czy to twój tytuł? – zapytał Dwyne.*

*– Tak.*

*– Niewiele pamiętamy z Królestwa. W Armengar nie znamy takich określeń jak tytuły. Czy twój jest ważny? Roald nie wytrzymał.*

*– Człowieku, do cholery! – wybuchnął. – On jest bratem samego Króla, tak samo – księżę Martin. To drugi co do potęgi możnowładca w całym Królestwie.*

*Na Dwyynie informacja ta nie wywarła specjalnego wrażenia. Zebrał imiona pozostałych.*

*– Cel waszej podróży?*

*– Z odpowiedzią na to pytanie poczekamy chyba na przybycie Protektora – powiedział Arutha. Jego słowa wcale nie uraziły Dwyne'a, kiwnął głową i wyszedł.*

*Minęła kolejna godzina. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka wszedł Dwyne, a krok za nim mężczyzna o jasnych włosach. Arutha podniósł wzrok z nadzieją, że nowo przybyły może być Protektorem. Była to pierwsza postać w mieście nie przyodziana w brązowy pancerz. Zamiast tego mężczyzna nosił długą kolczugę narzuconą na czerwony, sięgający kolan kubrak. Miał odkrytą głowę, a kaptur z żelaznej siatki odrzucony był na plecy. Włosy były krótko przycięte, a twarz gładko wygolona. Jego twarz należała do tych, które większość ludzi uznałaby za otwartą i przyjazną, lecz gdy przyglądał się pojmanym, wokół oczu pojawiły się twarde rysy. Nic nie mówiąc, spoglądał przez krótką chwilę na każdego z nich.*

*Przeniósł wzrok na Martina i patrzył na niego beznamiętnym, nieruchomym wzrokiem. Następnie spojrzenie jego powędrowało ku Arucie. Ponad minutę wpatrywał się w niego pustym wzrokiem. Skinął w kierunku Dwyne'a i wyszedł z celi.*

*– Było w nim coś... – powiedział Martin i zawiesił głos.*

*– Co? – spytał Arutha.*

*– Nie wiem dlaczego, ale mógłbym przysiąc, że już go kiedyś spotkałem. Miał wtedy na piersi znak herbowy, chociaż nie widziałem dokładnie pod kolczugą.*

*Niedługo potem drzwi otworzyły się ponownie. Ktokolwiek znajdował się na zewnątrz, zatrzymał się w pewnej odległości i nie wchodził na razie do środka.*

*Widzieli jedynie zarys postaci. Po kilku sekundach rozległ się ogłuszający i dobrze im znany ryk śmiechu. Mężczyzna ruszył w stronę celi.*

*– Wszyscy święci! Toż to prawda – krzyknął, na okolonej siwiejącą brodą twarzy zagościł szeroki uśmiech.*

*Arutha, Martin i Jimmy siedzieli z szeroko otwartymi ustami, patrząc na niego z niedowierzaniem. Arutha uniósł się powoli, jakby nie ufając do końca swoim zmysłom. Stał bowiem przed nim ktoś, kogo nie spodziewał się tu ujrzeć, kiedy przekraczał próg celi. Jimmy zerwał się na równe nogi.*

*– Amos!*

*Amos Trask – były pirat i towarzysz broni Aruthy i Martina w czasie Wojny Światów – wszedł do celi. Arutha zniknął na chwilę w niedźwiedzim uścisku potężnie zbudowanego kapitana. To samo spotkało Martina i Jimmiego. Szybko przedstawiono go pozostałym.*

*– Jak tu się dostałeś? – spytał Arutha.*

– Ha! To długa i wspaniała opowieść, synu, ale nie na teraz. Protektor chciałby się z wami zobaczyć, a raczej źle znosi czekanie. Później wszystko sobie poopowiadamy. Teraz ty i Martin musicie pójść ze mną. Reszta ma tutaj poczekać.

Arutha i Martin poszli za nim długim korytarzem i schodami do góry na dziedziniec twierdzy. Amos szybkim krokiem wszedł do głównego gmachu i przyśpieszył jeszcze.

– Niewiele wam teraz mogę powiedzieć, jedynie, że musimy się pośpieszyć – rzucił przez ramię, gdy znaleźli się na dziwnej platformie w jakiejś wieży. Dał im znak, by stanęli blisko niego. Pociągnął za linę i platforma zaczęła unosić się w górę.

– Co to jest? – zaniepokoił się Martin.

– Platforma do podnoszenia, coś w rodzaju dźwigu budowlanego. Jest potrzebna do transportowania ciężkich pocisków do katapult rozmieszczonych na dachu. Poruszają ją konie chodzące w kieracie na dole. A przy okazji oszczędza pewnemu grubemu eks-kapitanowi mórz i oceanów konieczności latania wte i wewte schodami, dwadzieścia siedem kondygnacji w górę i w dół. Nie mam już takiej pary jak dawniej, chłopaki. – Spowaźniał. – Posłuchajcie uważnie. Wiem, że macie na końcu języka setki pytań, ale muszą trochę poczekać. Wszystko wam wyjaśnię po rozmowie z Jednookim.

– Protektorem? – spytał Arutha.

– Zgadza się. Hm... nie bardzo wiem, jak wam to powiedzieć, ale czeka was niewielki... szok. Proszę tylko o jedno – powstrzymajcie swoje reakcje, aż będziemy mogli spokojnie usiąść i pogadać. Martin, miej oko na brata. – Położył rękę na ramieniu Aruthy i nachylił się ku niemu. – Mój pomocniku ze statku, zapamiętaj sobie jedno: tutaj nie jesteś Księciem. Tu jesteś obcy, a dla tych ludzi oznacza to

*zazwyczaj jedno: padlinę, którą rzucają krukom. Obcy pojawiają się w Armengar niezwykle rzadko, a jeszcze rzadziej witani są z otwartymi ramionami.*

*Platforma zatrzymała się. Zeszli z niej i Amos pośpieszył długim korytarzem.*

*Wzdłuż lewej ściany ciągnął się rząd wysoko sklepionych okien, z których rozciągał się niczym nie zakłócony widok na miasto i równinę poza jego granicami. Martin i Arutha mogli zaledwie rzucić okiem – i tak widok wywarł na nich duże wrażenie.*

*Amos odwrócił się i przynaglił ich do szybszego marszu. Przed drzwiami czekał spotkany poprzednio w celi blondyn.*

*– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – spytał Amosa ochryłym szeptem.*

*– On chciał całego raportu od ciebie. – Amos wskazał kciukiem na drzwi. –*

*Znasz go. Wiesz, jaki może być. Żadnych spraw osobistych, dopóki nie dopnie się na ostatni guzik służbowych. Nie pokazuje tego po sobie, ale odczuł to bardzo boleśnie.*

*Blondyn kiwnął głową. Jego twarz przybrała ponury wyraz.*

*– Jeszcze nie mogę w to uwierzyć... Gwynnath nie żyje. To ciężki cios dla nas wszystkich. – Jasnowłosey był już bez kolczugi. Na kubraku na wysokości serca widniał niewielki czerwonozłoty herb. Zanim Arutha zdołał dostrzec szczegóły, odwrócił się, otworzył drzwi i wszedł do środka.*

*– Patrol Protektora dostał się w zasadzkę. Zginęło kilku ludzi. Jest w fatalnym nastroju, więc uważajcie na każde słowo. Chodźmy. Oberwie mi uszy, jeśli będzie musiał dłużej czekać – powiedział Amos. Pchnął drzwi i dał znak, by bracia weszli. Znaleźli się w sali narad. Głównym elementem pomieszczenia był ogromny, okrągły stół. Na wprost drzwi znajdował się ogromny kominek, od którego było ciepło i miły blask. Wszystkie ściany, z wyjątkiem lewej, którą zajmowały duże okna, pokrywały liczne mapy. Nad stołem wisiał wielki, okrągły świecznik, zapewniający*



*dodatkowe oświetlenie.*

*Przed kominkiem stał jasnowłosy. Rozmawiał z mężczyzną ubranym od stóp do głów na czarno. Nawet kolczuga, której nie zdążył jeszcze zdjąć, też była czarna.*

*Ubranie było pokryte kurzem, a na lewym oku czerniała wielka przepaska. Włosy miał już mocno przyprószone siwizną, lecz trzymał się prosto. Aruthę uderzyło przedziwne podobieństwo. Zerknął na Martina, który odpowiedział tym samym.*

*Jego też to uderzyło. Bardziej może zachowaniem i postawą niż czysto fizycznym podobieństwem mężczyzna przywodził im na pamięć ojca.*

*Gdy się przybliżył, Arutha mógł przyjrzeć się herbowi na kaftanie. Żłocisty orzeł rozkładał skrzydła na czarnym polu. Arutha zrozumiał teraz nie dające mu spokoju odczucie, gdy przez moment ujrzał chorągiew na blankach. Tylko jeden człowiek na świecie nosił ten herb. Niegdyś najzdolniejszy, najbardziej błyskotliwy generał Królestwa, ogłoszony przez Króla zdrajcą, ponieważ ponosił odpowiedzialność za śmierć ojca Anity. Najbardziej zajadły wróg ich własnego ojca. Teraz zwany przez mieszkańców Armengar Protektorem. Dał im znak, by usiedli.*

*Jego głos był głęboki i rozkazujący, chociaż ton łagodny.*

*– Nie usiądziecie... kuzyni? – zapytał Guy du Bas-Tyra.*

*Przez ułamek sekundy dłoń Aruthy zacisnęła się na rękojeści miecza.*

*Opanował się i usiadł. Martin poszedł w jego ślady. W głowie mu wirowało od setek natarczywych pytań.*

*– Jak...? – wydusił w końcu z siebie.*

*Guy przerwał mu gestem ręki i sam zajął miejsce za stołem.*

*– To bardzo długa historia. Zostawię ją Amosowi. Teraz mam na głowie inne troski. – Przez twarz przemknął mu dziwny, bolesny skurcz. Odwrócił się od nich. Po*

*chwili spojrzął znowu na braci i przez dłuższy moment wpatrywał się w Martina.*

*– Przypominasz trochę Borrika w młodości. Wiesz o tym? Martin skinął*

*głową. Guy zwrócił się teraz do Aruthy.*

*– Ty też, ale jesteś bardzo podobny do swojej matki. Kształt oczu... nawet jeśli*

*nie ich kolor. – Ostatnie słowa wypowiedział bardzo cichym, miękkim głosem.*

*Żołnierz wniósł kubki i piwo. Nastrój Guya zmienił się momentalnie. – Niestety nie*

*mamy wina w Armengar. Sztuka jego wytwarzania zaginęła całkowicie w tych*

*okolicach. Klimat nie sprzyja zakładaniu winnic. Robią za to mocne piwo, a ja*

*jestem spragniony. Jeśli chcecie, przyłączcie się do mnie. – Nalał sobie pełen kubek i*

*przesunął dzban z piwem w stronę Aruthy i Martina, aby się mogli obsłużyć. Sam*

*jednym haustem wysączył pienisty napój. Na chwilę z jego twarzy opadła maska.*

*– Bogowie, ależ jestem zmęczony – mruknął. Podniósł wzrok na braci. – No*

*dobra. Trzeba pogadać. Kiedy Armand zameldował, kogo Dwyne przyprowadził,*

*nie mogłem uwierzyć własnym uszom, ale teraz sam widzę, że mówił prawdę.*

*Arutha zerknął w stronę wysokiego blondyna stojącego przy kominku.*

*– Armand? – Przyglądał się herbowi jasnowłosego: ukośne pasy biegnące z*

*prawego pola na lewe; w górnej trzeciej jego części siedzący czerwony smok na*

*złotym polu, a w dolnej wzniesiona złota lwia łapa na czerwonym polu.*

*– Armand de Seigny! – powiedział Martin. Mężczyzna przy kominku skłonił*

*się lekko w jego kierunku.*

*– Baron Gyldenholt? Marszałek Zakonu Rycerzy Świętego Gunthera? –*

*dopytywał się Arutha.*

*– Ależ idiota ze mnie. – Martin zaklął pod nosem. – Byłem pewien, że już go*

*gdzieś widziałem. Był w pałacu w Rillanonie, zanim do nas dołączyłeś, Arutha. Ale*

*nie było go już w dniu koronacji, w dniu, w którym przybyłeś.*

*Blondyn uśmiechnął się lekko.*

*– Do usług Waszej Wysokości.*

*– Czyżby? Nie przypominam sobie. Nie było cię w gronie tych, którzy przysięgali na wierność Lyamowi.*

*Armand pokręcił głową. Na jego twarzy malował się wyraz żalu.*

*– To prawda.*

*– No tak. Ale to znowu część historii, jak się tutaj dostaliśmy – powiedział*

*Guy. – Teraz interesuje mnie tylko jedno: dlaczego wy tutaj jesteście i czy ten powód może stanowić zagrożenie dla mego miasta? Arutha, po co przybyliście na północ?*

*Arutha siedział spokojnie ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Spod przymrużonych powiek studiował twarz Guya. Niespodziewane odkrycie, że kontrolę nad miastem sprawuje Guy du Bas-Tyra, wytrąciło go z równowagi.*

*Wahał się, czy odpowiedzieć na pytanie. Znaczenie, jakie miało odnalezienie Murmandamusa, mogło w jakiś sposób pozostawać w sprzeczności w stosunku do tego, co Guy mógł uznawać za najlepsze dla siebie rozwiązanie. A poza tym Arutha podejrzliwie podchodził do wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z Guyem. Guy zupełnie otwarcie knuł spisek, którego celem było przechwycenie przez niego tronu. A przy okazji zepchnął kraj na krawędź wojny domowej. Z jego rozkazu zmarł też ojciec Anity. Guy du Bas-Tyra był dla Aruthy uosobieniem wszelkiego zła, wszystkiego, czemu nie należało ufać. Przekonanie takie wpoił mu jeszcze ojciec. Guy był klasycznym niemal przykładem możnowładcy ze wschodu: przebiegły, podstępny i doskonale wprowadzony w subtelne arkana intryg dworskich i zdrady. O Armandzie de Sevigny Arutha nie wiedział wiele. Tylko tyle, że należał do*

*najzdolniejszych władców na Wschodzie. Był jednak wasalem Guya i pozostał nim do końca. Amosa księżę lubił i w zasadzie ufał mu bez zastrzeżeń. Jednak Trask był przecież piratem i łamanie prawa nie powodowało u niego bezsennych nocy. Tak, istniało wiele powodów, aby zachować jak najdalej posuniętą ostrożność.*

*Martin czekał na odpowiedź brata, przyglądając mu się z uwagą. Arutha był nastawiony wojowniczo. Lecz był to jedynie pozór, coś, co widzieli wszyscy zebrani w sali, wszyscy z wyjątkiem Martina. Starszy brat doskonale zdawał sobie sprawę, że pod agresywną maską toczą się zażarte zmagania z nieoczekiwanym szokiem, jakiego doznali, i wre żądza, aby za wszelką cenę zapobiec próbom przeszkodzenia misji odnalezienia i zabicia Murmandamusa. Martin spojrzął po zebranych. Zauważył, że brak szybkiej odpowiedzi ze strony Aruthy zaniepokoił zarówno Amosa, jak i Armanda.*

*Gdy cisza się przedłużała, Guy walnął pięścią w stół.*

*– Arutha, nie igraj z moją cierpliwością! – Wycelował w Księcia wskazujący palec. – Nie zapominaj, że w tym mieście nie jesteś Księciem. W Armengar tylko jeden głos wydaje rozkazy i należy on do mnie! – Cofnął się gwałtownie na oparcie fotela. Twarz pod czarną opaską poczerwieniała. – Nie... nie chciałem być nieuprzejmy – dodał po chwili spokojniejszym głosem. – Inne sprawy nie dają mi spokoju. – W pokoju zapadła długa cisza. Guy siedział zatopiony we własnych myślach, wpatrzony w nich pustym wzrokiem. W końcu ocknął się. – Arutha, nie mam pojęcia, co tutaj robisz, lecz głowę dam sobie uciąć, że twoje plany podyktowane są dzikimi i nieodgadzionymi cechami twojej natury, chyba że nic się, cholera, nie nauczyłeś od swego ojca. Księżę Kronodoru z dwoma najpotężniejszymi księżętami Królestwa, Crydee i Saladoru, zapuszczają się na Ziemię Północy, mając*

*za towarzystwo najemnika, górala Hadati i dwóch wyrostków? Albo ci zupełnie odbiło, albo jesteś dla mnie o wiele za sprytny. Innego rozwiązania nie widzę.*

*Arutha uparcie milczał.*

*– Guy, odkąd ostatni raz byłeś w Królestwie, zaszły tam wielkie zmiany – odezwał się Martin. Guy znowu zamilkł na chwilę.*

*– Domyślam się, że kryje się za tym historia, którą powinienem poznać. Nie mogę obiecać wam pomocy, ale sądzę, że nasze cele mogą okazać się zbieżne. Amos, znajdź im lepsze kwatery i daj jeść. – Spojrzał na Aruthę. – Daję ci czas do jutra rana. Kiedy spotkamy się ponownie, nie wystawiaj na próbę mej cierpliwości.*

*Muszę wiedzieć, co was tu sprowadza. To najważniejsze. Jeśli zdecydujesz się mówić, znajdź mnie. – Głos zaczął mu drżeć z emocji. – Spędzę tutaj większość nocy.*

*Machnął ręką, dając znak Amosowi, by ich wyprowadził. Arutha i Martin poszli posłusznie za żeglarzem. Gdy drzwi się zamknęły, Amos zatrzymał się. Przez długą chwilę wpatrywał się w obu braci.*

*– Jesteście całkiem rozgarniętymi chłopakami, a zrobiliście wszystko, żeby wyjść na idiotów.*

*Amos otarł usta wierzchem dłoni. Odbiło mu się głośno, po czym wsadził w usta kolejny kawał chleba z serem.*

*– A potem co było?*

*– Potem wróciliśmy – odpowiedział Martin. – W niecałą godzinę Arutha ślubował Anicie, a wkrótce potem odbył się ślub Carline i Lauriego.*

*– Ha! Pamiętasz pierwszą noc na pokładzie Rączego Konia po wypłynięciu z Krondoru? Powiedziałeś mi wtedy, że twój brat to ryba na haczyku – bez żadnych szans.*

*Arutha, słysząc tę uwagę, uśmiechnął się. Siedzieli wokół stołu, na którym stał przepastny kosz z jedzeniem i bukłak piwa. Pokój, który im przydzielono, był obszerny. Służby nie było. Jedzenie przynieśli żołnierze, a obsługiwali się sami. Blutark przeżuwał kawał wołowiny, a Baru drapał go za uchem. Nikomu nie przeszkadzało, że pies ani na chwilę nie odstępował górala.*

*– Amos – powiedział Arutha – gawędzimy sobie jak gdyby nigdy nic od ponad pół godziny. Czy wyduścisz w końcu z siebie, o co tu chodzi? Jak u licha dostałeś się w takie miejsce?*

*– Co się dzieje? – Amos popatrzył na zebranych. – Ano jesteście więźniami, to znaczy tak jakby. I tak pozostanie, dopóki Jednooki czegoś nie zmieni. Nie ukrywam, że naoglądałem się różnych cel od wewnątrz, ale ta jest najlepsza, jaką zdarzyło mi się widzieć. – Szerokim gestem ręki ogarnął ogromny pokój.*

*– Gdybyście mieli ochotę posiedzieć trochę w więzieniu, to tutaj byłoby całkiem znośnie. Dużo miejsca, wygodnie, słowem dobry wybór. – Przymrużył oczy.*

*– Ale nie zapominaj chłopcze, że to nadal więzienie. Arutha, posłuchaj mnie uważnie. Spędziłem z tobą i Martinem wystarczająco wiele lat, aby wiedzieć o was to i owo. Nie pamiętam, żebyście należeli do podejrzliwych, a więc w ciągu tych dwóch lat, jak zakładam, musiało zajść coś, co sprawiło, że zrefowaliście żagle, że tak się wyrażę. Ale tutaj jest inaczej. Tu wszystko oparte jest na pełnym zaufaniu: życie, oddychanie, jedzenie, wszystko. W przeciwnym razie gryziesz piach.*

*Rozumiecie?*

*– Nie, nie rozumiem – odpowiedział Arutha. – O czym mówisz?*

*Amos zastanawiał się w milczeniu.*

*– W tym mieście mieszkają ludzie otoczeni przez samych wrogów. Całkowite*

*zaufanie bliźniemu jest sposobem na życie, jedynym sposobem, jeśli chcesz to życie zachować. – Zamyślił się. – Chyba będzie najlepiej, jeżeli opowiem, jak się tutaj znaleźliśmy. Może wtedy będzie wam łatwiej zrozumieć.*

*Amos rozsiadł się wygodniej, nappełnił kubek piwem i rozpoczął swoją opowieść.*

*– Hm, ostatni raz widziałem was z pokładu statku waszego brata, gdy wypływałem z portu. – Martin i Arutha uśmiechnęli się na wspomnienie o tamtym wydarzeniu. – Jak pewnie pamiętacie, wszyscy szukali po całym mieście Guya. Nie znaleźliście go, ponieważ ukrywał się w miejscu, gdzie nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć.*

*Martin otworzył szeroko oczy. Była to jedna z nielicznych, niekontrolowanych reakcji, którą zebrani zauważyli u niego.*

*– Na okręcie Króla!*

*– Gdy doszły do niego wieści, że król Rodne mianował Lyama następcą tronu, Guy uciekł z Krondoru do Rillanonu. Liczył, że w czasie posiedzenia Kongresu, mającego ratyfikować sukcesję, uda mu się uratować chociaż część planów. Gdy Lyam dotarł do Rillanonu, zjechało do miasta wystarczająco wielu panów ze wschodu, by prawidłowo ocenić układ sił. Guy nie miał wątpliwości, że Lyam zostanie królem – tak było, zanim ktokolwiek dowiedział się o twoim istnieniu, Martin. Guy się poddał i szykował już do procesu o zdradę. Tymczasem rankiem w dniu głosowania i koronacji rozeszła się nagle wieść o uznaniu Martina za prawowitego syna, a przez to i dziedzica tronu. Guy postanowił poczekać, aby zobaczyć, co się wydarzy po południu.*

*– Raczej, aby wykorzystać nadarzającą się okazję – powiedział Arutha.*

– Nie bądź taki pochopny w sądach – wypalił Amos. Po chwili kontynuował spokojniejszym głosem. – Bardzo się niepokoił możliwością wybuchu wojny domowej. Lecz gdyby nastąpiła, był gotów do walki. Czekał na rozwój wydarzeń, dobrze zdawał sobie sprawę, że ludzie Caldrica wędrują po całym mieście, szukając go. Uciekał cały czas. Kilka razy niewiele brakowało, a wpadłby w ich ręce. Ciągle jeszcze miał przyjaciół w stolicy. Kilku z nich pomogło przeschmuglować jego i Armanda na pokład Królewskiej Jaskółki – bogowie, ależ to był piękny statek – mniej więcej wtedy, gdy kapłani Ishop przybyli do pałacu, by rozpocząć uroczystości. No i kiedy ja... prawda... pożyczyłem sobie statek, odkryliśmy, że mamy na pokładzie pasażerów na gapę.

Początkowo byłem gotów wyrzucić Guya i Armanda za burtę. Albo zawrócić do portu i cisnąć ich pod twoje stopy związanych jak wieprzki, ale Guy to niezłe ziółko i potrafi być przekonujący na swój sposób. Zgodziłem się zawieźć go do Bas-Tyra w zamian za sute wynagrodzenie.

– Aby mógł nadal knuć przeciwko Lyamowi? – spytał Arutha z niedowierzaniem w głosie.

– Do diabła, chłopcze! – ryknął Amos. – Spuściłem was z oczu na zasmarkane dwa lata, a już naskakujesz na mnie jak jakiś przygłup. – Rzucił spojrzenie w stronę Martina. – To pewnie przez towarzystwo, w jakim się obracasz.

– Pozwól mu skończyć – powiedział Martin do brata.

– Nie, to nie był spisek ani zdrada. Chciał tylko uporządkować swoje sprawy.

Uznał, że Lyam zażąda jego głowy, a więc chciał to i owo zapiąć na ostatni guzik.

Potem miałem go zawieźć do Rillanonu, aby sam mógł się oddać w ręce Króla.

Arutha podniósł głowę i spojrzał na niego ze zdumieniem. – Jedyne, co chciał



*naprawdę uzyskać, to ulaskawienie dla Armanda i pozostałych, którzy poszli za nim. Tak czy siak, dotarliśmy do Bas-Tyra, gdzie zabawiliśmy przez kilka dni. I wtedy nadeszły wieści o skazaniu Guya na banicję. A my w tym czasie zdążyliśmy się już trochę zaprzyjaźnić. Pogadaliśmy i dobiliśmy kolejnego targu. Chciał opuścić granice Królestwa, aby znaleźć sobie miejsce do życia. To wspaniały dowódca. Było wielu, którzy oferowali mu służbę, szczególnie Kesh. Wolał zaszyć się w jakiejś zapadłej dziurze, aby już nigdy nie być zmuszonym do walki przeciwko żołnierzom Królestwa. Wymyśliliśmy sobie, że najlepiej będzie udać się na wschód, a potem skręcić na południe, by dotrzeć do Konfederacji Kesh. Mogliśmy tam nie tylko zyskać sławę. Miał zamiar zostać generałem. A ja sobie wymyśliłem, że byłbym niezgorszym admirałem. A co, może nie? Potem nastąpiła niewielka różnica zdań między Guyem a Armandem. Guy chciał odesłać go do domu, do Gyldenholt, ale Armand to taki śmieszny typ. Dawno temu przysięgał służyć wiernie Guyowi, a ponieważ nie składał przysięgi lennej Lyamowi, nadal obowiązywało go stare przyrzeczenie. Bogowie, jak żyję nie widziałem takiej kłótni! Skończyło się na tym, że nadal jest z nami. Postawiliśmy żagle i ruszyliśmy w stronę Konfederacji.*

*Niestety, gdy byliśmy o trzy dni drogi od Bas-Tyra, wskoczyła nam na ogon piracka flota z Ceres. Z chęcią wziąłbym na siebie potyczkę z dwoma, no, nawet z trzema sukinsynami, ale z pięcioma? Jaskółka to chyba łajba, ale piraci trzymali się dzielnie tuż za nami. Przez cztery kolejne dni niebo było bezchmurne, widoczność stuprocentowa a wiatry umiarkowane. Jak na piratów z Morza Królewskiego to były niezwykle przebiegłe dranie. Rozstawili się wachlarzem za mną tak, że nie mogłem ich zgubić nocą. Każdej nocy kręciłem się tu i tam, potem kolejny nawrót i każdego ranka na horyzoncie widziałem pięć cholernych żagli. Przyczepili się do nas*

*jak minogi. Nijak nie mogłem ich zgubić. Aż w końcu wpadliśmy w fatalną pogodę. Z zachodu nadciągnął wściekły i potężny szkwał. Przez półtora dnia gnał nas przed sobą na wschód. Stopniowo wiatr nieco zelżał, lecz nadal wiało ostro, sztormowe. Niosło nas na północ wzdłuż wybrzeża, którego nie ma na żadnych mapach. Jediną korzyścią ze sztormu było to, że udało się w końcu zgubić piratów. Zanim znaleźliśmy w miarę bezpieczną przystań, byliśmy już na wodach, których nie tylko nie widziałem na oczy, ale o których nawet nie słyszałem.*

*Rzuciliśmy kotwicę. Trzeba było zorientować się, co i jak ze statkiem. Okazało się, że był trochę uszkodzony. Nie na tyle, by groziło to pójściem na dno, ale wystarczająco, by uczynić dalszą żeglugę mocno ryzykowną. Poprowadziłem okręt w górę potężnej rzeki. Musiało to być gdzieś na wschód od terytorium właściwego Królestwa.*

*Drugiej nocy, gdy staliśmy sobie spokojnie na kotwicy, na pokładzie nagle zakłębiło się od wściekłych goblinów. Były ich dziesiątki, setki. Zabili strażę, a resztę załogi pojмали w niewolę. Sukinsyny podłożyły ogień na statku i Królewska Jaskółka spłonęła doszczętnie, aż do linii wody. Potem pognali nas przez las do obozu, gdzie czekali Mroczni Bracia. Przejęli nas od goblinów i pomaszerowaliśmy na północ. Chłopacy, którzy zaciągnęli się na mój statek, to były twarde i odporne na trudy draby, ale i tak większość z nich zginęła w czasie marszu. Przeklęte gobliny! Nic ich nie obchodziło. Nie dostawaliśmy prawie nic do jedzenia. Gdy ktoś zachorował czy osłabł tak, że nie mógł iść, zabijali go na miejscu. Dostałem biegunki. Guy i Armand przez dwa dni nieśli mnie prawie. Wierzcie mi, dla żadnego z nas nie było to przyjemne.*

*Kierowaliśmy się na północny zachód, zagłębiając się coraz bardziej w góry.*

*Przekroczyliśmy linię szczytów i znaleźliśmy się na północnych stokach. Mieliśmy szczęście, że było późne lato, w przeciwnym razie zamarzlibyśmy na śmierć. I tak niewiele brakowało. Napotkaliśmy inny oddział Mrocznych Braci konwojujący grupę jeńców. Większość z nich mówiła dziwnym językiem, bardzo przypominającym narzecze Yabonu. Znalazło się jednak kilku, którzy jako tako posługiwali się językiem Królestwa albo mówili językami wschodnich monarchii. Jeszcze dwukrotnie spotkaliśmy jenieckie konwoje pilnowane przez Braci.*

*Wszyscy szli na zachód. Straciłem poczucie czasu, lecz musieliśmy być w drodze od ponad dwóch miesięcy. Kiedy stanęliśmy na granicy równin – teraz wiem, że była to Równina Isbandii – zaczęły się już śniegi. Oczywiście wiem teraz, dokąd zmierzaliśmy, wówczas była to jednak wędrówka w nieznanie.*

*Murmandamus gromadził niewolników w Sar-Sargoth. Potrzebował ich do ciągnięcia machin oblężniczych.*

*Pewnej nocy nasza kolumna została zaatakowana przez oddział tutejszej konnicy. Z około dwustu niewolników przeżyło zaledwie dwudziestu. W chwili ataku na obóz gobliny i Mroczni Bracia zaczęli wyrzynać jeńców. Niewiele brakowało, a jeden z nich przedziurawiłby mnie mieczem, ale Guy zadusił go swymi łańcuchami. Złapałem miecz i zadźgałem następnego tuż po tym, jak wybił oko Guyowi. Armand został ranny, lecz przeżył. To twardy drań. Z Jaskółki przetrwało tylko nas trzech i jeszcze dwóch marynarzy. W końcu przyprowadzono nas tutaj.*

*– Niesamowita historia – powiedział Arutha. Oparł się o ścianę. – No, ale przecież żyjemy w przedziwnych czasach.*

*– Jak doszło do tego, że obcy przejął tu władzę? – spytał Martin.*

*– To dziwny ludek, Martin. – Amos pociągnął tęgi łyk piwa. – Na swój sposób*

uczciwy i wspaniały, jak inni. Z drugiej strony są zupełnie obcy, jak Tsurani. Nie istnieje tu żadna dziedziczna władza czy nawet stanowiska. Niezwykłą wagę przywiązuje się tu tylko do faktycznych umiejętności i zdolności. W ciągu zaledwie kilku miesięcy stało się oczywiste, że Guy to dowódca pierwszej klasy. Z początku oddali pod jego rozkazy kompanię żołnierzy. Armand i ja weszliśmy w jej skład. Po kilku kolejnych miesiącach stało jasne jak słońce, że Guy był zdecydowanie najlepszym dowódcą, jakiego mieli dotychczas. Nie odbywają się żadne Kongresy Panów ani nic takiego, Arutha. Gdy trzeba o czymś zdecydować wspólnie, zwołują wszystkich na plac targowy. Takie zebranie wszystkich mieszkańców nazywa się tu Rada Ludu. No i głosują. W innych, mniej istotnych przypadkach, decyzje podejmują przedstawiciele wybrani przez Radę Ludu. Pewnego dnia wezwali Guya i po prostu poinformowali go, że został właśnie wybrany nowym Protektorem Armengar. Odpowiada to naszej funkcji Królewskiego Marszałka. Ma jednak więcej obowiązków, ponieważ Protektor jest także odpowiedzialny za bezpieczeństwo miasta. Jest szefem sił straży miejskiej, zarządcą, sędzią i szeryfem w jednej osobie.

– A co na to poprzedni Protektor? – spytał Arutha.

– Musiała uważać to za dobry pomysł, skoro sama go zaproponowała.

– Ona? – spytał zdziwiony Jimmy.

– Hm, to kolejna dziwna cecha tego miasta, do której trzeba się przyzwycząić, chociaż może to zabrać trochę czasu. Kobiety. Są jak mężczyźni. To znaczy, gdy idzie o wydawanie czy przyjmowanie rozkazów, głosowanie w Radzie Ludu i inne sprawy. Sami zresztą zobaczycie. – Amos popadł w zadumę. – Miała na imię Gwynnath. Była jedną z najwspanialszych kobiet, jakie spotkałem. Nie wstydzę się przyznać, że sam też się trochę w niej podkochiwałem, chociaż – w jego głosie

*zabrzmiała weselsza nuta – nigdy się chyba nie ustakuję. Gdyby miało to kiedyś nastąpić, ona byłaby w sam raz. – Wpatrzył się w powierzchnię piwa w kubku. – Ale ona i Guy... wiem trochę o nim. W ciągu tych dwóch lat powolutku, kroczek po kroczeniu poznawałem go coraz lepiej, Arutha. Nie mogę zawieść jego zaufania. Jeżeli sam się tym z wami podzieli, w porządku. Wystarczy powiedzieć, że pod koniec żyli ze sobą jak mąż i żona. Wielka miłość. To ona właśnie ustąpiła ze stanowiska Protektora, oddając je Guyowi. Była gotowa oddać za niego życie. A on za nią. Jeździła zawsze u jego boku i walczyła jak lwica. – Jego głos złagodniał nagle. – Umarła wczoraj.*

*Arutha i Martin spojrzeli po pozostałych. Baru i Roald milczeli. Laurie pomyślał o Carline. Przeszedł go dreszcz. Nawet obaj chłopcy odczuli głębokie cierpienie Amosa. Arutha przypomniał sobie, co Amos powiedział do Armanda tuż przed ich spotkaniem z Guyem. – A Guy wini siebie za jej śmierć?*

*– Tak. Jednooki jest jak każdy dobry dowódca: doszło do tego pod jego dowództwem, on więc ponosi odpowiedzialność.*

*– Znowu popadł w chwilową zadumę. – Gobliny i mieszkańcy Armengar przez długi czas utrzymywali dość prosty i stabilny układ. Zrobić szybki wypad, rozwalić parę łbów i z powrotem. Armengarianie przypominają w wielu przypadkach Tsuranich. Zjadli, ale niezbyt dobrze zorganizowani wojownicy. Jednak gdy na scenie pojawił się Murmandamus, Mroczni Bracia ulegli całkowitej metamorfozie. Organizacja taka, że mucha nie siada. Nawet na najniższych szczeblach w kompaniach. Teraz pod jednym dowódcą może służyć nawet dwa, trzy tysiące żołnierzy. Gdy przybyliśmy tutaj. Bractwo regularnie katowało oddziały z miasta. Guy, który znał się doskonale na współczesnych zasadach prowadzenia*

*działań wojennych, okazał się dla Armengar prawdziwym błogosławieństwem.*

*Wyszkolił ich jak się patrzy i mają teraz genialną jazdę i całkiem niezłe oddziały piechoty na koniach, mimo że zmuszenie mieszkańców do zejścia z grzbietu końskiego było ciężkim zadaniem. No, ale Guy uczy ich bez chwili wytchnienia i widać postępy. Powróciła jaka taka równowaga, od dłuższego czasu nie oddali Bractwu ani piędzi ziemi. Ale wczoraj... – na długą chwilę w pokoju zapadła całkowita cisza.*

*– Amos, musimy przedyskutować pewne bardzo ważne kwestie – powiedział Martin. – Domyślasz się, że nie byłoby nas tutaj, gdyby w Królestwie nie miały miejsca bardzo istotne wydarzenia. Wydarzenia o dalekosiężnych i wielce poważnych skutkach.*

*– Zostawię was zatem samych na pewien czas. Byliście wspaniałymi towarzyszami i do bitki, i do wypitki. Wiem, że jesteście ludźmi honoru. – Podniósł się z krzesła. – Jeszcze jedno muszę powiedzieć, zanim was zostawię. Protektor jest najpotężniejszą osobą w mieście, ale nawet jego uprawnienia są ograniczone do spraw szeroko pojętego bezpieczeństwa grodu. Gdyby oznajmił, że ma z tobą, Arutha, stare porachunki do wyrównania, nikt się nie będzie wtrącał. Nawet jeżeli stoczycie pojedynek, jak mężczyzna z mężczyzną. Jeśli wygrasz, odzyskasz wolność i będziesz mógł robić, co zechcesz. Nikt w mieście nie podniesie na ciebie ręki. Jeśli natomiast szepnąłby choćby słówko, że jesteście szpiegami, będziecie martwi, zanim zdążycie się obrócić. Arutha i Martin, doskonale wiem i pamiętam, że ze względu na ojca i Erlanda Guya i was dzieli przelana krew. Poznałem też trochę kulisy całej sprawy. Jej wyjaśnienie i rozstrzygnięcie zostawiam w rękach Guya, gdy przyjdzie na to czas. Teraz jednak musicie wiedzieć, jak to się je. Jesteście wolni i możecie*

*robić, co chcecie, pod warunkiem, że nie złamiecie prawa. Lub póki Guy nie każe was wyrzucić, powiesić czy zrobić z wami cokolwiek innego. Ale to on bierze na siebie odpowiedzialność za was wszystkich, za wasze właściwe postępowanie. Powtarzam, dotyczy to was wszystkich. Jeśli zdradzicie miasto, jego życie zawisnie na włosku, tak jak i wasze. Jak już wspominałem na początku, ludzie tutejsi są dość dziwni, zupełnie inni. Ich sposób życia może być uważany za brutalny i bezwzględny. Chciałbym bardzo, aby to, co zaraz powiem, zapadło głęboko w wasze serca i umysły: gdy zawiedziecie zaufanie Guya, nawet jeśli będziecie uważać, że czynicie to wyłącznie dla dobra Królestwa, ludzie ci zabiją was bez chwili wahania. A ja... a ja nie jestem pewien, czy będę próbował ich powstrzymać.*

*– Amos, dobrze wiesz, że nie zawiedziemy zaufania – powiedział Martin.*

*– Wiem. Wiem, ale chciałem, abyście sobie zdawali sprawę jakie to wszystko jest dla mnie ważne. Bardzo was cenię i lubię, chłopaki. Widok waszych podejrziętych gardel sprawiłby mi chyba tyle samo bólu, co i wam.*

*Odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Arutha usiadł wygodniej i zaczął zastanawiać się nad tym, co usłyszeli od Amosa. Zdał sobie nagle sprawę, że jest śmiertelnie zmęczony. Spojrzał na brata. Martin pokiwał głową. Dalsze słowa były zbędne. Arutha wiedział już, że rano opowie Guyowi całą historię.*

*Wjeżdżali na górę. Platforma wznosiła się powoli, aż zatrzymała się na kondygnacji, na której znajdowała się sala obrad. Długo czekali na wezwanie Guya. Był już późny ranek, prawie południe. Minęli krótki odcinek korytarza i zatrzymali się. Wartownik, który przyszedł po nich, czekał spokojnie, a oni podziwiali wspaniały widok za oknem. Armengar rozciągało się poza fosę okalającą fortecę, następnie otwartą przestrzeń placu targowego i jeszcze dalej, aż do potężnych*

*murów. Poza nimi, ku pomocnemu wschodowi majaczyła w delikatnej mgielce bezkresna równina. Po obu stronach wzbijały się ponad miastem niebotyczne szczyty gór. Po ciemnym błękitnie nieba pędziły białe obłoki, barwiąc bursztynowym blaskiem niknące na horyzoncie zielone morze traw. Widok zapierał dech w piersiach. Jimmy odwrócił głowę i dostrzegł na twarzy Lockleara dziwny wyraz.*

*– O co chodzi?*

*– Ech, nic takiego. Tak sobie tylko myślałem o tej całej ziemi – odpowiedział przyjaciel, wskazując ręką ku równinie.*

*– Co sobie myślałeś? – dopytywał się Arutha.*

*– Można by tu wiele zasadzić i posiać. Wzrok Martina wędrował leniwie po horyzoncie.*

*– Wystarczyłoby pszenicy, by wykarmić całe Zachodnie Królestwo – powiedział cicho.*

*– A ty kto, rolnik? – spytał Jimmy.*

*– A ty myślisz – Locklear wyszczerzył zęby w uśmiechu – że baron w takim miejscu jak Kraniec Ziemi to co robi? Głównie rozstrzyga chłopskie spory. Albo ustanawia podatki od zbiorów. Nie ma wyjścia, trzeba się znać na takich zagadnieniach.*

*– Chodźcie, Protektor czeka – powiedział wartownik. Arutha i jego towarzysze weszli do sali. Guy podniósł na nich wzrok. Towarzyszyli mu Amos, Dwyne, Armand de Sevigny i nieznajoma kobieta. Arutha zerknął zdumiony na Martina, który stanął nagle jak wryty. Księżę Crydee wpatrywał się w kobietę, nie kryjąc swego podziwu. Arutha dotknął jego ramienia i chrząknął delikatnie. Martin posłusznie ruszył za nim. Arutha jeszcze raz zerknął ku kobiecie. Musiał przyznać, że*



*podziw i spontaniczna reakcja Martina były jak najbardziej uzasadnione. Na pierwszy rzut oka wydawała się ładna, lecz dość pospolita. Gdy jednak poruszyła się, jej gracia i klasa nadawały jej urodzie zupełnie inny wymiar. Była zdumiewająca, wspaniała. Jak niemal wszyscy w mieście, miała na sobie skórzaną zbroję, brązową bluzę i spodnie. Niezgrabny, obszerny strój nie zdołał skryć faktu, że była wspaniale zbudowana. Nosiła się prosto, nieledwie po królewsku.*

*Ciemnobrązowe włosy związała z tyłu zwiniętym, zielonym szalem. Na wysokości lewej skroni jaśniało przedziwne siwe pasmo. Oczy miała błękitne. Ich zaczerwienione obwódki mówiły wyraźnie, że niedawno płakała.*

*Guy poprosił, aby Arutha i jego towarzysze usiedli. Księżę przedstawił wszystkich.*

*– Znacie już Amosa i Armanda – powiedział Guy. – A to jest Briana – wskazał na kobietę – jeden z moich dowódców.*

*Arutha skinął głową. Zauważył przy okazji, że kobieta doszła już do siebie i kilka razy zerknęła ukradkiem w stronę Martina. Krótko i zwięźle Arutha opowiedział całą historię. Zaczął od powrotu z długiego objazdu Wschodu z Lyamem, potem mówił o pierwszym ataku Nocnych Jastrzębi, odkryciach w opactwie w Sarth i wyprawie po Srebrzysty Cierń, na koniec zaś o sfingowanej śmierci księcia Krondoru.*

*– Kończąc opowieść, mogę jedynie dodać, że przybyliśmy tutaj, aby zabić Murmandamusa.*

*Słyszając to, Guy pokręcił głową z niedowierzaniem.*

*– Kuzynie, śmiały to plan, ale... – spojrzał na Armanda. – Ilu to już chciało wkraść się do jego obozu?*

– Sześciu?

– Siedmiu – poprawiła Briana.

– Ale nie byli to ludzie z Królestwa, prawda? – zapytał Jimmy, wyjmując jednocześnie hebanowy talizman Nocnych Jastrzębi. – I nie nosili takiego talizmanu, czy tak?

Guy spojrział na Jimmiego poirytowany.

– Armand?

Były baron Gyldenholt otworzył szufladę i wyjął skórzany woreczek.

Rozwiązał rzemyki i wysypał na stół pięć czy sześć czarnych figurek jastrzębi.

– Próbowaliśmy i tego, paniczu. Poza tym kilku z nich było z terenów Królestwa. Zawsze mamy tu parę osób z Królestwa pomiędzy odbitymi z obozów niewolników Bractwa. Nie, nic z tego nie wyjdzie. Brak jakiegoś elementu. Nie wiemy jakiego. Od razu orientują się, kto jest ich prawdziwym wojownikiem, a kto naszym szpiegiem.

– Pewnie magia? – zasugerował Arutha.

– To problem, z którym już poprzednio mieliśmy styczność – powiedział Guy.

– W mieście nie ma magów czy kapłanów, którzy potrafiliby rzucić czar lub zaklęcie. Prawdopodobnie nieustanna wojna, podczas której od wszystkich oczekuje się czynnego uczestnictwa w walkach, nie pozwala na wewnętrzny spokój, konieczny dla tego rodzaju studiów. Albo po prostu wszyscy nauczyciele zostali wyrznięci w pień. Bez względu na przyczynę tego stanu rzeczy, w kilku przypadkach, gdy sam Murmandamus albo ten jego wąż wzięli sprawę w swoje ręce, zapłaciliśmy bardzo wysoką cenę. – Po chwili dodał z namysłem. – Chociaż, bogom niech będą dzięki, wydaje się, że z niezrozumiałych powodów niechętnie

*używa swej magicznej mocy przeciwko nam.*

*– Kuzynie, ty i ja mamy wspólny interes. – Guy wyprostował się. – Aby cię trochę wprowadzić, pozwól, że powiem kilka słów o mieście. Jak wiesz, przodkowie jego mieszkańców przeszli na drugą stronę gór, gdy Królestwo zaanektowało Yabon. Odkryli bogate i urodzajne ziemie, niestety już zamieszkałe. Zostali przyjęci przez miejscowych z niechęcią. Briana, kto wznosił miasto?*

*W komnacie rozległ się miękki kontralt.*

*– Legenda głosi, że bogowie polecili rasie gigantów, aby zbudowali w tym miejscu miasto, lecz później porzucili je. Znaleźliśmy je opuszczone i objęliśmy w posiadanie.*

*– Nikt nie wie, kto tutaj mieszkał – ciągnął dalej Guy. – Daleko na północ stąd jest drugie miasto, Sar-Sargoth. Jest bliźniacze z naszym. Murmandamus założył tam swoją stolicę.*

*– Zatem jeżeli mamy go szukać, tam go odnajdziemy? – spytał Arutha.*

*– Szukajcie go, szukajcie, a on już dopilnuje, aby wasze głowy sterczały na pikach – prychnął pogardliwie Amos. Guy przytaknął kiwnięciem głowy.*

*– Trzeba nam czegoś innego, Arutha. W zeszłym roku udało mu się zaciągnąć w szeregi swojej armii ponad dwadzieścia tysięcy chłopów. Tyle liczą wszystkie armie Wschodu w czasach pokoju. Przygotowaliśmy się do zmasowanego ataku, tymczasem nic się nie wydarzyło. Podejrzewam teraz, że twój przyjaciel – wskazał na Baru – zabijając najlepszego generała Murmandamusa, zmusił go do porzucenia planów inwazji. Lecz w tym roku powrócił i jest jeszcze potężniejszy. Oceniamy, że jego wojska mogą liczyć nawet około dwudziestu pięciu tysięcy goblinów i Mrocznych Braci. Każdego dnia przybywa ich więcej. Myślę, że gdy wreszcie*

wyruszy, będzie miał pod swoją komendą ponad trzydzieści tysięcy wojowników.

– Dlaczego jeszcze nie ruszył? – Arutha spojrział na Guya ze zdziwieniem.

Guy rozłożył ręce, jakby sam oczekiwał odpowiedzi na to pytanie.

– Czekasz na moją śmierć, pamiętasz, panie? – przypomniał Jimmy. –

Przykłada dużą wagę do religii.

– Wieść o mnie dotarła już do niego. Przecież to właśnie powiedział temu odszczepieńcowi Morganowi Crowe'owi.

– O czym mówisz? – Guy przymrużył oko. Arutha opowiedział pokrótce o najemniku spotkanym w gospodzie na drodze do Tyr-Sog i o planach wynajęcia oddziałów inżynierskich Segersena.

– Ha! To już wiemy wszystko. Na to czekał właśnie – krzyknął Guy, uderzając dłońmi w stół. – Dysponuje wprawdzie magią, ale z jakichś względów nie chce jej użyć przeciwko nam. Bez ludzi Segersena nie uda mu się rozwalić naszych murów. –

Arutha obrzucił go niepewnym wzrokiem. – Gdyby sam potrafił zburzyć umocnienia Armengar, nie starałby się przecież wynajmować oddziału Segersena.

Nikt nie wie, kto wznosił te mury, ale ktokolwiek to był, posiadał umiejętności, o jakich nie śniło się najlepszym fachowcom, których poznałem. Widziałem różne fortyfikacje, lecz nigdy czegoś podobnego do Armengar. Być może inżynierom Segersena nie udałoby się zburzyć murów, ale prawdopodobnie tylko oni mieliby chociaż cień szansy, aby to uczynić.

– Skoro więc Segersen nie przyjdzie, twoje szanse obrony rosną.

– Tak, ale nie wolno tracić z pola widzenia wielu innych spraw. – Guy wstał.

– Mamy jeszcze sporo do omówienia, Arutha. Będziemy kontynuowali rozmowę trochę później. Teraz mam posiedzenie rady miejskiej. Jesteście wolni. Możecie się

*poruszać swobodnie po całym Armengar. – Odciągnął Aruthę na bok. – Muszę*

*porozmawiać z tobą w cztery oczy. Dziś wieczorem, po kolacji.*

*Spotkanie dobiegło końca. Guy, Armand i Briana wyszli. Dwyne i Amos*

*zostali jeszcze. Martin patrzył w ślad za kobietą. Amos podszedł do braci.*

*– Amos, kto to jest? – spytał Martin.*

*– Jeden z lepszych dowódców w mieście. Córka Gwynnath.*

*– Teraz rozumiem jej smutek i łzy.*

*– Dowiedziała się o śmierci matki dopiero dziś rano. – Amos wskazał w*

*stronę miasta. – Jej oddział patrolował zachodnią część miasta, wzdłuż linii*

*przysiółków i bacówek. Wróciła parę godzin temu. – Martin miał dziwny wyraz*

*twarzy. Amos zauważył to. – Przysiółki to niewielkie osady chłopskie, a bacówki to*

*pojedyncze zagrody pasterzy bydła i owiec. Nie, dziewczyna jakoś sobie daje radę po*

*stracie matki. Niepokoi mnie raczej stan Guya.*

*– Dobrze skrywa swój ból – powiedział Arutha. Księżciem targaly sprzeczne*

*emocje. Niechęć do Bas-Tyry, której nauczył się na kolanach ojca, walczyła o lepsze*

*ze współczuciem dla cierpiącego człowieka. Przecież tak niewiele brakowało, a on*

*sam utraciłby Anitę na zawsze. Gdy zastanawiał się nad losem Guya, głęboko w*

*duszy pobrzmiwały echa tamtego przerażenia, pustki i rozpacz. Z drugiej strony*

*jednak, nie kto inny tylko Guy właśnie kazał uwięzić ojca Anity, co skończyło się jego*

*śmiercią. A do tego Guy był zdrajcą. Arutha odpędził nurtujące go rozterki. Nie*

*chciał się niepotrzebnie denerwować. Szli dalej we trójkę. Martin zarzucał Amosa*

*dziesiątkami pytań o Brianę.*

# UGODA

*Jimmy szturchnął Lockleara pod żebro.*

*Od dłuższego czasu przechadzali się po placu targowym, próbując zobaczyć wszystko, co warte było obejrzenia w Armengarze. Spotkali zaledwie kilku chłopców w ich wieku. Byli uzbrojeni po zęby, w pełnym rynsztunku bojowym. Jimmiego najbardziej interesowały różnice między miejscowym targiem a podobnymi placami w Krondorze.*

*– Słuchaj, kręcimy się tu od dobrej godziny, a nie widziałem jeszcze ani żebraka, ani złodzieja.*

*– Zgadza się – powiedział Locklear. – Przecież Amos mówił, że wzajemne zaufanie to podstawa i warunek egzystencji miasta. Nie ma złodziei, bo wszyscy muszą się trzymać razem. A poza tym tu nie ma gdzie się ukryć. Nie znam się na tym zbyt dobrze, ale Armengar bardziej przypomina mi garnizon niż miasto. Jest tylko trochę większy.*

*– Dobrze gadasz, Locky.*

*– A żebraków nie ma, bo pewnie troszczą się o wszystkich mieszkańców. Też jak w wojsku.*

*– Wikt, opierunek i lekarz?*

*– No właśnie.*

*Spacerowali wzdłuż rzędu straganów. Jimmy oceniał fachowym okiem wartość wystawianych towarów.*

*– Zauważyłeś coś luksusowego?*

*Locklear pokręcił głową. W budkach i straganach dominowała żywność, prosta odzież, wyroby skórzane i oczywiście broń. Wszystkie ceny były dość niskie i*

*nikt się nie targował.*

*Jimmy usiadł na stopniach domu na skraju rynku.*

*– Ale nuda.*

*– A ja widzę coś, co wcale nie jest nudne.*

*– Co?*

*– Dziewczyny. – Locklear wskazał palcem dwie dziewczyny, które wyszły właśnie z tłumu kupujących. Zatrzymały się przy skrajnym straganie i oglądały z uwagą wystawione na nim towary. Były mniej więcej w tym samym wieku co oni. Obie miały na sobie jednakowe stroje: wysokie, skórzane buty, spodnie, bluzy i skórzane kamizele. Zza pasów sterczały rękojeści noży, a obok nich wisiały miecze. Czoła obu dziewczyn opasywały zrolowane szaliki, które podtrzymywały ciemne, długie do ramion włosy. Wyższa z nich zauważyła, że Jimmy i Locklear obserwują je i powiedziała coś do swej towarzyszki. Ta zerknęła w ich stronę i nachyliła się do przyjaciółki. Zaczęły szeptać. Po chwili wyższa odłożyła rzeczy, które wzięła ze straganu, i ruszyły w kierunku Jimmiego i Lockleara.*

*– No? – powiedziała wyższa, wpatrując się w nich błękitnymi oczami.*

*Jimmy wstał. Ze zdumieniem stwierdził, że dziewczyna dorównuje mu prawie wzrostem.*

*– Co, no? – odpowiedział w łamanym narzeczu Armengaru.*

*– Gapiliście się na nas.*

*Jimmy zerknął na Lockleara, który zerwał się na równe nogi.*

*– Czy coś w tym złego? – spytał Locklear, który lepiej opanował miejscowy język niż Jimmy.*

*Dziewczyny wymieniły spojrzenia i zaśmiały się cicho.*

– *To nieuprzejme.*

– *Jesteśmy tu obcy... – zaryzykował Locklear.*

– *To jasne jak słońce. – Dziewczyny parsknęły głośnym śmiechem. –*

*Słyszaliśmy o was. Wszyscy w Armengarze o was słyszeli.*

*Locklear zaczerwienił się. Wystarczyło na nich spojrzeć, by zauważyć, jak*

*bardzo różnili się od miejscowych. Druga dziewczyna przyglądała się Locklearowi*

*wielkimi, ciemnymi oczami.*

– *Czy tam, skąd przybywacie, gapicie się tak na dziewczyny?*

*Locklear wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.*

– *Ja? Zawsze, gdy mam tylko okazję. Cała czwórka parsknęła śmiechem.*

– *Jestem Krista – przedstawiła się wyższa dziewczyna. – A to Bronwynn.*

*Służymy w dziesiątej kompanii. Do jutrzejszego wieczoru mamy wolne.*

*Jimmy nie zrozumiał nawiązania do kompanii, ale przedstawił się.*

– *Jestem panicz James – Jimmy. A to panicz Locklear.*

– *Locky.*

– *Macie tak samo na imię? – spytała Bronwynn.*

– *Panicz to tytuł szlachecki. Jesteśmy w służbie u Księcia – poinformował*

*Locklear.*

*Dziewczęta spojrzały na siebie pytająco.*

– *Mówisz o jakichś niezwykłych sprawach. Nic z tego nie rozumiemy –*

*powiedziała po chwili Krista.*

– *No to może pokazałybyście nam swoje miasto? – Zgrabnym ruchem Jimmy*

*wsunął rękę pod jej ramię. – A my ze swej strony wyjaśnimy nasze niezwykłe*

*zwyczaje.*



*Locklear poszedł w ślady przyjaciela. Nie wyszło to zbyt zgrabnie, właściwie nie wiadomo, kto pierwszy to uczynił, on czy Bronwynn.*

*Śmiejąc się radośnie, dziewczyny wzięły Jimmiego i Lockleara na hol i cała czwórka ruszyła uliczkami Armengaru.*

*Martin jadał w milczeniu. Przysłuchując się rozmowom przy stole, nie spuszczał wzroku z Briany. Przy wieczornym posiłku wokół ogromnego stołu zebrali się wszyscy towarzysze Aruthy z wyjątkiem Jimmiego i Lockleara. Ze strony gospodarzy obecni byli Guy, Amos, Briana i jeden z dowódców Guya, Garem. Amos zapewnił ich, że nieobecność chłopców nie powinna budzić niepokoju. W mieście nie groziło im nic, o czym Protektor natychmiast nie byłby zawiadomiony. Również opuszczenie Armengaru nie było możliwe, nawet dla kogoś tak utalentowanego jak Jimmy. Co prawda Arutha nie był tego tak pewien jak Amos, ale powstrzymał się od komentarza.*

*Arutha zdawał sobie sprawę, że on i Guy będą musieli szybko dojść do porozumienia. Przewidywał też, jak mogłoby to wyglądać w ogólnych zarysach. Odłożył spekulacje na później, do chwili, gdy usłyszy to, co Guy miał mu do powiedzenia w cztery oczy. Książę przyglądał się z uwagą Protektorowi, który był w kiepskim nastroju. W jakiś dziwny sposób przypominał Arucie ojca, gdy znajdował się w podobnym humorze. Guy jadał niewiele, za to od dobrej godziny pił tego.*

*Arutha spojrział na brata, który od rana zachowywał się bardzo dziwnie.*

*Martin potrafił przez długie godziny nie otworzyć ust, była to cecha, która charakteryzowała ich obu. Ale od spotkania Briany stał się prawdziwym niemową.*

*Briana pojawiła się wraz z Amosem na obiedzie w pokojach Aruthy i od tej chwili Martin nie wypowiedział więcej niż z tuzin słów. Jednak zarówno w czasie tego, jak i*

poprzedniego posiłku, jego oczy nie umilkły ani na chwilę. I na ile Arutha znalazł się na tych zagadnieniach, milcząca mowa brata nie pozostawała bez odpowiedzi dziewczyny. Księżciu wydawało się, że Briana więcej czasu poświęcała obserwowaniu Martina niż kogokolwiek innego z zasiadających przy stole. Tego wieczoru Guy nie mówił zbyt wiele. Jeśli Briana chociaż w niewielkim stopniu przypominała matkę, wielkie cierpienie Guya było zrozumiałe. Kilka godzin, w czasie których miał okazję przyjrzeć się dziewczynie, wystarczyły, aby Arutha zaliczył ją do wyjątkowych kobiet. Zrozumiał też, dlaczego zafascynowała Martina. Chociaż Briana nie należała do kobiet o wyjątkowej urodzie i była całkowicie inna od jego ukochanej Anity, to jednak emanowała z niej jakaś potężna siła przyciągania. Trochę dzika, niesamowita energia działająca jak magnes. W rysach nie było cienia fałszu czy sztuczności. Według oceny Aruthy w jej naturze i zachowaniu było coś, co doskonale pasowało do brata, Chociaż więc od dłuższego czasu skupiał się na sprawach najwyższej wagi, to jednak przemknęło mu przez głowę kilka wesółych myśli: według wszelkiego prawdopodobieństwa Martin pogrążył się błyskawicznie w głębokich wodach i nie było dlań żadnego ratunku. Posiłek sprawił na braciach trochę dziwne wrażenie. W domu Guya, jak i w całym mieście, nie było służby. Żołnierze przynosili jedzenie do kwatery Protektora jako wyraz szacunku dla jego osoby i dowód własnej uprzejmości. Obsługiwał się sam, podobnie jak jego goście. Amos napomknął kiedyś, że wieczorem on i Armand zwykle taszczyli naczynia do kuchni na dole i pomagali przy zmywaniu. W mieście wszyscy sobie pomagali. Posiłek dobiegł końca.

– Ja, Gareth i Armand mamy teraz obejść posterunki na murach –

powiedział Amos. – Dziś wieczór oszczędzono nam obowiązków kuchennych, więc

możemy się zachować, jak na prawdziwych gospodarzy przystało. Nie chcielibyście się przyłączyć? – Skierował zaproszenie do wszystkich zebranych przy stole. Roald, Laurie i Baru przyjęli je z zainteresowaniem. Szczególnie Hadati, który chciał lepiej poznać swych ziomków.

Martin powstał i zmuszając się do heroicznego wprost wysiłku, zwrócił się do Briany.

– Może pani komendant zechciałaby oprowadzić mnie po mieście?

Dziewczyna zgodziła się, a Martin wydawał się równie uszczęśliwiony, co przerażony.

Arutha dał bratu znak, by poszedł z Brianą. Sam został z Guyem, by porozmawiać z nim na osobności. Martin pośpiesznym krokiem poszedł za dziewczyną.

Zatrzymał się na chwilę w długim korytarzu prowadzącym do ruchomej platformy, aby przyjrzeć się światłom miasta w dole. W czarnym jak smoła mroku błyszcząły setki jasnych punkcików.

– Ilekroć tędy przechodzę, nigdy nie mam dość tego widoku – powiedziała

Brianą. – Martin kiwnął głową. – Czy tam, gdzie mieszkasz, jest tak samo jak w Armengarze?

Martin nie odwrócił głowy w jej stronę.

– W Crydee? – zastanawiał się na głos. – Nie. W porównaniu z tą warownią mój zamek jest malutki. A miasto Crydee dziesięć razy mniejsze od Armengaru. Nie otaczają go gigantyczne mury, a ludzie nie chodzą cały czas pod bronią. To spokojne miejsce, tak mi się przynajmniej teraz wydaje. Kiedyś uciekałem z Crydee przy każdej okazji, by polować albo wałęsać się po lasach sam na sam ze swoimi

myślami. Czasem wdrapywałem się na najwyższą wieżę zamku, by obserwować stamtąd zachodzące ponad oceanem słońce. To najlepsza pora dnia. W lecie od morza wieje przyjemna bryza, chłodząc rozgrzane upałem mury, a na wodzie tańczą różnokolorowe refleksy słońca. W zimie z kolei wieże w czapach ze śniegu wyglądają jak baśniowe giganty. Znad oceanu napływają ogromne, wspaniałe chmury. Ale najpiękniejsze są chyba burze, z oślepiającymi błyskawicami i głuchym pomrukiem, przewalającym się nad bezkresem wód. Zupełnie jakby niebo żyło własnym życiem. – Spojrzał niżej i spostrzegł, że dziewczyna przypatruje mu się z uwagą. Poczul się nagle głupio. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiezek, jedyna oznaka, że był zakłopotany. – Eee... plotę trzy po trzy.

– Amos opowiadał mi o oceanach. – Przechyliła głowę, zastanawiając się nad czymś. – To wydaje się takie dziwne. Tyle wody...

Martin roześmiał się cicho i poczul, jak nerwowe napięcie ustępuje powoli.

– Tak, to dziwny widok. Dziwny i potężny zarazem. Nigdy nie przepadałem za okrętami, portami i morzem, ale kilka razy musiałem żeglować. Po pewnym czasie człowiek zaczyna doceniać, jak piękny może być ocean. Jest jak... – zamilkł, nie znajdując właściwych słów. – O tym powinien opowiedzieć Laurie albo Amos. Obaj mają łatwość dobierania odpowiednich określeń, której mnie brak.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Wolalabym usłyszeć to z twoich ust. – Odwróciła się w stronę okna.

Pomarańczowy odblask pochodni rzeźbił rysy jej twarzy otoczonej koroną czarnych w półmroku włosów. Przez długą chwilę milczała. W końcu podniosła na niego wzrok.

– Czy jesteś dobrym myśliwym? Martin wyszczerzył zęby w szerokim

*uśmiechu, czując się . jednocześnie jak głupek.*

*– Tak, bardzo dobrym. – Oboje wiedzieli, że nie były to wcale czcze przechwałki i że nie było w jego słowach fałszywej skromności. – Uczyłem się u Elfów. Znam tylko jednego człowieka, który może być lepszym niż ja łucznikiem.*

*– Bardzo lubię polować, ale odkąd zostałam dowódcą, za mało mam na to czasu. Może udałoby się nam wykraść kiedyś i poszukać jakiejś zwierzyny. Tutaj jest to o wiele bardziej niebezpieczne niż na ziemiach Królestwa, bo gdy ty polujesz, inni mogą właśnie urządzać łowy na ciebie.*

*– Miałem już do czynienia z moredhelami – powiedział Martin zimnym głosem. Spojrzała mu w oczy.*

*– Jesteś silnym mężczyzną, Martin. – Położyła rękę na jego ramieniu. – I chyba dobrym człowiekiem, jak mi się wydaje. Ja jestem Brianą, córka Gwynnath i Gurtmana z rodu Alwynne. – Jej słowa zabrzmiały formalnie, sucho. A jednak było w nich coś jeszcze, jakby dziewczyna się przed nim otwierała, wyciągała ku niemu rękę.*

*– Jestem Martin, syn Margaret.... – Po raz pierwszy od wielu lat pomyślał o swej matce, urodziwej pokojówce w służbie na dworze księcia Brucala. –...i Borrika z rodu Dannis, pierwszych conDoin. Nazywają mnie Martin Długi Łuk.*

*Bardzo długo wpatrywała się w jego twarz, analizując uważnie każdy jej rys.*

*Wyraz jej twarzy zmieniał się nieuchwytnie. W końcu się uśmiechnęła. Na ten widok Martin poczuł, jak serce wyrywa mu się niemal z piersi. Dziewczyna roześmiała się głośno.*

*– To imię pasuje do ciebie, Martinie Długi Łuk. Jesteś równie wysoki i silny jak twój oręż. Czy masz żonę?*

– Nie – odpowiedział miękkiem głosem. – Nigdy nie spotkałem żadnej... ładne słówka nigdy mi nie wychodziły... tak samo z kobietami. Nie znałem ich wiele.

– Rozumiem. – Położyła mu palec na ustach. I nagle Martin, nie wiedząc jak i kiedy, trzymał ją w objęciach.

Położyła mu głowę na piersi. Obejmował ją delikatnie, obawiając się, że najłżejszy ruch spowoduje jej ucieczkę.

– Martin, nie wiem, jak to jest w twoim Królestwie. Amos wspominał kiedyś, że unikacie otwartych rozmów o sprawach, które w Armengarze traktuje się jak oczywiste. Nie wiem też, czy o to między nami chodzi, ale dzisiaj w nocy nie chcę być sama. – Podniosła oczy, wpatrując się w jego twarz. Ujrzał w nich pożądanie i obawę jednocześnie. Zrozumiał nadzieję i oczekiwanie. – Czy jesteś równie delikatny jak silny, Martinie? – spytała cichutkim, ledwo słyszalnym głosem.

Martin popatrzył jej prosto w oczy. Żadne słowa nie były już potrzebne. Przez długi czas trzymał ją w objęciach. W końcu powoli odsunęła się od niego, wzięła za rękę i poprowadziła ciemnym korytarzem w stronę swojego pokoju.

Arutha siedział, obserwując w milczeniu Guya. Protektor Armengararu, pogrążony bez reszty we własnych myślach, popijał piwo. Ciszę panującą w pokoju mącił jedynie trzask płonących na kominku drewna. W końcu Guy podniósł głowę.

– Wiesz, chyba najbardziej brakuje mi wina. Są chwile, do których wino bardzo pasuje... i tylko wino, nie uważasz? Arutha pokiwał głową. Pociągnął łyk piwa.

– Amos opowiedział nam o twojej wielkiej stracie, Guy. Guy niezgrabnie machnął ręką. Arutha zauważył, że gospodarz był już z lekka podpity. Jego ruchy nie były pewne i nie panował nad nimi do końca. Jednak mówił wyraźnie i składnie.

*Westchnął głęboko.*

*– To bardziej twoja strata niż moja. Nigdy nie miałeś okazji jej spotkać.*

*Księżę nie wiedział, co powiedzieć. Zalała go niespodziewanie fala złości. Czuł się zmuszony do uczestniczenia w czymś bardzo osobistym, do łączenia się w bólu z człowiekiem, którego powinien przecież nienawidzić.*

*– Mówiłeś, że musimy porozmawiać, Guy. Guy kiwnął głową i odepchnął kubek z piwem. Jego wzrok nadal błąkał się w przestrzeni.*

*– Jesteś mi potrzebny – zwrócił się do Aruthy. – Potrzebne' mi przynajmniej Królestwo, a to oznacza Lyama. – Arutha dał mu znak, by ciągnął dalej. – Jest mi zupełnie obojętne, co o mnie myślisz. Ale oczywiście jest mi potrzebna twoja akceptacja, jako przywódcy tych ludzi. – Popadł w zadumę. – Myślałem, że to twój brat ożeni się z Anitą. To byłby logiczny krok, aby wzmocnić jego roszczenia do tronu. Zanim się jednak zorientował, co i jak, już został królem. Rodric wyświadczył nam wszystkim wielką przysługę, że tuż przed śmiercią był krótką chwilę przy zdrowych zmysłach. – Spojrzał na Aruthę twardym wzrokiem.*

*– Anita to wspaniała, młoda kobieta. Nie miałem zamiaru żenić się z nią, lecz taka była potrzeba chwili. Miałem zamiar pozwolić jej, gdyby chciała, poszukać własnej... satysfakcji. Lepiej, że się stało, jak się stało. – Wyprostował się. – Pijany jestem. We łbie mi się mąci. – Zamknął oko, Arucie wydawało się, że zapadł w drzemkę.*

*– Amos opowiedział ci, jak dostaliśmy się do Armengaru, więc nie będę powtarzał tej historii. Ale są inne sprawy, o których pewnie nie wspomniał ani słowem. – Znowu zapadła długa cisza.*

*– Czy twój ojciec powiedział ci kiedyś, skąd się wzięło tyle niechęci i*

nienawiści między nami?

*Arutha starał się odpowiedzieć spokojnym głosem.*

*– Mówił, że byłeś w sercu każdego dworskiego spisku, skierowanego przeciwko Zachodniemu Królestwu. Mówił też, że wykorzystywałeś swoje wpływy zarówno w czasach Rodrica jak i jego ojca, aby podkopywać jego pozycję.*

*– W zasadzie to prawda – odpowiedział Guy ku zdumieniu Aruthy. – Trochę inna interpretacja mych czynów mogłaby ukazać je w nieco łagodniejszym świetle, lecz zasadniczo wszystko, co uczyniłem za rządów Rodrica, a wcześniej jego ojca, rzeczywiście nie leżało w interesie Borrika ani Zachodu. Nie, Arutha, ja miałem na myśli inne sprawy.*

*– Nigdy o tobie nie mówił, a jeżeli, to zawsze jak o wrogu. – Arutha zamyślił się na moment. – Dulanic wspominał kilka razy, że kiedyś ty i ojciec byliście przyjaciółmi.*

*Guy znowu zapatrzył się w ogień. Wydawał się jakiś nieobecny. Mówił cicho, powoli i z przerwami, jakby przypominał sobie stopniowo stare dzieje.*

*– Tak, bardzo dobrymi przyjaciółmi. – Ponownie zamilkł. Cisza trwała bardzo długo. Arutha już miał się odezwać, gdy Guy zaczął mówić dalej. – Wszystko się zaczęło, kiedy byliśmy jeszcze młodzikami na dworze króla Rodrica III.*

*Należeliśmy do pierwszej grupy młodzieży szlacheckiej, którą wysłano na dwór monarchy. To był pomysł Caldrica. Miał na celu wychowanie przyszłych władców, lepiej przygotowanych i wykształconych niż ich ojcowie. – Guy zamyślił się. – Pozwól, że opowiem ci, jak to było. Gdy skończę, może łatwiej będzie ci zrozumieć, dlaczego ani ciebie, ani brata nigdy nie wysłano na dwór.*

*Byłem o trzy lata młodszy od twego ojca, który miał wtedy zaledwie*



*osiemnaście lat. Byliśmy sobie niemal równi wzrostem i podobni charakterem. Z początku połączono nas trochę na siłę. Łączyło nas dalekie pokrewieństwo, a ja miałem nauczyć synalka prowincjonalnego Księcia dobrych manier. Z czasem jednak zostaliśmy przyjaciółmi. Przez wiele lat hulaliśmy razem, chadzaliśmy na dziewczyny i walczyliśmy ramię przy ramieniu.*

*Och, ale już wtedy były między nami różnice. Borne był synem typowego szlachcica z pogranicza. Bardziej hołdował staroświeckim zasadom honoru i obowiązku, niż starał się zrozumieć prawdziwe przyczyny tego, co działo się wokół niego. A ja, no cóż... – przeciągnął gwałtownie dłoń po twarzy, jakby chciał się rozbudzić. Zaczął mówić żywszym głosem. – Zostałem wychowany na wschodnich dworach. Od wczesnego dzieciństwa przeznaczony do wydawania poleceń i do rządzenia. Mój ród jest równie stary i szacowny, jak inne wielkie rody Królestwa, włączając nawet twój. Gdyby Delong i jego bracia nie byli troszeczkę gorszymi generałami, a moi przodkowie trochę lepszymi, to nie conDoin byliby królami, ale Bas-Tyra. Od dzieciaka uczono mnie, jak naprawdę rozgrywa się grę zwaną polityką. Nie, w wielu aspektach różniliśmy się bardzo, twój ojciec i ja, ale w całym swoim życiu nie miałem przyjaciela, którego bym tak miłował jak Borrika. – Spojrzał na Aruthę twardym wzrokiem. – Był mi jak rodzony brat, którego nigdy nie miałem.*

*Arutha słuchał coraz bardziej zaintrygowany. Nie miał wątpliwości, że Guy ubarwia fakty, by tylko osiągnąć zamierzony cel. Podejrzewał nawet, że jego rzekoma nietrzeźwość była pozą, mającą ułatwić zadanie. Chciał jednak usłyszeć o czasach młodości ojca.*

*– Cóż więc doprowadziło do zerwania między wami?*

– Jak to młodzi mężczyźni, rywalizowaliśmy między sobą. W łowach na dzikiego zwierza, w hazardzie i o względy pań. Różnice w poglądach politycznych prowadziły czasem do ostrej wymiany zdań. Zawsze jednak udawało nam się znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia i zażegnania sporu. Pamiętam, że raz nawet się pobiliśmy z powodu mojej bezmyślnej uwagi. Powiedziałem, że twój prapradziadek nie był nikim więcej niż rozżalonym trzecim synalkiem Króla, który siłą pięści chciał uzyskać to, czego nie mógł zdobyć w istniejących wtedy granicach Królestwa. Borric z kolei uważał go za wielkiego człowieka i bohatera, który zatknął sztandar Królestwa w Bosanii.

Ja utrzymywałem, że Zachód jest jak pijawka przyssana do krwioobiegu Królestwa. I że odległości są zbyt wielkie, by można było prawidłowo zarządzać tą prowincją. Ty władasz w Krondorze. Sam wiesz najlepiej, że faktycznie rządzisz niezależnym państwem, które z Rillanonu otrzymuje tylko ogólne wskazówki co do prowadzenia polityki. Zachodnie Królestwo to prawie osobny naród. Mniejsza o to. Posprzeczaaliśmy się właśnie z tego powodu i pięści poszły w ruch. Z czasem gniew osłabł, ale to był pierwszy sygnał wskazujący, jak głęboko różniły się nasze poglądy na temat polityki obu prowincji. Mimo wszystko nie osłabiło to więzi między nami.

– Guy, przedstawiasz sprawę jako racjonalną różnicę poglądów politycznych dwóch honorowych mężczyzn. Ale ja znałem dobrze ojca. Nienawidził cię.

Nienawidził z całego serca! Musiało być coś więcej.

Przez chwilę Guy wpatrywał się w tańczące płomienie. Gdy znowu się odezwał, mówił cichym głosem.

– Ja i twój ojciec byliśmy rywalami w wielu dziedzinach, ale największymi, gdy poszło o twoją matkę.

– Co?! – Arutha wyprostował się gwałtownie.

– Gdy twój stryj Malcolm zmarł na malarię, wezwano twego ojca do domu.

Borric jako starszy brat miał dziedziczyć tron i wszystko z tym związane. Dlatego jego wystano po nauki na dwór królewski. Po śmierci Malcolma twój dziadek został sam. W związku z tym nakłonił Króla, by mianował ojca Zarządcą Zachodu i odesłał z powrotem do Crydee. Dziadek starzał się. W tym czasie twoja babcia już nie żyła. Po śmierci Malcolma szybko opadał z sił. Umarł w niecałe dwa lata. Borric został Księciem Crydee. W tym czasie Brucal powrócił do Yabonu, a ja byłem Starszym Szlachcicem na dworze królewskim. Czekalem na przybycie Borrika. Miał się przedstawić formalnie królowi i złożyć przysięgę lenną. Wymagano tego od wszystkich nowych książąt w ciągu pierwszego roku ich panowania.

Arutha policzył w myślach i doszedł do wniosku, że to wtedy, w drodze do stolicy, ojciec musiał odwiedzić Brucala w Yabon. W czasie tej wizyty ładna pokojówka wpadła mu w oko. Z ich związku narodził się Martin, o czym Borric dowiedział się dopiero po pięciu latach.

– Na rok przed powrotem Borrika do Rillanonu przybyła na dwór twoja matka – mówił dalej Guy. – Miała zostać damą dworu królowej Janicy, drugiej żony króla i matki księcia Rodrica. To właśnie wtedy Catherine i ja spotkaliśmy się po raz pierwszy. Póki nie poznałem Gwynnath, była jedyną kobietą, którą kochałem...

Guy zamilkł. Aruthę ogarnęło nagle dziwne uczucie wstydu. Poczul się, jakby zmusił Guya do ponownego przeżywania dwóch wielkich strat, jakich doznał w życiu.

– Catherine była absolutnie wyjątkowa, Arutha. Wiem, że to rozumiesz. To

*twoja matka. Gdy ją ujrzałem po raz pierwszy, przypominała wiosenny poranek. Zaróżowione policzki, a w oczach wesole iskierki. Miała złociste włosy. Błyszczały i mieniły się w słońcu. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Tak jak i twój ojciec. Od tej chwili nasze współzawodnictwo o nią stało się ostre, zacięte. Staraliśmy się o jej względy przez dwa miesiące. Pod koniec drugiego już ze sobą nie rozmawialiśmy – tak zażarta była między nami rywalizacja o Catherine. Twój ojciec nieustannie odkładał termin powrotu do Crydee. Wolał zostać i zalecać się do niej. Walczyliśmy o jej uczucia jak szaleni. Pewnego ranka chciałem wybrać się z nią na konną przejażdżkę, ale gdy przyszedłem do jej komnat, szykowała się do podróży. Była cioteczną siostrą królowej Janicy i stanowiła cenną nagrodę w grze, która nazywa się intrygą dworską. Lekcje, których udzieliłem kiedyś twemu ojcu w tej materii, opłaciły mu się stokrotnie. W czasie, gdy ja jeździłem z Catherine konno czy spacerowałem z nią po ogrodach, on rozmawiał z Królem. Rodne polecił twej matce, by poślubiła twego ojca. Jako jej opiekun miał do tego prawo. Z politycznego punktu widzenia małżeństwo było wskazane i korzystne. Już wtedy Król żywił poważne obawy co do możliwości swego syna i stanu zdrowia swego brata. Do diabła! Rodric był prawdziwie nieszczęśliwym człowiekiem. Jego trzech synowie z pierwszego małżeństwa zmarli, zanim osiągnęli wiek męski. Nigdy nie pogodził się ani z ich śmiercią, ani z odejściem ukochanej żony, królowej Beatrice. Jego młodszy brat Erland był późnym dzieckiem i bardzo chorowitym. Cierpiał na krwotoki z płuc. Był zaledwie o dziesięć lat starszy od księcia Rodrica. Na dworze wiedziano, że Król chciał wyznaczyć twego ojca następcą tronu. Janica obdarzyła go jednak synem – nieśmiałym i zahukanym chłopakiem, którego Rodric nie lubił i którym gardził.*

*Myślę, że zmusił swoją matkę do wyjścia za Borrika, aby wzmocnić jego roszczenia do tronu, co ułatwiłoby Królowi mianowanie go następcą. Bogowie świadkami, że następne dwanaście lat strawił, próbując uczynić Księcia lepszym człowiekiem lub złamać go całkowicie. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że przed śmiercią Król nie wyznaczył następcy. Zostaliśmy z Rodrikiem IV, człowiekiem jeszcze bardziej przygnębionym, smutnym i złamanym przez życie niż jego ojciec.*

*Arutha podniósł głowę. Na policzki wystąpił rumieniec.*

*– Co to miało znaczyć, że Król zmusił matkę do poślubienia ojca?*

*– To było polityczne małżeństwo, Arutha. – Oczy Guya rzuciły gniewne błyski.*

*– Ale matka kochała ojca! – Gniew wzbierał w Księciu.*

*– Jestem pewien, że do czasu, gdy ty się pojawiłeś na świecie, rzeczywiście nauczyła się go kochać. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, a ona dobrą, kochającą kobietą. Wówczas jednak to mnie darzyła uczuciem. – Narastało w nim wzburzenie.*

*Głos ochrypl. – Kochała mnie. Znałem ją na rok przed powrotem Borrika.*

*Przyrzekliśmy sobie, że się pobierzemy, gdy skończy się moja służba szlachcica na dworze. Trzymaliśmy to w tajemnicy – taka przysięga złożona przez dwoje dzieciaków podczas wieczornego spaceru w ogrodzie. Napisałem do ojca, prosząc o wstawiennictwo u Królowej, aby pomogła mi w staraniach o rękę Catherine. Nigdy nie wpadłem na to, aby porozmawiać z Królem. Ja, przebiegły i przemądrzały synalek wschodniego pana, zostałem wystawiony do wiatru przez syna prowincjonalnego księcia i to w dworskiej intrydze! Niech to szlag trafi! A myślałem, że jestem taki chytry. Miałem tylko dziewiętnaście lat... to było dawno temu.*

*Wściekłem się. W tamtych czasach temperamentem i zapalczywością dorównywałem twemu ojcu. Wyleciałem jak szalony z pokoju Catherine w poszukiwaniu Borrika. Walczyliśmy ze sobą. Pojedynek w pałacu królewskim. Niewiele brakowało, a pozabijalibyśmy się nawzajem. Z pewnością widziałeś długą bliznę na boku ojca, od lewej pachy przez żebra w dół. To od mojego cięcia. Mam bardzo podobną bliznę po ranie, którą mi zadał. Długo walczyłem ze śmiercią. Gdy w końcu doszedłem do siebie, twój ojciec już od tygodnia siedział w Crydee. Zabrał ze sobą Catherine. Chciałem pojechać za nim, lecz Król zabronił mi pod groźbą śmierci. Miał rację. Byli już małżeństwem. Od tej chwili zacząłem nosić się na czarno – był to publiczny znak mej hańby. No, a później wystali mnie, bym walczył z Keshem w Głębokim Taunton. – Zaśmiał się gorzko. – Moja sława wielkiego generała powstała dzięki temu spotkaniu. W dużej mierze swój sukces zawdzięczam twemu ojcu. Karałem Keshian za to, że Borric ukradł mi Catherine. Robiłem rzeczy, których żaden generał przy zdrowych zmysłach nigdy by nie dokonał. Wyprowadzałem na wroga atak za atakiem. Myślę, że chciałem zginąć. – Głos mu złagodniał. Zaśmiał się cichutko. – Uwierzysz? Byłem prawie zawiedziony, gdy poprosili o litość i warunki kapitulacji. – Westchnął ciężko. – Tak wiele z tego, co później zdarzyło się w moim życiu, ma swój początek w tamtej historii. W końcu przestałem nienawidzić Borrika, lecz pokazał, że jest zawzięty. Po jej śmierci odmówił wysłania synów na dwór królewski. Teraz podejrzewam, że obawiał się mojej zemsty na Lyamie i tobie.*

*– Ojciec bardzo kochał matkę. Gdy odeszła, już nigdy nie był szczęśliwy – powiedział Arutha, czując zarazem gniew i zmieszanie. Przecież nie musiał się tłumaczyć z zachowania ojca przed jego najbardziej zagorzałym wrogiem.*

– Wiem, Arutha. – Guy pokiwał głową. – Gdy jesteśmy młodzi, nie

dopuszczamy do siebie myśli, że uczucia innych mogą być równie głębokie jak nasze własne. Miłość jest wtedy taka wzniosła, a cierpienie i ból tak intensywne.

Posunąłem się w latach i zrozumiałem, że Borric kochał Catherine równie mocno jak ja. I myślę sobie, że i ona naprawdę go kochała. – Jego zdrowe oko zapatrzyło się gdzieś w przestrzeń. Zaczął mówić wolniej, z namysłem. – Była wspaniałą, mądrą i dobrą kobietą. W jej sercu było miejsce dla wielu miłości. Wydaje mi się jednak, że tak naprawdę twój ojciec nigdy nie przestał żywić wątpliwości. – Guy wpatrywał się w Aruthę. W jego spojrzeniu był żal i zdziwienie. – Czy jesteś w stanie to sobie wyobrazić? Jakie to musiało być ciężkie i smutne? Niewykluczone, że ja, w przedziwny sposób, byłem bardziej szczęśliwy, ponieważ byłem pewien, że Catherine kochała mnie. Nie miałem żadnych wątpliwości. – Oko Guya zwilgotniało. Guy bez zażenowania otarł wierzchem dłoni zbierającą się łzę. Odchylił głowę do tyłu na oparcie krzesła. Zamknął oko. Dłoń położył na czole.

– Czasem wydaje się, że w życiu nie ma sprawiedliwości – dodał cichym głosem.

Arutha zastanawiał się w duchu.

– Po co mi to wszystko mówisz?

Guy wyprostował się raptownie, otrząsając z zamyślenia.

– Ponieważ cię potrzebuję. I w twoim sercu nie może być cienia wątpliwości.

Teraz jestem dla ciebie zdrajcą, który ogarnięty manią wielkości, chciał przejąć władzę w Królestwie. Po części masz rację.

Szczerść Guya ponownie zdumiała Aruthę.

– A jak możesz wytłumaczyć czy usprawiedliwić to, co zrobiłeś Erlandowi?

– *Ponoszę odpowiedzialność za jego śmierć. Nie mogę się tego wyprzeć. To przecież mój podwładny, mój kapitan nadal więził Erlanda po tym, jak kazałem go uwolnić. Radburn był przydatny, ale nadgorliwy. Rozumiem jego panikę. Wiedział, że go ukarzę za to, że pozwolił uciec Anicie i tobie. Była mi potrzebna, by uzyskać przyczółek w sukcesji do tronu. Ty z kolei przydałbyś się bardzo jako element przetargowy w rozmowach z ojcem.* – *Zauważył zdziwienie na twarzy Aruthy.*–

*Ależ tak, oczywiście! Moi agenci doskonale wiedzieli, że jesteś w Krondorze. Tak przynajmniej mi donieśli, gdy powróciłem z wypadu Kesh na Shamatę. Jednak Radburn popełnił błąd – założył, że zaprowadzisz go do Anity. Nie przyszło mu do głowy, że nie miałaś z jej ucieczką nic wspólnego. Idiota! Powinien cię wsadzić, a potem szukać dziewczyny do skutku.*

*Arutha poczuł, jak powraca nieufność. Współczucie dla Guya zmalało. Choć był szczery, jego brutalne uwagi o wykorzystywaniu ludzi sprawiały ból i jątrzyły jak otwarta rana. Guy mówił dalej.*

– *Nigdy nie pragnąłem śmierci Erlanda. I tak miałem już tytuł wicekróla od Rodnika, co dawało mi pełnię władzy nad Zachodem. Erland nie był mi potrzebny. Potrzebowałem tylko ogniwa prowadzącego do tronu: Anity. Rodric IV był szalony. Ja i Caldric jako jedni z pierwszych dowiedzieliśmy się o jego szaleństwie. Ludzie zwykle nie dostrzegają u królów zachowań, których nie tolerowaliby u innych, lub im je wybaczą. Nie można było dopuścić, by Rodric dłużej sprawował władzę. Pierwsze osiem lat wojny było wystarczająco trudne dla dworu. W ostatnim roku panowania Rodric był niemal zupełnie pozbawiony zdrowych zmysłów. Kesh cały czas spoglądał na północ, wyczekując pierwszych oznak słabości. Nie chciałem brać na swoje barki ciężaru panowania, lecz nawet z twym ojcem jako następcą po*



*Erlandzie uważałem, że ze wszystkich posiadających tytuł do tronu miałem największe predyspozycje do sprawowania rządów.*

*– Ale po co te wszystkie intrygi? Miałeś przecież mocne poparcie w Kongresie.*

*Caldricowi, ojcu i Erlandowi ledwo udało się przegłosować twoją próbę zostania regentem księcia Rodrica na czas, zanim doszedłby do pełnoletności. Mogłeś znaleźć jakiś inny sposób.*

*– Kongres może zatwierdzić wybór nowego króla – odpowiedział Guy,*

*celując wyciągniętym palcem w pierś Aruthy – ale nie może go odwołać i usunąć.*

*Potrzebny mi był sposób, by dostać tron bez wywoływania wojny domowej. Wojna z Tsuraniami ciągnęła się w nieskończoność, a Rodric nie chciał oddać pod komendę twego ojca armii Wschodu. Nie chciał ich dać nawet mnie, a przecież byłem jedynym człowiekiem, któremu ufał. Dziewięć długich lat przegrywanej nieustannie wojny i do tego jeszcze chory umysłowo król – naród wykrwawiał się na śmierć. Nie, to musiało się skończyć. Nieważne, jak duże poparcie uzyskałem dla swojej osoby, zawsze znajdowali się ludzie – jak choćby Brucal czy twój ojciec, którzy wystaliby wojska przeciwko mnie. Dlatego potrzebowałem Anity jako żony, a ciebie jako argumentu w targach. Byłem gotów zaoferować Borricowi wybór.*

*– Jaki wybór?*

*– Chciałem pozwolić Borricowi rządzić Zachodem. Planowałem tak podzielić państwo, by każda połowa znalazła swoją własną drogę. Wiedziałem jednak, że żaden z zachodnich panów nigdy się z tym nie zgodzi. Chciałem mu zaproponować, aby wyznaczył następcę tronu po mnie, nawet gdyby miał nim być któryś z was – ty czy Lyam. Mianowałbym księciem Kronodoru każdego wskazanego przez niego kandydata. Wyrzekłbym się również posiadania synów, aby w przyszłości nie mogli*

*pretendować do tronu. Idąc na ustępstwa, stawiałem jeden warunek —Borne musiał zaakceptować mnie jako króla w Rillanonie i złożyć mi przysięgę lenną. Arutha nagle zrozumiał tego człowieka. Odłożył na bok wszelkie kwestie związane z osobistym honorem po utracie Catherine. Pozostawił jedną, najważniejszą ze wszystkich: swój honor wobec Królestwa. Był gotów uczynić wszystko, posunąć się nawet do królobójstwa, zapisać się w historii jako uzurpator i zdrajca, byle odsunąć od rządów szalonego władcę. Arutha poczuł w ustach dziwny smak.*

*— Gdy umarł Rodne, a Lyam został mianowany następcą tronu, wszystko przestało mieć znaczenie. Nie znam twego brata, ale spodziewam się, że odziedzyczył po ojcu choć część jego charakteru. W każdym razie Królestwo jest w lepszych rękach teraz niż za czasów rządów Rodrica.*

*— Daleś mi wiele do myślenia, Guy. — Arutha westchnął. — Nie zgadzam się z twoim sposobem myślenia i metodami działania ani ich nie popieram, ale przynajmniej coś zrozumiałem.*

*— Twoje poparcie czy akceptacja są bez znaczenia. Nie żałuję niczego, czego dokonałem. Przyznaję także, że moja decyzja, by samemu sięgnąć po tron, ignorując prawa do sukcesji twego ojca, wynikała po części z urazy i niechęci do niego. Skoro ja nie mogłem mieć Catherine, to Borric nie mógł mieć tronu. Poza egoistycznymi względami byłem także mocno i szczerze przekonany, iż będę lepszym królem od twego ojca. To mi w życiu wychodzi najlepiej — sprawowanie rządów. Oczywiście nie znaczy to, że wszystko, czego musiałem dokonać, podobało mi się czy sprawiało radość.*

*Nie, Arutha, chcę tylko, abys mnie dobrze zrozumiał. Nie musisz mnie darzyć*

*sympatią, ale musisz mnie zaakceptować takim, jakim jestem. Potrzebuję tego, aby zapewnić przyszłość Armengarowi.*

*Arutha milczał. Nadal czuł się nieswojo. Przez umysł przewaliła się gwałtowna fala wspomnień z rozmowy sprzed dwóch lat. Długo panowała niczym nie zmącona cisza.*

*– Kimże jestem, aby cię oceniać, Guy. Przypomniała mi się rozmowa z Lyamem w grobowcu ojca. Byłem gotów zgodzić się raczej na śmierć Martina, niż ryzykować wybuch wojny domowej. Śmierć mego własnego brata... – dodał bardzo cichym głosem.*

*– Takie oceny i wybory mniejszego zła są nieodłącznymi konsekwencjami sprawowania władzy. – Guy oparł się wygodniej i długo wpatrywał w Aruthę. – A co czujesz w związku z decyzją na temat Martina? – spytał w końcu.*

*Wydawało się, że Arutha niechętnie dzieli się z Guyem swymi przemyśleniami. Po długim milczeniu podniósł w końcu głowę i spojrzał mu prosto w oczy.*

*– Podle. Czuję się zbrukany, zły. To było straszne.*

*Guy wyciągnął rękę. – Zatem rzeczywiście rozumiesz. – Arutha powoli wyciągnął rękę i ujął wyciągniętą ku sobie dłoń. – Przejdźmy teraz do sedna sprawy.*

*Gdy Amos, Armand i ja dotarliśmy tutaj po raz pierwszy, byliśmy schorowani, poranieni i nieledwie zagłodzeni na śmierć. Mieszkańcy Armengar, nie zadając żadnych pytań, wyleczyli nas i odkarmili – obcych z obcej ziemi. Gdy już wydobrzeliliśmy nieco, zgłosiliśmy się, by walczyć. Odkryliśmy wtedy, że od wszystkich, którzy są do tego zdolni, oczekuje się służby. Dla nich było to oczywiste,*

*nikt nie zadawał zbędnych pytań. Zatem zajęliśmy wyznaczone nam miejsca w garnizonie i zaczęliśmy się poznawać i pojmować Armengar.*

*Przed Gwynnath Protektorem był bardzo zdolny komendant, ale oboje prawie w ogóle nie znali się na współczesnych zasadach prowadzenia działań wojennych. Mimo to udawało im się trzymać Bractwo i gobliny w ryzach. Był to rodzaj krwawej równowagi sił.*

*Pojawił się Murmandamus i wszystko uległo zmianie. Gdy przybyliśmy tutaj, z czterech potyczek trzy kończyły się zwycięstwem Bractwa. Armengarianie przegrywali. Po raz pierwszy w swojej historii ponosili regularnie porażki. Wyuczyłem ich współczesnych reguł walki i udaje nam się utrzymać ziemie w naszych rękach. Nikt nie może zbliżyć się na odległość trzydziestu kilometrów do miasta, aby nie zostać zauważonym przez zwiadowców czy większe patrole. Ale i tak jest za późno.*

*– Dlaczego za późno?*

*– Nawet gdyby nie pojawił się Murmandamus, aby nas zmiażdżyć i wymordować, według mej oceny naród ten przetrwałby najwyżej ze dwa pokolenia. Miasto umiera, Arutha. Z tego, co wiem, jeszcze dwadzieścia lat temu w mieście i najbliższych okolicach żyło około piętnastu tysięcy ludzi. Dziesięć lat temu było ich już tylko dziesięć-dwanaście tysięcy. Obecnie około siedmiu tysięcy lub nawet mniej. Nieustanne potyczki, kobiety, które zamiast rodzić dzieci, giną w walkach, zabijanie dzieci, gdy wróg zdobywa przysiółki czy baczki. Wszystko to nakłada się i prowadzi do wyludnienia kraju. Wiele wskazuje na to, że proces ten postępuje coraz szybciej. A i to nie koniec. Mam wrażenie, że nieustająca walka wysysa z nich resztki sił. Mimo motywacji i chęci do obrony zubożeli na potrzeby codziennego życia.*

*Ich kultura uległa wykrzywieniu. Koncentrują się na walce, walce i jeszcze raz walce. I w końcu śmierć. Poezja ogranicza się do sag o bohaterach, muzyka do prostych i monotonnych pieśni bitewnych. Zauważyłeś, że w mieście nie ma żadnych tablic ani znaków? Wszyscy doskonale wiedzą, gdzie kto mieszka czy pracuje. Na co więc komu tablice? Arutha, nikt z Armengarian nie potrafi ani czytać ani pisać. To naród popadający nieuchronnie w barbarzyństwo. Jak powiedziałem, nawet gdyby nie pojawił się Murmandamus, w ciągu dwudziestu lat przestaną istnieć. Będą jak ci nomadzi na Piekielnych Stepach.*

*– Tak, to może wywołać poczucie bezradności... Jak mogę pomóc?*

*– Potrzebna nam odrobina spokoju i odciążenia. Z radością oddam zarząd nad miastem w ręce Brucala...*

*– Vandrosa. Brucal przeszedł na emeryturę.*

*– No to Vandrosa. Włącz Armengar do księstwa Yabon. Wieki temu lud ten uciekł z Królestwa. Teraz tak bardzo się zmienił, że jeśli mu tylko rozkażę, nie będzie się wahać ani chwili, by wpaść w jego objęcia. W zamian dajcie mi dwa tysiące ciężkiej piechoty z garnizonów w Yabon i Tyr-Sog, a obronię miasto przed Murmandamusem przez kolejny rok. Dorzucisz jeszcze tysiąc i dwa tysiące jazdy, a wyczyszczę Równinę Isbandii do ostatniego goblina i Mrocznego Brata. Daj mi pod komendę armie Zachodu, a zapędzę Murmandamusa z powrotem do Sar-Sargoth i spalę miasto z całą bandą w środku. A potem rozpoczniemy normalne stosunki polityczne i handlowe. Dzieci będą wreszcie mogły być dziećmi, a nie małymi wojownikami. Poeci będą pisali wiersze, a malarze malowali obrazy. Będzie czas na muzykę i tańce. Kto wie, może miasto rozkwitnie na nowo?*

*– A ty nadal będziesz Protektorem, czy może zechcesz otrzymać tytuł księcia*

*Armengaru? – spytał Arutha, nie do końca wyzbywszy się nieufności.*

*– Do diabła z tobą! – krzyknął Guy, waląc pięścią w stół. – Tak! Jeśli Lyam ma rozum chociaż wielkości orzecha. – Guy opadł ciężko na oparcie krzesła. – Jestem zmęczony. Jestem pijany i zmęczony. – Oko zaszkliło się łzami. – Straciłem jedyną osobę, dla której żyłem, którą kochałem. Została mi jedynie troska o potrzeby tych ludzi. Nie zawiodę ich, ale kiedy będą już bezpieczni...*

*Arutha patrzył na niego zdumiony. Guy obnażył przed nim duszę i serce.*

*Księżę widział przed sobą człowieka, któremu nie zostało zbyt wiele powodów, aby żyć. To nagłe olśnienie podziało na niego otrzeźwiająco.*

*– Chyba uda mi się przekonać Lyama, aby się zgodził, biorąc pod uwagę jego nastawienie do ciebie.*

*– Nie dbam o to, co o mnie myśli. Jeśli zechce, może mieć nawet moją głowę.*

*– Jego głos zdradzał krańcowe zmęczenie. – Przestało mi na czymkolwiek zależeć.*

*– Prześlę ci wiadomość.*

*W komnacie rozległ się gorzki, histeryczny śmiech Guya.*

*– To, drogi kuzynie, może być problem. Chyba nie myślałeś, że przez rok siedziałem spokojnie, mając nadzieję, że księżę Kronodoru napatoczy się przypadkiem na Armengar? Wysłałem już do Yabon i Wysokiego Zamku kilkanaście wiadomości. Szczegółowo przedstawiłem naszą sytuację oraz propozycję, o której ci przed chwilą mówiłem. Trudność polega na tym, że o ile Murmandamus pozwala każdemu przedostać się na północ, to nic i nikt nie prześlizgnie się na południe. Ten Łowczy Bestii, którego znaleźliście, był jednym z ostatnich, usiłujących przedrzeć się na południe. Nie wiem, co się stało z posłańcem, którego eskortował, ale mogę sobie wyobrazić... – zamilkł, nie kończąc myśli. Jak więc widzisz jesteśmy całkowicie*

*odcięci od Królestwa. Całkowicie, absolutnie odcięci. Chyba że masz pomysł, na który jeszcze nie wpadliśmy, nie licząc oczywiście modlitwy.*

*Martin obudził się, dławiąc się i prychnając wodą. Pokój napęłnił się radosnym śmiechem Briany. Dziewczyna rzuciła mu ręcznik i odstawiła pusty już dzban na wodę.*

*– Tak trudno cię obudzić jak niedźwiedzia w zimie. Martin wycierał się, mrugając pocieszenie oczami.*

*– Tak, tak... – zamruczał. Spojrzał na nią złym wzrokiem, lecz gdy dostrzegł jej roześmianą twarz, gniew prysł jak bańka mydlana. Uśmiechnął się. – W lesie śpię lekko jak ptak. Pod dachem wypoczywam i odprężam się.*

*Uklęka na łóżku i pocałowała go. Była już ubrana w bluzę i spodnie.*

*– Muszę jechać do jednego z przysiółków. Chcesz jechać ze mną? Tylko na jeden dzień.*

*– Oczywiście. – Martin uśmiechnął się szeroko.*

*– Dziękuję. – Pocałowała go znowu.*

*– Za co? – Patrzył na nią ze szczerym zdumieniem.*

*– Za to, że zostałeś ze mną. Spoglądał na nią w milczeniu.*

*– Ty mi dziękujesz?*

*– Oczywiście. Przecież to ja cię poprosiłam.*

*– Należysz do dziwnego ludu, Bree. Większość mężczyzn, których znam, bez wahania, wręcz z radością poderznąłaby mi gardło, byle tylko zająć moje miejsce wczoraj wieczorem.*

*– Naprawdę? – Przechyliła lekko głowę. Na jej twarzy malowało się*

*zdziwienie. – Jakie to dziwne... to samo mogłabym powiedzieć o większości*

*tutejszych kobiet i tobie. Chociaż pewnie nikt nie walczyłby o prawo do łóżka.*

*Jesteśmy wolni. Mamy swobodę w wyborze partnerów, a oni mogą odpowiedzieć tak lub nie. Podziękowałam ci, że powiedziałeś tak.*

*Martin chwycił ją, przyciągnął do siebie i pocałował mocno, niemal brutalnie.*

*– Na naszych ziemiach jest trochę inaczej. – Puścił ją raptownie,*

*przestraszony swoim wybuchem. Patrzyła na niego trochę niepewnym wzrokiem, ale nie była przestraszona. – Przepraszam. Tylko, że... to nie była grzeczność z mojej strony, Bree.*

*Przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na ramieniu.*

*– Mówisz o czymś, co wykracza poza radości sypialni...*

*– Tak. Milczała długo.*

*– Martin, w Armengarze opanowaliśmy do perfekcji mądrość nieplanowania*

*zbyt odległej przyszłości. – Mówiła z pewnym wahaniem. Jej oczy błyszczały mocno.*

*– Moja mama miała poślubić Protektora. Ojciec nie żyje od jedenastu lat. Jestem*

*pewna, że byłby to bardzo radosny związek. – Spostrzegł, że po policzkach*

*dziewczyny spływają łzy. – Byłam kiedyś zaręczona. Narzeczony pojechał, by*

*zbrojnie odpowiedzieć na napad goblinów na jedną z naszych bacówek. Nigdy nie*

*wrócił. – Przyglądała się z uwagą jego twarzy. – Nie dajemy łatwo obietnic.*

*Wspólnie spędzona noc to jeszcze nie przysięga małżeńska.*

*– Nie należę do frywolnych mężczyzn. Nadal przyglądała mu się z uwagą.*

*– Wiem – powiedziała miękko. – A ja nie jestem lekkomyślną, pustą kobietką.*

*Bardzo uważnie wybieram partnerów. Martin, między nami coś bardzo szybko*

*rozkwita. Wiem to, czuję. To przyjdzie, gdy czas i okoliczności na to pozwolą.*

*Martwienie się na zapas to stracony wysiłek. – Zagryzła dolną wargę. Zbierała*



*przez moment siły, by powiedzieć następane zdanie. –Jestem jednym z komendantów. Mam dostęp do informacji, o których większość ludzi w mieście nie ma pojęcia. W tej chwili mogę cię jedynie prosić, abyś nie oczekiwał więcej, niż sama zechcę ci ofiarować. – Widząc, jak pochmurnieje, uśmiechnęła się ciepło i pocałowała go. – Chodź, przejedziemy się.*

*Martin szybko się ubrał. Nie był pewien, co udało mu się osiągnąć, ale było to bardzo ważne. Czuł ulgę, ale jednak był spięty i podenerwowany. Zadowolony, że wyznał swoje uczucia, i zaniepokojony, że nie wyraził ich dostatecznie jasno, przez co i odpowiedź dziewczyny była dość enigmatyczna. No, ale wychowany został przez Elfy i jak powiedziała Briana, co ma być, to będzie w odpowiednim czasie.*

*Arutha kończył właśnie relacjonować przebieg wieczornej rozmowy*

*Lauriemu, Baru i Roaldowi. Chłopcy zniknęli gdzieś na cały poprzedni dzień. Martin nie wrócił na noc do swego pokoju i Arutha domyślał się, gdzie ją spędził.*

*Laurie zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Księcia.*

*– Czyli liczba ludności spada.*

*– Tak przynajmniej twierdzi Guy.*

*– Ma rację – usłyszeli kobiecy głos od drzwi. Obejrżeli się. W drzwiach stali*

*Jimmy i Locklear. Obaj obejmowali śliczne dziewczyny. Najwyraźniej Locklear miał poważne trudności z zachowaniem powagi. Bez względu na to, jak bardzo się starał, jego usta same układały się w szeroki uśmiech.*

*– Dziewczyny pokazały nam miasto. – Jimmy przedstawił Kristę i*

*Bronwynn. – Są całe kwartały ulic zupełnie wyludnione. Dom za domem ziejący pustką. Nikogo. Ani żywej duszy. – Jimmy rozejrzał się i spostrzegł tacę z owocami.*

*Natychmiast zaatakował wielką gruszkę. – Myślę, że kiedyś musiało tu mieszkać*

*ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. A teraz, jak oceniam, mniej niż połowa.*

*– W zasadzie już się zgodziłem pomóc Armengarowi – powiedział Arutha. –*

*Problem polega jednak na tym, że nie ma jak dostarczyć wiadomości do Yabonu.*

*Być może Murmandamus patrzy trochę przez palce na udających się w te strony, ale z całą surowością pilnuje, aby nikt się stąd nie wydostał.*

*– To ma sens – zauważył Roald. – Większość spośród idących na północ i tak kieruje się do jego obozu. Nawet jeżeli kilka osób trafi do miasta, jakie to może mieć znaczenie? Gromadzi swoją armię i jeśli będzie chciał, może w ogóle ominąć Armengar.*

*– Myślę, że potrafię się przedostać – powiedział nagle Baru. – Pod warunkiem, że pójdę sam. – Arutha spojrział na niego z zainteresowaniem. – Jestem góralem. Mieszkańcy Armengar, chociaż moi krewni, to także mieszcuchy.*

*Uważam, że tylko kilku mieszkających stale wysoko w górach w przysiółkach czy bacówkach mogłoby mi dorównać. Marsz nocą, ukrywanie się za dnia – w ten sposób powinno mi się udać przejść na drugą stronę, na Wzgórza Yabonu. A kiedy już tam dotrę, nie dotrzyma mi kroku żaden goblin czy moredhel.*

*– Prawdziwym problemem będzie dotarcie do Wzgórz – powiedział Laurie. – Pamiętasz tego Łowczego? Trolle musiały go ścigać przez wiele, wiele dni.*

*– Zastanowię się nad tym. Baru – powiedział Książe. – Być może ta ryzykowna propozycja, to wszystko, czym dysponujemy, kto wie? A może jednak znajdzie się inny sposób? Na przykład wyślemy na górę z posłańcem oddział konnych. Posłaniec pójdzie dalej, a oddział przebije się z powrotem? W ten sposób ktoś, kto pójdzie z wiadomością, zyskałby sporo na czasie. Nie wiem, czy w ogóle jest to możliwe, ale omówię to z Guyem. Jeżeli nie wpadniemy na żadne inne*

*rozwiązanie, pozwolę ci spróbować. Nie wydaje mi się, aby samotna wyprawa miała być najlepszym rozwiązaniem. Pamiętasz Moraelin? Nieźle nam tam szło, a poruszaliśmy się niewielkim oddziałkiem. Udało nam się wejść i wyjść cało. – Wstał. – Jeżeli ktoś z was jest w stanie wymyślić lepszy plan, powitam to z radością. Teraz idę z Guyem na inspekcję blanków. Jeżeli utknęliśmy tu na dobre, to gdy zaczną się atak, powinniśmy im pomóc najlepiej, jak potrafimy. – Odwrócił się i wyszedł z pokoju.*

*Wiatr rozwiewał włosy Guya, gdy wpatrywali się w równinę rozciągającą się za miastem.*

*– Przebadalem każdy centymetr murów. Nadal nie mogę uwierzyć w doskonałość i perfekcyjność konstrukcji.*

*Arutha mógł jedynie potwierdzić tę opinię. Kamienie były wycięte i połączone z taką precyzją, o jakiej nawet się nie śniło mistrzom murarstwa ani kamieniarzom w Królestwie. Przesunął dłoń na styku dwóch kamieni. Z ledwością zdołał wyczuć, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi.*

*– Ten mur oparłby się nawet wysiłkom inżynierów Segersena, gdyby się pojawili.*

*– W naszych armiach mieliśmy paru dobrych fachowców, Arutha. Nie wiem, jak można by zwalić taki mur, poza cudem oczywiście. – Wyciągnął miecz i uderzył w kamienną ścianę tak mocno, aż klinga zadźwięczała. Wskazał na miejsce, w które uderzył. Arutha przyjrzał się z bliska powierzchni kamienia, na której zauważył jedynie jaśniejszą rysę. – Wygląda na błękitny granit, podobny do żelaznego kamienia – syderytu, lecz jeszcze bardziej twardy. W tych górach to bardzo rozpowszechniona skała, lecz trudniejsza do obróbki niż jakikolwiek inny minerał.*

*Nie wiemy, ani kto, ani w jaki sposób obrabiał kamienne bloki. Fundamenty sięgają prawie siedem metrów w głąb ziemi i mają u podstawy około dziesięciu metrów. Nie potrafię nawet odgadnąć, w jaki sposób bloki kamienne transportowano na miejsce z kamieniołomów. Przecież to górzysty teren. Gdyby nawet wrogowi udało się przekopać tunel, jedynym skutkiem byłoby to, że cały mur osiadłby, miażdżąc wszystko pod spodem. Ale nawet i tego nie można zrobić, ponieważ fundament murów leży bezpośrednio na litej skale.*

*Arutha oparł się plecami o mur, patrząc na miasto u swoich stóp i twierdzą w oddali.*

*– To najłatwiejsze miasto do obrony, o jakim słyszałem. Powinieneś spokojnie wytrzymać oblężenie przeciwnika o dwudziestokrotnej przewadze liczebnej.*

*– Za punkt krytyczny w zdobywaniu zamku przyjmuje się zazwyczaj przewagę nieprzyjaciela dziesięć do jednego, ale w tym wypadku jestem skłonny przyznać ci rację. Poza jednym: przeklęta magia Murmandamusa. Niewykluczone, że nie uda mu się zburzyć murów, ale gwarantuję, że ma sposoby, by przez nie przejść. Nie pytaj jak. Nie mam pojęcia, ale wiem, że jakoś to może zrobić. W przeciwnym razie nie szykowałby się do oblężenia.*

*– Pewien jesteś? A dlaczego nie miałby cię tutaj zakorkować stosunkowo niewielkim, ale mobilnym oddziałem zaczepnym, a główne siły skierować na południe?*

*– Nie może zostawić nas sobie za plecami. Miał na nas sposób przez cały rok, zanim objąłem komendę. Do dzisiaj mógł nas spokojnie wykrwawić na śmierć, gdybym nie zmienił reguł gry. W ciągu ostatnich dwóch lat nauczyłem żołnierzy wszystkiego, co sam umiem. Dzięki pomocy w nauce Amosa i Armanda*

*Armengarianie mają obecnie przewagę nowoczesnego wojska. Nie, Arutha, Murmandamus dobrze wie, że siedmiotysięczna armia gotowa jest skoczyć mu na kark, gdy tylko odwróci się plecami. Nie może sobie pozwolić, by nas zostawić na swoich tyłach. W krótkim czasie podciąlibyśmy mu skrzydła.*

*– W takim razie najpierw musi się was pozbyć, a dopiero potem ruszyć na Królestwo.*

*– Nie inaczej. Co więcej, musi to zrobić szybko albo ryzykuje, że zmarnotrawi kolejny sezon. Zima nadchodzi tu bardzo wcześnie. Śniegi leżą już kilka tygodni przed pojawieniem się ich na terenach Królestwa. W ciągu niewielu dni, a czasem nawet godzin, przełęcze stają się niedostępne. Gdy już wyruszy na południe, jest niejako skazany na odnoszenie zwycięstw, ponieważ aż do wiosny nie będzie w stanie przerzucić swych armii z powrotem na północ. Czas go goni, Arutha. Musi nadejść najdalej w ciągu dwóch tygodni.*

*– Trzeba więc bardzo szybko przelać wiadomość. Guy pokiwał głową.*

*– Chodź, pokażę ci więcej.*

*Arutha szedł za nim, czując w sercu dziwną rozterkę i konflikt lojalności.*

*Wiedział, że musi pomóc Armengarianom, ale z rezerwą odnosił się do samego Guya. Arutha zrozumiał w końcu, co nim kierowało, i dlaczego zrobił to, co zrobił. W pewnym stopniu, chociaż z niechęcią, nawet go podziwiał, lecz nie darzył sympatią. Co więcej, dobrze wiedział dlaczego go nie lubił: Guy sprawił, że Arutha dojrzał podobieństwa ich natury – przyzwolenie na zrobienie tego, co musiało być zrobione, bez względu na cenę, jaką trzeba było za to zapłacić. Jak do tej pory Arutha nigdy nie musiał się posuwać tak daleko, jak miało to miejsce w przypadku Guya.*

*Niemniej uzmysłowił sobie z niezwykłą wprost wyrazistością, że gdyby znalazł się w*

*jego sytuacji, prawdopodobnie zachowałby się tak samo. I właśnie to ostatnie sprawiło, że nie czuł się najlepiej.*

*Szli dalej przez miasto. Arutha pytał o szczegóły, które zaobserwowali przy wjeździe.*

*– Tak – powiedział Guy. – Nie ma ściśle określonych pól i linii ostrzału. Za każdym zakrętem może się więc kryć zasadzka. W twierdzy mam dokładny plan miasta. Wynika z niego, że zostało ono mądrze rozplanowane i nie jest to wynik przypadku. Gdy się raz dostrzeże powielony wzorzec, łatwo wybrać właściwy kierunek, by trafić do każdego wybranego punktu. Gdy się nie zna tego wzorca, można kręcić się w kółko, aby w końcu trafić w pobliże zewnętrznego muru. – Wskazał budynek. – Wszystkie domy są pozbawione okien od strony ulicy, a każdy dach w praktyce jest platformą strzelniczą dla łuczników. Miasto zostało zbudowane w taki sposób, by najeźdźca zapłacił bardzo wysoką cenę za próbę jego zdobycia. Wkrótce znaleźli się w głównej twierdzy. Przez jej dziedziniec przechodzili właśnie chłopcy.*

*– A gdzie wasze dziewczyny? – spytał Arutha. Locklear był rozczarowany.*

*– Miały coś do zrobienia przed zameldowaniem się na służbę. Guy przyjrzał się młodzieńcom.*

*– Skoro nie macie nic lepszego do roboty, chodźcie z nami. Poszli za nim na pierwszą kondygnację. Weszli na ruchomą platformę. Guy szarpnął kilka razy za dzwonek, dając znak, by wciągnięto ich na najwyższy poziom. Po chwili znaleźli się na szczycie. U ich stóp rozciągało się miasto, a za nim bezkresna równina.*

*– Armengar. – Ręka Guya zatoczyła szeroki łuk, wskazując horyzont. – Dalej to Równina Isbandii przecięta w poprzek przez Dolinę Isbandii, granica naszych*

ziem na północy i północnym zachodzie. Równina po drugiej stronie należy już do Murmandamusa. Na wschodzie Las Edder. Równie ogromny jak Czarny Las czy Zielone Serce. Niewiele o nim wiemy poza tym, że w miarę bezpiecznie możemy pozyskiwać drewno na jego obrzeżach. Kto zapuści się w głąb na więcej niż kilka kilometrów, zazwyczaj nigdy już nie wraca. – Wskazał na północ. – Za doliną znajduje się Sar-Sargoth. Jeśli ktoś jest bardzo odważny, może wspiąć się na wzgórze na północnej krawędzi doliny. W nocy widać ze szczytów światła bliźniaczego miasta.

Jimmy przyglądał się z uwagą machinom wojennym ustawionym na dachu twierdzy.

– Nie znam się na tym za bardzo, ale czy te katapulty mogą wystrzeliwać pociski poza zewnętrzny mur?

– Nie. Chodź, coś ci pokażę.

Wrócili do windy i Guy pociągnął za linkę. Arutha zorientował się, że obowiązywał jakiś kod, którym określano nie tylko kierunek jazdy – w dół czy w górę, ale jak podejrzewał, i konkretną kondygnację.

Zjechali na parter, a potem jeszcze niżej. Gdy dotarli do piwnic, kilka pięter poniżej poziomu ziemi, zeszli z platformy. Minęli gigantyczny kierat poruszany przez czwórkę koni, stanowiący siłę napędową platformy. Wrażenie było doprawdy imponujące. Ogromne koła zębate, dziwaczne i skomplikowane systemy lin i drewnianych bloków. Guy nie zwracał uwagi na konie i poganiacza. Minął ich bez słowa, kierując się w stronę ogromnych wrót zaryglowanych od wewnątrz.

– To droga ucieczki z twierdzy. Trzymamy wyjście zamknięte, ponieważ szczęśliwym trafem stale tędy wieje, a przeciagów trzeba unikać. – Po przeciwnej

*stronie znajdowały się podobne, równie wielkie drzwi. Guy otworzył je, wprowadzając ich w naturalny tunel. Zdjął dziwnie wyglądającą lampę, wiszącą obok drzwi. Świeciła o wiele słabszym światłem, niż można się było spodziewać.*

*– To urządzenie wykorzystuje jakąś substancję chemiczną dla wytworzenia światła. Nie wiem dokładnie, na czym to polega, ale najważniejsze, że działa jak należy. W tym miejscu nie ryzykujemy chodzenia z otwartym ogniem. Zaraz zobaczycie dlaczego.*

*Jimmy przyglądał się z uwagą powierzchni ścian. Oderwał kawałek łuszczącej się woskowatej substancji. Roztarł ją między kciukiem i palcem wskazującym i powąchał.*

*– Rozumiem – powiedział, robiąc znaczącą minę. – Nafta.*

*– Tak. – Guy zerknął na Aruthę. – Bystry jest.*

*– I równie bystro przypomina mi o tym przy każdej okazji – powiedział Arutha. – Skąd wiedziałeś?*

*– Czy pamiętasz, panie, ten mostek na południe od Sarth, w zeszłym roku?*

*Ten, który podpaliłem, by zatrzymać Murada i Czarnych Zabójców po drugiej stronie? Tego właśnie użyłem wtedy, roztworu nafty.*

*– Chodźcie – powiedział Guy, prowadząc ich przez kolejne drzwi.*

*Gdy tylko weszli do środka, ich nozdrza zaatakował smród smoły. Na łańcuchach wisiły dziwne, wielkie kubły. Kilkunastu rozebranych do pasa mężczyzn pracowało w pocie czoła, opuszczając wiadra do wielkiej dziury wypełnionej po brzegi czarną cieczą. W kilku miejscach świeciły się ponuro dziwaczne latarnie, ale w zasadzie przestrzeń groty pogrążona była w mroku.*

*– Cała góra poryta jest pod ziemią tunelami i we wszystkich znaleźliśmy to*



mazidło. Pod spodem musi się znajdować naturalne źródło i nafta bez przerwy sączy się ku górze. Musimy ją nieustannie wydobywać. Gdy wstrzymamy prace, najdalej w ciągu kilku dni przecisnie się między szczelinami w skale i pozalewa piwnice w mieście. Armengarianie robią to od lat – wszystko jest pod kontrolą.

– Teraz widzę, dlaczego nie ryzykujecie otwartego ognia – powiedział

Locklear, nie kryjąc zdumienia.

– Z pożarem jakoś sobie poradzimy. Było ich już kilkadziesiąt, ostatni nie dalej jak w zeszłym roku. Ważniejsze jest co innego. Udało nam się odkryć, to znaczy Armengarianie odkryli inne, nieznane w Królestwie, zastosowanie dla tej cieczy. – Wskazał drogę do następnego pomieszczenia, gdzie ogromne zbiorniki połączone były dziwnym, poplątanym systemem rur. – Tutaj dokonujemy destylacji i sporządzamy różne mikstury. Rozumiem z tego najwyżej dziesiątą część. Gdybyście byli zainteresowani, alchemicy wszystko wyjaśnią. Potrafią zrobić z nafty wiele rzeczy, nawet maści zapobiegające niegojeniu się ran. Najważniejsze, że odkryli sekret produkcji słynnych ogni z Queg.

– Ogień z Queg! – krzyknął Arutha.

– Co prawda nie nazywają ich w ten sposób, ale to samo. Ściany są z wapienia i właśnie proszek wapienny zmienia naftę w gęsty olej, który jest podstawą ognia z Queg. Po wystrzeleniu z katapulty ładunek zapala się i nie można go ugasić nawet wodą. Z tego powodu musimy zachowywać jak najdalej posuniętą ostrożność, ponieważ ten specjał nie tylko się pali. – Spojrzał na Lockleara. – Dym jest bardzo gęsty i ciężko ściele się po ziemi. Gdyby pozwolić oparom skumulować się w jednym miejscu, a potem wpuścić dużo powietrza, to przy najmniejszej iskieierce dym eksploduje. – Wskazał ku odległej piwnicy wypełnionej po brzegi beczkami. –

*Jeszcze dziesięć lat temu nie było tam żadnego magazynu. Po opróżnieniu beczki napelnia się natychmiast znowu albo zanurza w wodzie do następnego wykorzystania. Kiedyś jakiś kretyn zostawił trzy puste beczki. Przypadkiem ktoś skrzesał iskrę przy jednej z nich i... Wystarczyło tylko to, co wsiąkło w drewno beczki i później parowało. Skończyło się gigantyczną eksplozją. Dlatego trzymamy tamte drzwi zamknięte na głucho. Podmuchy z gór wiejące przez drogę ewakuacyjną mogą nasycić powietrzem cały podziemny kompleks w ciągu jednego czy dwóch dni. A gdyby wybuchło wszystko naraz... – Zawiesił głos, dając czas wyobraźni, by podsunęła właściwy obraz. – Na mój rozkaz Armengarianie od dwóch lat produkują tę substancję, aby zgotować Murmandamusowi gorące powitanie, gdy się tu pojawi.*

*– Ile macie beczek? – spytał Arutha.*

*– Ponad dwadzieścia pięć tysięcy.*

*Arutha zachwiał się z wrażenia. Gdy po raz pierwszy spotkał Amosa, kapitan miał w ładowniach swego statku dwieście beczek, o czym Tsurani, którzy podłożyli ogień, nie mieli pojęcia. Gdy nastąpiła eksplozja, płomienie wzbily się na wysokość kilkuset metrów. Morze ognia natychmiast ogarnęło cały statek i strawiło go do szczętu w ciągu paru minut. Rozpalony do białości słup był widoczny na wiele, wiele kilometrów wzdłuż wybrzeża. Gdyby połowa miasta nie była już spalona przez napastników, ogień spopieliłby znaczną część Crydee. – To wystarczy...*

*– By spalić całe miasto – dokończył Guy.*

*– Po co aż tyle? – spytał Jimmy.*

*– Jest coś, co wszyscy musicie dobrze zrozumieć. Armengarianom nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że mogliby opuścić miasto. Są zdania, że nie ma dla*

*nich innego miejsca, gdzie mogliby znaleźć schronienie. Przybyli na północ, uciekając przed Królestwem. Myślą więc, że nie będą mogli wrócić na południe. Czuli się otoczeni wrogami ze wszystkich stron. Gdyby miało dojść do najgorszego, raczej puszczą miasto z dymem, niż mieliby pozwolić na zdobycie go przez Murmandamusa. Opracowałem alternatywny plan, ale w każdym wypadku przyda się wiele ognia. – Guy zawrócił w stronę platformy, poszli za nim w milczeniu. Martin siedział oparty o drzewo. Całował włosy Briany. Wtulila się głębiej w jego ramiona. Wpatrywała się niewidzącym spojrzeniem w przestrzeń. U ich stóp bulgotał wąski strumyk, wijąc się przez kępę drzew spowijającą ich chłodnym cieniem. Jej oddziałek udał się na południową sjęstę. Miejscowi chłopcy przynieśli posiłek. Briana i Martin wykradli się na ubocze, by cieszyć się samotnością. Lesista okolica uspokoiła Martina. Od wielu miesięcy nie czuł się tak rozluźniony, chociaż nadal nurtował go niezrozumiały niepokój. Kochali się pod drzewami, a teraz po prostu cieszyli się swoją bliskością. Mimo to Martin czuł w sobie jakąś pustkę.*

*– Chciałbym, żeby to trwało wiecznie, Bree – szepnął jej do ucha.*

*– Ja też, Martin. – Westchnęła cichutko i poruszyła trochę. – Jesteś taki, jak ten, którego kiedyś znałam. Chyba nic mi więcej nie trzeba do szczęścia.*

*– Gdy to wszystko się skończy... Przerwała mu.*

*– Gdy to się skończy. Wtedy porozmawiamy sobie. Chodź, musimy wracać. – Ubrała się szybko. Martin podziwiał jej piękno, nie odwracając wzroku. W Brianie nie było ani śladu delikatnej urody kobiet, które znał z domu. Jej uroda była nacechowana szorstką ostrością, złagodzoną jednakże prawdziwie kobiecym wdziękiem. Według żadnego kryterium nie można było określić jej mianem ładnej dziewczyny. Jednak przykuwająca uwagę Martina pewność siebie i niezależność*

*sprawiwały, że było w niej coś naprawdę uderzającego, wręcz wyjątkowego i pięknego. Dziewczyna zawładnęła nim bez reszty.*

*Skończył się ubierać i zanim zdążyła odejść, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Pocałował namiętnie.*

*– Nie muszę mówić. A ty i tak znasz me pragnienia i oczekiwania. Czekałem na ciebie tak długo.*

*Spojrzała prosto w jego ciemne oczy i dotknęła twarzy.*

*– A ja na ciebie. – Pocałowała go delikatnie. – Musimy wracać.*

*Pozwolił, by poprowadziła go w stronę wioski. Gdy wychodzili z lasu, napotkali dwóch żołnierzy zmierzających w ich kierunku. Widząc ich zatrzymali się.*

*– Komendancie, Martin, już mieliśmy iść po was. Zwróciła się w stronę drugiego, który nie należał do jej oddziału.*

*– Co się dzieje?*

*– Protektor rozkazuje, aby patrole natychmiast rozjechały się po okolicy.*

*Wszystkie przysiółki i bacówki mają być ewakuowane. Mieszkańcy muszą przenieść się do miasta. Armia Murmandamusa wyruszyła. Najdalej w ciągu tygodnia staną pod murami.*

*– Wydaj rozkaz wymarszu. Rozdzielimy się. Grenlyn, weźmiesz połowę ludzi i udasz się do bacówek i przysiółków na nizinach i nad rzeką. Ja wezmę wyżej położone, w górach. Jak tylko skończysz, natychmiast wracaj. Protektor będzie potrzebował jak najwięcej zwiadowców. Ruszaj. – Spojrzała na Martina. – My też ruszamy. Mamy wiele do zrobienia.*

# ODKRYCIE

*Gamina obudziła się, krzyząc przeraźliwie.*

*Kalata pędem wbiegła do dzieciennego pokoju i utuliła dziewczynkę w ramionach. Gamina łkała jeszcze przez chwilę, ale w końcu się uspokoiła. W progu pojawił się zaspany William, a tuż za nim rozeźlony smok ognisty. Fantus przeczłapał koło chłopca, podszedł do łóżka i położył łeb przy małej.*

*– Przysniło ci się coś złego, malutka? – spytała Katala. Gamina pokiwała główką.*

*– Tak, mama – powiedziała cichutkim głosem. Dziewczynka powoli zaczynała się uczyć mówić. Nie zawsze posługiwała się mową my siną, która od wczesnego dzieciństwa wyróżniała ją i do której miała szczególne zdolności.*

*Cała rodzina Gammy nie żyła. Dziewczynka była wychowywana przez Rogena, ociemniałego „widzącego”. Starzec przyprowadził ją do Stardock. To właśnie on pomógł Pugowi dowiedzieć się i upewnić, że za wszystkimi nieszczęściami, które ostatnio nawiedziły Królestwo, stał Nieprzyjaciel. Ujawnienie tej tajemnicy kosztowało starca dużo cierpień i niewiele brakowało, a przyplaciłby to życiem. Gdy doszedł jako tako do siebie, on i Gamina zostali z rodziną Puga i w ciągu ostatniego roku stali się prawie jej członkami. Podczas gdy Katala matkowała Gaminie, Rogen był dla Williama jak dziadek, a Gamina i William jak siostra i brat. Trzy miesiące temu staruszek zmarł spokojnie we śnie, ale w ostatnim okresie życia był bardzo szczęśliwy, że jego podopieczna znalazła kogoś, kogo mogłaby kochać i komu mogłaby ufać. Kalata tuliła dziecko, głaszcząc i całując, dopóki mała się nie uspokoiła.*

*Do pokoju wpadł jak burza ogromny Meecham, wolny chłop, służący i*

*przyjaciel Kulgana. Rozejrzał się gorączkowo dookoła, szukając źródła zagrożenia.*

*Wkrótce po tym, jak Pug wyruszył na poszukiwanie Obserwatorów, Meecham udał się z Kelewanu wraz z Hochopepą i Elgaharem ze Zgromadzenia. Kolejny towarzysz ich wyprawy, brat Dominie, powrócił do opactwa Ishap w Sarth. Meecham sam wziął na siebie obowiązek opieki nad rodziną Puga, gdy ten przebywał na Kelewanie. Mimo groźnego wyglądu i stoickiego spokoju należał do ulubieńców Gammy. Dziewczynka nazywała go wujkiem Meechamem. Stanął za Katalą, obdarzając ją jednym ze swych niestłuchanych rzadkich uśmiechów.*

*Do pokoju weszli Kulgan i Hochopepą. Dwóch magów reprezentujących dwa różne światy, a tak do siebie podobnych. Podbiegli do małej i zaaferowani krzatali się koło niej.*

*– Nie śpicie jeszcze? Tyle pracy? – spytała Kalala.*

*– Przecież jeszcze wcześnie, prawda? – spytał Hochopepą, wodząc dookoła zdziwionym wzrokiem.*

*– Nie, chyba że chodzi o wcześnie rano – powiedział Meecham. – Już godzina po północy.*

*– Hm, pochłonęła nas pewna bardzo interesująca dysputa i... – zaczął Kulgan.*

*– Straciliście poczucie czasu – dokończyła Kalala. Powiedziała to na poły z rozbawieniem, a na poły z przyganą w głosie. Formalnym właścicielem Stardock był Pug. W czasie jego nieobecności Katalą sprawowała rządy nad społecznością wyspy. Jej spokojne usposobienie, inteligencja i zdolność taktownego postępowania z ludźmi uczyniły ją w sposób naturalny przywódczynią bardzo zróżnicowanej społeczności użytkowników magii i ich rodzin, chociaż czasami ten i ów słyszał, jak*

*Hochopepą zrzędzi pod nosem o „tej okropnej tyrance”. Nikomu to jednak nie przeszkadzało, ponieważ wszyscy wiedzieli, że mówi o niej z szacunkiem i ojcowską miłością.*

*– Omawialiśmy pewne raporty przesłane przez Shimone'a ze Zgromadzenia*  
*– wyjaśnił Kulgan. Zgodnie z umową przejście między dwoma światami było*  
*regularnie otwierane na krótką chwilę, by można było wymienić wiadomości*  
*między akademią w Stardock a Zgromadzeniem Magów Kelewanu.*

*Katalą spojrzała na niego z wyczekiwaniem, ale Hochopepą pokręcił lekko*  
*głową.*

*– Nadal żadnych wieści o Pugu.*

*Katalą westchnęła ciężko. Nagle wpadła w złość.*

*– Hocho, Kulgan, możecie prowadzić te swoje badania, jak chcecie, ale biedny*

*Elgahar pada ze zmęczenia. Prowadzi prawie całe szkolenie nowych magów*

*Wyższej Drogi i nigdy się nie uskarża. Powinniście poświęcić nieco waszej energii,*  
*by mu pomóc.*

*Kulgan wydobyl z kieszeni fajkę.*

*– Udzielono nam słusznej nagany – powiedział. Wymienił z Hochopepą*  
*znaczące spojrzenia. Obaj wiedzieli dobrze, że ostry ton Katali spowodowany był*  
*troską o męża, który od roku nie dawał znaku życia.*

*– Zgadza się – dorzucił Hochopepą. On również wyciągnął fajkę. Było to*  
*przyzwyczajenie, którego się nauczył od Kulgana w czasie wspólnej pracy. Jak*  
*słusznie kiedyś zauważył Meecham, drugiej takiej pary jak obaj magowie ze świecą*  
*by szukać.*

*– A jeśli macie zamiar palić to wasze smrodliwe ziele, zabierajcie stąd wasze*

*fajki i siebie samych. To sypialnia Gammy i nie pozwolę, aby śmierdziała dymem.*

*Kulgan, który właśnie miał zapalić fajkę, cofnął rękę.*

*– Niech i tak będzie. Jak dziecko? Gamina przestała płakać.*

*– Już dobrze – powiedziała cichutko. Od kiedy nauczyła się mówić, jej głos nigdy, z wyjątkiem krzyku sprzed kilku minut, nie podnosił się nad miękki, dziecienny szept. – Miałam zły sen.*

*– Jaki sen? Opowiedz nam – poprosiła Katalą.*

*– Słyszałam, jak tatuś mnie wołał. – Oczy dziewczynki napętniły się łzami.*

*Kulgan i Hochopepą spojrzeli na dziewczynkę z napięciem.*

*– I co ci powiedział, dziecko? – spytał Kulgan spokojnie i po cichu, aby nie przestraszyć małej.*

*Twarz Katali zrobiła się biała jak płótno, lecz poza tym młoda kobieta nie okazała żadnych innych oznak przerażenia. Urodziła się w rodzie wojowników i mogła zmierzyć się z każdą sytuacją, poza tą, gdy nie wiedziała, jaki jest los jej męża.*

*— Gamina, co powiedział ci tata? – spytała spokojnie.*

*– On był... – i jak zawsze, gdy była zdenerwowana, dziewczynka podświadomie powróciła do mowy myślniej. „Tatuś był w takim dziwnym miejscu.*

*Bardzo daleko. Chyba był z kimś? Było ich więcej? Powiedział, powiedział...”*

*– Co powiedział, dziecko? – spytał niecierpliwie Hochopepa.*

*„Powiedział, że musi poczekać na wiadomość, a potem coś się zmieniło.*

*Odszedł? w jakieś puste miejsce? Przestraszyłam się. Byłam taka samiutka”.*

*Kalata przytuliła ją mocno do siebie. Mówiła opanowanym głosem, choć czuła, jak narasta w niej przerażenie.*



– Gamina, nie jesteś sama – powiedziała, jednak myśl wypowiedziana przez córkę kołatała się w jej sercu głuchym echem. Nawet wtedy, gdy Zgromadzenie zabrało jej Puga, by uczynić go Wielkim, nie czuła się tak samotna i opuszczona.

Pug przymknął oczy ze zmęczenia. Głowa opadała powoli, aż wsparła się na ramieniu Tomasa. Przyjaciel spojrzał na niego.

– Przedostałeś się?

– Tak – Pug westchnął ciężko – ale było to o wiele trudniejsze, niż sądziłem. A do tego przestraszyłem dziecko.

– Ale przedostałeś się. To najważniejsze. Będziesz mógł to powtórzyć?

– Chyba tak. Umysł mój jest absolutnie wyjątkowy. Zresztą następnym razem powinno być już łatwiej. Teraz wiem o procesie komunikowania się znacznie więcej. Za pierwszym razem znałem jedynie teorię. Teraz wprowadziłem ją w życie.

– To dobrze. Ta umiejętność może nam się bardzo przydać. Pędzili przez szarość, którą zaczęli nazywać międzyprzestrzenią, obszarem pomiędzy materią czasu a fizycznym wszechświatem. W chwili, gdy Pug zasygnalizował koniec kontaktu z bliskimi na Stardock, Tomas polecił Ryath przekroczyć granicę rzeczywistości. Smok przestał do jego umysłu pytanie: „Valheru, gdzie sobie życzysz się udać?”

– Do Wiecznego Miasta – odpowiedział na głos Pug. Wydało im się, że Ryath się wzdrygnęła. Smok zapanował nad otaczającą ich nicością, naginając ją do swych wymagań przemieszczania się. Bezkształt, bezwymiarowa nicość zdawała się pulsować. W jakiś niewytłumaczalny sposób zmieniali kierunek przesuwania się w pozbawionym granic wymiarze, tym „niemiejsku”. Nagle tkanina szarości rozdarła się wokół nich i znaleźli się zupełnie gdzie indziej.

*W szarym тумanie ukazał się dziwny obraz, pierwszy zwiastun jakiegokolwiek realności w międzyprzestrzeni. Rósł gwałtownie, jakby Ryath pędziła ponad fizyczną, namacalną pustką. Po chwili krążyli już ponad właściwym miejscem. Miastem przerażająco pięknym i zarazem obcym. Miastem z wieżami o poskręcanej symetrii, niewiarygodnie strzelistymi minaretami, budowlami o przedziwnej architekturze rozciągającymi się pod wypiętrzonymi przepysznymi lukami spinającymi wieże. Fontanny o wymyślnych kształtach wyrzucały kropelki płynnego srebra, które zmieniały się w locie w drobinki kryształu. Sypiąc się jak groch na kamienne posadzki, wypełniały powietrze dźwięczną muzyką. W chwili zetknięcia z kamieniem przemieniały się ponownie w płynne srebro i znikwały pod ziemią.*

*Smok przechylił się w locie i zataczając krąg, spłynął w dół ponad wspaniałą bulwar o prawie stumetrowej szerokości. Cała ulica była wyłożona kamiennymi płytkami, a każda z nich lśniła miękką poświatą, której odcień odrobinę różnił się od pozostałych. Dzięki temu bulwar promieniał z daleka nieustannie zmiennym, tęczowym blaskiem. Gdy cień smoka przesunął się nad ulicą, płyty rozbłyskiwały, zmieniając barwy. Powietrze nappełniło się piękną i majestatyczną muzyką, która sprawiała, że serca przeszywało uklucie tęsknoty za zielonymi polami rozciągającymi się nad brzegami błyszczących pieniście strumieni, gdy promienie zachodu malowały pastelowymi barwami wspaniałe góry na horyzoncie. Wizje były tak realne, iż niemal zdominowały ich umysły. Pug potrząsnął głową, uwalniając się od nich, odpychając od siebie delikatny smutek i żal, że tak cudownego miejsca nigdy nie uda się znaleźć. Lecieli pod majestatycznymi lukami, spinającymi przestrzeń kilkaset metrów ponad ich głowami. Wokół nich opadał, migocząc*

*srebrzyście i złociście, deszcz maleńkich płatków kwiatów. Gdy zbliżali się do centrum miasta, towarzyszył im delikatnie pieszczący i rozsiewający woń dzikiego kwiecia, deszcz płonących ogniście różów i cynobrów, pastelowych zieleni i błękitów.*

*– Kto stworzył to чудо? – spytał Pug.*

*– Nikt nie wie. Jakaś nieznana rasa. Być może zmarli bogowie? – Pug przyglądał się z zainteresowaniem przesuwającemu się pod nimi miastu. – Albo też nikt go nie zbudował.*

*– Jak to? – zdziwił się Pug.*

*– Wszechświat jest nieskończony. W związku z tym najbardziej nieprawdopodobne zjawiska i rzeczy, choćby wydawały nam się niemożliwe, są w nim nie tylko możliwe, ale wręcz pewne. Po prostu muszą istnieć w jakimś miejscu i czasie. Być może miasto to zaistniało na samym początku, w pierwszej sekundzie stworzenia? Po raz pierwszy odkryli je Valheru przed wiekami. Wyglądało identycznie jak teraz. To jedna z największych tajemnic wielu światów, które przewędrowali Valheru. Nikt tu nie mieszkał albo my, Valheru, nie potrafiliśmy ich odnaleźć. Wiem, że niektóre rasy pojawiają się tutaj i mieszkają jakiś czas, ale nigdy długo. To miejsce nie zmienia się, ponieważ znajduje się tam, gdzie nie istnieje prawdziwy czas. Mówi się nawet, że Wieczne Miasto to jedyny prawdziwie nieśmiertelny element we wszechświecie. – Tomas zamilkł i po chwili dorzucił smutnym głosem:*

*– Kilku Valheru, powodowanych ambicją, próbowało je zniszczyć.*

*Niewykluczone, że Wieczne Miasto to jedyna rzecz, która pozostaje nieczuła na ich wściekłość i potęgę.*

*Pug zauważył kątem oka jakiś ruch. Obrócił głowę. Ze szczytu odległego budynku wysypał się rój dziwnych istot. Utworzyły w locie klucz i ruszyły w ich stronę. Wskazał je Tomasowi.*

*– Widać, że byliśmy oczekiwani.*

*Stwory pędziły ku nim. Były bardzo podobne do elementarnych bytów, które*

*Pug rok wcześniej unicestwił na brzegach Wielkiego Jeziora Gwiazdzistego. Różniły się tylko czerwoną barwą i większymi rozmiarami. Ludzkie w kształcie postacie, poruszając czerwonymi, nietoperzowatymi skrzydłami nadlatywały ku dwóm jeźdźcom smoka.*

*– Czy powinniśmy wylądować? – spytał Pug spokojnym głosem.*

*– Nic to nie da. To tylko pierwsza próba sił. Z gardzieli Ryath buchnął bojowy klangor. Wataha złych duchów zakolebała się w locie i runęła ku nim. W czasie pierwszego przelotu złocista klinga Tomasa śmignęła w górę. Dwa stworzenia z odrąbanymi skrzydłami, kwiląc i wrzeszcząc w agonii, runęły na kamienne płyty.*

*Pug ciskał oburącz błękitne strumienie energii, które tańcząc przeskakiwały od stwora do stwora. Uskrzydłone byty zwijały się z bólu i spadały bezwładnie w dół.*

*W chwili uderzenia o ziemię znikwały w wybuchach zielonkawego płomienia i deszczu srebrnych iskier. Ryath plunęła ogniem. Wszystkie stwory, które znalazły się w jego zasięgu, momentalnie zostały spopielone. Pozostałe zawróciły i zniknęły w oddali.*

*Smok zawrócił. Skierował się w stronę złowrogo wyglądającej budowli z czarnego kamienia, która rozsiadła się ciężko jak zadumana potworność pośród czystego piękna.*

*– Ktoś wychodzi wprost ze skóry, by wskazać, gdzie powinniśmy się kierować. To z pewnością pułapka. – zauważył Tomas.*

– Czy będziemy musieli bronić Ryath? – spytał Pug. Smok prychnął gniewnie.

– Tylko przed najpotężniejszą magią. Gdyby miało do tego dojść, my i tak będziemy już dawno martwi, a ona będzie mogła uciec do realnego świata.

Słyszysz?

„Słyszę i rozumiem”, odpowiedział smok.

Znurkowali ponad wyłożonym cegłą dziedzińcem. Ryath zatoczyła szeroki łuk. Tomas, korzystając ze swej mocy, opuścił siebie i Puga z grzbietu smoka na ziemię.

– Wróć do fontann i odpocznij. Woda jest słodka, a okolica przyjemna i spokojna. Jeśli wydarzy się coś złego, jesteś wolna, rób, co uznasz za stosowne.

Gdybyśmy cię potrzebowali tutaj czy na Midkemii, usłyszysz me wezwanie.

„Odpowiem na twe wezwanie, Tomasie”.

Smok odleciał, a Tomas zwrócił się do Puga.

– Chodź, czeka na nas pewnie ciekawy komitet powitalny. Pug popatrzył przez chwilę na przyjaciela z lat dziecińczych.

– Jeszcze gdy byłeś dzieckiem, twój pogląd na temat tego, co interesujące i ciekawe, był o wiele szerszy od mojego. No, ale nie mam wyboru. Czy znajdziemy w środku Macroosa?

– Podejrzewam że nie, ponieważ zostaliśmy w to miejsce niejako przyprowadzeni za rączkę. Wątpię, by Nieprzyjaciel aż tak bardzo chciał nam ułatwić zadanie.

Przekroczyli próg jedyne go wejścia do gigantycznego, czarnego gmachu. Gdy znaleźli się wewnątrz, za ich plecami opadła z hukiem kamienna zasłona, odcinając definitywnie ewentualną drogę ucieczki. Tomas obejrzał się z rozbawieniem na

twarży.

– No to tyle, jeśli chodzi o łatwy odwrót. Pug ocenił wzrokiem kamienne bloki.

– W razie potrzeby mogę sobie z tym poradzić, ale zajmie to trochę czasu.

Tomas kiwnął głową.

– Tak myślałem. Idziemy.

Ruszyli w dół długiego korytarza. Pug wytworzył wokół nich krąg jasnego światła. Ściany były idealnie gładkie, bez żadnych wyróżniających cech czy znaków.

Korytarz prowadził cały czas w jedną stronę. Podłoga została wykonana z tego samego materiału.

Stanęli w końcu przed pojedynczymi, zupełnie gładkimi drzwiami pozbawionymi klamki, zamków czy innych sposobów otwierania. Pug przyglądał się im przez moment i wypowiedział zakłęcie. Szarawy prostokąt uniósł się powolutku ku górze, wydając przeciągły zgrzyt i pisk. Przekroczyli próg i znaleźli się w ogromnej sali z szeregiem drzwi. Gdy tylko zbliżyli się do jej środka, wszystkie drzwi otworzyły się z hukiem i do wnętrza wdarła się horda wyjących i warczących stworów. Małpy z orlimi głowami, ogromne koty z żółtymi skorupami na grzbietach, węże z nogami i ramionami, wielorękie człekokształtne istoty – cała armia potworności wlewała się do sali. Tomas dobył miecza i wzniosł tarczę.

– Gotuj się, Pug!

Mag wyrzucił z siebie zakłęcie. Ziejący szkarłatem płomienny krąg buchnął na boki, spowijając pierwsze szeregi bestii – eksplodowały momentalnie oślepiającymi, rozżarzonymi do białości srebrzystymi rozbłyskami. Wiele cofnęło się w popłochu, ale te, które potrafiły skakać czy latać, przemknęły ponad ścianą płomieni prosto pod miecz Tomasa. Po uderzeniu klingą ginęły w chmurze

*rozpalonych srebrzyście iskier, a w powietrzu rozchodził się smród zgnilizny i rozkładu. Tłum bestii narastał z każdą chwilą. Przez otwarte drzwi nieustannie wlewały się strumienie nowych, spychając w krąg magicznego ognia istoty znajdujące się bliżej środka sali. To jeden, to drugi buchał srebrzystą chmurą ognia, by zniknąć na zawsze.*

*– Chyba nigdy się nie skończą.*

*Tomas skinął głową, tnąc mieczem gigantycznego szczura ze skrzydłami orła.*

*– Czy możesz pozamykać te cholerne drzwi? Pug wypowiedział kolejne magiczne zaklęcie i sala napełniła się jęklwym zgrzytem metalu i kamienia zamykających się drzwi. Stwory, które w ostatniej chwili chciały się przecisnąć do środka, były miażdżone przez ciężkie płyty i ginęły z budzącym litość wrzaskiem, pohukiwaniem czy piskiem. Tomas odesłał w niebyt pozostałe bestie, które przeleciały nad ogniem. Przez chwilę stali samotnie w płomiennym kręgu. Tomas dyszał lekko.*

*– To denerwujące.*

*– Mogę to zakończyć – powiedział Pug. Płomienna ściana zaczęła rozszerzać się na zewnątrz. Wszystkie stwory ginęły, gdy liznęły je pierwsze języki ognia. Po chwili płomienie dotarły do samej ściany. Ostatnie, pozostające przy życiu bestie eksplodowały w kakofonii wrzasków i jęków. Stopniowo płomienie przypadły do ziemi i zgasty. Pug rozejrzał się.*

*– Za każdymi drzwiami czają się dziesiątki stworów. Jak myślisz, którą?*

*– Chyba w dół.*

*Pug wyciągnął ku niemu rękę. Tomas zarzucił tarczę na plecy i chwycił dłoń przyjaciela, trzymając miecz w drugiej ręce. Następne magiczne zaklęcie i Tomas*

spozstrzegł ze zdziwieniem, że przyjaciel staje się przezroczysty. Spojrzał w dół i stwierdził, że może zobaczyć podłogę przez swe własne ciało. Pug mówił coś, brzmiało to tak, jakby mówił z wielkiej odległości.

– Nie puszczaj mojej ręki, dopóki ci nie powiem. W przeciwnym razie będzie mi trudno cię odzyskać.

Tomas spostrzegł, że podłoga unosi się ku górze lub raczej, że to oni się w nią zapadają. Gdy wniknęli w skałę podłoża, otoczył ich mrok. Po długiej chwili ponownie pojawiło się światło. Byli w innej sali. Coś przemknęło przez powietrze.

Tomas poczuł w boku straszny ból. Spojrzał w dół. Stał pod nim ogromny wojownik z głową dzika. Piers i plecy okrywał mu jaskrawoblękitny pancerz. Bestia ryknęła. Z długich kłów sterczących z pyska ciekła spieniona ślina. Zamachnęła się na Tomasa ogromnym, groźnie wyglądającym toporem o obosiecznym ostrzu. Tomas w ostatniej chwili sparował cios mieczem.

– Puść mnie! – krzyknął Pug.

Tomas puścił dłoń przyjaciela i natychmiast stał się materialny. Wylądował miękko na ziemi przed człowiekiem-dzikiem. Bestia wyprowadziła znad głowy kolejny, druzgoczący cios. Tomas sparował i odskoczył w tył, uwalniając jednocześnie tarczę z pleców. Pug znalazłszy się na ziemi natychmiast wypowiedział zaklęcie. Jak na stworzenie tak ogromne dzikowaty stwór poruszał się błyskawicznie. Tomas mógł się jedynie bronić, a i to przychodziło mu z trudem. Po kolejnym sparowaniu ciosu Valheru zrobił nagły wypad i zranił przeciwnika. Bestia odskoczyła w tył, rycząc wściekle.

Pug w tym czasie wysłał przed siebie wiązkę dymu, który pulsując rozwijał się powoli i pełzał jak wąż. W ciągu pierwszych kilku sekund pokonał on co prawda



niewiele ponad metr przestrzeni, ale z każdą chwilą nabierał coraz większej szybkości. Po chwili, jak atakująca kobra, dym wystrzelił w przód, atakując nogi stwora. Owinął się dookoła nich i natychmiast zestalił. Nogi uwięzły w twardej jak kamień, ciężkiej bryle. Bestia ryknęła rozwścieczona, próbując się poruszyć. Na próżno. Była całkowicie unieruchomiona. Tomas dokończył dzieła.

– Dzięki za pomoc – powiedział, wycierając klingę. – Cholera! Wkurzyło mnie to bydlę!

Pug uśmiechnął się, widząc, że jego przyjaciel z dzieciństwa pod pewnymi względami nic się nie zmienił. Wiedział, że w końcu Tomas załatwiłby dzikostwora, ale marnowanie czasu nie miało teraz sensu. Tomas obejrzał zraniony bok. Skrzywił się boleśnie.

– Ten topór musiał być wyposażony w nieznaną mistyczną moc. Uderzył, gdy byliśmy jeszcze pozbawieni ciała.

– To rzadkie, ale zdarzały się już podobne przypadki – zgodził się Pug. Tomas zamknął oczy i Pug spostrzegł, że rana natychmiast zaczęła się goić. Najpierw został powstrzymany upływ krwi, po chwili rozcięta skóra zaczęła się zasklepiać.

Następnie w miejscu cięcia pojawiła się pomarszczona, czerwona blizna, ale i ona zaczęła po chwili blednąć. Po kolejnych kilku sekundach na skórze nie było już najmniejszego śladu. Za moment same polatały się również złota kolczuga i biały kaftan. Pokaz wewnętrznej mocy Tomasa wywarł na Pugu ogromne wrażenie.

Poczuł niepokój. Rozejrzał się.

– Wszystko przychodzi stanowczo za łatwo. Mimo całej furii bestii i wrzasków, pułapki są po prostu żalotne. Tomas poklepał się po boku.

– No, może nie do końca, ale w zasadzie zgadzam się. Pewnie oczekiwali, że

*staniemy się zbyt pewni siebie i padniemy ofiarą nieuwagi.*

*– Uważajmy więc na każdy nasz krok.*

*– Dobrze, gdzie teraz?*

*Pug rozejrzał się. Sala została wykuta w litej skale. Zbiegało się tu kilka tuneli. Dokąd prowadziły, oczywiście nie wiedzieli. Pug przysiadł na wielkim głazie.*

*– Wyślę swe widzenie. – Zamknął oczy i nad jego głową pojawiła się dziwaczna kula o białawej barwie. Wirowała szybko. Nagle wystartowała i poszybowała w głąb jednego z korytarzy. Wróciła po chwili, by zapuścić się w następny. Minęła prawie godzina, zanim Pug przywołał kulę z powrotem. Machnął ręką i zniknęła. Otworzył oczy.*

*– Wszystkie tunele są ze sobą połączone, a wylot mają tutaj, gdzie jesteśmy.*

*– Czyli jest to całkowicie odizolowane miejsce?*

*– Labirynt. – Pug wstał. – Pułapka na nas, tylko tyle. Znowu musimy udać się w dół.*

*Chwycili się za ręce i ponownie Pug przeprowadził ich przez litą skalę. Bardzo długo sunęli w dół w całkowitej ciemności. Po pewnym czasie stwierdzili, że unoszą się tuż pod stropem ogromnej jaskini. Na dole rozlewało swe wody wielkie jezioro otoczone ze wszystkich stron pierścieniem ognia. Płomienie napępniały jaskinię pomarańczowoszkarłatną poświatą. Za ścianą ognia kołysała się spokojnie na falach niewielka łódka – oczywiste zaproszenie. Na środku jeziora majaczyła w oddali wysepka. Na jej brzegach czekał tłum postaci o ludzkich kształtach w bojowym rynsztunku. Otaczał szczelnym kręgiem wysoką wieżę z jedyinymi drzwiami na dole i jedyinym oknem na samym jej szczycie.*

*Pug opuścił ich na ziemię i na powrót uczynił postaciami z krwi i kości. Tomas*

*spojrzał z ciekawością na płonący krąg.*

*– Pewnie mamy przedrzeć się przez ogień do łodzi, przepłynąć na wyspę, walcząc po drodze ze wszystkim, co zechce nas zaatakować spod powierzchni wody.*

*Pokonać czekających na nas wojowników, by w końcu dotrzeć do wieży?*

*– Tak, tego pewnie od nas oczekują – odpowiedział Pug zmęczonym głosem.*

*Zbliżył się do krawędzi ognia. – Ale chyba ich nieco rozczarujemy. – Zatoczył ręką krąg. Po chwili powtórzył gest. Powietrze w jaskini drgnęło, zawirowało zgodnie z ruchem ręki maga, owiewając gigantyczną kopułę skalistego sklepienia. Z początku był to ledwie wyczuwalny podmuch, delikatna bryza. Ręka Puga zatoczyła kolejny krąg. Wiatr wzmógł się i przybierał na sile. Płomienie zatańczyły, napędzając jaskinię szalonymi rozbłyskami i rozedrganymi cieniami. Pug wykonał następny ruch. Wichura rozszalała się na dobre. Ostre, gwałtowne podmuchy przyginały płomienie w dół. Tomas stał wyprostowany i pewnie opierał się huraganowi, obserwując wszystko w milczeniu. Morze płomieni zaczęło miejscami to przygasać, to strzelać w górę z głośnym trzaskiem, jakby nie mogąc oprzeć się naporowi wiatru. Pug zatoczył w powietrzu kolejny krąg ręką, tym razem szerszy, bardziej gwałtowny, niemal sam zawirował w miejscu. Woda w jeziorze spieniła się. Pojawiły się białe grzywy fal. Rozbryzgi strzelały wysoko w górę. Na powierzchni pojawiały się pędzące w oszalałym tańcu pasy pomarszczonej gwałtownymi podmuchami wody. Fale wzbierały, potężniały. Łódka tańczyła po wariacku, by w końcu przewrócić się do góry dnem i zatonać w okamgnieniu. Spienione bałwany zaatakowały brzeg i zalały płomienie. Ogień zgasł z sykiem. Pomarańczowa poświata gasła gwałtownie, zmieniając się w czarny mrok. Pug wykrzyknął jedno słowo i jaskinię wypełniło czyste, białe światło. Zakręcił ramionami, jak dziecko*

*naśladowujące w zabawie skrzydła wiatraka. Rzesze wojowników na odległym brzegu wyspy, smagane gwałtownymi podmuchami wichury, nie mogąc utrzymać równowagi, zaczęły się słaniać na nogach. But jednego z nich dotknął wody. W tej samej sekundzie spod powierzchni wystrzeliło coś zielonego i skórzastego. Chwyciło za nogę i wciągnęło w fale drącego się wniebogłosy żołnierza. Scena ta powtarzała się raz za razem. Coraz więcej wojowników zostało zepchniętych do wody, gdzie byli chwytani przez mieszkańców głębin jeziora. Huragan osiągnął apogeum. Pug i Tomas obserwowali ze spokojem, jak wyjący im w uszach wicher spychał ku wodzie ostatnią na wyspie postać. Cofając się, zbliżała się coraz bardziej do brzegu, by wpaść w objęcia czegoś, co czaiło się pod spienioną powierzchnią jeziora. Pug klasnął w dłonie i wicher ustał natychmiast.*

*– Idziemy.*

*Tomas przeniósł ich obu ponad wodami. Wylądowali przed samymi drzwiami prowadzącymi do wieży. Popchnęli je i weszli do środka.*

*Przynajmniej pięć minut spędzili dyskutując, co też znajdą na szczycie wieży.*

*Kręte schody prowadzące ku górze przy ścianie wieży były tak wąskie, że mogli iść tylko pojedynczo.*

*– No cóż, bardziej gotowi na przyjęcie nieznanego niż jesteśmy teraz, już nie będziemy – powiedział w końcu Pug, idący za ubranym w biel i złoto przyjacielem. –*

*Nie pozostaje nic innego, jak tylko wspinać się w górę. – Gdy byli pod samym szczytem, Pug spojrzał w dół, na ziejącą pod stopami otchłań i kamienne płyty na parterze. Tomas dotarł do klapy zamykającej dostęp na najwyższą kondygnację.*

*Pchnął ją i zniknął na górze. Pug poszedł w jego ślady. Na szczycie wieży znajdował się pojedynczy, bardzo prosto urządzony pokój, w którym stało łóżko i*

krzesło. W ścianie jedyne okno. Na krześle siedział mężczyzna w długiej, brązowej szacie przewiązanej w pasie wełnianym sznurem. Czytał książkę. Gdy Pug dołączył do Tomasa, zamknął ją. Usta rozchyliły się powoli w uśmiechu.

– Macros – szepnął Pug.

– Przybyliśmy, by cię zabrać – dodał Tomasz.

Czarnoksiężnik wstał ciężko z krzesła. Był bardzo słaby i wyglądał na rannego lub bardzo zmęczonego. Ruszył w ich stronę chwiejnym krokiem. Potknął się. Pug rzucił się do przodu, by go pochwycić, ale Tomasz był szybszy. Otoczył Macrosa ręką w pasie i podtrzymał go.

Nagle z ust czarnoksiężnika wyrwał się głęboki, niesamowity ryk, niczym pomruk nadciągającej burzy. Jego ramię zgięło się raptownie w stalowym, miażdżącym żebra uścisku. Klapa w podłodze zatrzasnęła się z hukiem. Tomasz odrzucił głowę w tył, krzycząc przeraźliwie z bólu. Macros chwycił go w pól i ze zdumiewającą siłą cisnął o ścianę. Pug zamarł. Otworzył usta, by wypowiedzieć zaklęcie, lecz czarnoksiężnik był szybszy. Odziana w brązowe szaty postać dopadła do niego, podniosła z dziecinną łatwością i rzuciła nim o przeciwległą ścianę. Głowa głucho stuknęła o kamienie. Całe ciało przeszył potworny ból. Pug osunął się ciężko na podłogę. Leżał bezwładny, całkowicie ogłuszony.

Gdy Macros się obrócił, Tomasz zdążył się zerwać na nogi i stał teraz z wyciągniętym mieczem. W ułamku sekundy czarnoksiężnik zniknął, jakby wyparował. W jego miejsce pojawiła się szkaradna postać jak z koszmarnego snu. Gotowała się do ataku. Można było dostrzec jedynie zarys jej sylwetki. Mierzyła ponad dwa metry wzrostu i była co najmniej dwa razy cięższa od Tomasa.

Rozłożyła ogromne, pokryte piórami skrzydła. Zrobiła krok do przodu. Gdy się

poruszyła, Tomasowi wydało się, że na jej głowie dostrzega niewyraźny zarys rogów i ogromne, spiczaste uszy. Z bezkształtnej, czarnej jak węgiel maski patrzyły na Valheru rubinowe płonące oczy. Cała postać potwora spowita była w smolistą ciemność. Jedyne przez oczy i na w pół otwarte usta wydobywał się pomarańczowoczerwony poblask, jak gdyby w jej wnętrzu płonął niewidzialny żar. Poza tym cała postać była czarnym jak heban cieniem, w którym każdy szczegół twarzy czy ciała był zaledwie sugestią, niewyraźnym zarysem. Tomas ciął mieczem. Klinga przeszła przez ciało, nie czyniąc najmniejszej szkody. Tomas cofnął się, a potwór ruszył do przodu.

– Ty nędzna istotko – rozległ się zawodzący szept jak echo powtarzane podmuchami płatającego figle wiatru. – Czy naprawdę sądzisz, że ten, który stawia ci czoło, nie przygotował się wcześniej, by unicestwić cię raz na zawsze?

Tomas ugiął lekko nogi. Miecz trzymał w pogotowiu. Przymrużone oczy patrzyły czujnie spod krawędzi złotego hełmu, śledząc najmniejszy ruch bestii.

– Do jakich istot należysz?

– Ja, wojowniku? – odpowiedział szept. – Jestem dzieckiem pustki i otchłani, bratem widma i upiora. Jestem Mistrzem i Panem przerażenia. – Z zadziwiającą szybkością sięgnął przed siebie i chwycił tarczę Tomasa. Zgniół ją jednym ruchem ręki i wyrwał Tomasowi. W odpowiedzi Valheru zamachnął się, lecz potwór sięgnął wyżej i złapał za nadgarstek ręki trzymającej miecz. Tomas zawył z bólu.

– Zostałem wezwany tutaj, aby zakończyć twoją egzystencję – wyszeptała cienista postać. Szarpnęła gwałtownie i jednym ruchem wyrwała ramię Tomasa. Z rozdartego barku trysnęła fontanna krwi. Tomas padł na kamienie, krzycząc przeraźliwie.

– Jestem rozzarowany. Ostrzegano mnie, iż należy się mieć przed tobą na baczności. Ale jesteś niczym.

Po bladej jak płótno twarzy Tomasa ściekały strumyczki potu. Patrzył na stwora wytrzeszczonymi z bólu i strachu oczami.

– Kto... – stracił na chwilę oddech. – Kto cię ostrzegał?

– Ci, którzy dobrze znają twą naturę, ludziku. – Upiór stał wyprostowany, dzierżąc w ręku ramię Tomasa z zaciśniętą na rękojeści miecza dłońią. –

Przewidzieli nawet, że zamiast szukać prawdziwego miejsca uwięzienia czarnoksiężnika, pojawisz się tutaj.

– Gdzie on jest? – wyszeptał Tomasz ostatkiem sił. Zły duch nachylił się ku niemu.

– Zawiodłeś...–szepnął przeciągle. Tomasz był na krawędzi utraty przytomności. Zmusił się do skoncentrowania uwagi, ale usta wykrzywiła mu wściekłość.

– Zatem nie wiesz. Udajesz nie wiem kogo, a tak naprawdę jesteś tylko sługą. Nie wiesz nic poza tym, co powie Nieprzyjaciel.

– Poderwał głowę. – Sługus! – wyrzucił z siebie z obrzydzeniem.

– Stoję wysoko w hierarchii. – Upiór zawył cicho z radości.

– Wiem dobrze, gdzie ukryty jest czarownikowaty człowieczek. Przebywa w miejscu, które powinieneś być odgadnąć: w miejscu, które ze wszystkich innych najmniej pasuje, aby służyć jako więzienie, a więc jest najbardziej prawdopodobne jako miejsce jego ukrycia. Czarnoksiężnik przebywa w Ogrodzie.

Niespodziewanie na twarzy Tomasa pojawił się okrutny uśmiech. Zerwał się na nogi. Zjawa zachwiała się i cofnęła o krok. Ramię, które trzymała, rozplynęło się

w niebycie i jednocześnie pojawiło się w materialnej formie na ciele Valheru. Z metalicznym jękiem złota tarcza wyprężyła się jak żywa i wyrwała z ręki zjawy, przeleciała przez pokój, by spocząć na lewym ramieniu Tomasa. Potwór ochłonął ze zdumienia i ruszył do ataku. Białozłocisty wojownik ciął potężnie. Złota klinga przecięła powietrze lotem błyskawicy. Tym razem ostrze napotkało opór. W chwili dotknięcia upiora posypał się deszcz złocistych iskier, towarzyszył mu ohydny i głośny syk. Buchnął obłok gryzącego dymu. Potwór zawył z bólu.

– Wydaje mi się, że nie tylko ja mam skłonność do arogancji i zbytnej pewności siebie – mówił powoli Tomasz, spychając potwora serią wściekłych ciosów. – I nie tylko twoi panowie potrafią tworzyć iluzje. Ty głupku! Czyż nie wiesz, że to ja właśnie u boku moich braci przegnałem ciebie i tobie podobnych z tego wszechświata? Czy naprawdę sądzisz, że ja, Tomasz zwany Ashen-Shugar, miałbym się ciebie obawiać? Ja, który kiedyś zwyciężałem Władców Upiorów.

Straszliwa postać wiała się i skręcała z przerażenia i wściekłości. Jej wrzaski odbijały się od ścian głośnym, jakby odległym echem. Niespodziewanie koło niej rozległo się dźwięczne pobrzękiwanie, jakby rozdzwoniło się nagle tysiące maleńkich dzwoneczków. Wokół eksplodował deszcz przezroczystych kryształków. Każdy z nich wydłużał się błyskawicznie, by po chwili otoczyć upiora siateczką przezroczystych, lśniących zimnym światłem prętów. Na twarzy Tomasa pojawił się szeroki uśmiech. Pug kończył konstrukcję magicznej klatki wokół czarnego jak noc bytu. Upiór zamachnął się, chcąc uderzyć, i wrzasnął przeraźliwie z bólu, gdy musnął kryształowy pręt. Pug przestał udawać omdlenie i podniósł się z podłogi. Zbliżył się do uwięzionej zjawy. Ta próbowała sięgnąć ku niemu między szklistymi kratami i ponownie zawyla z bólu. Miotła się po klatce w ataku szału. Koszmarne



wycie przeplatane ochryplym szeptem niosło się po pokoju.

– Co to jest? – spytał Pug.

– Upiór, jeden z Nieżyjących. Byt, którego natura pozostaje obca nawet dla samej esencji, sedna naszego istnienia. Istoty te pochodzą z dziwnego świata w najdalszych zakątkach czasu i przestrzeni. Dostęp do nich jest tak trudny, że tylko nieliczni mogą tam dotrzeć i wrócić cało. Żywi się toto samą kwintesencją życia, tak jak wszystkie osobniki jego rodzaju docierające do naszego wszechświata. Gdy któryś z nich na przykład nadeptnie na źdźbło trawy, usycha ono natychmiast. Te stworzenia to chodzące, wcielone zniszczenie i destrukcja. Ustępuje potęgą jedynie Władcom Upiorów, czyli bytom, przed którymi nawet Valheru czują respekt. Sam fakt, że ściągnięto go do Wiecznego Miasta, świadczy o tym, że zarówno Nieprzyjaciel, jak i Murmandamus nie dbają w ogóle o rozmiar zniszczeń, które mogli rozpętać. – Zamilkł na chwilę. Na jego twarzy malowała się głęboka troska.

– Zmusza to także do zastanowienia, co jeszcze, poza tym, co już się udało odkryć i zrozumieć, kryje się za Nieprzyjacielem? – Przeniósł wzrok na Puga. – Jak się czujesz?

– Chyba mam złamane żebro. – Mag przeciągnął się.

– Miałeś szczęście, że tylko tyle. – Tomas pokiwał głową.

– Przepraszam, ale chciałem się nim zająć w pierwszej kolejności.

Pug wzruszył ramionami. Skrzywił się boleśnie.

– Co z tym robimy? – ruchem głowy wskazał na pojękującego z cicha potwora.

– Moglibyśmy przepędzić go z powrotem do jego własnego świata, ale to zbyt czasochłonne. Jak długo wytrzyma klatka?

*– Normalnie, kilka wieków. Tutaj może przez całą wieczność.*

*– To dobrze – powiedział Tomas. Odwrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.*

*Z gardzieli stwora czerni i zniszczenia wydarł się przeraźliwy skowyt.*

*– Panie, nie! Nie zostawiaj mnie tutaj! Będę konał przez wieki, zanim w końcu*

*umrę! W strasznym, wiecznym bólu! Już teraz głód mnie zżera! Wypuść mnie, a*

*będę ci służył wiernie! Panie, błagam!*

*– Czy możemy mu ufać? – spytał Pug.*

*– Oczywiście, że nie.*

*– Nienawidzę sprowadzać cierpień i udręk na innych.*

*– W twej naturze zawsze przeważało współczucie i litość – rzucił Tomas przez*

*ramię, zbiegając ze schodów. Pug pobiegł za nim. W ślad za obydwojma posypał się*

*stek przekleństw i strasznych wrzasków.*

*– To najbardziej niszczycielskie byty we wszechświatach – kontynuował*

*Tomas. – Są przeciw życiu, są jego odwrotnością. Po uwolnieniu zwykłego Upiora*

*bardzo trudno uporać się z nim. Władcy Upiorów wymykają się wszelkiej kontroli.*

*Dotarli do drzwi i wyszli na zewnątrz.*

*– Dasz radę wydobyć nas z powrotem na powierzchnię? Pug przeciągnął się*

*ostrożnie, badając palcami zbity bok.*

*– Tak, dam radę.*

*Wypowiedział zakłęcie, chwytając Tomasa za rękę. Unieśli się w powietrze.*

*Ich ciała straciły materialność. Wniknęli w skałę stropu jaskini. Wraz z ich*

*odejściem jedynym dźwiękiem, jaki dał się słyszeć w ogromnej przestrzeni pieczary,*

*był stłumiony, nieludzki wrzask dochodzący ze szczytu wieży na wyspie.*

*– Co to jest Ogród? – spytał Pug.*

*– Jest to miejsce związane z miastem, lecz odosobnione. – Zamknął oczy i po*

*niedługiej chwili Ryath spłynęła z nieba. Dosiedli smoka. – Ryath, Ogród.*

*Z szumem skrzydeł wielki smok wzbił się w górę. Szybowali już ponad przedziwnym krajobrazem Wiecznego Miasta. Pod ich stopami przesuwały się zdumiewające budowle, których kształt zaledwie sugerował funkcje, jakie pełniły, nie wyjawiając ich do końca. Daleko przed nimi – jeśli w ogóle można było mówić o odległościach w tym niepojętym dla ludzkich zmysłów miejscu – Pug dojrzał siedem ogromnych słupów wznoszących się ku górze. Wydawały się czarne, lecz zbliżając się do nich, zaczął dostrzegać w ich wnętrzu mikroskopijne drobinki światła. Tomas zauważył jego zainteresowanie.*

*– To Gwiazdne Wieże. – Wysłał do Ryath myślnie polecenie i smok skręcił w locie, zbliżając się do jednego ze słupów, otaczających kręgiem ogromny plac o wielokilometrowej średnicy. Gdy przelatywali obok, Pug dostrzegł ze zdziwieniem, że we wnętrzu, równie czarnym jak prawdziwy kosmos, zamknięto maleńkie gwiazdy, komety, planety i całe miniaturowe galaktyki. Tomas, widząc zdziwienie Puga, parsknął śmiechem.*

*– Nie, Pug, nie wiem, co to jest. Nikt nie wie. Może to dzieło sztuki. Może jakieś narzędzie pomocne w zrozumieniu pewnych faktów? – Zamilkł, by po chwili dorzucić: – A może we wnętrzu tych słupów zawiera się prawdziwy wszechświat? Polecieli dalej. Pug obejrzał się na Gwiazdne Wieże.*

*– Kolejna tajemnica Wiecznego Miasta?*

*– Zgadza się. I to wcale nie najbardziej widowiskowa. Spójrz tylko tam. –*

*Wskazał ku horyzontowi, gdzie pojawiła się czerwona poświata. Gdy podlecieli bliżej, zmieniła się w ścianę ognia. Rozedrgane ponad nią powietrze rozmazywało*

*zarysy wszystkiego, co znajdowało się dalej. Przelecieli ponad ogniem. Dosięła ich fala rozpalonych do białości wyziewów.*

*– Co to było?*

*– Sam widziałeś – Ściana Ognia. Ciągnie się na odcinku około półtora kilometra wzdłuż prostej linii. Nie ma wyraźnego celu, powodu czy zastosowania.*

*Po prostu jest tam i tyle.*

*Lecieli dalej. Po jakimś czasie znaleźli się nad połacią lądu pozbawioną jakichkolwiek zabudowań. Smok zniżał się ku zielonemu obszarowi. Byli już nisko, gdy Pug dostrzegł ciemny, okrągły kształt unoszący się na tle szarości międzyprzestrzeni na granicy miasta. – A to najdziwniejsza rzecz w tym z gruntu przedziwnym miejscu. Gdybym miał twoją analityczną i spostrzegawczą naturę, mógłbym wpaść na to, że to właśnie chodzi o Ogród. To unoszące się zbiorowisko roślin. Zakładając, że moc Macrosa została skutecznie zneutralizowana, jest to ostatnie miejsce, z którego mógłby uciec. W całym Wiecznym Mieście kryje się wiele nieoczekiwanych skarbów. Poza złotem i innymi drogocennymi przedmiotami, są tu też przedziwne maszyny o przeogromnej mocy i wymyślne a potężne instrumenty. Kto wie, może za ich pomocą można powrócić do prawdziwej przestrzeni? Jeśli nawet w mieście znajdują się środki powrotu na Midkemię, i tak Macros nie miał do nich dostępu.*

*Pug spojrział w dół. Znajdowali się około trzystu metrów nad miastem i zniżali się gwałtownie. Za granicą miasta widać było szarą przestrzeń przejścia między światami. Nadlecieli nad krawędź Ogrodu. W kilku miejscach Pug dostrzegł zasnute mgłami wodospady opadające poza krawędź. Ogród był otoczony czymś, co Pug mógł jedynie określić mianem fosy, z tym, że zamiast omywającej jego brzegi*

*wody nie było w niej literalnie nic – pustka międzyprzestrzeni.*

*Przesunęli się ponad krawędzią Ogródu. Z miejsca, w którym się teraz znaleźli, było szczególnie dobrze widać, jak ogromny okrąg ziemi szybował obok miasta. Powierzchnię bryły zajmował wspaniały ogród zarośnięty całkowicie bujną roślinnością. Poprzecinany gęstą siecią krętych strumieni, które przelewały swe wody poprzez krawędź. Wszędzie widać było najprzeróżniejsze drzewa owocowe.*

*– To rzeczywiście niesamowite miejsce. Tomas zwrócił jego uwagę na kamienny obiekt.*

*– Tu powinien stać mostek. – Pug przyjrzał się uważniej. Rzeczywiście, kiedyś ponad fosą musiał wznosić się łuk mostu. Cała konstrukcja została rozbita. Na ziemi zostały tylko kamienne fundamenty. Po drugiej stronie fosy rozsiadło się identyczne kamienne rumowisko.*

*– Jeśli to miejsce istniało kiedyś w jakimś rzeczywistym świecie, to zapomniano przenieść tu również rzekę opływającą dookoła Ogród. Teraz, gdy mosty zostały zniszczone, nie ma sposobu, by go opuścić.*

*Muskając w locie szczyty drzew, rozpoczęli poszukiwania. Pug zauważył nie tylko rośliny, które znał z Midkemii, ale również wiele odmian popularnych na Kelewanie. Znane gatunki przeplatane były kępami roślinności, która musiała pochodzić z innych światów, ponieważ nigdy jej wcześniej nie widział. Przelatywali nad kępą ogromnych, rurowatych roślin. Poruszone wiatrem wytworzonym przez skrzydła smoka zaczęły wydawać niepokojący, śpiewny dźwięk. Przemknęli nad grupą kwiatów o barwie wina. Podmuch powietrza rozerwał strączki i wyrzucił w górę chmurę nasionek – kwiaty eksplodowały śnieżną bielą. Tak jak Tomas i Pug przewidzieli, inne mosty na obrzeżach Ogródu również były zniszczone.*

*W gęstym poszyciu przemykały małe zwierzątka, uciekając przed wielkim, lecącym nad drzewami drapieżnikiem. Nagle na niebie pojawił się inny kształt. Zbliżał się ku nim błyskawicznie. Nadlatywał szybciej niż strzała wypuszczona z łuku. Zanim znalazł się w ich bezpośrednim sąsiedztwie, z gardzieli Ryath wyrwał się przeszywający do szpiku kości bojowy ryk. Z góry rozległ się identyczny odzew.*

*Czarny jak smoła, gigantyczny smok zaatakował. Z wysuniętymi do przodu szponami i głową na długiej szyi pędził ku nim, buchając z nozdrzy i paszczy strumieniami ognia. Tomas w okamgnieniu wznosił wokół siebie i Puga barierę chroniącą przed ogniem.*

*Ryath przyjęła postawę bojową. Rozgorzała walka. Zataczając ciasne kręgi ponad Ogrodem, bestie walczyły zażarcie, posługując się pazurami i kłami. Tomas ciął złotym mieczem, lecz nie mógł dosięgnąć potwora.*

*– To starożytna bestia – krzyknął. – Na Midkemii ten rodzaj już dawno wyginął. Od wieków nie widziano większego.*

*– Skąd tu się wziął? – krzyknął Pug, ale Tomas jakby nie słyszał. Gigantyczne skrzydła biły powietrze, ale czar rzucony przez Tomasa był wystarczająco mocny i skuteczny, by utrzymać ich bezpiecznie na grzbiecie smoka. Kłopoty mogły się zacząć, gdyby Ryath przegrała walkę. Wprawdzie Pug przypuszczalnie odkrył tajemnicę przemieszczania się smoka między światami, wolał jednak nie wprowadzać tych praktyk w życie. Jeśli Ryath padnie, mogą tu zostać uwięzieni na zawsze.*

*Szczęśliwie złoisty smok dorównywał siłą czarnemu. Dodatkowo, gdy tylko napastnik znalazł się w zasięgu miecza, Tomas raził go strasznymi ciosami. Pug*

wypowiedział zakłęcie i rozpoczął swój własny, prywatny atak. Przez powietrze śmignęły skwierczące złowrogo błyskawice energii. Smolista bestia ryknęła z bólu, odrzucając głowę w tył. Ryath natychmiast wykorzystała okazję. Wbiła się zębami w szyję przeciwnika. Wyrzuciła w górę szponiaste tylne łapy, by rozerwać odsłonięty brzuch. Choć kły smoka jedynie wygięły lekko grube łuski na karku, nie mogąc ich rozłupać, to szpony czyniły spustoszenie na brzuchu czarnego. W zapamiętaniu bitewnym smoki coraz bardziej oddalały się od środka Ogródu. W niedługim czasie krążyły już ponad fosą.

Czarny próbował uciec, lecz kły Ryath trzymały mocno. Pug i Tomas poczuli, jak ich złoty smok zachwiał się w locie, ściągany w dół ciężarem przeciwnika. Nagle poderwali się ponownie w górę. Czarna bestia opadła z sił, jej skrzydła zwisły bezwładnie. Niespodziewany ciężar w pierwszej chwili ściągnął ich w dół, ale Ryath zdołała na czas rozewrzeć szczęki.

Pug obserwował, jak czarny smok wpada w otchłań fosy oddzielającej Ogród od miasta. Smok spadał bezustannie, coraz niżej i niżej. Był już znacznie poniżej poziomu miasta, zmienił się w czarną plamkę na tle szarości i wreszcie zniknął im zupełnie z oczu.

– Ryath, wspaniale walczyłaś – pochwalił Tomas. – Nigdy jeszcze nie dosiadałem tak utalentowanego smoka. Nawet potężny Shuruga ci nie dorównywał.

Pug odczuł, jak ze smoka promieniuje duma i zadowolenie.

„Prawdę rzeczesz, Tomasie. Przyjmij dzięki za twe wspaniałomyślne słowa.

Prawdą jest, iż ten, którego pokonałam, był starodawnym samcem, nie tak potężnym jak ja. Wbrew pozorom nie był to równy pojedynek. Gdybyście ty,

Valheru, i przyjaciel twój nie dosiadali mego grzbietu, nie byłabym aż tak ostrożna.

*Mimo wszystko dzięki wam obu serdeczne za wielce skuteczną pomoc w walce okazaną”.*

*Zawrócili nad wyspę i krążąc wznowili poszukiwania. Teren był ogromny, a listowie gęste. W końcu Pug wyciągnął gwałtownie rękę przed siebie.*

*– Tam!*

*Wzrok Tomasa powędrował we wskazanym kierunku. Na środku polanki podskakiwała jakaś postać, wymachując gwałtownie rękami. Pomachali i oni.*

*Tomas polecił smokowi obniżyć lot. Postać na łące, uderzona gwałtownym podmuchem powietrza spod skrzydeł smoka, zachwiała się i zatoczyła do tyłu.*

*Mężczyzna trzymał w dłoni długi kij i miał na sobie znajomą szatę z brunatnego samodziału. To był Macros. Opadali coraz niżej, szykując się do lądowania. Macros nie przestawał do nich machać.*

*W chwili, gdy smok dotknął powierzchni ziemi, na twarzy Macrosa pojawił się wyraz rezygnacji. Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Usłyszeli, jak westchnął ciężko.*

*– Szkoda, żeście to zrobili. Wszechświat zawalił się nagle i runął im na głowy.*

*Odnieśli wrażenie, jakby ziemia uciekła im spod nóg. Pug zachwiał się. Złapał równowagę i wyprostował się. Kątem oka zauważył, że to samo działo się z*

*Tomasem. Macros wsparł się na lasce i rozejrzał dookoła. Po chwili przysiadł na kamieniu. Wrażenie opadania spowolniało, by po paru chwilach zaniknąć zupełnie.*

*Jednak niebo nad ich głowami uległo całkowitej przemianie. Zamiast płaskiej szarości przestrzeni między światami pojawiła się atramentowa czerń usiana płonącymi jak brylanty gwiazdami.*

*– Pug, powinienes coś zrobić z powietrzem nad wyspą. Jeszcze chwila i nie*



*będziemy już mieli czym oddychać.*

*Pug nie zawahał się ani sekundy. Błyskawicznie zamknął oczy i wypowiedział zaklęcie. Wokół nich zaczęła się natychmiast formować otoczka świecąca delikatną poświatą. Pug otworzył oczy.*

*– No, ale nie mogłeś przecież widzieć – powiedział Macros. Nagle oczy zwęziły mu się w wąziutkie szparki. – Ale powinieneś być na tyle bystry, by przewidzieć tę pułapkę!*

*Tomas i Pug natychmiast poczuli się winni jak w czasach chłopięcych, gdy za jakieś przekroczenie w kuchni zamkowej sztorcował ich ojciec Tomasa. Pug otrząsnął się z przygnębienia i wzruszył ramionami.*

*– Myśleliśmy, że skoro do nas machałeś, wszystko jest w porządku.*

*Macros przymknął oczy i wsparł głowę na lasce. Westchnął głęboko.*

*– Gdy się ma tyle lat co ja, głównym problemem jest to, że się patrzy na wszystkich młodszych jak na dzieci. A kiedy wszyscy w twym otoczeniu są młodszy, oznacza to, że żyjesz w świecie dzieci. A to z kolei oznacza, że zrzędzisz i besztasz je o wiele częściej niż wypada. – Pokręcił głową. – Przepraszam, że się na was złościłem.*

*Próbowałem was ostrzec. Gdybyś, Pug, pomyślał o zastosowaniu niektórych umiejętności, których nauczyli cię eldarowie, moglibyśmy nawiązać kontakt pomimo szumu skrzydeł smoka. A wtedy Tomas mógłby mnie unieść na jego grzbiet i nie wpakowalibyśmy się w tę bryndzę.*

*Tomas i Pug spojrzeli znowu na siebie z uczuciem winy.*

*– No, ale nic już nie możemy zrobić, a narzekania i żale też do niczego nie doprowadzą. Pocieszające jest to, że przynajmniej zdążyliście przybyć na czas.*

*– Na czas? – Tomas zmrużył oczy. – Wiedziałeś, że przybędziemy?*

– *Przecież w wiadomości zostawionej dla Kulgana i dla mnie napisałeś, że już nie potrafisz odczytywać przyszłości!*

– *Sklamalem. – Macros uśmiechnął się. Tomasa i Puga zatkało. Macros podniósł się z kamienia i zaczął się przechadzać.*

– *Prawda jest taka, że w chwili, gdy pisałem ostatnie pismo do was, widziałem wyraźnie przyszłość. Teraz jednak już tego rzeczywiście nie potrafię. Gdy odebrano mi moc, utraciłem również zdolność widzenia, co ma nastąpić.*

– *Utraciłeś moc? – spytał Pug. Młody mag zrozumiał natychmiast, jak wielka była strata Macroza. Przecież przewyższał on magiczną mocą wszystkich magów razem wziętych. Pug mógł sobie jedynie wyobrażać, jakie to musi być uczucie, gdy nagle zostało się pozbawionym wszystkiego, co definiowało całe twoje życie, cały sens egzystencji i naturę. Mag pozbawiony magicznej mocy był podobny do ptaka, któremu zabrano skrzydła. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Obaj uświadomili sobie jednocześnie, że połączyła ich nić porozumienia.*

– *Ci, którzy mnie tutaj umieścili, nie mogli mnie zniszczyć – dodał Macros lżejszym tonem – jestem jak stary dąb, ale mogli mnie skutecznie unieszkodliwić, zneutralizować. Jestem bezsilny. – Wskazał na głowę. – Ale przecież została mi wiedza, a ty, a wy macie moc. Mogę cię poprowadzić Pug, wskazać drogę, jak nikomu innemu we wszechświecie. – Odetchnął pełną piersią. – Mogę ocenić każdą sytuację, opierając się na wiedzy znacznie większej niż ta, którą ty posiadasz w tej chwili. Moja wiedza o tym, przed czym stanęliśmy, przewyższa wiedzę wszystkich innych we wszechświecie, poza bogami oczywiście. Mogę pomóc.*

– *Jak się tu dostałeś?*

*Macros dał im znak, by usiedli. Posłusznie wykonali polecenie. Mag zwrócił*

*się do smoka.*

*– Córo Rhuagh, na tej roślinnej wyspie jest trochę dzikiej zwierzyny. Jeśli będziesz sprytna, nie umrzesz z głodu.*

*– Wyruszam na łowy – powiedział smok.*

*– Uważaj na granice ochronnej powłoki, którą wzniosłem wokół Ogródu – ostrzegł Pug.*

*– Będę uważała – odpowiedział smok i wzbił się w powietrze.*

*Macros przyjrzał się z uwagą dwóm młodzieńcom.*

*– Gdy zamykaliśmy razem przejście między Kelewanem a Midkemią ty, Pug, kierowałeś na mój użytek niewyobrażalne wprost energie. W wyniku ubocznego skutku tych działań stałem się jak płonąca pochodnia w mroku nocy dla tego, co chciało przebić barierę dzielącą dwa światy.*

*– Nieprzyjaciel...–powiedział Pug. Macros przytaknął ruchem głowy.*

*– Zostałem pochwycony i wywiązała się bitwa. Na całe szczęście, mimo niewyobrażalnej wprost potęgi tego, z kim się zmierzyłem, mam również... to znaczy miałem również moc, z którą musiał się liczyć.*

*– Pamiętam, jak obserwowałem cię w wizji na Wieży Próby. Odsunąłeś naruszone przejście, które groziło wniknięciem Nieprzyjaciela i odzyskaniem przez niego kontroli nad wszechświatem.*

*Macros wzruszył ramionami.*

*– Jeśli żyjesz dostatecznie długo, zawsze nauczysz się paru rzeczy. Być może nie można mnie w ogóle zabić? Nie wiem. –Ostatnią uwagę wypowiedział z nutą żalu. – W każdym razie zmagaliśmy się przez pewien czas. Nie potrafię ocenić jak długo. Sam bez wątpienia zdążyłeś zauważyć, że czas w międzyprzestrzeni dwóch*

*światów nie ma wielkiego znaczenia.*

*W końcu zostałem zmuszony, by zająć pozycję obronną tutaj, w Ogrodzie.*

*Moja moc została ograniczona. Nie miałem sposobu, aby dotrzeć do miasta, gdzie za pomocą sprytnych urządzeń miałbym sposobność spotęgować swą moc. Nasze zmaganie doszło powoli do martwego punktu, kiedy to w końcu odarto mnie z pozostałej mi jeszcze mocy. Pułapka została zastawiona. Nieprzyjaciel poniszczył wszystkie mosty i oddalił się. Byłem zmuszony czekać do waszego pojawienia się.*

*– Dlaczego więc nie napomknąłeś o tym w swym ostatnim posłaniu? – spytał*

*Pug. – Mogliśmy przybyć wcześniej.*

*– Nie mogłem dopuścić, abyście ruszyli po mnie, dopóki nie nadszedł odpowiedni po temu czas. Ty, Tomas, musiałeś dojść do ładu sam ze sobą. A tobie, Pug, potrzebne było szkolenie, które mogli ci zapewnić jedynie eldarowie. Zresztą pieczołowicie wykorzystałem czas tu spędzony. Wyleczyłem sobie kilka ran oraz – wskazał na laskę – zabrałem się za rzeźbienie w drewnie. Chociaż nie polecałbym innym odłamków skalnych jako najbardziej odpowiednich do tego narzędzi. Nie, chłopcy, wszystko musiało mieć swój czas. Teraz staliście się pełnosprawnym orężem w nadciągającym starciu. – Rozejrzał się. – Pod warunkiem, oczywiście, że uda nam się wydostać z tej pułapki.*

*Pug przyjrzał się lśniącej mgliście skorupie nad głowami. Przez cienką powłokę widać było gwiazdy. Jak mu się wydało, świeciły one jakoś dziwnie, jakby w odmiennych rytmach.*

*– Jaki to rodzaj pułapki?*

*– Najsprytniejszy. Pułapka czasu. Została uruchomiona w chwili, gdy postawiliście stopę w Ogrodzie. Ci, którzy ją opracowali i nastavili, wysyłają nas w*

*przeszłość. Z każdym kolejnym dniem cofamy się w czasie o jeden dzień. Mniej więcej teraz, jak mi się wydaje, wy dwaj siedzicie właśnie na grzbiecie smoka i wypatrujecie mnie w dole. Za jakieś pięć minut będzie chwila, kiedy walczyliście z czarnym smokiem. I tak dalej, i tak dalej.*

*– Co musimy zrobić? – spytał Tomas.*

*– Zrobić? – Pytanie rozbawiło Macrosa. – W tej chwili jesteśmy całkowicie odizolowani i bezradni. Nie rozumiesz tego? Przecież nasi przeciwnicy dobrze wiedzą, że nie pokonaliśmy ich przecież w przeszłości, natura sam stawia bariery takim paradoksom. Jedyłą naszą nadzieją jest wyrwanie się stąd w jakiś sposób i powrót do właściwego czasu, zanim będzie za późno.*

*– Jak tego dokonamy? – spytał Pug.*

*Macros znowu usiadł na skalnym odłamie. Potarł brodę.*

*– I to jest właśnie problem. Nie wiem, Pug. Po prostu nie mam pojęcia.*

## *POŚLAŃCY*

*Arutha obserwował horyzont.*

*Oddziały konnych galopowały w kierunku bramy. Niebo poza nimi było szare i ciężkie od kurzu. Armia Murmandamusa maszerowała na Armengar. Do miasta ściągali ostatni mieszkańcy przysiółków i bacówek z dalszych okolic wraz ze stadami bydła i owiec oraz ciężkimi wozami wyladowanymi po brzegi produktami rolniczymi. Teraz, gdy od wielu lat liczba ludności systematycznie spadała, w mieście było wystarczająco dużo miejsca nie tylko dla nowo przybyłych, ale i dla zwierząt.*

*Przez trzy dni Guy, Amos, Armand de Sevigny oraz inni dowódcy*

*wyprowadzali poza mury niewielkie oddziały zaczepne, by opóźnić pochód*

*nadciągających kolumn wroga, dając tym samym więcej czasu mieszkańcom okolicznych terenów na dotarcie do Armengaru. Od czasu do czasu Arutha i jego towarzysze wyruszali wraz z żołnierzami, wspierając ich w razie potrzeby w walce. Baru i Roald stojący u boku Aruthy patrzyli z napięciem, gdy ostatni oddział kawalerii powracający za osłonę murów wyłonił się z chmury kurzu, tętniąc kopytami.*

*– Protektor – powiedział Baru.*

*– Tym razem Jednooki wytrzymał do ostatniej chwili – zauważył Roald. W niewielkiej odległości za konnicą Guya pojawiły się piesze oddziały goblinów i kawaleria moredheli. Ciemne elfy, ścigające zawzięcie oddział z miasta, szybko zostawiły swoich sprzymierzeńców z tyłu. W chwili, gdy doganiały już ostatniego z jeźdźców, łucznicy z poprzedzającego ich oddziału zawrócili szerokim łukiem i ponad ludźmi Guya zasypali moredheli gradem strzał. Elfy rozsypały się po okolicy i zawróciły. Oba oddziały konnicy z Armengaru ruszyły pełnym galopem ku bramom.*

*– Martin był z nimi – powiedział cicho Arutha. Nadbiegli Jimmy i Locklear.*

*Niedaleko za nimi podążał Amos.*

*– De Seigny mówi, że jeśli ktoś planuje wycieczkę do Yabonu, to musi wyruszyć jeszcze dziś wieczorem. Po tym terminie wszystkie patrole na wzgórzach wycofają się do reduct na szczytach. Od jutra, od południa na wzgórzach będą już tylko Mroczni Bracia i gobliny.*

*Arutha zgodził się w końcu z propozycją Baru, by góral zaniósł wiadomość na południe.*

*– Zgoda, ale zanim kogokolwiek wyślę, chcę jeszcze porozmawiać z Guyem.*

*– Jak znam Jednookiego – powiedział Amos – a znam go dobrze, to w kilka*

*minut po zamknięciu bram będzie już stał u twego boku.*

*Zgodnie z przewidywaniami byłego wilka morskiego, gdy tylko ostatni maruderzy znaleźli się bezpiecznie za bramą, Guy pojawił się na murach, obserwując nadciągającą armię.*

*Dał znak rękę. Most ponad fosą zaczął się powoli cofać, znikając w fundamentach muru.*

*– Od dłuższego czasu nie dawała mi spokoju myśl, jak to zrobić? – powiedział Roald. Guy wskazał na fosę.*

*– Zwykły most zwodzony daje się opuścić z zewnątrz. Ten zaś, główny, ma osobną wciągarkę umieszczoną pod bramą. Można ją uruchomić wyłącznie od wewnątrz. Nasze kalkulacje zawiodły. Arutha. Myślałem, że przyjdzie nam zmierzyć się z armią liczącą dwadzieścia pięć, góra trzydzieści tysięcy ludzi.*

*– A ilu nadchodzi?*

*Martin i Briana pojawili się u wylotu schodów w chwili, gdy Guy odpowiadał na pytanie Księcia.*

*– Jest ich prawie pięćdziesiąt tysięcy.*

*– Zgadza się. – Arutha spojrzał na brata. – Jeszcze nigdy nie widziałem takiej masy moredheli i goblinów. Spływają po stokach wzgórz i wylewają się z lasów jak wiosenna powódź. Ale to jeszcze nie wszystko. Oprócz nich nadciągają górskie trolle, całe oddziały. I olbrzymy.*

*Locklear wytrzeszczył oczy.*

*– Olbrzymy! – Rzucił w kierunku Jimmiego przerażone spojrzenie. Starszy chłopak uciszył go sówką w bok.*

*– Ilu? – spytał Amos.*

– Na oko kilkuset. Wystają ponad resztę dobry metr czy półtora. Tak czy inaczej, zakładając, że zostali równomiernie rozmieszczeni we wszystkich oddziałach, pod sztandary Murmandamusa musiało się ich zaciągnąć kilka tysięcy.

Główne siły obozują nadal na północ od Doliny Isbandii, o tydzień drogi stąd.

Dzisiejsze podejście pod mury to dopiero zwiastun, coś jakby przygrywka do prawdziwego koncertu. Do nocy rozbije obóz wokół nas około dziesięciu tysięcy chłopów. W ciągu najbliższych dziesięciu dni pięć razy tyle.

Arutha spoglądał przez długą chwilę za mury.

– Innymi słowy chcesz nam dać do zrozumienia, że nie wytrzymasz do nadejścia posiłków z Yabonu. Czy tak?

– Gdyby to była zwykła armia, pewnie byśmy wytrzymali. Poprzednie doświadczenie każe przypuszczać, że Murmandamus dorzuci na swoją szalę parę sztuczek. Według mojej oceny na oblężenie miasta może poświęcić najwyżej cztery tygodnie. W przeciwnym razie nie starczy mu czasu, by przekroczyć góry. Musi obsadzić swymi żołnierzami kilkanaście pomniejszych przełęczy, przegrupować się po drugiej stronie i ruszać natychmiast wprost na Tyr-Sog. Nie może sobie pozwolić na przejście na zachód od Przełęczy Inclindel, ponieważ dotarcie do miasta i zlikwidowanie po drodze garnizonów zajęłoby mu zbyt wiele czasu. Musi się przecież liczyć z nadejściem posiłków z Yabonu i Loriel. Będzie chciał z pewnością bardzo szybko umocnić się na terenach Królestwa i przygotować do kampanii wiosennej. Jeśli będzie tu zwlekał, nawet tylko o tydzień poza ustalony harmonogram, ryzykuje, że zostanie uwięziony w górach przez wczesne śniegi. Czas jest jego największym przeciwnikiem.

– Krasnoludy! – wykrzyknął nagle Martin. Arutha i Guy spojrzeli



*zdumionym wzrokiem na księcia Crydee.*

*– Dolgan i Harthorn spotykają się teraz ze wszystkimi Krasnoludami na sejmiku w Kamiennej Górze. Musi tam być nie mniej niż dwa, trzy tysiące Krasnoludów.*

*– Dwa tysiące wojowników takich jak Krasnoludy mogłoby przechylić szalę na naszą korzyść do chwili, gdy ciężka piechota Vandrosa z Yabonu przekroczy góry*

*– powiedział Guy. – Gdyby się nam udało zatrzymać tu Murmandamusa choćby przez dwa tygodnie, musiałby chyba zatrzymać i odwołać kampanię. Jeśli zaryzykowałby i poszedł na całość, jego armia utknie na zimę na Wzgórzach Yabonu.*

*Baru patrzył to na Aruthę, to na Guya.*

*– Wyruszamy w godzinę po zapadnięciu zmroku.*

*– Ja i Baru pójdziemy do Kamiennej Góry – powiedział Martin. – Dolgan mnie zna. Uśmiechnął się krzywo. – Głowę daję, gdyby się dowiedział, że taka bitwa przeszła mu koło nosa, wściekłby się. Potem pójdę do Yabonu.*

*– Czy zdołacie dotrzeć do Yabonu w ciągu dwóch tygodni? – spytał Guy.*

*– Trudne to, ale możliwe – odpowiedział Hadati. – Niewielki oddziałek, szybki marsz... tak, to możliwe. – Góral nie musiał dodawać na głos, że „ledwo”.*

*Wszyscy doskonale wiedzieli, że oznacza to prawie pięćdziesiąt kilometrów marszu dziennie.*

*– Ja też chciałbym spróbować – oznajmił Roald. – Na wszelki wypadek. – On też nie dopowiedział na wypadek czego. Jasne, że miało to być zabezpieczenie na wypadek śmierci Martina albo Baru.*

*Arutha zgodził się bez wahania, by Martin towarzyszył Baru. Księżę Crydee*

*tylko w niewielkim stopniu ustępował góralowi w umiejętności poruszania się w górzystym terenie. Co do Roalda miał pewne wątpliwości, ponieważ nie znał go aż tak dobrze. Już chciał powiedzieć nie, gdy do rozmowy włączył się Laurie.*

*– Będzie lepiej, gdy i ja pójdę. Vandros i jego dowódcy znają mnie osobiście. Gdyby listy zaginęły, trzeba będzie z nimi pogadać i przekonać ich. Pamiętaj Arutha, wszyscy myślą, że nie żyjesz.*

*Arutha spochmurniał.*

*– Arutha, odbyliśmy razem wyprawę do Moraelin i wróciliśmy cało – ciągnął Laurie. – Dobrze wiemy, co oznacza górski teren.*

*Księżę milczał przez długą chwilę.*

*– Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. – Spojrzał w dal na nadciągającą armię wroga. – Nie wiem, czy do końca wierzę w proroctwo, ale skoro mam być Zaporą Ciemności, muszę tu zostać i stawić czoło Murmandamusowi.*

*Jimmy i Locklear wymienili szybkie spojrzenia, ale Arutha uprzedził wszelkie zgłaszanie się na ochotnika.*

*– Wy dwaj zostajecie na miejscu. Zanosi się na to, że w najbliższym czasie nie będzie to najzdrowsze miejsce pod słońcem, ale i tak o wiele bezpieczniejsze niż górskie szczyty podczas przekradania się nocą pomiędzy patrolami Murmandamusa.*

*– Zapewnię wam krótkotrwałą, doraźną osłonę – powiedział Guy do Martina. – Do świtu będzie się w okolicy działało wystarczająco dużo, by osłonić waszą ucieczkę. Nasze reduty na szczytach ponad miastem nadal kontrolują znaczne połacie wzgórz za Armengarem. Główne siły zbirów Murmandamusa nie*

*dotrą tu jeszcze przez kilka dni. Miejmy nadzieję, iż nieprzyjaciel zakłada, że wszyscy nasi kierują się na gwałt do miasta i nie będzie zbyt skrupulatnie sprawdzał odwrotnego kierunku.*

*– Pójdziemy na piechotę – powiedział Martin. – Gdy minimy na dobre linię posterunków i patroli, zdobędziemy sobie jakieś konie. – Uśmiechnął się do brata. – Zobaczysz, uda się.*

*Arutha spojrział na niego i pokiwał głową. Martin wziął Briana pod rękę i oboje zeszli na dół. Arutha domyślał się, jak wiele kobieta ta znaczyła już dla brata, i wiedział, że ostatnie godziny w Armengarze Martin będzie chciał spędzić z nią. Podświadomym gestem Księżę wyciągnął rękę i położył na ramieniu Jimmiego. Chłopak podniósł głowę, powędrował spojrzeniem za wzrokiem Księcia, który wpatrywał się w równiny za murami aż po horyzont, gdzie spowita gigantyczną chmurą kurzu zbliżała się wroga armia.*

*Martin i Briana leżeli objęci w ciasnym uścisku. Dziewczyna przekazała swemu zastępcy, by jej nie przeszkadzano pod żadnym pozorem, chyba tylko w wypadku najwyższego zagrożenia, i udała się na całe popołudnie do swych komnat. Z początku kochali się jak szaleni, a potem łagodnie i niespiesznie. W końcu leżeli po prostu blisko siebie, przytuleni, czekając. Czas mijał powoli. W końcu Martin się odezwał.*

*– Wkrótce będę musiał iść. Pozostali niedługo zaczną się zbierać u wylotu tunelu prowadzącego ku wzgórzom.*

*– Martin – szepnęła.*

*– Tak?*

*– Nic. Chciałam tylko wypowiedzieć twoje imię. – Wpatrywała się z uwagą w*

*jego twarz. – Martin...*

*Pocałował ją. Poczul w ustach słony smak łez na jej wargach. Przywarła do niego.*

*– Opowiedz mi o jutrzejszym dniu.*

*– Jutrzejszym? – Poczul nagle, niespodziewane zmieszanie. Staral się ze wszystkich sił spełnić jej prośbę i nie mówić o przyszłości. Wychowany wśród Elfów umiał być cierpliwy. Z drugiej strony jednak uczucie, którym darzył dziewczynę, żądało zaangażowania i działania. Udało mu się odsunąć wynikający z tych sprzeczności nieuchronny konflikt i żyć tylko chwilą obecną.*

*– Mówiłaś, że nie wolno .nam myśleć o przyszłości – powiedział miękko.*

*Pokręciła głową.*

*– Wiem, ale teraz chcę tego. – Przymknęła oczy i mówiła szeptem. –*

*Wspominałam ci kiedyś, że jako komendant miałam dostęp do informacji, o których większość mieszkańców miasta nie ma pojęcia. Najprawdopodobniej nie uda się nam utrzymać miasta i trzeba będzie uciekać w góry. – Zamilkła na moment. –*

*Zrozum to, Martin, poza Armengarem nie znamy nic. Myśl o życiu w innym miejscu nigdy nie przyszła tu nikomu do głowy, aż do chwili, gdy pojawił się między nami Protektor. Teraz mam nikłą nadzieję. Opowiedz mi o dniu jutrzejszym, a potem o pojutrze, a potem o następnym dniu. Mów mi o wszystkich jutrach. Opowiedz mi, jak to będzie.*

*Wsunął się głębiej pod koce. Łagodnym gestem położył jej głowę na swej piersi. Czul, jak wzbiera w nim gorąca fala uczucia i szczęścia.*

*– Przedostanę się na drugą stronę gór, Bree. Nikt mnie nie powstrzyma.*

*Sprowadzę Dolgana i jego klany. Stary Krasnolud poczytałby to za osobistą*

zniewagę, gdyby nie został zaproszony do wzięcia udziału w tej bitwie. Zatrzymamy tu Murmandamusa i po raz drugi z rzędu zniweczmy jego kampanię. Armia go opuści. Zostanie sam jak palec. Będziemy go ścigać jak wściekłe zwierzę – bo to przecież jest wściekłe zwierzę – aż go dopadniemy i raz na zawsze unicestwimy. Vandros przyśle swą armię, by wzmocnić wasze oddziały i będziesz bezpieczna. Nadejdzie czas, by wasze dzieci były naprawdę dziećmi.

– A co będzie z nami?

Nie zwracając uwagi na płynące po jej policzkach strumienie łez, mówił dalej.

– Opuścisz Armengar i przybędziesz do Crydee. Będziesz tam żyła ze mną i będziemy szczęśliwi. Łzy były coraz obfitsze.

– Tak pragnę w to uwierzyć.

Odsunął ją delikatnie od siebie i uniósł jej brodę ku górze. Całując powtarzał:

– Uwierz, uwierz... Bree. – Mówił ochryplym z emocji głosem. Nie spodziewał się nigdy, że doświadczy w życiu takiego zaprawionego gorczyczą szczęścia.

Rozsadzając serce radość, że uczucie jego zostało odwzajemnione, tłumił mroczny cień nadciągającego szaleństwa i zniszczenia. Przez długą chwilę wpatrywała się w jego twarz. Zamknęła oczy.

– Chcę cię zapamiętać takiego, jak w tej chwili. Idź, Martin. I nic już nie mów.

Wstał i szybko się ubrał. Otarł w milczeniu łzy. Zgodnie z wychowaniem i obyczajem Elfów, szykując się, by stawić czoło czekającym na szlaku niebezpieczeństwom, zepchnął uczucia w głąb serca. Rzucił w jej stronę ostatnie, długie spojrzenie i wyszedł z pokoju. Gdy Briana usłyszała, że drzwi zamknęły się za nim, wtuliła twarz w poduszkę i płakała cichutko.

Patrol kierował się w górę, w kierunku wąwozu. Wyjechali za mury z

zamiarem ostatniego przeczesania terenu, przed wycofaniem się do wyżej rozmieszczonych redut, które broniły dostępu do skał wznoszących się ponad miastem. Martin i jego trzech towarzysze przywarli do ziemi pośród skupiska ogromnych, skalnych złomów. Czekali. Opuścili miasto sekretnym przejściem, które przecinało pod ziemią górę za Armengarem. Po dotarciu na pozycję znajdującą się na szlaku patrolu ukryli się w wąskiej rozpadlinie niedaleko wąwozu. Blutark leżał spokojnie. Dłoń Baru spoczywała na jego głowie. Hadati odkrył niedawno przyczynę obojętności Armengarian na fakt posiadania przez niego psa. Po raz pierwszy, jak sięgała ich pamięć, pies-Bestia przeżył swego pana, a że zdawał się akceptować Baru jako swego nowego pana, nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– Czekajcie – szepnął Martin.

Czas ciągnął się w nieskończoność. W końcu usłyszeli delikatny odgłos kroków dochodzący z mroku. Tuż koło nich przemknął oddział goblinów. Szły bez światła i niemal bezszelestnie. Śledziły patrol z miasta. Martin poczekał, aż zniknęły w dole stoku, i dopiero wtedy dał znak.

Baru i Blutark zerwali się błyskawicznie i przebiegli na drugą stronę rozpadliny. Hadati wskoczył na niewysoką krawędź skalną. Odwrócił się i sięgnął w dół. Blutark skoczył w ślad za panem. Przy pomocy Baru ogromny pies wdrapał się na górę. Po chwili Laurie i Roald przemknęli na drugą stronę. Moment później to samo zrobił Martin. Baru prowadził ich po samej grani nagiego, skalistego zbocza. Przerazająco długo byli wystawieni jak na patelni na spojrzenie każdego, kto akurat zwróciłby się w ich stronę. Biegli przygięci do samej ziemi, aż zeskoczyli w niewielką rozpadlinę.

Baru rozglądał się pilnie na wszystkie strony, podczas gdy jego towarzysze

zeskakiwali jeden po drugim. Energicznym ruchem głowy wskazał kierunek. Ruszyli na zachód, ku Kamiennej Górze.

Przez trzy dni posuwali się wytrwale ku zachodowi. O pierwszym brzasku rozbijali obóz w jaskiniach czy głębokich, osłoniętych rozpadlinach. Ani razu nie rozpalili ogniska. Po zapadnięciu zmroku ruszali w dalszą drogę. Znajomość terenu bardzo się im przydała. Dzięki temu unikali wielu fałszywych, prowadzących donikąd szlaków i ścieżek. Wszystko dookoła świadczyło o tym, że armia Murmandamusa skrupulatnie przeczesuje góry, chcąc się upewnić, że nie kryją się w nich Armengarianie. Pięć razy w ciągu trzech dni leżeli w ukryciu, czekając aż miną ich konne lub piesze patrole. Za każdym razem uratowało ich to, że tkwili bez ruchu, skryci między skałami i nie uciekali w kierunku miasta. Arutha miał rację.

Nieprzyjaciel wypatrywał głównie maruderów ciągnących ku Armengarowi, a nie posłańców kierujących się w przeciwną stronę. Jednak Martin był pewien, że takie szczęście nie może wiecznie trwać.

Jego obawy sprawdziły się już następnego dnia. Wąska przełęcz, której nie można było obejść, strzeżona była przez kompanię moredheli. Pół tuzina ciemnych elfów z górskich klanów siedziało wokół ogniska. Dwóch kolejnych stało na posterunku w pobliżu koni. Niewiele brakowało, a Baru zdradziłby ich obecność.

Jedynie dzięki ostrzeżeniu Blutarka nie wyszedł na otwartą przestrzeń. Hadati padł na ziemię. Przywarł do ogromnego głazu i podniósł w górę osiem palców. Ruchem ręki pokazał, że dwóch stoi na szczycie skały. Potem na migi dał im znać, że obserwują teren. Następnie podniósł sześć palców, przykucnął i udał, że je. Martin pokiwał głową. Ruchem ręki zasugerował obejście posterunku. W odpowiedzi Hadati pokręcił przecząco głową.

*Martin zdjął ostrożnie tuk z pleców. Wyjął z kołczana dwie strzały. Jedną włożył między zęby, drugą założył na cięciwę. Podniósł dwa palce i wskazał na siebie. Potem wskazał ku pozostałym i kiwnął głową. Baru wzniosł sześć palców i również pokiwał potwierdzająco głową.*

*Martin spokojnie wyszedł z ukrycia na otwartą przestrzeń i wypuścił pierwszą strzałę. Jeden z ciemnych elfów poleciał w tył i spadł ze skalistej grzędy. Drugi zauważył Martina i zeskoczył. Zanim wylądował, w jego piersi sterczała długa strzała.*

*Baru i pozostali już precyzyjnie przycisnęli się obok Martina i rzucili się na przeciwników z dobytą bronią. Klinga Baru świsnęła przeciągle w powietrzu i kolejny moredhel zwałił się z rozplataną głową. Blutark dopadł następnego i tarzał go po ziemi, dławiąc za gardło. Roald i Laurie związali w walce dwóch następnych. Martin rzucił łuk i wyciągnął miecz.*

*Moredhele szybko ochłonęli z zaskoczenia. Rozpętała się mordercza, zażarta walka. Martin zwał się ze swoim przeciwnikiem. W tym momencie usłyszeli tętent końskich kopyt. Jeden z moredheli, zostawiony na razie w spokoju, zdecydował się na ucieczkę i wskoczył na siodło. Dał koniowi ostrogę. Zanim zdążyli go powstrzymać, przemknął koło atakujących. W krótkim czasie Martin i jego towarzysze wyprawili swych przeciwników na tamten świat. W obozie zaległa cisza.*

*– A niech to szlag! – zaklął Martin.*

*– Nic nie mogliśmy poradzić – uspokajał go Baru.*

*– Gdybym nie rzucił łuku, mógłbym go dosięgnąć. Dałem się ponieść emocjom. – Powiedział to tak, jakby to był największy błąd. – No trudno, nic się już nie da teraz zrobić, jakby powiedział Amos. Mamy ich konie, więc wykorzystajmy je.*



*Nie wiemy, co prawda, czy dalej są jeszcze inne obozy, ale teraz musimy działać szybko, a nie skrycie. Moredhel wkrótce pojawi się tutaj ze swymi przyjaciółmi.*

*– Ze swoistym rodzajem przyjaciół – dorzucił Laurie, wskazując na konia.*

*Roald i Baru również dosiedli koni. Martin poprzecinał uprzęż trzech pozostałych.*

*– Mogą mieć konie, ale będą musieli jechać na oklep.*

*Pozostali nie odezwali się ani słowem. Ten niewielki akt czystej złośliwości pokazał nad wyraz jasno, jak Martin był wściekły na siebie za ucieczkę moredhela.*

*Księżę Crydee dał znak. Baru z Blutarkiem ruszyli pierwsi. Pies puścił się przodem i wkrótce zniknął im z oczu. Jeźdźcy pośpieszyli za nim.*

*Olbrzym odwrócił głowę, gdy strzała Martina ugodziła go w plecy. Prawie trzymetrowego wzrostu stworzenie zachwiało się na nogach, gdy kolejna strzała trafiła je w szyję. Jego dwóch towarzyszy ruszyło w stronę Martina ciężkim krokiem, podczas gdy on trzecim pociskiem zwałił wreszcie na ziemię rannego.*

*Baru nakazał psu zatrzymać się. Gigantyczne humanoidy wymachiwały ogromnymi mieczami, dorównującymi długością wielkim, dwuręcznym mieczom Królestwa. Jeden cios mógł rozplatać nawet tak potężne zwierzę jak Blutark. Mimo niezdarnych i przyciężkich ruchów włochate stwory poruszały się dostatecznie sprawnie i szybko, by stać się bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Baru opadł w przysiadzie do samej ziemi. Tuż nad głową świsnęła klinga olbrzyma. Momentalnie zerwał się na nogi i przemknął obok górującego nad nim przeciwnika, podcinając mu ścięgna podkolanowe. Olbrzym zwałił się na ziemię. Roald i Laurie, działając ramię w ramię, trzymali w szachu trzeciego. Ich olbrzym cofał się nieustannie, aż w końcu Martin zabił go strzałą z łuku.*

*Gdy wszystkie trzy leżały martwe na ziemi, Laurie i Roald przyprowadzili konie. Blutark obwąchiwał trupy. Z jego gardła dobywał się głuchy pomruk.*

*Olbrzymy przypominały budową ludzi, ale były o wiele potężniej zbudowane i każdy miał od trzech do czterech metrów wzrostu. Porośnięte czarnym włosiem i z długimi, czarnymi brodami wyglądały prawie identycznie.*

*– Olbrzymi zazwyczaj pogardzają ludźmi i trzymają się od nich z daleka – powiedział Hadati. – W jaki sposób Murmandamus zmusił je do współdziałania?*

*– Nie mam pojęcia. – Martin pokręcił głową. – Słyszałem o nich nieraz. W górach koło Wolnych Miast jest ich też trochę. Strażnicy Natalu twierdzą również, że olbrzymy unikają kontaktów z innymi i raczej nie przysparzają kłopotów. Może więc nie są bardziej odporne na pokusy bogactwa i władzy niż inne istoty?*

*– Legenda głosi, że kiedyś byli to zwykli ludzie jak ty czy ja. Dopiero potem coś ich odmieniło – powiedział Baru. Dosiedli koni.*

*– Nie bardzo mi się chce w to wierzyć – skomentował Roald.*

*Martin dał sygnał do wznowienia marszu. Ruszyli, mając za sobą już drugie, szczęśliwie zakończone spotkanie ze strażami Murmandamusa.*

*Głuchy pomruk wydobywający się z gardzieli Blutarka ostrzegł ich, że na szlaku przed nimi coś się dzieje. Docierali właśnie do punktu powyżej Przełęczy Inclindel, gdzie mieli opuścić wreszcie skaliste granie i zacząć drogę w dół, do Yabonu. Przez trzy dni utrzymywali maksymalne tempo. Mimo że byli do cna wyczerpani i usypiali w siodłach, nie zwalniali. Parli wytrwale do przodu. Konie chudły w oczach. Dwa dni wcześniej skończył się obrok zabrany moredhelom, a na tej wysokości nie było żadnej innej paszy. Zdawali sobie sprawę, że gdy natkną się na pierwsze łąki, będą musieli dać wierzchowcom czas na popas. Martin wiedział, że*

*z uwagi na mordercze tempo i karkołomne warunki terenowe wierzchowcom będzie trzeba czegoś więcej niż trawy, jeśli chcą pomyślnie zakończyć wyprawę. Był wdzięczny losowi, że zesłał im konie w odpowiedniej chwili. Trzy dni ostrej jazdy zmieniły szansę powodzenia wyprawy ze znikomych na realne. Jeszcze dwa dni jazdy – nawet jeśli konie miałyby paść w drodze – i zyskają pewność, iż dotrą na czas do Kamiennej Góry.*

*Baru nakazał gestem, by się zatrzymali. Zsiadł z konia i ruszył powolutku do przodu. Zniknął za zakrętem. Martin tkwił w siodle bez najmniejszego ruchu, jak posąg z wycelowanym przed siebie tukiem. Laurie i Roald trzymali konie. Baru wyszedł zza zakrętu. Dał im znak, by się cofnęli.*

*– Trolle – szepnął.*

*– Ile? – spytał Laurie.*

*– Cały tuzin.*

*Martin zaklął pod nosem.*

*– Czy można je obejść?*

*– Chyba tak, jeśli zostawimy tu konie i pójdziemy górą. po skatach, ale nie jestem pewien.*

*– A może z zaskoczenia? – zasugerował Roald, wiedząc z góry, jaka będzie odpowiedź.*

*– Zbyt wielu – sprzeciwił się Martin. – Trzech na jednego na wąskim szlaku?*

*Nawet bez broni mogą ci odgryźć rękę. Nie, lepiej spróbujmy je obejść. Zabierzcie, co niezbędne, i puśćcie konie luzem.*

*Szybko wzięli, co było konieczne w dalszej drodze, a Laurie i Roald*

*odprowadzili wierzchowce kawałek z powrotem. Martin i Baru obserwowali z*

*napięciem ścieżkę przed nimi, na wypadek gdyby trolle zechciały ją sprawdzić.*

*Nagle zza skał wybiegli Roald i Laurie.*

*– Mroczni Bracia – szepnął zdyszany Roald.*

*– Blisko? – spytał Martin.*

*– Stanowczo zbyt blisko, aby stać bezczynnie i gadać o nich – powiedział*

*Roald. Odwrócił się i zaczął wspinać na skały górujące nad szlakiem. Reszta uczyniła to samo. Blutark dzielnie dotrzymywał im kroku. Wkrótce przeskoczyli na przeciwległy stok. Osłonięci granią ruszyli równoległe do ścieżki, mając nadzieję, że uda im się ominąć trolle.*

*Dotarli do punktu koło szlaku, gdzie ścieżka skręcała raptownie. Baru wyjrzał ostrożnie zza skały. Dał im znak. Poszli jeszcze kawałek, kryjąc się za granią, po czym zeskoczyli na szlak. Nagle doszły ich z daleka okrzyki.*

*– Moredhele dotarły do posterunku trolli i na pewno mają nasze konie. –*

*Ruszyli biegiem w dół szlaku. Biegli długo, aż płuca zaczęły palić ich żywym ogniem.*

*Ciągle słyszeli za plecami odgłos kopyt końskich. Martin wskoczył za grupkę wysokich skałek obok ścieżki.*

*– Tutaj! – krzyknął. Gdy reszta dobiegła do niego, wskazał w górę. – Dacie radę wdrapać się tam i zepchnąć głazy w dół?*

*Baru skoczył na zbocze i szybko wspiął się na górę. Przykucnął za niebezpiecznie wysuniętym występem. Dał znak, by Laurie i Roald dołączyli do niego.*

*Zza zakrętu wyłonił się pierwszy jeździec. Gdy ujrzał Martina i psa, natychmiast dał ostrogę koniowi. W chwilę później pojawili się następni. Księżę Crydee spokojnie wymierzył w pędzącego na przedzie. Gdy moredhel dotarł do*

wąskiego przesmyku na szlaku, wypuścił strzałę. Pocisk z szerokim grotem ugodził konia prosto w pierś. Zwierzę padło na ziemię jak rażone piorunem. Moredhela wyrzuciło z siodła. Przeleciał nad karkiem konia i z głuchym łoskotem uderzył o kamienie, łamiąc kark. Drugi koń wpadł na pierwszego i kolejny jeździec poszybował w powietrzu. Spadł na ziemię już martwy – z jego piersi sterczała strzała. Z tyłu rozpętał się chaos. Kolejne wierzchowce wpadały na barykadę z ciał albo jeden na drugiego, stając dęba i kwicząc. Martin odniósł wrażenie, że zostały ranne dwa następne zwierzęta, ale w zamieszaniu nie miał pewności. Wtedy rozległ się z góry okrzyk Baru. Blutark natychmiast pognał w dół szlaku.

Martin pobiegł za psem. Za plecami słyszał nieprzyjemny zgrzyt i grzechot osuwających się powoli bloków skalnych. Lawina ruszyła z ogłuszającym łoskotem. Martin słyszał, jak jego przyjaciele drą się i przeklinają na głos. Obok niego spadł na ścieżkę deszcz drobnych kamieni i odłamków skalnych.

Martin zatrzymał się, by przyjrzeć się kamiennej lawinie. Chmura kurzu przysłoniła widok. Powoli pył zaczął opadać. Usłyszał, jak Laurie krzyczy jego imię. Rzucił się z powrotem i zaczął wspinać po rumowisku. Chwycił wyciągnięte ku niemu ręce i wciągnął się na górę. Oczy mu łzawiły. Ledwo widział. Laurie pokazywał ręką w dół.

– Roald...

Najemnik stracił grunt pod nogami i zsunął się po kamieniach, aby wylądować po niekorzystnej stronie blokującego szlak rumowiska. Siedział oparty plecami o głazy z twarzą zwróconą ku zajmującym pozycje moredhelom i trollom.

– Będziemy cię osłaniali! – krzyknął Martin. Roald odwrócił się do nich z gorzkim uśmiechem wykrzywającym usta.

*– Nic z tego – odkrzyknął. – Mam złamane obie nogi. – Wskazał na*

*wyciągnięte przed nim nogi, pod którymi zbierała się kałuża krwi. Z przebitej nogawki sterczała kość. Siedział z mieczem położonym w poprzek kolan. W rękach trzymał dwa, gotowe do rzutu sztylety.*

*– Idźcie dalej. Powstrzymam ich przez kilka minut. Uciekajcie.*

*Baru podbiegł do Lauriego i Martina.*

*– Musimy uciekać. On ma rację.*

*– Nie zostawimy cię! – krzyknął Laurie.*

*– Zawsze chciałem umrzeć jak bohater – odkrzyknął Roald, nie odrywając*

*oczu od szlaku, gdzie w chmurze pyłu poruszały się niewyraźne kształty. – Nie psuj mi tego, Laurie. Napisz o mnie pieśń. Tylko dobrą! A teraz zjeżdżajcie stąd!*

*Wynocha! No już!*

*Baru i Martin ściągnęli Lauriego w dół po kamieniach. Szedł już sam, nie*

*przymuszany przez przyjaciół. Gdy dotarli do miejsca, gdzie czekał na nich Blutark,*

*Laurie pierwszy pobiegł w dół ścieżki. Jego twarz zastygła w kamienną maskę bólu,*

*ale oczy miał już suche. Za plecami słyszeli wrzaski moredheli i trolli, którym*

*towarzyszyły okrzyki bólu. Roald drogo sprzedawał swe życie. Po kilku chwilach*

*odgłosy walki ucichły.*

# PIERWSZA KREW

*Rozległ się dźwięk trąb.*

*Armengariańscy łucznicy patrzyli w dół na szeregi gotowe do rozpoczęcia szturm na miasto. Od sześciu dni czekali na atak, który właśnie teraz się rozpoczynał. Sygnalista goblinów ponownie zadął w trąbkę, odpowiadały mu kolejne trąby i rogi wzdłuż szeregów. Łoskot bębnow zawtórował wysokim dźwiękom trąb. W ten sposób rozkaz do ataku został wydany. Szeregi wojowników ruszyły do przodu jak żywa fala gotowa uderzyć w mury Armengar. Z początku szli powoli, jakby ociężale. Po chwili pierwsza linia zaczęła biec. Nieprzeliczony tłum runął do przodu. Guy wznosił rękę, dając znak katapultom, by zwolniły swe śmiercionośne pociski, wysyłając je na spotkanie napastników. Ponad głowami obrońców wysokim łukiem śmignęły kamienie, by wpaść z trzaskiem między zwarty tłum. Gobliny przeskakiwały w biegu ponad ciałami poległych towarzyszy. Obecny atak był już trzecim od świtu. Pierwszy załamał się, zanim wróg zdołał dotrzeć do murów. Drugi doprowadził ich na granice fosy. Tam jednak został przerwany i atakujący wycofali się na poprzednie pozycje.*

*Teraz biegli, aż znaleźli się na granicy zasięgu łuczników. Guy zarządził rozpoczęcie ostrzału. Na masy goblinów i moredheli spadł deszcz strzał. Setki ich waliły się na ziemię. Niektórzy martwi, inni tylko ranni, ale wszystkich tratowały ciężkie buciory nadbiegających z tyłu szeregów.*

*Parli nieustępliwie do przodu. Rozległy się przytłumione odległością rozkazy.*

*Ku przednim szeregom podawano z tyłu długie drabiny. Opierano je na ciężkich platformach rzuconych między brzegami fosy. Drabiny wędrowały w górę, a po chwili, pchnięte długimi tyczkami, padały w dół. Gobliny pod śmiercionośnym*

*gradem pocisków raz po raz ponawiały bezowocne wysiłki, aby wspiąć się na górę. Kolejne wzniesienie ręki Guya i z wiader oraz ogromnych kotłów polały się w dół strumienie wrzącego oleju. Zmasowane uderzenie za pomocą głazów, strzał, oleju i ognia było zbyt intensywne, by atakujący mogli je wytrzymać i przeżyć. I rzeczywiście. Po paru chwilach zza linii rozległ się donośny dźwięk trąbek. Siły Murmandamusa zaczęły się błyskawicznie wycofywać. Guy natychmiast zarządził wstrzymanie ostrzału i innych działań obronnych.*

*Spojrzał na przedpole zamku usłane setkami ciał zabitych i rannych.*

*Odwrócił się do Aruthy i Amosa.*

*– Ich dowódca jest pozbawiony wyobraźni. Szasta życiem swoich żołnierzy.*

*W odpowiedzi Amos wskazał grupkę moredheli siedzącą na niewielkim pagórku. Uważnie obserwowali przebieg ataku.*

*– Tak naprawdę on liczy naszych łuczników. Guy zaklął głośno.*

*– Cholera, zaczynam popełniać błędy. Nie zauważyłem ich.*

*– Od dwóch dni nie spałeś, jesteś wyczerpany – powiedział Arutha.*

*– No i nie jestem już taki młody jak kiedyś. Amos parsknął śmiechem.*

*– Bo też i nigdy nie byłeś.*

*Pojawił się Armand de Sevigny z raportem.*

*– Brak ruchów przeciwnika we wszystkich sektorach. Reduty na skałach nie zauważyły na tyłach niczego istotnego. Guy przyglądał się zachodzącemu słońcu.*

*– No, na dzisiaj mamy ich chyba z głowy. Wydaj rozkaz, by kompanie schodziły po kolei na dół i posiliły się. Jeden z każdej piątki trzyma dziś straż. Reszta spać. Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni.*

*Guy poszedł wzdłuż muru do schodów prowadzących na dół. Inni udali się za*



*nim. Jimmy i Locklear w skórzanych zbrojach podarowanych przez Armengarian wbiegali akurat na górę.*

*– A co to, trafiła się wam pierwsza straż? – spytał Arutha.*

*– Tak – odpowiedział Jimmy. – Zamieniliśmy się.*

*– Dziewczyny też mają pierwszą wartę – nie wytrzymał Locklear.*

*Arutha potargał żartobliwie włosy śmiejącego się radośnie Lockleara i posłał go za Jimmym. Zeszli na dół.*

*– Dookoła szaleje wojna, a on myśli o dziewczynach. Amos pokiwał głową.*

*– My też byliśmy młodzi, ale nie wiem, czy potrafiłbym aż tak daleko sięgnąć pamięcią. Chociaż przypominam sobie, że mając jego lata, mniej więcej o tej porze roku pływałem właśnie w okolicach niższej delty Keshu, koło Smoczych Ziem...*

*Arutha, zmierzając już do wspólnej kuchni, uśmiechnął się łagodnie. Pewne przyzwyczajenia nigdy nie ulegają zmianie. Należało do nich między innymi snucie niezwykłych opowieści przez Amosa. Tym razem powitał je z radością.*

*Drugiego dnia tłum moredheli i goblinów zaatakował z samego rana. Zostali z łatwością odparci. Za każdym razem przeciwnik wyprowadzał tylko jedno natarcie, które kończyło się szybkim wycofaniem na wyjściowe pozycje. Późnym popołudniem stało się już jasne, że oblegający mają zamiar zadomowić się na dobre.*

*Słońce chyliło się ku zachodowi. Arutha i Guy stali na murach. Nadbiegł Amos.*

*– Posterunki na szczycie twierdzy meldują o ruchach na równinach, na tyłach tych przyjemniaczków na dole. Prawdopodobnie nadciągają główne siły Murmandamusa. Powinny tu dotrzeć jutro koło południa.*

*– Zajęcie pozycji i przygotowania zajmą im cały dzień. – Guy spojrzał na towarzyszy. – Zatem zyskujemy kolejne dwa dni. Ale pojutrze, o świcie, rzuci*

*przeciwko nam wszystko, co ma.*

*Trzeci dzień mijał powoli. Obrońcy obserwowali, jak tysiące żołnierzy moredheli i ich sprzymierzeńców rozkładają się obozami wokół miasta. Po zachodzie słońca przesuujące się w mroku węże pochodni zdradzały, iż nadciągają wciąż nowe oddziały. Przez całą noc rozbrzmiewał głuchy odgłos maszerujących wojowników. Przez całą też noc Guy, Amos, Arutha i Armand regularnie wchodzili na mury, by obserwować powiększające się nieustannie, zalewające równinę Armengar morze obozowych ognisk.*

*Nadszedł czwarty dzień. Oblegająca armia zadomowiła się na dobre, jakby czekając na lepszą okazję. Przez cały dzień wszystkie siły obrońców stały w pełnym pogotowiu, czekając na atak. Nie nadchodził. Pod wieczór Arutha poszedł do Amosa.*

*– Nie uważasz, że mogą próbować takiej samej sztuczki jak Tsurani: nocne ataki, które miały odwrócić naszą uwagę od saperów?*

*– Nie są tacy sprytni. – Amos pokręcił głową. – Potrzebowali fachowców*

*Segersena, ponieważ nie mają swoich oddziałów inżynierskich. Jeśli wynajęli jakichś saperów drążących pod tymi murami, bardzo bym chciał ich zobaczyć:*

*musieliby przypominać ogromne ryjówki żywiące się litą skałą. Nie, to niemożliwe.*

*Na pewno coś kombinują, ale nic specjalnie wymyślnego. Sądzę, że jego*

*bastardowska wysokość nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że ma tu poważny kłopot.*

*Ta arogancka świnia chce nas pewnie zdobyć jednym zmasowanym atakiem. Ot co.*

*Guy słuchał z uwagą. Jego jedyne oko ani na chwilę jednak nie przerwało*

*obserwacji nieprzebranej masy wrogów obozujących na równinach.*

*– Przynajmniej zyskaliśmy dodatkowy dzień na to, by twój brat mógł dotrzeć*

*do Kamiennej Góry, Arutha. – Minęło już dziesięć dni od czasu, jak Martin i jego*

*towarzysze opuścili miasto.*

*– No i dobrze – zgodził się Amos. Patrzyli w milczeniu. Słońce zapadało za górskie szczyty. Zostali na murach, obserwując okolicę, aż zapadły kompletne ciemności. Wtedy powoli zeszli na dół, by coś zjeść i trochę odpocząć.*

*O świcie nad oblegającym tłumem buchnął nagle dziki zgiełk. Wrzaski, krzyki, łoskot bębnów, wycie rogów i trąb. Zamiast jednak spodziewanego ataku pierwsze szeregi rozstąpiły się na boki i wytoczono przed front armii ogromną platformę. Tuzin włochatych olbrzymów popychał ją bez wysiłku. Na platformie znajdował się wysadzany złotem tron, na którym zasiadł samotny moredhel ubrany w krótką, białą szatę. Za jego plecami przystanęła pochylona postać. Skrywała ją całkowicie obszerna, długa szata z kapturem głęboko nasuniętym na oczy.*

*Platforma powoli zbliżała się do murów.*

*Guy wychylił się do przodu, wspierając się ręką o niebieskawe bloki kamiennego muru. Arutha stał sztywno wyprostowany z rękami skrzyżowanymi na piersi. Amos przysłonił ręką oczy przed ostrymi promieniami wschodzącego słońca.*

*Były żeglarz splunął soczyście za mur.*

*– W końcu spotykamy się z jego wspaniałą bastardowską wysokością we własnej osobie.*

*Guy skinął krótko głową. Podbiegł do niego zastępca dowódcy kompanii.*

*– Przeciwnik zajmuje pozycje wyjściowe we wszystkich sektorach.*

*– Czy były próby dotarcia do reduct na szczytach? – Guy wskazał na skalną ścianę na tyłach twierdzy.*

*– Armand donosi tylko o słabych ruchach w wysuniętych posterunków na skatach.*

*Guy skinął głową i ponownie skupił uwagę na przedpolu. Platforma zatrzymała się. Mężczyzna siedzący na tronie podniósł się powoli. Za sprawą magii jego głos rozległ się wyraźnie i donośnie nawet w najdalszych zakątkach murów, jakby mówiący był oddalony zaledwie o kilka kroków.*

*– O moje dzieci, wysłuchajcie mych słów.*

*Arutha spojrział na Amosa i Guya ze zdumieniem. Głos Murmandamusa brzmiał jak czysta muzyka. Z jego słów tchnęło ciepłem dźwięków fletu.*

*– Przeznaczeniem naszym jest dzielić los dnia jutrzejszego. Sprzeciwiając się woli losu, ryzykujemy całkowitym unicestwieniem. Chodźcie, chodźcie do mnie!*

*Odlóżmy na bok stare waśnie i różnice. Nie pozwólmy, aby nas dzieliły.*

*Dał znak ręką i kompania złożona z ludzi podbiegła do przodu, zajmując miejsca za platformą.*

*– Proszę, sami widzicie. Oto są już ze mną członkowie waszej rasy. Oni właściwie pojmują nasze przeznaczenie. Przyjmę z otwartymi ramionami wszystkich, którzy będą ochoczo mi służyć. Przy moim boku osiągniecie prawdziwą wielkość. Chodźcie, chodźcie do mnie. Niech nie dzieli nas przeszłość. Wszyscy jesteście przecież moimi dziećmi, dziećmi, które tylko pobłądziły w życiu.*

*Amos parsknął gniewnie.*

*– Mój staruszek był straszną kanalią i łajdakiem, ale ten... to przechodzi ludzkie pojęcie.*

*– Przybywajcie, przybywajcie. Przyjmę z otwartymi rękami wszystkich, którzy zechcą się przyłączyć. – Jego słowa brzmiały słodko, uwodzicielsko. Stojący na murach wymieniali zdziwione spojrzenia, w których czaiły się niewypowiedziane pytania.*

*Guy i Arutha rozejrzeli się wokół siebie.*

*– W jego słowach kryje się wielka moc i sztuka – powiedział du Bas-Tyra. –*

*Spójrz tylko, niektórzy moi żołnierze myślą już sobie, że może nie będą musieli walczyć.*

*– Przygotować katapulty – powiedział Amos.*

*Arutha podszedł do niego szybkim krokiem.*

*– Czekaj!*

*– Na co? – spytał Guy. – Aby słodkimi słówkami pozbawił moją armię determinacji i woli walki?*

*– Zwlekaj. Trzeba zyskać na czasie. Czas jest naszym sprzymierzeńcem, a jego wielkim przeciwnikiem. Murmandamus krzyczał.*

*– Ci jednak, którzy mi się sprzeciwią, ci, którzy odstąpią na bok, ci, którzy blokują nasz marsz ku przeznaczeniu, ci wszyscy zostaną zmiażdżeni, roztarci na proch.*

*W jego głosie słyhać było nutę ostrzeżenia, nutę groźby. Obrońców na murach ogarnęło nagle i przemożne uczucie absolutnej, nieodwracalnej beznadziejności.*

*– Daję wam wybór!*

*Murmandamus rozłożył gwałtownie ramiona. Biała szata zsunęła się na ziemię, ukazując ciało obdarzone niewyobrażalną mocą. Znamię w kształcie purpurowego smoka zalśniło krwiście. Murmandamus miał na sobie tylko białą przepaskę na biodra.*

*– Możecie żyć w pokoju i służyć wielkiemu dziełu przeznaczenia.*

*Podbiegła do niego grupka sług. Założyli mu zbroję: żelazne płyty na pierś i*

*plecy, nagolenniki, kolczugę i skóry oraz czarny hełm ze sterczącymi na boki smoczymi skrzydłami. Oddział konnych, złożony z ludzi, usunął się na bok. Na jego miejsce pojawiła się kompania Czarnych Zabójców. Podjechali bliżej i zajęli wyznaczone pozycje wokół Murmandamusa, który dobył miecz i skierował go w stronę murów.*

*– Jeżeli stawicie opór, zostaniecie starci w pył. Wybierajcie! Arutha nachylił się ku Guyowi i szepnął mu coś do ucha. Po chwili ciszy Protektor wychylił się za krawędź muru.*

*– Sam nie mogę tu nikomu rozkazać, by opuścił miasto. Musimy zwołać Radę Ludu. Decyzja zostanie podjęta dziś wieczorem.*

*Murmandamus, zaskoczony niespodziewaną odpowiedzią, zawahał się na moment. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz kapłan-wąż przerwał. Nachylił się ku niemu i zaczął gwałtownie mówić. Wódz uciszył go niecierpliwym ruchem ręki.*

*Zwrócił się ponownie ku murom. Arutha wyobraził sobie, że pod hełmem Murmandamusa zaigrał pewny siebie uśmiezek.*

*– Poczekam. Jutro o świcie otwórzcie na oścież bramy i wyjdźcie z miasta.*

*Powitamy was z szeroko otwartymi ramionami, jak powracających na łono rodziny braci. O dzieci moje. – Dał znak i olbrzymy zaczęły ciągnąć platformę, która ruszyła powoli do tyłu i wkrótce wtopiła się w mrowie wojowników przed zamkiem.*

*– Rada Ludu niczego tu nie zmieni. – Guy pokręcił głową. – Osobiście rozwalę łeb idiocie, któremu przejdzie przez myśl, że w słowach tego potwora może się kryć choćby ziarnko prawdy.*

*– Zyskaliśmy przynajmniej kolejny dzień – powiedział Amos.*

*Arutha oparł się o mur.*

– A Martin i reszta są o jeden dzień drogi bliżej Kamiennej Góry.

Guy milczał, wpatrując się w wychodzące zza horyzontu słońce. Oddziały wroga wracały do swych obozów, lecz miasto nadal było odcięte od świata. Przez wiele długich godzin Protektor i jego dowódcy trwali na murach, obserwując w milczeniu przeciwnika.

Całą noc płonęły pochodnie. Na wszystkich odcinkach żołnierze pod komendą Armanda de Seigny zachowywali maksymalną czujność. Większość mieszkańców miasta zgromadziła się na rynku.

Jimmy i Locklear przedzierali się przez tłum. Odnaleźli Kristę i Bronwynn i teraz cała czwórka szła ramię przy ramieniu. Jimmy chciał coś powiedzieć, ale Krista uciszyła go natychmiast. Na podwyższeniu na środku placu pojawili się Guy, Arutha i Amos. Razem z nimi stał starzec w brązowej szacie, która wydawała się równie wiekowa jak jej właściciel. W zagięciu łokcia spoczywał długi kij przebogato rzeźbiony runicznymi symbolami i ornamentami.

– Kto to jest? – spytał Locklear.

– Stróż Prawa – szepnęła Bronwynn. – Cicho!

Staruszek wznosił rękę i na placu zapadła głucha cisza.

– Rada Ludu rozpoczyna obrady. Niech prawo przemówi. Co wypowiedziane

– prawdą jest. Co uradzone – przestrzegane będzie. – Co postanowione – wolą ludu jest.

Guy wznosił ręce ponad głowę.

– Oddaliście miasto pod moją opiekę – przemówił. – Jestem waszym

Protektorem. Obwieszczam, co następuje: wróg nasz czeka na zewnątrz i pięknymi słówkami pragnie uzyskać to, czego nie osiągnął siłą zbrojną. Kto zechce zabrać głos

*w tej sprawie?*

*– Moredhele od wieków byli wrogami naszej krwi – odezwał się głos z tłumu.*

*– Jakąż to służbę mielibyśmy pełnić w ich sprawie?*

*– Czyż jednak nie godzi się jeszcze raz wysłuchać Murmandamusa? – spytał*

*ktoś inny. – Mówi mądrze i uczciwie. – Wszystkie oczy zwróciły się na Stróża*

*Prawa.*

*Ten zamknął oczy i milczał przez długą chwilę. W końcu przemówił.*

*– Prawo mówi, że moredhele nie mieszczą się w konwencjach ludzkich. Obca*

*im jest więź między ludem. Jednak w roku piętnastym Protektor Bekinsmaan*

*spotkał się z jednym z nich zwanym Turanalorem, wodzem klanu Borsuczego*

*moredheli. Do spotkania doszło w Dolinie Isbandii. W czasie święta Banapis*

*ustanowiono zawieszenie broni. Trwało przez trzy lata. Kiedy Turanalor zniknął w*

*Lesie Edder, a miało to miejsce w roku dziewiętnastym, brat jego, Uimsiascor, został*

*wodzem klanu. Naruszył on postanowienia rozejmu, pozbawiając życia wszystkich*

*mieszkańców baczki Dibria. – Starzec mówił powoli, z namaszczeniem, jakby*

*przypominał sobie kolejne fakty i przekazywał je słuchaczom. – Słowa moredhela*

*zostały już wysłuchane w naszej historii, jednak zalecam wielką rozwagę i*

*ostrożność, ponieważ zdradziecka to rasa i przebiegła.*

*Guy dał znak Anicie.*

*– Oto człowiek, którego już poznaliście. Nazywa się Arutha, książę Królestwa,*

*które niegdyś zaliczaliście w poczet swych wrogów. Teraz jest waszym przyjacielem.*

*Jest również moim dalekim krewnym. Miał już do czynienia z Murmandamusem.*

*Nie pochodzi jednak z Armengaru. Czy Rada Ludu zechce udzielić mu głosu?*

*Stróż Prawa podniósł ręce w pytającym geście. Rozległ się pomruk*



*przyzwolenia. Starzec dal znak, by Książę zabrał głos. Arutha wszedł na środek podium.*

*– Walczyłem w przeszłości ze sługusami tego potwora. – W prostych słowach przedstawił historię z Nocnymi Jastrzębiami, zranienie Anity i wyprawę do Moraelin. Wspomniat o watażce moredheli, Muradzie, który zginął z ręki Baru. Opowiedział również o mrożących krew w żyłach zdarzeniach i okrucieństwach, za którymi krył się Murmandamus. Gdy jego opowieść dobiegła końca, Amos wznosił ręce, prosząc o głos.*

*– Przybyłem do was, jak pamiętacie, chory i ranny. Przyjęliście mnie do siebie i otoczyliście troskliwą opieką, choć byłem obcy. Teraz jestem jednym z was. Chcę mówić o tym, który stoi teraz przed wami, o Anicie. Żyłem z nim pod jednym dachem, walczyłem ramię przy ramieniu i od wielu lat zaliczam go do grona mych prawdziwych przyjaciół. Nie ma w nim fałszu i zakłamania. Jego serce jest szczere i otwarte dla wszystkich. Na jego słowach można polegać, są jak opoka. To, co powiedział, jest prawdą i tylko prawdą.*

*– Jaka może być więc nasza odpowiedź? – krzyknął Guy.*

*Błysnęły wzniesione w górę obnażone miecze i roztańczyły pochodnie. Po wielkim placu przetoczył się echem grzmot okrzyku. Nie!*

*Guy czekał spokojnie, gdy tłum Armengarian wykrzykiwał swe wyzwanie wobec Murmandamusa. Stał sztywno wyprostowany. Zaciśnięte w pięść dłonie w czarnych rękawicach wznosił wysoko ponad głowę. Okrzyki tysięcy mieszkańców Armengararu opływały go jak ożywczy strumień wody. Jego jedyne oko błyszczało niezwykłym światłem. Twarz promieniała szczęściem, jak gdyby zapal i odwaga mieszkańców przegnała na cztery wiatry zmęczenie i cierpienie. Jimmy patrzył ze*

*z dumieniem i podziwem. W jego oczach Guy przemienił się w zupełnie innego człowieka.*

*Stróż Prawa czekał cierpliwie, aż zgiełk nieco przycichnie.*

*– Rada Ludu ustanowiła prawo. A oto ono: nikt nie opuści miasta, by służyć*

*Murmandamusowi. Niech nikt nie waży się prawa tego złamać.*

*– Wróćcie teraz na swoje posterunki. Jutro zaczyna się prawdziwa bitwa.*

*Tłum zaczął się powoli rozchodzić.*

*– Ani przez chwilę nie wątpiłem, że tak to się skończy – powiedział Jimmy.*

*– Ale trzeba przyznać, że ten piękniś. Mroczny Brat ze smokiem zamiast pieprzyka, potrafi niezłe nawijać – dorzucił Locklear.*

*– Zgadza się – powiedziała Bronwynn – ale nie zapominajcie, że z*

*moredhelami walczyliśmy, odkąd istnieje Armengar. Między nami nie może zapanować pokój. – Spojrzała na Lockleara. Jej urodziwa twarz była pełna powagi.*

*– Kiedy masz się zgłosić na służbę?*

*– Jimmy i ja rozpoczynamy o brzasku. Bronwynn i Krista wymieniły*

*znaczące spojrzenia. Kiwnęły głowami. Bronwynn wzięła Lockleara za rękę.*

*– Chodź ze mną.*

*– Dokąd?*

*– Mam dom, gdzie możemy spędzić tę noc. – Zdecydowanym ruchem*

*pociągnęła go za sobą i oboje zniknęli w rzednącym tłumie Rady Ludu.*

*Jimmy zerknął spod oka na Kristę.*

*– On jeszcze nigdy...*

*– Ani Bronwynn. Zdecydowała, że jeżeli miałaby jutro umrzeć, to chce przed śmiercią poznać chociaż jednego mężczyznę. Jimmy zastanawiał się przez chwilę.*

– Hm, przynajmniej wybrała delikatnego chłopca. Będą dla siebie dobrzy.

Jimmy ruszył przed siebie, lecz powstrzymała go mocna dłoń dziewczyny.

Obejrzał się. Przyglądała się z uwagą jego twarzy w świetle pochodni.

– Ja też nie zaznałam jeszcze rozkoszy sypialni. Jimmy poczuł, że czerwieni się gwałtownie. Przez cały czas, jaki spędzili z dziewczynami, ani razu nie udało mu się być z Krista sam na sam. Całymi godzinami włóczyli się we czwórkę. Kilka razy całowali się w bramach, ale raczej na niby niż na serio. Dziewczynom udawało się cały czas utrzymywać nad młodymi szlachcicami pełną kontrolę. Zawsze też towarzyszyło im nieuchwytne poczucie, że była to pewnego rodzaju zabawa, mniej czy bardziej niewinna gra. Nie mógł się oprzeć wrażeniu nadciągającego nieuchronnie przeznaczenia i pragnieniu, by żyć bardziej intensywnie, choćby tylko przez jedną noc.

– Ja tak... ale tylko dwa razy – wydusił w końcu z siebie. Ujęła go za rękę.

– Ja też znam dom, z którego możemy skorzystać. – Nie mówiąc ani słowa, poszedł za dziewczyną, czując, jak rodzi się w nim nowe uczucie. Zdał sobie bardzo wyraźnie sprawę z nieuchronności śmierci. Tym silniej, że jej imię pojawiło się głęboko wyryte ogromnymi literami na tle pragnienia afirmacji życia. Wraz z tym uczuciem pojawił się strach. Jimmy chwycił mocno dłoń Kristy i poszli dalej ramię przy ramieniu.

Po murach biegali posłańcy z rozkazami. Taktyka Armengarian była w gruncie rzeczy bardzo prosta. Czekali. O świcie Murmandamus pojawił się przed frontem swych sił. Jego biały wierzchowiec tańczył nerwowo, gdy wódz jeździł tam i z powrotem przed szeregami. Nie było wątpliwości: czekał na odpowiedź z zamku, ale doczekał się tylko absolutnej ciszy.

*Arutha przekonał Guya, aby nic nie robił. Każda godzina zyskana przed atakiem była tą, w której mogły nadciągnąć upragnione posiłki. Jeżeli Murmandamus oczekiwał otwarcia bram albo prowokacyjnego wyzwania, to się rozczarował. Ze szczytu murów powitał go jedynie szereg milczących obrońców Armengaru. W końcu podjechał bliżej i zatrzymał się w połowie drogi między swoją armią a murami. I znowu, jak poprzednio, dzięki magicznej sztuce, jego głos rozległ się głośno i wyraźnie.*

*– O moje oporne dzieci, dlaczego się wahacie? Czyż nie zebraliście się na naradę? Czyż nie widzicie, że opór jest głupotą? Jak więc brzmi wasza odpowiedź? Słucham.*

*Jedyną odpowiedzią była martwa cisza. Guy wydał surowy rozkaz, aby nikt nie ważył się mówić głośniejsz niż szeptem. Nakazał też powstrzymać każdego, kto chciałby urągać nieprzyjacielowi. Nie chciał dostarczać Murmandamusowi nawet cienia pretekstu do rozpoczęcia wcześniejszego ataku. Wierzchowiec moredhela zatańczył nerwowo w kółko.*

*– Muszę wiedzieć! – wrzasnął Murmandamus. – Jeżeli nie dostanę odpowiedzi, zanim dojadę do mych szeregów, spadnie na was ogień i śmierć! Guy walnął pięścią w rękawicy w mur.*

*– Niech mnie szlag trafi, jeśli poczekam choćby pięć minut. Katapulty!*

*Dał znak ręką. Ponad ich głowami przemknęła z szumem chmura kamieni wielkości melonów. Opadła z trzaskiem i łoskotem wokół Murmandamusa. Białe rumaki, kilkakrotnie trafione, zwałił się ciężko na ziemię. Murmandamus wyleciał z siodła i potoczył po trawie. Raz po raz trafiały w niego kamienie. Na murach wybuchł dziki, radosny wrzask.*

Zamarł nagle, gdy Murmandamus zerwał się na nogi. Nie było widać po nim żadnych obrażeń. Ruszył powoli w stronę murów, aż znalazł się w zasięgu łuków.

– Odrzucacie z pogardą moją szczodrość i hojność. Odrzucacie me królestwo.

Poznajcie więc zniszczenie!

Łucznicy wypuścili pociski, jednak strzały odbijały się od Murmandamusa, jakby był otoczony jakąś ochronną skorupą. Gwałtownym ruchem wycelował miecz ku murom. Rozległa się dziwna, przytłumiona eksplozja. Z czubka klingi wystrzelił szkarłatny ogień, który trafił z hukiem w kamienny parapet. Trzech łuczników wrzasnęło strasznym głosem, ich ciała rozgorzały żywym ogniem. Ku murom nadlatywały kolejne błyskawice. Pozostali obrońcy schowali się błyskawicznie za ochronną krawędź muru, dzięki czemu zdołali uniknąć kolejnych strat. Z gardła Murmandamusa wydobył się wściekły ryk. Odwrócił się ku swojej armii.

– Zniszczcie ich! Zmiećcie z powierzchni ziemi! – wrzasnął.

Guy wyjrzał poza blanki. Moredhel oddalał się długimi krokami. Jego armia wylała się na równinę, pędząc wielką falą ku murom. Murmandamus, podobny do spokojnej wysepki w morzu chaosu, kroczył spokojnie ku platformie i tronowi.

Guy rozkazał uruchomić maszyny wojenne i na atakujących spadł śmiercionośny deszcz. Wroga fala zatrzymała się na chwilę, gubiąc impet natarcia, by po sekundzie ruszyć jeszcze szybciej ku coraz bliższym murom. Ponad wodami fosy zawałonej szczątkami i ciałami z poprzednich natarć przerzucano następne platformy. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, wznosiły się ku górze długie drabiny i mrowie atakujących zaczęto się po nich wspinać.

Olbrzymy ruszyły do ataku. Pchały przed sobą ogromne, dziwacznie wyglądające skrzynie, długie i szerokie na siedem, a wysokie na trzy metry, stojące

*na zaopatrzonych w koła platformach. Z przodu i z tyłu sterczały długie tyki.*

*Platformy kołysały się na nierównościach terenu i porozrzucanych wszędzie ciałach.*

*Gdy znalazły się w pobliżu murów, uruchomiono jakieś mechanizmy i tyki wsunęły*

*się pod skrzynie, unosząc je w górę, aż znalazły się na równi z blankami. Czoła*

*skrzyń opadły nagle do poziomu, tworząc platformy, po których wylały się z*

*wnętrza tabuny goblinów. Błyskawicznie bestie znalazły się na murach Armengaru.*

*Ze skrzyń zrzucano jednocześnie drabinki sznurowe, po których zaczęli się wspinać*

*kolejni napastnicy. Ta sama taktyka została powtórzona jednocześnie w kilkunastu*

*punktach murów. W niedługim czasie setki moredheli, goblinów i trolli zmagaly się z*

*obrońcami w krwawej walce wręcz.*

*Arutha uchylił się przed ciosem goblina i jednocześnie przeszył na wylot*

*zielonoskórą bestię, która spadła z wrzaskiem na kamienie dziedzińca. Dzieciaki*

*rzuciły się hurmem z wyciągniętymi sztyletami i dopilnowały, aby goblin stał się*

*rzeczywiście martwym goblinem. W bitwie uczestniczyli wszyscy, którzy byli do*

*tego zdolni.*

*Księżę Kronodoru przemknął koło Amosa zmagającego się z moredhelem. Obaj*

*chwycili się za nadgarstki, uniemożliwiając przeciwnikowi jakikolwiek ruch.*

*Mijając ciemnego elfa, Arutha rąbnął go w głowę ręką miecza i pobiegł dalej.*

*Moredhel zachwiał się na nogach. Amos natychmiast wykorzystał chwilową*

*słabość. Złapał go jednocześnie za gardło i krocze. Uniósł w górę i cisnął za mur,*

*spychając jednocześnie innych wspinających się po drabinie. Następnie przy*

*pomocy innego obrońcy odepchnęli drabinę od muru, zwalając ją dół.*

*Jimmy i Locklear biegli wzdłuż muru, torując sobie drogę ciosami*

*rozdzielanymi na prawo i lewo tym, którzy usiłowali ich zatrzymać. Dotarli w*

*końcu do stanowiska dowodzenia Guya.*

*– Panie, Armand mówi, że nadciąga drugi rzut skrzyń. Guy rozejrzał się, oceniając błyskawicznie sytuację. Mury zostały oczyszczone z napastników i prawie wszystkie drabiny zwalone na dół.*

*– Tyczki i płonący olej! – krzyknął, a jego rozkaz sprawnie przekazano dalej.*

*Gdy drugi rzut skrzyń uniósł się w górę do wysokości blanków, te najeżyły się nagle długimi tyczkami, a nawet włóczniami. Blokowano nimi opadające przednie ścianki skrzyń, chociaż nie we wszystkich wypadkach się to powiodło. Pozostałe zostały obrzucone przez silnorękich, dobranych specjalnie obrońców Armengaru, skórzanymi workami z olejem. Ściekający po ścianach skrzyń gęsty olej podpalono następnie płonącymi strzałami i po chwili wzniesione wysoko skrzynie płonęły jak pochodnie. Skryci wewnątrz napastnicy, krzycząc wniebogłosy, skakali na oślep w dół, w objęcia śmierci. Z dwojga złego woleli roztrzaskać się o ziemię, niż usmażyć żywcem.*

*Kilka kompanii moredheli, którym udało się wdrzeć na mury, zostało szybko i skutecznie zlikwidowanych. Nie minęła godzina od pierwszego natarcia, a na tyłach wroga rozległy się trąby nawołujące do odwrotu.*

*Arutha ocenił sytuację spojrzeniem. Odwrócił się do Guya. Protektor dyszał ciężko, bardziej z napięcia niż z wyczerpania walką. Jego stanowisko dowodzenia było otoczone silnym pierścieniem obrony, aby mógł swobodnie panować nad sytuacją i wydawać rozkazy wszystkim sektorom obrony. Popatrzył na Księcia.*

*– Mamy szczęście. – Potarł twarz dłońmi. – Gdyby ten idiota wysłał oba rzuty jednocześnie, spokojnie zrobiłby wyłom w przynajmniej jednym sektorze. Walczylibyśmy już na ulicach, wycofując się.*

– *Być może, ale musisz pamiętać, że masz doskonałą armię. Wspaniale walczyli.*

– *Tak, tak. – Guy zezłościł się. – Walczyli rzeczywiście wspaniale, ale i umierali we wspaniałym tempie. Chodzi przede wszystkim o to, jak najdłużej utrzymać ich przy życiu.*

*Odwrócił się do Jimmiego, Lockleara i kilku innych posłańców.*

– *Zwołajcie dowódców do wysuniętego punktu dowodzenia. Za dziesięć minut odprawa. – Spojrzał na Aruthę. – Chciałbym, abyś wziął w niej udział. Arutha obmył zakrwawione ręce wodą dostarczoną przez staruszkę, który ciągnął wózek wyładowany wiadrami.*

– *Dobrze.*

*Zeszli schodami z murów prosto do domu, który Guy przekształcił w kwaterę główną. W ciągu dziesięciu minut stawili się wszyscy komendanci poszczególnych odcinków, nie wyłączając Amosa i Armanda.*

*Gdy wszyscy byli na miejscu, Guy zwrócił się do zebranych.*

– *Dwie sprawy. Po pierwsze, nie wiem, ile jeszcze podobnych ataków uda nam się skutecznie odeprzeć i czy są zdolni powtórzyć takie natarcie jak ostatnie.*

*Gdyby wykazali się odrobinę większą inteligencją w wykorzystaniu tych przeklętych skrzyń, to teraz walki toczyłyby się na ulicach miasta. Równie dobrze możemy odeprzeć kilkanaście następnych ataków, jak też ulec już przy następnym.*

*Zarządzam natychmiastową ewakuacją miasta. Do północy mają zostać zakończone dwie pierwsze fazy. Konie i zapasy do wąwozów. Przygotować dzieci. Chcę także, aby wszyscy byli gotowi do natychmiastowego zrealizowania na mój rozkaz dwóch ostatnich faz. Po drugie, gdyby coś mi się stało, dowództwo po mnie obejmują w*



*kolejności: Amos Trask, Armand de Seigny i książkę Arutha.*

*Arutha spodziewał się, że dowódcy Armengaru będą protestować, ale oni oddalili się bez słowa, by wykonać powierzone zadania. Guy przerwał Anicie, zanim ten zdążył otworzyć usta.*

*– Jesteś lepszym dowódcą polowym niż którykolwiek z nich. Jeżeli będziemy musieli opuścić miasto, może się zdarzyć, że będziesz musiał objąć dowództwo nad częścią mieszkańców. Chciałem, by wiedzieli, że mają cię słuchać. W ten sposób, nawet jeśli znajdzie się pośród nich któryś z lokalnych komendantów, twoje rozkazy będą wypełniane bez szemrania.*

*– Ale dlaczego?*

*Guy ruszył w kierunku drzwi.*

*– Aby o kilku więcej moich ludzi dotarło żywych do Yabonu. Chodź... na wszelki wypadek. Powinieneś wiedzieć, co tu planujemy.*

*Drugi zmasowany atak nastąpił dokładnie w chwili, gdy Guy pokazywał Arucie rozmieszczenie poszczególnych oddziałów w samej twierdzy, na wypadek upadku miasta. Pognali z powrotem na mury. Ulice wypełniał stukot beczek toczonych przez starszych mężczyzn i kobiety. Gdy dotarli do podnóża zewnętrznego muru, Arutha zauważył, że w rogach ustawiono dziesiątki beczek.*

*Wbiegli na górę. Na całej długości murów trwały zażarte boje. Płonące skrzynie kołysały się w podmuchach wiatru tuż przy blankach, lecz żadnemu moredhelowi, goblinowi czy trollowi nie udało się na razie wedrzeć poza linię obrony.*

*Guy dobiegł do stanowiska dowodzenia. Amos nadzorował już rozmieszczenie kompanii rezerwowych. Nie czekając na pytanie Guya, Amos zaczął*

*składać raport.*

*– Wysłali około dwóch tuzinów tych pudłowatych urządzeń. Tym razem najpierw ostrzelaliśmy je na sztywno płonącymi strzałami, a dopiero później poleciał olej. Dzięki temu zaczęły się palić w większej niż poprzednio odległości od murów. Nasi chłopcy obsypują ich gradem pocisków. Tym razem nie damy im szansy. Jego nieświęta bastardowość dostanie wkrótce szalu. – Wskazał na odległy pagórek, gdzie na tronie siedział Murmandamus. Z powodu oddalenia nie było wyraźnie widać, lecz wiele wskazywało na to, że watażka moredheli nie był specjalnie zadowolony z przeprowadzonego ataku. Arutha żałował, że nie ma sokolego wzroku Martina i nie może dokładnie zobaczyć, co robi Murmandamus.*

*– Padnij! Wszyscy padnij! – wrzasnął nagle Amos. Arutha przypadł za blanki. Ostrzeżenie Amosa, przekazywane z ust do ust, obiegło mury. Następny szkarłatny płomień eksplodował nad ich głowami. Nadleciał drugi i jeszcze jeden. Rozległ się daleki głos trąb. Arutha zaryzykował i wyjrzał ostrożnie. Oddziały oblegające miasto wycofywały się na bezpieczną odległość, ku swoim szeregom. Guy wstał.*

*– Patrz.*

*Jak okiem sięgnąć, wzdłuż muru ciągnęły się zwały dymiących ciał, zwęglonych magicznym płomieniem Murmandamusa. Amos ocenił zniszczenia fachowym spojrzeniem.*

*– Hm, nasz przyjaciel niezbyt dobrze przyjmuje porażki.*

*– Pozabijał swoich żołnierzy. – Wzrok Aruthy wędrował po murach. – Nasi nie ponieśli prawie żadnej szkody. Co to za nieprzyjaciel, który likwiduje własnych ludzi?*

*Amos położył rękę na ramieniu Księcia.*

*– Najgorszy. Opętany.*

*Całe przedpole zasnuwał dym. obrońcy z wyczerpania i braku czystego powietrza byli bliscy utraty przytomności. Nieprzyjaciel podleczył ku samym murom wozy, na których umieszczono dające się błyskawicznie podpalić stosy drewna, gałęzi i chrustu. Podłożono ogień. Buchnął czarny, gęsty i śmierdzący dym. Wróg spróbował innego sposobu zdobywania murów – długie drabiny przymocowano do drewnianych platform, niesionych przez oddziały goblinów. Taktyka była bardzo niebezpieczna. Z czarnej ściany dymu przesłaniającej świat wylaniał się nagle szczyt drabiny. Gdy obrońcy na próżno starali się zepchnąć, zalewała ich fala atakujących. Nosy i usta napastników były zakryte kawałkami materiału nasączonego mieszaniną olejków i ziół, która zapobiegała przedostawaniu się dymu. Na kilku odcinkach obrona została przełamana. Arutha pomógł skierować tam posiłki i wkrótce nieprzyjaciel został odparty. Guy rozkazał, aby na dymiące stosy wylano naftę. Płomienie buchnęły w górę. Wróg nie był w stanie nad nimi zapanować. Nie minęło wiele czasu, a morze płomieni rozlało się pod samą podstawę murów. Stojący na drabinach ginęli, płonąc jak pochodnie i przeraźliwie krzycząc. Gdy ściana płomieni w końcu nieco opadła, okazało się, że nie została się ani jedna drabina. Było już późne popołudnie. Słońce kryło się za twierdzą. Guy przywołał do siebie Aruthę gestem ręki.*

*– Chyba skończyli na dzisiaj.*

*– Nie jestem wcale taki pewien. Spójrz, w jakim szyku stoją. Guy popatrzył za mury. Szeregi przeciwnika nie wycofały się jak poprzednio do obozów. Trwało gorączkowe przegrupowanie. Zajmowano inne pozycje wyjściowe do kolejnego*

*ataku. Dowódcy uwijali się przed frontem, rozmieszczając przybyłe posiłki.*

*– Chyba nie zechcą atakować nocą? Podeszli Amos i Armand.*

*– Dlaczego nie? – spytał Amos. – Skoro z taką beztróską wysyłają przeciwko nam swych ludzi, nie ma większego znaczenia, kto kogo widzi. Tę głupią świnie nic nie obchodzi, kto przeżyje, a kto straci życie. To będzie czysta rzeź, ale mogą nas w końcu zmęczyć i zmóc.*

*Armand rozejrzał się po murach. Rannych i zabitych znoszono do infirmerii zorganizowanych w kilku punktach miasta.*

*– W sumie straciliśmy dzisiaj trzystu dwudziestu żołnierzy. Nie można wykluczyć, że liczba ta może jeszcze wzrosnąć, gdy ponownie zostaną sprawdzone wszystkie raporty. Mamy więc pod bronią około sześciu tysięcy dwustu dwudziestu pięciu ludzi zdolnych do walki.*

*Guy zaklął.*

*– Nawet jeśli Martin ze swoimi zdoła dotrzeć do Kamiennej Góry najszybciej, jak to możliwe, a posiłki przybędą tu równie szybko, i tak będzie to zbyt późno. Poza tym jestem przeświadczony, że nasi przyjaciele za murami planują coś specjalnego na dzisiejszy wieczór, a może i noc.*

*– Nie wygląda na to, żeby szykowali się do następnego ataku. – Arutha oparł się o mur.*

*Guy obejrzał się na gmach twierdzy. Słońce schowało się już za góry, lecz niebo nadal było jasne. Na równinie pod murami widać było sztandary i pochodnie.*

*– Oni chyba czekają... Niech oddziały wycofają się z murów, ale posiłek wydać na pozycjach wyjściowych. – Odeszli razem z Sevignym, nie przypominając o konieczności zachowania maksymalnej czujności. Nie było takiej potrzeby.*

*Arutha został na murach u boku Amosa. Czuł, jak narasta w nim powoli, lecz nieubłagane uczucie oczekiwania. Czas, w którym miał odegrać rolę –jakakolwiek by była – zbliżał się wielkimi krokami. Jeśli starożytne proroctwo, o którym usłyszał od mnichów Ishap w Sarth, było prawdziwe, to on właśnie miał być Zaporą Ciemności. Na jego też barki spadnie zadanie pokonania Murmandamusa. Oparł brodę na złożonych rękach spoczywających na zimnych kamieniach muru. Amos wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać. Nucił cichutko jakąś starą szantę. Czekali. Otaczając miasto wrogą armię spowijał gęstniejący mrok.*

*– Locky, nie – powiedziała Bronwynn, odpychając chłopaka od siebie.*

*– Przecież nie mamy służby. – Spojrzał na nią skonfundowany.*

*Dziewczyna obrzuciła go zmęczonym wzrokiem.*

*– Przez cały dzień latałam z rozkazami, tak jak i ty. Jest mi gorąco i lepię się cała od potu i kurzu. Śmierdę dymem. A ty chcesz iść ze mną do łóżka.*

*W głosie Lockleara pobrzmiwały zranione uczucia.*

*– Ale przecież zeszłej nocy...*

*– No właśnie, zeszłej nocy – przerwała mu łagodnie. – To było coś, czego pragnęłam, i dziękuję ci za to. Teraz jednak jestem zmęczona i brudna... A poza tym nie mam nastroju.*

*– To ja ci dziękuję! – powiedział sztywno. – Czy to... czy to była przysługa? –*

*Urażona duma dała znać o sobie. Głos mu się łamał. – Bronwynn, ja cię kocham.*

*Gdy się to wszystko skończy, musisz koniecznie przyjechać do mnie, do Kronodoru.*

*Pewnego dnia będę bardzo bogaty, zobaczysz. Moglibyśmy się pobrać... no wiesz.*

*– Locky – powiedziała na poły ze zniecierpliwieniem, a na poły z czułością. –*

*mówisz o sprawach, których kompletnie nie rozumiem. Przyjemności sypialni to nie*

*obietnice. Teraz muszą odpocząć trochę, zanim zawołają nas z powrotem na służbę.*

*Idź już. Może innym razem.*

*Chłopak poczuł się boleśnie dotknięty. Cofnął się z płonącymi policzkami.*

*– Co to ma znaczyć, może innym razem? – Jego twarz płonęła coraz żywszą czerwienią. Prawie krzyczał. – Czy ty myślisz, że to jakaś gra? Myślisz, że jestem małym, namolnym chłopczykiem, tak? – Mówił wyzywającym tonem.*

*Bronwynn spojrzała na niego smutnymi oczami.*

*– Tak, Locky. Jesteś chłopczykiem. A teraz odejść wreszcie. Wzbierał w nim gniew. Krzyczał na całe gardło.*

*– Nie jestem żadnym cholernym chłopczykiem. Jeszcze zobaczysz! Nie jesteś jedyną dziewczyną w Armengarze. Do niczego nie jesteś mi potrzebna. – Potykając się, wypadł niezgrabnie za próg i trzasnął z całej siły drzwiami. Po policzkach ciekły mu strumienie łez, płakał z upokorzenia i wściekłości. W żołądku kotłowało się od zimnej furii. Serce waliło jak szalone. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał takiego pomieszania i bólu. I wtedy usłyszał, że Bronwynn go wola. Zawahał się przez moment, myśląc, że dziewczyna pewnie chce go przeprosić albo po coś wysłać.*

*Nagle wrzasnęła przeraźliwie.*

*Locklear rzucił się ku drzwiom. Otworzył je potężnym pchnięciem.*

*Dziewczyna przyciskała ręce do żeber. W jednej z nich trzymała niezgrabnie sztylet.*

*Ramię, bok i udo zalane były krwią. Tuż przed nią przyczał się górski troll z wzniesionym do ciosu mieczem. Locklear chwycił rękojeść rapiera.*

*– Bronwynn!*

*Troll zawahał się przez ułamek sekundy, gdy chłopak skoczył ku niemu, lecz gdy Locklear wznosił broń do góry, ostrze trolla opadło w dół.*

*W ślepych szale chłopak ciął straszliwie trolla przez plecy i kark. Bestia zatoczyła się i próbowała odwrócić, ale on znalazł końcówką rapiera miejsce pod pachą nie osłonięte zbroją i przeszył trolla na wylot. Ten zadygotał, puścił miecz i zwałił się na podłogę.*

*Locklear dla pewności przebódl go jeszcze raz, przeskoczył nad trupem i rzucił się do dziewczyny. Leżała w ogromnej kałuży krwi. Wiedział, że nie żyje. Po policzkach spływały strumienie łez. Objął ją i przytulił mocno do siebie.*

*– Bronwynn, przepraszam. Przepraszam, że się na ciebie tak wściekłem – szeptał do jej ucha. – Nie umieraj. Zawsze będę twoim przyjacielem. Nie chciałem wcale tak na ciebie krzyczeć! Cholera! – Kołysał ciałem dziewczyny w przód i tył. Po jego rękach spływała krew zabitej. – Cholera, cholera, cholera...*

*Płakał na głos. Ból rozsadzał mu żołądek i dół brzucha. Serce waliło jak młotem. Mięśnie miał napięte jak postronki, a całe ciało zdawało się płonąć żywym ogniem, jak gdyby nienawiść i wściekłość chciały precisnąć się przez najmniejsze pory. Miał wrażenie, że oczy zmieniły się w dwa rozżarzone węgle tkwiące we wnętrzu głowy, zbyt gorące i suche, by mogła z nich wypłynąć chociaż jedna łza.*

*Z rozpacz i bólu wyrwał go dopiero sygnał alarmowy rozbrzmiewający nad miastem. Wstał i delikatnie złożył ciało dziewczyny na łóżku, które dzielili zeszłej nocy. Zabrał rapier i otworzył drzwi. Wziął głęboki oddech. Coś w nim zamarło, zapadło się. Ogromna czapa lodowa zastąpiła płonący ból cierpienia.*

*Niedaleko przed nim kobieta z dzieckiem na ręku cofała się przed goblinem z wzniesionym do zadania ciosu mieczem. Locklear zbliżył się do niego spokojnym krokiem i przeszył mu kark, kręcąc dziko mieczem. Głowa stwora oderwała się i spadła. Locklear rozejrzył się. Nocne powietrze jakby zadrgało i jego oczom ukazał*

się wojownik, moredhel. Chłopak zaatakował bez chwili namysłu. Ranił go w bok, ale nie śmiertelnie. Rana była poważna, a Locklear był szermierzem, który przewyższał kunsztem wielu. Do tego osiągnął stan, w którym odzyskał pełną władzę nad zimną, kontrolowaną wściekłością. Zobojętniał na własne bezpieczeństwo, co uczyniło go najgroźniejszym rodzajem przeciwnika. Był gotów podjąć każde ryzyko, nie zależało mu dłużej na własnym życiu. Z zadziwiającą furią przyparł moredhela do ściany budynku i jednym pchnięciem przeszył go na wylot. Okręcił się błyskawicznie na pięcie, szukając wzrokiem następnego przeciwnika. Spostrzegł go w połowie drogi do następnej przecznicy i rzucił się biegiem w jego stronę.

Żołnierze wroga pojawiali się nagle we wszystkich punktach miasta. Po ogłoszeniu alarmu obrońcy szybko się z nimi uporali. Pewnej liczbie moredheli i goblinów udało się jednak utworzyć niewielkie oddziały. Kilka takich gniazd oporu broniło się przed zaciekłymi atakami mieszkańców. Gdy inwazja magicznie transportowanych w obręb miasta wojowników osiągnęła apogeum, armia na zewnątrz zaatakowała mury. Liczba żołnierzy odesłanych na tyły w celu oczyszczenia miasta z wojowników wroga była na tyle wysoka, że pojawiło się ryzyko osłabienia obrony murów. Nieprzyjaciel mógł w niej uczynić niebezpieczny wyłom.

Guy zarządził wysłanie jednej kompanii rezerwowej w miejsce najcięższych ataków wroga na mury. Druga otrzymała zadanie udzielenia wsparcia walczącym w mieście. Wrzący olej i strzały szybko odepchnęły falę atakujących mury, lecz w mieście nieprzyjaciele wciąż się pojawiali. Aruthę ogarnęła fala wywołanego zmęczeniem odrętwienia. Obserwował spod oka najbardziej zaciekłego ongiś



rywala swego ojca. Nie mógł się nadziwić, skąd czerpie siły, by trwać niewzruszenie na posterunku, a był od niego wiele starszy. Księżę stwierdził nagle, że zazdrości Guyowi jego niewyczerpanej energii. Szybkość, z jaką podejmował decyzje, potwierdzała, że cały czas doskonale wiedział, gdzie znajdował się każdy, najmniejszy nawet oddział. Arutha nadal nie potrafił się przymusić, by polubić tego człowieka. Darzył go jednak wielkim szacunkiem, a nawet podziwem, o wiele większym, niż sam przed sobą gotów był się przyznać.

Guy obserwował odległy pagórek, skąd Murmandamus nadzorował działania armii. Krótki, migotliwy błysk światła. Po chwili następny, później trzeci. Arutha poszedł za jego wzrokiem i po krótkim obserwowaniu pojawiających się świateł odwrócił się do Guya.

– To stamtąd przychodzą?

– Idę o zakład, że tak. To ten wiedźmowaty król albo jego kapłan-wąż...

– Są za daleko. Nawet gdybyśmy mieli łuk Martina i tak żaden z twoich łuczników ich nie dosięgnie. Dla katapult też zbyt daleko.

– Ten bastard usadowił się poza zasięgiem wszystkiego, czym dysponujemy.

Zbliżał się Amos.

– Opanowaliśmy chyba sytuację, chociaż bez przerwy wyskakują nowi tu i tam, jak Filip z konopi. Jeden z raportów mówi o trzech w twierdzy, jeden pojawił się nad fosą i poszedł jak kamień pod wodę, a teraz... czemu się tak przyglądacie?

Arutha wskazał na pagórek. Amos obserwował przez chwilę.

– Nasze katapulty nie sięgną go. Niech to szlag trafi. – Nagle twarz starego żeglarza rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. – Ha, mam pomysł!

Guy machnął ręką w stronę odcinka muru, przy którym pojawił się nagle

*zdziwiony troll. Natychmiast dopadło go trzech żołnierzy. Gdy ginął pod ich ciosami, pojawił się następny. Czmychnął jak zając w boczną uliczkę.*

*– Wszystko jedno co. Cokolwiek, byle było skuteczne. Prędzej czy później zdołają utworzyć tak liczny oddział, że sprawią nam prawdziwy kłopot.*

*Amos odszedł pośpiesznym krokiem w kierunku platformy, na której stała katapulta. Wydał jakieś instrukcje. Wkrótce pod kotłem zapłonął ogień. Przez jakiś czas Amos nadzorował przygotowania, po czym powrócił do nich. Oparł się o mur.*

*– Za chwilę.*

*– Ale co? – spytał Guy.*

*– Wiatr się zmieni. Zawsze się zmienia o tej porze nocy. Arutha pokręcił głową. Był śmiertelnie zmęczony. Nagle przyszła mu do głowy śmieszna wizja.*

*– Co to kapitanie, masz zamiar podpłynąć zamkiem bliżej? Na blankach, tuż przed nimi pojawił się troll. Zdezorientowany mrugał oczami. Guy trzasnął go na odlew pięścią i zrzucił w dół na bruk. Z głuchym plaśnięciem troll powędrował w zaświaty.*

*– Jak widzicie, tuż po pojawieniu się u nas przez chwilę są zupełnie zdezorientowani, z czego się cholernie cieszę – powiedział Protektor. – W przeciwnym razie ten, który znalazł się tu przed chwilą, miałby jutro na obiad twoją nogę, Amos.*

*Amos wsadził palec w usta i podniósł w górę.*

*– Aaa... – westchnął z zadowoleniem. – Katapulta! Ognia!*

*Potężna machina wojenna odgięła się z ulgą, wyrzucając pocisk z taką siłą, że aż podskoczyła. Pocisk pomknął bezszelestnie w mrok.*

*Długo nie było widać żadnego efektu. W końcu w oddali rozległy się*

*przeraźliwe krzyki. Amos zawył z radości. Arutha wpatrywał się w ciemność.*

*Rozbłyśki światła skończyły się.*

*– Amos, co zrobiłeś? – spytał Guy.*

*– No cóż. Jednooki, to trick, którego się nauczyłem od twych starych znajomych w Keshu. Byłem w Durbinie, kiedy jakiś szczep pustynny zbuntował się i postanowił zdobyć miasto. Gdy generał-gubernator, ten stary lis Hazara-Khan, stwierdził, że mury zasypuje nieustanny grad strzał uniemożliwiający skuteczną obronę, rozkazał podgrzać piasek do czerwoności i następnie obrzucił nim oblegających.*

*– Gorący piasek? – zdziwił się Arutha.*

*– Nie inaczej. Podgrzewasz piach, aż rozżarzy się jak węgle w ognisku, a potem ciskasz go za mur. Gdy wiatr jest odpowiedni, piach leci w kształcie zwartej kuli i jeśli nie ostudzi się za bardzo w czasie lotu, pali jak sto skur... sukinsynów.*

*Dostaje się w szczeliny i zakamarki zbroi, pod kaftan. Wpada w cholewy butów, we włosy. Wszędzie. Jeśli przypadkiem Murmandamus patrzył w tę stronę, to mogliśmy nawet oślepić tego impotentą, poronionego synalka zasyfionego szczura. Tak czy inaczej, odwróci to na godzinę czy dwie jego uwagę od głupich zaklęć i czarów.*

*– Obawiam się, że na krótko. – Arutha parsknął śmiechem. Amos wyciągnął z kieszeni fajkę i długą drzazgę, którą zapalił od pochodni.*

*– Ano właśnie – powiedział poważnym tonem. – Ano właśnie.*

*Cała trójka zapatrzyła się znowu w ciemność, szukając znaku, który zdradziłby, co miało zdarzyć się później.*

**ZAGŁADA**

*Wiatr niósł tumany kurzu wzdłuż muru. Arutha, mrużąc oczy, obserwował jeźdźców galopujących przed frontem armii w stronę sztandaru Murmandamusa. Nieustannie ponawiane ataki trwały bez przerwy trzy dni. Skończyły się nagle. W obozie wodza odbywała się prawdopodobnie narada wojenna. Konferencja trwała już od godziny. Arutha rozważał sytuację. Ostatnie ataki były intensywne, jak wszystkie poprzednie. Brakowało w nich jednak niepokojącego elementu, jakim było nagle pojawianie się wojowników przenoszonych magicznie w obręb murów. Brak magicznych ataków zdziwił Aruthę. Doszedł do wniosku, iż musiał istnieć niezwykle istotny powód, dla którego Murmandamus zaniechał stosowania swej magicznej mocy, lub ograniczenie, które limitowało jego możliwości w czasie. Tak czy inaczej Księżę uważał, że coś się musiało załamać, skoro Murmandamus wezwał na naradę wszystkich swoich dowódców.*

*Amos przechadzał się po murze, kontrolując posterunki. Godzina była już późna. Ludzie powoli się odprężali, było coraz mniej prawdopodobne, aby nieprzyjaciel zaatakował przed porankiem. W jego obozie nie ogłoszono stanu gotowości, a zajęcie pozycji wyjściowych przed atakiem zajmowało im zwykle kilka godzin. Amos zbliżył się do Księcia.*

*– No, a gdybyś ty tu dowodził, co byś teraz zrobił?*

*– Gdybym miał ludzi pod swoimi rozkazami, kazałbym opuścić most i zrobić wypad. Zanim zdołaliby się pozbierać, nieźle bym im dołożył. Murmandamus zorganizował swój punkt dowodzenia stanowczo zbyt blisko linii frontu. Ponadto bez widocznego powodu przesunięto kompanię goblinów w inne miejsce, co stworzyło prawie wolną drogę wprost do jego namiotu. Mając pod bokiem konnych łuczników i trochę szczęścia, można by załatwić paru ich dowódców, zanim zdołają*

*zorganizować obronę. Zanim by się ruszyli, wróciłbym już dawno do miasta.*

*Amos pokazał zęby w szerokim uśmiechu.*

*– Ale z Waszej Wysokości bystry chłopak. Jeśli masz ochotę, możesz zabawić się z nami.*

*Arutha obrzucił go pytającym spojrzeniem. Żeglarz wskazał ruchem głowy na dół. Arutha spojrział w tamtym kierunku. Oddział konnych zajmował pozycje przed wewnętrzną bramą barbakanu.*

*– Pozwól, Księżę. Mam dla ciebie dodatkowego konia. Arutha zszedł schodami za Amosem do czekających wierzchowców.*

*– A jeśli Murmandamus wytnie nam jakiś nowy magiczny numer?*

*– Wówczas wszyscy zginiemy. Guy będzie się zamartwiał do końca życia, że utracił najlepszego kompana, jakiego zdarzyło mu się mieć w ciągu ostatnich dwudziestu lat... czyli mnie. – Dosiadł konia. – Za dużo się martwisz, chłopcze. Czy mówiłem ci już kiedyś o tym?*

*Arutha, wsiadając na konia, uśmiechnął się charakterystycznym, krzywym uśmiechem. Guy czekał przy bramie.*

*– Bądźcie podwójnie ostrożni. Jeżeli zdołacie im dołożyć, w porządku, ale nie chcę żadnych samobójczych ataków tylko dlatego, że istnieje szansa dopadnięcia Murmandamusa. Jesteście potrzebni tutaj.*

*Amos zaśmiał się.*

*– Hej, Jednooki, jestem ostatnim kandydatem na bohatera, jakiego spotkałeś czy spotkasz kiedykolwiek w życiu. – Dał znak i otwarto wewnętrzną bramę. Rozległ się głuchy grzmot wysuwanego mostu. Wewnętrzna brama zamknęła się za ich plecami. Brama zewnętrzna otworzyła się gwałtownie. Amos poprowadził oddział*

za mury. Część jeźdźców błyskawicznie zajęła pozycje na flankach głównej kolumny, która galopowała już w kierunku oblegających. Z początku wyglądało to tak, jakby nieprzyjaciel w ogóle się nie zorientował, że nastąpił wypad z miasta. Nie ogłoszono alarmu. Wówczas gdy docierali już do pierwszych oddziałów Murmandamusa, donośny głos trąbki dopiero się rozległ. Gobliny i trolle rzuciły się bezładnie po broń, ale żołnierze Amosa już galopowali między nimi.

Arutha z trzema łucznikami u boku kierował się wprost na pagórek, na którym Murmandamus konferował ze swoimi dowódcami. Nie wiedział, co go tak gnało, lecz nagle przepelniła go nieodparta żądza spotkania się twarzą w twarz ze złowieszczym władcą. Pojawił się oddział konnych i chciał przechwycić Armengarian z Arutha. Księżę znalazł się nagle naprzeciwko renegata na usługach Murmandamusa. Jeździec wykrzywił twarz w złośliwym uśmiešku i zamachnął się potężnie mieczem. Arutha zabił go szybko i sprawnie. Walka rozpętała się na dobre. Arutha spojrział w kierunku namiotu dowództwa. Murmandamus stał na widocznym miejscu w towarzystwie kapłana-węża. Moredhel był zupełnie obojętny na rzeź swoich oddziałów. Kilku Armengarian usiłowało przedrzeć się do namiotu, ale zostali przechwyceni przez jazdę renegatów i moredheli. Jeden z łuczników zatrzymał konia, wymierzył spokojnie i posyłał strzałę za strzałą w kierunku stanowiska dowodzenia. Wiedząc, że Murmandamus jest odporny na skierowane przeciwko niemu pociski, wybrał inne cele. Po chwili dołączył do niego drugi łucznik. Dwóch watażków Murmandamusa zważyło się ciężko na ziemię. Jeden z nich był na pewno martwy – z jego oka sterczała strzala. Kompania piechoty zbliżała się do miejsca, gdzie Arutha szalał, tnąc mieczem gobliny, trolle i moredhele, starając się ochronić łuczników rażących dowództwo pod namiotem. Przez długi czas słyszał

*jedynie brzęk stali i łomot krwi w uszach.*

*– Zaczynamy odwrót! – krzyknął Amos. Jego rozkaz, podawany z ust do ust, dotarł po chwili do wszystkich jeźdźców.*

*Arutha rzucił okiem za Amosa. Nadciągał ku nim kolejny oddział konnych.*

*Księżę ciął potężnie mieczem, wyrzucając z siodła kolejnego najemnika, i ruszył ku Traskowi. Nowo przybyli jeźdźcy uderzyli z boku w żołnierzy Amosa, zatrzymując ich w miejscu. Oddział z miasta zwarł szyki i zalakował jak jeden mąż kawalerię Murmandamusa. Powoli, krok za krokiem, wyrąbywali sobie drogę powrotną z obozu, zabijając każdego, kto stanął im na drodze ucieczki. W otaczającej ich masie wroga stworzyła się luka, wolna droga ku bramom miasta. Arutha dał koniowi ostrogę i dołączył do innych gnających na oślep do Armengaru. Obejrzał się przez ramię. Zza namiotu Murmandamusa wyskoczył oddział ubranych na czarno jeźdźców i ruszył w pogoń za nimi.*

*– Czarni Zabójcy! – krzyknął do Amosa.*

*Amos dał znak. Kilku jeźdźców oderwało się od kolumny i zawróciło, by*

*związać w walce Czarnych Zabójców. Zwarciu towarzyszył donośny brzęk stali.*

*Kilku jeźdźców po obu stronach wyleciało z siodła. Kłębowisko ciał i koni*

*rozproszyło się nagle. Nadciągał kolejny oddział konnych moredheli i żołnierze z miasta pogalopowali z powrotem. Większość Armengarian, którzy spadli na ziemię, wskoczyła z powrotem na siodła, ale nie wszyscy. Na piaszczystej glebie równiny leżał tuzin żołnierzy z miasta.*

*Gdy Amos i jego ludzie dotarli do murów, brama stała już otworem.*

*Wewnątrz barbakanu zawrócili w miejscu i stanęli twarzami ku bramie. Tylna straż złożona z około dwunastu żołnierzy, walcząc nieustannie ze ścigającym ją*

*trzydziestoosobowym oddziałem Czarnych Zabójców i moredheli, galopowała ku murom.*

*Amos siedział na koniu u boku Aruthy. Czarni Zabójcy zabili właśnie dwóch jeźdźców z miasta.*

*– Dziesięciu – powiedział Amos, licząc pozostałych. Zwarta grupa jeźdźców zbliżała się z każdą chwilą. – Dziewięciu... ośmiu – po chwili – siedmiu... – Na pokrytej kurzem równinie jeźdźcy w czarnych zbrojach doścignęli uciekających. – Sześciu... pięciu... czterech... – liczył ciągle Amos. – Po chwili krzyknął gniewnie: – Zamykać bramę!*

*Brama zaczęła się powoli zamykać.*

*– Trzech... dwóch, – Ostatnia para żołnierzy Armengaru zginęła, waląc się w pędzie na ziemię.*

*Nad głowami rozległ się jękliwy zgrzyt strzelających katapult. Po chwili powietrze wypełniło się jękiem zabijanych moredheli i kwikiem koni. Brama wewnętrzna otworzyła się. Amos skierował konia naprzód.*

*– Przynajmniej te sukinsyny drogo zapłacili. Sam widziałem co najmniej czterech dowódców na ziemi. Dwóch na pewno martwych. – Obejrzał się do tyłu, jakby mógł prześwidrować wzrokiem masywną bramę. – Ale dlaczego ten drań nie użył magii? Nie jestem w stanie tego pojąć. Miał nas jak na widelcu, sam widziałeś, no nie?*

*Arutha mógł jedynie skinąć głową. Sam też się dziwił w głębi duszy. Oddał konia chłopakowi przydzielonemu do zajmowania się wierzchowcami i pobiegł schodami na górę, do stanowiska dowodzenia Guya.*

*– A niech mnie szlag trafi! – usłyszał od progu.*



*Kilka postaci w czarnych zbrojach podnosiło się z ziemi. Podrygując niezdarnie ruszyli w kierunku własnych linii. Ich ruchy szybko nabierały sprawności i energii. Po chwili biegli już szybko, jak gdyby nigdy nie zostali ranni.*

*– Kiedy opowiadałeś mi o tych... – zaczął Guy.*

*– ... nie wierzyłeś mi – dokończył Arutha. – Wiem. Trzeba to ujrzeć na własne oczy, by zrozumieć i uwierzyć.*

*– Jak to się zabija?*

*– Ogniem, magią lub wyrywając im serce. W przeciwnym razie nawet odrąbane kawałki znajdują się i łączą w całość. Z każdą minutą stają się coraz silniejsi. Nie można ich zatrzymać żadnym innym sposobem.*

*Guy obserwował wycofujących się Czarnych Zabójców.*

*– Nigdy nie dzieliłem z twym ojcem jego fascynacji zjawiskami magicznymi, ale teraz oddałbym połowę mego księstwa, to znaczy mego byłego księstwa, za jednego utalentowanego maga-*

*Arutha nad czymś się zastanawiał.*

*– Coś nie daje mi tu spokoju. Nie znam się za bardzo na tych sprawach, ale jak na moc, którą Murmandamus niewątpliwie posiada, to nie uczynił do tej pory zbyt wiele, byśmy wpadli w prawdziwe tarapaty. Pamiętam jak Pug, znajomy mag, opowiadał mi kiedyś o rzeczach, których dokonał... krótko mówiąc, by nie wchodzić w szczegóły, o całe nieba przerastało to wszystko, czego świadkami byliśmy tutaj do tej pory. Jestem pewien, że Pug, gdyby się skoncentrował, mógłby siłą swej woli wyrwać całą bramę z murów.*

*– Nie znam się na tym zupełnie – przyznał Guy. Amos dotarł w końcu na górę i stanął za nimi.*

*– A może ten świński król nie chce, aby armia zbyt polegała na jego mocy? –*

*Guy i Arutha spojrzeli na niego z zaciekawieniem. – Rozumiecie, chodzi o morale i tak dalej.*

*Guy pokręcił z powątpiewaniem głową.*

*– Coś mi mówi, że to o wiele bardziej skomplikowane zagadnienie.*

*Arutha obserwował zamieszanie w obozie wroga.*

*– Cokolwiek to jest, pewnie wkrótce się przekonamy.*

*Amos oparł się o mur.*

*– Minęły właśnie dokładnie dwa tygodnie, odkąd Martin i jego towarzysze opuścili miasto. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, dzisiaj właśnie powinien dotrzeć do Kamiennej Góry.*

*Arutha pokiwał głową.*

*– O ile wszystko poszło zgodnie z planem.*

*Martin przykucnął w obniżeniu gruntu. Mocno przywarł plecami do mokrego granitu. Zgrzyt butów na skałach powiedział mu, że ścigający nadal szukają jego śladów. Wyciągnął przed siebie łuk i obejrzał zerwaną cięciwę. Miał co prawda zapasową w bagażu, ale nie było teraz czasu na wymianę. Jeśli zostanie odkryty, odrzuci łuk i wyciągnie miecz.*

*Oddychał powoli, starając się zachować spokój. Zastanawiał się, czy los uśmiechnął się do Baru i Lauriego. Dwa dni wcześniej dotarli do właściwych Wzgórz Yabonu. Aż do dzisiaj nie widzieli ani śladu pościgu. Wkrótce po wschodzie słońca dogonił ich konny patrol Murmandamusa. Uniknęli stratowania, wspinając się na skały ciągnące się wzdłuż szlaku, jednak moredhele zsiadli z koni i ruszyli w pogoń na piechotę. Z powodu fatalnego zbiegu okoliczności Martin i jego przyjaciele*

znaleźli się na przeciwległych stokach. Laurie i Baru zostali zmuszeni do ucieczki na południe, podczas gdy Martin udał się na zachód. Miał nadzieję, że będą na tyle rozsądni, aby iść dalej na południe do Yabonu i nie próbować dołączyć do niego. Pościg trwał przez cały dzień. Martin zerknął w górę. Słońce powoli kryło się za górami. Ocenił, że zostały ze dwie godziny światła. Jeżeli zdoła uniknąć schwywania do zmroku, będzie bezpieczny.

Odgłos kroków ucichł w oddali. Martin opuścił kryjówkę pod nawisem skalnym i pochylony nisko nad ziemią pomknął w górę strumienia. Sądził, że powinien się już znajdować w pobliżu Kamiennej Góry, jeszcze nigdy nie podchodził do niej z północnego wschodu. Niektóre fragmenty krajobrazu wydawały mu się znajome. Gdyby nie musiał koncentrować całej uwagi na czymś innym, z łatwością odnalazłby Krasnoludy.

Okrążył skałę i znalazł się twarzą w twarz z moredhelem. Nie zastanawiając się, uderzył go w głowę ciężkim cisowym łukiem. Zaskoczony moredhel zatoczył się w tył i zanim zdolał ochłonąć, Martin dobył miecza i martwy przeciwnik upadł na skały.

Obrócił się błyskawicznie, rozglądając za kompanami zabitego. Zdawało mu się, że w oddali coś drgnęło, ale nie miał pewności. Szybko ruszył w górę i dotarł do kolejnego zakrętu. Wyjrzał ostrożnie. Dostrzegł sześć spętanych koni. Musiał nieświadomie zatoczyć koło, zająć ścigających od tyłu i natknąć się na ich wierzchowce. Podbiegł do nich i skoczył na siodło. Odciął mieczem uderzając pozostałych i uderzając na płask klingą po zadach, zmusił do ucieczki.

Zawrócił konia i przynaglił uderzeniem pięt do galopu. Miał szansę zjechać w dół zbocza i dotrzeć do szlaku. A wtedy mógłby wyprzedzić moredheli i dotrzeć przed

nimi do Kamiennej Góry.

Gdy przejeżdżał koło sterczącej skałki, z jej szczytu rzucił się . w dół ciemny kształt i zwałił Martina z siodła. Książę przetoczył się po ziemi i zerwał na nogi, przyjmując od razu pozycję do walki. On i jego przeciwnik trwali przez chwilę naprzeciw siebie na lekko przygiętych nogach z wysuniętymi do przodu mieczami. Moredhel wezwał swoich towarzyszy w ostrym dialekcie elfów. Martin zaatakował natychmiast, lecz przeciwnik był doświadczonym szermierzem i utrzymywał go cały czas na odległość wyciągniętego miecza. Martin wiedział, że jeśli się odwróci, by uciec, skończy z klingą sterczącą spod żeber. Jeżeli zostanie na miejscu, będzie miał wkrótce przeciwko sobie pięciu przeciwników, a nie jednego. Martin kopał odłamki i kamienie w twarz moredhela, lecz ten jako doświadczony wojownik odsuwał się lekko na bok, unikając kurzu lecącego w oczy.

Niemal jednocześnie z obu stron rozległ się odgłos butów dudniących głucho po skalnym podłożu. Moredhel krzyknął jeszcze raz. Z lewej strony Martina, z południa, nadbiegła odpowiedź. Z prawej dźwięk zbroi i ciężkich buciorów narastał coraz bardziej. Wzrok moredhela powędrował na ułamek sekundy w tamtym kierunku. Martin zaatakował natychmiast. Ciemny elf w ostatniej chwili zdołał uniknąć ciosu i został jedynie lekko draśnięty w rękę. Wykorzystując chwilową i bardzo niewielką przewagę, gdy moredhel łapał równowagę, Martin wyprowadził ryzykowne pchnięcie. Gdyby nie trafił, zostawiało go odsłoniętym na ripostę. Na szczęście nie chybił. Moredhel zeszywniał i padł na kamienie. Martin wyciągnął miecz.

Nie zwlekał. Skoczył w górę na skały, chcąc uzyskać przewagę wysokości, zanim zostanie zaatakowany z dwóch stron. Wojownicy moredheli wypadli z

*południowego krańca osuwiska. Jeden z nich biegł ze wzniesionym mieczem.*

*Martin niespodziewanie kopnął przeciwnika. Ten chcąc się uchylić, zgubił rytm biegu i zadawanego właśnie ciosu. Wtedy, równie nieoczekiwanie, spoza skalnej krawędzi wysunęła się ogromna łapa i chwyciła Martina za bluzę.*

*Para potężnych ramion uniosła księcia Crydee w górę i przeciągnęła na drugą stronę skalnego grzbietu. Martin spojrzął za siebie. Tuż przed sobą miał uśmiechniętą twarz, okoloną gęstą, rudą brodą.*

*– Przepraszam za brutalne traktowanie, ale na dole za chwilę będą się działy okropne rzeczy.*

*Krasnolud pokazał grubym paluchem w dół, za plecy Martina. Księżę odwrócił się. Z północy po osuwisku pomykał chyżo w dół tuzin Krasnoludów.*

*Moredhele spostrzegli znaczną przewagę liczebną przeciwnika i rzucili się do ucieczki. Krasnoludy dopadły ich, zanim zdążyli przebiec kilka metrów. Wkrótce było po walce.*

*Do Krasnoluda towarzyszącego Martinowi dołączył następny. Pierwszy z nich wręczył Księżciu bukłak z wodą. Martin wstał i pociągnął tęgi tyk. Spojrzął w dół. Wyższy mierzył zaledwie półtora metra.*

*– Dzięki wam.*

*– Nie ma sprawy. Ostatnimi czasy Mroczni Bracia kręcili się często po okolicy, więc wzmocniliśmy bardzo patrole. A ponieważ mamy gości – wskazał na kilku Krasnoludów wspinających się po zboczu, aby do nich dołączyć – nie brakuje nam chłopaków chętnych przespacerować się po górkach, a przy okazji zrobić łomot paru moredhelom. Tchórze przeważnie zmykają gdzie pieprz rośnie. Wiedzą dobrze, że są zbyt blisko naszych domów, lecz tym razem... ha, ha... byli ociupinkę za wolni.*

*No, a teraz, młodzieńcze, jeśli nie masz nic przeciwko temu. chciałbym zapytać, kim jesteś i co porabiasz w Kamiennej Górze?*

*– To jest Kamienna Góra?*

*Krasnolud wskazał coś za jego plecami. Martin obejrzał się. Za nim, powyżej krawędzi osuwiska, przy którym się skrył przed pościgiem, rosła kępa drzew.*

*Spojrzał na korony drzew otulających gęstym kożuchem stoki góry, której wierzchołek niknął w chmurach. Tak się skupił na pościgu depczącym mu po piętach przez cały dzień, że widział jedynie skały i żleby. Teraz rozpoznał znajomy szczyt.*

*Znajdował się zaledwie o pół dnia marszu od Kamiennej Góry.*

*Obrzucił spojrzeniem gromadzące się Krasnoludy. Zdjął prawą rękawicę i pokazał sygnet.*

*– Jestem Martin, księżę Crydee. Muszę mówić z Dolganem. Krasnoludy patrzyły na niego sceptycznym, wręcz podejrzliwym wzrokiem. Mało prawdopodobne, aby jeden z największych władców Królestwa przybywał w taki sposób do ich ojczystej ziemi. Nikt nie odezwał się słowem, popatrzyli wyczekująco na swego przywódcę.*

*– Jestem Paxton. Mym ojcem jest Harthom, wódz klanów Kamiennej Góry i starszy wioski Delmoria. Chodź z nami, księżę Martinie, zabierzemy cię, abys mógł się zobaczyć z Królem.*

*– Zatem zgodził się w końcu przyjąć koronę. – Martin parsknął głośnym śmiechem.*

*Paxton wyszczerzył zębiska w szerokim uśmiechu. '*

*– Można to tak określić. Po tym, jak suszyliśmy mu głowę przez kilka ostatnich lat, powiedział w końcu, że weźmie na siebie robotę króla, ale korony na*

*leb nie włoży. Korona więc leży sobie spokojnie w skrzyni w wielkiej sali. Chodź, Wasza Wysokość. Możemy dojść na miejsce przed zmrokiem.*

*Krasnoludy ruszyły, a wraz z nim Martin. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuł się zupełnie bezpieczny. Jego myśl powędrowała ku bratu i innym w Armengarze. Jak długo zdołają wytrzymać, zastanawiał się.*

*Obóz rozszalał się kakofonią bębnow, trąb i wrzasków. Z najdalszych zakątków dochodziła odpowiedź na rozkaz zajęcia pozycji wyjściowych. Guy obserwował przedstawienie ze szczytu murów. Przedświt ustępował jasnej poświacie poranka. Odwrócił się do Aruthy.*

*– Zanim słońce dotrze do zenitu, uderzy w nas wszystkim, co ma do swej dyspozycji. Być może Murmandamus uważał, że musi trzymać pewne siły w odwodzie, żeby przeprowadzić inwazję na Yabon. Teraz nie może sobie pozwolić na ani jeden dodatkowy dzień zwłoki. Dzisiaj nadciągnie wraz ze wszystkimi siłami.*

*Arutha pokiwał głową. Obserwował przygotowania do bitwy poszczególnych kompanii na przedpolu miasta. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak śmiertelnie znużony. Zabicie kapitanów Murmandamusa wprowadziło do jego obozu chaos.*

*Porządek udało się przywrócić dopiero po dwóch dniach. Arutha nie miał pojęcia, jakich dobito targów, co i komu obiecano, ale trzy dni później nadeszli znowu.*

*Przez cały następny tydzień następował atak po ataku. Za każdym razem coraz większej liczbie napastników udawało się dotrzeć na mury. Ostatni atak poprzedniego dnia zmusił ich do zaangażowania całych rezerw. Musieli je rzucić w utworzony przez wroga wyłom, aby utrzymać cały mur w swoich rękach. Jeszcze kilka minut i atakujący zdołaliby utworzyć przyczółek, przez który mogły się bezpiecznie przedostać całe rzesze wojowników, by następnie wpłynąć do miasta*

*śmiercionośną falą. Od wyjścia Martina minęło dwadzieścia siedem dni, myślał*

*Arutha. Jeśli nawet pomoc nadchodzi, to i tak dotrze za późno.*

*Jimmy i Locklear czekali w pobliżu, gotowi do przenoszenia rozkazów i wiadomości. Jimmy przyglądał się spod oka młodszemu przyjacielowi. Od śmierci Bronwynn Locklear zachowywał się jak opętany. Szukał okazji do walki, często ignorując wyraźne rozkazy, aby trzymał się z tyłu w celu pełnienia kurierskich obowiązków. Już trzykrotnie Jimmy zauważył, jak przyjaciel angażuje się w walkę, której nie powinien się podejmować. Posiadał talent, wysoki kunszt szermierczy i szybkość, co chroniło go –jak do tej pory – skutecznie. Jimmy zastanawiał się, jak długo jeszcze uda się chłopcu wychodzić z opresji cało. Nie był nawet pewien, czy przyjacielowi w ogóle zależy na życiu. Aby wyrwać go z odrętwienia, usiłował porozmawiać o Bronwynn, ale nie udało się – odmówił.*

*Jimmy przeszedł ciężką szkołę życia. Zanim skończył szesnaście lat, wielokrotnie otarł się o śmierć. Stał się twardy i pod wieloma względami nieczuły. Nawet wówczas jednak, gdy był przekonany o śmierci Aruthy i Anity, nie pozwolił sobie na zapamiętanie się w bólu i odizolowanie od bieżących spraw. Teraz ciężko mu więc było zrozumieć przyjaciela i szczerze się o niego martwić.*

*Guy ocenił wzrokiem wielkość armii gromadzącej się u bram miasta.*

*– Nie damy rady zatrzymać ich na murach – powiedział w końcu cichym głosem.*

*– To samo myślałem – powiedział Arutha. Przez cztery tygodnie, które minęły od wyjścia Martina, miasto broniło się nieustraszenie. Żołnierze... sprawili się ponad jego najbardziej optymistyczne oczekiwania. Dawali z siebie absolutnie wszystko. Lecz wyczerpanie dało w końcu o sobie znać. Armia powoli traciła siły. W*



ostatnim tygodniu kolejny tysiąc żołnierzy albo padł w boju, albo został skutecznie unieszkodliwiony. Obrońcy byli rozrzućeni zbyt rzadko, by sprostać atakowi pełnych sił przeciwnika. Z dopracowanego i ostrożnego prowadzenia bitwy można było wnioskować, że Murmandamus planuje na dzisiejszy dzień ostateczny, totalny szturm z użyciem wszystkich swoich sił. Guy skinął na Amosa. Żeglarz nachylił się do Jimmiego.

– Zaniesiesz rozkaz do kompanii komendantów: rozpocząć natychmiast trzecią fazę ewakuacji.

Jimmy szturchnął Lockleara, który stał martwo jak w transie, i poprowadził za sobą. Biegli wzdłuż muru, szukając wzrokiem dowódców. Arutha zauważył, że po przekazaniu wiadomości dalej, kilku wyznaczonych z góry żołnierzy zeszło z murów i biegiem pognęło w kierunku twierdzy.

– Na jakie grupy się zdecydowałeś? – spytał Arutha.

– Jeden sprawny wojownik, dwie starsze uzbrojone osoby, mężczyźni albo kobiety, trójka starszych dzieci, również pod bronią, i pięcioro małych.

Arutha wiedział, że w ciągu kilku najbliższych minut dziesiątki takich grupiek zaczną się wymykać z miasta w góry, korzystając z długiego tunelu prowadzącego z wielkiej jaskini. Uciekinierzy mieli posuwać się na południe i szukać schronienia w Yabonie. Żywiono nadzieję, iż w ten sposób przynajmniej niektórym dzieciom z Armengaru uda się przetrwać. Pojedynczy żołnierze mieli dowodzić grupkami z wyraźnym rozkazem obrony dzieci. Żołnierze ci otrzymali jednocześnie inny, tajny rozkaz: mieli raczej zabić wszystkie dzieci niż dopuścić, by którekolwiek z nich dostało się do niewoli moredheli.

Słońce wstawało niespiesznie, w swoim zwykłym tempie, zupełnie obojętne

*na rozgrywającą się pod nim tragedię. Dotarło do zenitu, a w obozie wroga nadal nie zabrzmiał sygnał do ataku.*

*– Dlaczego zwlekają? – zastanawiał się Guy. Prawie dwie godziny później na równinie ponad milczącą armią poniósł się ledwo słyszalny, głuchy, dudniący odgłos. Narastał stopniowo przez następne pół godziny. Wzdłuż szeregów napastnika rozległ się dźwięk trąbek. Za ich liniami pojawiły się na tle jasnego błękitu nieba dziwne sylwetki. Z daleka przypominały gigantyczne pająki. Przesuwały się przez ciżbę wojska powolutku, majestatycznie. W końcu wysunęły się przed szeregi i zbliżyły do miasta. Podchodziły coraz bliżej i bliżej. Arutha przyglądał się im z uwagą. Na murach rozległy się okrzyki zdziwienia.*

*– Bogowie, co to jest? – powiedział Guy.*

*– Jakiś nowy typ machin wojennych – odpowiedział Arutha. – Ruchome wieże oblężnicze.*

*Wyglądały jak gigantyczne skrzynie. Trzy lub cztery razy większe od tych, które podnoszono na mury poprzednio. Toczyły się z głuchym grzmotem po nierównościach terenu na ogromnych kołach, bez żadnego widocznego napędu. Nie popychał ich ani nie ciągnął żaden olbrzym, niewolnik czy bestia. Poruszały się o własnych siłach, jakimś magicznym sposobem.*

*– Katapulty! – krzyknął Guy, opuszczając gwałtownie rękę. Kamienie śmignęły im nad głowami i z łoskotem uderzyły w skrzynie. Trafiły w podporę jednej ze skrzyni i rozbiły ją w drzazgi. Wieża przechyliła się gwałtownie i zwała na ziemię z przeraźliwym hukiem. Impet uderzenia wyrzucił z roztrzaskanej konstrukcji przynajmniej setkę goblinów, moredheli i ludzi.*

*– Każda z nich mieści co najmniej dwustu, trzystu żołnierzy – powiedział*

*Arutha. Guy szybko policzył.*

*– Zbliża się dziewiętnaście następnych. Nawet jeśli tylko jedna na trzy zdoła dotrzeć do murów, oznacza to jednoczesne pojawienie się na murach tysiąca pięciuset atakujących. Olej i płonące strzały! – krzyknął.*

*Obrońcy usiłowali podpalić nadciągające ku murom wieże, lecz najwyraźniej drewno zostało czymś nasyczone, mimo że olej płonął na powierzchni żywym ogniem, to tylko je osmalił. Wrzaski dochodzące ze środka powiedziały im, że osiągnięto pewien skutek, ale nie powstrzymało to pochodu wież.*

*– Wszystkie rezerwy na mury! Łucznicy na dachy za murem! Szwadrony kawalerii na stanowiska!*

*Rozkazy Guya zostały szybko wykonane. Czekali na toczące się coraz bliżej maszyny. Magiczne wieże oblężnicze napępniały poranne powietrze zgrzytliwym dźwiękiem toczących się ociężałe kół. Ogromna masa wojsk Murmandamusa posuwała się powoli z tyłu, zachowując dystans, albowiem cały ostrzał obrońców skierowany był przeciwko skrzyniom.*

*Pierwsza wieża dotarła do muru. Jej bok skierowany ku przodowi opadł z hukiem, jak to miało miejsce w przypadku mniejszych skrzyń, i na zewnątrz wyskoczyły dziesiątki moredheli i goblinów, wiążąc w walce obrońców. W chwilę później na każdym metrze muru toczyły się dziesiątki zażartych pojedynków.*

*Atakujący z równiny rzucili się do przodu. Tylne ściany skrzyni opadły. Z wnętrza spuszczone w dół długie drabiny sznurowe. Napastnicy ruszyli do nich hurmem, wspinając się ku stojącemu otworem miastu. Ze szczeliny oddalonej od drabin zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów opuszczono długi fartuch z grubej skóry, który uniemożliwił ostrzał wspinających się do skrzyń i potem na mury. Dowódcy*

*katapult kontynuowali jednak ostrzał i wielu żołnierzy Murmandamusa legło pod  
głazami. Gdy łucznicy zostali odesłani na dachy pierwszego szeregu domów, a inni  
obrońcy zmagali się z napastnikami, zabrakło ostrzału z luków rażącego z wież tych  
na równinie, którzy spokojnie stawiali drabiny przy murach.*

*Arutha wdał się w walkę z moredhelem, który przeskoczył przez ciało  
obrońcy Armengaru. Ciął na odlew. Ciemny elf potknął się, cofnął i spadł z blanki na  
kamienie. Księżę obrócił się błyskawicznie i ujrzał jak Guy zabija kolejnego.*

*Protektor ogarnął wzrokiem sytuację.*

*– Tu ich nie zatrzymamy! Przekaż dalej, że wycofujemy się do twierdzy!*

*Rozkaz szybko trafił do wszystkich obrońców, którzy zostawili wspinających  
się na mury. Wybrana kompania jazdy pilnowała schodów, gdy ich towarzysze  
biegli w stronę miasta. Żołnierze z tych oddziałów jazdy byli ochotnikami gotowymi  
oddać swe życie.*

*Arutha przebiegł przestrzeń między murem zewnętrznym a wewnętrznym.*

*Ostatni obrońcy padali pod ciosami wroga. Gdy znalazł się w połowie drogi,  
atakujący skakali już ze schodów i ruszali biegiem w stronę bramy. Nagle z dachów  
domów naprzeciwko bramy sygnął się deszcz strzał, wybijając ich do nogi. Guy  
zrównał się z Arutha. Tuż za nim biegł Amos.*

*– Możemy ich trzymać z dala od bramy, dopóki nie rozstawią na murach  
własnych łuczników. Wtedy nasi będą musieli się wycofać.*

*Arutha spojrzął w górę. Z dachów domów stojących w bezpośrednim  
sąsiedztwie muru przerzucano nad ulicami szerokie deski. Gdy łucznicy opuszczą  
pierwszą linię, ściągną deski na swoją stronę. Oddziały goblinów będą zmuszone  
używać taranów do wyważenia drzwi, potem wspinać się po schodach i dopiero*

wtedy będą mogły związać w bezpośredniej walce łuczników. Ale oni w tym czasie zdążą się już przenieść na następny szereg domów. Cały czas będą ostrzeliwali ulice, zmuszając najeźdźców do okupienia krwią każdego zdobywanego metra przestrzeni. W ciągu ostatniego miesiąca rozmieszczono na dachach pod płachtami z naoliwionej tkaniny setki kołczanów pełnych strzał, zapasowe cięciwy i dodatkowe łuki. Według oceny Aruthy przebycie drogi między zewnętrznym murem a twierdzą będzie kosztowało Murmandamusa nie mniej niż dwa tysiące zabitych żołnierzy. W stronę muru biegi oddział z wielkimi drewnianymi młotami. Zatrzymał się przy ogromnych beczkach ustawionych na rogach ulic i czekał na rozkaz. Wydawało się, że zginą marnie, z murów sypnęła się bowiem nieprzebrana rzesza goblinów i innych najeźdźców. W ostatnim momencie z bocznej uliczki wypadł oddział jazdy i rozniósł atakujących na kopytach. Nad głowami Aruthy i Guya świsnęło kilka strzał.

– Ich łucznicy są już na miejscu. Trąbić do odwrotu! Od strony oddziału łuczników, którzy zajmowali pozycje w połowie drogi do następnej przecznicy, rozległ się donośny głos trąbki. Ludzie z młotami uderzyli w beczki, wybijać szpunty. Wkrótce ostry odór krwi wiszący ciężką chmurą nad ulicami zmieszał się z zapachem oleju, wyciekającego powoli na bruk. Wymachujący młotami żołnierze rozbiegli się po ulicach, gdzie na każdym rogu czekały wielkie beczki. Guy pociągnął Aruthę za rękaw.

– Do twierdzy. Rozpoczynamy następną fazę. Arutha pobiegł za nim. Zaczęły się krwawe walki o każdy dom.

Krwawa bitwa trwała przez dwie godziny. Arutha i Guy obserwowali jej przebieg z nowego stanowiska dowodzenia na szczycie muru twierdzy. Miasto

rozbrzmiewało okrzykami walczących i przekleństwami. Na wszystkich rogach ulic czekały oddziały łuczników, każdy więc kwartał ulic, zdobyty przez atakujących, okupiony był zwałem trupów ich towarzyszy broni. Murmandamus zdobędzie co prawda zewnętrzne miasto, ale przyjdzie mu za to zapłacić straszliwą cenę. Widząc, co się dzieje, Arutha musiał zrewidować swoje poprzednie obliczenia. Oszacował wielkość strat Murmandamusa na trzy do czterech tysięcy żołnierzy, zanim zdołają dotrzeć do muru wewnętrznego i fosy wokół twierdzy. A i wtedy zostaną mu jeszcze do zdobycia wewnętrzne fortyfikacje Armengaru.

Patrzył zafascynowany. Coraz trudniej było rozróżnić szczegóły, bo słońce skryło się już za góry i miasto pogrążało się w ciemnościach. Za godzinę miała zapaść noc, ale można było jeszcze dostrzec większość wydarzeń. Nie noszący pancerzy, zwinni jak koty łucznicy posuwali się od dachu do dachu, wciągając za sobą długie deski. Kilku goblinów usiłowało wspiąć się na dachy po ścianach domów, ale zostali zestrzeleni przez łuczników z sąsiednich budynków. Guy czujnie obserwował przebieg bitwy.

– Miasto zbudowano z myślą o takich właśnie walkach – powiedział Arutha.

Guy kiwnął głową.

– Gdybym miał zaplanować miasto nastawione na wykrwawienie przeciwnika, nie wymyśliłbym nic lepszego. – Spojrzał na Księcia twardym wzrokiem. – Jeżeli pomoc nie nadejdzie w ciągu najbliższych godzin, Armengar padnie. Wytrwamy najdalej do rana. Przynajmniej zaleziemy temu bastardowi za skórę, nadszarpiemy jego siły. Gdy wymaszeruje na Tyr-Sog, nie będzie miał jednej trzeciej swej armii.

– Jednej trzeciej? – zdziwił się Arutha. – Powiedziałbym raczej, że najwyżej

*jednej dziesiątej.*

*Na ustach Guya wykwitł złowieszczy uśmiezek.*

*– Patrz i obserwuj. – Protektor odwrócił się do sygnalisty. – Jak długo jeszcze?*

*Żołnierz pomachał w kierunku szczytu twierdzy białą i niebieską flagą. Po chwili na górze zatrzepotały w odpowiedzi dwie żółte.*

*– Nie dłużej niż dziesięć minut, wodzu. Guy zamyślił się na moment.*

*– Skierować katapulty na mur zewnętrzny. – Wydano stosowne rozkazy i ku odległemu krańcowi miasta poleciał grad ciężkich głazów. – Niech myślą, że źle obliczyliśmy zasięg rażenia – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do Księcia. – Może rzucą się na łeb na szyję do środka miasta.*

*Czas mijał powoli. Arutha obserwował, jak łucznicy systematycznie wycofują się z dachu na dach. Zapadał zmrok. Ulicą przemykała kompania czatowników kierująca się w stronę zwodzonego mostu i zewnętrznej bramy barbakanu. Gdy pierwsza kompania podbiegała do zwodzonego mostu, w polu widzenia pojawiła się następna, a po chwili trzecia. Dowódca bramy nakazał wciągnięcie mostu. Gdy ostatni żołnierz postawił na nim stopę, most zaczął się poruszać nad fosą. Z dachów Armengaru szło w najeżdźców jeszcze więcej łuczników.*

*– Odważni są – powiedział Arutha. – Zostają na tyłach zdani wyłącznie na siebie.*

*– Odważni, ale bądź pewien, że wcale nie zamierzają umierać. – Gdy to mówił, łucznicy dotarli do ostatniej linii budynków. Opuścili liny i szybko zjechali po nich na ulice. Pobiegli ku fortecy, rzucając po drodze broń. Za nimi zdążył tłum najeżdźców. Gdy wróg znalazł się w połowie otwartej przestrzeni, która poprzednio*

*służyła jako plac targowy, łucznicy z murów twierdzy zasypali go gradem strzał.*

*Armengarianie dobiegli już do fosy i rzucali się w wodę.*

*– Gdy będą próbowali wdrapać się na mury, zostaną zastrzeleni –*

*zaniepokoił się Arutha. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, iż żaden żołnierz nie wypłynął na powierzchnię.*

*Guy uśmiechnął się.*

*– Pod wodą są tunele prowadzące do bramy i innych pomieszczeń w murach.*

*Gdy nasi chłopcy i dziewczyny się pojawią, przejścia zostaną zamknięte na głucho. –*

*Grupka szczególnie śmiałych goblinów rzuciła się za zbiegami w wody fosy. – Nawet jeśli ta hołota znajdzie tunele i tak nie będzie potrafiła otworzyć specjalnych klap.*

*Byłoby lepiej dla nich, gdyby potrafili oddychać pod wodą jak ryby, bo jeśli nie...*

*Amos wyszedł z twierdzy.*

*– Wszystko gotowe.*

*– Dobrze – powiedział Guy, obserwując szczyt twierdzy, skąd Armand śledził przebieg walk w mieście. Na górze pomachano żółtą flagą.*

*– Szykować katapulty! – krzyknął Guy. Długo nic się nie działo. – Na co ten Armand czeka? – zniecierpliwił się wreszcie Guy.*

*– Jeśli mamy szczęście – Amos się zaśmiał – pewnie obserwuje, jak*

*Murmandamus wjeżdża na czele armii do miasta, jeśli nie, to czeka, aż kolejny tysiączek tej hałastry znajdzie się w środku.*

*Arutha przyglądał się z uwagą najbliższej stojącej katapulcie. Gigantycznej*

*frondiboli, załadowanej teraz zamiast kamieniami, dziwnym zestawem beczek*

*powiązanych luźno ze sobą. Beczek. a raczej niewielkich beczulek przypominających*

*te używane w gospodach i piwiarniach do przechowywania mocniejszych alkoholi.*



*Nie mieściło się w nich więcej niż cztery, cztery i pół litra płynu. Każda wiązka składała się z dwudziestu lub trzydziestu takich beczek.*

*– Sygnał! – krzyknął Amos. Pojawiła się czerwona flaga.*

*– Katapulty! Ognia! – krzyknął Guy. Tuzin katapult na murach dźwignął swój ładunek w powietrze i przeniósł wysokim łukiem nad dachami miasta. Wiązki rozdzielały się w locie, więc na zewnętrzny mur spadł grad pojedynczych pocisków. Obsady katapult załadowały je ponownie z szybkością, która zdumiała Aruthę. Nie minęła bowiem nawet minuta, a ponad miastem śmignęła kolejna porcja beczulek. Gdy przygotowywano trzecią salwę, Arutha spostrzegł, że w kilku miejscach nad domami wznosi się dym.*

*Amos też to zauważył.*

*– Nasze kochane maleństwa odwalają część roboty za nas. Pewnie podłożyli w paru miejscach ładniutki ogieniek, by nas ukarać, że nie poczekaliśmy na nich, aby umrzeć. Ho, ho... to musi być poważny szok, gdy się stoi koło ognia, a tu nagle zaczyna padać naftowy deszczyk.*

*Arutha w końcu zrozumiał. Dym buchnął ze zdwojoną siłą i zaczął się gwałtownie rozprzestrzeniać wzdłuż zewnętrznego muru.*

*– Te beczki na rogach?*

*– A w każdej ponad dwieście litrów. – Amos pokiwał głową. – Beczki przy pierwszym rzędzie budynków od strony muru zostały rozbite i cały teren dosłownie splotyka naftą. Głowę daję, że wielu bandziorów utaplało się w niej jak nieboskie stworzenia. Rozmieściliśmy beczki w każdym domu i na każdym dachu. Gdy w drugiej fazie ewakuacji usunięto z miasta konie, zaprzestaliśmy również kontrolować swobodny wypływ nafty. W tej chwili każda piwnica w mieście to*

*bomba z opóźnionym zapłonem. Armengar zgotuje Murmandamusowi zaiste gorące powitanie.*

*Na dany przez Guya znak wystrzelono trzeci ładunek beczulek. Jednocześnie środkowa para katapult wyrzuciła w powietrze kamienie obwiązane płonącymi szmatami nasączonymi olejem. Ich ładunek poszybował ponad miastem ognistym łukiem. Cały teren w okolicach barbakanu w zewnętrznym murze rozjarzył się oślepiającą łuną. Kolumny ognia strzeliły w górę, wznosząc się z każdą sekundą wyżej i wyżej. Arutha patrzył zafascynowany. Usłyszeli głuchy łoskot, a w chwilę później poczuli gorący podmuch. Ściana płomieni rosła nieustannie i wydawało się, że nigdy się nie zatrzyma. W końcu płomienie przygasty nieco. Słup czarnego, smolistego dymu był coraz większy i w końcu zmienił się w gigantyczny grzyb podświetlony pomarańczową poświatą bijącą z ognistego piekła na dole.*

*– Już po barbakanie – powiedział Amos. – Umieściliśmy pod bramą kilkaset beczek z otworami, przez które ogień przedostał się do środka. Ekspłodowały wszystkie jednocześnie. Gdybyśmy znajdowali się trochę bliżej muru, dzwoniłoby nam jeszcze w uszach.*

*Płomienie zaczęły się raptownie rozprzestrzeniać. Nad miastem poniosły się wrzaski i przekleństwa. Katapulty wystrzeliwały niezmordowanie wybuchowe ładunki.*

*– Zmniejszyć zasięg – rozkazał Guy.*

*– Zmusimy ich do podejścia pod samą twierdzę. Nasi łucznicy będą mogli poćwiczyć ostre strzelanie na tych, którzy się do tej pory nie upieką – powiedział Amos.*

*Arutha poczuł, jak żar bijący od miasta rośnie z każdą chwilą. Dała się słyszeć*

*kolejna ogłuszająca eksplozja, a zaraz po niej seria kilku mniejszych. Echo poniosło przytłumiony grzmot. Nad obrzeżami miasta zatańczyły ogniste spirale, smagając twierdzę gorącymi podmuchami. Kolejna fala eksplozji. Olśniewające widowisko pokazywało namacalnie, jak ogromna liczba beczek została rozmieszczona w idealnie dobranych strategicznych punktach. Przytłumione grzmoty niosły się jeden za drugim, łupiąc w uszach. Płonąca śmierć szybko kroczyła od muru zewnętrznego ku twierdzy. Po niedługim czasie Arutha potrafił rozróżnić zapalający się stos beczek od eksplodującej piwnicy. Rzeczywiście, tak jak powiedział Guy, miasto zgotowało Murmandamusowi gorące przyjęcie.*

*– Sygnał – zameldował żołnierz. Guy spojrział w górę. Na blankach twierdzy pojawiły się dwie czerwone flagi, mimo zmroku doskonale widoczne w łunie bijącej od miasta.*

*– Armand sygnalizuje, że pali się już całe zewnętrzne miasto – wyjaśnił Arucie Amos. – Nie do przejścia. Nawet Czarni Zabójcy usmażą się na skwarki, jeśli zostali zaskoczeni przez płomienie. – Uśmiechnął się złowieszczo, gładząc brodę. – Mam nadzieję, że sam wielki i wspaniały śmierdziel pośpieszył, by wkroczyć do miasta na czele armii.*

*Coraz bliżej niósł się gwałtowny tupot nóg i krzyki przerażenia i wściekłości. Ściana płomieni posuwała się jednostajnie ku wewnętrznym umocnieniom. Jej drogę znaczyły raz po raz głuche eksplozje beczek rozmieszczonych na rogach ulic. Nawet stojąc na murach twierdzy, z trudem można było wytrzymać falę gorąca.*

*– Ta burza ogniowa wysie całe powietrze. Nie będą mieli czym oddychać – powiedział Arutha.*

*– Mamy nadzieję, mamy nadzieję... – Amos pokiwał radośnie głową.*

*Guy długo spoglądał w dół. Widać już było krańcowe wyczerpanie.*

*– To Armand opracował końcowy plan. Cholerny geniusz. Chyba najlepszy dowódca polowy, jaki mi się przytrafił w życiu. Miał odczekać, aż do miasta wejdzie ich tak wielu, jak to tylko możliwe. Będziemy próbowali ucieczki przez góry, więc musimy im teraz dołożyć, ile wlezie.*

*Mimo opanowanego tonu i sucho brzmiących faktów Arutha dostrzegł pod tą maską zrezygnowane spojrzenie dowódcy, który wkrótce utraci bronioną przez siebie pozycję.*

*– Guy, poprowadziłeś wspaniałą, wręcz mistrzowską obronę.*

*Protektor tylko pokiwał głową i zarówno Arutha, jak i Amos zrozumieli, że*

*Guy mówi im milczeniem: „A jednak to nie wystarczyło”.*

*Pierwsi z uciekających najeźdźców podbiegali w pobliże twierdzy. Stawali tu jak wryci, zdając sobie nagle sprawę, że wystawieni są na strzały łuczników na murach. Chowali się za ostatnie domy, jakby czekali, że wybawi ich z opresji jakiś cud. Ściana ognia posuwała się nieubłaganie. Coraz więcej żołnierzy*

*Murmandamusa pojawiało się u wylotu uliczek. Katapulty niez mordowanie podsycaly pożogę kolejnymi porcjami nafty. Co drugą salwę zmniejszano promień rażenia, aby przybliżyć ogień do muru twierdzy. Oczom obrońców ukazały się eksplozje rozkwitające na dachach domów oddalonych o sześć przecznic od rynku, potem pięć, cztery... Krzyczący w niebogłosy moredhele, gobliny i ludzie, przemieszani z pojedynczymi trollami i olbrzymami zaczęli walczyć między sobą.*

*Rosnący z minuty na minutę tłum uciekających przed nie dającą się już wytrzymać temperaturą napierał z zewnątrz, spychając znajdujących się bliżej twierdzy na otwartą przestrzeń.*

*– Niech łucznicy rozpoczną ostrzał – powiedział Guy do Amosa.*

*Amos krzyknął na cały głos i Armengarianie zasypali wroga deszczem strzał.*

*Arutha patrzył na krwawe widowisko szeroko otwartymi oczami.*

*– To nie bitwa – szepnął – a czysta rzeź.*

*Najeźdźcy byli tak stłoczeni, że każda strzała wypuszczona w ich stronę musiała kogoś trafić. Walili się na padłych wcześniej, a tłum z tyłu ciągle napierał.*

*Kolejne salwy z beczek z olejem i naftą podsycaly pożar. Nieprzenikniona ściana ognia kontynuowała nieubłagany marsz ku murom twierdzy.*

*Arutha przysłonił twarz ręką. Łuna pożaru dosłownie oślepiła, a gorące podmuchy stawały się nie do wytrzymania. Wyobraził sobie, jakie katusze musiały przeżywać istoty zbite na skraju rynku, znajdujące się jeszcze o sto metrów bliżej ognia.*

*Z hukiem eksplodowały następne beczki. Przerażony i spanikowany tłum zawył straszonym głosem i rzucił się na oślep ku murom. Wielu padło w biegu przeszytych strzałami, lecz część zdołała dotrzeć do fosy, gdzie natychmiast rzucali się w wodę. Ubrani w ciężkie kolczugi szli na dno jak kamienie, usiłując zedrzeć je z siebie pod wodą. Jednak walczyli o życie nadaremnie. Tonęli nawet ci, którzy mieli tylko skórzane pancerze. Nielicznym udało się wydostać na powierzchnię wody, gdzie kręcili się w kółko przebierając nogami i rękami jak psy.*

*Arutha ocenił, że na placu targowym poległo ponad dwa tysiące najeźdźców. Kolejne cztery – pięć tysięcy musiało stracić życie w samym mieście.*

*Łucznicy byli tak zmęczeni ciągłym ostrzałem, że z najwyższym trudem trafiali w wyraźnie widoczne na tle płomieni sylwetki.*

*– Otworzyć rury – rozkazał Guy.*

*Rozległ się dziwny, sapiąco bulgoczący dźwięk. Na powierzchnię wody w fosie zaczęły się wylewać strumienie oleju. Gdy pływający zorientowali się, co się święci, przeraźliwe wrzaski sięgnęły nieba. Płomienie wypęły z wypalonego do cna miasta i ogarniały pustą przestrzeń. Z murów zrzucano do fosy bele palącego się siana. Z powierzchni wody strzelił białobłękitny ogień, tańczący wściekle po spienionym rowie. Wkrótce było po wszystkim. Ostatnie krzyki cichły, aż wreszcie umilkły.*

*Z fosy buchał taki żar, że wszyscy musieli się odsunąć od krawędzi muru. Gdy płomienie zgasły, Arutha ujrzał zwęglone ciała dryfujące powoli po powierzchni wody. Zemdlilo go. U Guya dostrzegł taką samą reakcję. Tylko Amos wydawał się nieporuszony i patrzył w dół ponurym wzrokiem. Miasto dopalało się.*

*– Muszę się napić – powiedział Guy. – Chodźcie. Zostało nam zaledwie parę godzin.*

*Amos i Arutha poszli bez słowa za Protektorem konającego miasta ku głównemu gmachowi twierdzy.*

*Guy opróżnił swój puchar i wskazał na mapę leżącą na stole. Arutha stał obok umorusanej sadzą Briany. Wraz z pozostałymi komendantami oczekiwała ostatnich rozkazów Guya. Jimmy i Locklear przyszli z ostatniego posterunku, na którym pełnili służbę. Stanęli u boku Księcia. Nawet tutaj, we wnętrzu sali obrad, czuli żar szalejącego pożaru. Katapulty bez wytchnienia nadal podsycaly ogień. Bez względu na to, jak wielu żołnierzom Murmandamusa udało się uciec z ognistej pułapki, pożar zmuszał ich do pozostania poza murami.*

*– Tutaj – powiedział Guy, wskazując jedną z kilku zielonych plam na mapie – zostały ukryte konie. – Zwrócił się do Aruthy.*

– Zostały wyprowadzone z miasta w czasie drugiej fazy ewakuacji. –

Odwrócił się do wszystkich zebranych. – Nie wiemy, czy gobliny nie natknęły się na niektóre z nich, a może nawet wszystkie. Miejmy nadzieję, że przynajmniej kilka ocalało. Prawdopodobnie założyli, iż w końcu wycofaliśmy się poza linię naszych redut na szczytach, i nie widzieli potrzeby zachowania dalszego śledzenia nas.

Ukryty tunel prowadzący z miasta jest nadal bezpieczny. W dalekim sąsiedztwie jego wylotu zaobserwowano tylko jeden patrol Mrocznych Braci, a i ten poszedł dalej, nie badając terenu. Ogólny rozkaz brzmi tak:

Wszystkie kompanie, od pierwszej do dwunastej, będą po kolei opuszczać miasto wraz z przydzielonymi oddziałami posiłkowymi. Mogą wyjść z tunelu tylko i wyłącznie po upewnieniu się, że cały obszar dookoła jest absolutnie bezpieczny.

Chcę, aby kompania pierwsza pełniła funkcję jednostki ubezpieczającej teren do czasu, kiedy zaczniesz ją wymieniać drugą. Gdy dwunasta rozpocznie opuszczanie tunelu, jedenasta rusza razem z nią. Zostać tutaj mają prawo tylko żołnierze wyznaczeni jako straż tylna. Nie pozwalam na żadne heroiczne wyczyny, które mogłyby narazić na niebezpieczeństwo ewakuację. Nie chcę absolutnie żadnych nieporozumień. Czy wszyscy wiedzą, co robić?

Nikt się nie odezwał.

– W porządku. Upewnijcie się, czy wszyscy zrozumieli, że po wyjściu z miasta każdy radzi sobie na własną rękę. Chcę, żeby do Yabonu dotarło tak wielu z nas, jak to tylko będzie możliwe.

– W jego głosie zadźwięczała lodowata nuta. – Przyjdzie jeszcze taki dzień, że odbudujemy Armengar. – Zawiesił głos, jakby to, co miał powiedzieć, było zbyt trudne, aby mogło przejść przez usta. – Rozpocząć ostatnią fazę ewakuacji.

*Komendanci opuścili salę.*

*– Kiedy wychodzisz? – spytał Arutha.*

*– Na końcu, oczywiście.*

*Arutha spojrział pytająco na Amosa, który w odpowiedzi pokiwał głową.*

*– Czy mielibyście coś przeciwko temu, żebym z wami został?*

*Guy spojrział na niego zdziwionym wzrokiem.*

*– Miałem ci zaproponować, abys wyszedł z drugą kompanią. Pierwsza może się natknąć na nieprzewidziane sytuacje. Następne z kolei mogą już mieć do czynienia z posiłkami wroga ściągniętymi w góry. Wychodzący na końcu mają największą szansę wpaść im w łapy.*

*– Sam nie wiem, czy wierzę w to, że jestem jakąś niezwykłą istotą, której przeznaczeniem jest zniszczenie Murmandamusa, ale jeśli tak jest w rzeczywistości*

*– powinienem zostać.*

*Guy rozważał jego słowa w milczeniu.*

*– Dlaczego nie? Nie możesz zrobić więcej, niż uczyniłeś. Nie wiemy, czy pomoc już nadchodzi. Tak czy owak, przyjdzie za późno, aby ocalić miasto.*

*Arutha zerknął na Jimmiego i Lockleara. Jimmy chciał właśnie zażartować, lecz Locklear nie pozwolił mu, mówiąc po prostu –Zostaniemy.*

*Księżę miał coś powiedzieć, lecz ujrzał na twarzy młodego szlachcica dziwny wyraz. Nie było już tam chłopięcej niepewności maskowanej wiecznym uśmiechem. Jego oczy były teraz jakby starsze, nie tak gotowe do przebaczenia jak kiedyś i o wiele smutniejsze. Arutha pokiwał tylko głową.*

*Czekali popijając piwo, aby splukać odór spalenizny i ochłodzić się nieco. Co jakiś czas wpadał posłaniec donosząc, że kolejna kompania opuściła twierdzę.*



*Godziny ciągnęły się w nieskończoność. Zapadła głucha noc przerywana co jakiś czas przytłumioną eksplozją, gdy pożar docierał do kolejnej piwnicy. Arutha zastanawiał się, kto mógł wytrwać tak długo, lecz za każdym razem, gdy sądził, że spłonęło już całe miasto, kolejna eksplozja oznajmiała, że proces niszczenia trwa nadal.*

*Kiedy nadszedł raport, że kompania siódma szczęśliwie opuściła miasto, pojawił się żołnierz. Ubrany był w skóry, ale widać było, że to pasterz albo rolnik ze służby pomocniczej. Długie, rude włosy, związane w kitę opadały na plecy. Potężna, ruda broda okalała całą twarz.*

*– Protektorze! Chodź, musisz to zobaczyć! Guy i reszta podbiegli za wojownikiem do okna, które wychodziło na płonące miasto. Ogniste piekło przygasało nieco, ale wszędzie szalały nie kontrolowane pożary. Sądziли, że minie jeszcze co najmniej godzina, zanim Murmandamus będzie mógł wysłać kolejnych żołnierzy, aby zbadali wypalone ulice. Lecz chyba się pomylili. Pomiędzy ciągle palącymi się budynkami w pobliżu byłego targu szły ku twierdzy jakieś postacie. Guy odskoczył od okna i popędził na mury. Gdy dotarł tam, ujrzał na tle ognia czarne sylwetki żołnierzy. Poruszali się wolno, krok za krokiem, jakby za wszelką cenę chcieli się utrzymać w ściśle określonej przestrzeni. Kolejny kurier zameldował, iż ósma kompania zaczyna opuszczać twierdzę. Postacie na dole podeszły do samej krawędzi muru. Guy zaklął szpetnie. Liczne kompanie goblinów stały w obrębie niewidzialnych ochronnych pól, których obecność zdradzał tylko co jakiś czas odbłysek światła na ich powierzchni. Pojawił się Murmandamus.*

*– Kim on jest do cholery? – spytał Jimmy. Przywódca moredheli jechał swobodnie bez żadnej ochrony, nie zważając na ogromny żar wciąż buchający z*

pogorzeliska. Bestia, na której siedział, również budziła grozę. Wyglądem przypominająca konia, pokryta była na całym ciele rozżarzonymi do czerwoności łuskami, jakby ktoś podgrzał skórę stalowego węża do temperatury topnienia. W miejscu ogona i grzywy tańczyły jęzory ognia. Zamiast oczu płonęły gorejące węgle. Z nozdrzy buchała para.

– Szatański Ogier – powiedział Arutha. – Wierzchowiec legenda. Może go dosiąść tylko sam demon.

Bestia stanęła dęba. Murmandamus wyciągnął miecz i zakreślił nim łuk w powietrzu. Przed pierwszymi kompaniami jego armii pojawiło się nagle coś czarnego. Atramentowa czerń, zacierająca i przysłaniająca wszelkie światło. Rozlewając się jak rtęć, utworzyła na kamieniach wielką plamę. Po chwili ruch na jej powierzchni ustał i uformował się prostokąt. Wkrótce dla patrzących stało się jasne, że czworokąt przemienił się w platformę z nieprzeniknionej czerni o szerokości około trzech metrów. Platforma zaczęła się unosić powolutku i wydłużać centymetr po centymetrze. Od podstawy rampy oderwał się odłamek czerni i odpłynął kawałek od rosnącego mostu. Ustabilizował się po chwili w następny blok, który wydłużał się, tworząc powoli kolejny most. Krótkie wyczekiwanie i brzegi fosy poczęły spinać trzeci most, a po chwili czwarty.

– Niech to szlag trafi! – zaklął Guy. – On przerzuca na mury jakieś magiczne mosty. – Odwrócił się do żołnierza. – Przekaż natychmiast dalej, by przyspieszyć ewakuację!

Gdy czarne jak heban pomosty osiągnęły mniej więcej połowę szerokości fosy, na ich powierzchnię wkroczyły pierwsze oddziały goblinów. Posuwały się powoli ku przedniej krawędzi. Czarny most powoli, metr po metrze, zbliżał się do obrońców.

*Guy zarządził ostrzał z łuków.*

*Strzały pomknęły ku wrogowi. Odbijały się, nie docierając do celu, jakby trafiały w niewidzialny mur. To, co chroniło napastników przed wysoką temperaturą, osłaniało ich także przed pociskami. Obserwatorzy ze szczytu twierdzy zameldowali, że pożary na obrzeżach miasta wygasają i do Armengaru wkraczają kolejne oddziały wroga.*

*– Opuścić mury! – krzyknął Guy. – Tylna straż na pierwszy taras. Wszystkie pozostałe jednostki – natychmiastowa ewakuacja. Nikt nie czeka – wykonać natychmiast!*

*Groziło im, iż planowa i spokojnie przebiegająca ewakuacja zmieni się szybko w beładną ucieczkę. Wszystko wskazywało na to, że wróg zdoła przełamać ostatnie linie obrony przynajmniej godzinę wcześniej, niż przewidywał Guy. Arutha wiedział, że konstrukcja twierdzy umożliwia stopniowe wycofywanie się i oddawanie pomieszczenia po pomieszczeniu. Obiecał sobie, że jeśli miałoby do tego dojść, poczeka, by stanąć twarzą w twarz z Murmandamusem.*

*Przebiegli przez dziedziniec i pośpieszyli schodami na pierwszy z trzech tarasów. Towarzyszył im odgłos barykadowanych drzwi i zamykanych z trzaskiem okiennic. Gdy wychodzili z frontowego korytarza, Arutha zauważył stos beczek umieszczonych przed szybem windy. Na każdym progu stały beczki. W otwartych i zablokowanych drzwiach umieszczono wszystko, co mogło się palić. Księżę wiedział, że w ostateczności Guy du Bas-Tyra puści z dymem całą twierdzę, mając nadzieję, że ogień pochłonie kolejne oddziały armii Murmandamusa. W trosce o Królestwo Księżę wierzył, że możliwości Murmandamusa są jednak ograniczone i nie potrafi bez końca chronić swoich wojowników przed ogniem.*

*Korytarzem biegli żołnierze rozbijający na ścianach dziwnie wyglądające panele, zasłonięte zwykłymi deskami pomalowanymi na biało, tak jak kamienne ściany. Pod nimi ukazywały się czarne otwory. Przeciąg z otwartego tunelu ewakuacyjnego wypchnął ku górze, przez kanały wentylacyjne, opary nafty. Jej ostry odór rozchodził się szybko po całej twierdzy. Gdy wychodzili na taras, Amos zauważył, że Arutha ogląda się do tyłu.*

*– Biegną od piwnic po sam dach. Więcej powietrza dla podsycania ognia.*

*Księżę pokiwał głową. Pierwsza fala uderzeniowa wojsk Murmandamusa pojawiła się na blankach twierdzy. Gdy znaleźli się na murze, ochronne pole wokół nich zniknęło. Wojownicy rozbiegli się, szukając osłony. Łucznicy z tarasu zaczęli strzelać. Z powodu zbyt dalekiego zasięgu katapulty były w tej sytuacji bezużyteczne, lecz z tuzin balist, przypominających gigantyczne kusze, zaczął razić wroga wielkimi, podobnymi do oszczepów pociskami. Guy rozkazał, aby obsady balist opuściły taras.*

*Obserwował z uwagą, jak jego łucznicy trzymają przeciwnika w szachu.*

*Arutha domyślał się, że Protektor liczy dosłownie minuty, bo też z każdą upływającą minutą kolejny tuzin jego ludzi opuszczał miasto.*

*Za pierwszą linią goblinów słyszeć było, jak następne rzesze szturmują mury.*

*Brama została zdobyta. Wysunięto most i na dziedziniec wlały się, jak wezbrane wody, masy wroga. Pożary w mieście dogorywały i ku twierdzy podążały kolejne kompanie najeźdźców.*

*Guy patrzył jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się do swoich żołnierzy.*

*– To już koniec! Wszyscy do tunelu!*

*Wypuszczono w stronę wroga ostatnią strzałę i wszyscy łucznicy uciekli do*

wnętrza twierdzy. Zgodnie z danym słowem Guy poczekał, aż wszyscy znaleźli się w środku, opuścił taras i zaryglował ostatnie drzwi. Okna już dawno zostały zasłonięte ciężkimi okiennicami. Z dołu rozległ się ogłuszający łomot – to napastnicy usiłowali wyważyć drzwi od dziedzińca.

– Winda jest zablokowana – krzyknął Amos. – Musimy zejść schodami.

Wybiegli za róg i znaleźli się w kolejnym korytarzu. Zaryglowali drzwi i zbiegli wąskimi schodami. Znaleźli się w ogromnej jaskini. Na ścianach paliły się specjalne latarnie, wypełniając ogromną przestrzeń upiornym światłem. Księcia szczypały oczy od śmierdzących wyziewów poruszanych bryzą wiejącą od tunelu. Właśnie wchodziła do niego ostatnia kompania rezerwowa. Guy i jego towarzysze ruszyli biegiem do drzwi. Musieli się jednak zatrzymać, ponieważ tunel mógł pomieścić najwyżej dwie osoby idące obok siebie. Z góry, od strony drzwi u szczytu schodów dochodziły dzikie wrzaski i szaleńczy tupot nóg.

I tym razem Guy nalegał, by przekroczyć próg jako ostatni. Zamknął drzwi za sobą, blokując je w poprzek potężną żelazną sztabą.

– Pokonanie tych drzwi powinno zająć im kilka minut. – Ruszył za Księciem.

– Módl się, Arutha, aby dopóki będziemy w tunelu, żadnemu z tych sukinsynów nie przyszło do głowy zapalić pochodnię w jaskini.

Biegli tunelem. Protektor zamykał i ryglował po drodze kilkoro masywnych drzwi. Dotarli do końca i znaleźli się w obszernej jaskini. Niedaleko ział jej czarny wylot, a za nim noc. Guy zabarykadował ostatnie drzwi. Kilkunastu łuczników zajęło stanowiska na wypadek, gdyby Protektor nie zdążył uciec przed wrogiem. Kolejne trzy lub cztery tuziny żołnierzy zwlekały z opuszczeniem jaskini, żeby nie deptać po piętach poprzednikom. Z dziwnych odgłosów dochodzących z zewnątrz

można było wywnioskować, że część uciekających natknęła się już na wrogie oddziały. Arutha liczył, że jeszcze przed zmierzchem większość uciekinierów zdoła się rozproszyć po okolicznych wzgórzach.

Gestem ręki Guy nakazał łucznikom opuścić jaskinię i po chwili wszyscy nie należący do tylnej straży zniknęli w mroku nocy. Guyowi towarzyszyli tylko Locklear, Jimmy, Arutha i Amos. Protektor wycofał po chwili tylną straż. Zostało ich pięciu. Z mroku wyłoniła się niespodziewanie jeszcze jedna postać. Arutha rozpoznał rudowłosego wojownika, który przyniósł wieści o pochodzie Murmandamusa przez ogień.

– Uciekaj! – krzyknął Guy.

Żołnierz wzruszył ramionami, nie przejmując się rozkazem.

– Sam powiedziałeś, że każdy na własną rękę. Równie dobrze mogę zostać.

Guy pokiwał głową.

– Jak się nazywasz?

– Shigga.

– Słyszałem o tobie, Shigga-Włócznia – powiedział Amos. – Wygrałeś zawody w czasie ostatniego Święta Przesilenia Letniego.

Wojownik wzruszył ramionami.

– Widziałeś de Sevigny?

Shigga wskazał brodą wyjście z jaskini.

– On i kilku innych wyszli tuż przed twoim pojawieniem się tutaj, jak rozkazałeś. Powinni już być kawał drogi za najwyższą redutą, będzie ze sto metrów stąd.

W tunelu dał się słyszeć daleki odgłos rozłupywanego drewna.

– Doszli do ostatnich drzwi – powiedział Guy. Chwycił łańcuch znikający pod progiem drzwi prowadzących do tunelu. – Pomóżcie mi. – Złapali za łańcuch i napięli na sztywno, aż mogli go zahaczyć o balistę wycelowaną w przeciwnym do drzwi kierunku. Była mocno zakotwiczona w skalnym podłożu. Na baliście nie było żadnego pocisku, lecz Arutha w lot pojął jej przeznaczenie.

– Chcesz odpalić balistę i zawalić tunel?

– Łańcuch biegnie pod stemplami podtrzymującymi strop tunelu – powiedział Amos. – Łączy je wszystkie ze sobą na całej długości, aż do jaskini. Cały strop powinien się zawalić jednocześnie, przygniatając kilkuset śmierdzących szczurów. Ale to jeszcze nie wszystko.

Guy pokiwał głową.

– Ruszajcie biegiem do wyjścia. Gdy tam dotrzecie, pociągnę za to.

Przy ostatnich drzwiach coś załomotało głucho i rytmicznie. Najwidoczniej wróg sprowadził na dół taran. Arutha i pozostali pognali ku wylotowi jaskini. Zatrzymali się, by popatrzeć za siebie. Guy odpalił balistę. Jakby zawahała się przez moment, po czym krótko szarpnęła, podciągając łańcuch zaledwie o kilkanaście centymetrów. To jednak wystarczyło. Drzwi eksplodowały do środka jaskini. Guy rzucił się ku wylotowi ścigany przez potężną chmurę kurzu. Z wyrwanych drzwi wyleciały krwawe szczątki kilku goblinów i pokruszone odłamki skalne. Rzucili się biegiem, byle dalej od jaskini. Guy wskazał na ścieżkę prowadzącą wyżej.

– Chcę tam zajrzeć. Jeżeli chcecie, ruszajcie w drogę, ale ja mam zamiar to sobie obejrzeć.

– I ja, za żadne skarby nie daruję sobie tego widowiska – powiedział Amos.

*Arutha popatrzył na obu przez moment i ruszył w ślad za nimi.*

*Wspinali się na skały powyżej wylotu jaskini. Góra, wstrząsana głuchymi, podziemnymi wybuchami, drżała pod ich stopami.*

*– Windy zostały tak ustawione, że po zawaleniu się tunelu powinny zjechać w dół, zapalając po drodze beczki na wszystkich kondygnacjach. Od dachu po samą jaskinię. – Poczuli następną serię eksplozji. – Wydaje mi się, że nasze przemysłne urządzone zadziało jak się patrzy.*

*Ziemia nagle sieknęła ciężko i uniosła się do góry. Potworny, rozdzierający uszy huk, jakby otwarto się niebiosy. Potężna fala uderzeniowa cisnęła ich o skały, pozbawiając na chwilę przytomności. Spod krawędzi wzniesienia, na które się wspinali, buchnęła ogromna, tocząca się kula pomarańczowożółtych płomieni. Strzeliła ku niebu, rosnąc i rozszerzając się raptownie. Olśniewający straszliwym pięknem blask wydobył z mroku lecące ku górze szczątki. Głuche wybuchy wibrowały pod stopami, gdy zapalały się ostatnie zbiorniki nafty, rozrywając twierdzę na strzępy. Wydawało się, iż z wnętrza ziemi zaczął dąć potężny, ogniisty wichur. Wyrzucał ku niebu gązdy, osmalone kawałki drewna i ciała.*

*Arutha, oszołomiony straszliwym przedstawieniem, leżał na ziemi. Wyjąc przeraźliwie, przeniknął mu nad głowę upiorny huragan, a po chwili fala żaru.*

*Powietrze paliło w nosach i szczypało w twarze, jak gdyby stali o kilka kroków od gigantycznego pieca. Amos wydierał się na całe gardło, aby mogli go usłyszeć.*

*– Wybuchły zasoby pod twierdzą. Napowietrzaliśmy podziemia dzień i noc, żeby wytworzyć mieszaninę wybuchową.*

*W uszach im dzwoniło, ledwie słyszeli jego słowa, które i tak pochłonęła następna, tytaniczna wprost eksplozja. Po niej nastąpiła cała seria mniejszych*



*detonacji. Wstrząsy były tak potężne, że odczuwali je jak fizyczne ciosy. Od wierzchołka, skąd widać było miasto, dzieliło ich nadal około dwustu metrów, lecz nawet w tym miejscu, gdzie leżeli osłonięci granią, żar był wprost nie do wytrzymania.*

*Guy potrząsnął głową, by przywrócić zdolność jasnego myślenia.*

*– O bogowie... to o wiele... o wiele straszniejsze, niż sądziliśmy.*

*– Gdybyśmy doszli na szczyt, jak nic usmażyłoby nas na węgiel – powiedział*

*Locklear.*

*– Mieliśmy też szczęście, że zdążyliśmy wydostać się z jaskini. – Jimmy*

*spojrzał za siebie.*

*Obrócili głowy, by spojrzeć we wskazany przez niego kierunku. Ziemia nadal podnosiła się i opadała w spazmatycznym oddechu kolejnych eksplozji. Obok nich osypywały się po skałach różne szczątki i odłamki. Stok poniżej zmienił wygląd.*

*Zawartość tunelu już przy pierwszym wybuchu została wyrzucona na zewnątrz, pokrywając wzgórze u wylotu jaskini zwałem pokruszonych głazów, potrzaskanym drewnem i strzępami ciał. Ziemia ponownie dźwignęła się ku górze i zapadła, czemu towarzyszyła potężna eksplozja. Ku niebu strzelił następny oślepiający fajerwerk, chociaż już nie tak ogromny jak ostatni.*

*Ziemia kołysała się, drżała w posadach. Nadszedł trzeci, gigantyczny wybuch, a po nim, jak poprzednio, seria pomniejszych eksplozji. W obawie przed zrzuconiem w dół leżeli płasko przyklejeni do skał. Po paru minutach rozległo się już tylko głuche echo podziemnych huków. Wstali. Nadal znajdowali się w odległości około dwustu metrów od wierzchołka. Stali blisko siebie i patrzyli, jak dokonuje się ostateczne zniszczenie Armengaru. W ciągu zaledwie kilku koszmarnych chwil*

*rodzinny dom tyłu ludzi, samo serce ich kultury, został zmieciony z powierzchni ziemi. Nastąpiła totalna zagłada i unicestwienie, z którymi nie mogło się równać żadne z wydarzeń zapisanych w starych wojskowych annałach Midkemii. Guy obserwował płonące gniewnie niebo. Usiłował podejść bliżej krawędzi skały, ale gorąco, nieledwie widoczna kurtyna żaru wznosząca się tuż za krawędzią, zmusiła go do odwrotu. Stał, jak gdyby zastanawiał się, czy nie rzucić wyzwania ognistemu piekłu i choć zerknąć na ruiny miasta, ale w końcu zrezygnował.*

*– Nic nie mogło przetrwać tej eksplozji – powiedział Arutha. – Wszystkie gobliny i Mroczni Bracia, którzy znajdowali się między twierdzą a murami miasta, musieli zginąć.*

*– Kto wie, może i ów bastard obudził się z ręką w nocniku. Miło pomyśleć, że nawet jego magia nie ze wszystkim sobie poradzi.*

*– Jego żołnierze z pewnością poginęli, ale mam dziwne przeczucie, że on sam ocalał. Nie wydaje mi się, żeby ogień przeszkadzał bestii, której dosiadał.*

*– Patrzcie! – krzyknął Jimmy, wskazując na niebo. Gigantyczna czapa dymu była krwiście podświetlona przez ogromną kolumnę ognia nadal bijącą ponad Armengarem. Na tym złowrogim tle można było dostrzec samotną postać lecącą w powietrzu na grzbiecie gorejącego szkarłatnie ogiera. Opuszczał się, zataczając kręgi, kierując się najwyraźniej ku sercu obozu Murmandamusa.*

*– Ach ty synu parszywej suki! – zaklął Amos na cały głos. – Czy tego gównojada nic nie potrafi wykończyć? Guy rozejrzał się po okolicy.*

*– Nie wiem, Amos, ale teraz mamy na głowie większe zmartwienia. – Zaczął schodzić ze wzgórza. Niedługo stwierdzili, że jaskinia zapadła się pod nimi. W miejscu, gdzie poprzednio znajdował się jej wylot, piętrzyło się teraz ogromne*

rumowisko. Szli ostrożnie, wybierając drogę między potrzaskanymi kamiennymi redutami, które chroniły miasto przed atakami z góry. Dotarli w końcu do osuwiska prowadzącego do wąwozu, w którym ukryto konie.

– Pierwsze cztery czy pięć parowów zostało wyczyszczonych do czysta przez grupy, które ewakuowały się jako pierwsze. Jeżeli mamy znaleźć wierzchowce, będziemy musieli poszukać dalej – powiedział Guy.

Arutha zgodził się z nim.

– Nadal pozostaje do rozstrzygnięcia kwestia kierunku. Idziemy na zachód do Yabonu, czy na wschód do Wysokiego Zamku?

– Do Yabonu. Jeżeli pomoc nadciąga, mamy szansę spotkać ją po drodze. –

Rozejrzał się po okolicy, szukając jakiejś wskazówki, gdzie powinni się skierować. –

Bez względu na to, ile i jakie oddziały Murmandamus miał rozstawione w okolicy, na pewno są teraz zdezorientowane. Może uda się nam wyrwać z ich łap?

Amos zachichotał.

– Nawet jego silne oddziały nie będą się zbytnio paliły, by stawać na drodze rozgromionej armii. Zazwyczaj kiepsko się to odbija na zdrowiu.

– Ale z drugiej strony, jeśli znajdą się w potrzasku, w sytuacji bez wyjścia, będą walczyli zajadle, jak szczury, którymi zresztą są. O pierwszym brzasku zwałą się tu ich posiłki liczące grube tysiące. W najlepszym wypadku mamy tylko kilka godzin, aby się stąd wyrwać.

Usłyszawszy ruch w wąwozie, natychmiast dobyli broni i cofnęli się za niewielką osłonę zwalonych skał. Guy gestem nakazał gotowość do walki. Czekali, wstrzymując oddech. Zza zakrętu wyszła ostrożnie jakaś postać. Guy wyskoczył z ukrycia. W ostatniej niemal chwili zatrzymał wzniesiony do uderzenia miecz.

– Briana!

Komendantka trzeciej kompanii była trochę oszołomiona. Z lekkiej rany na skroni ciekła krew. Zobaczywszy Guya, uspokoiła się.

– Protektor! – powiedziała z ulgą. – Zmuszono nas do odwrotu. Na dole, u wylotu wąwozu natknęliśmy się na patrol trolli. Usiłował uciec ku własnym liniom.

Wyglądało na to, że chcieliśmy się przebić koło siebie. A później te eksplozje... spadł na nas grad gładów. Nie wiem, co się stało z trollami. Chyba uciekły... – Wskazała na krwawiące skroń. – Niektórzy z nas są ranni.

– Kto jest z tobą?

Arutha podszedł bliżej. Briana kręciła gwałtownie głową, chcąc przywrócić jasność myśli. Machnęła za siebie ręką. W blasku tury bijącej od miasta pojawiło się dwóch żołnierzy, jeden z nich najwyraźniej ranny, i tuzin czy nawet więcej dzieci.

Patrzyły na Aruthę, Guya i pozostałych wielkimi, przerażonymi oczami.

– Wpadły w pułapkę zastawioną przez kilku Mrocznych Braci – powiedziała Briana. – Moi żołnierze wybili ich do nogi, ale przy okazji rozdzieliliśmy się. Przez ostatnią godzinę szukaliśmy zbłąkanych owieczek.

Guy policzył dzieci.

– Szesnaścioro. – Odwrócił się do Aruthy. – Co teraz?

– Mówiłeś, że każdy na własną rękę, ale przecież nie możemy ich tu zostawić na łasce losu.

Amos usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Odwrócił się w tamtym kierunku.

– Cokolwiek mamy zamiar zrobić, zrobmy to gdzie indziej. Idziemy.

Guy wskazał na krawędź parowu i razem z pozostałymi pomógł wdrapać się

*dzieciakom. Po chwili wszyscy znaleźli się powyżej krawędzi. Szybkim krokiem ruszyli na zachód.*

*Arutha przekroczył granę jako ostatni. Gdy pozostali zniknęli mu z oczu, ukląkł przyczajony za występem skalnym. Wkrótce w polu widzenia pojawił się oddział goblinów. Najwyraźniej próbowali przedostać się z powrotem do swoich. Szli bardzo powoli i ostrożnie, jakby za każdym zakrętem spodziewali się ataku. Sądząc po ranach, musieli niedawno natknąć się na inny oddział rozgromionej armii Armengaru. Arutha odczekał chwilę, aż dzieci znalazły się w bezpiecznej odległości, po czym chwycił spory odłamek skalny i cisnął najdalej jak mógł, za goblina. Kamień pomknął nie zauważony przez mrok, by spaść na skały z głośnym grzechotem. Gobliny odwróciły się błyskawicznie i przyśpieszyły gwałtownie kroku, jakby obawiając się ataku od tyłu. Arutha przemknął na drugą stronę grani i pobiął szlakiem. Wkrótce dogonił ostatniego członka oddziału – Shiggę, pełniącego funkcję tylnej straży.*

*Shigga wskazał za siebie głową. – Gobliny – szepnął Arutha.*

*Włóczykiew kiwnął głową. Ruszyli dalej za grupką małych uciekinierów.*

# UCIECZKA

*Arutha wzniósł rękę, nakazując, by się zatrzymali.*

*Wszyscy, nie wyłączając dzieci, wtopili się między skały. Cały oddziałek przyczaił się w parowie, którym podążali nocą. Nadchodził świt. Po zagładzie Armengaru wzgórze za miastem stały się ziemią niczyją.*

*Upadek miasta oznaczał niewątpliwe zwycięstwo Murmandamusa, lecz cena, jaką przyszło mu za nie zapłacić, była nieporównywalnie wyższa, niż się spodziewał. Na wzgórzach za Armengarem zapanował kompletny chaos. Oddziały, które zajęły już wyznaczone pozycje, zostały zmiecione przez pokonaną armię uciekającą z miasta. Wielkie rzesze goblinów i trolli wzięły nogi za pas i powróciły do głównego obozu.*

*W ciągu kilku pierwszych godzin po upadku miasta oddziałek Aruthy kilkakrotnie widział nieliczne gobliny czy Mrocznych Braci. Wkrótce okazało się, że Murmandamus z powrotem wysłał na wzgórze liczne oddziały. Z początku, po wejściu na skalisty teren, jednostki wroga nie zyskały znaczącej przewagi. Zabrakło koordynacji działań między dowódcami poszczególnych jednostek. Oprócz tego wojownicy przybyli na wzgórze nie mieli zdecydowanej liczebnej przewagi nad uciekającymi Armengarianami. Oddziały goblinów i moredheli szukające uciekinierów wdarły się nocą w parowy i na stoki, wiele z nich nigdy nie powróciło. Obecnie szala zaczęła się przechylać na drugą stronę. Wkrótce cały teren miał się znaleźć pod niepodzielnym panowaniem wroga.*

*Arutha obejrzał się na skulone między skałami dzieci. Kilko najmłodszych po nieprzespanej nocy i z powodu bezustannego lęku znalazło się na granicy wyczerpania. Trudne zadanie wyszukania bezpiecznego przejścia na południe*

dodatkowo komplikował fakt, że najmłodsze dzieciaki nie mogły poruszać się szybko. Co gorsza, za każdym zakrętem mogli natknąć się na wroga. Już dwa razy spotkali oddziały z miasta, lecz Guy sprzeciwił się powiększeniu grupy i rozkazał im iść własną drogą. Dwa razy też natknęli się na trupy obydwóch walczących stron. Odgłos ciężkich butów stawał się coraz głośniejszy. Z ich liczby i niekamuflowania marszu Arutha wywnioskował, że jest to oddział wroga. Dał znak i wszyscy się cofnęli. Posuwali się po zboczach parowu. Arutha, Guy, Amos, Briana i Shigga przyczaili się w cieniu przed zbitymi w ciasną gromadkę dziećmi. Jimmy i Locklear zostali z nimi, uciszając je i uspokajając.

Prowadzony przez moredhela patrol składał się z goblinów i trolli. Trolle podnosiły wysoko głowy, wężąc zawzięcie. Na szczęście wszechobecny, ciężki smród spalenizny stepił ich zmysły. Przeszli obok wylotu parowu, kierując się w dół większego wąwozu. Gdy zniknęli, Arutha dał znak i zezwolił, by oddziałek ruszył ostrożnie do przodu w przeciwnym niż patrol kierunku – ku zachodowi.

Nagle jedno z dzieci krzyknęło ze strachu. Arutha i pozostali, idący przodem, zawrócili momentalnie. Jimmy przemykał obok dzieci, mając u boku Lockleara. Biegli z wyciągniętą bronią. Trolle zaatakowały. Arutha nie wiedział, czy odkryły uciekinierów, czy tylko zdecydowały się dodatkowo przeczesać patrolowany wąwóz w drugą stronę. Jednego był pewien: musieli zlikwidować oddział jak najszybciej, by nie zdążył zaalarmować innych.

Księżę pchnął potężnie ponad ramieniem Lockleara, zabił trolla, który ostro atakując, spychał chłopaka w tył. Amos i Guy przebiegli koło nich. Wkrótce cały oddział miał pełne ręce roboty. Shigga cisnął włócznią, przebijając na wylot kolejnego trolla. Moredhel zastąpił drogę Guyowi. Ciemny elf rozpoznał Protektora

*Armengaru.*

*– Jednooki!*

*Zaatakował z dziką furią, zmuszając Guya do cofnięcia się. Locklear powtórzył manewr Aruthy i pchnął zza pleców atakowanego, uśmiercając moredhela na miejscu.*

*Nagle było po wszystkim. Na kamieniach leżały ciała pięciu trolli, tyłuż goblinów i moredhela. Arutha dyszał ciężko.*

*– Całe szczęście, że parów jest tak wąski. Gdyby nas otoczyli, nie wyszlibyśmy stąd żywi.*

*– Musimy znaleźć miejsce, gdzie można by się ukryć. – Guy spojrzał na szarzące niebo. – Dzieciaki za chwilę padną z wyczerpania, a w krótkim czasie nie ma możliwości szybkiego przekroczenia gór.*

*– Niedaleko stąd jest moja baczka – powiedział Shigga. – Włóczyłem się często po okolicy. Niecałe dwa kilometry na zachód stąd prowadzi rzadko używany szlak. Wiedzie do płytkiej jaskini. Może uda się ją zamaskować. To trudne wejście, ale...*

*– nie mamy wyboru – dokończył Amos.*

*– Prowadź – powiedział Guy.*

*Shigga ruszył truchtem, zwalniając jedynie na zakrętach ścieżki, by obejrzeć się za siebie. W końcu wspiął się na niewysokie skałki na skraju wąwozu. Zaczęli wciągać dzieci na górę. Ostatnie z nich znalazło się już bezpiecznie na szczycie i Briana wdrapała się za nimi, gdy od zachodu rozległ się okrzyk. Za zakrętem pojawiło się sześciu żołnierzy z Armengaru. Ustępowali przed sporym oddziałem goblinów, który spychał ich w kierunku Aruthy i jego towarzyszy.*



*– Zabierz stąd dzieci! – krzyknął Guy do Briany. Shigga przykucnęła z włącznią gotową do rzutu. Briana popchnęła dzieci w kierunku jaskini.*

*Arutha i pozostali dołączyli do Armengarian. Zablokowali wąwóz i zatrzymali napierające gobliny, które walczyły jak oszalałe.*

*– One przed kimś uciekają! – krzyknął nagle Arutha.*

*Napór goblinów zwiększał się z każdą sekundą. Powodowane paniką rzucały się jak szalone na Armengarian. Guy zarządził stopniowy odwrót. Cofali się krok za krokiem, pozwalając spychać się stopniowo w głąb wąwozu. Shigga, przyczajony na stoku, pilnował wąziutkiej ścieżki wiodącej ku jaskini na wypadek, gdyby któremuś z goblinów czy trolli przyszło do głowy wspiąć się ku dzieciom. Briana poganiała ostatnie z nich. Szczęśliwie gobliny zignorowały dzieci, rozpaczliwie próbując przebić się przez oddział Aruthy.*

*Gdzieś z tyłu, poza zasięgiem wzroku Aruthy, rozległ się krzyk. Kilka goblinów z ostatnich szeregów odwróciło się, walcząc z kolejnym nieprzyjacielem. Oddział wroga schwytyany w potrzask między dwoma grupami atakujących, zatrzymał się w miejscu.*

*Kolejny okrzyk tym razem rozległ się za plecami Aruthy. Księżę odwrócił się błyskawicznie. Sygnał od Jimmiego i Lockleara pilnujących tyłów. W głębi wąwozu ukazał się następny oddział goblinów.*

*– Na górę! Wynosimy się stąd! – zawołał Księżę. Razem z chłopcami rzucił się ku skałom. Z góry zaatakowali gobliny, umożliwiając wspinaczkę Amosowi i Guyowi. Arutha dostrzegł, co zmusiło pierwszy oddział goblinów do ucieczki w ich stronę – były zajadłe atakowane przez Krasnoludy. Zauważył dwa Elfy, które strzelały z luków ponad głowami niższych towarzyszy. Arutha rozpoznał jednego z*

*nich.*

*– Galain!*

*Elf spojrział w górę i pomachał ręką. Zarzucił tuk na ramię i zaczął wspinać się po skałach, omijając bokiem walczących poniżej. Odbił się od występu skalnego i przeskoczył zwinnie nad kolejnym osuwiskiem, lądując na stoku po stronie Księcia.*

*– Martin poszedł dalej do Yabonu! Tu wszystko w porządku?*

*Arutha kiwnął głową. Westchnął głęboko.*

*– Tak, ale miasta już nie ma.*

*– Wiemy. Nawet z tak dużej odległości widać było eksplozję. Przez całą noc spotykaliśmy po drodze uciekinierów. Większość Krasnoludów pod dowództwem Dolgana uformowała wzdłuż szlaku prowadzącego górą coś na kształt korytarza. – Wskazał w dół, na główny szlak, którym szli ku Armengarowi. – Większość uciekinierów powinna przejść bezpiecznie.*

*– W jaskini na górze są dzieci – powiedział Guy, wskazując na przeciwległy stok wąwozu, gdzie pośród skał przyczaił się Shigga.*

*– Arian! – krzyknął Galain. – Tam w górze są dzieci! – Wskazał ku jaskini. W tym momencie drugi oddział goblinów połączył siły z pierwszym. Przerwali rozmowę. Kilka goblinów usiłowało wspinać się za nimi. Amos kopnął jednego w twarz, drugiego przebił Jimmy. Reszta zreflektowała się i wycofała w dół. Nastąpiła krótka przerwa w potyczce. Arian wykorzystał nadarżającą się sposobność i krzyknął ku nim.*

*– Wydostaniemy je!*

*Elf nie przestawał strzelać do wroga, podczas gdy dwa Krasnoludy wdrapały się wąską ścieżką, by wspomóc Shiggę, Brianę i dwóch ostatnich żołnierzy z*

*Armengaru w bezpiecznym sprowadzeniu dzieci na dół.*

*– Calin wysłał naszą kompanię do Kamiennej Góry, aby uhonorować przyjęcie korony przez Dolgana – powiedział Galain. – Gdy Martin dotarł do nas i opowiedział, co się dzieje, Dolgan wyruszył natychmiast. Arian i ja zdecydowaliśmy się dołączyć do Krasnoludów, reszta wyruszyła natychmiast do Elvandaru, by powiadomić o wyruszeniu Murmandamusa. Pod nieobecność Tomasa Calin nie może zostawić naszych puszczy bez ochrony. Spodziewam się, że podeśle oddział łuczników, by pomóc Krasnoludom wydostać uciekinierów z gór. Korytarz utworzony przez Krasnoludy dobrze się trzyma, od Przełęczu Inclindel aż do miejsca około półtora kilometra stąd. Wojownicy Dolgana rozeszli się po całej okolicy, podejrzewam więc, że w najbliższym czasie sporo się tu będzie działo.*

*Krasnoludy przyjęły walkę pozycyjną, ścierając się z wrogiem spoza muru utworzonego z tarcz. W tym samym czasie reszta podawała dzieci dwóm stojącym z tyłu Krasnoludom, które szybko odprowadzały je w bezpieczne miejsce. Jimmy pociągnął Guya za rękaw i wskazał w dół. Następna kompania trolli wspinała się ku nim. Guy rozejrzał się, oceniając sytuację. Od Krasnoludów na dole dzieliło ich jeszcze ponad tuzin goblinów. Wskazał ku wschodowi. Nakazał, by Briana i Shiggi uciekali z dziećmi. Guy i pozostali szybko opuścili się w dół i zeskoczyli za plecami goblinów. Cofnęli się biegiem do ostatniego skrzyżowania szlaków i zapuścili w płytki wąwóz. Skryli się w tym samym miejscu, z którego korzystali niedawno.*

*– Trolle idące z dołu uniemożliwią nam dotarcie do Krasnoludów – powiedział Guy. – Może uda się zejść niżej i obejść ich.*

*– Panuje tam niezły chaos – powiedział Galain. – Byłem z najbardziej wysuniętym oddziałem armii Dolgana. Posunął się najdalej, jak tylko mógł.*

*Niedługo zaczną powolny odwrót. Jeżeli szybko ich nie dogonimy, zostaniemy odcięci.*

*Dalsza rozmowa została przerwana okrzykami dochodzącymi z góry. Wzdłuż grani pędziło ku Krasnoludom wsparcie przysłane przez Murmandamusa. Guy dał znak. Przygięci do ziemi schodzili coraz niżej, zagłębiając się w wąwóz. Przeszli kilkaset metrów. Guy zatrzymał się i rozejrzał po okolicy.*

*– Gdzie jesteście?*

*Spojrzeni po sobie. Zorientowali się, że poszli inną drogą niż ta, którą przyszli.*

*Znajdowali się gdzieś na zachód od jaskini za miastem. Jimmy spojrzał w górę.*

*Chciał się podnieść, ale natychmiast przysiadł ponownie. Wskazał ręką przed siebie.*

*– Na niebie ciągle jest luna – przed nami. A więc idziemy z powrotem ku Armengarowi. Guy zaklął.*

*– Nie odeszliśmy tak daleko na wschód, jak sądziłem. Nie mam pojęcia, gdzie znajduje się wylot tego wąwozu. Arutha spojrzał na jaśniejące niebo.*

*– Lepiej wynośmy się stąd.*

*Ruszyli przed siebie szybkim krokiem, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierzają.*

*Jednego byli pewni: dać się złapać to znaczy umrzeć.*

*– Jeźdźcy – szepnął Galain, który szedł przodem, sprawdzając szlak.*

*Arutha i Guy wskazali przed siebie jednocześnie.*

*– Renegaci – odpowiedział Elf. – Pół tuzina. Ci prostacy odpoczywają sobie w najlepsze przy ognisku. Można by pomyśleć, że są na pikniku.*

*– Jakiś ślad innych? – spytał Guy.*

*– Nic. Widziałem jakiś ruch dalej na zachodzie. Myślę, że znaleźliśmy się na tyłach oddziałów Murmandamusa. Sądząc po renegatach leniących się przy ogniu,*

*chyba jest tu całkiem spokojnie.*

*Guy przeciągnął kciukiem po gardle. Arutha skinął głową. Amos wyjął nóż z pasa i dał chłopcom znak, aby okrążyli obóz. Jimmy i Locklear na czworakach, cichutko wdrapali się na skały ponad szlakiem. Dwóch młodych szlachciców poruszało się szybko i bezszelestnie. Arutha, Amos, Galain i Guy czekali. Po chwili usłyszeli okrzyk zaskoczenia i rzucili się biegiem do przodu.*

*Chłopcy zaskoczyli wartownika na przeciwległym krańcu niewielkiego obozu. Pięciu pozostałych zwróciło się w tamtą stronę. Trzech zginęło, nie wiedząc nawet, że ktoś zaszedł ich od tyłu. Dwóch pozostałych spotkało to samo chwilę później. Guy obrzucił wzrokiem obóz.*

*– Zabierzcie im ubrania. Jeżeli nas ktoś zatrzyma i będzie wypytywał, to pewnie wpadniemy. Ale jeśli będziemy trzymać się szczytów i grani, może ich strażę wezmą nas za kolejny oddział przeczesujący teren w poszukiwaniu maruderów.*

*Chłopcy zarzucili na brązowe skóry z Armengaru niebieskie kurty. Arutha został w swojej własnej, również niebieskiej, a Amos założył zieloną. Guy miał na sobie czarne ubranie. Wszyscy Armengarianie nosili brązowe stroje, liczyli więc, że kolory mogą na jakiś czas ukryć uciekinierów. Arutha rzucił Galainowi szarą kurtę.*

*– Masz, spróbuj wyglądać jak Mroczny Brat. Elf spojrzał na niego poważnym wzrokiem.*

*– Arutha, nie domyślasz się nawet, jak wielką próbą naszej przyjaźni jest twoja uwaga – powiedział sucho. – Muszę poprosić Martina, aby wyjaśnił ci niektóre sprawy.*

*– Z przyjemnością. Pod warunkiem, że będzie to już w domu, przy winie i w towarzystwie naszych rodzin.*

*Ciała zepchnięto do wąwozu. Jimmy wskoczył na skałę ponad obozowiskiem, a stamtąd wspiął się jeszcze wyżej, na grań. Stanął wyprostowany, aby zorientować się choćby pobieżnie, gdzie się znajdują.*

*– Cholera! – zaklął i momentalnie zeskoczył w dół.*

*– Co się stało? – spytał Arutha.*

*– Patrol. Niecały kilometr w dół szlaku. Nie śpieszą się, lecz idą w naszym kierunku. Trzydziestu jeźdźców albo nawet więcej.*

*– Ruszamy natychmiast – zakomenderował Guy. Dosiedli koni renegatów.*

*Arutha podjechał bliżej Elfa.*

*– Galain, nie miałem zupełnie sposobności zapytać wcześniej o pozostałych, którzy wyruszyli z Martinem. – Nie zadane pytanie zawisło w powietrzu.*

*– Martin jako jedyny dotarł do Kamiennej Góry. – Wzruszył ramionami. –*

*Wiemy, że przyjaciel Lauriego z lat dzieciennych nie żyje. Zgodnie ze zwyczajem Elfów wspomniał Roalda, nie wymieniając imienia zmarłego. – O samym Lauriem i Baru, Zabójcy Węży, nic nie wiemy. – Arutha ograniczył się do skinięcia głową. Czuł wielki żal po śmierci Roalda. Najemnik okazał się lojalnym towarzyszem i miłym kompanem. Bardziej go jednak zaniepokoił nieznany los Lauriego. Pomyślał o Carline. Troszcząc się o jej szczęście, miał nadzieję, że nic mu się nie stało. Odsunął jednak niepokoje, gdyż miał na głowie w tej chwili pilniejsze problemy. Dał znak Galainowi, by prowadził.*

*Kierowali się nieustannie ku wschodowi, wybierając, gdy to było możliwe, szlak prowadzący coraz wyżej. Galain jechał w przedniej straży. Z daleka mogli uchodzić za oddział renegatów prowadzony przez moredhela.*

*Na skrzyżowaniu dwóch szlaków znowu zobaczyli miasto – przyczepione do*

*podnóża góry dymiące rumowisko. Z krateru powstałego na miejscu twierdzy ciągle buchał czarny, ciężki dym. W szarym świetle wczesnego poranka skały na zboczu zdawały się żarzyć czerwono.*

*– Czy z zamku rzeczywiście nic nie zostało? – spytał Guy z cichym niedowierzaniem w głosie.*

*Amos patrzył w dół. Jego twarz zmieniła się w kamienną maskę.*

*– Był tam – wskazał na miejsce u podstawy góry. Teraz w głębokiej jamie, skąd wybuch wyrzucił skałę, płonęła swobodnie nafta, plując ognistymi jęzorami. Nie zostało nic, co mogłoby chociaż przypominać twierdzę, wewnętrzny mur, fosę czy pierwsze rzędy domów. Te, których ślady ocalały, zmieniły się w bezładne kupy gruzów. Nienaruszony pozostał jedynie zewnętrzny mur, z wyjątkiem wysadzonego barbakanu. Wszystko, na czym spoczął ich wzrok, było poszarpane, osmalone albo tliło się jeszcze.*

*– Wszystko przepadło – powiedział Amos. – Nie ma już Armengaru.*

*Ani jeden budynek w mieście nie został nietknięty. Cały stok góry spowijała niebieskoczarna mgielka dymów. Na zewnątrz murów przerażał widok zwałów ciał.*

*Nie ulegało wątpliwości, że Murmandamus, zdobywając miasto, dostał straszliwe baty, niemniej to jego armia nadal okupowała równinę za murami.*

*Powiewały sztandary, kompanie ustawiały się w szyku marszowym. Moredhel – watażka, zarządził wymarsz swej armii. Amos splunął z obrzydzeniem.*

*– Patrzcie tylko, jakimi siłami nadal dysponuje. Jego zapasowe oddziały są liczniejsze niż armia, którą rzucił przeciwko nam.*

*– Kosztowaliście go prawie piętnaście tysięcy zabitych... – powiedział Arutha zmęczonym głosem.*

– *A mimo to nadal może poprowadzić na Tyr-Sog ponad trzydzieści pięć tysięcy wojowników – przerwał mu Guy. Armia Murmandamusa ruszała właśnie w drogę. Straże przednie i zwiadowcy galopowali już na wyznaczone miejsca na trasie pochodu. Guy przyglądał się im w ciszy. – A niech to szlag! On wcale nie idzie na południe! Idą na zachód!*

*Arutha spojrzał najpierw na Amosa, a potem na Guya.*

– *Ale to przecież nie ma najmniejszego sensu. Może z łatwością utrzymać Krasnoludy na zachodzie, spychając ich, aż dotrze do Yabonu.*

– *A na wschodzie...–powiedział Jimmy.*

– *...leży Wysoki Zamek – dokończył Arutha. Guy pokiwał głową.*

– *Przeprowadzi armię przez Przełęcz Cuttera, a potem prosto jak strzelił na garnizon Wysokiego Zamku.*

– *Ale dlaczego? – dziwił się Książę. – Nie ma wątpliwości, że zdobycie garnizonu to kwestia zaledwie kilku dni, ale wtedy znajdzie się pośrodku Wysokich Wierchów z całkowicie odsłoniętymi flankami we wszystkich kierunkach. Jaki może mieć w tym cel?*

– *Jeśli uderzy od razu na południe, w ciągu miesiąca może znaleźć się w Mrocznym Lesie.*

– *Sethanon... – powiedział nagle Arutha.*

– *Nie rozumiem. Może zdobyć Sethanon. I co z tego? Tamtejszy garnizon jest niewiele większy niż kompania honorowa. Ale jak już tam będzie, co dalej? Zgoda, może przezimować, korzystając z zapasów Mrocznego Lasu i miast, które zdoła zdobyć. W końcu jednak nadejdzie wiosna. Lyam może uderzyć od wschodu, a twoje siły z zachodu. Znajdzie się między młotem a kowadłem, mając do wyboru tylko*



*osiemsetkilometrową drogę z powrotem w góry. A to oznacza zagładę.*

*– Nie wolno nam nie doceniać tego dupka – wyrzucił ze złością Amos. –*

*Głowę daję, że ten drań coś knuje. Galain powiódł wzrokiem po okolicy.*

*– Lepiej ruszajmy. Jeżeli Murmandamus rzeczywiście idzie na wschód, nigdy*

*nie uda nam się dotrzeć do Inclindel. Patrol, który widział Jimmy, to była z*

*pewnością przednia straż. Będą się trzymać tego szlaku przez cały czas marszu,*

*depcząc nam po piętach.*

*Guy kiwnął głową.*

*– Zatem musimy dotrzeć do Przełęczy Cuttera, zanim znajdą się tam jego*

*wysunięte oddziały.*

*Arutha przynaglił konia i ruszyli na wschód.*

*Przez resztę dnia utrzymywali dystans pomiędzy sobą a siłami*

*Murmandamusa. Co jakiś czas, w dole, na równinach widzieli, jak flankierzy*

*opuszczają galopem główną kolumnę wojsk. Kilka razy też spostrzegli ruchy za*

*sobą. Szlak zaczął powoli prowadzić w dół. Przed zachodem słońca Arutha*

*zatrzymał pochód.*

*– Jeszcze trochę jazdy ku równinie, a wpakujemy się wprost na ich przednie*

*straże.*

*– Jeżeli będziemy jechali aż do zmroku, może uda się wam wślizgnąć do*

*lasów u podnóża wzgórz. Trzymając się tego kursu przez całą noc, dotrzemy do*

*właściwego kompleksu leśnego. Wątpię, by nawet Murmandamus chciał wysłać*

*liczne oddziały do Lasu Edder. Z łatwością może go okrążyć. Edder nie należy do*

*miejsc, gdzie przebywałbym najchętniej, ale będziemy tam mieli osłonę. Jeżeli uda*

*się jechać przez całą noc, powinniśmy na tyle wysforować się do przodu, aby nie*

zagrażało nam niebezpieczeństwo z ich strony... to znaczy, przynajmniej z ich strony. Jimmy i Locklear wymienili pytające spojrzenia.

– Amos, o czym on mówi? – spytał po chwili Jimmy. Amos zerknął na Guya, który krótko skinął głową.

– Edder to złe miejsce, chłopaki. Możemy... to znaczy mogliśmy pozyskiwać drewno w pasie około pięciu kilometrów. Trochę głębiej można było polować, ale jeszcze dalej... tak naprawdę nie wiemy, co jest dalej. Nawet gobliny i Mroczni Bracia omijają to miejsce szerokim łukiem. Ktokolwiek zapuści się w głąb lasu, nigdy już nie wraca. Nie mamy pojęcia, co tam może być. Eldar to cholernie duży las, a więc może się w nim kryć wiele niespodzianek.

– Z deszczu pod rynnę, co? – skomentował Arutha.

– Być może – potwierdził Guy. – Z drugiej strony, doskonale wiemy, co nam grozi, jeśli pojedziemy dalej równiną.

– A może udałoby się przemknąć bokiem w tych przebraniach – zasugerował Jimmy.

– Jimmy, nie mamy nawet najmniejszej szansy – odpowiedział Galain. –

Wystarczy jedno spojrzenie i każdy moredhel od razu rozpozna eledhela. Nie mówimy o tym głośno, ale po prostu uwierz mi na słowo. Następuje instynktowne rozpoznanie się.

Amos przynaglił konia.

– No to nie ma co strześcić jęzora po próżnicy. W las, chłopaki.

Posuwali się przez mroczniejący, złowróżbny las najciszej, jak potrafili. Na północ od nich, z armii Murmandamusa rozkładającej się na noc obozem na równinie, dochodziły dalekie okrzyki. Arutha miał nadzieję, że jadąc do wschodu

słońca, zdolając się oderwać na bezpieczną odległość od wroga. Około południa powinni wydostać się z lasu i wyjechać z powrotem na równinę, gdzie mogli zwiększyć tempo jazdy. A potem, jeśli uda im się dotrzeć na czas do Przełęczu Cuttera i Briana, pana na Wysokim Zamku, była szansa opóźnienia pochodu armii wroga od Wysokich Wierchów aż do Mrocznego Lasu.

Jimmy popędził konia i podjechał do Galaina.

– Mam znowu to śmieszne, nie dające spokoju przeczucie.

– Ja też to czuję – powiedział cicho Elf. – Z drugiej strony wyczuwam w tym lesie coś znajomego... choć jest to mało nieuchwytnie. – Uśmiechnął się i dorzucił z typowym dla Elfów poczuciem humoru: – Ale z trzeciej strony, smarkacz jeszcze jestem – zaledwie czterdzieści lat.

– Dziecię – powiedział Jimmy, po czym spoważniał. Guy jechał u boku Aruthy.

– Może uda się dotrzeć do Wysokiego Zamku, kto wie? – Zamilkł nagle i nie odzywał się przez długą chwilę. – Arutha, powrót na teren Królestwa to dla mnie jednak problem.

Arutha pokiwał ze zrozumieniem głową, chociaż Guy nie mógł tego zauważyć w ciemności.

– Porozmawiam z Lyamem. Zakładam, że po dotarciu do Wysokiego Zamku dasz mi swoje słowo. Dopóki nie rozwikłamy całego bałaganu, będziesz pozostawał pod moją ochroną.

– Ależ, ja nie martwię się swoim losem, Arutha. Odpowiadam za tych, którzy pozostali z niewielkiego narodu, a którzy uciekają teraz do Yabonu. Pragnę tylko... pragnę tylko, żeby ktoś się nimi zajął. – Jego głos zdradzał głęboki niepokój, wręcz

*rozpacz. – Pamiętasz, poprzysiągłem im, że odbuduję Armengar, a przecież obaj dobrze wiemy, że nigdy do tego nie dojdzie.*

*– Wymyślmy coś Guy, by twój lud mógł się zadomowić w Królestwie. –*

*Księżę wpatrywał się w ciemny zarys postaci, która jechała obok. – A co z tobą?*

*– Nie martwię się o siebie. Ale... słuchaj, czy mógłbyś się wstawić u Lyama za*

*Armandem... jeżeli się zdołał przedrzeć. To błyskotliwy generał i wspaniały przywódca. Gdyby to mnie przypadła korona, on byłby następnym księciem*

*Bas-Tyra. Nie mając syna, nie wyobrażam sobie lepszego wyboru. Potrzebujecie ludzi jego pokroju, Arutha, jeśli mamy przetrwać burzę, która nadciąga. Jedyne jego wadą jest zbyt wielkie poczucie lojalności i honoru.*

*Arutha obiecał, że rozważy tę prośbę i obaj zamilkli. Jechali niezmordowanie.*

*Było dobrze po północy, kiedy Arutha i Guy wyrazili zgodę na postój. Gdy konie odpoczywały, Guy podszedł do Galaina.*

*– Zapuściliśmy się już o wiele głębiej w las, niż jakikolwiek mieszkaniec Armengaru, który podróżował w tych stronach i powrócił.*

*– Będę się miał na baczności. – Spojrzał z uwagą na Guya.*

*– Słyszałem o tobie, Guy du Bas-Tyra. W końcowym podsumowaniu stałeś się, jeśli można tak rzec, obiektem podejrzeń i braku zaufania – powiedział z typowym dla Elfów niedomówieniem.*

*– Wygląda na to, że sytuacja uległa zmianie. – Kiwnął głową w stronę Aruthy.*

*– Teraz tak. – Na ustach Guya pojawił się gorzki uśmiech.*

*– Ale to może być chwilowe. Los i okoliczności zmuszają czasem do zawarcia nieoczekiwanych przymierzy.*

– To prawda. – Elf uśmiechnął się. – Rozumujesz jak Elf. Chciałbym kiedyś usłyszeć twoją historię. Guy skinął głową. Podjechał do nich Amos.

– Chyba coś usłyszałem.

Guy spojrział we wskazanym kierunku. Odwrócił się i obaj stwierdzili, że Galain nagle zniknął. Zbliżył się Arutha.

– Ja też to słyszałem, podobnie jak i Galain. Wkrótce wróci. Guy pochylił się, by odpocząć, ale nie przestawał lustrować okolicy czujnym wzrokiem.

– Miejmy nadzieję, że będzie w stanie.

Jimmy i Locklear oporzędzali konie w absolutnej ciszy. Jimmy przyglądał się spod oka przyjacielowi. Chociaż w mroku nie widział wyraźnie jego rysów, wiedział, że chłopak nadal nie doszedł do siebie po śmierci Bronwynn. Ogarnęło go dziwne poczucie winy. Od momentu wycofania się z murów ani razu nie pomyślał o Kriście.

Próbował zbyć narastającą irytację wzruszeniem ramion. Czyż nie zostali kochankami wyłącznie z pożądania i czyż nie zgodzili się na taki układ z własnej i nieprzymuszonej woli? Czy ktoś komuś coś obiecywał? I tak, i nie, lecz Jimmy był rozdrażniony własną obojętnością. Życzył dziewczynie oczywiście najlepiej, ale nie widział potrzeby martwienia się o nią. Mogła zatroszczyć się o siebie równie dobrze jak wszystkie kobiety, które do tej pory spotkał na swej drodze: od dziecka była przecież chowana na żołnierza. Martwił się brakiem zainteresowania i troski o nią. W jakiś nieuchwytny, niewyraźny sposób wyczuwał, że czegoś mu brak.

Zdenerwował się. Czyż nie miał na głowie dostatecznie wiele innych zmartwień, jak choćby rana Anity czy udawana śmierć Aruthy? Zadawanie się z innymi ludźmi to cholerny kłopot i tylko kłopot. Poczul w końcu, jak irytacja przeradza się w gniew.

Podbiegł do Lockleara, złapał go brutalnie za kołnierz i odwrócił ku sobie.

*– Przestań wreszcie! – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Oczy przyjaciela*

*zrobiły się okrągłe jak spodki.*

*– Co mam przestać? – spytał zdumiony.*

*– Przestań, do cholery... milczeć. Wiem, Bronwynn nie żyje, ale nie było w tym żadnej twojej winy.*

*Wyraz twarzy Lockleara nie zmienił się, tylko oczy napelniły się łzami, które w chwilę później pociekły gęstym strumyczkiem po policzkach. Krótkim szarpnięciem wyrwał się Jimmy'emu.*

*– Konie – powiedział cicho i odszedł, a po twarzy nadal płynęły mu łzy.*

*Jimmy westchnął. Nie miał pojęcia, co go napadło, że postąpił w ten sposób.*

*Poczuł się nagle jak bezmyślny głupek. Pomyślał przez moment, co się dzieje z Kristą*

*– jeżeli w ogóle żyła. Wrócił do koni, starając się zwalczyć targające nim, coraz silniejsze uczucia.*

*Galain powrócił bezszelestnie.*

*– Daleko w lesie widać światło. Zacząłem podkradać się bliżej, ale usłyszałem jakiś ruch. Podchodzą bardzo cicho, prawie niezauważalnie, ale jestem pewien, że idą w tę stronę.*

*Guy zbliżył się do konia. Pozostali uczynili to samo. Galain dosiadł swego wierzchowca i gdy wszyscy byli gotowi, wskazał kierunek.*

*– Musimy dojść do brzegu lasu – szepnął. – Tak daleko od światła, jak tylko się da, ale nie za blisko, żeby nie dostrzegli nas z kolei zwiadowcy Murmandamusa.*

*Przynaglił konia piętami. Ruszyli. Przejechał kilkanaście kroków, gdy nagle spomiędzy gałęzi drzewa zeskoczyła jakaś postać i zwała go z siodła.*

*Z sąsiednich drzew spadali jak dojrzałe gruszki kolejni napastnicy. Oddziałek*

*Aruthy znalazł się na ziemi. On sam spadł, przekoziółkował i zerwał się na nogi z wyciągniętym mieczem, gotów do walki. Patrzył w twarz przeciwnika.*

*Przypominała trochę Elfa, lecz teraz zmieniła się w pełną nienawiści maskę. Za jego plecami dostrzegł łucznika, który nie śpiesząc się, zaczął do niego mierzyć. Z nieuchwytnym poczuciem zbliżającego się kresu pomyślał, czy taki właśnie ma być koniec? Więc jednak proroctwo nie mówiło prawdy.*

*Napastnik siedzący na Galainie poderwał go za kołnierz kurty i zamachnął się drugą ręką do ciosu nożem. W ostatniej chwili zawahał się.*

*– Eledhel! – krzyknął zdumiony, i wypowiedział zdanie w niezrozumiałym dla Aruthy języku.*

*Wszyscy atakujący ruszyli biegiem w ich stronę, ale nikt nie próbował uczynić im krzywdy. Pochwyciły ich silne ręce. Przeciwnik Galaina pomagał mu podnieść się z ziemi. Rozmawiali przez chwilę gwałtownie i Galain dał znak Arucie i pozostałym. Reszta napastników ubrana w szare stroje z kapturami kiwała głowami, wskazując na wschód.*

*– Musimy pójść z nimi – powiedział Galain.*

*– Czy uważają nas za renegatów, a ciebie za jednego ze swoich? – spytał Księżę przyciszonym głosem.*

*Zwykła, nieprzenikniona maska opadła z twarzy Elfa. Mimo ciemności widać było, że jest zmieszany.*

*– Nie wiem, na jaki dziw się tu natknęliśmy. Księżę, ale to nie moredhele. To... to Elfy. – Rozejrzał się po polance. – I nigdy w życiu nie widziałem żadnego z nich. Przyprawiono ich przed oblicze starego Elfa, który siedział na podwyższeniu w drewnianym fotelu. Polana miała około dwudziestu paru metrów*

średnicy. Na całym jej obwodzie stały lub przykucnęły Elfy. Otaczający polanę teren stanowił ich dom. Była to wioska złożona ze skromnych, drewnianych chatek, lecz całkowicie pozbawiona piękna i gracji Elvandaru. Arutha rozglądał się. Otaczające ich Elfy miały na sobie raczej dziwne stroje. Dominowały szare, obszerne kurty, podobne do tych, w jakich zazwyczaj chodzą moredhele. Wojownicy nosili różnego rodzaju skórzane pancerze i futra. Na wielu karkach wisały naszyjniki ze zwierzęcych kłów lub dziwna biżuteria z miedzi i brązu, wysadzana niepolerowanymi kamieniami. Oręż wyglądał dość topornie. Chociaż brakowało w nim mistrzostwa i artyzmu wykonania, jak w broni, którą Arutha widywał zazwyczaj u innych Elfów, jednak sprawiał wrażenie nad wyraz skutecznego. Niewątpliwie miał przed sobą Elfy, lecz dość barbarzyńskie i Księżę był mocno zaniepokojony. Słuchał, jak dowódca oddziału, który ich schwycił, przemawia do Elfa na podwyższeniu.

– Aron Earanorn – szepnął Galain do Aruthy. – To oznacza „Król Czerwone Drzewo”. Tego na podwyższeniu nazywają swoim królem.

Król dał znak, by podprowadzono jeńców bliżej i przemówił do Galaina.

– Co on powiedział? – spytał Arutha.

– Powiedziałem, że gdyby nie rozpoznano twego przyjaciela, zapewne wszyscy bylibyście już martwi – odpowiedział władca.

– Mówisz językiem Królestwa. Stary Elf pokiwał głową.

– Podobnie jak i narzeczem Armengarian. Mówimy językami ludzi, chociaż nie mamy z nimi nic wspólnego. Przez wiele lat uczyliśmy się ich mowy od tych, którzy wpadli w nasze ręce.

Guy spojrzał na niego wzburzonym wzrokiem.



– *Zatem to ty zabijałeś mych ludzi!*

– *A ty kim jesteś?*

– *Jestem Guy du Bas-Tyra, Protektor Armengaru.*

– *Jednooki. – Król pokiwał głową. – Słyszałem o tobie. Zabijamy wszystkich, którzy wdzierają się do naszego lasu. Bez względu na to, czy są to ludzie, gobliny, trolle czy nawet nasi ciemni ziomkowie –moredhele. Nieprzyjaciół mamy tylko poza granicami Tauedder. On jednak – wskazał na Galaina –jest dla nas nowością. –*

*Przez długą chwilę przyglądał się Elfowi. – Powinienem znać ciebie i twój ród.*

– *Jestem Galain, syn brata tego, który władał – powiedział, znów, zgodnie z obyczajem Elfów, nie wymieniając na głos imion zmarłych. – Mój ojciec był potomkiem tego, który przegnał moredheli z naszych domów. Jestem kuzynem księcia Calina i bratankiem królowej Aglaranny.*

*Elf nie przestawał przyglądać się uważnie Galainowi. Jego oczy zwęziły się w wąskie szparki.*

– *Mówisz o książętach, podczas gdy mój syn został zamordowany przez trolle siedemdziesiąt zim wstecz. Mówisz o królowych, a matka mego syna poniosła śmierć w bitwie o Neldariod, gdy nasi Mroczni Bracia usiłowali po raz ostatni nas zniszczyć. Mówisz o sprawach i wydarzeniach, których nie rozumiem.*

– *Podobnie jak i ty, królu Baranom, nie wiem, gdzie leży Neldariod, o którym wspomniałeś. Podobnie nigdy nie słyszałem o naszym ludzie, który żyłby na północ od wielkich gór. Mówiłem o krewnych, którzy zamieszkują w naszym domu, w Elvandar.*

– *Barmalindar! – zakrzyknęło jednocześnie kilka Elfów.*

– *Co to za słowo? – spytał Arutha.*

– To znaczy „złoty dom, miejsce, ziemia”, miejsce cudowne. Uważają to za baśń.

– Elvandar! Barmalindar! Mówisz o legendach – powiedział Król. – Nasz starodawny dom uległ zagładzie w czasie Dni Szaleństwa Opętanych Bogów.

Galain milczał długo, zastanawiając się nad czymś głęboko. W końcu zwrócił się do Guya i Aruthy.

– Mam zamiar ich poprosić, aby zabrali was stąd na pewien czas. Muszę poruszyć teraz sprawy, co do których nie wiem, czy byłoby rozsądnie dzielić je z wami, ludźmi. Muszę porozmawiać o tych, którzy odeszli do Błogosławionej Wyspy, i hańbie kładącej się cieniem na całą naszą rasę. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie.

– Zwrócił się do Króla. – Pragnę o tym wszystkim porozmawiać, lecz tylko eledhel może tego słuchać. Czy możecie zaprowadzić moich przyjaciół w jakieś bezpieczne miejsce?

Król skinął głową i gestem ręki przywołał dwóch strażników. Odprowadzili pięciu ludzi na sąsiednią polanę. Nie było tu na czym usiąść, przysiedli więc na wilgotnej ziemi. Nie słyszeli, co Galain mówił, ale podmuchy nocnego wiatru przynosiły czasem nikły dźwięk jego głosu. Narada Elfów ciągnęła się wiele godzin i w końcu Książę zapadł w drzemkę.

Galain pojawił się nagle przed nimi. Dał znak, by wstali.

– Mówiłem im o sprawach, o którym myślałem, że dawno uleciały z mej pamięci, o starodawnej wiedzy, przekazanej mi przez Czarodziejów. Sądzę, że teraz uwierzyli, chociaż są głęboko wstrząśnięci.

Arutha popatrzył na wartowników. Chcąc uszanować prywatność Galaina, czekali w pewnym oddaleniu.

– *Kim są te Elfy?*

– *Pamiętam, że gdy ty, Książę, i Martin przechodziliście przez Elvandar w drodze do Moraelin, Tathar opowiedział wam o wielkiej hańbie spoczywającej na naszej rasie, o bratobójczej wojnie wypowiedzianej przez moredheli glamredhelom. Wydaje mi się, że ci tutaj to potomkowie tych ostatnich, którym cudem udało się uniknąć zagłady. To prawdziwe Elfy, z pewnością nie moredhele, chociaż nie mają w swoim gronie ani Czarodziejów, ani strażników starodawnej wiedzy. Podupadli bardzo. Stali się bardziej prymitywni. Niewiele się różnią od zwykłych dzikusów. Utracili na zawsze umiejętności rozpowszechnione pośród mego ludu. Sam nie wiem. Może ci, którym udało się przeżyć bitwę, gdy pierwszy Murmandamus poprowadził moredheli do boju, trafili tutaj i znaleźli schronienie? Król wspominał, że przez wiele lat mieszkali w Neldariod, co dosłownie oznacza „Miejsce Buków”. Do Lasu Eddar przybyli stosunkowo niedawno.*

– *Ale na tyle dawno, by nie pozwolić Armengarianiom zapuszczać się zbyt głęboko w las w poszukiwaniu drewna czy na polowanie – zauważył Guy. – Minimum trzy pokolenia.*

– *Ja mówiłem o sprawach Elfów i o naszym poczuciu czasu – sprostował Galain. – Przybyli tutaj ponad dwieście lat temu.*

– *Spojrzał na wartowników. – I jak mi się wydaje, nie uwolnili się całkowicie od spuścizny po glamredhelach. Są nastawieni o wiele bardziej wojowniczo i agresywnie niż my, w Elvandarze. Bardzo przypominają moredheli. Sam nie wiem. Wydaje się, że i Król nie jest pewien, co powinien uczynić. Naradza się teraz ze starszymi. Za dzień czy dwa powinniśmy usłyszeć, jaka jest ich wola.*

*Arutha zaniepokoił się.*

– Za dzień czy dwa wojska Murmandamusa znowu znajdą się pomiędzy nami a Przełęczą Cuttera. Jeszcze dziś musimy ruszać w dalszą drogę.

– Powrócę na naradę. Być może uda mi się choć po części wytłumaczyć, jak funkcjonuje świat poza granicami ich lasu. – Powiedziawszy to, opuścił ich, a oni rozsiedli się na ziemi, przygnębieni faktem, że mogą jedynie czekać.

Minęło prawie pół dnia, zanim Galain powrócił.

– Król puści nas wolno. Zapewni nawet eskortę do doliny, która wiedzie równoległe do głównego szlaku na Przełęcz Cuttera. Powinniśmy tam dotrzeć przed armią Murmandamusa. On będzie musiał okrążyć las, podczas gdy my pójdziemy prostą drogą.

– Obawiałem się, że możemy mieć kłopoty – powiedział Arutha.

– I rzeczywiście mieliśmy. Chcieli was pozabijać. Kiedy wróciłem do nich, ciągle deliberowali, co mają zrobić ze mną.

– Co spowodowało, że zmienili zdanie? – spytał Amos.

– Murmandamus. Zaledwie wspomniałem jego imię, a zareagowali, jakby ktoś wsadził kij do gniazda szerszeni. Wiele wiedzy utracili bezpowrotnie, ale to jedno imię zapamiętali doskonale. Nie ma już żadnych wątpliwości, natknęliśmy się na potomków glamredheli. Na podstawie liczby uczestników narady oceniam, że w najbliższej okolicy jest ich około trzystu lub czterystu. Znacznie więcej żyje też w rozrzuconych po okolicy społecznościach. W każdym razie wystarczająco dużo, aby nikomu nie opłacało się zakłócać im spokoju.

– Czy pomogą w walce? – spytał Guy. Galain pokręcił głową.

– Nie wiem. Baranom to szczwany lis. Gdyby przyprowadził swoich ludzi do Elvandaru, przywitalibyśmy ich z otwartymi ramionami, ale czy obdarzylibyśmy

*ich pełnym zaufaniem... hm...to już osobna sprawa. Za wiele w nich dzikości. Minęłyby całe lata, zanim czulibyśmy się w ich towarzystwie swobodnie i pewnie. Król wie również, że w radzie prawdziwej królowej Elfów byłby tylko mniej znaczącym członkiem. Nie jest nawet Czarodziejem. Włączenie go do rady byłoby gestem dobrej woli wobec jego ludu, jak również wyrazem szacunku dla jednego z najstarszych Elfów żyjących w Lesie Eddar. Tutaj zaś jest Królem, biednym i skromnym, ale zawsze Królem. Nie, nie wydaje mi się, aby miał to być łatwy problem. Z drugiej jednak strony jest to pytanie z gatunku tych, nad rozważaniem których my. Elfy, gotowe jesteśmy strawić całe lata. Dałem Królowi bardzo wyraźne wskazówki, jak ma trafić do Elvandaru, gdyby więc jego lud zdecydował się na powrót do naszej matki-puszczy, będzie mógł to uczynić. Czy przyjdą, czy też nie, zależeć będzie wyłącznie od nich, a my musimy już ruszać ku Wysokiemu Zamkowi.*

*– Dobrze. – Arutha wstał. – Przynajmniej jeden kłopot mamy z głowy.*

*Jimmy idący za Arutha do koni odwrócił się do Lockleara.*

*– Jakby te, które zostały, były niewinną błahostką. Amos parsknął śmiechem i z rozmachem klepnął chłopców w plecy.*

*Konie były na granicy wyczerpania. Przez cały tydzień Arutha wyciskał z nich ostatnie poty. Zwierzęta były zmęczone, miały poodbijane kopyta i wlokły się noga za nogą. Z najwyższym trudem udawało im się utrzymać dystans między sobą a wrogimi oddziałami. Poprzedniego dnia zauważyli za sobą dym. Zwiadowcy Murmandamusa rozbili na noc obóz. Brak ostrożności czy obawy przed wykryciem świadczył, że nieprzyjaciel nic sobie nie robił z garnizonów leżących na trasie do Królestwa.*

*Przełęcz Cuttera znajdowała się przy południowym wylocie szerokiej doliny.*

*Zarzucona odłamkami skalnymi, prawie na całej długości gęsto porośnięta krzakami, przecinała Zęby Świata. Bliżej ujścia teren stawał się zupełnie odkryty, bez śladu osłony. Jak okiem sięgnąć widać było tylko wypaloną ziemię. Jimmy i Locklear rozglądali się z zaciekawieniem.*

*– Dotarliśmy chyba do granicy zasięgu patroli z Wysokiego Zamku – zauważył Guy. – Księżę pewnie każdego roku każe wypalać te ziemie do cna, aby nikt nie mógł się zbliżyć niepostrzeżenie.*

*Szósty dzień od opuszczenia Lasu Eddar chylił się ku zachodowi. Dolina zwężała się stopniowo i w końcu zbliżyli się do wylotu przełęczy. Arutha wstrzymał nieco konia i rozejrzał się uważnie.*

*– Pamiętacie, jak Roald opowiadał, że trzydziestu najemników powstrzymało tutaj dwieście goblinów? – powiedział cichym głosem.*

*Jimmy pokiwał głową, wspominając kochającego zabawę i życie najemnika.*

*Wjechali na przełęcz w całkowitej ciszy.*

*– Zatrzymajcie się i przedstawcie! – rozległ się nagły okrzyk ze szczytu skały.*

*Arutha i reszta oddziału ściągnęli koniom wodze. Czekali spokojnie na ukazanie się osoby wydającej polecenie. Zza skały, pod granią przełęczy, wysunął się mężczyzna w białym kaftanie zarzuconym na zbroję. Mimo zmierzchu widać na nim było wyraźnie wizerunek czerwonego, skalistego szczytu. Przy końcu wąskiego wąwozu pojawił się oddział konnych, a oba stoki zaroily się od wychylających się zza osłony skał łuczników.*

*Arutha powoli uniósł obie ręce.*

*– Jestem Arutha, Księżę Kronodoru. Kilku żołnierzy parsknęło śmiechem.*

– *A ja jestem twój brat. Król – odpowiedział dowodzący oficer. – Sprytny jesteś i bezczelny, renegacie, ale tak się składa, że Księżę Krondoru spoczywa martwy w rodzinnym grobowcu w Rillanonie. Gdybyś zamiast przemycić broń dla goblinów, siedział na tyłku w domu, jak mamusia przykazała, to byś o tym wiedział.*

– *Zaprowadźcie mnie natychmiast do Briana Highcastle'a – krzyknął Arutha.*

*Podjechał do niego dowódca jazdy.*

– *Bądź grzeczny, chłoptasiu, i wyciągnij ręce za plecy.*

*Księżę zdjął prawą rękawicę i pokazał mu pierścień. Oficer obejrzał go z uwagą.*

– *Kapitanie! Widział pan kiedyś Królewską Pieczęć Krondoru?*

– *Orzeł przelatujący nad szczytem góry.*

– *Nie wiem, czy jest Księciem, czy nie, ale nosi taki właśnie pierścień. –*

*Powiódł wzrokiem po pozostałych. – I jest z nim też jakiś Elf!*

– *Elf? Raczej Mroczny Brat, chciałeś powiedzieć? Żołnierz nie wiedział, co począć.*

– *Lepiej, panie, zejdźcie z konia. Ani chybi niedługo wszystko się wyjaśni...*

*Wasza Wysokość – dodał na końcu, ledwo słyszalnym głosem. Ot tak, na wszelki wypadek...*

*Dotarcie do podnóża przełęczy zajęło kapitanowi kilka minut. Podszedł wprost do Aruthy i z uwagą przyglądał się jego twarzy.*

– *Hm... duże podobieństwo, nie da się ukryć... ale przecież Księżę nigdy nie nosił brody.*

– *Walterze z Gyldenholt, jesteś taką zakutą pałą, że nie dziwota, iż Armand*

*zesłał cię do Wysokiego Zamku – odezwał się zniecierpliwiony Guy.*

*Kapitan przyglądał mu się przez moment.*

*– A niech to szlag...! Toż to księżę Bas-Tyra!*

*– A to jest księżę Krondoru.*

*Człowiek nazwany Walterem patrzył to na jednego, to na drugiego, nie mogąc się połapać w sytuacji.*

*– Ale ty, panie, przecież nie żyjesz... to znaczy tak głosiło królewskie*

*obwieszczenie. – Zwrócił się do Guya. – A ty, Wasza Wysokość... za powrót na teren Królestwa... głowa pod topór.*

*Arutha zniecierpliwiał się.*

*– Zaprowadźcie nas do Briana, a wszystko wyjaśnimy. Księżę Bas-Tyra*

*pozostaje pod moją osobistą ochroną, jak zresztą wszyscy pozostali. A teraz może zakończymy wreszcie te bzdurne ceregiele i ruszymy w drogę, co? Mniej więcej o dzień drogi za nami posuwa się cała armia Mrocznych Braci i goblinów. Mam wrażenie, że Brian chciałby o tym wiedzieć.*

*Walter z Gyldenholt skinął na dowódcę jazdy i kazał mu zawrócić.*

*– Zabierz ich do pana Highcastle'a. A kiedy wszystko się wyjaśni, wróć tutaj i powiedz mi, co się tu do cholery wyprawia!*

*Arutha odłożył brzytwę. Przesunął dłonią po znowu gładko wygolonej brodzie.*

*– No więc zostawiliśmy Elfy i przyjechaliśmy wprost tutaj.*

*– Niesamowita historia. Wasza Wysokość – powiedział Brian, pan na*

*Wysokim Zamku i dowódca oddziałów na Przełęczy Cuttera. – Gdybym nie widział cię na własne oczy razem z Bas-Tyrą, siedzącym obok, nigdy bym w to nie uwierzył.*



*Całe Królestwo uważa cię za zmarłego. Na prośbę Króla zorganizowaliśmy dzień wspomnień, by uczcić twą pamięć. – Siedział, przyglądając się, jak znużeni podróżni myli się i jedli w koszarowym pomieszczeniu, które oddał im do użytku. Stary komendant trzymał się sztywno, niemal na baczność. Przypominał bardziej żołnierza z placu parad niż komendanta z pogranicza.*

*Amos, pochłonięty bez reszty opróżnianiem pękatego dzbana z winem, parsknął śmiechem.*

*– Arutha, jeżeli chcesz spróbować wina, zrób to, zanim umrzesz, abys się jeszcze mógł nacieszyć jego smakiem. Szkoda, że ten dzban przeszedł ci koło nosa.*

*– Jak wielu masz moich ludzi? – spytał Guy.*

*– Większość z twoich oficerów została odesłana na Żelazną Przełęcz i Wartę Północy, ale mam tu dwóch z twoich najlepszych:*

*Baldwina de la Troville i Antoniego du Masigny. Kilku zostało w Bas-Tyra.*

*Guiles Martine-Reems, jako baron du Corvis, sprawuje teraz rządy w mieście.*

*– Jestem pewien, że chciałby zostać księciem, prawda?*

*– Brian, chciałbym ewakuować cały twój garnizon do Sethanon. To*

*oczywisty cel Murmandamusa. Twoi żołnierze bardzo się tam przydadzą, a Wysoki Zamek i tak nie jest do utrzymania – powiedział Arutha. Brian milczał chwilę.*

*– Nie, Wasza Wysokość.*

*– Odmawiasz Księżciu? No, no... – zamruczał pod nosem Amos.*

*Baron spojrział na niego z ukosa i zwrócił się do Księcia.*

*– Znasz, panie, moje przywileje i zobowiązania. Jestem wasalem twego brata i nikogo innego. Powierzono mi obowiązek obrony przełęczy. Nie porzucę posterunku.*

– Na bogów, człowieku! – krzyknął Guy. – Nie możesz uwierzyć nam na słowo? Maszeruje na ciebie ponad trzydziestotysięczna armia, a ty masz do dyspozycji tysiąc, może dwa tysiące żołnierzy rozrzuconych po wzgórzach między połową drogi od Warty Północy aż po połowę odległości do Tyr-Sog. Pobije cię w pół dnia, nie rozumiesz?

– To ty tak mówisz, Guy. Nie mam informacji z pierwszej ręki, że tak jest istotnie. Arutha był zdumiony.

– A teraz jeszcze nazywasz Księcia kłamcą! – zawołał oburzony Amos.

Brian zignorował go.

– Nie mam wątpliwości, że widzieliście dużą koncentrację sił Mrocznych Braci, ale trzydzieści tysięcy... nie wydaje mi się prawdopodobne. Od lat mamy z nimi do czynienia. Nasz najlepszy wywiad zawsze donosił, że pod jednym dowódcą nie może wyjść w pole więcej niż dwa tysiące wojowników. Z taką liczbą łatwo sobie poradzimy z naszej pozycji obronnej.

– Śniłeś na jawie, gdy Książę opowiadał, Brian? – spytał Guy przez zaciśnięte zęby. Z trudem kontrolował narastającą wściekłość. – Czyż nie powiedział ci, że straciliśmy całe miasto otoczone ponad dwudziestometrowym murem, dostępne tylko z jednej strony i bronione pod moją komendą przez siedem tysięcy zaprawionych w boju żołnierzy!

– A kto był przez długie lata uznawany za najwspanialszy umysł wojskowy w Królestwie? – spytał Arutha.

– Znam twoją reputację, Guy. W walkach z Keshem radziłeś sobie rzeczywiście wspaniale. Ale my, panowie pogranicza, stajemy z oczywistych zresztą powodów, przed zupełnie innym wezwaniem. Jestem pewien, że poradzimy sobie z

*Mrocznymi Braćmi. – Baron odsunął gwałtownie krzesło od stołu, wstał i ruszył ku drzwiom. – A teraz wybaczcie, mam obowiązki, którymi muszę się zająć. Możecie tu wypoczywać tak długo jak sobie życzycie, lecz bardzo proszę nie zapominajcie, że dopóki Król nie zdecyduje inaczej, ja tu jestem najwyższym dowódcą. Podejrzewam, że bardzo potrzebujecie wypoczynku. Zapraszam za dwie godziny na wspólny posiłek w towarzystwie moich oficerów i moim. Przyślę żołnierza, aby was obudził.*

*Arutha usiadł ciężko przy stole. Brian wyszedł z pokoju.*

*– To kompletny idiota – powiedział Amos.*

*– Nie – Guy podparł brodę ręką – on po prostu wykonuje swoje obowiązki w sposób, który uważa za najbardziej odpowiedni. Niestety nigdy nie był generałem. Dostał patent od Rodrica, chociaż już wtedy brzmiało to jak kiepski żart. Brian to południowiec, typowy szlachcic dworski bez żadnego doświadczenia wojennego. Tutaj nie miał zbyt wielu kłopotów z goblinami.*

*– Kiedy byłem jeszcze chłopcem, przybył do Crydee – powiedział Arutha. –*

*Uznałem go wówczas za kogoś wspaniałego. No wiecie. Baron Pogranicza i tak dalej... – ostatnie słowa wypowiedział z gorzkim uśmiechem.*

*– No cóż, postąpi, jak uzna za stosowne – powiedział Guy. – Sytuację pogarsza jeszcze fakt, że odsyłano do niego na służbę wszystkich sprawiających kłopoty. Na przykład Waltera z Gyldenholt. Armand zesłał go tutaj pięć lat temu za kradzież pieniędzy kompanii. Przedtem miał stopień starszego porucznika. Ale z przyczyn politycznych jest tu również kilku wspaniałych ludzi. Zarówno Baldwin de la Troville, jak i Antoni du Masigny to oficerowie pierwszej klasy. Mieli tylko nieszczęście być lojalni w stosunku do mnie. Pewien jestem, że to Caldric zasugerował Lyamowi, aby ich zesłał na pogranicze.*

– Ale co to nam daje? – spytał Amos. – Chcesz wzniecić bunt?

– Nie, ale kiedy zacznie się rzeź, to przynajmniej garnizon zginie pod dowództwem kilku kompetentnych oficerów, a nie samych głupców.

Arutha oparł się ciężko o poręcz krzesła. Czuł, jak fala zmęczenia ogarnia ciało. Wiedział, że muszą coś szybko postanowić, ale co? Umysł, przemęczony brakiem snu i ciągłym napięciem, pracował na jałowych obrotach. W pokoju panowało głucho milczenie. Po chwili Locklear wstał, ruszył w kierunku jednej z prycz i położył się. Chłopak nie odezwał się do nikogo ani słowem i po paru sekundach zapadł w kamienny sen.

– To najlepszy pomysł od wielu tygodni – powiedział Amos. Wstał z trudem, poczłapał do sąsiedniej pryczy i zległ ciężko z głębokim westchnieniem satysfakcji, zanurzając się w miękkie objęcia boga snu. – Do zobaczenia przy kolacji.

Inni poszli za jego przykładem. Wkrótce wszyscy zapadli w sen. Wszyscy z wyjątkiem Aruthy, który rzucał się i obracał z boku na bok. Jego umysł nawiedzały nieustannie wizje niezliczonych rzesz goblinów i moredheli napadających na jego naród, mordujących i palących wioski i miasta. Powieki nie chciały opaść. Usiadł w końcu na pryczy i stwierdził, że pozostali śpią kamiennym snem. Opadł na posłanie i czekał aż nadejdzie sen. Kiedy jednak wezwano ich na kolację, nadal nie spał.

# TWORZENIE

*Macros otworzył oczy.*

*Czarnoksiężnik w chwilę po tym, jak odkrył, że wpadli w pułapkę czasu, zapadł w trans i pozostawał w całkowitym bezruchu. Pug i Tomas obserwowali go kilka godzin, a gdy się znudzili, zajęli się innymi sprawami. Próbowali odkryć jak najwięcej szczegółów o Ogrodzie, ale ponieważ stanowił mieszaninę nie znanych im roślin i zwierząt, niewiele potrafili zrozumieć. Po wielu dniach eksploracji w Ogrodzie czarnoksiężnik nadal ani drgnął, więc zrezygnowani postanowili czekać cierpliwie.*

*– Chyba wymyśliłem rozwiązanie – powiedział Macros przeciągając się. –*

*Jak długo byłem w transie?*

*– Około tygodnia – odpowiedział Tomas siedzący w pobliżu na dużym głazie.*

*Pug oderwał się od boku Ryath.*

*– Może nawet dłużej. Trudno powiedzieć. Macros zamrugał oczami i wstał.*

*– Cofanie się w czasie czyni tę kwestię nieco akademicką, przyznaję. Jednak nie miałem pojęcia, że medytowałem aż tak długo.*

*– Nie powiedziałaś nam zbyt wiele, co się tutaj dzieje. Spróbowałem kilku podstawowych metod i badań, by odkryć, co zachodzi wokół nas. Udało mi się uchylić zaledwie rąbka tajemnicy – na jakiej zasadzie działa pułapka czasu.*

*– Czego się o niej dowiedziałeś? Pug ściągnął brwi.*

*– Wydaje się, że zaklęcie zostało opracowane w taki sposób, aby odwrócić bieg czasu w otaczającym nas polu. Póki w nim pozostajemy, podlegamy jego wpływom i nie możemy go zmienić. Jesteśmy powoli niesieni wraz z całym Ogrodem pod prąd czasu. – W jego głosie słychać było wyraźnie frustrację. – Macros, mamy*

*tu pełno owoców i orzechów, ale Ryath jest głodna. Ratuje się jakoś drobną zwierzyną, zdołała nawet przełknąć kilka orzechów, ale na takim żarciu nie pociągnie za długo. Wkrótce zwierzyzna skończy się i nasz wierzchowiec będzie głodować.*

*Macros spojrział na złocistego smoka, który drzemał, by zaoszczędzić siły.*

*– Musimy się więc stąd wydostać.*

*– Jak? – zapytał Tomas.*

*– Nie będzie to łatwe, ale wy obaj, jak sądzę, doskonale sobie poradzicie.*

*– Zdobył się na uśmiech, emanując pewnością siebie, którą tak dobrze zapamiętali z przeszłości. – Każda pułapka ma swoje słabe strony. Nawet coś tak prostego jak rzucony z góry kamień ma w sobie pewną niedoskonałość: może nie trafić w wybrany cel. Myślę, że odkryłem taką niedoskonałość i w naszej pułapce.*

*– To byłoby pocieszające – powiedział Pug. – Miałem chyba z tuzin różnych pomysłów, ale można by je zrealizować, gdybym znajdował się poza polem pułapki.*

*Ryath próbowała mnie wydostać na zewnątrz, ale i jej się to nie powiodło. Nie mam żadnego pomysłu, co można zrobić od środka, aby powstrzymać cofanie się w czasie.*

*– Cała sztuka, Pug, nie polega na tym, by walczyć z cofaniem się, lecz na tym, by przyspieszyć. Musimy poruszać się coraz szybciej i szybciej. Z szybkością, o której nigdy nikomu się nawet nie śniło.*

*– W jakim celu? – zdziwił się Tomas. – Jeszcze bardziej oddalimy się od konfliktu. Co na tym zyskujemy?*

*– Milamberze ze Zgromadzenia, pomyśl – powiedział Macros, używając imienia Puga w języku Tsuranich. – Jeżeli cofniemy się w czasie odpowiednio*

*daleko...*

*Pug milczał przez długi czas, wreszcie na jego twarzy zajaśniało zrozumienie.*

*– Cofniemy się do początku czasów.*

*– I dalej... kiedy czas nie miał żadnego znaczenia.*

*– Czy to możliwe? Macros wzruszył ramionami.*

*– Nie mam pojęcia, ale skoro nic innego nie potrafię wymyślić, mam zamiar spróbować. Będę potrzebował twojej pomocy. Posiadam wiedzę, ale brak mi mocy.*

*– Mów, co mam robić.*

*Macros nakazał mu usiąść i sam usiadł naprzeciwko. Tomas stanął za plecami przyjaciela, przyglądając się z ciekawością. Macros wyciągnął rękę i położył dłoń na głowie Puga.*

*– Niech moja wiedza zstąpi na ciebie.*

*Pug poczuł nagle, że jego umysł wypełnia się różnymi obrazami...*

*...a wszechświat, który znał, drży w posadach. Tylko raz doznał przedtem tego uczucia panoramicznej, wszechogarniającej świadomości. Stał wówczas na szczycie Wieży Próby i wstępował w szeregi Wielkich. Obecnie obserwator jest o wiele bardziej dojrzały, posiada dużo większą wiedzę i z wizji, którą ogląda, rozumie znacznie więcej: symetrię, porządek i zadziwiającą wspaniałość roztaczającą się wokół niego. Wszystko się łączy, przenika nawzajem zgodnie z planem, którego nie potrafi, nie jest w stanie dostrzec. Trwa oszołomiony i pełen podziwu.*

*Obejmuje swą świadomością wszystko dookoła, ponownie zadziwiają go cudowności wszechświata. Znowu płynie między gwiazdami, widząc wyraźnie tajemne, mistyczne linie mocy, łączące wszystkie elementy wszechświata.*

*Spostrzega, że ktoś czy coś szarpie te linie, i widzi, jak usiłuje się wedrzeć do tego*

*wszechświata z innego. To coś jest okropne. Potworny, ohydny byt zagrażający porządkowi całego stworzenia. To nieprzenikniona ciemność, czarna, przesłaniająca wszystko plama. To Przeciwnik. Ale jest słaby i ostrożny. Obserwator zastanawia się przez krótki moment nad jego naturą, ale ta nie daje się ogarnąć – cofa się więc w czasie.*

*Obserwuje Ogród. Widzi siebie samego siedzącego przed czarnoksiężnikiem. Za sobą dostrzega przyjaciela z dzieciństwa. Wie, co musi uczynić. Czas płynie wokół Ogrodu majestatycznie, poruszając się w rytmach odpowiadających zwykłemu rytmowi przestrzeni i czasu wokół niego, ale jego kierunek jest odwrotny. Z każdą mijającą sekundą czas w Ogrodzie cofa się o jedną sekundę.*

*Sięga przed siebie. Jego umysł odnajduje klucz do upływu czasu, tak namacalny, tak realny dla dotknięcia jego duchowego bytu, jak kamień dla dłoni.*

*Dotyka go lekko, delikatnie, wyczuwając puls wszechświata, tajemnicę iluzorycznego wymiaru. Widzi i wie. Rozumie i manipuluje, koryguje strumień płynącego czasu i oto teraz wraz z każdą sekundą czasu mijającego we wszechświecie w Ogrodzie mijają dwie sekundy. Czuje spokojną radość, bo właśnie osiągnął coś, co jeszcze przed chwilą wydawało się poza zasięgiem możliwości jakiegokolwiek śmiertelnego maga. Odsuwa na bok pojawiającą się pychę i koncentruje się całkowicie na czekającym go zadaniu. Następna korekta i teraz w ciągu każdej, prawdziwej sekundy wokół Tomasa, Macrosa i jego samego, upływają cztery. Jeszcze raz, i jeszcze raz... za każdym razem podwaja swe osiągnięcie. Teraz już wraz z każdą godziną, o którą starzeje się wszechświat, pędzą w tył o ponad dzień. Kolejny ruch i teraz już dwa dni, następnie cztery. Po chwili już ponad tydzień. Trzykrotnie szybciej... i teraz wraz z każdą upływającą w rzeczywistości*



godziną, uciekają w przeszłość o ponad miesiąc. I znowu... i jeszcze raz... i ponownie... Wokół nich mija rok, podczas gdy w realnym świecie upływa godzina. Zatrzymuje się na chwilę i wysyła przed siebie świadomość poznania. Umysł szybuje w kosmosie jak orzeł po niebie. Przemyka między gwiazdami jak ogromny, drapieżny ptak sunący bezszelestnie obok niebotycznych szczytów Szarych Wież. Dostrzega rozżarzoną, zabarwioną na zielono, tak dobrze mu znaną gwiazdę. W krótkim ułamku sekundy pojmuje. Wie. Jest na Kelewanie, odkrywa utraconą na przestrzeni dziejów wiedzę eldarów. Cofnęli się w czasie o rok... i więcej. Z prędkością myśli ściąga z powrotem świadomość do swego osobistego tutaj i teraz. Ponownie manipuluje upływem czasu. W ciągu godziny mijają dwa lata, potem cztery, osiem, szesnaście. I znowu zatrzymuje się i ogląda wszechświat. Gwiazdy krążą w ustalonym porządku, śmigają w tak wielkiej przestrzeni kosmicznej, że ich oślepiająca szybkość przypomina raczej mozolne czołganie się w żółtym tempie. Poruszają się według dziwnego wzoru. Ich ruchy są odwrócone. Kierunek trajektorii –jak w lustrzanym odbiciu. Zastanawia się przez chwilę i znów pracuje nad strukturą czasu. Jest już mistrzem w tych działaniach. Posiadał umiejętności, w stosunku do których nawet najbardziej wybujałe ambicje aroganckich członków Zgromadzenia wyglądają mizernie, bardzo mizernie. Jest w końcu pewien siebie i własnej natury. Pewien o wiele bardziej, niż mógł marzyć. Pewien ponad wszelką wątpliwość. Z łatwością manipuluje upływem czasu. Umysł przesywa jak błyskawica dzika myśl: oto jestem jako bóg sam! Wtedy jednak lata ćwiczeń i nauki śpieszą na ratunek gwałtowną falą ostrzeżenia: wystrzegaj się pychy! Pamiętaj, jesteś zwykłym śmiertelnikiem, a pierwszym twoim obowiązkiem jest służba Imperium. Jego nauczyciele w Zgromadzeniu dobrze wykonali swe

*zadanie. Ignoruje upajające działanie swej mocy, odkrywając na nowo swoją jaźń, samo centrum swego bytu. Ponownie zabiera się za manipulowanie czasem. Z każdą sekundą w prawdziwym, realnym wszechświecie mija rok. Ponawia pracę, ćwicząc swe zdolności na materii pułapki przygotowanej przez wroga, przyspieszając jej działanie poza oczekiwania tych, którzy ją przygotowali. Teraz z każdą sekundą mija całe dziesięciolecie. Wie, że istnieje już przed swymi narodzinami. W czasie potrzebnym do zaczerpnięcia powietrza w płuca, cofnął się w okres poprzedzający najazd dziadka księcia Borrika na Crydee. Kolejny ruch... Królestwo zajmuje zaledwie połowę swego przyszłego obszaru. Jego zachodnie granice to ziemie barona von Darkmoor. Dwa razy przyspiesza czynnik czasu i krainy z jego okresu stają się niewielkimi osadami zamieszkałymi przez prosty lud, o wiele bardziej prymitywny niż ci, którzy dadzą początek przyszłym narodom. I znowu uruchamia magię. A potem jeszcze raz... i jeszcze...*

*Posadami wszechświata wstrząsają dreszcze. Pęka materia rzeczywistości.*

*Wokół niego eksplodują nie dające się opisać energie, dzikie, nieokiełznane, nie do ogarnięcia umysłem i wtedy...*

*Pug otworzył oczy. Czuł wokół siebie zaburzenie porządku rzeczy. Przez moment widział zamazane, niewyraźne obrazy. Tomas zbliżył się do niego.*

*– Dobrze się czujesz?*

*– Tam coś... coś się zmieniło. – Pug zamrugnął niepewnie.*

*– Coś się dzieje. – Tomas spojrzał w górę. Macros przypatrywał się niebiosom. Po całym firmamencie szalały i wirowały przedziwne wylądowania.*

*Gwiazdy zataczały się jak pijane i kolebały, nie mogąc utrzymać prostego kursu.*

*– Wraz z upływem czasu wszystko będzie się uspokajało. Pamiętajcie, że*

*obserwujemy wszystko od końca, posuwając się do początku wydarzeń.*

*– Ale co my właściwie obserwujemy? – spytał Pug.*

*– Wojny Chaosu – odpowiedział Tomas. Jego oczy nabrały niesamowitego, nawiedzonego wyrazu, jakby coś w tym, co się działo, dotknęło go głęboko w miejscu, w którym tego nie oczekiwał. Jednak jego twarz pozostała skryta pod kamienną maską. Nadal obserwował rozszalałe niebiosa.*

*Macros pokiwał głową. Wstał i wskazał ku górze.*

*– Widzicie, teraz właśnie, cofamy się w epokę poprzedzającą Wojny Chaosu, Dni Szaleństwa Opętanych Bogów, Czas Śmierci Gwiazdy czy jakkolwiek to inaczej nazwiemy zgodnie z barwnymi terminami wyczarowanymi przez mity i tradycje dla określenia tego okresu.*

*Pug przymknął oczy. Umysł miał skostniały i odrętwiały. Pod czaszką łomotał tępy ból.*

*– Cofamy się z szybkością trzystu, czterystu lat na sekundę – powiedział*

*Macros. Pug pokiwał głową. – Na każde trzy sekundy przypada mniej więcej jedno tysiąclecie – obliczył czarnoksiężnik. – Nieźle jak na początek.*

*– Początek? – zdziwił się Pug. – Jak szybko musimy się cofać?*

*– Jeżeli nie pomyliłem się w obliczeniach to miliardy lat. Przy tysiącu lat na sekundę może starczyłoby nam życia, by cofnąć się do początków. Ale ledwo, ledwo.*

*Musimy cofać się znacznie, znacznie szybciej.*

*Pug był już bardzo utrudzony, lecz posłusznie zamknął oczy. Tomas spojrział w niebo. Zauważył teraz ruch gwiazd. Ze względu na gigantyczne odległości zdawał się być ciągle powolny. Sam fakt obserwowania ich ruchu był już jednak niepokojący, wkrótce uległ wyraźnemu przyspieszeniu. A po kolejnej manipulacji*

*Pug znowu był z nimi.*

*– Wprowadziłem do struktury pułapki drugie zakłęcie. Teraz z każdą minutą i bez mojego bezpośredniego udziału tempo będzie się podwajało. W tej chwili cofamy się z szybkością ponad dwóch tysięcy lat na sekundę. W ciągu minuty będzie to już cztery tysiące. A potem osiem, szesnaście i tak dalej.*

*Macros spojrział na niego z uznaniem.*

*– Dobrze, bardzo dobrze. To daje nam kilka wolnych godzin.*

*– Nadszedł chyba wreszcie czas, aby zadać kilka pytań – powiedział Tomas.*

*Macros uśmiechnął się. Jego ciemne oczy przeszywały młodego człowieka na wylot.*

*– To znaczy uważasz, że nadszedł czas, by uzyskać kilka odpowiedzi.*

*– Tak, tak myślę. Wiele lat temu zniewoliłeś mnie, przymuszając, bym zdradził traktat pokojowy z Tsuranimi. Tej samej nocy powiedziałeś, że jesteś twórcą mego obecnego istnienia. Powiedziałeś, że dałeś mi wszystko. Gdziekolwiek kieruję wzrok, dostrzegam ślady twych poczynań. Macros, chcę wiedzieć więcej.*

*Czarnoksiężnik znowu usiadł.*

*– No cóż, skoro mamy trochę wolnego czasu, dlaczegoż by nie? Rozwijający się dramat osiągnął już taką fazę, iż prawda nie wyrządzi ci krzywdy. Co chcielibyście wiedzieć? – zapytał i przeniósł wzrok z Tomasa na Puga.*

*Pug zerknął na przyjaciela, następnie popatrzył twardym wzrokiem na czarnoksiężnika.*

*– Kim jesteś?*

*– Ja? – Macros zdawał się rozbawiony postawionym pytaniem. – Jestem...*

*kim właściwie jestem? – Pytanie wydawało się właściwie retoryczne. – Miałem już*

*tyle imion, nie wszystkie mogą sobie przypomnieć. – Westchnął, wspominając dawne dzieje. – To, które nadano mi przy narodzinach, jest proste, tłumaczy się na język królestwa jako „Jastrząb”. – Uśmiechnął się. – Lud mej matki był dość prymitywny. – Zamyślił się na moment. – Nie jestem pewien od czego powinienem zacząć. Być może od miejsca i czasu, w których przyszedłem na świat.*

*Otóż narodziłem się w dalekim świecie, w przeogromnym imperium, które u szczytu swej potęgi dorównywało Wielkiemu Keshowi czy nawet Tsuranuanni.*

*Imperium owo zasadniczo nie wyróżniało się niczym szczególnym: nie miało artystów, filozofów czy wybitnych umysłów, może z wyjątkiem jednego czy dwóch, które pojawiły się nagle i niespodziewanie na przestrzeni wieków. Mimo to jakoś trwało. Było godne uwagi z jednego tylko powodu: zaprowadziło pokój na całym swoim terytorium.*

*Mój ojciec był kupcem. Nie wyróżniał się niczym specjalnym poza tym, że był bardzo zapobiegliwy i oszczędny. Zapożyczało się u niego wielu potężnych członków społeczności. Mówię wam o tym, abyście dobrze zrozumieli, że ojciec mój nie należał do ludzi, o których pisze się pieśni czy wielkie sagi. Był zwykłym, prostym człowiekiem.*

*Tam, gdzie przyszedł na świat mój ojciec, pojawił się inny zwykły człowiek.*

*Ten jednak potrafił urzekać i porywać tłumy swoją wymową. Miał również niezwykle irytujący zwyczaj prowokowania ludzi do samodzielnego myślenia.*

*Głośno stawiał pytania, które sprawiały, że rządzący stawali się nerwowi. Wkrótce zgromadziło się wokół niego grono naśladowców. Niektórzy byli radykalni i agresywni, wybierali przemoc. Trzymający ster władzy wysunęli przeciwko niemu fałszywe oskarżenie. Został doprowadzony na zamknięty proces, nikt nie mógł*

*zabrać głosu w jego obronie. Wyrok był najbardziej surowy i ostry z możliwych.*

*Postawiono mu zarzut głoszenia zdrady, co było oczywistym fałszem, i skazano go na śmierć.*

*Egzekucja miała się odbyć publicznie, zgodnie ze zwyczajem tamtych czasów.*

*Zebrał się wielki tłum. Mój ojciec też tam był. Biedny kupiec, obdarzony przez naturę nielicznymi darami, znalazł się tam wraz z wieloma wysoko postawionymi ziomkami, którzy, jak już wspomniałem, byli jego dłużnikami, i brał czynny udział w wyszydzaniu i wyśmiewaniu skazańca w drodze na śmierć.*

*Z jakiegoś powodu – może sprawił to kaprys losu, a może gorzkie poczucie humoru bogów, nie wiem – skazaniec w drodze na egzekucję zatrzymał się i stanął twarzą w twarz z mym ojcem. Spośród wszystkich, którzy go dręczyli i wymyślali mu od najgorszych, wybrał właśnie tego prostego kupca. Być może człowiek ten był magiem, a może była to klątwa rzucona przez umierającego. Sam nie wiem... Jedno jest pewne, z całej rzeszy wypełniającej po brzegi wielki bulwar skazaniec przeklął właśnie ojca. Klątwa była bardzo dziwna i ojciec zlekceważył ją jako brednie wypowiedziane przez człowieka oszalałego ze strachu w obliczu nadchodzącej śmierci.*

*W chwilę później człowiek ten zginął na szafocie. Minęły lata. Ojciec mój zauważył, że w ogóle się nie starzeje. Czas odciskał nieubłagane piętno na sąsiadach czy partnerach w handlu, a on ciągle wyglądał tak samo, ot, prosty kupiec około czterdziestki.*

*Gdy ta różnica zaczęła kłuć w oczy, ojciec uciekł z ziemi rodzinnej, aby nie zostać posądzonym o współdziałanie z ciemnymi mocami. Podróżował przez wiele lat. Z początku wykorzystywał dobrze swój czas i zdobył dość rozległą wiedzę. Po*

*jakimś czasie przekonał się, co naprawdę oznaczała klątwa. Miał poważny wypadek, który przykuł go do łóżka na cały prawie rok. Odkrył wtedy, że odmówiono mu prawa do śmierci. Nawet gdyby został śmiertelnie ranny i tak w końcu wylizałby się z tego.*

*Zaczął tęsknić do wyzwoleńczej śmierci, do końca nie kończących się dni.*

*Powrócił do ziemi ojczystej. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, który rzucił na niego klątwę.*

*Stwierdził, że prawdę spowił woal mitu i legendy. Człowiek ten stał się ośrodkiem religijnych dysput. Niektórzy postrzegali go jako szarlatana, inni jako posłańca bogów. Jedni uznawali go za samego boga, a inni za szatańskiego herolda zagłady i potępienia. Debata doprowadziła do pewnego rozdźwięku w imperium.*

*Wojny religijne nigdy nie są przyjemne. Godne uwagi jest jednak to, że bez względu na zawirowania historii, stale wypływała na powierzchnię jedna opowieść: trzy magiczne przedmioty wiązane ze zmarłym miały moc uzdrawiania, sprowadzania trwałego pokoju i odwracania rzuconych klątw. Z tego, co wiem, miały to być: różdżka, płaszcz czy szata i kielich. Mój ojciec od razu zaczął szukać tych przedmiotów.*

*Mijały wieki. Ojciec zawędrował w końcu do maleńkiego narodu na pograniczu imperium. Powszechnie się uważało, że tam można odnaleźć ostatni z przedmiotów. Dwa pierwsze uznano za bezpowrotnie stracone. Imperium rozpadało się w końcu, jak wszystkie tego typu twory państwowe. Ziemia była dziczała i zaniedbana. Gdy ojciec dotarł do tego narodu, został napadnięty przez bandytów. Ranili go ciężko i zostawili, uznając za martwego. Ale oczywiście ojciec leżał tylko w cichej agonii, czekając na wyzdrowienie.*

Znalazła go kobieta. Jej mąż utonął w czasie połowu ryb, zostawiając ją bez środków do życia. Ojciec wywodził się ze starożytnej rasy o bogatej kulturze i historii, ale lud mej matki, zwany czasem Ludem Jaszczurki, był niemal barbarzyński. Wszyscy unikali wdowy, ponieważ ktokolwiek jej coś dał, brał na siebie odpowiedzialność za jej los. I ta kobieta, pozbawiona praktycznie środków do życia, pielęgnowała mego ojca, aż wyzdrowiał. Później wzięła go do swej łóżnicy. Nie miała mężczyzny, a ojciec imponował jej dogłębnym wykształceniem i kulturą. Sądziła pewnie, że może być kimś ważnym. Krótko mówiąc, wtedy właśnie zostałem poczęty.

Ojciec powiedział matce o przedmiocie swych poszukiwań, ale nic o nim nie wiedziała, chociaż i w tak dalekich stronach legenda była bardzo rozpowszechniona. Podejrzewam, że po prostu chciała zatrzymać drugiego męża w domu.

Ojciec został więc z moją matką. Kanon ludu ojca głosił, że dziecko dziedziczy grzechy ojca, i nie wnikając jaka była rzeczywista przyczyna, wywodzę się z tej spuścizny. Ojciec został na tyle długo, by nauczyć mnie swego języka i historii oraz podstaw czytania i pisania. Później dotarła na nasze ziemie pogłoska, jakaś wskazówka dotycząca zagubionego magicznego przedmiotu. Ojciec natychmiast wznowił poszukiwania, wyruszając na zachód poprzez bezkresny ocean. Już nigdy go nie zobaczyłem. Mogę się tylko domyślać, że nadal szuka. No a matka spakowała mnie i manatki i wróciła do swej rodzinnej wsi.

Matka została z synem. Jej lud nigdy nie doczekał się rozsądnego wytłumaczenia, skąd się pojawiłem. Wymyśliła więc jakąś bzdurę o związku z demonem. A ponieważ ojciec zadbał o moje wykształcenie, więc miałem o wiele większą wiedzę niż najmądrzejsi z ich starszyny. I ona właśnie w jakimś sensie



*uwiarygodniła nonsensowne opowiadki.*

*Krótko mówiąc, matka osiągnęła w swej społeczności znaczne wpływy. Z czasem stała się widzącą, chociaż jej zdolności koncentrowały się raczej na sztuczkach teatralnych, a nie prawdziwych wróżbach. A ja, no cóż, ja zacząłem miewać wizje jeszcze jako dziecko.*

*Opuściłem matkę po osiągnięciu czternastego roku życia. Zawędrowałem do miejsca, gdzie mieszkał prastary zakon kapłanów, do ziemi, która wtedy wydawała się prawie na końcu świata. W porównaniu do podróży, które odbyłem w późniejszych czasach, był to zaledwie mały krok, skok za miedzę. Kształcili mnie, wyposażając w zanikającą wiedzę. Gdy zająłem miejsce w bractwie, zostałem przetransportowany w duchowej postaci.*

*Zostałem... zabrano mnie gdzieś, i ktoś, być może sami bogowie, rozmawiali ze mną. Zostałem uznany za jedynego w swoim rodzaju pośród rzeszy innych; specjalne naczynie dla rzadkich mocy. Jednak za otrzymanie tej potęgi i korzystanie z niej trzeba było zapłacić cenę. Postawiono mnie przed koniecznością wyboru. Mogłem pozostać prostym, mamroczącym modlitwy kapłanem, człowiekiem bez żadnego znaczenia w porządku rzeczy i mieć zagwarantowane bezpieczne, dostatnie i wygodne życie, ale mogłem też nauczyć się prawdziwej sztuki magii. Dano mi jednak jasno do zrozumienia, że na tej drugiej drodze czekają mnie ból i niebezpieczeństwa. Wahalem się. Bardzo pragnąłem spokojnej egzystencji, wiodąc klasztorne życie, ale pokusa zdobycia wiedzy okazała się zbyt silna, bym mógł jej się oprzeć. Wybrałem moc i przyszło za to zapłacić podwójną cenę. Mój los został przesądzony – jak i ojciec miałem żyć bez nadziei na śmierć. Dodatkowo otrzymałem dar, a może raczej przekleństwo, znajomości rzeczy przyszłych.*

*Ponieważ musiałem znać wydarzenia, aby odegrać w nich swoją rolę. Wiedza ta została mi dana. Od tamtego dnia wiodę życie w harmonii ze świadomością przyszłości. Przeznaczeniem moim jest służenie siłom, które starają się, aby we wszechświatach zapanował rozsądek, czemu sprzeciwiają się równie potężne moce zniszczenia. Macros wyprostował się.*

*– Krótko mówiąc, jestem człowiekiem, który odziedziczył klątwę i zyskał kilka darów.*

*– Chyba rozumiem, o czym mówisz – powiedział Pug. – Uważaliśmy cię za mistrza mrocznej, zakulisowej gry, a prawda jest taka, że jesteś po prostu wielkim pionkiem w zawodach, największym, ale tylko pionkiem.*

*Macros pokiwał głową.*

*– Ja, i tylko ja, nigdy nie miałem swej wolnej woli albo przynajmniej brakło mi odwagi, by rzucić wyzwanie mej wiedzy o rzeczach przyszłych. Od dnia, w którym opuściłem stan kapłański, zdawałem sobie doskonale sprawę, iż będę żył przez wieki i wielokrotnie przyjdzie mi manipulować życiem innych, by osiągnąć cel, który dopiero teraz zaczynam rozumieć.*

*– Co masz na myśli? – spytał Tomas. Macros rozejrzał się.*

*– Jeżeli wszystko potoczy się tak, jak podejrzewam, będziemy świadkami tego, czego nie widział nie tylko żaden śmiertelny byt we wszechświecie, lecz także sami bogowie. Jeśli zdołamy przeżyć, to powrót do domu zajmie nam jakiś czas. Myślę, że zdołamy nauczyć się wszystkiego, co będzie nam potrzebne. Ale teraz jestem już zmęczony. Pug także. Chyba się prześpię. Obudźcie mnie.*

*– Ale kiedy? – zapytał Tomas.*

*Na twarzy Macrosa pojawił się enigmatyczny uśmiech.*

– *Sami będziecie wiedzieli kiedy.*

– *Macros!*

*Czarnoksiężnik otworzył gwałtownie oczy. Spojrzał w kierunku wskazywanym przez Tomasa. Przeciągnął się i wstał.*

– *Tak, już czas.*

*Pug również się obudził. Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Ponad nimi gwiazdy pędziły w tył jak oszalałe, podczas gdy czas, z równie upiorną prędkością, biegł w przeciwnym niż zwykle kierunku. Niebo płonęło ognistym, wprost niezwykłym pięknem. Rozszalałe energie uwalniały się w feerii bajecznie intensywne kolorów. Światło zdawało się skoncentrowane, jakby wszystko zbliżało się do siebie nawzajem. W samym centrum majaczyła niepokojąco całkowita pustka, bezdenna nicość. Odniósł wrażenie, że mknęli w dół długim, rzęsiście oświetlonym smugami światła tunelem, ku najczarniejszej z najczarniejszych dziur.*

– *To może okazać się interesujące – zauważył Macros. – Wiem, że uważacie to za dziwne, ale nie wiedząc, co nastąpi za chwilę, jestem pełen niesamowitego uniesienia. To znaczy, wiem, co się pewnie wydarzy, ale nigdy tego nie widziałem.*

– *To wspaniałe, ale co to właściwie jest? – zapytał Pug.*

– *To początek, Pug. – Gdy to mówił, cała materia pędziła coraz szybciej i szybciej, kierując się ku czerni. Kolory zlewały się w jedną, oślepiającą smugę białego światła.*

– *Spójrzcie za nas! – krzyknął Tomasz.*

*Obejrzelili się. Tam, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się rzeczywista przestrzeń,*

*teraz*

*królowała*

*niepodzielnie*

*nieprzenikniona*

*szarość*

*międzyprzestrzeni.*

*Zachwycony Macros aż klasnął w dłonie.*

*– Cudowne! Jest dokładnie tak, jak myślałem. Wymkniemy się z pułapki, przyjaciele. Zbliżamy się do miejsca, gdzie czas nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Patrzcie!*

*W ostatecznym, majestatycznym wręcz przyptywie wszystko wokół nich zapadło się w dół, jak wessane w przepaść smolistej nicości.*

*– Pug, zatrzymaj nasz lot, zanim zostaniemy wciągnięci – powiedział szybko Macros. Pug natychmiast zamknął oczy i spełnił polecenie. Gigantyczna dziura wchłaniała coraz szybciej i szybciej ostatnie cząsteczki wszechświata, aż ostatnie drobinki, ostatnie pyłki materii zniknęły w końcu w jej wnętrzu. Pug chwycił się gwałtownie za skronie i krzyknął z bólu. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Macros i Tomas rzucili się na ratunek i pomogli mu usiąść.*

*– Już... już w porządku – powiedział po chwili. Twarz miał białą jak płótno, a po czole spływały kropelki potu. – Po prostu, gdy skończyła się pułapka czasu, jednocześnie skończyło się również zakłęcie przyspieszenia. To było bardzo bolesne.*

*– Przykro mi – powiedział Macros. – Powinienem był to przewidzieć. – I dodał, jakby sam do siebie: – Chociaż niewiele z tego, co wiemy, będzie tu i teraz miało jakiegokolwiek znaczenie.*

*Macros wskazał ku górze, gdzie widać było bezkresną, nieprzeniknioną czerń.*

*Wydawała się zaginać wzdłuż nie kończącej się linii, która znikwała w oddali poza zasięgiem wzroku. Ogród i Wieczne Miasto zawisły na tej granicy.*

*– Fascynujące – powiedział. – Teraz przynajmniej wiemy, że Miasto rzeczywiście istnieje poza zwykłym porządkiem wszechświata. – Wpatrywał się gigantyczną czerń nad głowami, licząc po cichu. – Biorąc pod uwagę jak dawno przestało działać zaklęcie Puga, chyba już czas.*

*– Co to jest? – spytał Tomas, wskazując na niemożliwą do ogarnięcia wzrokiem czarną kulę na tle szarości.*

*– To suma wszystkich wszechświatów. Pierwotna, podstawowa materia, z której wywodzi się wszystko inne. Bo to naprawdę jest wszystko... poza tym malutkim skrawkiem ziemi, na którym stoimy i samym Miastem. Jest tam tego tak dużo, że rozmiar czy odległość nie mają znaczenia. Jesteśmy oddaleni od powierzchni tej materii miliony razy bardziej niż na przykład Midkemia od słońca, a spójrzcie tylko, jaka jest ogromna. Zaslania przeszło pół nieba. Już sama ta myśl może przyprawić o zawrót głowy. Nawet światło nie jest w stanie się stamtąd wydostać, bo też i nie zostało jeszcze stworzone. Czas jeszcze nie powstał, nie nastąpił początek. Jesteśmy świadkami początku absolutnie wszystkiego. Ryath, czuwaj!*

*Smok przebudził się z odrętwienia i przeciągnął się. Ryath podeszła bliżej i stanęła za nimi.*

*– Pilnie obserwujcie... uważajcie.*

*Wpatrywali się w nieprzeniknioną czerń kosmosu. Przez kilka minut nie zdarzyło się absolutnie nic. Powietrze w Ogrodzie zamarło. Trwała martwa, nie*

zmacona najmniejszym szelestem cisza. Obserwatorzy byli wręcz boleśnie świadomi swego istnienia. Odczuwali najmniejsze drgnienie swych ciał, monotony rytm krążącej niestrudzonej krwi. Lecz nic, poza ich własnymi oddechami, nie naruszało ciężkiej, całkowitej ciszy. Wreszcie usłyszeli cichutki dźwięk.

Chociaż żaden z nich nie uczynił kroku czy choćby najmniejszego ruchu,

wszyscy

zostali

przeniesieni.

Zalało

ich

poczucie

niesamowitego,

wszechogarniającego szczęścia. Spłynęło na nich głębokie uczucie doskonałego

dobra i sprawiedliwości, piękna tak wielkiego, że przebywanie w jego obecności

przepelniało grozą. Odnosili wrażenie, czuli raczej, niż słyszeli, coś jakby muzykę,

pojedynczą i cudowną nutę bez skazy. Przed oczami trwała nadal ciemna pustka.

Pomimo to doznawali innymi zmysłami feerii barw tak pięknych, że nie potrafiłby

ich oddać żaden, nawet najwspanialszy malarz. Czuli się wprost zmiażdżeni

ciężarem nie dającego się opisać podziwu i grozy zarazem. W tym jednym ułamku

sekundy tak bardzo nic nie znaczyli, że każdy z nich cierpiał w absolutnej

samotności. Jednak w tej właśnie krystalicznie czystej i perfekcyjnej chwili doznali

pełnego szczęścia, uniesienia muśniętego czymś tak wspaniałym, że łzy radości same

napływały do oczu i spływały po policzkach.

To, czego doznali w tej króciutkiej chwili, nie dawało się uchwycić żadnym

zmysłem, ogarnąć rozumem. Błysk jak mgnienie oka. Jakby miliony pasm nitek energii prześlizgnęły się nagle po powierzchni pustki i zniknęły zbyt szybko, by oko było w stanie zauważyć ich ruch. W jednej chwili wszystko było czarne i bezkształtne, by w następnej rozpostarła się wokół misterna sieć niezliczonych nitek płonących żywym światłem, wypełniając cudowną i niezgłębioną otchłań. Niebiosa pulsowały wprost oślepiającą światłością, która zdumiewała mocą i nieskazitelną czystością. Jak poprzednio buchnęła fala potwornej energii, która tym razem wylała się na zewnątrz. Puga i jego towarzyszy ogarnęło dziwne uczucie dopełnienia, pewnej całości, jakby coś, czego doświadczyli, dobiegło wreszcie końca. Po twarzach całej trójki płynęły nadal łzy szczęścia i zachwyty nad cudownym zjawiskiem.

– Macros, co... co to było? – spytał Tomas cicho, łamiącym się ze wzruszenia głosem.

– Ręka Boga – wyszeptał czarnoksiężnik, nie odrywając szeroko otwartych oczu od przestrzeni. – Pierwotny Impuls. Pierwsza Przyczyna. Najwyższa Moc, Byt Ostateczny. Nie potrafię tego nazwać. Wiem tylko, że w jednej chwili nie było absolutnie nic, a w następnej wszystko istniało. To Pierwsza Tajemnica i nawet teraz, gdy byłem tego naocznym świadkiem, nie mam zamiaru udawać, że choć trochę ją rozumiem. – Szczęśliwy czarnoksiężnik zaśmiał się beztrąsko na cały głos i wykonał przedziwny, zwariowany taniec.

Pug i Tomas wymienili zdziwione spojrzenia. Macros dostrzegł kątem oka, że jest czujnie obserwowany. Zwrócił ku nim twarz rozświetloną prawdziwą, niczym nie zmąconą radością.

– Właśnie do mnie dotarło, chłopaki, że nie jesteśmy tutaj tylko z jednego

*powodu. – Patrzyli na niego nie rozumiejącym wzrokiem. – Nie mogę sobie wyobrazić, aby nawet bóg był pozbawiony choćby odrobiny próżności. I gdybym to ja był Bytem Ostatecznym, chciałbym z pewnością mieć publiczność oglądającą przedstawienie takie jak to.*

*Pug i Tomas parsknęli śmiechem. Macros nie przerywał szalonych płasów, nucąc pod nosem radosną melodyjkę.*

*– Bogowie, och, jak ja uwielbiam pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Sprawia to, że świat nie obrasta nudą, nawet po tak wielu latach. – Przerwał raptownie taniec. Zamyślił się, ściągając brwi. Widać było, że koncentruje się maksymalnie.*

*– Wróciła mi część mocy... – powiedział po długiej chwili ciszy.*

*Pug przestał się śmiać.*

*– Część...?*

*– Tak, ale wystarczająco dużo, bym mógł w razie potrzeby bardziej efektywnie manipulować twoją. – Pokiwał głową, a na jego ustach pojawił się chytry uśmieszek. – I dorzucić parę groszy od siebie.*

*Pug wzniósł oczy ku niebiosom, wpatrując się w potęgę i wspaniałość nowo narodzonego wszechświata, rozpościerającego się coraz dalej w pustce kosmosu.*

*– W porównaniu z tym wszystkim nasze problemy wydają się żałośnie małe i nieistotne.*

*– Tak, masz rację – powiedział Macros, poważniejąc. •– Z drugiej strony jednak, w twoim świecie istnieje pewnie wcale niemała grupka ludzi, która jest odmiennego zdania, widząc, jak armia Murmandamusa wlewa się wielką falą w granice Królestwa. Zgadza się, to niewielka planeta, ale jedyna, jaką znają i*



*posiadają.*

*Pug, nie wiedząc jak, poczuł, że poruszają się w czasie.*

*– Tak, uwolniliśmy się z pułapki – potwierdził Macros. Pug, zachwycony i pełen zdumienia, siedział w milczeniu. Gdy był świadkiem Początku, uczył, że coś się w nim stało, coś zaistniało w jego wnętrzu. Teraz wyraził to na głos. Spojrzał na Macrośa.*

*– Jestem taki jak ty.*

*Macros pokiwał powoli głową. Spojrzał na Puga ciepłym, radosnym wzrokiem.*

*– Tak, Pug, jesteś taki jak ja. Nie wiem, jaki czeka cię los, ale nie jesteś jak inni. Nie należysz ani do Niższej, ani do Wyższej Drogi. Jesteś po prostu czarnoksiężnikiem, który doskonale wie, że tak na prawdę nie ma takiej czy innej drogi, jest tylko magia. A magia może być ograniczona jedynie osobistymi talentami.*

*– Czy możesz zobaczyć swą własną przyszłość? – spytał Tomas przyjaciela.*

*– Nie, to zostało mi oszczędzone.*

*– Widzisz, Pug – powiedział Macros – bycie mocą, w porównaniu z innymi może niezbyt potężną, ale jednak wystarczająco dużą, aby się z nią trzeba było liczyć, nie składa się tylko z samych nieszczęść. No, a teraz musimy się stąd wyrwać.*

*– Wpatrywał się uważnie w szaleństwo ponad ich głowami. Materia tworzenia rozprzestrzeniała się błyskawicznie, wypełniając niebiosa oszalamiającym pięknem.*

*Wielkie, zawirowane chmury zielonych i niebieskich gazów, purpurowe kręgi ognistego przepychu oraz białe i żółte smugi światła śmigły jak oszalałe, przestaniając szarość międzyprzestrzeni, rozpychając granice nicości. Macros*

wyciągnął nagle rękę przed siebie.

– Tam!

Spojrzeli

tam,

gdzie

wskazywał.

Hen,

daleko,

dostrzegli

coś

przypominającego wążiutką wstążkę, rozwijającą się ku umykającym granicom nowego tworzenia.

– To tam musimy się dostać. I to szybko. Raz dwa, nie mamy czasu do stracenia. Wsiadajcie na Ryath. Smok nas powiezie. Szybko, szybko!

Błyskawicznie wspięli się na grzbiet smoka. I chociaż Ryath była mocno wycieńczona kiepskim jedzeniem, podolała zadaniu. Zerwała się do lotu i po chwili mknęli już przez szarą przestrzeń. Wkrótce znaleźli się w normalnej przestrzeni i zawisli ponad wąskim paskiem materii. Macros polecił smokowi, by zatrzymał się w powietrzu, a Tomasa poprosił, by opuścił ich na dół, na drogę. Stanęli na żółtobiałej drodze oznaczonej migoczącymi srebrzyście prostokątami, rozmieszczonymi mniej więcej co piętnaście metrów. Pug przyjrzał się szerokiemu na około sześć, siedem metrów paskowi lądu.

– Macros, my się tu zmieścimy, ale będzie kłopot z Ryath. Czarnoksiężnik podniósł głowę.

– Ryath! Jest bardzo mało czasu. Ukryta Wiedza. Masz do wyboru: albo zaufać Pugowi i Tomasowi i wyjawić jej tajemnicę, albo zginąć, aby zachować sekret swej rasy. Ja obstaję za okazaniem zaufania, mocno cię do tego namawiam.

Decyzję musisz jednak podjąć sama, i nie masz na to dużo czasu.

Ogromne, rubinowe oczy smoka zwięzły się w szparki. Wpatrywał się uporczywie w czarnoksiężnika.

– Czyż ojciec mój był dla ciebie tak hojny, iż podzielił się z ludzką istotą zakazaną wiedzą?

– Wiem wszystko, ponieważ zaliczał mnie do grona swych prawdziwych przyjaciół.

Smok skierował wzrok na Puga i Tomasa.

– Od ciebie i od twego przyjaciela, Valheru, żądam przysięgi: nigdy nikomu nie wyjawicie tego, czego świadkami staniecie się za chwilę.

– Przysięgam na swoje życie – powiedział Tomas.

– Przysięgam – powtórzył za nim Pug.

Ciało smoka spowiła złocista, roziskrzona poświata. Z początku blada, prawie niewidoczna, z każdą chwilą stawała się coraz bardziej intensywna. Nie minęło wiele czasu, a była już tak oślepiająca, że nie dało się na nią patrzeć bez przysłonięcia oczu. Blask nasilał się nieustannie, nie można już było dostrzec szczegółów sylwetki smoka. Po kilkunastu sekundach zarysy Ryath zaczęły się kurczyć, zlewać i rozmywać. Smok zaczął opuszczać się na drogę. Ryath zmniejszała się gwałtownie, aż stała się wielkości człowieka. Poświata przygasła powoli, blednąc i zanikając. Gdy w końcu znikła zupełnie, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się smok, ich oczom ukazała się rudo złotowłosa i błękitnooka

*kobieta zdumiewającej urody. Była zupełnie naga. Jej figura miała idealne proporcje.*

*– Zmiennokształtna – krzyknął Pug. Ryath podeszła bliżej.*

*– Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, ale w razie potrzeby możemy swobodnie wmieszać się w ich społeczność – powiedziała pięknym, melodyjnym głosem. – Tylko większe smoki posiadły tę sztukę. Oto dlaczego lud wasz jest zdania, że nasza rasa wyginęła prawie zupełnie. Prawda jest inna – od dawna wiemy, że gdy zachodzi potrzeba kontaktu z ludźmi, o wiele lepiej jest tak wyglądać.*

*– Chociaż nie mogę nie podziwiać takiego piękna – odezwał się Tomas – to jeśli nie znajdziemy jej ubrania, może wywołać spore poruszenie, gdy powrócimy do domu.*

*Ryath uniosła piękną, białą rękę i jej postać natychmiast przyoblekła się w żółtozłotą szatę podróżną.*

*– Sama mogę się przyodziać, Valheru. Moja moc, sztuka i możliwości są o wiele potężniejsze, niż podejrzewasz.*

*– O tak, to prawda – zgodził się Macros. – Gdy przebywałem z Rhuaghem, nauczył mnie magii, która nie jest znana żadnej śmiertelnej rasie. Nigdy nie oceniacie zbyt nisko możliwości Ryath. Arsenal, którym może się przeciwstawić wrogowi, jest znacznie bogatszy niż kły, ogień i szpony.*

*Pug przypatrywał się pięknej kobiecie, nie mogąc ciągle uwierzyć, że jeszcze przed chwilą była większa niż domy. Spojrzał twardym wzrokiem na Macrosa.*

*– Gathis wspomniał kiedyś, że zawsze narzekasz, iż tak wiele jest do nauczenia, a tak mało na to czasu. Chyba zaczynam rozumieć.*

*Macros uśmiechnął się.*

– To znaczy, że naprawdę rozpoczynasz swoją naukę, Pug. – Rozejrzał się.

Na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. Oczy zaiskrzyły się wewnętrznym światłem.

– O co chodzi?

– Znaleźliśmy się w pułapce, nie mając nadziei na zwycięstwo. Nadal możliwa jest porażka, lecz teraz przynajmniej możemy ująć ster we własne ręce i mamy niewielką bo niewielką, ale jednak szansę zwycięstwa. Chodźcie, przed nami długa droga.

Czarnoksiężnik powiódł ich dalej. Mijali kolejne rozedrgane srebrzyście prostokąty, pomiędzy którymi widać było gwałtownie malejące w oddali gwiazdy nowego tworzenia. Szara masa międzyprzestrzeni przesuwiała się powoli koło nich.

– Macros, gdzie jesteśmy? – spytał Pug.

– To najdziwniejsze miejsce ze wszystkich. Nawet w porównaniu z Wiecznym Miastem. Różnie to nazywają: Korytarz Światów lub Sala Wszechświata, Gwiazdny Szlak, Droga Ucieczki, a najczęściej: Korytarz Światów. Dla tych, którzy przemierzają ten szlak, to po prostu Korytarz. Zanim powrócimy na Midkemię, mamy mnóstwo czasu, aby przedyskutować wiele spraw i pojęć. Ale zanim porozmawiamy, jest kilka rzeczy, które muszę wam przekazać.

– Co to za rzeczy? – spytał Tomas.

– Na przykład, jaka jest prawdziwa natura Przeciwnika – dokończył Pug.

– No właśnie – zgodził się Macros. – Chciałem wam oszczędzić parę faktów aż do ostatniej chwili. Gdyby nie udało się nam wyrwać z pułapki, po co się martwić niepotrzebnie? Teraz jednak musimy się przygotować do ostatecznej konfrontacji i w związku z tym powinniście poznać całą prawdę.

*Obaj magowie spojrzeli na Tomasa.*

*– Nie rozumiem... o czym mówisz?*

*– Wiele faktów z twego poprzedniego życia pozostawało ciągle w ukryciu przed tobą. Teraz nadszedł czas, aby rozedrzeć te zasłony i ukazać całą prawdę.*

*Zatrzymali się. Macros wyciągnął rękę i zakrywając oczy Tomasa, wypowiedział dziwne słowo. Ten zeszywniał gwałtownie i poczuł, jak wracają wspomnienia.*

*Świat wirował w pustce kosmosu, krążąc wokół ciepłej, dającej życie gwiazdy. Na jego powierzchni rozkwitało bogactwo wszelkiego życia. Dosiadły go dwa byty. Każdy z nich miał do spełnienia ściśle określone zadanie. Rathar zebrała w dłonie niezliczoną liczbę pasm życia i mocy i z wielką ostrożnością i starannością wplatała każde z nich w skomplikowaną sieć struktury Porządku, tworząc z nich potężny, pojedynczy warkocz. Po przeciwnej stronie Rathar znalazł się drugi byt – Mythar. Chwytał za warkocz i w dzikim zapamiętaniu szarpał i rozrywał pasma, ciskając je w bezmiar pustki Chaosu, w którym unosiły się bezładnie. Rathar chwyciła je i cierpliwie splatała z powrotem w jedno, wspólne pasmo. Każde z nich szło za głosem swej natury i powołania i pozostawało zupełnie obojętne na wszystkie inne stworzenia i byty. To było Dwoje Ociemniałych Bogów Początku. Taka była natura wszechświata w jego niemowlęcym okresie. W trakcie nie kończącego się, znojnego trudu obojga boskich bytów mikroskopijne kawałki pasm uszły uwagi Rathar i spadły na glebę krążącego poniżej świata. Z nich właśnie wywodzi się najbardziej cudowna z magii stworzenia: życie.*

*Ashen-Shugar został brutalnie wyciągnięty z łona matki rękami akuszerki moredheli. Hali-Marmora dobytek miecza i przecięła pępowinę, która łączyła ją z*

*synem. Jej twarz była ściągnięta bólem rodzenia.*

*– To ostatni, którego dostaliście ode mnie bez walki – warknęła przez zaciśnięte zęby.*

*Akuszerka-Moredhel chwyciła nowo narodzonego Valheru i wybiegła na zewnątrz górskiej jaskini, by wręczyć go czekającemu tam Elfowi.*

*Elf znał swoje obowiązki. Żaden Valheru nie mógł żyć bez walki. Taka już była kolej rzeczy. Elf poniósł milczące dziecko, które od chwili przyjścia na świat nie wydało z siebie najmniejszego dźwięku. Niemowlak narodził się w pełni świadomy.*

*Stworzenie maleńkie i kruche, lecz nie pozbawione mocy.*

*Elf odnalazł miejsce, które wybrał zawczasu, i położył dziecko na niczym nie osłoniętych skałach. Zostawił je nagie, bez żadnego okrycia, wpatrujące się w zachodzące słońce.*

*Maleńki Ashen-Shugar przyglądał się otoczeniu. Z każdą minutą w jego główce powstawały nazwy i pojęcia. W pewnej chwili tuż obok niego znalazł się wężący zawzięcie padlinożerca. W umyśle maleńkiego Valheru rozległ się przeraźliwy wrzask wściekłości i zwierzak czmychnął, podkuliwszy bojaźliwie ogon.*

*Pod wieczór na ciemniejącym niebie ukazał się ogromny skrzydlaty stwór i zaczął krążyć nad małym. Przekrzywił głowę i przypatrywał się temu, co leżało na skałach, zastanawiając się, czy jest to pokarm. Krążąc nieustannie, obniżał lot.*

*Usłyszał nagle, że maleńka istotka woła go.*

*Ashen-Shugar dojrzał ogromnego orła krążącego ponad nim. Od razu wiedział, że jest to jego stworzenie, stworzenie, któremu może rozkazywać.*

*Posługując się prymitywnymi jeszcze i niezdarnymi obrazami, polecił gigantycznemu ptakowi wylądować obok siebie i udać się na polowanie. Po kilku*

*minutach orzeł powrócił z trzepoczącą się w dziobie rybą, złapaną w rzece. Ryba była dwa razy większa od dziecka. Ptak rozdarł ją na strzępy dziobem i szponami i karmił niemowlę małutkimi kawałkami. Tak jak w przypadku wszystkich osobników jego rasy, pierwszym posiłkiem Ashen-Shugara było surowe, ociekające krwią mięso. Przez pierwszą noc orzeł okrywał maleństwo skrzydłami jak własne. Po kilku dniach opiekowało się nim już kilkanaście ptaków.*

*Valheru rósł jak na drożdżach. Rósł o wiele szybciej niż dzieci innych ras. Nie minęło jeszcze lato, a mały potrafił już dogonić jelenia, zabić go jednym, potężnym uderzeniem umysłu i pożreć na surowo, wyrywając kawały mięsa gołymi rękoma. Co jakiś czas dziecko czuło na sobie delikatne muśnięcia innych umysłów, ale natychmiast się cofało. Chłopiec instynktownie wiedział, że najbardziej powinien się obawiać istot własnej rasy. Przynajmniej do chwili, gdy stanie się dostatecznie mocny, by wywalczyć w społeczności własne miejsce.*

*Pierwszy konflikt nastąpił, gdy kończył pierwszy rok życia. Inny młodzieniec, Lowris-Takara, zwany również Królem Nietoperzy, wykorzystując swoje sługi do znalezienia Ashen-Shugara, przybył w środku ciemnej nocy. Rozgorzała walka. Każdy chciał zawładnąć mocą przeciwnika, wchłonąć ją w siebie. W końcu Ashen-Shugar zwyciężył. Wyposażony w siłę Lowris-Takara i własną moc zaczął szukać odpowiednich dla siebie przeciwników. Polował na innych młodych Valheru, jak Lowris-Takara na niego. Pod jego ciosami padło kolejno siedmiu młodzieńców. Stawał się coraz potężniejszy, zyskując miano Władcy Orlich Perci. Wyruszał na łowy na grzbiecie ogromnego orła. Pierwszego wielkiego smoka, którego miał dosiąść, sam oswoił. Walczył następnie z własną matką i zabiwszy ją, przejął we władanie jej jaskinię. Z biegiem lat męźniał. Niedługo zaczął być uznawany za*



*jednego z najpotężniejszych przedstawicieli swej rasy.*

*Polował i zabawiał się z kobietami moredheli. Co jakiś czas łączył się w krótkotrwały związek z kobietą własnej krwi. Rozsadzające je potężne żądze i instynkt macierzyński tłumili i kazały na chwilę zapomnieć o wojennym popędzie skierowanym przeciwko wszystkim przedstawicielom własnej rasy. Ze związków tych przetrwali tylko dwaj potomkowie. Pierwszym dzieckiem była Alma-Lodaka, którą spłodził we wczesnej młodości. Drugim syn, Draken-Korin, który narodził się z jego związku z Alma-Lodaką. Dla Valheru więzy krwi nie miały w tych sprawach żadnego znaczenia i były tylko punktem odniesienia we wzajemnych relacjach.*

*Gdy narastała w nim bezmyślna, nie dająca się opanować żądza grabieży i rozboju, wyruszał wraz z braćmi na podbój niebios. Na wyprawy takie zabierał swoich eldarów, którzy mu usługiwali. Towarzyszyli mu w tych wyprawach, dosiadając jak i on wielkich smoków, by porządkować zdobyty łup i dbać o niego.*

*Dobrze poznał wszechświat, który drżał w osadach, słysząc, jak Sfory Smoków wzbijają się w niebiosy z ogłuszającym łoskotem i szumem wielkich skrzydeł.*

*Zdarzało się, że inne sięgające ku gwiazdom rasy rzucały wyzwanie Valheru, lecz żadna nie przetrwała tej konfrontacji. Kontemplatorzy Per, dysponujący mocą manipulowania samą materią życia, zostali unicestwieni, a wraz z nimi przepadły na zawsze ich tajemnice. Tyran Imperium Cormoran wystąpił przeciwko nim potęgą tysiąca światów. Przez otchłań kosmosu pomknęły statki wielkością dorównujące całym miastom, by wypluć ze swych przepastnych wnętrzy, na zgubę najeźdźcom, potężne maszyny wojenne. Jeźdźcy Smoków zmiotli je z powierzchni świata bez cienia litości. Tyran długo umierał w najgłębszych lochach swego pałacu, krzycząc przeraźliwie z bólu, podczas gdy nad nim świat, którym władał, ginął pod ciosami*

wroga. Równie szybko Sfory Smoków unicestwiły Mistrzów Majinor wraz ze ich mroczną magią. Wszyscy próbowali stawiać opór: Wielkie Przymierze, Władcy Świtu czy Braterstwo Siar. I wszyscy zostali zniszczeni bez litości. Wszyscy, którym przyszło stanąć twarzą w twarz z Valheru odeszli w niebyt. Jedyne Strażnicy Wiedzy Aal, prawdopodobnie pierwsza świadoma rasa, uniknęli zagłady. Lecz nawet Aal nie potrafili zwyciężyć Sfory Smoków. W dziesiątkach, setkach wszechświatów Valheru utrzymywali całkowitą przewagę.

Przez całe wieki Ashen-Shugar żył tak, jak zawsze żył jego lud. Nie bojąc się nikogo i oddając cześć jedynie Rathar, Tej Którą Zwą Porządkiem, oraz Mythar, Temu Którego Zwą Chaosem; dwojgu Ociemniałym Bogom Początku.

I oto Ashen-Shugar usłyszał zew i udał się na spotkanie ze swymi braćmi.

Dziwne to było wezwanie. Nie podobne do żadnego z wcześniejszych. Gdy nadeszło, nie zalała go nieodparta żądza krwi. W piersi nie wezbrało szaleństwo, które niosło ich pośród gwiazd, aby podbijać i unicestwiać inne światy. Zew głosił, by wszyscy Valheru spotkali się i porozmawiali. Dziwny to był pomysł.

Na równinie, na południe od gór i wielkiej puszczy stanęły setki Valheru, którzy tworzyli rasę. Środek koła zajął Draken-Korin, który nazwał się Panem lub Władcą Tygrysów. Po bokach czekały dwa jego stwory. Stały ze skrzyżowanymi na piersiach potężnymi rękami. Ich tygrysie twarze wykrzywił wściekły grymas. Dla Valheru były jak powietrze, nie znaczyły nic. Przypominały jedynie, że Draken-Korin, zgodnie z powszechnie panującą opinią, był z nich wszystkich najdziwniejszy. W jego głowie rodziły się pomysły nowego porządku rzeczy.

– Porządek wszechświata zmienia się – zaczął, wskazując na niebiosa. –

Rathar i Mythar uciekli lub pozbawieni zostali władzy. Bez względu na przyczynę

*Porządek i Chaos nie mają już znaczenia, stały się pustymi wyrazami. Mythar rozpuścił pasma mocy i powstają z nich nowi bogowie. Teraz, gdy zabrakło Rathar, która pieczołowicie splatała je z powrotem w jedność, byty te przejmą szybko władzę i ustalą nowy porządek. Porządek, któremu musimy się sprzeciwić. Bogowie ci posiadli wiedzę, są świadomi swej mocy i potęgi. Rzucają nam wyzwanie!*

*– No to, gdy się jakiś pojawi, zabij go po prostu – powiedział Ashen-Shugar, który nie przejął się zbytnio słowami Draken-Korina.*

*– Dorównują nam potęgą. Dotychczas walczą jeszcze pomiędzy sobą. Jedni nad drugimi pragną zdobyć władzę i przewagę, aby opanować po mistrzowsku moce pozostawione przez Ociemniałych Bogów Początku. Walka ta jednak dobiegnie końca i wtedy nasza egzystencja zostanie bezpośrednio zagrożona. Zwrócą swą moc przeciwko nam.*

*– No i czym tu się martwić? – zapytał Ashen-Shugar. – Odpowiedź jest jedna i prosta: będziemy walczyli, jak zawsze.*

*– Nie, tym razem trzeba czegoś więcej. Nadchodzi czas, byśmy walczyli pospołu, w harmonii, a nie samotnie, na własną rękę. W przeciwnym razie grozi nam, że im ulegniemy.*

*W ostatnich czasach Ashen-Shugar słyszał w sobie dziwny głos, głos, który miał imię. I chociaż w tej chwili nie mógł go sobie przypomnieć, głos przemówił:*

*„Musisz trzymać się osobno. Nie mieszaj się w to”.*

*– Róbcie, co chcecie – odezwał się Władca Orlich Perci. – Ja się w to nie mieszam. – Poleciał swemu wielkiemu, złotemu smokowi Shurudze, by wzbił się w powietrze i odleciał do domu.*

*Czas mijał. Kilka razy Ashen-Shugar zaglądał do braci, by zobaczyć, jak*

*pracują. Dzięki pracy niewolników i sztuce magicznej wnoszono coś dziwnego, coś, co przypominało miasta w innych światach. Jeszcze przed ukończeniem jego budowy zamieszkali w nim Valheru. Jak nigdy dotąd stali się na pewien czas społecznością współpracujących ze sobą istot, a ich bojową naturę łagodziły ugoda i zawieszenie broni. Wszystko to było Ashen-Shugarowi zupełnie obce.*

*Tuż przed zakończeniem budowy miasta Ashen-Shugar siedział na grzbiecie smoka i obserwował ich pracę. Dzień był wietrzny. Wyczuwało się już lodowate podmuchy nadciągającej zimy.*

*Nad nimi rozległ się donośny ryk. Z gardzieli Shurugi wyrwał się potężny odzew. „Walczymy?” – spytał złoty smok.*

*– Nie. Czekamy.*

*Ashen-Shugar zignorował rozczarowanie, które wyczuł u smoka. Po chwili wylądował niedaleko drugi smok, czarny jak węgiel. Zbliżył się ostrożnie do Ashen-Shugara.*

*– Czy Władca Orlich Perci zdecydował się w końcu przyłączyć się do nas? – spytał Draken-Korin. Jego czarnopomarańczowa zbroja zalśniła w ostrym świetle, gdy zsiadał ze smoka.*

*– Nie. Obserwuję jedynie – odpowiedział Ashen-Shugar, również opuszczając się z grzbietu smoka.*

*– Tylko ty jeden nie zgodziłeś się.*

*– Dołączenie do was, by plądrować kosmos to jedno, Draken-Korin, ale ten twój plan to czyste szaleństwo.*

*– A cóż to jest szaleństwo? Nie wiem, o czym mówisz. Jesteśmy. Działamy.*

*Czego więcej ci trzeba?*

– *To nie nasza droga.*

– *Naszą drogą na pewno nie jest stanie i patrzenie beczynnie, jak inni sprzeciwiają się naszej woli. Nowe istoty rzucają nam wyzwanie, współzawodniczą z nami.*

*Ashen-Shugar wzniosł oczy ku niebu. Wpatrywał się przez chwilę w znaki, które potwierdzały, że Draken-Korin, mówiąc o zmaganiach rodzących się nowych bogów, miał rację.*

– *Tak, zgadza się. – Przypomnił sobie inne, sięgające ku gwiazdom rasy śmiertelników, które zastąpiły im drogę i zniknęły z powierzchni wszechświata zmiecione potęgą Sfory Smoków. – Lecz, ci są inni. Oni też zostali stworzeni z samej materii tego świata, jak i my.*

– *A cóż to za różnica? Przyznaj, iluż to braci naszej krwi zginęło z twojej ręki? Ile krwi przepłynęło przez twe wargi? Ktokolwiek staje przeciwko tobie, musi zginąć, inaczej zabije ciebie. To wszystko, cała filozofia.*

– *A co z tymi, którzy zostali, moredhelami i Elfami? – spytał, używając nazw, które rozróżniały niewolników służących w domach i pracujących na polach i w lasach.*

– *Jak to, co z nimi? Oni się nie liczą. Są niczym.*

– *Należą do nas... są naszą własnością. – Ashen-Shugar poczuł w sobie dziwną obecność. Domyślił się, że inny, którego imię często umykało jego pamięci, sprawiał, iż wypełniła go obca jego sercu troska.*

– *Zdziwaczałeś w tych swoich górach, Ashen-Shugar. To nasze sługi. Przecież nie posiadają prawdziwej mocy. Istnieją wyłącznie dla naszej przyjemności. Co cię trapi?*

– *Sam nie wiem. Jest coś...* – zawiesił głos, jakby nasłuchiwał wołania

*przyzywającego go w inne miejsce –...w tym, co się teraz dzieje, jest coś z gruntu złego. Myślę, że ryzykujemy nie tylko nasz los i nasze istnienie, ale również narażamy samą materię wszechświata.*

*Draken-Korin wzruszył ramionami i podążył ku swemu smokowi.*

– *Na czym polega problem? Jeśli przegramy, zginiemy. Prosta sprawa. Co mnie obchodzi, czy wszechświat przestanie istnieć wraz z nami? – Dosiadł smoka. – Łamiesz sobie głowę sprawami, które nie mają absolutnie żadnego znaczenia.*

*Draken-Korin odleciał, zostawiając Ashen-Shugara sam na sam z dziwnymi, nowymi uczuciami, które na dobre zagościły w jego sercu.*

*Znowu minął jakiś czas. Władca Orlich Perci przyglądał się ostatnim pracom w mieście Draken-Korina. Pojawił się, gdy dobiegły końca, i zastał swoich braci na naradzie. Kroczył szeroką aleją pomiędzy wysokimi kolumnami zwieńczonymi rzeźbami tygrysiich głów. Próżność Draken-Korina rozbawiła go.*

*Zszedł na dół szeroką rampą i znalazł się wkrótce w gigantycznej, podziemnej sali wypełnionej po brzegi Valheru. Zauważyła go Alma-Lodaka, która nazwała się Szmaragdową Panią Węży.*

– *Czy przyszedłeś, by się do nas przyłączyć Ojczy-Mężu? – Stała w towarzystwie dwóch sług, którzy byli dokładną imitacją tych, którymi otaczał się Draken-Korin. Tyle, że jej towarzysze, wzrostu rosnących moredheli, byli węzami, którym dodano ręce i nogi. Bursztynowe oczy, przysłaniane opadającą co kilka chwil mlecznobiałą błoną, wpatrywały się nieruchomo w Ashen-Shugara.*

– *Przybyłem, by zostać świadkiem głupoty. Draken-Korin wyciągnął czarny miecz. Alrin-Stolda, Monarcha Czarnego Jeziora, wpadł pomiędzy nich.*

– *Jeśli przelejesz choćby jedną kroplę krwi, Valheru, nasza umowa natychmiast wygasa!*

*Miecz Władcy Tygrysów powędrował do pochwy.*

– *Masz szczęście, że zjawiasz się późno, bo bylibyśmy świadkami końca twych błazeństw.*

– *Nie boję się ciebie. Chciałem tylko zobaczyć, coście tu zdziałali i stworzyli. To mój świat i nie pozwolę, by coś zagrażało temu, co do mnie należy.*

*Czuł na sobie zimne spojrzenia tłumu.*

– *Zrobisz, co uznasz za stosowne. Ale my również nie dopuścimy do tego, aby coś stanęło na drodze naszej sprawie – powiedział Alrin-Stolda. Potężny jesteś.*

*Władco Orlich Perci, wiemy o tym, ale nam wszystkim nie dasz rady. Możesz się przyglądać, ale my będziemy robili to, co uczynić musimy.*

*Wszyscy zebrani pod wodzą Draken-Korina złączyli się w magicznym działaniu. Ashen-Shugar poczuł, jak jego wnętrzości rozdziera straszliwy, paraliżujący ból. Trwał zaledwie ułamek sekundy i po chwili zostało po nim tylko odległe wspomnienie. Na środku sali pojawił się ogromny, okrągły głaz.*

*Gigantyczna, spłaszczona bryła o barwie przy gaszonej zieleni. Jej boczna ściana, porznięta jak brylant w geometryczne, płaskie powierzchnie, lśniła jak szmaragd płonącym wewnątrz ogniem. Draken-Korin zbliżył się do kamienia i położył na nim dłoń. Kamień zaczął pulsować wewnętrzną energią.*

– *Patrzcie wszyscy, oto narzędzie ostateczne. Kamień Życia.*

*Ashen-Shugar odwrócił się na pięcie i nie mówiąc ani słowa, wymaszerował na zewnątrz, powracając do czekającego smoka. Usłyszał za sobą czyjś głos.*

*Odwrócił się. Alma-Lodaka biegła za nim.*

– *Ojcie-Mężu! Nie przyłączysz się do nas? Poczul, że coś go gwałtownie ku niej popycha. Podobnie jak wtedy, gdy budził się w niej zew natury, by wydać na świat potomka. Uczucie równie silne, a jednak zupełnie inne. Nie potrafił go pojąć.*

„*To przyjaźń, miłość*” – *usłyszał w sobie głos tego drugiego. Zignorował go.*

– *Córko-Żono, nasz Brat-Syn rozpoczął działania zwiastujące naszą ostateczną zagładę. Jest szalony. Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.*

– *Nie wiem, o czym mówisz. To słowo jest mi obce, nie znam go. Czynimy to, co uczynić musimy. Pragnęłam mieć cię u swego boku, ponieważ jesteś wśród nas jednym z najpotężniejszych wojowników, ale czyń, co uważasz za słuszne. Jeśli sprzeciwisz się nam, uczynisz to na własne ryzyko. – Nie mówiąc już nic, ruszyła ku sali, gdzie miała zapanować wielka magia.*

*Ashen-Shugar dosiadł smoka i powrócił samotnie na Orle Percie.*

*Gdy przekraczał próg jaskini w zboczu góry, która była mu domem, po niebiosach przetoczył się odległy grzmot – Sfora Smoków przekroczyła granicę dwóch światów.*

*Na całe tygodnie złowieszcze, szare niebo, zasnęło się czarnymi chmurami.*

*Materia tworzenia snuła się bezładnie od horyzontu po horyzont. Valheru zerwali się do boju, by rzucić zuchwałe wyzwanie nowym bogom. We wszechświecie zapanowało niczym nie ograniczone szaleństwo. Czas utracił swe znaczenie.*

*Materia rzeczywistości burzyła się i płynęła bezładnymi falami. Ashen-Shugar siedział samotnie pośrodku kamiennej groty i dumał.*

*Po pewnym czasie wezwał Shurugę i poleciał do dziwnego miejsca na równinie, miasta, które było wytworem wyobraźni i dziełem rąk Draken-Korina.*

*Po niebie krążyły i zderzały się we wściekłym tańcu gigantyczne wiry czystej*



energii. Ashen-Shugar obserwował z niepokojem, jak podstawowa materia czasu i przestrzeni wybrzusza się i nakłada warstwami sama na siebie. Wiedział, że jego czas był już bardzo blisko. Siedział pogrążony w milczeniu na grzbiecie Shurugi i czekał.

Usłyszał donośny, przeszywający umysł sygnał alarmowy, który stworzył w harmonii z otaczającym go światem. Sygnał, który powiedział mu, że chwila, na którą czekał, właśnie nadeszła. Na jego rozkaz Shuruga wzbił się jak szalony w górę. Ashen-Shugar rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu tego, o czym wiedział, że musi się pojawić na tle opętanych żywiołów niebios. Uczuł, jak smok sztywnieje pod nim raptownie. Shuruga dostrzegł ofiarę. Valheru zauważył sylwetkę Draken-Korina, gdy ten spowolnił lot swego czarnego smoka. W oczach Draken-Korina dostrzegł dziwny, obcy wyraz. Usłyszał wewnętrzny głos: „To zgroza, szaleństwo”.

Shuruga zaatakował. Ogromny smok wyrzucił z głębi gardzieli ogłuszające wyzwanie. Czarny natychmiast odpowiedział. Zwały się w śmiertelnej walce na tle oszalałego nieba.

Wkrótce było po wszystkim. Draken-Korin poświęcił zbyt wiele mocy, esencji swego istnienia, na stworzenie szaleństwa, które wypełniło teraz niebiosy.

Ashen-Shugar osiadł lekko na ziemi obok poskręcane go ciała przeciwnika.

Stanął nad nim. Umierający Valheru uniósł z trudem głowę i spojrzał na swego pogromcę.

– Dlaczego...? – wyszeptał.

– Nigdy nie powinno się było dopuścić do tej potworności. – Ashen-Shugar

wskazał ręką ku górze. – Sprowadziłeś zagładę na wszystko, co znamy, na całe

*nasze życie.*

*Draken-Korin przeniósł wzrok ku górze, gdzie jego bracia zmagali się z bogami.*

*– Byli tacy potężni. Nigdy nie sądziłem... – Na jego twarzy pojawiło się przerażenie i nienawiść, gdy ujrzał, że Ashen-Shugar wznosi złocisty miecz, aby dokończyć dzieła.*

*– Ale to ja miałem rację! – wrzasnął strasznym głosem. Ashen-Shugar odrąbał głowę przeciwnika. Jego ciało i głowa zniknęły z sykiem w chmurze dymu.*

*Siła życiowa Valheru wróciła ku niebiosom, by zasilić tę bezrozumną potęgę gniewu, walczącą z bogami. Na ziemi nie został po niej najmniejszy ślad.*

*– Nie ma żadnych racji. Jest tylko siła – powiedział Ashen-Shugar z goryczą w głosie. Spośród całej rasy on jeden był w stanie zrozumieć gorzką ironię swoich słów. Powrócił do jaskini, by czekać tam na zakończenie Wojen Chaosu.*

*Ponieważ sam czas został wykorzystany w bitwie jako oręż, stał się praktycznie bez znaczenia. Jednak w jakimś sensie mijał nadal, gdy bogowie walczyli z tym, co pozostało ze Sfory Smoków. Bogowie, którzy zdołali przetrwać mordercze zmagania i ustanowić swoje miejsce w hierarchii rzeczy, złączyli wysiłki i skoncentrowali je wyłącznie na Valheru. Zaatakowali jako jedna gigantyczna potęga, której moc daleko wykraczała poza najbardziej nawet pesymistyczne, najbardziej szalone sny o potędze Draken-Korina. Valheru zostali wyrzuceni z wszechświata do innego wymiaru przestrzeni i czasu. Droga powrotu została dla nich zamknięta definitywnie. W bezsensownej, bezrozumnej wściekłości Valheru usiłowali powrócić do domu, by dotrzeć do tej jednej rzeczy, którą zachowano na wypadek takiego dnia, tej rzeczy, do której dostęp uniemożliwił im jeden z braci.*

*Ashen-Shugar zapobiegł ich zwycięstwu, a teraz nie mogli powrócić do swego domu. Opętani wściekłością i dziką tęsknotą zwrócili swą potęgę przeciwko pomniejszych rasom w swoim nowym wszechświecie. Gnali jak opętani od świata do świata, niszcząc na swej drodze wszystko i wszystkich. Odzierali plądrowane światy z esencji życia, sekretów magii i potęgi słońc. Przed nimi rozpościerały się ciepłe, tryskające bujną zielenią światy, krążące wokół pełnych życia słońc. Za ich plecami obracały się wokół wypalonych gwiazd, zimne i martwe planety. W opętańczych próbach powrotu do świata, który podtrzymywał ich przy życiu, sprowadzili całkowitą ruinę i zagładę na wszystko, czego się dotknęli. Mniejsze i słabsze rasy zjednoczyły się, by stawić czoło wcielonemu szaleństwu. W pierwszej chwili zostali zdmuchnięci jak pyłek i zmuszeni do cofnięcia się. Z biegiem czasu tempo ich odwrotu malało, aż w końcu znaleźli drogę ucieczki. Jedna z mniej ważnych ras, zwana ludźmi, skupiła całą uwagę na ucieczce i wreszcie odkryła sposób, by jej dokonać. Ludzie oraz inne, bliskie im rasy, odkryli niebo. Otworzyły się bramy do innych światów. Uciemnione przez Valheru rasy uciekły, by rozproszyć się w czasie i przestrzeni.*

*W materii wszechświata powstały wielkie dziury. Przez te przesmyki między wszechświatami, pęknięcia w materii rzeczywistości, przeciskały się niezliczone rzesze Krasnoludów i ludzi, goblinów i trolli. Na Midkemii pojawiły się nagle nowe rasy, nowe istoty, które obrały ją za swój nowy dom.*

*Wkrótce potem bogowie zaczęli zamykać na wieczność świat Midkemii dla Jeźdźców Smoków. Kierowali się do przejść, na których otwarcie dali przyzwolenie, i zamykali je jedno po drugim. Nie wiadomo, kiedy została odcięta ostatnia, międzygwiazdna droga. Wzniesiono barierę. Sfory Smoków wielokrotnie na próżno*

*usiłowały pokonać zasłonę. Powrót na Midkemię został definitywnie zamknięty.*

*Rozpętało się szaleństwo. W bezsilnej wściekłości Valheru poprzysięgli znaleźć sposób, aby powrócić.*

*Wkrótce było po wszystkim. Wojny Chaosu, Dni Szaleństwa Opętanych Bogów, Czas Śmierci Gwiazdy czy jakkolwiek jeszcze nazywano konflikt między tym, co było, a tym, co pojawiło się później, dobiegł końca. Gdy moment ten wreszcie nastąpił i niebiosa zostały oczyszczone z szaleństwa, Ashen-Shugar opuścił jaskinię. Powrócił na równinę rozciągającą się u stóp miasta Draken-Korina. Krążąc nad nim, przyglądał się pokłosiu największych zmagających w historii wszechświata. Po pewnym czasie wylądował i pozwolił, by smok udał się na łowy. Sam zaś czekał na coś długo, w absolutnej ciszy, chociaż nie wiedział dokładnie na co.*

*Mijała godzina za godziną. W końcu wewnętrzny głos dał znać o sobie. „Co to za miejsce?”*

*– Pustkowie Wojen Chaosu. Pomnik Draken-Korina, martwa tundra, która kiedyś była wielką i pełną życia trawiastą równiną. Niewiele tu zamieszkuje istot. Większość stworzeń umyka na południe, gdzie panuje bardziej przyjazny klimat. „Kim jesteś?”*

*Pytanie rozbawiło Ashen-Shugara.*

*– Jestem tym, którym i ty się stajesz – odpowiedział, śmiejąc się. – Jesteśmy jednym. Sam to mówiłeś wiele razy. – Śmiech zamarł mu raptownie na ustach. Był pierwszym ze swej rasy, który potrafił się śmiać. Jednak pod jego weselością krył się głęboki smutek. To, że doceniał i rozumiał wartość poczucia humoru, wyróżniało go spośród wszystkich Valheru. Zdawał sobie sprawę, iż jest oto świadkiem początków nowej epoki.*

„Zapomniałem”.

*Ashen-Shugar, ostatni Valheru, odwołał z łowów Shurugę. Dosiadając swego wierzchowca, spojrzął jeszcze na miejsce, w którym ostatecznie pokonał Draken-Korina, gdzie szarzała plama popiołu. Shuruga wzbił się w niebo, wysoko ponad kraj wyniszczony szaleństwem.*

„To smutne i żałosne. Szkoda”.

– *Nie sądzę – powiedział Valheru. – To lekcja, ale mimo że się staram, nie jestem w stanie jej zrozumieć. Mam wrażenie, że ty tak... – Ashen-Shugar przymknął oczy. W głowie czuł tępy, pulsujący ból. Drugi głos ponownie zniknął z umysłu. Zignorował, odepchnął narastające zdumienie nad dziwną osobowością, która od wielu już lat wpływała na tok jego myślenia i postępowania, i skupił uwagę na ostatnim zadaniu, które go czekało. Valheru wyruszył w góry w poszukiwaniu istot zniewolonych przez jego rasę. Na południowym kontynencie przemknął ponad skrytą w gęstwinie puszczy fortecą ludzi-tygrysów.*

– *Wiedźcie, iż od dzisiaj jesteście wolnym ludem! – zawołał na całe gardło, żeby usłyszeli.*

– *A co z naszym panem? – krzyknął ich przywódca.*

– *Odszedł. Wasz los i przeznaczenie są od teraz w waszych rękach. Mówię to ja, Ashen-Shugar, Valheru.*

*Następnie udał się dalej na południe, gdzie zamieszkiwał lud ludzi-węży stworzonych przez Alma-Lodakę. Jego słowa spotkały się z sykiem przerażenia i wściekłości.*

– *Jak zdołamy przetrwać bez naszej pani, tej, która jest nam boginią-matką?*

– *Zdecydujcie sami. Jesteście wolnym ludem. Wężę jednak nie były*

*zadowolone. Zaczęły usilnie pracować, by odkryć sposób, dzięki któremu mogłyby przywołać swą panią z powrotem. Poprzysięgły jako rasa, iż nie spoczną, dopóki nie powróci ich matka i bogini, Alma-Lodaka. Od tej chwili stan kapłański stał się największą potęgą w społeczności Pantathian – ludzi-węży.*

*Valheru obleciał wokół cały świat i we wszystkich miejscach, nad którymi przelatywał, głosił te same słowa.*

*– Wasz los i przeznaczenie spoczęły w waszych rękach.*

*Wszyscy jesteście wolni.*

*Dotarł w końcu do dziwnego miejsca stworzonego przez Draken-Korina.*

*Przebywały tam Elfy. Valheru wylądował na równinie.*

*– Pragnę, aby wszyscy się dowiedzieli, że od tej chwili jesteście wolni.*

*Elfy spoglądały jeden na drugiego zdziwionym i niepewnym wzrokiem.*

*– Co to znaczy?*

*– Jesteście wolni. Możecie robić, co chcecie. Nikt już nie będzie się wami zajmował ani kierował waszym życiem.*

*Ten, który zapytał w imieniu wszystkich, skłonił się przed nim.*

*– Ale, panie... najmędrsi spośród nas odeszli z twymi braćmi. A wraz z nimi wiedza i moc władania potęgą. Bez naszych eldarów jesteśmy słabi. Jak mamy przetrwać?*

*– Od dzisiaj sami musicie wykuwać swój los, najlepiej jak potraficie. Jeśli będziecie słabi, czeka was zagłada. I zapamiętajcie sobie dobrze jedno: na tej ziemi pojawiły się nowe siły, nowe prawa. Pojawiły się też istoty, których natura jest obca. Będziecie z nimi wojować lub zawrzecie pokój – zależy to wyłącznie od was samych.*

*One także szukają swego losu i przeznaczenia. Zapanuje tu jednak zupełnie nowy porządek i musicie w nim znaleźć swoje miejsce. Może uznacie za konieczne wznieść się ponad wszystkich i zapanować nad nimi. Może też się zdarzyć, że to właśnie oni unicestwią was. A może uda się osiągnąć pokój? Decyzja leży wyłącznie w waszych rękach. Moje zadanie dobiega końca. Pozostało ostatnie polecenie: to miejsce zakazane – pod groźbą mego gniewu. Niech nigdy nie postanie tu niczyja stopa. – Ruchem ręki uaktywnił potężną magię i niewielkie miasteczko Valheru zapadło się powoli pod ziemię. – Niech pył czasu pokryje to miejsce i niech nikt o nim nie wspomni. Oto moja wola.*

*Elfy skłoniły się nisko.*

*– Wola twoja, panie, zostanie spełniona. – Najstarszy z Elfów odwrócił się ku swym braciom. – Nikt nie może tu wejść. Nikt nie może się zbliżyć. Zniknęło sprzed śmiertelnych oczu. Nikt nie będzie o tym pamiętał.*

*– Teraz jesteście wolnym ludem – powiedział cicho Ashen-Shugar.*

*– Udamy się więc do miejsca, gdzie będziemy mogli żyć w pokoju – odpowiedziały Elfy, które mieszkały w największym oddaleniu od swych panów, i ruszyły na zachód, by znaleźć pokój i harmonię.*

*– Będziemy się mieli na baczności przed nowymi istotami, ponieważ do nas należy prawo dziedziczenia potęgi i mocy – powiedzieli inni.*

*– Och, wy żalodne stworzenia, czyż nie zauważyłyście jeszcze, że potęga nic nie znaczy? Znajdźcie sobie inną drogę. – Lecz były to słowa rzucone na wiatr, moredhele już bowiem odeszły, śniąc swoje sny o potędze. W momencie, gdy wyruszyli w ślad za braćmi, ku zachodowi, postawili stopę na Mrocznym Szlaku. Z czasem ich krewniacy mieli ich przepędzić na cztery wiatry. lecz na razie stanowili*

*jedno.*

*Jeszcze inni oddalili się w ciszy, gotowi zniszczyć każdego, kto stanie im na drodze. Przekonani, iż siłą potrafią zdobyć wszystko, czego zapragną, nie szukali wcale potęgi swych panów. Serca i umysły tych Elfów zostały skrzywione przez moce, które rozpętały się nad światem w czasie Wojen Chaosu. Już teraz odłączali się od swych braci. W przyszłości mieli nazywać się glamredhel, czyli opętani, inaczej – wściekłe Elfy. I ponieważ skierowali swe kroki ku północy, patrzyli podejrzliwie na pobratymców idących na zachód. Za pomocą nauki i czarnej magii wykradzonych innym światom, mieli się w niedalekiej przyszłości zaszyć w głuszy, by wznosić gigantyczne miasta, naśladując swych panów. Ogromne twierdze miały ich chronić przed współbraćmi. Sami zaś, bezpieczni za wysokimi murami, knuli i planowali przyszłą bratobójczą wojnę.*

*Ashen-Shugar, zrażony i rozczarowany ich zachowaniem, powrócił do jaskini, by przebywać w niej aż do chwili, gdy nadejdzie czas, by opuścić to życie. Szykował drogę nowemu życiu. Wszechświat wokół niego się zmienił i Valheru czuł się obco w nowym porządku rzeczy. Wkrótce stało się tak, jakby sama natura rzeczywistości odrzucała jego istnienie. Zapadł w odrętwienie, w podobny do śpiączki sen. Jego byt zaczął się rozpraszać, przenikać do otoczenia, nasycając sobą zbroję i przedmioty magiczne. Miały czekać, aż nadejdzie ten, który miał przywdziać jego płaszcz i pancerz.*

*W końcu poruszył się lekko.*

*– Czy pobłądziłem?*

*„Teraz poznałeś co to wątpliwości”.*

*– Ten dziwny, wewnętrzny spokój, co to jest?*



*„To zbliża się śmierć”.*

*Ostatni Valheru zamknął powoli oczy.*

*– Tak też myślałem. Tak niewielu mej krwi doczekało śmierci nie w walce. To wielka rzadkość. Jestem ostatni. Ale chciałbym jeszcze raz osiąść Shurugi i wzbić się w powietrze.*

*„Odszedł. W dawno minionych wiekach”.*

*Ashen-Shugar zmagał się z niewyraźnymi wspomnieniami.*

*– Ale przecież leciałem na nim dziś rano – powiedział słabym głosem.*

*„To był sen. Jak i teraz”.*

*– Czy i ja jestem opętany? – Ashen-Shugara prześladowała myśl o tym, co dostrzegł niegdyś w spojrzeniu Draken-Korina.*

*„Jesteś zaledwie wspomnieniem – powiedział ten drugi. – To tylko sen”.*

*– Uczynię więc to, co zostało zaplanowane. Przyjmuję to, co nieuniknione.*

*Inny przyjdzie i zajmie moje miejsce.*

*„To już się stało. Jam jest tym, który przyszedł na twoje miejsce. Przypasałem twój miecz. Zarzuciłem na ramiona twój płaszcz. Sprawa, o którą walczyłeś, jest teraz moją. Rzucam wyzwanie i staję na drodze tym, którzy chcą splądrować świat”*

*– powiedział ten drugi.*

*Ten, którego zwali Tomasem.*

*Tomas otworzył szeroko oczy i zamknął je znowu. Potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał się uwolnić od natrętnych myśli. Dla Puga Tomas milczał tylko przez chwilę, lecz mag podejrzewał, że w tym czasie w umyśle przyjaciela pojawiało się bardzo wiele myśli.*

*– Odzyskałem wreszcie wspomnienia – powiedział w końcu Tomas. – Teraz*

*rozumiem, co się dzieje. Macros pokiwał głową.*

*– Odkąd miałem do czynienia z paradoksem Ashen-Shugar-Tomas, problemem było zawsze, jak wiele informacji można wyjawić Tomasowi. Teraz jest gotów, by stawić czoło największemu wyzwaniu swego życia. Musiał poznać całą prawdę. I ty również. Podejrzewam, że wydedukowałeś już, czego twój przyjaciel się dowiedział.*

*– Z początku zmyliło mnie to, że Przeciwnik, gdy przemówił w wizji Rogena, posłużył się starożytną wersją języka Tsuranich – odpowiedział cicho Pug. – Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że był to przecież język ludzi, których znał z czasów Ucieczki przez złoty most. Gdy porzuciłem myśl, że Przeciwnik jest w jakiś sposób powiązany z Tsuranimi i przemyślałem obecność eldarów na Kelewanie, wówczas zrozumiałem. Wiem, przed czym stoimy. Wiem również, dlaczego prawda była zakryta przed Tomaszem. To tak, jakby ożył nagle i przybrał realne kształty najpotworniejszy koszmar.*

*Macros zerknął na Tomasa, który wpatrywał się długo w Puga. W jego spojrzeniu widać było ból.*

*– Gdy po raz pierwszy przypomniałem sobie czas Ashen-Shugara, pomyślałem sobie, że ja... że to moje dziedzictwo ocalało jako obrona przeciwko inwazji Tsuranich. Ale jak widać, była to zaledwie drobna cząstka.*

*– Tak – powiedział Macros. – To nie wszystko. Teraz już wiesz, jak mógł mnie strzec wielki i czarny smok, o którym powszechnie sądziło się, że wyginął przed wiekami.*

*Na twarzy Tomasa zagościła obawa i wątpliwości. Zrezygnowany zwiesił ciężko głowę.*

– *Wiem również, jaki jest cel panów Murmandamusa. – Zatokował wokół nich szeroki łuk ręką. – Pułapka nie tyle miała zapobiec powrotowi Macrosa na Midkemię, ale ile miała nas doprowadzić tu i trzymać z dala od Królestwa.*

– *Dlaczego? – spytał Pug.*

– *Ponieważ w naszym własnym, realnym czasie Murmandamus zgromadził potężną armię i uderzył na twój rodzinny kraj. Założę się, że gdy szukaliście mnie w Wiecznym Mieście, on zdobył garnizon Wysokiego Zamku. Znam również cel jego inwazji na Królestwo. Murmandamus musi dotrzeć do Sethanon.*

– *Dlaczego do Sethanon? – spytał Pug.*

– *Ponieważ miasto to zostało przypadkiem zbudowane na ruinach starożytnego grodu Draken-Korina – powiedział Tomas.*

– *Co więcej, tam właśnie znajduje się Kamień Życia.*

– *Pug, musimy iść dalej. Porozmawiamy o tym w drodze – odezwał się czarnoksiężnik. Musimy wrócić na Midkemię i do własnych czasów. Tomas i ja możemy ci opowiedzieć o mieście Draken-Korina i Kamieniu Życia. O tych sprawach nic nie wiesz, chociaż znasz resztę: Przeciwnik, byt, o którym dowiedziałeś się na Kelewanie, to nie pojedyncza istota. To połączona moc i umysł Valheru. Jeźdźcy Smoków powracają na Midkemię! Chcą odzyskać swój świat. – Na jego ustach pojawił się pozbawiony radości uśmiech. – A my musimy ich powstrzymać.*

**ODWRÓT**

*Arutha przyglądał się uważnie wąwozowi.*

*Z Guyem i baronem Highcastle wyjechali przed świtem, by obserwować nadciągającą armię Murmandamusa. Z miejsca, gdzie niedawno zostali zatrzymani przez ludzi barona, mogli już dostrzec ogniska w obozie wroga.*

– *Widzisz, Brian? – Arutha wskazał ręką. – Co najmniej tysiąc ognisk, co oznacza pięć, sześć tysięcy żołnierzy. A to zaledwie pierwsze oddziały. Do jutrzejszego wieczora dotrze tu drugie tyle. Za trzy dni Murmandamus zwali ci na głowę trzydzieści tysięcy albo i więcej wojowników.*

*Highcastle zdawał się nie zauważać tonu Księcia. Pochylił się nad końskim karkiem, jakby chciał lepiej widzieć.*

– *Widzę tylko ogniska. Wasza Wysokość. Jak dobrze wiesz, Książę, palenie dodatkowych ognisk to powszechnie stosowany podstęp, aby przeciwnik nie mógł właściwie ocenić sił i ich dokładnego rozmieszczenia.*

*Guy zaklął pod nosem. Zawrócił konia.*

– *Nie będę marnował czasu, aby tłumaczyć oczywiste fakty idiotom.*

– *A ja nie będę siedział i słuchał spokojnie, jak obraża mnie zdrajca! – krzyknął gniewnie baron. Arutha wjechał pomiędzy nich.*

– *Guy, nie składałeś mi przysięgi wierności, ale żyjesz, ponieważ przyjąłem twoje słowo. Nie przeciągaj struny i nie doprowadzaj do tego, aby różnica zdań stała się sprawą honoru. Nie potrzebuję pojedynków, potrzebuję ciebie.*

*Jedyne oko Guya zwęziło się raptownie. Wydawało się, że za sekundę wyrzuci z siebie potok gniewnych słów, ale powstrzymał się. Zapadło krótkie milczenie.*

– *Przepraszam... panie. Trudy długiej podróży. Jestem pewien, że rozumiesz.*

– *Dał koniowi ostrogę i popędził z powrotem do garnizonu.*

– *Ten facet był niemożliwie arogancką świnią, gdy był księciem. Wydaje się, że dwa lata włóczędzy po Północy nic go nie zmieniły – rzekł baron.*

*Arutha gwałtownie obrócił konia w jego kierunku. Wyraz twarzy świadczył dobitnie, że jego cierpliwość się wyczerpała.*

– *A do tego jest najlepszym generałem, jakiego spotkałem w życiu, Brian.*

*Widział, jak twierdza, której bronił, padła pod ciosami wroga, a miasto uległo całkowitej zagładzie. W górach bląkają się tysiące jego ludzi, a on nawet nie wie, ilu zdołało przeżyć. Jestem pewien, że potrafisz zrozumieć jego zły nastrój. – Sarkazm ostatniej uwagi ujawnił silne wzburzenie Księcia.*

*Baron Highcastle milczał. Odwrócił się i obserwował obóz wroga aż do nadejścia świtu.*

*Arutha oporządzał konia, którego zabrał renegatom w górach. Gniada klacz wypoczywała. Powracały jej siły i przybierała powoli na wadze. Tego ranka Arutha jeździł na wierzchowcu pożyczonym od barona. Jeszcze dzień czy dwa i klacz będzie mogła wyruszyć w długą podróż na południe. Arutha oczekiwał, że baron Highcastle przynajmniej zaoferuje mu wymianę koni. Brian zdawał się jednak czerpać wiele radości z każdej sytuacji, kiedy mógł podkreślić, że jako wasal Lyama nie ma wobec Księcia żadnych zobowiązań poza zwykłą uprzejmością. Arutha nie miał nawet pewności, czy baron zdecyduje się dać im choć skromną eskortę. Facet był nieuleczalnym egoistą, niezbyt spostrzegawczym i potwornie upartym. Te cechy nie dziwiły specjalnie u kogoś zesłanego na pogranicze, by strzec granic przed kiepsko zorganizowanymi i nielicznymi bandami goblinów. Z pewnością nie były jednak pożądane u dowódcy, któremu chciało się powierzyć obronę przed zaprawioną w bojach i doskonale dowodzoną armią wroga.*

*Drzwi stajni otworzyły się i Jimmy oraz Locklear weszli do środka.*

*Zatrzymali się w pół kroku, zobaczywszy Aruthę. Po chwili Jimmy podszedł bliżej.*

– *Przyszedliśmy, aby sprawdzić konie.*

– *Nie mam zastrzeżeń do twojej opieki nad nimi, Jimmy, ale lubię, kiedy w*

wolnej chwili sam się zajmuję wierzchowcem. A poza tym daje mi to czas na spokojne przemyślenie wielu problemów.

Locklear usadowił się na beli siana między ścianą a wierzchowcem Księcia.

Pochylił się i pogłaskał klacz po chrapach.

– Wasza Wysokość, dlaczego tak się dzieje?

– To znaczy co? Dlaczego jest wojna?

– Nie, myślę, że chyba potrafię zrozumieć kogoś, kto pragnie zdobywać i podbijać, a przynajmniej słyszałem wystarczająco dużo o takich wojnach w historii.

Nie, mam na myśli to miejsce. Dlaczego akurat tutaj? Amos pokazywał nam na górze kilka map Królestwa i... to po prostu nie ma najmniejszego sensu.

Arutha przerwał szczotkowanie konia zgrzebłem.

– Poruszyłeś największy, najbardziej bolesny i trudny problem, który mnie trapi od dłuższego czasu. Dyskutowałem o tym z Guyem. My również nie wiemy.

Jednego można być wszakże pewnym. Jeżeli twój przeciwnik robi nagle coś zupełnie nieoczekiwanego, musi mieć jakiś powód. I lepiej będzie, paniczu, jeśli rozgryziesz go jak najszybciej. W przeciwnym razie stanie się to powodem twojej klęski. –

Zmrużył oczy. – Z pewnością istnieje konkretny powód, dla którego Murmandamus kieruje się tą właśnie drogą. Biorąc pod uwagę czas, jakim dysponuje do nadejścia zimy, jego celem może być tylko Sethanon. Ale dlaczego? Nie widzę żadnej przyczyny, dla której miałby się tam się pchać. A po drugie, jak już dotrze na miejsce, będzie musiał tam przezimować... a po nadejściu wiosny Lyam i ja zetrzemy go na proch.

Jimmy wyciągnął zza bluzy jabłko, przeciął na pół i dał jedną część koniowi.

– A może chce zakończyć całą sprawę jeszcze przed nadejściem wiosny.

*Arutha spojrział na niego zdziwiony.*

*– Nie rozumiem. O czym mówisz?*

*Jimmy wzruszył ramionami i otarł usta wierzchem dłoni.*

*– Wiem tylko tyle, ile sam powiedziałaś, panie. Trzeba odgadnąć, co wróg planuje. Jeśli wziąć pod uwagę, że miasto jest trudne do obrony, może liczy, że wszyscy się wycofają, kto wie? Jak sam powiedziałaś. Księżę, z nadejściem wiosny możesz go załatwić na amen. On sam też, jak sądzę, doskonale o tym wie. No właśnie, gdybym to ja kierował się prosto do miejsca, gdzie z nastaniem wiosny mógłbym dostać w tyłek, to jedynie dlatego, że według moich planów już by mnie tam na wiosnę nie było. Albo może jest tam coś, co dawałoby mi przewagę – coś, co uczyniłoby mnie tak potężnym, że już nie musiałbym zawracać sobie głowy groźbą znalezienia się między dwoma armiami. Albo to coś powstrzymałoby armie tak skutecznie, że w ogóle by nie dotarły na miejsce. Coś w tym guście.*

*Arutha oparł brodę na ramieniu wspartym o grzbiet konia. Zamyślił się.*

*– Ale co?*

*– Coś magicznego...? – rzucił niepewnie Locklear. Jimmy parsknął śmiechem.*

*– Odkąd zaczął się ten cały bałagan, na brak magii nie możemy narzekać.*

*Arutha przeciągnął powoli palcem po łańcuszku, na którym wisiał talizman otrzymany od zakonników Ishap w Sarth.*

*– Coś magicznego... – mruzczał niewyraźnie pod nosem –...ale co?*

*– Coś wielkiego – powiedział cicho Jimmy. Arutha poczuł jak wzbiera w nim irytacja. W głębi serca wiedział, że Jimmy miał rację. Nie potrafił rozgryźć sekretu nieobliczalnej z pozoru inwazji Murmandamusa i to go irytowało, doprowadzało powoli do wściekłości.*

*Nagle rozległ się donośny dźwięk trąbek alarmowych. Niemal natychmiast usłyszeli tupot ciężkich buciorów na bruku – żołnierze pędzili na stanowiska. W okamgnieniu Arutha i obaj młodzieńcy wyskoczyli ze stajni.*

*– Tam. – Galain wskazywał przed siebie.*

*Arutha i Guy patrzyli z najwyższej wieży głównego zamku, wznoszącej się ponad barbakanem dolnych fortyfikacji. Dalej, w głębokim wąwozie zwanym Przełęczą Cuttera widać już było pierwsze oddziały wojsk Murmandamusa.*

*– Gdzie Highcastle? – spytał Księżę.*

*– Na dole, na murach ze swoimi ludźmi – odpowiedział Amos. – Przyjechał niedawno. Cały pokrwawiony i poobijany. Prawdopodobnie Mroczni Bracia przedostali się wzgórzami na tyły jego wysuniętych pozycji i spadli mu niespodziewanie na kark. Musieli wyrąbywać sobie drogę powrotną. Chyba stracił większość ludzi z tamtego oddziału.*

*Guy zaklął brzydko.*

*– Kretyn! Przecież tam właśnie miał szansę zablokować natarcie armii Murmandamusa na parę dni. Tutaj, na murach, to będzie tylko cholernie żałosna i do tego krótkotrwała farsa.*

*– Niedocenianie możliwości moredheli z gór, gdy znaleźli się już w swoim – to jest w skalistym terenie, było nierozsądne. Nie ma przed sobą prostych goblinów, to coś zupełnie innego – powiedział Elf.*

*– Pójdę i zorientuję się, czy uda mi się z nim dogadać – powiedział Arutha.*

*Zbiegł szybko schodami i po paru minutach znalazł się na murach u boku barona. Highcastle krwawił z rany na głowie, gdyż cios miecza zrzucił mu hełm. Nie włożył innego i teraz włosy sklejała mu zaschnięta skorupa krwi. Był bardzo blady i*



*roztrzęsiony, lecz nadal dowodził swymi ludźmi.*

*– Brian, czy wiesz już, o czym mówiłem?*

*– Tu ich zatrzymamy. Zamkniemy to przejście – odpowiedział, wskazując na miejsce, gdzie ściany wąwozu schodziły się przed murami. – Jest tam zbyt mało miejsca, by zorganizować prawdziwe oblężenie, więc jego ludzie będą się musieli zatrzymać przed murem. Zetniemy ich jak łan zboża.*

*– Brian, on prowadzi na ciebie ponad trzydziestotysięczną armię. A czym ty dysponujesz? Dwoma tysiącami? Jemu jest wszystko jedno, jakie straty poniesie! Nie dba o to. Usypie z trupów swoich żołnierzy wał, po którym wejdzie spokojnie na górę, by sięgnąć wreszcie po ciebie samego. Będą szli, szli, szli... aż twoi ludzie nie będą mieli już siły, by podnieść rękę. Nie zdołasz powstrzymać ich dłużej niż dzień. Najwyżej dwa. Highcastle wbił wzrok w Aruthę.*

*– Do moich obowiązków należy obrona tego posterunku. Nie opuszczę go nigdy, chyba że Król rozkaże inaczej. Muszę wytrwać tutaj za wszelką cenę. A teraz... nie należysz. Księżę, do moich oddziałów... proszę więc, opuść mury. Arutha tkwił w miejscu. Policzki poczerwieniały mu z gniewu. Wreszcie obrócił się na pięcie i pośpieszył do wieży. Wbiegł na górę i dołączył do towarzyszy. Odszukał wzrokiem Jimmiego.*

*– Idźcie natychmiast do stajni. Siodłajcie konie! Weźcie wszystko, co potrzebne do długiej jazdy. Jeśli będziecie musieli, ukradnijcie zapasy z kuchni. Niewykluczone, że czeka nas szybki odwrót.*

*Jimmy skinął energicznie głową, chwycił Lockleara za rękaw i obaj popędzili w dół. Arutha, Guy, Galain i Amos obserwowali zbliżające się czoło armii Murmandamusa, które wlewało się w wąwóz jak fala wezbranych wód rzeki.*

Zaczął się zgodnie z przewidywaniami Aruthy. Fala żołnierzy zaatakowała wąskim gardłem wąwozu. Forteca miała służyć jako punkt oparcia dla całego garnizonu. Nikt nie przewidywał, że przyjdzie jej stawić czoło potężnemu atakowi doskonale zorganizowanej armii. A teraz właśnie taka armia stanęła u jej bram. Arutha dołączył do swoich towarzyszy na szczycie wieży. Łucznicy barona siali spustoszenie wśród pierwszych oddziałów wroga. Po chwili szeregi atakujących rozstały się. Do przodu ruszyły biegiem gobliny z ciężkimi tarczami na ramionach. Uformowały potężny i szczelny mur. Następnie zbliżyli się łucznicy moredheli, kryjąc się za tarczami. Zaraz też zerwali się na nogi i zaczęli odpowiadać łucznikom na murach. Pierwsza chmura ich strzał zrzuciła z murów kilkunastu ludzi barona. Atakujący rzucili się do przodu. Rozpoczęła się nieustająca wymiana pocisków. obrońcy twardo tkwili na posterunku, jednak wróg przybliżał się krok za krokiem.

Okupując każdy zdobyty metr ciężkimi stratami, posuwali się powoli, zostawiając za sobą zwały trupów. Szli fala za falą i padali jak ścięte zboże. Każdy następny atak rozpoczynał się o kilka kroków bliżej murów niż poprzedni. Łucznicy wroga ginęli jak muchy. Natychmiast zastępowali ich kolejni moredhele. Gdy pierwsze promienie słońca musnęły najwyższe szczyty wąwozu, atakujący pokonali już połowę dystansu dzielącego ich od muru. Zanim kula słoneczna przebyła krótką przestrzeń między jednym a drugim zboczem, atakujących dzielił od fortyfikacji dystans niecałych pięćdziesięciu metrów. Do ataku ruszyła kolejna fala.

Długie drabiny powędrowały ku pierwszym szeregom. Pomimo iż obrońcy siali pośród niosących je żołnierzy istne spustoszenie, to jednak na miejsce każdego zabitego goblina czy trolla, pojawiał się natychmiast drugi i drabina dalej

wędrowała ku murom. W końcu wszystkie zostały oparte o mur. obrońcy spychali je długimi tykami, lecz w miejsce przewróconych pojawiały się następne. Sznury goblinów pełzły uparcie ku górze, gdzie czekała ich zimna stal i palący ogień. Bitwa o Wysoki Zamek rozgorzała na dobre.

Arutha obserwował z wieży. Zmęczeni obrońcy odparli kolejny atak. Ostatnia fala zdołała przedrzeć się na blanki na południe od barbakanu. Wyłane na czas posiłki zatkały wyrwę w obronie i zmusiły wroga do odwrotu. Tuż przed zachodem słońca rozległy się trąbki nawołujące do odwrotu i rzesze wojowników Murmandamusa wycofały się do wąwozu. Guy zaklął.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiej rzezi i bezsensownych strat w imię wypełnienia obowiązku.

Arutha zmuszony był przyznać mu rację.

– Niech mnie cholera! – krzyknął Amos. – Być może te chłopaki z pogranicza to wy rzutki i śmiecie waszych wojsk, ale to prawdziwi twardziele i wspaniali żołnierze. Jeszcze nie widziałem, aby ktoś tak wspaniale sprawiał się w boju.

Arutha kiwnął głową.

– Na pograniczu nie posłużysz długo, jeśli szybko nie okrzepniesz i nie stwardniejesz. Dużych bitew tu co prawda niewiele, ale walka trwa nieustannie.

Jeśli Brian nadal będzie się upierał przy swoim zdaniu, ich los jest przesądzony.

– Arutha – powiedział Galain – skoro mamy się stąd wydostać, musimy wyruszyć przed świtem. Księżę pokiwał głową.

– Mam zamiar jeszcze raz – ostatni, porozmawiać z Brianem. Jeżeli nadal nie będzie słuchał głosu rozsądku, poproszę o pozwolenie opuszczenia garnizonu.

– A jeśli się nie zgodzi? – spytał Amos.

– Jimmy już zdobył dla nas prowiant i znalazł drogę ucieczki. W razie potrzeby pójdziemy piechotą.

Nie zwlekając dłużej. Księżę opuścił wieżę i pośpieszył do miejsca, gdzie ostatnio spotkał barona. Rozejrzał się uważnie, ale nigdzie nie było go widać. Zapytał najbliższego żołnierza.

– Widziałem barona około godziny temu. Być może jest na dole, na dziedzińcu z zabitymi i rannymi. Wasza Wysokość.

Słowa prostego żołnierza okazały się prorocze. Arutha rzeczywiście odnalazł Briana, barona Highcastle'a pośród martwych i rannych. Gdy Księżę się zbliżył, klęczał nad nim medyk. Podniósł wzrok i pokręcił głową.

– Nie żyje.

Arutha zwrócił się natychmiast do oficera stojącego przy zmarłym.

– Kto go zastępuje?

– Walter z Gyldenholt, ale chyba zginął, gdy wróg przedarł się na mury.

– A kto po nim?

– Baldwin de la Troville i ja. Wasza Wysokość, jesteśmy najstarsi rangą po Walterze. Przybyliśmy do garnizonu dokładnie tego samego dnia, nie wiem więc, który z nas jest starszy rangą.

– Jak się nazywasz?

– Anthony du Masigny, a poprzednio baron Calry, Wasza Wysokość.

Arutha przypomniał sobie, że spotkał go podczas koronacji Lyama. Był jednym z obozu Guya. Nadal trzymał fason, ale dwa lata spędzone na pograniczu odarty go z postawy dworskiego pana, jakim był w Rillanon.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, poślij po de la Troville i Guya du

*Bas-Tyra. Spotkajmy się w salach barona.*

*– Nie, nie mam żadnych zastrzeżeń. – Przyglądał się przez chwilę masom zabitych i rannych leżącym wzdłuż murów i na dziedzińcu. – Tak naprawdę powitam z radością trochę zdrowego rozsądku i porządku. Już najwyższy czas.*

*Baldwin de la Troville okazał się wysokim i szczupłym mężczyzną o orlich rysach. Był postacią kontrastową w stosunku do eleganckiego i bardziej stonowanego w charakterze du Masigny. Gdy obaj zjawili się w sali, Arutha zabrał głos.*

*– Jeśli któryś z was ma idiotyczny pomysł, by być wyłącznie wasalem Króla albo bronić fortecy do ostatniego człowieka, niech powie to od razu.*

*De la Troville i du Masigny wymienili spojrzenia. Du Masigny parsknął śmiechem.*

*– Wasza Wysokość, zostaliśmy tutaj zesłani z polecenia twego brata za... – rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku Guya –.. .za pewną polityczną nieostrożność. Nie mamy zamiaru rzucać na szalę naszego życia w imię daremnych i pustych gestów.*

*– Highcastle był idiotą – włączył się de la Troville. – Odważnym, niemal bohaterskim człowiekiem, ale jednak idiotą.*

*– Czy wypełnicie moje rozkazy?*

*– Z przyjemnością – odpowiedzieli jednocześnie.*

*– Od tej chwili du Bas-Tyra jest moim zastępcą. Macie go traktować jako waszego przełożonego.*

*– To dla nas żadna nowość. Wasza Wysokość. – Du Masigny wyraźnie się uradował.*

– To wspaniali żołnierze, Arutha. – Guy uśmiechnął się. – Zrobią wszystko co trzeba.

Arutha zdjął mapę ze ściany i rozpostarł na stole.

– Chcę, żeby za godzinę połowa garnizonu siedziała już w siodłach. Ale żadnych krzyków, trąbek czy bębnow. Wszystkie rozkazy należy przekazywać po cichu. Najszybciej, jak to możliwe, dwunastoosobowe oddziały powinny zacząć wymykać się przez tylną bramę w jednonumutowych odstępach. Mają się kierować wprost na Sethanon. Podejrzewam, że już w tej chwili Murmandamus przerzuca swoich żołnierzy przez skały, by obejść nas bokiem i odciąć odwrót. Moim zdaniem nie zostało nam więcej niż kilka godzin do świtu.

– Jeśli wyślemy niewielki patrol do tego punktu – palec Guya powędrował po mapie – a następnie do tego, tak tylko na pokaz, powinno to opóźnić zachodzenie nas od tyłu i ukryć ewentualny hałas.

Arutha kiwnął głową.

– De la Troville, poprowadź ten patrol, ale nie wdawaj się z wrogiem w żadne potyczki. Jeżeli będzie trzeba, zmykaj. Pamiętaj, na dwie godziny przed świtem chcę cię tu widzieć z powrotem. Do wschodu słońca cały garnizon ma być ewakuowany. Nie zostawiamy nikogo.

Pierwsze wychodzące z twierdzy oddziały będą się składać z sześciu pełnosprawnych i sześciu rannych żołnierzy. Jeżeli będzie trzeba, przywiążcie rannych do koni. Po dzisiejszej rzezi powinno być wystarczająco dużo wierzchowców, by każdy oddział zabrał jednego czy dwa zapasowe. Każdy z nich ma wziąć tyle zboża, ile zdoła unieść. Oczywiście nie wszystko konie zdołają dotrzeć do Sethanon, ale z dostateczną ilością jedzenia i przy częstych zmianach większości

*powinno się udać.*

*– Ale wielu rannych nie przeżyje. Wasza Wysokość – powiedział cicho du Masigny.*

*– Podróż do Sethanon będzie mordercza, lecz chcę, aby wszyscy zdołali ujść stąd bezpiecznie. Nic mnie nie obchodzi, jak ciężko są ranni. Nie zostawimy tym rzeźnikom żadnego żywego człowieka. Du Masigny, dopilnuj, żeby wszystkich zabitych przymocowano do blanków. Kiedy nadejdzie świt chcę, żeby*

*Murmandamus myślał, że ma przed sobą cały garnizon. – Zwrócił się do Guya. –*

*Może opóźni to trochę ich działanie. A teraz przygotujcie wiadomość dla Northwardena o wszystkim, co się tu dzieje. Jeśli mnie pamięć nie myli, jest o wiele rozsądniejszym facetem niż Highcastle. Może zgodzi się podesać trochę swoich ludzi, aby nękać flanki Murmandamusa na trasie ich przemarszu. Następnie trzeba wysłać wiadomość do Sethanon...*

*– Nie mamy gołębi do Sethanon, Wasza Wysokość – przerwał mu de Troville.*

*– Spodziewamy się, że w ciągu miesiąca dotrą z następną karawaną. – Widać było, że wstydzi się za swego byłego komendanta.*

*–Przeoczenie...*

*– Ile wam zostało ptaków?*

*– Tuzin. Trzy do Northwardena. Po dwa do Tyr-Sog i Loriel i pięć do Romney.*

*– No to przynajmniej możemy rozesać wieści w różne strony. Powiedz*

*księciu Talwynowi z Romney, aby zawiadomił Lyama w Rillanonie. Chcę, żeby*

*Armie Wschodu natychmiast wyruszyły na Sethanon. Martin powinien być już w*

*polu z wojskami Vandrosa. Gdy tylko natknie się na uciekinierów z Armengaru i*

dowie o trasie marszu Murmandamusa, zawróci z pewnością swoje oddziały i wyśle jednostki z Yabonu do Sokolej Kotliny. Przetną tam łańcuch górski i ruszą w tę stronę. Do Tyr-Sog przekazemy rozkaz, aby natychmiast wysłali gońców z dokładnym opisem naszej pozycji i sytuacji. Garnizon z Kronodoru wymaszeruje natychmiast, gdy tylko dostanie wiadomość od Martina. Po drodze do Czarnego Wrzosowiska będzie zbierał kolejne oddziały. – W głosie Księcia pobrzmiwała nuta nadziei. – Mamy jeszcze szansę. Może uda się przetrwać pod Sethanon?

– Gdzie Jimmy?

– Powiedział, że ma coś do zrobienia i że zaraz wróci – rzekł Locklear.

Arutha rozejrział się.

– Znowu mu jakieś głupoty w głowie? – Świt był tuż, tuż. Ostatnia grupa żołnierzy gotowała się właśnie do opuszczenia garnizonu. Oddział pod dowództwem Aruthy, liczący co najmniej pięćdziesięciu żołnierzy i dwa tuziny luzaków, tkwił przed bramą, a Jimmy się gdzieś zapodział.

Po chwili chłopak wybiegł pędem zza rogu, machając do nich ręką, żeby ruszali. Wskoczył z rozbiegu na siodło, a Księżę dał znak, by wychodzić przez tylną bramę. Ciężkie podwoje otwarto się na oścież. Kolumna z Aruthą na czele ruszyła powoli. Wkrótce potem Jimmy dogonił Księcia.

– Co cię zatrzymało?

– Niespodzianka dla Murmandamusa.

– Co?!

– Znalazłem w kącie niewielką beczkę nafty. Postawiłem na niej świeczkę.

Obłożyłem ją słomą, szmatami i tak dalej. Powinna wybuchnąć za jakieś pół godziny. Wiele nie zdziała, ale przynajmniej będzie kupa dymu i skromny pożarek



*na kilka godzin.*

*Amos zarechotał radośnie i spojrział na Jimmiego z uznaniem.*

*– A po ostatnich doświadczeniach w Armengarze nie będzie im tak pilno, by zbliżyć się do ognia.*

*– Cwany ten młodziak – powiedział Guy do Aruthy. Jimmy rozpromienił się słysząc pochwałę.*

*– Czasem zbyt cwany – powiedział z przekąsem Książę. Jimmy spochmurniał raptownie, za to na twarzy Lockleara pojawił się szelmowski uśmiezek.*

*Zyskali jeden dzień. Od chwili, gdy wyruszyli w drogę o świcie, aż do zachodu słońca nie spostrzegli najmniejszych śladów pościgu. Aruthą doszedł do wniosku, że Murmandamus rozkazał gruntownie przeszukać fortecę, a potem musiał przegrupować oddziały, by przygotować je do marszu przez Wysokie Wierchy. Tak, wszystko wskazywało na to, że udało im się uzyskać przewagę czasową nad wrogiem. Mieli szansę utrzymać dystans dzielący ich od jego głównych sił, poza najszybszymi oddziałami kawalerii.*

*Mogli spokojnie zmuszać konie do maksymalnego wysiłku, ponieważ przesiadali się często na luzaki, co umożliwiała im pokonywanie dziennie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu kilometrów. Liczyli się z tym, że niektóre wierzchowce okuleją, ale jeśli będą mieli szczęście, w ciągu tygodnia zdołają przekroczyć rozległy łańcuch Wysokich Wierchów. Po wjechaniu w Mroczny Las będą oczywiście musieli zwolnić tempo, lecz i prawdopodobieństwo dogonienia ich przez wroga również będzie mniejsze, ponieważ w gęstych lasach przeciwnik będzie się poruszał ostrożnie w obawie przed zasadzkami.*

*Drugiego dnia natknęli się na ciała rannych, którym nie udało się przetrwać*

*trudów morderczego marszu. Ich towarzysze postępowali zgodnie z surowym rozkazem: odcinali sznury trzymające rannych w siodłach i jechali dalej, nie tracąc czasu na pochówek ani nawet na zabranie broni i zbroi.*

*Trzeciego dnia, tuż przed zachodem słońca dostrzegli w oddali oznaki pościgu. Aruthą zarządził dodatkową godzinę jazdy i o świcie nie widzieli już za sobą nikogo.*

*Na czwarty dzień dotarli do pierwszej wioski. Wyprzedzający ich żołnierze ostrzegli mieszkańców przed nadciągającym niebezpieczeństwem i osada była opustoszała. Tylko z jednego komina snuł się dym. Aruthą posłał tam żołnierza. Porządnie obsypany ziemią ogień tlił się jeszcze, lecz w domu nie było nikogo. Żołnierz zabrał tylko resztki zboża, a poza tym nie znalazł żadnego prowiantu. W wiosce nie zostało nic, co mogłoby przynieść korzyść wrogowi, więc Aruthą zostawił ją nietkniętą. Gdyby wieśniacy nie wyczyścili jej dokładnie, kazałby ją spalić. Spodziewał się, że żołnierze Murmandamusa i tak się tym zajmą, lecz czuł się trochę lepiej, zostawiając osadę w takim stanie, w jakim ją zastał.*

*Pod koniec piątego dnia zauważyli za sobą oddział konnych. Aruthą natychmiast zatrzymał kolumnę i ustawił ludzi w szyku bojowym. Jeźdźcy zbliżyli się na tyle, że można było ich rozpoznać. Była to kilkunastoosobowa grupa zwiadowców – moredheli. Szybko zawrócili i pogalopowali z powrotem do głównych sił, nie chcąc walczyć z liczniejszym przeciwnikiem.*

*Szóstego dnia dogonili karawanę kierującą się na południe. Wieśniacy byli już ostrzeżeni przez pierwsze oddziały z garnizonu. Woźnice prowadzili karawanę w równomiernym, powolnym tempie. Było oczywiste, że w ciągu najbliższego dnia, najdalej dwóch, dopędzą ich wysunięte jednostki armii Murmandamusa. Aruthą*

*podjechał do wozu, na którym siedział kupiec, właściciel karawany.*

*– Uwolnijcie konie, zostawcie wozy i dalej ruszajcie wierzchem – krzyknął, jadąc obok. – W przeciwnym razie nie zdołacie umknąć Mrocznym Braciom, są już niedaleko za nami!*

*– Ale moje zboże! – poskarżył się kupiec. – Stracę wszystko!*

*Arutha zarządził postój. Gdy wszystkie wozy zatrzymały się, Arutha zwrócił się do swoich żołnierzy.*

*– Niech każdy weźmie jeden worek zboża tego kupca. Będzie nam potrzebne w Mrocznym Lesie. Resztę spalić!*

*Kupiec zaprotestował gwałtownie i rozkazał obstawie karawany, by stanęła w obronie jego własności. Najemnicy rzucili okiem na pięćdziesięciu żołnierzy z Wysokiego Zamku i skwapliwie usunęli się na bok.*

*– Uwolnić konie! – krzyknął Guy.*

*Żołnierze natychmiast odcięli uprzęż i odprowadzili zwierzęta na bok. W ciągu kilku minut worki z pierwszego wozu zostały rozdzielone pomiędzy żołnierzy. Obładowano też nimi konie kupca. Resztę wozów i zboża podpalono.*

*Arutha podjechał do kupca.*

*– Szanowny panie kupcze, zechciej przyjąć do wiadomości, że szlakiem tym ciągnie za nami trzydzieści tysięcy goblinów, Mrocznych Braci i trolli. Jeżeli uważasz, że dzieje ci się krzywda, to wysil przez chwilę wyobraźnię i rozważ, co by cię mogło spotkać, gdybyś został w ich towarzystwie w środku Mrocznego Lasu. A teraz zabieraj zboże dla swoich koni i zmykaj na południe. My zatrzymamy się w Sethanon, lecz jeśli życie ci miłe, na twoim miejscu nie zatrzymywałbym się, tylko jechał dalej, w stronę Krzyża Malaka. Jeżeli jednak chcesz, abym wyrównał ci*

*straty, zostań w Sethanon, a otrzymasz stosowną zapłatę, o ile oczywiście przeżyjemy inwazję. Twoje ryzyko i twoja decyzja. Nie mogę marnować na ciebie więcej czasu.*

*Arutha zarządził natychmiastowy marsz. W kilka minut później obejrzał się i wcale nie zdziwiło go, gdy dostrzegł, że kupiec i jego najemnicy posuwają się za kolumną. Trzymali się ich tak blisko, jak tylko pozwalały na to zmęczone wierzchowce. Wkrótce potem Księżę krzyknął do Amosa.*

*– Gdy się zatrzymamy na popas, daj im kilka naszych wypoczętych luzaków.*

*Nie chcę, żeby zostali z tyłu. Amos uśmiechnął się szeroko.*

*– Są już wystarczająco wystraszeni, by zachowywać się jak należy. Niech jeszcze trochę zostaną z tyłu. Zobaczysz, gdy dogonią nas wieczorem, będą chętni do współpracy i tak milutcy, że do rany przyłoż.*

*Arutha pokręcił głową. Nawet teraz, w czasie morderczego marszu Amos potrafił dostrzec humorystyczne strony sytuacji.*

*Siódmego dnia wkroczyli w granice Mrocznego Lasu.*

*Doszły ich odgłosy walki. Arutha zatrzymał kolumnę. Dał znak, by Galain z jednym żołnierzem podjechali w tamtym kierunku. Wrócili po paru minutach.*

*– Już po wszystkim – powiedział Elf.*

*Nieco dalej na wschód znaleźli na polanie żołnierzy z Wysokiego Zamku. Na ziemi leżało kilkanaście ciał moredheli. Sierżant dowodzący oddziałem, dojrzawszy Aruthę, zasalutował.*

*– Stanęliśmy na popas, by dać wytchnienie koniom, gdy nas zaatakowali.*

*Wasza Wysokość. Całe szczęście, że niedaleko stąd zatrzymał się inny nasz oddział i chłopaki przybiegli na pomoc.*

*Arutha spojrzął na Guya i Galainę.*

*– Jak, u diabła, udało im się nas wyprzedzić?*

*– Wcale nas nie wyprzedzili – powiedział Galain. – Byli tu przez całe lato i czekali. – Rozejrzał się po okolicy. – Pewnie tam – dorzucił, wskazując ręką przed siebie. Podprowadził Aruthę do stosu zwalonych drzew. Maskowały wejście do niskiej chaty, zmyślnie skrytej w krzakach. Wewnątrz znaleźli zboże, broń, suszone mięso, siodła i inne zapasy.*

*Arutha obejrzał wszystko szybko.*

*– Tę kampanię planowano od bardzo dawna. Mam teraz pewność, że od samego początku celem Murmandamusa było Sethanon.*

*– Ale nadal nie wiemy dlaczego – zauważył Guy.*

*– No cóż, nie mamy przecież wyjścia. Bez względu na przyczyny musimy iść dalej. Zabierzcie wszystko, co może się nam przydać, resztę zniszczyć.*

*– Zauważyliście inne oddziały? – zapytał sierżanta.*

*– Tak, Wasza Wysokość. Zeszłej nocy de la Troville rozbił obóz dwa kilometry na północny wschód stąd. Natknęliśmy się na jednego z wartowników. Kazał nam jechać dalej, by nie koncentrować zbyt wielu ludzi w jednym miejscu.*

*– Mroczni Bracia? – spytał Guy. Sierżant kiwnął głową.*

*– W lasach aż się od nich roi. Gdy przejeżdżamy obok, nie zatrzymując się, nie sprawiają nam kłopotów. Jeśli zaś zatrzymujemy się, zaraz mamy na karku ich strzelców wyborowych. Na szczęście nie występują w tak licznych bandach jak ta.*

*Tak czy inaczej, najlepiej i najbezpieczniej ruszać w drogę.*

*– Weź pięciu ludzi z naszej kolumny i ruszajcie na wschód. Przekażcie dalej wiadomość, by wszyscy rozglądali się pilnie za magazynami zapasów*

*Murmandamusa. Spodziewam się, że są pod strażą, więc szukajcie w miejscach, w których moredhele utrudniają wam przejście. Wszystko, co może mu pomóc, ma być zniszczone. A teraz w drogę, nie ma czasu.*

*Następnie Arutha wysłał kolejny tuzin żołnierzy. Mieli ujechać pół dnia drogi na zachód, a następnie zawrócić na południe. Księżę chciał, aby wiadomość o składach broni rozeszła się jak najszerzej.*

*– No, to w drogę – powiedział do Guya. – Mam wrażenie, że czuję na plecach oddech przedniej straży Murmandamusa. Du Bas Tyra pokiwał głową, lecz nie ruszył się z miejsca.*

*– Z drugiej strony nadarza się okazja, by nieco opóźnić ich marsz.*

*Arutha rozejrzył się po polance i okolicznym lesie.*

*– Czekalem, aż natkniemy się na miejsce odpowiednie do zorganizowania zasadzki albo most, który będzie można spalić po przejściu, czy zwężenie szlaku, na które można zwalić drzewo. Ale jak do tej pory, nie trafiło się nic odpowiedniego.*

*Amos zgodził się z nim.*

*– To cholernie przyjemny i gościnny lasek. Jeszcze takiego nie widziałem.*

*Można poprowadzić tędy defiladę i nawet jeden człowiek na dwudziestu nie będzie musiał zmienić kroku, by ominąć drzewo.*

*– Musimy brać, co jest – powiedział Guy. – Ruszajmy. W przeciwieństwie do zwartych kompleksów leśnych takich jak Edder czy Zielone Serce Mroczny Las był wielkim ciągiem przenikających się nawzajem, mniej czy bardziej lesistych terenów.*

*Po trzech dniach wędrówki, kiedy nieustannie mijali rozległe polany i mniejsze, śródleśne łączki, wkroczyli wreszcie w prawdziwie mroczny, złowieszczo wyglądający las. Kilka razy zatrzymywali się na krótko i Galain zmieniał położenie*

znaków moredheli wyznaczających szlak pochod. Miał nadzieję, że zwiadowcy wroga pobjądną trochę, zanim zorientują się, że wyprowadzono ich w pole. Jeszcze trzykrotnie natknęli się na zapasy Murmandamusa. Miejsca te znaczyły trupy moredheli i żołnierzy. Włócznie i strzały palono. Miecze również wrzucano w ogień, aby się rozhartowały. Siodła i uprzęż cięto na kawałki, a zapasy ziarna rozsypywano po lesie albo wrzucano w płomienie. Do ognia powędrowały również koce, ubrania a nawet żywność.

Pod koniec drugiego tygodnia wędrówki przez lasy poczuli ostry zapach dymu i zaraz musieli uciekać przed pożarem lasu. Zbyt gorliwe pastwienie się nad ukrytymi zapasami Murmandamusa skończyło się tym, że ogień wymknął się spod kontroli i rozprzestrzenił w wyschniętym na pieprz po gorącym lecie lesie.

Galopowali, uciekając przed posuwającym się szybko pożarem.

– Oto, co powinniśmy właśnie zrobić – krzyknął Amos. – Poczekać spokojnie, aż jego wysokość bastard nad bastardami zagłębi się na dobre w las, i wtedy podpalić całą okolicę dookoła. Ot co!

Do chwili opuszczenia granic Mrocznego Lasu i wjechania na ziemie zagospodarowane rolniczo Arutha stracił zaledwie sześć koni i ani jednego człowieka, wliczając w to także kupca i jego najemników. Przejechali ponad trzydzieści kilometrów pól i pastwisk i dopiero wtedy rozbili obóz. Po zachodzie słońca nad południowym horyzontem pojawiła się słabo widoczna tona.

Amos wskazał ją chłopcom.

– Sethanon.

Podjechali pod bramę. Zostali zatrzymani przez żołnierza z miejscowego garnizonu.

– Kto tu dowodzi? Szukamy dowódcy! – krzyknął sierżant dowodzący posterunkiem. Złociste szewrony błyszcząły na doskonale uszytym, białozielonym kaftanie baronii Sethanon.

Arutha podniósł rękę. Sierżant zbliżył się do niego.

– Ponad pół dnia ściągają tu grupkami żołnierze z Wysokiego Zamku.

Umieściliśmy ich na placu ćwiczeń. Baron chce się widzieć z ich dowódcą.

– Powiedz mu, że zjawię się natychmiast, jak tylko zakwateruję swoich ludzi.

– A kogo mam zameldować?

– Arutha z Krondoru.

Sierżant otworzył szeroko usta i wybałuszył oczy.

– Ale przecież...

– Wiem, wiem, ja nie żyję. Proszę jednak, powiedz baronowi Humphry, że za godzinę zjawię się u niego w zamku. Aha, i powiedz mu jeszcze, że jest ze mną Guy du Bas-Tyra. Poślij kogoś na plac ćwiczeń. Niech się dowie, czy Baldwin de la Troville i Anthony du Masigny dotarli szczęśliwie. Jeśli tak, niech do mnie dołączą. Jasne?

Sierżant stał chwilę, jakby go zamurowało. W końcu zasalutował energicznie.

– Tak jest. Wasza Wysokość.

Arutha dał znak i kolumna żołnierzy wjechała do miasta. Po raz pierwszy od wielu miesięcy oczom Księcia ukazał się zwykły w Królestwie widok: miasto tętniące życiem, pełne gwaru i tłumów obywateli, którzy sądzili, że są całkowicie bezpieczni pod czujnym i łaskawym okiem swego monarchy. Na ulicach tłoczyły się tłumy pochłonięte bez reszty handlem i zabawą. Wszędzie, gdzie tylko skierował wzrok. Księżę widział codzienne, zwykłe życie i przyziemne sprawy, jakie spodziewał się w



*takim miejscu ujrzeć. Jakże szybko wszystko to miało ulec zmianie.*

*Arutha zarządził zamknięcie bram. Przez poprzedni tydzień wypuszczano z miasta wszystkich, którzy zdecydowali się podjąć ryzyko dalszej ucieczki na południe. Teraz nadszedł czas, aby zamknąć miasto szczelnie. Posługując się konnymi posłańcami i gołębiami, wysłano ponownie wiadomości do garnizonów w Krzyżu Malaka, Silden i Czarnym Wrzosowisku, na wypadek gdyby poprzednie przesyłki nie dotarły do ich komendantów. Uczyniono wszystko, co można było uczynić. Teraz mogli tylko czekać.*

*Zwiadowcy wysłani na północ donosili, że armia Murmandamusa niepodzielnie panowała już nad całym Mrocznym Lasem. Ewakuowano wszystkie gospodarstwa położone między granicą lasu i miastem, a ich mieszkańcy schronili się za murami. Książę rozkazał, aby wszyscy postępowali według ściśle określonych reguł. Żywność dostarczano aż do ostatniej chwili do Sethanon. Gdy nadszedł krytyczny moment. Książę rozkazał spalić wszystkie zagrody. Jeszcze nie zebrane jesienne zbiory również poszły z dymem. Ogrody i sady skopano lub zatruto. Trzody zbyt oddalone od miasta, by można było je sprowadzić na czas, rozpędzono na południe i wschód. Nie zostawiono absolutnie nic, co mogłoby się przydać nacierającemu wrogowi. Zebrano raporty od żołnierzy ze wszystkich oddziałów, które dotarły z Wysokiego Zamku. Według nich odnaleziono i wyczyszczono lub zrównano z ziemią co najmniej trzydzieści ukrytych składowisk zapasów Murmandamusa. Jednak Arutha nie miał złudzeń. Co najwyżej dał najeźdźcy prztyczka w nos. Poza krótkotrwałą niewygodą wróg nie poniósł żadnych, dających mu się prawdziwie we znaki strat.*

*Arutha naradzał się z Amosem, Guyem, oficerami z Wysokiego Zamku i*

baronem Humpheyem. Baron, chociaż musiało mu być bardzo niewygodnie, siedział w paradnej zbroi, którą zdobiły zawile esy-floresy. Z pewnością nie był to pancerz, w którym mógłby ruszyć w bój. Wielki hełm przyozdobiony złotym pióropuszem spoczywał przed nim na stole. Zaakceptował skwapliwie zwierzchność Aruthy i przejęcie dowództwa nad garnizonem. Ze względu na lokalizację w garnizonie Sethanon nie było właściwie ani jednego oficera z bojowym doświadczeniem. Wszystkie kluczowe stanowiska Księżę powierzył Guyowi, Amosowi oraz baronom de la Troville i du Masigny. Siedzieli teraz, dokonując przeglądu rozmieszczenia oddziałów i zapasów. Arutha zakończył czytanie długiej listy.

– W normalnych okolicznościach powinniśmy wytrzymać oblężenie tak liczebnej armii jak wojska Murmandamusa przez dwa miesiące. Jednak z tego, co mieliśmy okazję zaobserwować w Armengarze, wynika, że okoliczności nie będą normalne. Murmandamus musi znaleźć się w mieście w ciągu dwóch, najwyżej trzech tygodni. W przeciwnym razie ryzykuje, że dopadnie go w odkrytym terenie pierwsza fala mrozów. Już zaczęły się jesienne deszcze, które mu z pewnością przeszkodzą. Gdy nadejdzie zima, może się okazać, że ma pod swoim dowództwem głodującą armię. Nie, nie ma wyjścia. Musi szybko dostać się do Sethanon. Co więcej, musi przeszkodzić nam w zużyciu lub zniszczeniu zgromadzonych tu zapasów.

Jeśli wszystko ułożyło się po naszej myśli, to właśnie teraz Martin powinien wyruszać z podnóża Gór Calastius poniżej Sokolej Kotliny na czele wojsk z Yabonu. To ponad sześć tysięcy ludzi. Dzieli go jednak od nas co najmniej dwa tygodnie marszu. Mniej więcej w tym samym czasie możemy się spodziewać przybycia oddziałów z Wart Północy lub Silden. Tak czy inaczej, w najlepszym wypadku

*musimy wytrzymać minimum dwa tygodnie, a nawet cztery. Każdy następny dzień będzie prawdopodobnie oznaczał, że pomoc przybędzie za późno.*

*Wstał.*

*– Panowie, wszystko co pozostaje nam teraz do roboty, to czekać na pojawienie się wroga. Proponuję odpocząć i modlić się gorąco.*

*Księżę opuścił salę narad. Guy i Amos wyszli za nim. Cała trójka zatrzymała się, rozważając w milczeniu wszystko, przez co do tej pory przeszli, po czym powoli udali się do swoich kwater, by czekać na atak Murmandamusa.*

# KU DOMOWI

*Szli przez Korytarz.*

*Wyglądał jak proste przejście, żółtawobiała droga. Po obu jej stronach, co jakieś piętnaście metrów napotykali srebrzyste, pulsujące światłem drzwi. Macros zatoczył ręką łuk.*

*– Idziecie przez Korytarz Światów – samo serce tajemnicy, która dorównuje Wiecznemu Miastu. To tutaj można swobodnie przechodzić od świata do świata, pod warunkiem oczywiście, że zna się drogę. – Wskazał na srebrny prostokąt. – Oto wejście, przez które można wejść i opuścić konkretny świat. Jedynie nieliczni spośród milionów potrafią je odróżnić. Jedni odkrywają sekret po długoletnich i żmudnych studiach, a inni przez czysty przypadek. Zmieniając sposób postrzegania, można je zauważyć bez względu na to, gdzie się znajdują. Oto tu, na przykład – wskazał ręką mijane właśnie drzwi – znajduje się martwy, wypalony świat krążący wokół dawno zapomnianej gwiazdy. – Zwrócił uwagę na drzwi po przeciwnej stronie przejścia. – Tam, odwrotnie. Świat tętniący życiem, konglomerat kultur i społeczności, lecz tylko zjedna inteligentną rasą. – Zatrzymał się na moment. – To znaczy, mówię o tym, kim będą, w naszych prawdziwych czasach. – Ruszył dalej. – Sądzę, że teraz za drzwiami kłębią się wiry rozpalonych gazów o gęstości tylko niewiele większej niż absolutna nicość.*

*W przyszłości pojawi się całe społeczeństwo, rasa, która będzie odbywać podróże do Korytarza, prowadząc handel między światami. Inne zaś rasy nie będą miały nawet pojęcia o istnieniu tego miejsca.*

*– Ja też nic o tym nie wiedziałem – powiedział Tomas.*

*– Valheru dysponowali innymi sposobami podróżowania – odpowiedział*

*Macros, wskazując głową Ryath. – Ponieważ nie było potrzeby, nigdy się nie zatrzymali, aby uchwycić sens istnienia Korytarza, ale z pewnością dysponowali takimi możliwościami. Szczęście? Sam nie wiem. Jednak ich niewiedza uchroniła wiele światów przed całkowitą zagładą.*

*– Jak daleko ciągnie się Korytarz? – spytał Pug.*

*– Nie ma końca. Nikt nie wie. Wydaje się, że prowadzi prosto, jak strzełił, w rzeczywistości jednak pojawia się krzywizna. Gdybym odszedł od was kawałek, wkrótce zniknąłbym wam z oczu. Między światami odległości i czas nie mają wielkiego znaczenia.*

*Poprowadził ich dalej.*

*Pug, postępując zgodnie z instrukcjami Macrosa, zdołał podprowadzić ich w czasie, który jak oceniał Macros, powinien się znajdować w pobliżu ich własnej ery.*

*Po przyspieszeniu pułapki czasowej Jeźdźca Smoków, Pug nie miał już żadnych trudności w wypełnianiu wskazówek Macrosa. Mechanizm zaklęcia był logicznym przedłużeniem tego, co Pug zastosował, aby przyspieszyć działanie pułapki. Mógł jedynie zgadywać, czy minął już odpowiedni odcinek czasu, lecz Macros uspokoił go i upewnił, że kiedy zaczną zbliżać się do Midkemii, on będzie wiedział, jakie korekty Pug musi zastosować.*

*– Macros, a co by się stało, gdyby ktoś zszedł z drogi między drzwiami? – spytał Pug.*

*Szli równym krokiem i młody mag oglądał z uwagą każde mijane wejście. Z czasem odkrył, że istnieje między nimi mikroskopijna, prawie niezauważalna różnica. Spektralna odmienność drgającej srebrzyście poświaty stanowiła klucz do poznania świata rozciągającego się za danymi drzwiami.*

– Podejrzewam, że gdybyś to uczynił bez przygotowania, wkrótce byłbyś martwy. Pozbawiony zdolności nawigacyjnych Ryath szybowałbyś w międzyprzestrzeni.

Zatrzymali się przed wejściem.

– A oto droga prowadząca przez pewną planetę, która skróci nam o ponad połowę czas potrzebny na dotarcie do Midkemii. Odległość stąd do następnych drzwi wynosi niecałe sto metrów. Musicie tylko pamiętać o jednym: w tym świecie panuje śmiertelna atmosfera. Wstrzymajcie oddech. Tutaj magia nie odgrywa żadnej roli i nie obronicie się żadnymi sztuczkami. – Stał przez chwilę bez ruchu, oddychając głęboko, po czym ruszył pędem przez drzwi.

Później skoczył Tomas, za nim Pug, a na końcu Ryath. Pug zmrużył raptownie oczy. Niewiele brakowało, a wypuściłby powietrze, gdy żrące opary zaatakowały oczy, a barki przygniótł nagle nieoczekiwany, spychający go w dół ciężar. Pędzili przez pustą równinę, usianą purpurowymi i czerwonymi skałami. Ciężkie, pomarańczowe niebo zasnute gęstymi mgłami przygniatało do ziemi. Grunt dygotał konwulsyjnie pod stopami. Krwawiące lawą zbocza wulkanów oświetlone upiorną pomarańczową poświatą wypluwały ku niebu gigantyczne chmury smolistego dymu i gazów. Materia tego świata przelewała się przez krawędzie kraterów i spływała ociężale w dół. Panowało potworne gorąco. Macros wskazał przed siebie ręką i wbiegli w skalną ścianę, by znaleźć się znowu w Korytarzu. Macros od wielu godzin pogrążony był w myślach i milczał jak zaklęty.

Ocknął się nagle, wyrywając z zadumy. Zatrzymał się przed drzwiami.

– Musimy przejść przez ten świat. Powinien być całkiem miły.

Wprowadził ich do pięknego, zielonego zagajnika. Zza drzew słychać było

*głośne uderzenia fal rozbijających się o skały i czuło się ostry, słony zapach morza.*

*Idąc wzdłuż urwiska, podziwiali wspaniały widok na ocean.*

*Pug patrzył uważnie na otaczające ich drzewa. Przypominały te, które rosły na Midkemii.*

*– Zupełnie jak w okolicach Crydee.*

*– Ciepłej – zauważył Macros, wciągając głęboko w płuca oceaniczne powietrze. – To rzeczywiście bardzo piękny świat, chociaż nikt tu nie mieszka. –*

*Spojrzał na nich smutnym wzrokiem. – Być może pewnego dnia przybędę tu, by wreszcie odpocząć. – Otrząsnął się z ponurego nastroju. – Pug, zbliżamy się już do naszej ery, ale ciągle jeszcze trochę nam brakuje do właściwego okresu. – Rozejrzał się. – Jeśli się nie mylę, znajdujemy się jakiś rok czy dwa przed twoim narodzeniem.*

*Potrzebne nam krótkie przyspieszenie...*

*Pug zamknął oczy i rozpoczął wypowiadać zaklęcie, które z pozoru nie miało żadnego wpływu na otoczenie. Jedyłą dostrzegalną zmianą było to, że cienie, śledząc słońce wspinające się szybko po nieboskłonie, przemykały chyżo po ziemi.*

*Błyskawicznie pogrążyli się w mroku. Zapadła noc, a zaraz po niej nastął świt.*

*Tempo upływu czasu zwiększało się wyraźnie. Dni i noce rozbłyskiwały i gasły coraz szybciej i szybciej, by w końcu rozmyć się w szarą smugę dziwnego światła.*

*Pug przerwał na chwilę i powiedział:*

*– Musimy poczekać.*

*Rozsiedli się wygodnie. Mieli teraz trochę czasu, by rozkoszować się urodą otaczającego ich świata. Proste, dziewicze piękno stanowiło punkt odniesienia dla wszystkich dziwnych i wspaniałych miejsc, jakie mieli okazję oglądać. Tomas był mocno zaniepokojony.*

– Wszystko, czego byłem świadkiem do tej pory, każe mi się zastanawiać nad wielkością tego, przed czym stanęliśmy. – Zamilkł na chwilę. – Wszechświaty są tak... tak przeogromne i tak nie dające się ogarnąć umysłem... – Spojrzał uważnie na Macrosa. – Jaki los czeka ten wszechświat, jeśli chociaż jedna, mała planetka dostanie się pod panowanie Valheru? Czyż moi bracia nie władali tu już wcześniej? Czarnoksiężnik spojrzał na niego z głęboką troską.

– Tak, to prawda. Stałeś się bojaźliwy lub bardziej cyniczny. Nie jest nam potrzebne ani jedno, ani drugie. – Wbił w niego twardy wzrok. W oczach istoty ludzkiej, jaką stał się Valheru, dostrzegł rozterkę i powątpiewanie. W końcu pokiwał powoli głową. – Po zakończeniu Wojen Chaosu natura wszechświata uległa zmianie. Pojawienie się bogów zwiastowało nowy stan rzeczy, stan bardzo złożony i jednocześnie uporządkowany. Poprzednio wszystko sprowadzało się właściwie do dwóch podstawowych reguł: Porządku i Chaosu. Dla Valheru zabrakło po prostu miejsca we współczesnym układzie. O wiele łatwiej byłoby sprowadzić w czasie Ashen-Shugara niż decydować się na to wszystko, co konieczne. Potrzebowałem jego potęgi, ale też jednocześnie rozumu, który gotów byłby służyć naszej sprawie. Bez ogniwa czasu pomiędzy nim a Tomaszem Ashen-Shugar stanowiłby ze swymi braćmi jedno. Zresztą nawet i z tym ogniwem, nikt nie mógłby kontrolować Ashen-Shugara. Tomasz zaczął wspominać.

– Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie otchłani szaleństwa, z którą się zmagalem w czasie wojny z Tsuranimi. Niewiele wtedy brakowało... – Mówił spokojnie, jednak w jego głosie słychać było nutę bólu. – Stałem się mordercą. Zarzyłem bezbronnych. Stałem się tak dziki i okrutny, że Martin chciał mnie zabić. – Zamilkł i po chwili dorzucił. – A przecież nie miałem wtedy nawet dziesiątej



*części mocy, jaką obecnie posiadam. W dniu, w którym odzyskałem... zdrowe zmysły, Martin był już gotów przeszyć me serce strzałą. – Wskazał na leżący w pobliżu kamień i wykonał dłonią gest, jakby go uchwycił w dłoń. Kamień rozsypał się w pył, jakby Tomas rzeczywiście go ścisnął. – Gdybym wtedy dysponował taką mocą, mógłbym tylko siłą woli zabić Martina, zanim zdążyłby wypuścić swą strzałę. Macros kiwnął głową.*

*– Sam widzisz, jakie było ryzyko, Pug. Nawet samotny Valheru stanowił podobne niebezpieczeństwo jak Smocze Sfory. Był potęgą. Żadna istota w kosmosie nie była się w stanie mu się przeciwstawić. – Ton jego nie pozostawiał wątpliwości. – Powtarzam, nie ma świecie istoty, poza samymi bogami, która mogłaby mu stawić czoło. – Uśmiechnął się łagodnie. – Oczywiście, poza mną. Ale nawet używając pełni swej mocy, nie pokonałbym go – mógłbym najwyżej przetrwać walkę z nim. A pozbawiony mocy... – nie dokończył zdania, tylko bezradnie rozłożył ręce.*

*– Dlaczego więc sami bogowie nie zadziałali?*

*Macros zaśmiał się gorzko. Gestem ręki wskazał całą czwórkę.*

*– A jak myślisz, co my tutaj robimy, co? To właśnie jest gra, która się toczy.*

*My jesteśmy tylko pionkami.*

*Pug zamknął oczy i nagle dziwna, szara poświata przeistoczyła się w zwykłe, dzienne światło.*

*– Chyba wróciliśmy...*

*Macros gwałtownie wyciągnął rękę i chwycił dłoń Puga. Zamknął oczy i wczuł się w strumień czasu płynący przez umysł i zmysły młodszego maga. Po chwili je otworzył.*

– Pug, znajdujemy się już na tyle blisko Midkemii, że mógłbyś spróbować wysłać wiadomość do domu. Proponuję, abyś to zrobił. – Pug opowiedział Macrosowi o dziewczynce i poprzednich, udanych próbach kontaktowania się z nią. Pug zamknął oczy i zaczął szukać kontaktu z Gaminą.

Kalala podniosła wzrok znad szycia. Gaminą siedziała sztywno wyprostowana wpatrzona w przestrzeń nieruchomym wzrokiem, jakby coś widziała daleko przed sobą. Przechyliła lekko głowę, nasłuchując. William odłożył gwałtownie stare, omszałe tomisko, które dostał do czytania od Kulgana, i spojrział byстрыm wzrokiem na przyrodną siostrę. Po chwili zerknął na Katalę.

– Mamo... – powiedział cichutkim głosem. Kalala spokojnie odłożyła szycie na bok.

– Tak? Słucham, William.

Chłopczyk patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

– To... tatuś... – wyszeptał.

Katala uklękła przy synku i objęła go ramieniem.

– Co tatuś?

– Mówi do Gammy.

Katala podniosła głowę i zaczęła wpatrywać się w dziewczynkę, zapominając o całym świecie. Po chwili wstała i ruszyła w stronę drzwi jadalni. Otworzyła je delikatnie i gwałtownie wybiegła na zewnątrz.

Kulgan i Elgahar siedzieli nad szachownicą. Hochopepa przyglądał się z boku, udzielając graczom rady, o które wcale nie prosili. W pokoju było aż szaro od dymu. Obaj potężnie zbudowani magowie, nie zważając zupełnie na innych, kopcili zawzięcie poobiednie fajki, delektując się ich aromatem. Nieopodal siedział

*Meecham, ostrząc na kamieniu klingę myśliwskiego noża. Katala pchnęła gwałtownie drzwi.*

*– Chodźcie! Chodźcie wszyscy!*

*Ton jej głosu i malujące się na twarzy napięcie sprawiły, że nikt nie zadawał pytań. Pobiegli za nią do jadalni, gdzie William z uwagą wpatrywał się w twarz*

*Gaminy.*

*Katala uklękała przed małą. Powoli przesunęła dłoń przed jej patrzącymi gdzieś w dal oczami. Dziewczynka nie zareagowała. Zapadła w trans.*

*– Co się stało? – szepnął Kulgan.*

*– William powiedział, że Gamina rozmawia z Pugiem – odpowiedziała również szeptem.*

*Zachowujący zwykle dystans Elgahar przepchnął się gwałtownie koło Kulgana.*

*– Może i ja czegoś się nauczę. – Ukląkł przy Williamie. – Czy zrobisz coś razem ze mną?*

*William wzruszył ramionami.*

*– Wiem, że czasem słyszysz Gaminę, tak jak i ona ciebie, gdy rozmawiasz ze zwierzętami. Czy mógłbyś tak zrobić, żeby i ja usłyszał, co ona mówi?*

*– Jak?*

*– Prowadziłem badania nad tym, w jaki sposób Gamina robi to, co robi, i wydaje mi się, że mógłbym zrobić to samo. Nie ma w tym nic niebezpiecznego – dodał, podnosząc wzrok na Katalę.*

*Katala zgodziła się i pokiwała głową dla zachęty.*

*– No pewnie. Nie ma sprawy.*

*Elgahar zamknął oczy i położył dłoń na ramieniu Williama. Minęła dłuższa chwila, zanim odezwał się ponownie.*

*– Słyszę tylko... coś słyszę. – Otworzył oczy. – Z kimś rozmawia... chyba rzeczywiście z Milamberem – dodał, nazywając Puga w języku Tsuranich.*

*– Żałuję, że Dominie wrócił do opactwa – powiedział Hochopepa. – Pewnie potrafiłby się wsłuchać.*

*Kulgan podniósł rękę i nakazał ciszę. Dziewczynka westchnęła przeciągle i przymknęła oczy. Katala wyciągnęła ku niej rękę, bojąc się, że mała może stracić przytomność, lecz ona otworzyła nagle szeroko oczy, uśmiechnęła się od ucha do ucha i skoczyła na równe nogi.*

*Zaczęła skakać i tańczyć jak szalona po całym pokoju, klaszcząc w ręce i śmiejąc się. „To był tatuś! Rozmawiał ze mną! Wraca do domu!” – krzyczała w myślnej mowie.*

*Katala złapała ją i położyła rękę na ramieniu.*

*– Spokojnie, córeczko, spokojnie. A teraz, proszę, przestań już skakać i powtórz nam, co powiedziałaś. Mów, Gamina, mów!*

*Po raz pierwszy dziewczynka zaczęła mówić normalnie, a nie szeptem, jak zawsze do tej pory. Podekscytowane okrzyki przerywały co chwila wybuchy radosnego śmiechu.*

*– Rozmawiałam z tatusiem! Wołał do mnie z... jakiegoś miejsca.*

*– Gdzie to jest? – dopytywał się Kulgan. Dziewczynka przestała dokazywać i stanęła nieruchomo. Przechyliła głowę i zaczęła się zastanawiać.*

*– To było... to było po prostu jakieś miejsce. Była tam plaża i było bardzo ładnie. Nie wiem. Nie powiedział, gdzie jest. Gdzieś...*

– *Zaczęta chichotać i skakać jak nakręcona, popychając nogę Kulgana.* –

*Musimy tam iść! Szybko!*

– *Ale dokąd?*

– *Tatuś chce, abyśmy się z nim spotkali. W tym miejscu.*

– *Jakim miejscu, małeńka?* – *spytała Kalala. Gamina podskoczyła kilka razy.*

– *W Sethanon.*

– *To miasto w pobliżu Mrocznego Lasu* – *poinformował Meecham.* – *W samym środku Królestwa. Kulgan rzucił mu ponure spojrzenie.*

– *Wiemy o tym.*

*Meecham nie przejął się przyganą, tylko skinął głową w stronę dwóch magów Tsuranich.*

– *Oni nie wiedzieli, mistrzu Kulganie.*

*Kulgan odchrząknął gwałtownie i nastroszył krzaczaste brwi, co było nieomylnym znakiem, że jego przyjaciel miał rację, i zarazem jedynym, którego Meecham mógł się po nim spodziewać. Katala usiłowała uspokoić dziewczynkę.*

– *Gamina, spokojnie. Powiedz nam, kto ma się spotkać z Pugiem w Sethanon?*

– *Wszyscy. Chce, abyśmy wszyscy tam pojechali. Teraz.*

– *Dlaczego?* – *odezwał się William, który poczuł się zapomniany.*

*Gamina spoważniała raptownie i uspokoiła się. Patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.*

– *To złe, wujku Kulgan! To złe z wizji Rogena! Jest tutaj!*

– *Przywarła całym ciałem do nogi Kulgana. Mag spojrział na zebranych.*

– *Przeciwnik?* – *powiedział w końcu Hochopepa. Kulgan pokiwał powoli głową i przytulił matkę.*

– Kiedy, dziecko?

– Teraz, Kulgan. Powiedział, że musimy tam iść natychmiast.

Katala zwróciła się do Meechama. – Zawiadam wszystkich w naszej społeczności. Wszyscy magowie mają się natychmiast przygotować do drogi.

Ruszamy do Landreth. Tam wynajmiemy konie i pojedziemy na północ.

– Żadna córka magii nie będzie korzystała z tak przyziemnych środków transportu – sprzeciwił się gwałtownie Kulgan. Chcąc rozładować napięcie, aż tryskał radością i optymizmem. – Pug powinien się być ożenić z innym magiem.

Katala obrzuciła go kosym spojrzeniem. Nie była w nastroju do przekomarzania się.

– Co proponujesz?

– Ja i Hocho możemy się posłużyć przemieszczaniem w linii wzroku.

Skokami. Pięć, sześć kilometrów za jednym razem, a może nawet więcej. Zajmie nam to trochę czasu, ale oczywiście dużo mniej niż jazda konno. Na końcu otworzymy przejście w okolicach Sethanon, a ty i reszta przejdziecie wprost stąd. –

Odwrócił się do Elgahara. – Da nam to wszystkim czas, aby się przygotować.

– Ja też pójdę... na wypadek, gdybyście wyskoczyli jak Filip z konopi w jakimś obozie wyjętych spod prawa albo wpadli w inne tarapaty.

– Tatuś powiedział, że mamy zabrać innych – powiedziała Gamina.

– Kogo? – dopytywał się Hochopepa. Położył delikatnie dłonie na wątych ramionach dziewczynki.

– Innych magów, wujku Hocho.

– Zgromadzenie – rzucił gwałtownie Elgahar. – Nie prosiłby o to, gdyby rzeczywiście nie zagrażał nam Przeciwnik.

– I wojsko.

*Kulgan spojrział w dół na drobniutką twarzyczkę.*

– Wojsko? Jakie wojsko?

– Po prostu, wojsko! – Dziewczynka oparła zaciśnięte pięstki na biodrach.

*Wszystko wskazywało na to, że jej dziecinna cierpliwość wyczerpuje się gwałtownie.*

– Wyślemy wiadomość do garnizonów w Landreth i Shamata. – Zerknął

*spod oka na Katalę. – Chyba pora, abyś, pani, jako księżniczka domu królewskiego*

*wydobyła na światło dzienne królewski pierścień, który zawsze gdzieś chowasz i*

*nigdy nie wiesz, gdzie jest. Będzie nam potrzebny do zapieczętowania wiadomości.*

*Katala przytaknęła. Objęła mocno Gaminę, która powoli się uspokajała.*

– Zostań tutaj ze swoim bratem – powiedziała w końcu i wybiegła z pokoju.

*Kulgan spojrział na swych kolegów ze świata Tsuranich.*

– No, nareszcie. Nadchodzi Mrok – powiedział Hochopepa.

*Kulgan skinął powoli głową.*

– Do Sethanon.

*Pug otworzył oczy. Poczł zmęczenie, lecz znacznie mniejsza niż przy*

*pierwszej próbie nawiązania kontaktu i rozmowy z Gaminą. Tomas, Macros i Ryath*

*obserwowali młodego maga i czekali.*

– Chyba zdołałem jej przekazać wystarczająco dużo informacji, aby była w

*stanie poinstruować pozostałych. Macros był zadowolony z rezultatu.*

– Jeśli Jeźdźcom Smoków uda się przedrzeć do naszego czasu i przestrzeni.

*Zgromadzenie nie będzie dla nich godnym przeciwnikiem, ale przynajmniej pomogą*

*utrzymać Murmandamusa w ryzach, abyśmy wcześniej niż on zdołali dotrzeć do*

*Kamienia Życia.*

– Pod warunkiem oczywiście, że dotrą do Sethanon na czas – skomentował

Pug. – A przy okazji, gdzie jesteśmy?

– Tak, to rzeczywiście problem – zgodził się Macros. – Wiem, że jesteśmy w naszej własnej epoce. Ponadto, aby uniknąć jednego z najbardziej zawitych paradoksów, logika podpowiada, że powinniśmy się znaleźć w punkcie niewiele późniejszym niż ten, gdy wyruszyłeś na poszukiwania. Ale ile czasu minęło od tamtej chwili? Miesiąc? Tydzień? Godzina? No cóż, dowiemy się, gdy tam dotrzemy.

– Jeżeli zdążymy – dodał Tomas.

– Ryath, musimy szybko pokonać pewien dystans do następnego wyjścia – powiedział Macros. – Na tym świecie nie ma żadnego śmiertelnika, który mógłby podpatrzeć transformację. Zaniesiesz nas?

Nie mówiąc ani słowa, kobieta zapłonęła oślepiającym światłem i powróciła do smoczej postaci. Wszyscy trzej wdrapali się na jego grzbiet i smok wzbił się w powietrze.

– Leć na północny wschód – krzyknął Macros. Ryath przechyliła się i skręciła we wskazanym kierunku.

Milczeli przez dłuższy czas. Żaden z nich nie czuł potrzeby mówienia. Mknęli ponad rozciągającymi się łagodnie pofalowanymi płaskowyżami, porośniętymi zbitym kożuchem krzewów i niskich drzewek, oddalając się od urwisk wybrzeża i plaży. Słońce przygrzewało mocno.

Pug rozważał wszystko to, co usłyszał z ust Macroasa w ciągu ostatniej godziny. Wypowiedział szybkie zaklęcie, by rozmawiając, nie musieli przekrzykiwać szumu powietrza i skrzydeł smoka.

– Macros, powiedziałeś, że nawet jeden Valheru w naszym świecie byłby



*potęgą, której nikt nie byłby w stanie się sprzeciwić. Zastanawiałem się nad tym i muszę przyznać, że nie rozumiem.*

*– Tutaj wisi na włosku los nie tylko jednego świata. – Spojrzał w dół.*

*Przelatywali akurat ponad rzeką wypływającą z gigantycznego wąwozu i kierującą swe wody ku południowemu zachodowi, ku morzu. – Na przykład ta przepiękna planeta jest tak samo narażona na niebezpieczeństwo jak Midkemia. Podobnie jak i Kelewan oraz wcześniej czy później wszystkie pozostałe światy.*

*Gdyby słudzy Valheru mieli wygrać wojnę, ich panowie powrócą tu bardzo szybko i w kosmosie znowu zapanuje chaos. Każdy świat będzie stał otworem – bezbronny. Sfory Smocze zaczną je plądrować i siać zniszczenie. Nikt im nie dorówna w bezsensownej żądzy zniszczenia, tak jak nikt nie dorówna im potęgą. Już sam akt powrotu do tej czasoprzestrzeni wyposaży ich w źródło magicznej siły, o jakiej nikt do tej pory nawet nie śnił. Źródło, które uczyni z pojedynczego Jeźdźca Smoków postać napawającą lękiem samych bogów.*

*– Jak to możliwe? – Kamień Życia – odpowiedział za Macrosa Tomas. –*

*Zachowano go na ostateczną bitwę z bogami. Jeżeli zostanie użyty... – zawiesił głos, nie kończąc myśli.*

*Szybowali wysoko ponad górami, zbliżając się do krainy jezior, na północ od rozległych równin. Słońce chyliło się ku zachodowi. Pug stwierdził, że lecąc ponad tym cudownym, nieskażonym światem, trudno mu rozważać sprawy związane z totalnym zniszczeniem i śmiercią. Macros wyciągnął przed siebie rękę.*

*– Ryath! Kieruj się ku tej dużej wyspie z dwoma zatokami. Smok obniżył lot i wylądował łagodnie w miejscu wskazanym przez czarnoksiężnika. Zeskoczyli na ziemię, czekając aż smok przyjmie z powrotem ludzką postać. Macros ruszył przed*

siebie, prowadząc ich pewnie ku wyniosłej skale, sterczącej ku niebu obok kępy drzew podobnych do sosen. Znaleźli się przed kolejnym wyjściem w ścianie potężnego głazu. Macros przeszedł na drugą stronę. Po nim zniknął Tomas, a na końcu Pug. W chwili, gdy wkraczał do Korytarza, upiór wrzasnął wściekle, przeraźliwym, obezwładniającym zmysły szeptem i rzucił się na Macrosa. Zwalił go na ziemię.

Tomas ruszył do przodu, dobywając miecza. Złodziej życia usiłował wykończyć czarnoksiężnika. Uskoczył w bok, gdy kolejny upiór próbował schwycić go od tyłu. Ryath wpadła przez drzwi i przepchnęła się gwałtownie do przodu, przewracając Puga na ziemię. Trzecia zjawa skoczyła na smoka w ludzkiej postaci i chwyciła go za rękę powyżej łokcia. Ryath krzyknęła z bólu.

Świsnęła klinga Tomasa. Upiór pochylający się nad Macrosem został ranny.

Wrzasnął wściekle. Obrócił się błyskawicznie. Zawył dziko i zamachnął się szponiastą ręką. Tomas zablokował cios tarczą. Rozległ się potworny zgrzyt i posypał się deszcz złotych iskier.

Błękitne oczy Ryath zapłonęły szkarłatną, pulsującą czerwienią. Upiór, który chwycił ją za rękę, zawył nagle z bólu. Z ramienia nieżyjącego buchnęły kłęby śmierdzącego dymu, lecz on najwyraźniej nie mógł zwolnić uchwytu. Oczy kobiety-smoka płonęły dziką czerwienią. Stała bez najmniejszego ruchu, tylko jej ciałem wstrząsały drobne dreszcze. Upiór jakby zapadał się w sobie, kurczył i zanikał, a szepczący krzyk przechodził stopniowo w cichutkie, wątłe zawodzenie i jęk.

Pug skończył wypowiadać zaklęcie. Upiór wpadł w drgawki. Wyprężył się gwałtownie i wygiął w tył. Wielkie, czarne skrzydła trzepotały bezradnie przez

*chwile. Zwalił się na kamienną posadzkę Korytarza. Po chwili uniósł się znowu, tylko niewielki ruch ręki Puga świadczył, że młody mag oddziałuje na potwora swoją sztuką. Pug podniósł dłoń i upiór został usunięty w przestrzeń między światami, znikając na zawsze w szarej otchłani.*

*Tomas ciął mieczem jak szalony. Upiór cofał się. Za każdym razem, gdy złota klinga wbijała się w czarną nicość, rozlegał się nieprzyjemny syk wyzwalanых energii. Upiór osłabł wyraźnie i starał się uciec. Tomas uderzył go gwałtownie, przeszył na wylot i unieruchomił.*

*Pug patrzył z zaciekawioną, jak Tomas i Ryath pozbywali się dwóch pozostałych upiorów, wysączając z nich esencję życiową, tak jak one wysysały życie innych.*

*Podbiegł do ogłuszonego Macrosa. Pomógł mu wstać.*

*– Jesteś ranny?*

*Czarnoksiężnik potrząsnął głową, przywracając jasność myśli.*

*– Nie, zupełnie nie. Stwory te mogą być niebezpieczne dla istot śmiertelnych, ale ja już miałem z nimi do czynienia w przeszłości. Nie to jest jednak ważne. Skoro zostały postawione na posterunku przed tymi drzwiami, znaczy to, iż Valheru obawiają się pomocy, jakiej możemy udzielić Midkemii. Jeżeli Murmandamus dotrze do Sethanon i zdoła odnaleźć Kamień Życia, to te upiory są zaledwie skromniutkim przedsmakiem zniszczenia i szaleństwa, jakie rozpęta się na naszej ziemi.*

*– Jak daleko mamy do Midkemii? – spytał Tomas.*

*– Tamte drzwi – Macros wskazał wejście na wprost tego, którym powrócili do Korytarza. – Musimy przejść przez nie i jesteśmy w domu.*

*Weszli do ogromnej sali. Pustej i zimnej. Jej ściany prawdziwi mistrzowie murarstwa zbudowali z ogromnych głazów dopasowanych idealnie jeden do drugiego. Na podwyższeniu w końcu sali wznosił się tron. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się głębokie wnęki, jakby czekały na przyjęcie posągów. Ruszyli przed siebie.*

*– Zimno tu – powiedział Pug. – Gdzie teraz jesteśmy? Macros wydawał się trochę rozbawiony.*

*– W mieście-fortecy Sar-Sargoth. Tomas obrócił się błyskawicznie na pięcie, by spojrzeć mu w twarz.*

*– Oszalałeś?! Przecież to starożytna stolica Murmandamusa. Nawet ja tyle wiem z tradycji i historii moredheli.*

*– Uspokój się. Nie ma tu ani jednego. Wszyscy uczestniczą w inwazji na Królestwo. A nawet jeśli kręci się tu jakiś goblin czy moredhel, jest to zwykły maruder. Spokojnie, poradzimy sobie z każdym problemem tej natury. To w Sethanon musimy być gotowi, by stawić czoło ostatecznemu wyzwaniu.*

*Wyprowadził ich na zewnątrz. Pug zachwiał się. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się rzędy jednakowych, trzymetrowych pik. Na każdej z nich sterczała ludzka głowa. Było ich najmniej tysiąc.*

*– Na litość bogów, jak to możliwe, aby istniało takie zło? – wyszeptał Pug.*

*– Obraz ten dopełnia twej edukacji i zrozumienia – odpowiedział Macros.*

*Powiódł wzrokiem po trójce towarzyszy. – Były czasy, kiedy Ashen-Shugar uznałby to za zwykłą lekcję poglądową.*

*Tomas rozejrzał się dookoła nieobecny wzrokiem.*

*– Tomas, jako Ashen-Shugar, pamięta czas, gdy we wszechświecie w ogóle nie istniała moralność. Nikt nie myślał o dobru i złu. Jedyłą rzeczą, którą*

zaprzętało sobie głowy, była potęga. W tym wszechświecie wszystkie inne rasy miały bardzo podobne poglądy. Wszystkie poza Aal, lecz ich wizja była bardzo dziwna, nawet gdyby przyjąć standardy tamtych dni. Murmandamus jest tylko narzędziem i przypomina swych panów.

Wiedz również, iż istoty znacznie lepsze niż Murmandamus czyniły rzeczy o wiele gorsze niż ten bezmyślny akt. Czynią to jednak z pewną świadomością reakcji swych czynów do wyższych zasad moralności. Valheru zaś po prostu nie rozumieją, nie rozróżniają dobra od zła. Są całkowicie amoralni. Jednocześnie są tak niszczycielscy, że musimy ich uznać za zło ostateczne, zło całkowite. A Murmandamus jako ich wierny sługa jest wcielonym złem. Choć w porównaniu z nimi to zaledwie cień totalnej ciemności. – Macros westchnął.

– Może jestem próżny, ale myśl o tym, że walczę przeciwko takiemu złu, sprawia, że wszystkie troski stają się jakby lżejsze.

Pug, wnikając coraz głębiej w udręczoną duszę tego człowieka, który chciał za wszelką cenę obronić i zachować wszystko, co było drogie jego sercu, również ciężko westchnął.

– Dokąd teraz? – spytał w końcu. – Do Sethanon?

– Tak. Musimy się tam udać i dowiedzieć, co się zdarzyło do tej pory. Przy odrobinie szczęścia może będziemy mogli im pomóc. Bez względu na wszystko jedno jest pewne: nie wolno pozwolić, aby Murmandamus dotarł do Kamienia Życia.

Ryath?

Smok załśnił i powrócił do swej zwykłej postaci. Dosiedli go i wzbili się w niebiosa. Zatoczyli szeroki krąg wysoko ponad Równiną Isbandii. Ryath przechyliła się w locie i ruszyła na południowy zachód. Gdy przelatywali nad ruinami

*Armengaru, Macros polecił jej, by zatrzymała się na chwilę. Przyglądali się zniszczeniom. Z ogromnej dziury, gdzie znajdowała się twierdza, ciągle buchał czarny dym.*

*– Co to za miejsce? – spytał Pug.*

*– Kiedyś nazywało się Sar-Isbandia. Ostatnio – Armengar. Podobnie jak Sar-Sargoth zostało wzniesione przez glamredheli na długo przed tym, nim popadli znowu w barbarzyństwo. Oba miasta zbudowano na podobieństwo warowni Draken-Korina, posługując się wiedzą wydartą innym światom. Oba też okazały się konstrukcjami wzniesionymi na próżno. Kosztem ogromnych strat zostały zdobyte przez moredheli w czasie wielkich bitew. Najpierw padło Sar-Sargoth, które Murmandamus uczynił swoją stolicą, a następnie Sar-Isbandia. W czasie bitwy o Sar-Isbandię, kiedy to, jak powszechnie sądzono, glamredhele zostali starci z powierzchni ziemi, Murmandamus zginął. Po jego śmierci moredhele opuścili oba miasta. Powrócili do Sar-Sargoth dopiero niedawno. W Armengar żyli ludzie.*

*– Nie został kamień na kamieniu – zauważył Tomas.*

*– Tak, wygląda na to, że obecne wcielenie Murmandamusa musiało zapłacić wysoką cenę, by je zdobyć – zgodził się Macros. – Ludzie, którzy tu mieszkali, okazali się bardziej przebiegli i twardzi, niż sądziłem. Może nawet udało im się tak dokuczyć Murmandamusowi, że Sethanon nadal stoi, bo góry z pewnością już przekroczył. Ryath, na południe! Do Sethanon!*

# SETHANON

*Oblężenie rozpoczęło się nagle.*

*Przez cały tydzień od zakończenia przygotowań i zamknięcia bram miasta przez Aruthę nic się nie wydarzyło. Aż wreszcie ósmego dnia doniesiono o pojawieniu się kolumn wojsk Murmandamusa. Około południa miasto zostało już otoczone przez pierwsze oddziały kawalerii, a po zapadnięciu zmroku ogniska posterunków wartowniczych rozlały się aż po horyzont.*

*Arutha, Guy i Amos obserwowali wroga z punktu dowodzenia umieszczonego na szczycie południowego barbakanu, strzegącego głównego wejścia do miasta.*

*– Nie będzie się silił na żadne wymyślne sztuczki – powiedział po dłuższym milczeniu Guy. – Uderzy jednocześnie ze wszystkich stron. Te niskie, byle jakie murki nie wytrzymają długo. Po pierwszym, najdalej po drugim szturmie będzie już w środku, chyba że wymyślimy coś, aby go przyhamować.*

*– Bariery obronne, które wznieśliśmy, trochę pomogą, ale nie przydadzą się na wiele. Musimy polegać głównie na ludziach – powiedział Arutha.*

*– Ci, których przyprowadziliśmy ze sobą, to twarde chłopaki – skomentował Amos. – Może i tutejsze malowane żołnierzyki od parad i musztry nauczą się tego i owego.*

*– Dlatego właśnie rozrzuciłem ludzi z Wysokiego Zamku pomiędzy oddziały garnizonu. To może przechylić szalę na naszą stronę. – W głosie Księcia nie było słyhać wielkiej nadziei.*

*Guy pokręcił głową, a potem wsparł ją na ramionach opartych o mur.*

*– Tysiąc dwustu zaprawionych w bojach wiarusów, wliczając w to mogących się poruszać rannych, którzy powrócili do służby. Trzy tysiące garnizonowych,*

*trochę lokalnej milicji i straży miejskiej, z których większość nie widziała nigdy na oczy czegoś bardziej dramatycznego niż karczemna burda. Jeżeli siedem tysięcy Armengarian za dwudziestometrowymi murami nie dało rady, to co może zdziałać ta garstka żółtodzióbów?*

*– To, co będą musieli – powiedział Arutha i zamilkł, skupiając całą uwagę na ogniskach rozsianych po równinie.*

*Następny dzień przeszedł w noc, a Murmandamus ciągle ustawiał w szyku swoją armię. Jimmy siedział z Locklearem na beli siana niedaleko stanowiska katapulty. Oni i reszta młodej szlachty z dworu Humphrey'a roznosili wiadra piasku i wody na wszystkie pozycje machin wojennych na wypadek, gdyby zaszła potrzeba stłumienia ognia. Padali na twarz ze zmęczenia.*

*Locklear przyglądał się morzu pochodni i ognisk za murami.*

*– Wydaje się, że jest ich więcej niż pod Armengarem. Jakby nigdy nie dostali od nas tęgiego lupnia.*

*– Ale nieźle oberwali. – Jimmy pokiwał głową. – Tutaj są po prostu bliżej murów, i tyle. Słyszałem, jak du Bas-Tyra mówił, że rzucą się na nas z marszu. – Milczał przez chwilę. – Nie wspominałeś ostatnio o Bronwynn.*

*Locklear spojrział znowu na ogniska.*

*– A co tu mówić? Umarła. Popłakałem sobie i tyle. Skończyło się. Nie ma sensu ciągle do tego wracać. Za kilka dni i ja mogę być martwy.*

*Jimmy westchnął ciężko. Oparł się wygodniej o wewnętrzny mur i obserwował tłumy wroga przez szczeliny strzelnicze. W sercu przyjaciela umarło na zawsze coś radosnego, pełnego młodości i niewinności, i Jimmy opłakiwał tę stratę. Zastanawiał się także, czy w nim również była kiedykolwiek taka młodość ducha i*



niewinność.

*Z nadejściem świtu obrońcy stali w pełnej gotowości, by odeprzeć atak, gdy tylko nastąpi. Jednak Murmandamus postąpił podobnie jak pod Armengarem. Jego oddziały pod sztandarami poszczególnych konfederacji i klanów zbliżały się kolejno do murów. Potem otworzyły szyki, aby przepuścić najwyższego dowódcę przed front. Murmandamus dosiadał ogromnego, czarnego ogiera, dorównującego urodą białemu, na którym jeździł poprzednio. Na głowie miał czarny hełm obwieszony srebrnym otokiem, a w ręku czarny miecz. Wygląd watażki z pewnością nie dodawał otuchy, jednak jego słowa były łagodne i spokojne. Dzięki sztuce magii docierały wyraźnie do wszystkich obrońców.*

*– O dzieci moje, mimo że niektórzy z was już mi się sprzeciwili, ja jestem zawsze wyrozumiały i gotów do przebaczenia. Otwórzcie bramy, a solennie przyrzekam: kto zechce, może odejść w spokoju. Nikt nie będzie go zatrzymywał ani niepokoił. Weźcie ze sobą, co chcecie, żywność, trzody, bogactwa – nie sprzeciwię się nikomu. – Machnął za siebie ręką. Podjechało dwunastu wojowników moredheli i stanęło za nim. – Patrzcie, jestem nawet gotów dać zakładników. Należą do grona najbardziej oddanych mi dowódców. Będą wam towarzyszyć bez broni i zbroi, aż znajdziecie się bezpiecznie za murami wybranego przez was miasta. Tylko o to proszę. Musicie otworzyć bramy swego grodu. Sethanon musi być moje!*

*Dowódcy obrony miasta spoglądali z murów.*

*– Tego królewskiego świniopasa rzeczywiście przypiliło, aby dostać się do miasta – mruknął Amos. – Niech mnie szlag trafi, jeśli sam mu prawie nie uwierzyłem. Niemal mnie przekonał, że moglibyśmy odjechać bezpiecznie, gdybyśmy tylko oddali mu to cholerne miasto.*

– *Ja też prawie uwierzyłem. – Arutha spojrział na Guya. – Nigdy nie słyszałem, aby Mroczni Bracia oferowali zakładników.*

*Guy przejechał dłonią po twarzy. Widać było, że jest zmęczony i zaniepokojony, chociaż wyczerpanie nie wynikało z prostego braku snu, lecz z długotrwałego cierpienia.*

– *Musi być tu coś, czego bardzo chce...*

– *Wasza Wysokość, czy możemy się układać z tym potworem? – spytał Humphry.*

– *To twoje miasto, baronie, ale Królestwo mego brata. Jestem pewien, że miałby nam bardzo za złe, gdybyśmy zaczęli po kawałku je rozdawać. Nie, nie będziemy się z nim układać. Chociaż faszkuje nas słodkimi słówkami, nie mamy podstaw by ufać, że zechce dotrzymać przysięgi. Jestem przekonany, że bez chwili wahania gotów jest poświęcić swoich dowódców. Nie obchodziły go nigdy straty ponoszone w walce. Gotów jestem nawet przypuszczać, że z radością powitałby rozlew krwi i rzeź. Nie, Guy ma rację. On chce się tylko dostać za mury najszybciej, jak to tylko możliwe. A ja byłbym skłonny oddać me roczne podatki za informację, czego tak pragnie.*

– *Nie wydaje mi się też, aby zakładników uszczęśliwiła złożona nam propozycja – dorzucił Amos. I rzeczywiście, kilku dowódców moredheli rozmawiało gorączkowo, gestykulując za plecami Murmandamusa. – Co więcej, podejrzewam, że harmonijne do tej pory współzycie i działanie Mrocznych Braci ulega gwałtownej erozji.*

– *Miejmy nadzieję -- powiedział Guy krótko.*

*Ogier Murmandamusa tańczył nerwowo, usiłując stanąć dęba.*

– Jak więc brzmi wasza odpowiedź? – krzyknął moredhel. Arutha wszedł na skrzynkę, aby go lepiej widziano z dołu.

– Moja odpowiedź brzmi: wracaj na północ! – krzyknął. – Najechałeś bezprawnie ziemie, których mieszkańcy nie chcą cię oglądać. Armie Królestwa maszerują już, by cię przepędzić. Wracaj na północ, zanim śniegi na dobre zasypią przełęcze, a ty umrzesz z zimna w samotności, daleko od domu rodzinnego.

– Kto mówi w imieniu miasta? – krzyknął Murmandamus. Zapadła krótka chwila absolutnej ciszy.

– Ja. Arutha conDoin, księżę Kronodoru, następca tronu w Rillanon – odkrzyknął Księżę. – I Pan Zachodu – dorzucił po sekundzie milczenia tytuł, którego oficjalnie nie nosił.

Z gardła Murmandamusa wyrwał się nieludzki wrzask wściekłości... i być może przerażenia. Jimmy szturchnął łokciem Amosa.

– Hm, to go załatwiło na cacy! Zdecydowanie już mu nie do śmiechu – szepnęły były złodziej.

Amos uśmiechnął się i klepnął chłopaka po ramieniu. Przez szeregi armii Murmandamusa przeszedł głuchy pomruk.

– Hm, wydaje się, że i jego wojakom się to nie spodobało. Różne znaki, które okazują się fałszywe, mogą mocno podkopać morale tej przesądnej bandy.

– Kłamca! – wrzasnął Murmandamus. – Fałszywy księżę! Wszyscy wiedzą, że księżę Kronodoru został zamordowany. Dlaczego łiesz i kręcisz? Po co?

Arutha wszedł jeszcze wyżej, by być lepiej widocznym. Dowódcy zgromadzeni za Murmandamusem zaczęli kręcić się w kółko, krzyczeć i gestykulować zawzięcie.

Arutha zdjął z szyi talizman otrzymany od opata Sarth i wyciągnął przed siebie.

– Talizman ten chroni mnie przed twoimi magicznymi sztuczkami. – Podał

talizman Jimmy'emu. – Teraz znasz prawdę.

Nieodłączny towarzysz Murmandamusa, Pantathian, kapłan--wąż imieniem

Cathos, podbiegł zataczając się lekko i pociągając nogami. Zaczął szarpać strzemię swego pana i pokazując na Aruthę, gadał jak najęty w syczącym języku swego ludu.

Murmandamus wrzasnął histerycznie i odtrącił go potężnym kopniakiem. Kapłan upadł jak długi. Amos splunął z obrzydzeniem za mur.

– To ich chyba przekonało.

Pośród grupki dowódców dało się zauważyć nagle poruszenie. Wymachując

gniewnie rękami, ruszyli całą grupą w stronę wodza. Murmandamus spostrzegł, że sytuacja wymyka mu się z rąk. Spiął konia i obrócił go wokół osi. Kopyta potężnego bojowego rumaka uderzyły kapłana węża w głowę. Stracił przytomność.

Murmandamus zignorował zupełnie leżącego bezwładnie sprzymierzeńca i podjeżdżających coraz bliżej rozwścieczonych dowódców.

– Zatem, uparte, wstrętne i żalosne istoty – wrzasnął łamiącym się

histerycznie głosem – patrzcie, oto nadchodzi śmierć, by wziąć was w ramiona! –

Obrócił się twarzą ku swej armii. – Do ataku!

Oddziały wroga od początku stały w szyku bojowym i natychmiast ruszyły do

przodu. Dowódcy nic już nie mogli poradzić. Jedyne, co im pozostało, to powrócić jak najszybciej do swych klanów, aby objąć komendę. Jazda posuwała się powoli za idącą do ataku piechotą, by po otwarciu bram runąć do środka.

Murmandamus powrócił na stanowisko dowodzenia, gdy pierwsze szeregi

goblinów zaczęły maszerować po rozciągniętym na ziemi ciele kapłana. Nikt nie

wiedział, czy Pantathian zginął od uderzenia kopytem, lecz gdy ostatnie szeregi

*minęły go, na ziemi leżały zmasakrowane, zalane krwią zwłoki.*

*Arutha wznosił rękę i trzymał ją w górze, aż pierwsze szeregi wroga znalazły się w zasięgu katapult. Wówczas opuścił ją, dając sygnał do otwarcia ognia.*

*– Proszę – powiedział Jimmy, oddając mu talizman. – Może się jeszcze przydać.*

*Pociski uderzyły celnie. Wyrównana linia nacierających załamała się. Po chwili szli dalej. Wkrótce pod osłoną strzał wypuszczanych zza muru tarcz biegli już w kierunku murów. Pierwsze szeregi wpadły na przykryte maskującym płótnem i ziemią rowy. Materiał rozrywał się pod ich ciężarem, a oni spadali w dół, nadziewając się na zaostrome i zahartowane w ogniu pale. Jednak następne szeregi ciskały tarcze na ciała wijących się z bólu towarzyszy i przebiegały na drugą stronę jak po pomoście. Druga i trzecia fala atakujących została zdziesiątkowana, lecz nadbiegali już następni. Drabiny powędrowały do przodu, by w chwilę potem znaleźć się już przy murach, gdzie stawiano je błyskawicznie do pionu. Bitwa o Sethanon rozgorzała na dobre.*

*Pierwsza fala atakujących mury spotkała się z ogniem i stalą obrońców.*

*Żołnierze z Wysokiego Zamku uwijali się jak w ukropie, dając przykład i przewodząc niedoświadczonym obrońcom miasta, dzięki czemu nie zmiotło ich pierwsze uderzenie. Amos, de la Troville, du Masigny i Guy byli jak zawleczka na osi wozu, zabezpieczająca koło przed spadnięciem – pojawiali się zawsze tam, gdzie ich najbardziej potrzebowano.*

*Prawie przez godzinę losy bitwy wisały na włosku. Atakujący zdobywali przyczółki na blankach, by po chwili cofać się pod naporem obrony. Obie strony miały wyrównane szansę. Gdy jeden atak został odparty i stawało się jasne, że łut*

szczęścia może zdecydować o takim czy innym wyniku, natychmiast rozpoczęła się następny, w innej części murów.

Na polu walki pojawił się gigantyczny taran, wykonany w cienistych zagajnikach Mrocznego Lasu. Podtoczono go ku południowej bramie miasta.

Fortyfikacje Sethanon nie miały fosy. Były tylko rowy i wilcze doły, lecz te wypełniły się szybko trupami i przykryto je deskami. Taran wyciosano z ogromnego pnia o ponad trzymetrowej średnicy. Ciągnięty przez tuzin koni z jeźdźcami toczył się powoli na sześciu gigantycznych kołach. Dwunastu olbrzymów popychało go długimi tykami. Taran nabierał szybkości. Wkrótce konie pędziły galopem. Jeźdźcy uciekli na boki przed gradem strzał z murów. Powolnych olbrzymów zastąpiły szybsze gobliny. Ich głównym zadaniem było utrzymywanie tempa tarana i jego kierunku. Potężny pień coraz szybciej i szybciej toczył się ku zewnętrznej bramie barbakanu. obrońcy nic nie mogli uczynić, aby go powstrzymać.

Rąbnął w bramę z ogłuszającym trzaskiem. Chmura drzazg i kawałków drewna oraz zgrzytliwy jęk protestu metalowych zawiasów wrywanych z muru wskazywały, że powstał wylom w systemie obrony miasta. Odrzwia bramy wpadły do wnętrza barbakanu i wygięły się pod naporem ogromnych kół tarana. Przód odbił się w górę od bramy i z impetem uderzył w mur z prawej strony.

Niespodziewanie atakujący uzyskali swobodny dostęp do środka miasta. Chmara goblinów rzuciła się na blanki barbakanu po rozkołysanym taranie i wygiętych połówkach bramy. Szala zwycięstwa przechyliła się nagle w niebezpieczną dla obrońców stronę.

Żołnierze na szczycie barbakanu zostali zepchnięci w tył. Atakujący docierali już do punktu ponad bramą wewnętrzną, prowadzącą do serca miasta. Tłumy

goblinów i moredheli napierały ze wszystkich stron. Arutha wezwał na pomoc posiłki. Żołnierze rzucili się biegiem na dziedziniec, ku zablokowanej potężną sztabą bramie, koło której lądowały już z góry pierwsze gobliny. Rozgorzała zażarta walka. Wkrótce łucznicy atakujących, pomimo gęstego ostrzału z innych partii murów, zmusili obrońców do wycofania się. Potężna sztaba, dźwignięta dziesiątkami ramion, zaczęła unosić się do góry. Nagle z zewnątrz rozległy się nieludzkie wrzaski i wycie. Tempo walki spadło nagle, jakby obie strony wyczuły, że dzieje się coś dziwnego. Wszystkie oczy zwróciły się ku niebu.

Z przestworzy, obniżając lot, opadał smok. Jego łuski lśniły w promieniach słońca. Na grzbiecie widać było trzy postacie. Gigantyczne zwierzę przemknęło nad murami ze strasliwym rykiem, kierując się wprost na tłum atakujących bramę. Gobliny rzuciły się do ucieczki.

Ryath rozpostarła szeroko skrzydła i spłynęła lotem nurkowym nad głowy atakujących. Tomas wymachiwał złocistym mieczem. Z gardzieli smoka wydarł się ogłuszający okrzyk wojenny. Szeregi goblinów rozpierzchły się na wszystkie strony. Tomas rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu Murmandamusa, lecz gdziekolwiek zwrócił spojrzenie, widział tylko morze jeźdźców i piechoty. Wokół nich zaczęły furkotać strzały. Większość odbijała się niegroźnie od łusek, lecz Księżę Małżonek Elvandaru zdawał sobie sprawę, że dobrze wycelowany pocisk mógł trafić pod zachodzące na siebie łuski lub w oko i ciężko zranić smoka. Rozkazał Ryath, by wleciała do miasta.

Wylądowali na placu targowym w pewnej odległości od bramy. Arutha już biegł ku nim w towarzystwie Galaina. Pug i Tomas zeskoczyli lekko na ziemię. Macros opuścił się na dół z większym dostojeństwem i ostrożnością.

*Arutha chwycił Puga za rękę.*

*– Jak to dobrze znowu cię widzieć. Pojawiacie się w najodpowiedniejszej chwili.*

*– Śpieszyliśmy się, ale po drodze mieliśmy kilka opóźnień. Galain witał Tomasa. Arutha podbiegł i przywitał się także, potrząsając energicznie jego dłonią. Na ich twarzach widać było radość, że żyją i widzą się znowu. Arutha dostrzegł nagle Macrosa.*

*– A więc nie umarłeś?*

*– Najwyraźniej nie. Miło cię znowu ujrzeć. Księżę. O wiele bardziej niż możesz sobie wyobrazić.*

*Arutha rzucił okiem na toczącą się na murach bitwę i stwierdził, że jest w miarę spokojnie. Odgłosy walki dochodzące z dalszych rejonów świadczyły, że zaprzestano ataku na bramę.*

*– Nie wiem, jak długo będą zwlekali z ponowieniem natarcia na barbakan. – Spojrzał w dół ulicy prowadzącej w tamtym kierunku. – Napędziliście im niezłego stracha. Murmandamus ma ponadto kłopoty z niektórymi ze swoich dowódców, ale niestety nie na tyle wielkie, byśmy mieli odnieść z tego większą korzyść. Chyba nie dam rady ich tu zatrzymać. Gdy znowu nadejdą, wespną się po taranie jak małpy.*

*– Możemy pomóc... – powiedział Pug.*

*– Nie – zaprotestował Macros krótko. Wszystkie oczy zwróciły się na niego.*

*– Magia Puga nie sprostą sztuce Murmandamusa – powiedział Arutha.*

*– Czy użył już przeciwko wam jakichś czarów?*

*– Hm... nie – odpowiedział po namyśle Arutha. – Od czasu Armengaru, nie.*

*– I nie użyje. Musi zachować swą sztukę i moce magiczne do momentu*



*zdobycia miasta. A rozlew krwi i przerażenie służą jego sprawie. W twierdzy znajduje się coś, co bardzo pragnie zdobyć. Musimy udaremnić jego wysiłki.*

*Arutha spojrział na Puga.*

*– Co się tu dzieje? Podbiegł do nich goniec.*

*– Wasza Wysokość! Wróg gotuje się do zmasowanego ataku na bramę!*

*– Kto cię zastępuje? – spytał pośpiesznie Macros.*

*– Guy du Bas-Tyra.*

*Pug obrzucił go zdziwionym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.*

*– Murmandamus nie posłuży się magią. Chyba, że trafi mu się okazja, by cię zniszczyć, Arutha. Musisz natychmiast przekazać dowodzenie obroną w ręce du Bas-Tyry i pójść z nami.*

*– Dokąd idziemy?*

*– Niedaleko. Jeżeli inne środki zawiodą, będzie to jedyny sposób, by zapobiec całkowitej zagładzie twego narodu. Książę. Nie wolno nam dopuścić, by Murmandamus osiągnął swój ostateczny cel.*

*Arutha namyślał się przez chwilę. Zwrócił się do Galaina.*

*– Rozkazy dla du Bas-Tyry: od tej chwili dowodzi obroną miasta. Amos Trask będzie jego zastępcą.*

*– A gdzie będzie Wasza Wysokość? – spytał żołnierz stojący obok Elfa.*

*Macros wziął Aruthę pod ramię.*

*– Tam, gdzie nikt nie będzie mógł do niego dotrzeć. Jeżeli zwyciężymy, wszyscy spotkamy się znowu. – Nawet się nie potrudził, by powiedzieć, co się stanie, jeśli przegramy.*

*Ruszyli szybkim krokiem. Szli ulicą, mijając domy, w których za zasłoniętymi*

okiennicami i zaryglowanymi drzwiami chronili się mieszkańcy. Jakiś odważniejszy chłopak wyjrzał z okna na piętrze w chwili, gdy obok przetaczała się ciężko Ryath. Oczy niemal wyskoczyły mu z orbit. Okno zatrasnęło się z hukiem. Skręcili w szerszą aleję. Mimo znacznego oddalenia z murów ciągle dochodziły odgłosy bitwy. Macros zatrzymał się i odwrócił gwałtownie do Księcia.

– To, co ujrzysz, co usłyszysz i czego się nauczysz, musi na zawsze pozostać tajemnicą. Poza tobą jedynie Król i twój brat, Martin, mogą się dowiedzieć o tym, co dzisiaj poznasz... i twoi następcy... jeżeli będą – dorzucił ostrym tonem. –

Przysięgnij!

– Macros nie prosił, lecz żądał i rozkazywał.

– Przysięgam.

– Tomas, musisz odkryć, gdzie znajduje się Kamień Życia. Ty zaś, Pug, musisz nas tam zaprowadzić. Tomas zaczął rozglądać się po okolicy.

– To było wieki temu. Nic nie przypomina... – Zamknął oczy i jak się wydawało pozostałym, zapadł w trans. – Czuję to...

– powiedział cicho po paru chwilach. – Pug – ciągnął dalej, nie otwierając oczu – czy możesz nas zaprowadzić... tam! – Wskazał ku centrum miasta i otworzył oczy. – To coś znajduje się pod wejściem do głównego zamku.

– Zbliźcie się. Podajmy sobie ręce. – polecił Pug. Tomas spojrział na smoka.

– Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Dziękuję.

– Pójdę z tobą. Raz jeszcze... – Zerknęła na czarnoksiężnika, a potem znowu na Tomasa. – Wiem dokładnie, jakie jest moje przeznaczenie. Nie wolno mi go unikać.

Pug spojrział na towarzyszy.

– O czym ona mówi? – Na twarzy Aruthy malowało się zdziwienie. Macros nie odezwał się ani słowem.

– Nic nam wcześniej nie mówiłaś – powiedział Tomas.

– Nie było takiej potrzeby, przyjacielu Tomasie. Macros przerwał im.

– Możemy o tym porozmawiać po dotarciu na miejsce. Ryath, gdy się zatrzymamy, przyjdź do nas.

– Sala jest wystarczająco duża – dorzucił Tomas.

– Przybędę.

Pug zapanował nad zdumieniem i zmieszaniem. Ujął rękę Aruthy. Drugą podał Tomasowi. Macros zamknął koło. W jednej chwili utracili materialną postać i zaczęli się poruszać.

Zapadali się pod ziemię. Na dłuższy czas światło dzienne zniknęło im z oczu.

Tomas kierował Pugiem, posługując się mową myślną. Po kilku minutach spędzonych w absolutnym mroku rozległ się głos Tomasa.

– Jesteśmy już na otwartej przestrzeni.

Gdy wrócili do materialnej postaci, uczyli pod stopami chłód kamiennej posadzki. Pug wytworzył wokół nich jasność. Arutha podniósł wzrok ku górze.

Znajdowali się w ogromnej sali ciągnącej się w każdym kierunku na co najmniej trzydzieści metrów. Dwa razy wyżej majaczyło niewyraźnie sklepienie. Wokół nich wznosiły się kolumny, pośród których znajdowało się podwyższenie. Z głośnym kłaśnięciem pojawiła się nad nimi ogromna sylwetka smoka.

– Już prawie czas... – powiedziała Ryath.

– O czym ten smok mówi? – zdziwił się Arutha. W ciągu ostatnich dwóch lat był świadkiem tylu niesamowitych i cudownych rzeczy, że gadający smok nie

*wywarł na nim specjalnego wrażenia.*

*– Ryath, jak wszystkie smoki większe, zna dokładnie czas swej śmierci –*

*powiedział Tomas. – Nastąpi to wkrótce...*

*– Gdy podróżowaliśmy między światami, mogłam umrzeć z przyczyn nie związanych ani z tobą, ani z twymi przyjaciółmi. Teraz oczywiste jest, że muszę odegrać swoją rolę i nadal współdziałać z wami. Nasze przeznaczenie jest bowiem raz na zawsze powiązane jest z twoim, Valheru.*

*Tomas tylko skinął głową. Pug rozglądał się po sali.*

*– Gdzie jest Kamień Życia?*

*– Tam. – Macros wskazał na podwyższenie.*

*– Nic tam nie ma...*

*– Pozór rzeczywistości – odpowiedział Tomas. '•– Gdzie poczekamy? – spytał*

*Macrosa.*

*Czarnoksiężnik milczał zastanawiając się.*

*– Każdy na swoje miejsce. Pug, Arutha i ja musimy czekać tutaj. Ty i Ryath musicie udać się gdzie indziej.*

*Tomas pokiwał głową ze zrozumieniem. Posługując się sztuką magii, wzniosł się w górę i dosiadł smoka. Rozległ się ogłuszający huk i oboje zniknęli.*

*– Dokąd poleciał? – spytał Arutha.*

*– Jest tu nadal – powiedział Macros. – Przebywa jedynie w trochę innej niż my fazie, podobnie zresztą jak i Kamień Życia. Stanął na jego straży – ostatni bastion obrony tej planety. Jeśli nam się nie powiedzie, tylko on stanie między Midkemią a jej całkowitym unicestwieniem.*

*Księżę popatrzył uważnie na Macrosa, a później Ha Puga. Podeszedł do*

*podwyższenia i usiadł.*

*– Lepiej chyba będzie, jeśli mi wyjaśnicie parę spraw.*

*Guy dał znak i chmura pocisków runęła na głowy atakujących bramę goblinów. W kilka sekund poległa ich cała setka. Nic już jednak nie mogło powstrzymać fali nacierających.*

*– Przygotować się do opuszczenia murów! – krzyknął du Bas-Tyra do Amosa. – Oddziały zaczepne mają natychmiast wrócić do zamku. Nie chcę paniki.*

*Kto spróbuje uciekać, ma być zabity przez dowodzącego sierżanta.*

*– Uff, ostro, ostro... – sapnął Amos, lecz nie sprzeciwił się wykonaniu rozkazu. Garnizon znajdował się na krawędzi załamania i rozpadu; niedoświadczeni żołnierze byli bliscy paniki. Jedyne strasząc ich bardziej, niż czynił to wróg, można było mieć cień nadziei na jaki taki porządek w wycofywaniu się do głównego zamku. Amos obejrzał się. Mieszkańcy uciekali na łeb na szyję do zamku.*

*Do tej pory nakazywano im, aby nie wychodzili z domów, dzięki czemu oddziały mogły się sprawnie i bez przeszkód przemieszczać się między odcinkami obrony. Teraz nakazano im natychmiastowe opuszczenie domów. Amos miał nadzieję, że ulice opustoszeją, zanim rozpocznie się odwrót wojska z murów.*

*Jimmy pędził przez skłębiony tłum zygzakiem, kierując się ku zachodowi, gdzie stali Amos, Galain i Guy.*

*– De la Troville potrzebuje posiłków! Bardzo go cisną na prawej flance.*

*– Nic nie dostanie. Jeśli ściągnę kogoś z innych odcinków, otworzę bramę powodzi... – Wskazał na miejsce, gdzie gobliny ponownie przedarły się przez wyrwę w zewnętrznej bramie barbakanu i wspinały się już na wewnętrzną. Chroniący ich ostrzał łuczników moredheli był morderczy. Jimmy chciał już odejść, lecz Guy*

*chwycił go za ramię.*

*– Inny goniec roznosi już wiadomość, by na mój sygnał opuścić mury. Nie  
zdołasz wrócić na czas. Zostań tutaj.*

*Jimmy kiwnął głową i wyciągnął miecz. Dosłownie w tym samym momencie  
pojawił się przed nim goblin. Chłopak ciął na odlew i stwór o sinoniebieskiej skórze  
zwalił się ciężko na ziemię. Na jego miejsce błyskawicznie pojawił się następny.  
Tomas spojrział w dół. Jego przyjaciele zniknęli. Wiedział, że nadal znajdują  
się w tym samym miejscu, lecz w trochę innej fazie czasu niż on. Ashen-Shugar  
usiłował ukryć kamień, umieszczając starożytne miasto Draken-Korin w innym  
punkcie struktury czasu. Rozejrzał się po rozległej sali, gdzie Valheru po raz ostatni  
zebrali się na wspólną naradę. Przeniósł następnie wzrok na ogromny, płonący  
wewnętrznym światłem, zielony kamień. Przeszedł na inny poziom percepcji i jego  
oczom ukazały się wychodzące z niego na zewnątrz niezliczone linie mocy. Wiedział,  
że docierają do każdej żywej istoty na tej planecie. Skupił się na tym, czego za chwilę  
miał dokonać. Zalala go fala spokoju. Wyczuwał nastrój smoka. Sam czuł to samo.  
Była to otwarta zgoda na zaakceptowanie wszystkiego, co przyniesie los, jednak bez  
rezygnacji i poddawania się. To prawda, że śmierć mogła przyjść w każdej chwili,  
ale wraz z nią mogło nadejść również zwycięstwo. Myśl ta dodała mu otuchy.*

*Arutha pokiwał głową.*

*– Mówiliście, że to bardzo ważne. Zgoda. Teraz powiedzcie mi jeszcze  
dlaczego.*

*– Kamień pozostawiono, by czekał na dzień powrotu Valheru. Dobrze  
rozumiano, że bogowie zostali stworzeni z materii świata i stanowią nieodłączną  
część Midkemii, są jej elementem. Draken-Korin był prawdziwym geniuszem swej*

rasy. Zdawał sobie sprawę, że ich moc zależała od związków, jakie mieli z innymi żywymi istotami. Kamień Życia jest najpotężniejszym obiektem magicznym tej planety. Jeżeli trafi w niepowołane ręce i zostanie użyty, wysączy do ostatka żywotne siły ze wszystkich żyjących istot tego świata, zasilając nimi potęgę tego, kto nim zawładnie. Można się nim posłużyć, by sprowadzić Valheru w tę przestrzeń i czas. Kamień zapewnia otrzymanie nagłej wiązki energii o mocy, z którą nic nie może się równać. Jednocześnie wysysa źródło mocy dla bogów. Niestety oznacza to również, że zagładzie ulegną wszelkie formy życia na Midkemii. W jednym ułamku sekundy wszystko, co chodzi, lata, pływa czy pęłza po powierzchni tej planety, przestanie istnieć. Owady, ryby, rośliny. Wszystko. Nawet stworzenia zbyt małe, by je dostrzec gołym okiem.

Arutha spojrział na niego zdumionym wzrokiem.

– Po co Valheru martwa planeta?

– Kiedy ponownie zawitają do tego wszechświata, będą mogli wyruszyć na wojny przeciwko innym światom. Sprowadzą niewolników, stada zwierząt, rośliny. Wszystkie formy życia rozwiną się tu od nowa. Los innych istot na Midkemii jest im zupełnie obojętny. Interesują się wyłącznie swoim. To punkt widzenia prawdziwie godny Valheru: wszystko może zginąć, byle tylko moje interesy były odpowiednio zabezpieczone.

– Zatem Murmandamus i moredhele z jego armii również zginą... –

powiedział Arutha cicho. Zasięg i skala potwornego planu przeraziły go.

Macros zamyslił się.

– To mnie właśnie zastanawia i dziwi. Aby Murmandamus mógł właściwie wykorzystać Kamień Życia, Valheru musieli powierzyć mu wielką i głęboką wiedzę.

*Wydaje się niemożliwe, aby nie zdawał sobie sprawy, iż w momencie otwarcia przejścia umrze. Mogę jeszcze zrozumieć kapłanów Pantathian. Od chwili zakończenia Wojen Chaosu trują się w pocie czoła, aby sprowadzić z powrotem swoją władczynię. Szmaragdową Panią Węży, którą uważają za boginię. Stworzyli kult śmierci. Wierzą, iż wraz z jej powrotem sami osiągną stan półbóstwa. Witają śmierć z otwartymi szeroko ramionami. Jednak takie podejście w odniesieniu do moredheli jest właściwie wykluczone. Nie rozumiem motywów postępowania Murmandamusa, chyba że otrzymał jakieś gwarancje. Ale co to by mogło być... nie wiem. Podobnie zresztą nie rozumiem, co może znaczyć i zwiastować to, że posłużono się upiorami, ponieważ one nie zginą wraz z innymi. A gdy przyjdzie czas ponownego ożywienia planety i Valheru nie będą już chcieli mieć ich w swoim świecie, będzie im niezwykle trudno się ich pozbyć. Władcy Upiorów to potężne istoty, co każe mi wątpić w możliwość układu między nimi. – Macros westchnął. – Tak wiele jeszcze nie wiemy. A przecież każdy z tych nieznanych elementów może stać się przyczyną naszego niepowodzenia.*

*– Nie rozumiem jeszcze jednego. Murmandamus jest pewnego rodzaju archimagiem, prawda? Jeżeli chce się tu przedostać, to dlaczego na przykład nie przyjmie zwykłej, ludzkiej postaci i nie wślizgnie się niepostrzeżenie do Sethanon? Po co te wszystkie przemarsze wojsk, zniszczenia i tak dalej?*

*– Wynika to z natury Kamienia. Osiągnięcie właściwej struktury odniesienia do czasu i otwarcie przejścia, by wpuścić Valheru, wymaga przeogromnej siły magicznej. Murmandamus wzmacnia się, można powiedzieć, że karmi się śmiercią.*

*– Arutha kiwnął głową, przypominając sobie słowa Murmandamusa w czasie ich pierwszej konfrontacji w Krondorze poprzez ciało zabitego Nocnego Jastrzębia. –*



Wysysa energię z każdej śmierci w swoim otoczeniu. Tysiące straciły już życie służąc mu lub walcząc przeciwko niemu. Gdyby nie musiał zachowywać energii w celu otwarcia przejścia, mógłby zmieścić to miasto z powierzchni ziemi niczym stos patyków. Nawet tak prosta sprawa, jak utrzymywanie wokół siebie osobistej bariery ochronnej, kosztuje go drogocenną energię. Nie, aby sprowadzić tutaj Valheru, potrzebna mu wojna. Z przyjemnością widziałby swoją armię wybitą do ostatniego żołnierza, gdyby miało mu to pomóc w dostaniu się do tej sali. Teraz musimy spróbować zablokować przedostanie się jego panów do naszego wszechświata. – Wstał. – Arutha, bądź czujny. Musisz bardzo uważać na zwykły, ziemski atak skierowany przeciwko tobie. – Podszedł do Puga. – Musimy go wspomagać ze wszystkich sił. Jego przeciwnik jest potężny. Bardzo potężny. Nie ma wątpliwości, że Murmandamus pojawi się w tej sali.

Pug ujął Macrosa za rękę. Ten zaś chwycił mocno talizman Ishap. Arutha skinął głową i czarnoksiężnik zabrał mu go. Zamknął oczy. Pug uczył, jak jego wewnętrzna moc poddaje się działaniu Macrosa. Było to uczucie równie nowe, co zdumiewające. Wszystkie jego talenty i zdolności nadal były niczym wobec potęgi starszego maga. Talizman zaczął powoli pulsować wewnętrznym światłem. Pug i Księżę patrzyli zafascynowani.

– Oto ukryta moc – powiedział cicho Macros i otworzył oczy. – Wyciągnij miecz.

Arutha skierował miecz rękojeścią do przodu. Macros uwolnił rękę Puga i ostrożnie umieścił talizman tuż pod nią, tak że malutki młot spoczął na najmocniejszej części klingi. Delikatnie zamknął dłoń wokół talizmanu i ostrza.

– Pug, wiem, jak to uczynić, lecz brak mi siły. Musisz mi pomóc. – Pug

*ponownie ujął jego dłoń w swoją, wspomagając zubożoną potęgę starszego maga.*

*Dłoń Macrosa stopniowo zablęskła ciepłym, żółtopomarańczowym światłem.*

*Jednocześnie dało się słyszeć ciche skwierczenie i spomiędzy palców wysnuły się smużki dymu. Arutha poczuł, że klinga miecza rozgrzewa się gwałtownie.*

*Po paru chwilach poświata zniknęła. Ręka Macrosa rozwarła się. Arutha opuścił wzrok na klingę. Talizman w niewytłumaczalny sposób został wtopiony w stal ostrza i wyglądał jak wygrawerowany znak młota. Księżę spojrział najpierw na Puga, a potem na Macrosa.*

*– W ostrzu znajduje się teraz moc talizmanu. Miecz będzie cię strzegł przed wszystkimi atakami pochodzącymi z magicznych źródeł. Będzie w stanie zranic i zabić wszelkie istoty oddające cześć mrocznym potęgom zła. Będziesz nawet mógł przebić nim ochronną barierę wokół Murmandamusa. Pamiętaj jednak, że siła miecza ograniczona jest potęgą woli i determinacją tego, kto go dzierży w dłoni. Gdy się zachwiejesz w postanowieniu lub zwątpisz, padniesz martwy. Trwaj przy swoim, a zwyciężysz. Nigdy o tym nie zapominaj.*

*– Chodź, Pug. I my musimy się przygotować. Arutha przyglądał się w milczeniu. Dwaj magowie stanęli przed podwyższeniem, twarzami zwróceniu ku sobie. Jeden w brązowej szacie tak stary, że niemal odwieczny i drugi, młodszy w czarnej szacie Wielkiego Narodu Tsuranich. Podali sobie ręce i zamknęli oczy. W sali zapadła przejmująca cisza. Po kilku chwilach ich absolutnego bezruchu, Arutha odwrócił wzrok i zaczął się rozglądać. Sala wydawała się pozbawiona wszelkich sprzętów czy dekoracji. Jedyne wejście stanowiły sięgające pasa drzwi w jednej ze ścian. Otworzył je i zajrzał do środka. W następnej sali piętrzyła się góra klejnotów. Zaśmiał się cicho sam do siebie. Oto i starożytny skarb – bogactwa Valheru. A on*

*gotów byłby oddać je bez wahania, byle tylko ujrzeć na horyzoncie armie Lyama.*

*Przebierał w drogocennym stosie, wreszcie usiadł i czekał. Ujął rubin wielkości śliwki. Podrzucił go bezwiednie do góry, żałując, że nie ma sposobu, by się dowiedzieć, jak powodzi się jego towarzyszom walczącym na górze.*

*– Teraz! – krzyknął Guy i oddział pozostający pod jego osobistą komendą zaczął wycofywać się z barbakanu. Trąby na tyłach dały znak do odwrotu. Oddziały we wszystkich dzielnicach miasta odpowiedziały na wezwanie, oddając mury atakującym w możliwie najbardziej zorganizowanej formie. obrońcy cofnęli się gwałtownie, szukając osłony za pierwszym szeregiem domów przylegających do murów. Łucznicy moredheli zbierali obfite żniwo.*

*Oddziały łuczników z Sethanon czekały na dogodny moment, aby odpowiedzieć strzałami ponad głowami wycofujących się towarzyszy. Tylko wyjątkowa odwaga osłaniających odwrót oddziałów zapobiegła powszechnej panice.*

*Guy pociągnął za sobą Jimmiego i Amosa. Oglądał się co chwila za siebie, sprawdzając, czy jego ludzie zajęli już nowe pozycje. Galain i trzech innych łuczników broniło ich tyłów. Gdy pierwsze szeregi wroga dotarły do większego skrzyżowania ulic, z bocznego zaułka wypadł galopem oddział konnicy. Kawaleria Sethanon pod dowództwem samego Humphry'ego przecwałowała przez goblina i trolle, tratując je i rozpędzając na boki. Większość napastników została wycięta w pień, a pozostali rozpoczęli szybki odwrót tą samą drogą, którą przyszli.*

*Guy skinął na Humphry'ego, aby podjechał bliżej.*

*– Poszarpiemy ich trochę, Guy?*

*– Nie. Zaraz się przegrupują. Niech twoi ludzie czuwają cały czas na*

*obrzeżach i udzielają wsparcia gdzie trzeba. Ale wszyscy mają wycofać się do głównego zamku. Jak najszybciej! Nie zgrywajcie bohaterów.*

*Baron skinął głową.*

*– Humphry, powiedz swoim ludziom, że spisali się wspaniale. – Niski i pękaty baron aż urósł w siodle. Zasalutował sprężyście i odjechał galopem.*

*– Ta mała wiewióra pokazała zęby – pochwalił Amos.*

*– Jest o wiele odważniejszy, niż wygląda. – Guy szybko ocenił sytuację i dał oddziałowi znak do odwrotu. Ruszyli biegiem w kierunku zamku. Na zewnętrzne umocnienia składało się pięknie kute ogrodzenie z żelaznych prętów, które zostanie zwalone w ciągu paru chwil. Jednak wewnętrzny pierścień obrony to inna sprawa. Starodawna forteca była nadal trudna do zdobycia. Guy miał przynajmniej taką nadzieję. Wbiegli na pierwszy poziom blanków. Guy wysłał Galaina, by sprawdził, czy inni dowódcy zdążyli już dotrzeć do głównego zamku.*

*– Gdybym się tylko mógł dowiedzieć, gdzie jest Arutha! – spytał sam siebie pod nosem, gdy Elf zniknął mu z oczu.*

*Jimmy także się nad tym zastanawiał. Głowił się również, gdzie podział się Locklear.*

*Locklear przywarł całym ciałem do muru. Czekał aż troll, słysząc krzyk, odwróci się do niego tyłem. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat.*

*Dwójka pozostałych dzieci była znacznie młodsza. Troll sięgnął ku dziewczynie.*

*Locklear wyskoczył z ukrycia i od tyłu przeszył go na wylot. Nie mówiąc słowa, chwycił ją mocno za rękę. Pociągnął i cała trójka poszła posłusznie za nim.*

*Pobiegli w kierunku zamku. Po paru krokach zatrzymali się gwałtownie, gdyż drogę ucieczki przeciął im oddział konnicy wycofujący się ku twierdzy.*

*Locklear zdążył jeszcze zauważyć, że baron Humphry jako ostatni oderwał się od wroga. Jego koń potknął się nagle. Wysunął się ku niemu las rąk goblinów.*

*Ściągnęli go z siodła. Niziutki grubasek, władca Sethanon, ciął na odlew mieczem, zwalając dwóch najbliższych napastników, zanim został w końcu pokonany przez resztę. Locklear wciągnął przerażoną dziewczynę i dzieciaki do opuszczonej karczmy. Rozglądał się gorączkowo przez chwilę, aż w końcu dostrzegł klapę w podłodze. Otworzył ją.*

*– Szybko! I cicho!*

*Dzieci posłusznie zeszły za nim. Pomacał w ciemności wokół siebie i znalazł lampę, a obok niej krzesiwo. Po chwili latarnia zapłonęła jasnym światłem.*

*Rozglądał się dookoła. Z góry, z ulicy dochodziły przytłumione odgłosy walki.*

*Wskazał na dwie ogromne beczki w rogu. Dzieciaki podbiegły i przycupnęły skulone między nimi. Przewrócił jeszcze jedną beczkę i podtoczył do tamtych. Po jej postawieniu powstała niewielka przestrzeń niewidoczna od strony piwnicy, gdzie można się było skryć. Wziął lampę i miecz i wspiął się na beczkę, dołączając do całej trójki.*

*– Co robiliście na ulicy? – spytał ochryplym szeptem. – Rozkaz odwrotu dla mieszkańców nie uczestniczących w bitwie został wydany ponad pół godziny temu.*

*Dziewczyna była przerażona, ale mówiła spokojnym głosem.*

*– Moja mama ukryła nas w piwnicy. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.*

*– Dlaczego?*

*Dziewczyna obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.*

*– Żołnierze.*

*Locklear zaklął. Troska matki o los najstarszej córki mogła kosztować życie*

*całą trójkę.*

*– Cóż, widocznie wolała cię martwą niż zhańbioną.*

*Dziewczyna zeszywniała.*

*– Mama... nie żyje. Trolle ją zabiły. Walczyła z nimi, dając nam czas na ucieczkę.*

*Locklear pokręcił głową. Otarł wierzchem dłoni zlane potem czoło.*

*– Przepraszam. – Po raz pierwszy przyjrzał się jej uważnie i stwierdził, że jest całkiem ładna. – Naprawdę mi przykro. – Milczał chwilę. – Ja też straciłem kogoś bliskiego – dodał cichym głosem.*

*Z góry dobiegł głuchy stukot. Dziewczyna zeszywniała ponownie. Jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Zaciśnęła zęby na wierzchu dłoni, by powstrzymać krzyk. Dwoje młodszych dzieci wtuliło się w siebie. Locklear nachylił się ku nim.*

*– Ani mru-mru. – Objął dziewczynę ramieniem i zdmuchnął lampę. Piwnica pogrążyła się w nieprzeniknionym mroku.*

*Guy rozkazał zamknąć wewnętrzną bramę zamku. Z wysokości murów patrzył bezradnie, jak ci, którzy zwlekali za długo z wycofaniem się, ginęli pod ciosami wroga. Łucznicy rozpoczęli ostrzał. Wszystko, czym można było razić nieprzyjaciół, leciało za mury – wrząca woda i olej, kamienie, a nawet co cięższe meble. Rozpoczął się ostatni etap desperackiej obrony.*

*Nagle w tylnych szeregach nieprzyjaciela rozległ się donośny okrzyk. Pojawił się Murmandamus. Przeciskał się przez tłum żołnierzy, tratując w galopie tych, którzy nie zdążyli odskoczyć na czas. Amos stał obok Guya i Jimmiego, czekając, kiedy pojawią się pierwsze drabiny do zdobywania murów. Spojrzał na przepychającego się gorączkowo wodza moredheli.*

– Patrzcie tylko, temu gównojadowi ciągle gdzieś spieszo. Nie przejmuję się zbytnio chłopakami, którzy wejdą mu w drogę.

– Łucznicy, oto wasz cel! – krzyknął Guy. Wokół barczystego moredhela zaświszczała chmura strzał. Jego wierzchowiec kwiknął przeraźliwie i zwałił się ciężko na ziemię. Jeździec wyleciał z siodła i przekoziółkował kilka razy. Nic mu się jednak nie stało. Zerwał się na równe nogi i wskazał na bramę zamku. Tuzin goblinów i moredheli ruszył biegiem, by niemal natychmiast zginąć co do jednego pod morderczym ostrzałem z blanków. Większość łuczników Sethanon skoncentrowała się na wodzu, lecz żaden nie był w stanie nic mu uczynić. Strzały uderzały o niewidzialną barierę i odbijały się, nie czyniąc najmniejszej szkody. W końcu pojawił się taran. I chociaż jego posuwanie się ku murom znaczył wał trupów, to jednak w końcu dotarł w pobliże bramy. Moredhele rozpoczęły intensywny ostrzał z łuków, nie pozwalając na skuteczną obronę. Rozległy się pierwsze głuche uderzenia. Guy siedział oparty plecami o mur. Nad głową przelatywały jedna za drugą gęste chmury strzał wroga. Przywołał Jimmiego.

– Młodzieńcze, biegnij na dół i zobacz, czy de la Troville ma wszystkich swoich ludzi przy sobie. Przekaż mu, że mają być gotowi przy wewnętrznej bramie. Myślę, że za niecałe dziesięć minut wedrą się do środka. – Jimmy zbiegł na dół. – Guy odwrócił się powoli do Amosa. – No cóż, piracie... daliśmy im nieźle popalić. – Tak... dostali tęgie baty. – Amos przykucnął obok ze zwieszoną głową. – Zważywszy okoliczności, radziliśmy sobie całkiem nieźle. Gdybyśmy mieli trochę więcej szczęścia, jak nic wyprulibyśmy draniowi flaki. – Westchnął. – No, ale trudno. Jak zawsze mówię, że nie ma co rozpamiętywać przeszłości. Chodź, stary przyjacielu, przynajmniej wyprujemy flaki paru śmierdzącym skunksom. – Zerwał

*się na nogi i złapał za gardło goblina, który akurat pojawił się na murze. Atakujący nie widzieli z dołu żadnego obrońcy, Amos wyrósł przed nimi jak spod ziemi.*

*Jednym szarpnięciem ręki zmiażdżył goblinowi tchawicę i cisnął go za mur, spychając przy okazji z drabiny trzech następnych. Odepchnął drabinę. W tym samym czasie Guy przeciął na pół następnego goblina, który pojawił się niespodziewanie obok Amosa.*

*Amos zeszywniał i sieknął głośno. Spojrzał w dół i stwierdził, że w boku sterczy mu strzała.*

*– A niech to szlag trafi! – krzyknął bardziej z powodu zaskoczenia niż z bólu.*

*Kolejny goblin pojawił się na blankach. Zamachnął się mieczem i uderzył z całej siły. Impet ciosu niemal obrócił Amosa w miejscu. Kolana ugięły się pod byłym kapitanem. Padł ciężko na kamienie. Oko Guya błysnęło dziko. Mocnym uderzeniem odrąbał głowę goblina.*

*– Cholera, przecież ci mówiłem, żebyś nie wystawiał tego durnego łba. –*

*Ukląkł przy Amosie. Amos uśmiechnął się słabo.*

*– Następnym razem posłucham – powiedział ledwo słyszalnym głosem i zamknął oczy.*

*Za muru wyskoczył następny goblin. Guy cięciem od dołu wypatroszył bestię. Protektor Armengaru, były książę Bas-Tyra ciął jak oszalały na prawo i lewo, zadając śmierć każdemu goblinowi, trollowi czy moredhelowi, który znalazł się w zasięgu jego miecza. W tym czasie niestety została przelamana obrona na zewnętrznych murach twierdzy. Coraz więcej napastników wlewało się do środka.*

*Guy zauważył, że jest stopniowo otaczany ze wszystkich stron. Reszta obrońców odpowiedziała na odegrany właśnie sygnał do odwrotu i zbiegła na dół, gromadząc*



się w wielkiej sali. Guy jednak nie zareagował. Stał z wyciągniętym mieczem nad ciałem przyjaciela.

Murmandamus kroczył po ciałach swoich żołnierzy, nie zważając na jęki i krzyki umierających i rannych. Wszedł do barbakanu przez zniszczoną bramę. Krótkim ruchem głowy nakazał żołnierzom, by ruszyli z taranem na wewnętrzną bramę, prowadzącą już do samego zamku. Podczas gdy żołnierze, pod osłoną towarzyszy ostrzeliwujących gęsto łuczników Sethanon, rozpoczęli szturm taranem – on sam stanął z boku przy murze. Przez krótką chwilę uwaga wszystkich skoncentrowana była na rozpadającej się bramie. Murmandamus cofnął się głębiej w cień, śmiejąc się w duchu nad głupotą innych istot. Z każdą następną śmiercią jego moc rosła. Był wreszcie gotów.

Jeden z wodzów klanów moredheli wbiegł do barbakanu. Rozglądał się gorączkowo, szukając swego pana. Przybiegł z wiadomością o bitwie, która rozpętała się w mieście. Dwa rywalizujące ze sobą klany rozpoczęły walkę o łupy. Pomogło to garstce obrońców wyrwać się na zewnątrz, ratując innych od niechybnej zagłady. Obecność naczelnego wodza była niezbędna, aby przywrócić ład i porządek. Watażka klanu chwycił za ramię jednego z podwładnych i zapytał o Murmandamusa. Goblin wskazał w kierunku muru. Moredhel odepchnął go brutalnie, ponieważ kąt wskazany przez stwora świecił pustkami. Goblin zerwał się na nogi i pobiegł pomagać przy taraniu, gdzie właśnie jeden z żołnierzy zginął od strzały. Watażka biegał dookoła, rozglądając się gorączkowo i rozpytujac o naczelnego wodza. Wszyscy zgodnie twierdzili, że Murmandamus zniknął. Przeklinając na głos wszelkie znaki, przepowiednie, proroctwa i zwiastunów zagłady, popędził z powrotem do części miasta, w której walczył jego klan. Wkrótce

*miały zostać wydane nowe rozkazy...*

*Pug usłyszał w umyśle słowa Macrosa. „Chcą się wdrzeć do środka”.*

*Ich umysły były połączone w jeden. Łączność była perfekcyjna. Jeszcze nigdy w życiu Pug nie doświadczył podobnej harmonii. Wczuł się w czarnoksiężnika i rozumiał go w pełni. Stanowił z Macrosem jedność. Pamiętał wydarzenia z długiego życiorysu maga, odległe ziemie i zamieszkujące je nieznane ludy, historie dalekich światów. Wszystkie te wspomnienia stanowiły teraz jego własność. Podobnie jak i wiedza.*

*Swym magicznym spojrzeniem mógł „dojrzeć” miejsce, do którego będą usiłowali się dostać. Istniało ono pomiędzy ich fizycznym światem, a miejscem, gdzie oczekiwał Tomas. Coś na kształt szwu, łączenia pomiędzy strukturą jednego i drugiego czasu. Wokół nich narastało coś w rodzaju dźwięku, coś, czego nie mógł usłyszeć, a jedynie wyczuć. Rosło też nieustannie ciśnienie, jakby ci, którzy pragnęli wdrzeć się do ich rzeczywistości, przypuścili ostateczny atak.*

*Arutha zeszywniał. W jednej chwili widział stojących przed nim jak dwa posągi Puga i Macrosa, a już w następnej ktoś inny poruszał się w wielkiej sali. Z czarnego cienia wychynął ogromny moredhel. Zdjął z ociekającego potem czoła smoczy hełm. Oczom Księcia ukazała się przepiękna i przerażająca zarazem twarz. Na nagim, nie osłoniętym pancerzem torsie widniało znamię w kształcie smoka, znamię jego dziedzictwa. W ręku dzierżył czarny miecz. Wbił oczy w Macrosa i Puga i ruszył ku nim powoli.*

*Arutha wysunął się zza kolumny, stając pomiędzy Murmandamusem a magami. Wyciągnął przed siebie miecz, gotując się do walki.*

*– Teraz, morderco dzieci, będziesz miał swoją szansę. Murmandamus*

*zawahał się przez moment. Wytrzeszczył oczy na Księcia.*

*– Jak... – Uśmiechnął się szeroko. – Niech będą dzięki losowi. Panie Zachodu.*

*Teraz jesteś mój. – Wyciągnął przed siebie rękę i z palca trysnęła ku Księciu struga energii. Jej lot został jednak zakłócony. Zamiast w Aruthę trafiła w jego miecz i rozżarzona do białości tańczyła i pulsowała na klindze. Książę szybko poruszył nadgarstkiem i dotknął końcem miecza kamiennych płyt posadzki. Ogień zniknął. Moredhel jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy i z dzikim wrzaskiem wściekłości skoczył na Aruthę.*

*– Nie zabierzesz mi tego!!!*

*W ostatniej chwili Książę zdołał uchylić się przed wściekłym, zdumiewająco szybkim ciosem. Z miejsca, gdzie czarna klinga uderzyła w kamień, trysnęły niebieskawe iskry. Gdy się cofał, jego miecz nagle sam skoczył w przód jak żywy i ranił moredhela w ramię. Murmandamus krzyknął przeraźliwie, jakby został ciężko ranny. Zachwiał się. Zdołał jednak zebrać siły i wyprostować się, aby odparować następne pchnięcie Aruthy. We wzroku Murmandamusa pojawiło się szaleństwo. Chwycił się za ranę wpatrując z niedowierzaniem w czerwoną, wilgotną plamę na dłoni.*

*– To... to niemożliwe...*

*Z szybkością i zwinnością kota Arutha ruszył do przodu i ponownie ciął z całej siły. Na ciele moredhela wykwitła purpurą kolejna rana, tym razem na nagiej piersi. Na twarzy Aruthy pojawił się ponury uśmiech, równie dziki i okrutny jak ten, który gościł poprzednio na ustach moredhela.*

*– Możliwe, możliwe, ty wściekły pomocie szaleństwa – cedził słowa. – Jam jest Pan Zachodu. Jam jest Zapora Ciemności. Jam jest twoja zguba, nędzny*

*niewolniku Valheru.*

*Murmandamus wrzasnął wściekle na całe gardło – ogłuszający, przejmujący ryk prastarej epoki szaleństwa i chaosu zawitał na nowo do tego świata. Moredhel rzucił się na oślepa ku Księżciu. Arutha nie ustąpił mu pola. Rozgorzał pojedynek na śmierć i życie.*

*„Pug”.*

*„Wiem”.*

*Poruszali się w pełnej harmonii, rozsnuwając misterną sieć energii i budując z niej zaporę przeciwko intruzom. Nie była to co prawda praca równie gigantyczna i wyczerpująca, jak podczas zamykania wielkiego przejścia w czasach złocistego mostu, ale z drugiej strony, przejście, które chcieli zablokować, nie zostało jeszcze otwarte. Cały czas czuli narastające napięcie – ktoś próbował ich sił.*

*Łomot w bramę nie ustawał. Drewno poczynalo pękać, a dookoła leciały drzazgi. Zza horyzontu dał się słyszeć głuchy, jednostajny grzmot. Narastał miarowo z każdą chwilą. Huk tarana ustał na moment, by po chwili powrócić.*

*Jeszcze dwa razy rozległ się odległy grzmot. Za każdym razem bliżej. Odgłosy walki zdawały się nasilać. Niespodziewanie za murami rozległy się dzikie wrzaski. Łomot tarana ucichł jak nożem uciął. Salą wstrząsnęła straszna eksplozja. Jimmy ruszył przed siebie i odsunął zaślepkę zasłaniającą judasza w bramie. Odwrócił się nagle w stronę de la Troville'a.*

*– Otwierać bramę! – krzyknął na całe gardło. Dowódca kompanii dał znak ludziom. Podbiegli do bramy i z najwyższym trudem otworzyli na wpół wyważone podwoje. Jimmy i de la Troville wypadli na zewnątrz. Na ulicach w pobliżu bram żołnierze w jaskrawych zbrojach wybijali moredheli, gobliny i trolle.*

*– Tsurani! – krzyknął Jimmy. – A niech to diabli, wojska Tsuranich!*

*– Jak to możliwe? – dziwił się de la Troville.*

*– Księżę Lamie opowiadał mi wystarczająco wiele historii z wojny. To na pewno oni. Mali, ale twardzi i zajadli faceci, wszyscy w kolorowych zbrojach.*

*Oddział goblinów zawrócił spod zamku, wycofując się przed liczniejszym oddziałem Tsuranich. De la Troville wyprowadził swoich ludzi, zachodząc wroga od tyłu. Jimmy pobiegł przodem. Usłyszał kolejną, głośniejszą eksplozję. W perspektywie szerokiej alei ujrzał maga w długiej, czarnej szacie. Stał przed dymiącym stosem beczek i przewróconym na bok wozem, które służyły obrońcom jako barykada. Mag wykonywał dziwne gesty i mówił coś do siebie. Z jego dłoni wypłynęła ogromna, ciężka kula energii. Przemknęła nad Jimmym i uderzyła z hukiem w jakiś cel, daleko za jego plecami.*

*Za pobliskich domów wypadł galopem oddział jazdy. Jimmy rozpoznał sztandar Landreth. Wraz z nim galopowali Kulgan, Meecham i dwaj magowie w czarnych szatach. Ściągnęli gwałtownie wodze, zatrzymując wierzchowce niemal w miejscu. Kulgan mimo potężnej tuszy lekko i zwinnie zeskoczył na ziemię. Podbiegł do Jimmiego.*

*– Kulgan! Chyba jeszcze nigdy w życiu nie ucieszył mnie tak czyjś widok!*

*– Czy zdążyliśmy na czas? – spytał Hochopepa. Jimmy po raz pierwszy widział maga w czerni, założył jednak, że skoro przybył w towarzystwie Kulgana, musiał mieć jakąś władzę czy stanowisko.*

*– Nie wiem. Arutha, Pug i Macros zniknęli kilka godzin temu, jakby się zapadli pod ziemię. Razem ze smokiem, jeśli wierzyć raportowi, jaki Galain złożył du Bas-Tyrze. Guy i Amos Trask kręcą się gdzieś tutaj. – Wskazał na grupę walczących*

w oddali. – Du Masigny i inni są chyba gdzieś tam. – Rozejrzał się wokół. Oczy miał wytrzeszczone z przerażenia i wyczerpania. – Nie... nie wiem, kto zdołał przeżyć – wykrzyczał histerycznym i ochrypłym z emocji głosem. Zbyt długo musiał panować nad sobą.

Kulgan zorientował się momentalnie, że chłopak jest na krawędzi całkowitego załamania się. Położył mu rękę na ramieniu.

– W porządku, Jimmy. Już dobrze. – Przeniósł wzrok na Hochopepę i

Elgahara. – Lepiej zajrzyjcie do środka. Nie wydaje mi się, aby bitwa naprawdę się skończyła.

– Gdzie się podziiali wszyscy Mroczni Bracia? – spytał Jimmy. – Przecież jeszcze kilka minut temu były ich tu całe tysiące.

Kulgan odprowadził chłopca na bok. Dwaj magowie rozkazali najbliższemu oddziałowi Tsuranich, aby towarzyszył im do środka zamku, gdzie nadal słychać było odgłosy walki.

Zwalisty mag w długiej, zielonej szacie zatrzymał się po paru krokach.

– Dziesięciu magów ze Zgromadzenia dołączyło do nas. Poza tym Tsurani tak się bali, że Przeciwnik pojawi się również w ich świecie, że Cesarz przysłał tu część swych wojsk. Otworzyliśmy przejście pomiędzy Stardock a miejscem nieopodal, ale poza polem widzenia żołnierzy Murmandamusa. Przeprowadziliśmy przez nie trzy tysiące piechoty Tsuranich i tysiąc pięćset jazdy z Landreth i Shamata. Teraz idą następni.

– Co? – Jimmy usiadł na ziemi. – Trzy tysiące? Tysiąc pięćset? I oni uciekli przed tą garstką? Kulgan usadowił się obok niego.

– I jeszcze przed Czarnymi Szatami, których magii nie są w stanie się

przeciwstawić. Ich odwrót przyspieszyły także z pewnością wieści, że na równinie pojawił się już Martin na czele czterotysięcznej armii z Yabonu. Są o niecałą godzinę marszu na północny zachód. Ponadto ich zwiadowcy z pewnością zauważyli tumany kurzu na południowym zachodzie, skąd zmierzają tu żołnierze z Czarnego Wrzosowiska u boku oddziałów z Krzyża Malaka. Tuż za nimi znajdują się regimenty Gardana z Kronodoru. Wszyscy z pewnością spostrzegli sztandary Północnej Warty na północnym wschodzie. A od wschodu nadciąga armia królewska, która jest o dzień, najwyżej dwa stąd. Są otoczeni i dobrze o tym wiedzą, Jimmy. – Kulgan zamyślił się, trąc brodę. – A poza tym już wcześniej musiało ich coś zaniepokoić, ponieważ podchodząc do miasta, widzieliśmy z daleka oddziały Mrocznych Braci uciekających w stronę Mrocznego Lasu. Moim zdaniem co najmniej trzy czy cztery tysiące wycofały się z walki przed naszym przybyciem. Wielu ich żołnierzy na odcinku stąd aż do bramy biło się bez ładu i składu. Zauważyłem też, że niektóre oddziały walczyły między sobą. Coś się musiało zdarzyć niemal w chwili zwycięstwa... coś, co stępilo skutecznie ostrze ich ataku. W polu widzenia pojawił się nagle znaczny oddział psiej piechoty z Keshu. Pędził ku odgłosom walki. Jimmy zerknął na maga i parsknął śmiechem. Po policzkach ciurkiem ciekły mu łzy.

– A to pewnie oznacza, że do gry włączył się również Hazara-Khan, tak?

Kulgan uśmiechnął się.

– Przypadkiem obozował w okolicach Shamaty. Twierdzi, że jadł kolację z gubernatorem Shamaty, kiedy nadeszła wiadomość od Katali, by przybyć do Stardock z całym garnizonem. Oczywiście to, że przekonał gubernatora, by pozwolił mu zabrać ze sobą kilku obserwatorów, oraz to, że ludzie ci byli gotowi do

wymarszu w ciągu godziny, to również czyste przypadki.

– Ilu jest tych przypadkowych obserwatorów?

– Pięciuset. Wszyscy uzbrojeni po zęby.

– Arutha umrze jako nieszczęśliwy człowiek, jeśli nie będzie miał przedtem okazji zmusić Abdura do przyznania, że na naszych ziemiach działa Imperialny Korpus Wywiadowczy.

– Jednego wszakże nie mogę pojąć: skąd Abdur wie, co dzieje się w Stardock?

Jimmy zarechotał radośnie. Pociągnął nosem i uśmiechnął się.

– Chyba żartujesz. Przecież połowa waszych magów to ludzie z Keshu. –

Westchnął i usiadł wygodniej. – Ale musi być coś więcej, prawda? – Zaniknął oczy.

Był tak zmęczony, że łzy same płynęły mu po policzkach.

– Nadal nie znaleźliśmy Murmandamusa – powiedział Kulgan. Zwrócił wzrok w kierunku uwijających się po ulicach żołnierzy Tsuranich. – I dopóki go nie znajdziemy, nic się nie zakończy.

Arutha wykonał błyskawiczny unik. Okrutny, wyprowadzony zza pleców cios Murmandamusa trafił w próżnię. Księżę pchnął ostro, lecz moredhel uskoczył do tyłu. Arutha oddychał ciężko. Walczył z najbardziej przebiegłym i niebezpiecznym przeciwnikiem w swoim życiu. Moredhel był niewiarygodnie silny i tylko odrobinę wolniejszy od niego. Krwawił z kilku pomniejszych ran, które już dawno osłabiłyby zwykłego przeciwnika, a on zdawał się ich w ogóle nie zauważać. Arutha nie potrafił uzyskać przewagi. Wcześniejsza bitwa a teraz morderczy pojedynek doprowadziły go do skrajnego wyczerpania. Musiał zmobilizować wszystkie swoje umiejętności i szybkość, by utrzymać się przy życiu. Tym bardziej, że miał ograniczone pole manewru w walce. Cały czas musiał trzymać się między Murmandamusem a



*dwoma magami, którzy trudzili się nad jakimś magicznym dziełem. Moredhel natomiast nie musiał się niczym przejmować.*

*Ich pojedynek wpadł w pewien rytm, każdy z nich oceniał ostrożnie ruchy przeciwnika. Poruszali się jak zakłęci w śmiertelnym tańcu: pchnięcie – sparowanie, riposta – odskok. Ociekali potem. Śliskie dłonie z trudnością trzymały rękojeści oręża. Jedyne dźwiękami w ogromnej sali były głośne stęknienia towarzyszące zadawaniu ciosów i przyspieszone oddechy. Pojedynek osiągnął fazę, w której pierwsza popełniona omyłka decydowała o śmierci jednego z nich.*

*Nagle powietrze po lewej stronie wypełniło się delikatną, roziskrzoną poświatą. Arutha na ułamek sekundy odwrócił wzrok w tamtym kierunku.*

*Murmandamus natomiast ani na chwilę nie odrywał oczu od przeciwnika.*

*Wykorzystał moment i pchnął niespodziewanie. Ostrze jego miecza prześlizgnęło się po żebrach Księcia. Arutha krzyknął z bólu.*

*Moredhel wziął szeroki zamach, aby zadać ostateczny cios. Jednak gdy ramię śmignęło do przodu, oręż uderzył z trzaskiem w niewidzialną barierę. Oczy moredhela nieomal wyskoczyły z orbit, gdy Arutha wyprostował się i niespodziewanie wyprowadził potężne pchnięcie, przebijając na wylot jego brzuch.*

*Moredhel zawył boleśnie, jękliwie. Chwiał się na ugiętych nogach, a następnie przewrócił na wznak, wrywając miecz z osłabionych palców Aruthy.*

*Księżę osunął się ciężko na ziemię. Dwie postacie w czarnych szatach rzuciły się, by go pochwycić. Pochylały się nad nim z troską. Wzrok Księcia to zaciemniał się, to odzyskiwał jasność widzenia, przestrzeń dookoła to rozmazywała się, to znów wracała ostrość i wyrazistość kształtów. Po chwili sala przestała przed nim wirować i tańczyć. Księżę zauważył uśmiech na ustach Murmandamusa.*

– Jestem istotą ze świata śmierci. Panie Zachodu – wyszeptał złowieszczym głosem. – Na zawsze pozostanę sługą Mroku. – Zaśmiał się słabo. Po brodzie spływała mu krew i kapłała na smocze znamię na piersi. – Nie jestem tym, kim wydaję się być. W śmierci mojej dopełnia się i twoja zguba. – Zamknął oczy. Głowa opadła mu do tyłu. Przerazający odgłos miotającego się w śmiertelnych drgawkach moredhela wypełnił salę. Dwaj mężczyźni w czarnych szatach nie odrywali od niego wzroku. Z Murmandamusa zaczął dobywać się dziwny, zawodzący dźwięk. Jego ciało na kamieniach wydęło się potwornie jak napompowane i niczym przejrząły strąk rozpękało się nagle na dwoje, od czoła aż do kroku. Oczom patrzących ukazało się wewnętrzne ciało, pokryte zielonymi łuskami. Z zewnętrznej powłoki, która stanowiła kiedyś ciało moredhela, zaczęły bryzgać na salę strumienie gęstego czarnego płynu, szkarłatnej krwi, strzępów mięsa, kałuże białawej ropy.

Zielonoluskie ciało wystrzeliło nagle na zewnątrz, by opaść na kamienne płyty, gdzie trzepotało jak wyrzucona na brzeg ryba. Strasznej konwulsji przemiany towarzyszył jaskrawoczerwony płomień, który pojawił się, tańcząc, nie wiadomo skąd. Wypełnił salę niemal namacalnym złem i straszliwym smrodem odwiecznego rozkładu i zgnilizny. Zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Świat wokół ponownie stanął otworem.

Macros i Pug zachwiali się. Obaj byli w jakiś sposób świadomi zmiany, która zaszła w toczącej się obok walce. Cała ich uwaga skoncentrowana była na miejscu pomiędzy wszechświatami, gdzie rodziło się przejście. Na każde pchnięcie i nacisk z przeciwnej strony odpowiadali natychmiast zasklepiającą porcją energii. Chwilę wcześniej dziwna bitwa osiągnęła apogeum i nacisk zelżał nieco. Nadal jednak niebezpieczeństwo nie zostało zażegnane, Pug i Macros byli bowiem wyczerpani do

granic wytrzymałości. Zapobieżenie otwarciu przetoki pomiędzy dwoma wszechświatami wymagało najwyższego skupienia. Nagle w ich umysłach eksplodował potworny ból, jak srebrzysta, przeszywająca uszy nuta, jak przeraźliwy gwizd zwiastujący zagrożenie. Nastąpił niespodziewany atak z zupełnie innej strony, atak, na który Pug nie mógł odpowiedzieć. Istota utkana z pochłoniętych przez siebie, okrutnie uśmierconych istnień, istota zachowana na tę chwilę właśnie, podpłynęła ku przejściu, tańcząc i wijąc się jak oszalały, ziejący smrodem płomień. Uderzyła w bariery wzniesione przez Puga i skruszyła je. Rozerwała nienaruszony do tej pory szew przetoki. W niewytłumaczalny sposób zdołała prześlizgnąć się między zmysłami Puga a miejscem, gdzie szalała bitwa o przejście, zasłaniając mu to, co tam się działo. Pug przez chwilę czuł się oszołomiony. Ze słabości wyrwał go ostrzegawczy krzyk Macrosa. Skupił całą uwagę na przejściu, które teraz stało otworem. Dwoił się i troił, wydobywając dodatkową energię z zachowanych cudem głęboko ukrytych rezerw. Chwycił poszarpaną materię rozerwanego świata. Przejście zamknęło się gwałtownie. I znowu nadeszło pchnięcie. Pug z ledwością zdołał utrzymać przejście w zamknięciu, ale udało mu się to. I wtedy nadeszło ostrzeżenie Macrosa: „Coś wdarło się na tę stronę”.

„Coś zdołało przejść” – rozległo się ostrzeżenie Ryath. Tomas zeskoczył natychmiast z grzbietu smoka i stanął za Kamieniem Życia. Czekał. W sali narastał niemal materialny mrok, przepastna i potężna ciemność. Zaczęło się formować coś potwornego, koszmarnego. W końcu przybrało ostateczny kształt i wysunęło się do przodu. Było czarne jak heban, nie miało realnego, wyrazistego kształtu czy cech. Istota beznadziei i zatracenia. Istota posiadająca jednak świadomość. Ledwo widoczny zarys smoliście czarnej sylwetki na tle mrocznej sali dawał złudzenie

*kształtów ludzkich, ale wielkością dorównywał niemał Ryath. Cieniste skrzydła rozpostarły się, pogłębiając jeszcze panujący w sali mrok. Istota emanowała wprost ciemnością jak czarnym światłem. Wokół jej głowy płonął jak korona ognisty krąg. Żłowieszcza, szkarłatnopomarańczowa czerwień nie dawała żadnego światła.*

*– To Władca Upiorów! – krzyknął Tomas do Ryath. – Uważaj! Kradnie dusze i pożera umysły!*

*Smok ryknął gniewnie i zaatakował potworne monstrum zarówno magią, jak i szponami oraz ogniem. Tomas rzucił się do przodu, lecz w tej samej chwili, w fazie ich czasu pojawiła się kolejna istota, inny byt.*

*Tomas cofnął się w cień. W poświacie roztaczanej przez kamień pojawiła się postać, której nigdy nie widział na oczy, ale którą znał równie dobrze jak Puga. Przybysz przemknął bokiem obok straszliwej walki, wstrząsającej posadami sali. Zbliżał się szybkim krokiem do Kamienia Życia.*

*Tomas wysunął się z mroku i stanął dobrze widoczny nad Kamieniem. Postać zatrzymała się jak wryta. Rozległ się gniewny pomruk.*

*Draken-Korin, Władca Tygrysów, wspaniały w pomarańczowej i czarnej zbroi stanął twarzą w twarz z wizją, która wykraczała poza jego pojmowanie.*

*– Nie! – krzyknął Valheru. – To niemożliwe, abys ciągle żył!*

*Tomas przemówił głosem Ashen-Shugara.*

*– Zatem przybyłeś, aby dokończyć dzieła.*

*Z gardła Draken-Korina wyrwał się ogłuszający, tygrysi ryk. Jednak szybko zagubił się we wrzaskach i porykiwaniu towarzyszącym większym zmaganiom w sali. Jeździec Smoków dobył czarny miecz i skoczył na Tomasa. Po raz pierwszy w całej swej egzystencji Tomas miał się zmierzyć z przeciwnikiem, który dysponował*

*potęgą mogącą go unicestwić.*

*Resztki armii Murmandamusa wylewały się szerokim strumieniem z miasta, uciekając w stronę Mrocznego Lasu. Bitwa dobiegała końca. Wieść o zniknięciu Murmandamusa rozeszła się wśród jego szeregów jak niesiona na skrzydłach huraganu. Wszyscy Czarni Zabójcy bez względu na to, gdzie się znajdowali, padli nagle na ziemię, jakby coś wysssało ich upiorne życie z wnętrza zbroi. Wszystko to, w połączeniu z przybyciem Tsuranich i magów oraz nadejściem raportów o pojawieniu się na horyzoncie kolejnych armii, sprawiło, że atak z początku załamał się, a potem skończył raptownie, przechodząc w pełny odwrót. Dowódcy poszczególnych klanów wycofywali jeden za drugim swoje oddziały. Gdy dowodzenie załamało się kompletnie, rozpoczęła się prawdziwa rzeź goblinów i trolli. W końcu armia, która nadal przeważała liczebnie nad obrońcami, rzuciła się do panicznej ucieczki.*

*Jimmy krążył po salach zamku, szukając pośród zabitych i rannych, tych których znał. Wbiegł schodami na mur górujący nad dziedzińcem barbakanu. Dalszą drogę blokował tłum Tsuranich. Przemknął między nimi i ujrzał medyka z Landreth, stojącego przy dwóch ociekających krwią mężczyznach wspartych ciężko o mur. W boku Amosa tkwiła strzała, on jednak uśmiechał się. Guy był cały pokryty ranami. Przez głowę ciągnęła się głęboka rana, która nadwerżyła rzemyk mocujący przepaskę w miejscu po oku i Guy patrzył na świat strasznym, czerwonym oczodołem. Amos zarechotał radośnie i omal się nie udławił.*

*– Hej, chłopcze. Jak miło cię znowu widzieć. – Rozejrzył się po okolicy. –*

*Widziałeś te wszystkie pawie? – Machnął słabo w kierunku żołnierzy Tsuranich w jaskrawych pancerzach, którzy wpatrywali się w niego nieprzeniknionym*

wzrokiem. – Niech mnie szlag trafi, jeśli to nie najwspanialszy widok, jaki zdarzyło mi się oglądać w życiu.

W tej chwili pod stopami rozległ się przeraźliwy zgrzyt, a tuż po nim mrożący krew w żyłach, ogłuszający ryk, jakby z czeluści piekielnych wyrwało się na swobodę szaleństwo całego świata. Jimmy rozglądał się gorączkowo. Nawet na twarzach Tsuranich można było dostrzec niejakie zdziwienie. Cały zamek zaczął dygotać i drżeć w posadach. Mury zachwiały się niebezpiecznie.

– Cholera! Co się dzieje? – wrzasnął Jimmy.

– Nie mam pojęcia i nie zamierzam zostawać tutaj, aby się dowiedzieć – powiedział Guy. Dał znak, by pomóc mu dźwignąć się na nogi. Chwycił rękę Tsuraniego i wstał z trudem. Skinął na innego wyglądającego na oficera, który polecił swym ludziom, aby dźwignęli Amosa.

– Jimmy, daj rozkaz, by wszyscy żywi natychmiast ewakuowali się z głównego zamku. – Zakolysało jeszcze mocniej. Guy zatoczył się pod mur. Upiorne wycie przybierało na sile. – Nie... przekaż wszystkim żywym, by wynosili się z miasta!

Jimmy pognał ku schodom.

# EPILOG

*Sala ponownie zadygotała w posadach.*

*Arutha chwycił się za krwawiący bok i nasłuchiwał. Z oddali dochodziły odgłosy tytanicznych zmagañ. Podeszedł do Puga i Macrosa. Obok nich stali dwaj magowie w czarnych szatach. Westchnął ciężko i skinął im głową.*

*– Jestem księżę Arutha. Hochopepa i Elgahar przedstawili się.*

*– Ci dwaj próbują powstrzymać jakieś potężne moce – powiedział Elgahar.*

*Musimy ich wspomóc. – Obaj Czarni położyli ręce na ramionach Puga i Macrosa.*

*Zamknęli oczy. Arutha stwierdził nagle, że znowu jest sam. Spojrzał na groteskową powłokę Murmandamusa, leżącą bezwładnie w kącie. Podeszedł tam i wyciągnął*

*miecz z człowieka-węża. Przyglądał się przez chwilę pokrytej śluzem postaci*

*kapłana i zaśmiał się gorzko. Reinkarnowany wódz narodów moredheli okazał się*

*być Pantathianem! Wszystko było fałszem i podstępem – kilkusetletnie proroctwo,*

*zgromadzenie pod jednym sztandarem moredheli i ich sprzymierzeńców i oblężenie*

*Armengararu i Sethanon. Na rozkaz Jeźdźców Smoków Pantathianie wykorzystali*

*moredheli, zagarniając chciwie istnienia, byle tylko dotrzeć do Kamienia Życia i móc*

*go użyć. W całym tym planie właśnie moredhele spośród wszystkich innych zostali*

*wykorzystani w sposób najbardziej okrutny i bezwzględny. Ironia godna wielkiego*

*eposu. Odkrycie tego faktu niezwykle zdumiało Księcia, ale był zbyt zmęczony, by*

*uczynić coś konkretnego. Rozglądał się leniwie po sali, jakby szukał, z kim mógłby*

*się podzielić tym wielkim odkryciem. Nagle w ścianie, gdzie znajdowały się*

*małe drzwi, pojawiło się pęknięcie, przez które do wnętrza posypały się*

*drogocenne kamienie, złoto i inne skarby. Arutha nie usłyszał odgłosu spadającego*

*gruzu, a był tak potwornie zmęczony, że nawet nie zastanawiał się, jak do tego*

*doszło.*

*Opuścił miecz ostrzem w dół i zawrócił ku magom. Ponieważ nie dostrzegł żadnego wyjścia z sali, usiadł w końcu na podwyższeniu i obserwował czterech znieruchomiłych magów, trzymających się za ręce. Obejrzał ranę i stwierdził, że upływ krwi się zmniejszył. Skaleczone miejsce bolało, ale nie było to groźne.*

*Ponieważ nie mógł nic innego zrobić oparł się wygodniej i czekał cierpliwie.*

*Ogon Ryath przebił ścianę. W powietrzu wypełnionym kurzem fruwały kawałki cegieł, odpryski kamieni i zaprawy. Rycząc z bólu i wściekłości, szarpiąc pazurami i zębami smok nie przestawał atakować Władcy Upiorów magią.*

*Przeciwnik jednak był potężny i Ryath płaciła wysoką cenę.*

*Tomas ciął z całej siły, trzymając się stale pomiędzy Kamieniem Życia a Draken-Korinem. Warcząc i jazgocząc wściekle, Valheru zaatakował Tomasa jak tygrys na jego kaftanie, okrywającym zbroję. Tomas nie miał w sobie dzikiej furii przeciwnika, od dni szaleństwa, jakie ogarnęło go w czasie Wojny Światów. Był za to starym wyjadaczem i trzymał wroga w szachu.*

*– Nie powstrzymasz nas znowu Ashen-Shugar – ryknął Draken-Korin. –*

*Jesteśmy panami tego świata. Musimy tu powrócić.*

*Tomas sparował cios i sam zaatakował. Jego miecz trafił w zbroję*

*Draken-Korina wzbijając chmurę iskier i rozcinając kaftan.*

*– Jesteś zmurszałą pozostałością dawno minionego czasu. Istotą ograniczoną i bezrozumną, która nawet nie wie, że już dawno nie żyje. Potrafiłbyś zniszczyć wszystko, byle tylko zdobyć pozbawioną życia, martwą planetę.*

*Draken-Korin ciął raptownie zza głowy, mierząc w twarz Tomasa. Tomas schylił się, robiąc jednocześnie wypad. Jego ostrze wbiło się w brzuch Valheru.*



*Draken-Korin zachwiał się i cofnął. Tomas skoczył na niego jak kot na szczura. Na Władcę Tygrysów posypał się grad ciosów.*

*– Nie powstrzymasz nas – zawył Draken-Korin. Ze zdwojoną furią natarł na Tomasa, powstrzymując jego atak. Role odwróciły się. Teraz Tomas cofał się powoli przed rozwścieczonym przeciwnikiem. Nagle powietrze rozświetliło się i zamigotało.*

*W miejscu, w którym przed chwilą znajdował się Draken-Korin, pojawiła się Alma-Lodaka. Jej furia w niczym nie ustępowała poprzednikowi.*

*– Nie doceniasz nas, Ojczy-Mężu. Jesteśmy wszystkimi Valheru, a ty jesteś sam.*

*Jej twarz i ciało zmieniły się nagle, gdy przed Tomaszem przesuwali się następni Valheru. Wcielali się coraz szybciej i szybciej. Tomas widział jedynie rozmazany ciąg setek twarzy. W końcu powrócił Draken-Korin.*

*– Widzisz? Ja to wszyscy. Jestem legion. Jesteśmy potęgą.*

*– Jesteś śmiercią i złem wcielonym. Jesteś także ojcem zakłamania i fałszu – odkrzyknął Tomas wyzywająco. Ciął z całej siły i Draken-Korin ledwo zdołał odbić uderzenie. – Gdybyś miał w sobie potęgę całej rasy, skończyłbyś ze mną w kilka sekund. Możesz sobie zmieniać formę, ale i tak wiem, że jesteś sam. Małeńka cząstka całości, której udało się prześlizgnąć tutaj, by za pomocą Kamienia otworzyć przejścia dla Smoczej Sfory.*

*Jedyną odpowiedzią Draken-Korina było ponowienie ataku. Tomas przyjął uderzenie czarnego miecza na złocistą klingę. Odparował cios. W drugim końcu sali walka smoka z Władcą Upiorów dobiegała końca. Jej odgłosy były coraz słabsze. Po chwili z tyłu nadciągnęła cisza, a wraz z nią potworna obecność.*

*Tomas wiedział, że Ryath padła, a Upiór zbliża się do niego. Jako*

*Ashen-Shugar już nie raz zmierzył się z Władcą Upiorów. Nie obawiałby się go i teraz, gdyby nie okoliczności. Zwrócenie się ku niemu dawało bowiem wolną rękę Draken-Korinowi. Natomiast zignorowanie go stwarzało Upiorowi szansę całkowitego zawładnięcia nim.*

*Tomas odbił kolejne uderzenie Draken-Korina i niespodziewanie ruszył do przodu, ryzykując otrzymanie kolejnego ciosu. Czarna klinga wystrzeliła, ale ześlizgnęła się po skrytej pod białym kaftanem kolczudze. Tomas zacisnął z bólu zęby. Czarne jak heban ostrze uszkodziło złote ogniwa i rozcięło mu bok. Zdołał jednak chwycić ramię Draken-Korina. Szarpnął nim gwałtownie i zakręcił przeciwnikiem. Zamienili się miejscami. Tomas popchnął Władcę Tygrysów wprost na Upiora.*

*Smok, zanim uległ, nieźle dał mu się we znaki. Upiór był ranny i tak oszołomiony po walce z Ryath, że nie zareagował dostatecznie szybko. Jego cios skierowany na Tomasa, trafił nieoczekiwanie w Draken-Korina. Zaskoczony Władca Tygrysów nie zdążył wznieść wokół siebie ochronnej bariery przeciwko wysysającemu życie dotknięciu Władcy Upiorów. Valheru ryczał straszliwie w agonii.*

*Tomas ciął na odlew, wrywając klingą ogromną dziurę w brzuchu czarnopomarańczowego wroga. Valheru opadał z sił. Potknął się i ponownie otarł o bezrozumnego Upiora, który odtrącił go na bok. Mimowolne uderzenie pchnęło Draken-Korina wprost ku Kamieniowi Życia.*

*– Nie! – krzyknął Tomas i skoczył ku Valheru. Upiór sięgnął ku niemu i zdołał złapać na chwilę. Ciało Tomasa przeszył potworny ból. Uderzył na oślep mieczem. Z miejsca, gdzie trafił, posypał się deszcz iskier. Upiór zawył przeciągle i puścił go.*

*Tomas błyskawicznie uderzył mieczem w serce nieżyjącej zjawy, zadając jej śmiertelną ranę. Władca Upiorów zatoczył się do tyłu. Tomas obrócił się błyskawicznie ku Draken-Korinowi, który próbował właśnie osiągnąć swój od dawna upragniony cel.*

*Valheru potknął się i osunął na Kamień Życia, jakby chciał wziąć go w objęcia. Chociaż wyczuwał, że siły zaczynają go opuszczać, zaśmiał się dziko. Zostało mu bowiem wystarczająco wiele czasu, by za pomocą magii otworzyć przejście i dać szansę powrotu ich zbiorowej świadomości do świata, gdzie zostali stworzeni. Znowu będzie jednością z resztą swej rasy.*

*Tomas odbił się i z rozbiegu skoczył w górę ponad Draken-Korina. Przez moment wydawało się, że zawisł nad nim w powietrzu. Mobilizując ostatki sił, uchwycił oburącz miecz, wznosił i uderzył pionowo w dół. Draken-Korin zawył straszliwym głosem i wyprężył się do tyłu jak łuk. Złoty miecz przeszedł przez jego ciało i wbił się głęboko w Kamień Życia.*

*Nie wiadomo skąd, pojawił się wichur. Ostre podmuchy i dzikie prądy powietrza dęły ze wszystkich stron, kierując się centralnie w stronę Kamienia. Śmiertelnie zraniony Władca Upiorów, czując pierwsze dotknięcie podmuchu, zadrżał i zaczął dygotać jak szalony. Buchnął z niego dym, stawał się istotą pozbawioną kształtu i jakiegokolwiek substancji. Mgliste, wydłużone pasma rozmyły się w powietrzu i zostały wessane przez wiatr wiejący do wnętrza Kamienia. Złota klinga miecza Tomasa rozbłysła oślepiającą poświatą. Postać Władcy Tygrysów drżała i dygotała coraz gwałtowniej w miarę, jak zaczęła ją ogarniać jasność płynąca z miecza. Złoty nimb zaczął pulsować. Powoli, niemal niepostrzeżenie, Draken-Korin stawał się niematerialny i wreszcie zniknął wciągnięty przez Kamień*

*Życia.*

*Pug zachwiał się, jakby otrzymał potężny cios. Szew przetoki rozdarł się nagle, lecz nie z przeciwnej strony. Miał wrażenie, jakby gigantyczna ręka odgarnęła na bok wzniesione przez nich magiczne blokady, sięgnęła do wnętrza przejścia i coś wyciągnęła. Wyczuwał cały czas kontakt z umysłem Macrosa. Miał też wrażenie, że w jakiś sposób łączą się z nimi umysły Hochopepy i Elgahara. W chwilę później przetoka eksplodowała w ich kierunku i powrócili do normalnego świata i własnej świadomości.*

*Sala wokół Tomasa zmieniła się. Niespodziewanie znów miał koło siebie Macrosa, Puga, dwóch magów w czarnych, długich szatach i Aruthę.*

*Obejrzał się. W kącie leżała Ryath. Zwinięta w kłębek, pokryta setkami okropnych, dymiących ran przedstawiała tragiczny obraz. Wyglądała jak martwa. Jeśli nawet żyła jeszcze, widać było, że nie pociągnie długo. Jak przepowiedziała – spotkała wreszcie swoje przeznaczenie. Tomas przysiągł sobie w duchu, że na zawsze zachowają w pamięci. Zza jej ogromnego cielska widać było rozwalone w czasie walki z Upiorem ściany skarbcza Valheru. Na posadzkę wylała się mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy i roziskrzona rzeka drogocennych kamieni, złota, wspaniałych ksiąg i innych równie wspaniałych przedmiotów. Arutha zerwał się na nogi.*

*– Co się stało?*

*Tomas zeskoczył na podłogę.*

*– Już prawie po wszystkim...*

*Macros zachwiał się. Pug i dwaj magowie poruszyli się. Wycie i uderzenia wichru stawały się nie do zniesienia. Wszyscy zastłonili jednocześnie uszy. Rozległ się*

*potworny wybuch. Strop sali wybrzuszył się i wystrzelił w górę, rozrywając powierzchnię ziemi nad starożytną budowlą oraz jej podziemia i niższe kondygnacje. W powietrze wzbił się gigantyczny gejzer kamieni, cegieł i kurzu. Fragmenty obu budowli wystrzeliły wysoko w górę, by po chwili opaść na miasto. Nad ich głowami, na tle błękitnego nieba zarysowała się ogromna, roziskrzona dziura szarej nicości. W jej wnętrzu pojawiła się istna feeria barw.*

*Pug, Hochopepa i Elgahar mieli już wcześniej okazję oglądać taki pokaz – na Wieży Próby w Mieście Magów. Była to wizja Nieprzyjaciela w czasach złotego mostu, gdy całe narody uciekały przed Wojnami Chaosu na Kelewan.*

*– Wchodzi! – krzyknął Hochopepa.*

*Nad potwornym wyciem wiatru dał się słyszeć krzyk Macrosa.*

*– Kamień Życia! Uaktywnił się!*

*Pug rozglądał się wokół zdezorientowany.*

*– Ale przecież ciągle żyjemy!*

*Tomas wskazał na Kamień, z którego nadal sterczał jego złoty miecz.*

*– Zabiłem Draken-Korina, zanim zdążył w pełni wykorzystać moc Kamienia.*

*Jest aktywny tylko częściowo.*

*– Co teraz będzie? – wołał Pug, przekrzykując ogłuszające wycie wiatru.*

*– Nie wiem. – Macros również zasłonił uszy. – Potrzebna jest nam bariera mocy! – krzyknął z najwyższym wysiłkiem.*

*Pug natychmiast zorientował się, o co chodzi, i rozpoczął magiczne działania, aby uratować ich przed całkowitą zagładą.*

*– Hocho, Elgahar, pomóżcie mi!*

*Razem zaczęli wypowiadać zaklęcie, by wznieść wokół siebie ochronną*

barierę. Wycie i zawodzenie tak przybrało na sile, że zasłanianie uszu nic nie dawało. Arutha zgrzytał zębami, z najwyższym trudem powstrzymując się, by nie krzyknąć głośno z bólu. Zastanawiał się, czy magowie zdołają zakończyć zaklęcie. Światło emanujące z Kamienia stawało się coraz jaśniejsze, przechodząc stopniowo w oślepiającą biel ze srebrzystymi rozbłyskami na obrzeżach. Wszystko wskazywało, że za chwilę Kamień wyrzuci na świat ze swego wnętrza straszliwą, nieodwracalną zagładę. Książę był odrętwiały z wyczerpania i przerażających zdarzeń, jakie nastąpiły w ciągu kilku ostatnich godzin. Zastanawiał się, jak to jest, gdy planeta umiera. Nie wytrzymał dłużej i zaczął krzyknąć... w chwili gdy Pug skończył wypowiedanie zaklęcia i sala eksplodowała.

Ziemia zaczęła drżeć nierówno. Głuche, przeciągłe grzmoty potężniały i cichły jak przed trzęsieniem ziemi. Guy obejrzał się, by spojrzeć na miasto. Żołnierze z Shamaty, Landreth, Sethanon i Wysokiego Zamku uciekali z wojownikami Tsuranich. Tu i ówdzie widać było pojedyncze trolle, gobliny a nawet kilku wytrwałych Mrocznych Braci, lecz nikt nie myślał już o bitwie. Wszystkie żywe istoty w mieście uciekały przed uczuciem nadciągającej nieuchronnie zagłady, przed materialnym wręcz przerażeniem, które przenikało najdrobniejszą cząstkę ich ciała. Zaląła ich fala panicznego strachu, atawistycznego przerażenia i czarnej rozpacz. Wszelka myśl o wznowieniu walki wywietrzała z głów. Wszyscy, do ostatniego, marzyli tylko o jednym – aby dystans między nimi a źródłem upiornego przerażenia był jak największy.

Ziemia zaczęła miarowo pulsować, ze zgrzytem i hurkotem. Kto się znalazł się w zasięgu dźwięku, padał na kolana. Żołądki pozbawione nagle poczucia kierunku, skręcały się w dzikim, chaotycznym tańcu, jakby siła przyciągania ziemi zupełnie

zniknęła. Ludzie wymiotowali. Z oczu płynęły im ciurkiem łzy. Uszy zdawały się wznosić ku górze i bolały upiornie. Wszyscy doznali krótkotrwałego wrażenia pływania czy unoszenia się w powietrzu. Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Potem zostali ściągnięci brutalnie na dół, jak gdyby ugodziła ich gigantyczna łapa i przygwoździła do ziemi. A potem... nastąpiła eksplozja.

Każdy, kto akurat usiłował się podnieść, przewracał się ponownie jak długi na ziemię. W niebo strzeliła oślepiająco biała kolumna światła. Jakby słońce eksplodowało – w górę poszybowały odłamki kamieni, gruzu, cegieł, drewna. Nastąpiło wyzwolenie monstrualnych energii. Wysoko ponad Sethanon rozjarzyła się czerwona iskra, oślepiające światło, które szybko ściemniało, aby po chwili przejść w szarawą nicość. Niespodziewanie zapanowała martwa cisza. Gigantyczne wiry energii roztańczyły się we wnętrzu szarości. Tworzywo niebios zwinęło się do środka, a krawędzie rozdarcia odwinęły do wewnątrz, ukazując oczom patrzących następny wszechświat. Spływające kaskadą barwy, stanowiące moc i potęgę, samo sedno istnienia Jeźdźców Smoków, pulsowały spazmatycznie i wylewały się na zewnątrz, starając się pokonać ostatnią barierę dzielącą ich od celu. I wtedy rozległ się przedziwny, melodyjny dźwięk.

Srebrzysty klangor trąbek o niewiarygodnej wysokości. Jak chmura niesionych wichurą stalowych igieł przeszył na wskroś wszystko, co żyło.

Obezwładniła ich ostatecznie bezradność i beznadzieja. Umysły paraliżowała trwoga i przerażenie. Nagle wszyscy zdali sobie sprawę, że to, czego byli właśnie świadkami, jest w przedziwny, ale bezpośredni sposób związane z ich własnym istnieniem. Z minuty na minutę narastała panika. Nawet zaprawione w srogich bojach wiarusy, stając wobec ostatnich chwil istnienia nie mogły opanować

*okrzyków trwogi i łez. Niespodziewanie hałas umilkł równie gwałtownie, jak powstał.*

*Wszyscy podnieśli głowy. W niesamowitej, jeszcze bardziej przerażającej niż hałas ciszy patrzyli w niebo, gdzie w oślepiającym tyglu kolorów coś się formowało, tworzyło. Szara nicość wylewała się na zewnątrz, aż okryła całunem niebo aż po horyzont. W centrum opętańczego pokazu pojawił się Przeciwnik. Początkowo wyglądał jak przytłumione, poszarzałe plamy kolorów. Pulsowały i zmieniały kształty, gdy przeciskał się przez przetokę między światami. Kiedy część jego istoty przedostała się już na Midkemię, plamy malały gwałtownie i przybierały coraz bardziej jaskrawy odcień. Zmiennokształtne zygzaki i pasma energii krzepły, przechodząc z wolna w coraz bardziej wyraziste formy. Nie minęło wiele czasu, a zgromadzeni wokół Sethanon rozpoznawali już w samym jądrze przejścia zarysy indywidualnych, niemal ludzkich postaci, siedzących na grzbietach smoków. Z hukiem eksplozji przewyższającej wszystkie poprzednie Sfora Smocza przedarła się przez przetokę w niebie i z przerażającym łopotem gigantycznych skrzydeł wdarła się do świata swych narodzin. Setki istot powiązanych ze sobą mistycznie w jeden wielopostaciowy organizm wyleciały z przejścia z potężnym śpiewem starożytnych pieśni wojennych na ustach. Były to istoty przerażająco piękne; wspaniałe byty o zadziwiającej mocy, odziane w barwne i doskonale dopasowane zbroje, dosiadające dumnie starożytnych smoków. Straszliwe bestie, które całe wieki temu zniknęły z tej planety, tłukły majestatycznie niebo Midkemii potężnymi skrzydłami. Przeróżające gady, wielkie czarne, zielone i błękitne smoki, które dawno wyginęły we własnym świecie, krążyły powoli w sąsiedztwie złotych i brązowomiedzianych pobratymców, których potomkowie nadal zamieszkiwali tę planetę. Czerwone, których karłowate*



*odmiany często jeszcze widywano, szybowały obok srebrzystych, nie spotykanych tu od setek lat. Twarze Valheru zmieniły się w tryskające dziką radością maski.*

*Rozkoszowali się, chłonęli całym ciałem moment zwycięstwa. Każdy z nich – władca nieogarnionej umysłem potęgi, pan i władca wszystkiego, na czym spoczął jego wzrok. Bo też i byli samą potęgą, samą mocą. W chwili ich pojawienia się na Midkemii ciała wszystkich żyjących istot przeszył gwałtowny spazm bólu, jakby nie ich żywota została gwałtownie i niebezpiecznie naprężona.*

*I wtedy, gdy wydawało się, że porzucono wszelką nadzieję, uniosła się ku niebu inna potęga. Z mrocznych głębin krateru pod głównym zamkiem wystrzeliła fontanna energii. Zwijała się w upiorne węzły, przetaczając po szczytach dachów i tańcząc w szaleńczym zapamiętaniu. Z jej rdzenia wydobywał się płynny, zielonkawy ogień. Ogarniał wielkimi kręgami coraz większą połać miasta. Po chwili rozległ się głośny, lecz dający się wytrzymać głuchy huk i ku niebu wystrzelił gigantyczny grzyb z kurzu i pyłu. Wszystko naraz ucichło.*

*„Coś” stanęło na drodze chaosowi, który zawładnął niebem. Przerażeni ludzie patrzący z dołu, nie widzieli tego, ale odczuli. Każdym nerwem wyczuwali zmaganie o kosmicznym wymiarze. Wiedzieli, że to „coś” odrzuca wszystko, co mroczne, co przerażające i złe, wszystko, pod ciężarem czego ugięli się przed chwilą. Jak gdyby cała miłość i cud tworzenia wyraziły się we wspaniałej pieśni, której tony wzniosły się ku niebiosom, rzucając wyzwanie Sforze Smoków. Z krateru buchnął zielony, oślepiający płomień i uderzył w przetokę. Szmaragdowa poświata spowila pierwsze szeregi Sfory. Valheru, zaledwie muśnięty zielonkawym płomieniem, stawał się natychmiast istotą pozbawioną ciała i jakiegokolwiek materialności, upiorną zjawą z dawno minionej epoki, cieniem dawnych czasów. Dumni i wyniosli Jeźdźcy Smoków*

w ułamku sekundy stawali się chmurą kolorowego dymu, mglistymi bytami z przerażających wspomnień. Rzucani drgawkami tańczyli konwulsyjnie, gdy przeciwne i równie jak oni sami potężne moce chwyciły ich w szpony transu, aby następnie zostać wessanym, wciągniętym pod ziemię mocą straszego wichru, któremu nic ani nikt nie był w stanie się przeciwstawić. Zdezorientowane smoki, pozbawione niespodziewanie swych jeźdźców i panów, którym były ślepo posłuszne, ryczały i trzepocząc rozpaczliwie skrzydłami uciekały na wszystkie strony świata od kolumny wsysającego wichru. Ziemia wibrowała i dygotała pod stopami. Wycie wichru było przerażające, ale jednocześnie piękne, jakby sami bogowie skomponowali dla zła tę pieśń śmierci. Nagle, dosłownie w ułamku sekundy i bez żadnych dodatkowych zapowiedzi, rozdarcie na niebie zniknęło, tak jakby nigdy nie istniało. Wiatr raptownie ucichł.

Cisza przytłaczała swą potęgą.

Jimmy rozglądał się wokół. Ze zdumieniem stwierdził, że na przemian płacze i śmieje się histerycznie. Poczul się tak, jakby cały ból, którego doznał w życiu, i wszystkie potworności, których był świadkiem, zostały starte z powierzchni ziemi. Poczul, jak najgłębsze zakamarki jego istoty przenika wspaniałe, lekkie uczucie. Czul się związany z każdą żywą istotą na Midkemii. Odniosł wrażenie, że jego ciało nasycy się pełnią życia i miłości. I nagle wiedział, że wreszcie odnieśli całkowite, nieodwracalne zwycięstwo. W niewytłumaczalny sposób, w chwili swego wielkiego triumfu Valheru zostali pobici. Ponieśli całkowitą porażkę. Młody szlachcic stał niepewnie na chwiejących się nogach i śmiał się jak szalony, a po policzkach spływały mu strumienie łez. Zdumiony zorientował się, że obejmuje ramieniem żołnierza Tsurani, który również płacze i śmieje się jednocześnie.

*Stojący najbliżej Guya pomogli mu dźwignąć się na nogi. Dawny ksiązę  
chłonął wzrokiem okolicę. Nieliczne trolle, gobliny. Mroczni Bracia, a nawet,  
pojedyncze Olbrzymy uciekali niepewnym krokiem na północ. Nikt jednak na razie  
nie ruszał w pościg. Żołnierze Królestwa i Tsurani patrzyli na miasto jak urzeczeni.  
Całe Sethanon nakryła gigantyczna kopuła intensywnie zielonego światła. Zieleni  
tak jasnej i nasyconej, że była doskonale widoczna w promieniach jesiennego słońca.  
Widok był piękny. Nikt nie mógł się ruszyć się z zachwytu. W głębi serc patrzących  
rozbrzmiewały tony przecudownej, obezwładniającej pięknem i harmonią muzyki.  
Gdzie nie spojrzeć, żołnierze płakali ze szczęścia, nie próbując nawet powstrzymać  
łez wobec tak fascynującego, doskonałego piękna. Szmaragdowa kopuła zdawała  
się migotać, ale mogło to być również rezultatem opadających ciągle jeszcze  
tumanów kurzu. Guy patrzył, nie mogąc oderwać oka. Nawet gobliny i trolle, które  
zataczając się uciekały do siebie, wyglądały jak odmienione, wyprane nagle z żądz  
walki i zabijania.*

*Guy westchnął ze smutkiem. Powoli docierała do niego świadomość, że na  
ziemi już nigdy nie przeżyje czegoś tak cudownego. Chwili tak wspaniałego,  
czystego i pełnego szczęścia. Armand de Sevigny podbiegł do starego przyjaciela.  
Tuż za nim podązał Martin w towarzystwie Krasnoluda.*

*– Guy! – krzyknął uszczęśliwiony. Wymienił się z jednym z żołnierzy Tsurani,  
podtrzymujących du Bas-Tyrę i objął go z całej siły. Mężczyźni chwycili się w  
ramiona i kołysząc na wszystkie strony, to śmiali się, to płakali.*

*– No i w końcu wygramy – powiedział Guy słabym głosem.*

*Armand pokiwał głową.*

*– Arutha?*

*Guy smutno pokręcił głową.*

*– Tam na dole nikt nie mógł przeżyć. To niemożliwe. Martin i Dolgan*

*przybyli na czele oddziału Krasnoludów. Król Krasnoludów Zachodu zbliżył się do Guya i Armanda.*

*– To zjawisko o przerażającym i nieskończonym pięknie – powiedział cichym głosem.*

*Świetlista kopuła, której powierzchnia pokryła się delikatnie zarysowanymi sześciokątami, przybrała wygląd gigantycznego, zielonkawego brylantu. Każda z sześciokątnych powierzchni rozbłyskiwała i przygasła, sprawiając wrażenie, że cała kopuła iskrzy się jak prawdziwy brylant. Uczucie doskonałości i pełni szczęścia zamierało powoli, lecz nadal panował radosny i wyciszony nastrój.*

*Martin oderwał wzrok od cudownego widoku.*

*– Arutha?*

*– Zniknął w dole razem z trzema mężczyznami, którzy przybyli na grzbiecie smoka. Elf zna ich imiona.*

*Szmaragdowa wizja nad Sethanon zaczęła pulsować. Guy zmusił się z najwyższym trudem, aby na powrót zająć się przyziemnymi sprawami.*

*– O bogowie, ależ tu zamieszanie. Martin, będzie chyba lepiej, jeżeli zorganizujesz solidny pościg za Mrocznymi Braćmi. Niech popędzą im kota i dopilnują, żeby trafili do siebie, zanim przyjdzie im do łbów, by się przegrupować i wrócić.*

*Dolgan spokojnie wyjął fajkę z kapciucha przy pasie.*

*– Moje chłopaki już się tym zajęły, ale nie będą mieli nic przeciwko zacnemu towarzystwu. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, panowie, że moredheli i ich*

*sprzymierzeńców wcale nie będzie trzeba ponaglać. Po prawdzie, to wszystkim, którzy tu dzisiaj byli, przeszła chętką do wojaczki.*

*Nagle na tle lśniącej, szmaragdowej sfery ukazały się sylwetki sześciu ludzi.*

*Szli powoli i niepewnie, kulejąc. Zapadła cisza. Wszyscy zamilkli, patrząc z niedowierzaniem na zbliżającą się szóstkę. Trudno było ich rozpoznać, ponieważ od stóp do głów pokrywała ich gruba warstwa kurzu. Gdy znaleźli się w połowie drogi między miastem a patrzącymi, Martin ruszył do przodu.*

*– Arutha!*

*Wszyscy rzucili się, by pomóc Księżciu i jego towarzyszą. Arutha zatrzymał się. Padli sobie w objęcia. Po chwili Martin oderwał się od brata i objął go za ramiona. Nawet nie starał się kryć łez szczęścia, że widzi go pośród żywych. Stali tak długo bez ruchu. W końcu odwrócili się, by popatrzeć na cudowną kopułę nad miastem.*

*Zalało ich ponownie uczucie całkowitej, nieskazitelnej harmonii z życiem i miłością. Delikatne, lecz dogłębne poczucie wysublimowanej perfekcji. Kopuła nagle zniknęła.*

*Zielona poświata rozbłysła na moment silniejszym światłem i zgasła. Na ziemię zaczęły opadać tumany kurzu.*

*– Teraz skończyło się naprawdę – wychrypiał z trudem Macros.*

*Lyam szedł przez obóz, oglądając poskręcane szczątki tych, którzy walczyli w Wysokim Zamku i Sethanon. Arutha ciągle jeszcze obolały i poobijany po walce z Murmandamusem towarzyszył bratu.*

*– To wprost niewiarygodna opowieść. Tylko dlatego mogę w to uwierzyć, że dowody leżą przed oczami.*

– *Ja przez to przeszedłem, a z trudnością sam mogę uwierzyć w to, co*

*widziałem przecież na własne oczy. Lyam rozglądał się dookoła.*

– *Tak czy inaczej, z tego, co mi opowiadałeś, wynika, że mamy niesamowite*

*szczęście, że w ogóle jest jeszcze coś do oglądania. Mamy za co dziękować... –*

*Westchnął. – Wiesz, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, dałbym sobie głowę uciąć, że*

*bycie królem to wielka i wspaniała sprawa. – Spojrzał na brata zamyślonym*

*wzrokiem. – Podobnie jak byłem pewien, że dorównuję sprytem i mądrością tobie i*

*Martinowi. – Uśmiechnął się żałośnie. – Dowodem na to, że się myliłem, jest fakt, że*

*nie poszedłem za przykładem Martina i nie odrzuciłem korony.*

*A tu okazuje się, że „królowanie” to nic tylko stałe urwanie głowy i nie*

*kończące się kłopoty. Na przykład Hazara-Khan – siedzi mi na głowie, szwenda się*

*po kraju i plotkuje z połową szlachty w Królestwie. Pewien też jestem jak dwa a dwa*

*cztery, że kolekcjonuje przy okazji – jak muszelki z plaży – nasze tajemnice*

*państwowe. Skoro zostało otwarte przejście między nami a Kelewanem, muszę*

*nawiązać kontakt z Cesarzem w sprawie ewentualnej wymiany jeńców. Tylko że u*

*nas nie ma żadnych jeńców, ponieważ wszystkich uczyniliśmy wolnymi ludźmi.*

*Kasumi i Hokanu twierdzą, że będziemy prawdopodobnie zmuszeni wykupić*

*naszych ludzi, a to z kolei oznacza konieczność podniesienia podatków. Jakby tego*

*jeszcze było mało, doszło nam teraz ze sto albo i więcej smoków, z których część od*

*wieków nie była u nas widziana. Rozleciały się na wszystkie strony świata, mogą*

*wylądować, gdzie i kiedy zechcą – jak zgłodnieją. Kolejny problem mamy przed*

*sobą – całe miasto obrócone w ruinę...*

– *Pomyśl, jaki był wybór.*

– *Wiem, wiem. Ale to przecież nie wszystko. Sam przyprowadziłeś mi, jak*

*gdyby nigdy nic, du Bas-Tyrę, abym sam załatwił sprawę. Z tego, co powiedziałeś, to prawdziwy bohater. Połowa szlachty chce, żebym go natychmiast powiesił na suchej gałęzi, a druga połowa jest gotowa na jego skinienie natychmiast uczynić to samo ze mną. – Obrzucił brata sceptycznym spojrzeniem. – Coś mi się wydaje, że powinienem pojąć aluzję, gdy Martin zrezygnował, i tobie wsadzić koronę na łeb. Załatw mi porządną rentę, a kto wie, czy tego nie uczynię.*

*Na samą wzmiankę, że mógłby zostać obciążony jeszcze większą odpowiedzialnością, Arutha zasępił się i spochmurniał. Opodal przechodził Martin i pozdrowił ich. Lyam obejrzał się w tamtą stronę. – Tak czy inaczej, wiem przynajmniej, jak rozwiązę ostatni problem. – Kiwnął na Martina, aby do nich podszedł. – Znalazłeś ją?*

*Księżę Crydee uśmiechnął się od ucha do ucha.*

*– Tak. Była z oddziałami pomocniczymi z Tyr-Sog. Maszerowali przez cały czas o pół dnia drogi za nami. To oni przybyli razem z ludźmi Kasumiego z LaMut i Krasnoludami Dolgana.*

*Lyam od półtora dnia, to znaczy od chwili swego przybycia, obchodził w towarzystwie Aruthy pole bitwy. Jego armia, z powodu niesprzyjających wiatrów między Rillanonem a Saladorem, przybyła na miejsce jako ostatnia. Wskazał kciukiem na zgromadzonych przed królewskim namiotem możnowładców.*

*– Wszyscy umierają z ciekawości, co teraz zrobimy.*

*– Zdecydowałeś się? – spytał Arutha Martina. Arutha przez całą noc naradzał się w towarzystwie Lyama, Puga, Tomasa, Macroosa i Lauriego, jak postępować w nowej sytuacji, gdy zagrożenie ze strony Murmandamusa zostało definitywnie oddalone. Martin w tym czasie niezmordowanie przeczesywał obóz w*

*poszukiwaniu Briany.*

*Martin promieniał ze szczęścia.*

*– Weźmiemy ślub najszybciej, jak można. Jeżeli pośród uchodźców z miasta  
ostał się choćby jeden kapłan z jakiegokolwiek klasztoru, zrobimy to choćby i jutro.*

*– Mam wrażenie Martin, że będziesz musiał nieco powstrzymać swoje  
zapędy, aż będziemy w stanie zorganizować w miarę przyzwoite wesele, godne  
królewskiej rodziny. – Martin zachmurzył się. Lyam parsknął śmiechem. – A niech  
to! Teraz wyglądasz jak wykapany Arutha! – Wskazał na najmłodszego z nich.*

*Poczuł falę ciepłych, braterskich uczuć. Objął ramionami obu braci i mocno przytulił  
do siebie. – Taki jestem z was dumny – mówił głosem łamiącym się ze wzruszenia. –  
I wiem, że ojciec też by był. – Stali chwilę nieruchomo, pogrążeni w myślach. W  
końcu oblicze Lyama rozjaśniło się. – No, ruszcie się. Musimy przywrócić trochę  
porządku w tym Królestwie. A potem uczymy to, jak się patrzy. Niech mnie... jeżeli  
nie mamy powodu do radości i zabawy, to nikt nigdy chyba jej nie miał! – Uderzył  
ich żartobliwie w plecy i śmiejąc się na całe gardło, poprowadził ku królewskiemu  
namiotowi.*

*Pug patrzył, jak Lyam z braćmi wchodzi do namiotu. Stojący obok Kulgana  
Macros wsparł się na długiej lasce. Za nimi stali w ciasnej grupce magowie ze  
Zgromadzenia i Stardock. Katala przytuliła się mocno do męża, bojąc się stracić z  
nim kontakt. William i Gamina trzymali się kurczowo jego szaty. Pieszczotliwie  
potargał włosy dziewczynki. Był bardzo szczęśliwy, kiedy dowiedział się, że w czasie  
jego nieobecności rodzina powiększyła się o przybraną córkę.*

*W kącie Kasumi rozmawiał przyciszonym głosem z młodszym bratem.*

*Widzieli się po raz pierwszy od trzech lat. To właśnie Hokanu i żołnierze najbardziej*



*oddani Cesarzowi zostali wysłani, by wspomóc Czarne Szaty w wyprawie na Midkemię. Tego samego dnia wcześniej, Lyam rozmawiał długo z obu braćmi rodu Shinzawai, ponieważ jak sam powiedział, ponowne pojawienie się przejścia między obu światami stwarzało pewne problemy.*

*Laurie i Baru dołączyli do Martina, który stał z Brianą, obejmując ją mocno.*

*Za nimi czerwonowłose wojownik Shigga wsparty o nieodłączną włóczęgę pilnie wszystko obserwował, chociaż nie rozumiał ani słowa z tego, o czym mówiono.*

*Maszerując w szeregach oddziałów pod dowództwem Vandrosa z Yabonu, przybył do Sethanon razem z Brianą i innymi uciekinierami z Armengararu. Większość wojowników opuściła obóz, by ścigać wraz z Krasnoludami resztki armii*

*Murmandamusa. Nieopodal stali Galain i Dolgan. Dolgan w ogóle się nie postarzał.*

*Jedyną zaś oznaką wyniesienia go na tron zachodnich Krasnoludów był wiszący u pasa Młot Tholina. Poza tym wyglądał tak samo, jak zapamiętał go Pug z czasów,*

*gdy odważnie przemierzali mroczne kopalnie pod Szarymi Wieżami. Dolgan*

*dostrzegł go w tłumie. Uśmiechnął się od ucha do ucha i pomachał do niego.*

*Lyam podniósł rękę.*

*– Od naszego przybycia usłyszeliśmy wiele ciekawych opowieści o*

*cudownych wydarzeniach. Relacje o heroicznej odwadze, poświęceniu i spełnieniu*

*obowiązku wobec Królestwa. Wraz z zakończeniem działań zbrojnych pewne*

*sprawy zostały automatycznie rozwiązane. Rozmawialiśmy z wieloma z was,*

*zasięgając cennych rad. W związku z tym przygotowaliśmy pewne oświadczenie. Po*

*pierwsze, chociaż lud z Armengararu nie należy do naszego narodu, to jednak są to*

*bracia naszego ludu z Yabonu. Witamy ich z powrotem i proponujemy, by*

*zamieszkali w sąsiedztwie krewniaków. Od tej chwili mogą uważać się za*

*pełnoprawnych obywateli Królestwa. Jeśli ktokolwiek z nich zapragnąłby powrócić na północ, by ponownie osiedlić się na tamtych ziemiach, udzielimy mu wszelkiej możliwej pomocy. Mamy jednak nadzieję, iż zechcą z nami pozostać.*

*Pragnieniem naszym jest również złożyć wyrazy głębokiej wdzięczności królowi Dolganowi i jego żołnierzom za okazaną na czas pomoc. Chciałbym także gorąco podziękować Elfowi Galainowi za udzielenie wsparcia memu bratu.*

*Czynimy również wiadomym, że książęta Kronodoru, Crydee i Saladoru, oddali Królestwu usługi, których nie sposób wyrazić słowami. Korona na zawsze pozostanie ich dłużnikiem. Żaden władca nie mógłby żądać od poddanych tego, co oni dali z własnej i nieprzymuszonej woli. – Po raz pierwszy w historii Królestwa jego władca wzniósł publicznie okrzyk na cześć wymienionych. Namiot aż zatrzęsł się od radosnych okrzyków zgromadzonej w nim szlachty. – A teraz niech przybliżą się Kasumi z LaMut i jego brat, Hokanu z rodu Shinzawai.*

*Obaj Tsurani znaleźli się przed obliczem Króla.*

*– Kasumi – pierwszy pośredniku między nami a twym bratem, a poprzez niego Cesarzem i jego armią. Na twoje ręce składamy nie kończące się podziękowania i wyrażamy wdzięczność za ich ogromny i heroiczny wysiłek, by ocalić ten naród przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. – Kasumi tłumaczył bratu słowa Króla.*

*Pug poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się. Macros skinął na niego głową.*

*– Zaraz wracam – szepnął do ucha Katali.*

*Katala przygarnęła do siebie dzieci. Po raz pierwszy wiedziała na pewno, że nie były to tylko słowa mające ją uspokoić. Zerknęła spod oka. Macros odprowadził*

*na bok Puga i Tomasa.*

*Lyam mówił dalej.*

*– Teraz, gdy przejście między nami zostało otwarte na nowo, udzielamy zezwolenia żołnierzom garnizonu LaMut, by ci, którzy zechcą powrócić do ojczystego świata, uczynili to. Niniejszym zwalniamy ich z posłuszeństwa i wszelkich powinności lennych.*

*Kasumi skłonił się nisko.*

*– Panie mój, mam przyjemność oznajmić, że większość z moich ludzi postanowiła zostać. Chociaż twa hojność i gest zdumiałby ich, to jednak są teraz obywatelami Królestwa. Mają żony, dzieci, rodziny i są na różne inne sposoby związani z tym narodem. Ja również zostanę.*

*– Wielką nam sprawiłeś radość swym postanowieniem, Kasumi. Jesteśmy szczęśliwi. Bracia cofnęli się.*

*– A teraz niech wystąpią Armand de Seigny, Baldwin de la Troville i Anthony du Masigny.*

*Wymienieni podeszli bliżej i skłonili się przed monarchą.*

*– Uklękajcie. Wszyscy trzej uklękli.*

*– Anthony du Masigny, niniejszym otrzymujesz na powrót swoje tytuły i ziemie baronii Calry, których zostałeś pozbawiony, gdy odesłano cię na północ. Do tytułów tych i posiadłości dodajemy również te, które niegdyś posiadał Baldwin de la Troville. Jesteśmy zadowoleni z twej służby Koronie. Baldwinie de la Troville, potrzebujemy twej osoby. A ponieważ twój tytuł związany z Marlesbourough przeszedł na du Masigny, dla ciebie mamy inny. Czy przyjmiesz obowiązki komendanta posterunku na Wysokim Zamku?*

– Tak, Wasza Wysokość. Proszę cię tylko, panie, byś w łaskawości swej zechciał zezwolić mi co jakiś czas przezimować na południu.

Tłum parsknął śmiechem.

– Zgoda. Tym bardziej, że niniejszym otrzymujesz również tytuły i ziemie będące uprzednio własnością Armanda de Seigny. Wstań Baldwinie, baronie Wysokiego Zamku i Gyldenholt. – Lyam przeniósł wzrok na Armanda de Seigny. – Mamy wobec ciebie konkretne plany, przyjacielu. Przyprowadzić byłego księcia du Bas-Tyra. – Żołnierze w królewskich barwach na poły wnieśli, na poły eskortowali Guya, który wraz z Amosem Traskiem wracał do zdrowia w królewskim namiocie. Guy zatrzymał się obok klęczącego Armanda. – Guy du Bas-Tyra, zostałeś ogłoszony zdrajcą i skazany na banicję. Pod karą śmierci miałeś zakaz powrotu do tego kraju. Jak rozumiemy, w kwestii swego powrotu nie miałeś wielkiego wyboru.

– Spojrzał na Aruthę, który uśmiechnął się ze smutkiem. – Niniejszym anulujemy wyrok banicji. Otwarta pozostaje kwestia tytułu. Tytuł księcia du Bas-Tyra otrzymuje człowiek, którego mój brat Arutha uważa za najbardziej godnego, by go posiadać. Armandzie de Seigny, niniejszym nadajemy ci tytuł i ziemie księstwa Bas-Tyra wraz ze wszystkimi powinnościami i prawami im przysługującymi.

Wstań, książę Armandzie de Seigny.

Lyam zwrócił się teraz ku Guyowi.

– Nawet pozbawiony swego dziedzicznego urzędu nie będziesz się nudził.

Uklęknij. – Armand pomógł mu. – Guy du Bas-Tyra, za twą głęboką troskę o bezpieczeństwo i dobrobyt Królestwa, chociaż wyrzuciło cię ze swych granic, jak również za twą odwagę zarówno w obronie Armengaru jak i tego Królestwa, ofiarujemy ci stanowisko Pierwszego Doradcy Króla. Czy przyjmujesz?

*Jedyne oko Guya rozszerzyło się gwałtownie. Parsknął niepowstrzymanym śmiechem.*

*– A to ci się udało, Lyam. To doprawdy wspaniały kawał. Twój ojciec pewno przewraca się w grobie. Tak, tak. Przyjmuję. Król pokręcił głową i uśmiechnął się na wspomnienie ojca.*

*– Nie, Guy, zrozumiałby. Powstań, książę Rillanonu. Lyam zwrócił się w inną stronę.*

*– Baru z Hadatich – powiedział. Baru odszedł od Lauriego, Martina oraz od Briany i ukląkł przed Królem. – Twoja odwaga nie ma sobie równej. Udowodniłeś to zarówno zabijając w pojedynku moredhela Murada, jak i towarzysząc memu bratu Martinowi i księciu Lauriemu w wyprawie przez góry, by ostrzec przed inwazją Murmandamusa. Długo myśleliśmy i nadal nie wiemy, jak cię wynagrodzić.*

*Powiedz, cóż możemy dla ciebie uczynić, by okazać wdzięczność za twoje zasługi w służbie Koronie?*

*– Nie pragnę żadnych nagród. Wasza Wysokość. Wielu mych rodaków przybyło do Yabonu. Jeśli pozwolisz, zamieszkam pośród nich.*

*– Idź zatem z naszą zgodą i błogosławieństwem. I pamiętaj, że jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy w przesiedleniach twych rodaków, a będzie to w mej mocy, wystarczy, że poprosisz.*

*Baru wstał i powrócił do grupki przyjaciół, którzy powitali go uśmiechami – odnalazł nowy dom i cel w życiu.*

*Następnie Lyam wynagrodził za trudy i odwagę jeszcze kilka osób i życie dworskie potoczyło się zwykłym torem. Arutha trzymał się na uboczu. Żałował, że nie ma przy nim Anity, ale pocieszał się, że od ich spotkania dzieliło go zaledwie*

*kilka dni. Zauważył, że Macros rozmawia nadal z Pugiem i Tomasem. Trzy, nachylone ku sobie sylwetki stały pogrążone w cieniu. Zmierzch zapadał szybko. Książę ciężko westchnął ze zmęczenia, zastanawiając się, nad czym ta trójka obecnie rozprawia.*

*– A więc zrozumiałeś? – powiedział Macros.*

*– Tak, ale nie zmienia to faktu, że nadal jest bardzo trudne. – Nie musiał mówić nic więcej. Od chwili złączenia umysłów z czarnoksiężnikiem dysponował pełnią wiedzy. Całkowicie dorównywał Macrosowi mocą i tylko w niewielkim stopniu ustępował mu jeszcze nauką. Będzie mu jednak brak obecności czarnoksiężnika. Poznał bowiem jego los i przeznaczenie.*

*– Wszystko dobiega kiedyś końca, Pug. Nadszedł więc koniec mego czasu na tym świecie. Wraz z definitywnym usunięciem obecności Valheru powróciła w pełni moja moc. Ruszę ku nowym zadaniom i światom. Będzie mi towarzyszył Gathis. Los pozostałych mieszkańców mej wyspy został zabezpieczony, a więc nie mam tu już żadnych obowiązków. Po prostu muszę ruszać dalej, tak jak ty musisz tu pozostać. Zawsze będą królowie, których trzeba będzie wspomóc radą, mali chłopcy, których trzeba nauczyć wielu rzeczy, starcy, z którymi przyjdzie się spierać, wojny, których trzeba będzie unikać, i wojny, które trzeba będzie toczyć. – Westchnął, może nadal marzył o ostatecznym uwolnieniu. Po chwili głos mu poweselał. – Ale z drugiej strony, nigdy się nie nudzę. Dopilnuj, aby Król dowiedział się dokładnie, czego tu dokonaliśmy. – Przeniósł wzrok na Tomasa. Od ostatniej bitwy człowiek zamieniony w Valheru wyglądał jakoś inaczej. Macros mówił spokojnym, cichym głosem. – Tomas, doczekałeś się wreszcie powrotu eldarów do domu. Samo wygnanie w Elvardein dobiegło końca. Będziesz musiał wspomagać Królową w sprawowaniu*

władzy nad nowym Elvandarem. Będzie cię poszukiwać wielu glamredheli. Wiedzą już, że Elvandar istnieje naprawdę. Możesz się spodziewać zwiększonej liczby Powrotów. Teraz, gdy wpływ Valheru został zminimalizowany, tęsknota za Mrocznym Szlakiem powinna osłabnąć. Taką mam przynajmniej nadzieję. Szukaj również w sobie, Tomas. Podejrzewam, iż odkryjesz, że wraz z odejściem dawnych braci Ashen-Shugara utraciłeś także wiele mocy. Nadal oczywiście należysz do najpotężniejszych śmiertelników, lecz na twoim miejscu nie próbowałbym dosiadać smoków. Obawiam się, że mógłbyś doznać potężnego szoku.

– Sam czułem, że się zmieniam... szczególnie pod koniec. – Od walki z Draken-Korinem był dziwnie wyciszony i zamyślony. – Czy znowu jestem... śmiertelny?

Macros potwierdził skinieniem głowy.

– Zawsze byłeś. Odmieniła cię potęga Valheru i ta zmiana jest nieodwracalna. Nigdy jednak nie byłeś nieśmiertelny. Jedynie bardzo przybliżyłeś się do tego stanu. Nie martw się. Zachowałeś w sobie wiele z dziedzictwa Valheru. Czeka cię długie życie u boku Królowej. Przynajmniej tak długie, jakim los obdarza większość z Elfów. – Słyszając te słowa, Tomas rozchmurzył się.

– Miejcie się obaj na baczności. Pantathianie strawili wieki, planując i wprowadzając w życie tę zdradę. Szczegółowe zaplanowanie tego strasznego dzieła było mistrzowskie. Moce, którymi obdarzono postać udającą Murmandamusa, nie były tylko sprytnym połączeniem magicznych iluzji. On rzeczywiście był potęgą. Dla stworzenia takiej istoty oraz zawładnięcia i manipulowania sercami tak mrocznej rasy jak moredhele potrzeba było wiele... wierzcie mi, bardzo wiele. Kto wie, być może bez przedostającego się przez bariery czasu i przestrzeni wpływu Valheru,

*ludzie-wężę upodobnią się do pozostałych istot. Może staną się jeszcze jedną inteligentną rasą, pośród wielu innych. – Zapatrzył się w przestrzeń. – Chociaż... kto wie... może być zupełnie inaczej. Uważajcie na nich.*

*Pug zaczął powoli mówić.*

*– Macros... pod koniec byłem pewien, że przegraliśmy. Na ustach Macrosa pojawił się enigmatyczny uśmiech.*

*– Ja też. Może oddziaływanie Valheru na Kamień Życia zostało udaremnione przez cios miecza Tomasa. Nie wiem. Przetoka stanęła otworem... Sfora Smocza bez przeszkód przedostała się na naszą stronę, ale... – Oczy starego czarnoksiężnika zapłonęły wewnętrznym światłem. – W końcu zdarzył się jakiś cud, którego nie potrafię ogarnąć rozumem. – Zwiesił głowę. – Tak jakby sama podstawowa materia życia, dusze wszystkich istot żywych zamieszkujących ten świat, odrzuciły Valheru. Potęga Kamienia Życia wspomogła nas, a nie ich. Stąd właśnie w ostatniej chwili zaczerpnąłem mocy. To ta potęga właśnie pochwyciła Smoczą Sforę i Władcę Upiorów oraz zamknęła przejście. To ona chroniła nas i utrzymała przy życiu. – Uśmiechnął się. – Z zachowaniem najdalej posuniętej ostrożności, powinniście zdobyć jak największą wiedzę na temat Kamienia Życia. To cudowne zjawisko, które wykracza poza wszystko, czego mogliśmy się spodziewać.*

*Macros długo milczał. Spojrzał w końcu na Puga. – Podobnie jak wielu innych, których drogi przecięły się z moją na przestrzeni wieków, w jakimś sensie jesteś dla mnie jak rodzony syn. A przynajmniej spadkobierca, który posiadał całą magiczną wiedzę, jaką udało mi się zdobyć od chwili przybycia na Midkemię. Ostatnia skrzynia ksiąg i zwojów z wyspy przybędzie wkrótce do Stardock. Proponuję, abys ukrył ten fakt przed Kulganem i Hochopepą do chwili, gdy*



zapoznasz się z ich zawartością. Pewne wątki przerastają wszystkich z tego świata poza tobą i tym, kto pójdzie kiedyś w ślady twego niezwykłego powołania. Dobrze ucz wszystkich, którzy przyjdą do ciebie. Uczyń ich potężnymi, ale dopilnuj jednocześnie, aby nie przestali być kochający i dobrzy dla bliskich. – Zamilkł.

Wpatrywał się w chłopców, którzy wyrosli już na dorosłych mężczyzn. Tych chłopaków z Crydee, których zaczął kształtować dwanaście lat wcześniej, aby uratowali nie tylko ten świat. – Wykorzystałem was niejedyn raz. Bywało, że w brutalny i bezwzględny sposób. W końcowym rozrachunku okazało się to konieczne. Myślę... mam nadzieję, że wszelkie cierpienie i ból, przez które musieliście przejść, zostało z nawiązką wynagrodzone przez to, co zostało osiągnięte. Dane wam było osiągnąć rzeczy daleko wykraczające poza chłopięce marzenia. W waszych rękach spoczywa los Midkemii. Błogosławię wam z całego serca. – Ze zdziwieniem zauważyli, że głos łamał mu się ze wzruszenia, a płonące wewnętrznym ogniem oczy zwilgotniały od łez. – Do widzenia i dziękuję... – powiedział miękko. Odszedł kilka kroków i powoli odwrócił się. Ani Pug, ani Tomas nie byli w stanie wydobyć z siebie słów pożegnania. Macros ruszył przed siebie, ku zachodzącemu słońcu. Nie tylko oddalał się od nich, ale z każdym krokiem stawał się coraz mniej materialny, coraz mniej konkretny, a jego sylwetka stawała się coraz bardziej przezroczysta. Niedługo był już jak strzęp mgły unoszący się nad łąkami. W chwilę później widać było jedynie delikatny zarys jego postaci, ale i on wkrótce się rozplynął. Patrzyli, jak odchodzi i znika. Milczeli długo.

– Czy zazna kiedyś spokoju, jak myślisz? – spytał w końcu Tomas.

– Nie wiem. Być może pewnego dnia będzie mu dane odnaleźć swoją

Błogosławioną Wyspę.

*Ponownie zapadło długie milczenie. Później wrócili do królewskiego namiotu.*

*Uroczystości rozkręciły się na dobre. Ku ogólnemu zadowoleniu Martin i Briana ogłosili swoje zaręczyny. Teraz, gdy wszyscy cieszyli się i smakowali życie, Arutha, Lyam, Tomas i Pug wędrowali ostrożnie pośród ruin, które kiedyś były Sethanon. Ludność została przeniesiona do mniej zniszczonej, zachodniej części miasta i nie stanowiła problemu. Mimo to posuwali się ostrożnie, aby nikt ich nie zauważył.*

*Tomas podprowadził ich do wyraźnej szczeliny w ziemi. Opuścili się w dół i znaleźli w dużej jaskini pod ruinami twierdzy.*

*– Tutaj właśnie otworzyła się szczelina, która prowadzi do niższej sali, centrum starożytnego miasta – powiedział Tomas. – Patrzcie pod nogi. Schodzili ostrożnie, korzystając z przytłumionego światła wytworzonego dzięki magii Puga. Wkrótce potem znaleźli się w sali. Pug machnął ręką. Rozbłysło jasne światło. Tomas dał znak, by Król ruszył przodem. W tym momencie z cienia wysunęły się postacie w długich szatach. Arutha dobył miecza.*

*W ciemności rozległ się kobiecy głos.*

*– Odlóż broń, książę Królestwa.*

*Tomas kiwnął lekko głową i Arutha wsunął do pochwy magiczną klingę. Z mroku wysunęła się ogromna postać ozdobiona klejnotami i skąpana w strugach roziskrzonego światła. Na powierzchni brylantów i innych drogich kamieni tańczyły oślepiające rozbłyski. Był to smok. W niczym nie przypominał jednak dawnego. W miejscu złocistych niegdyś łusek lśniły tysiące drogich kamieni. Z każdym ruchem po gigantycznej sylwetce falowała przepiękna tęcza.*

*– Kim jesteś? – spytał Król spokojnym głosem.*

*– Jestem Wyrocznią Aal – dobiegła ze smoczego pyska odpowiedź*

*wypowiedziana melodyjnym, kobiecym głosem.*

*– Dobiliśmy targu – powiedział Pug. – Musieliśmy znaleźć dla niej właściwe ciało.*

*– Ryath leżała pozbawiona duszy i władz umysłowych zabranych przez*

*Upiora. Choć była bardzo poraniona, niemal na krawędzi życia i śmierci, w jej*

*ciele nadal tliła się iskierka życia. Macros uzdrowił ją. Zniszczone łuski zastąpił*

*nowymi, wykonanymi z pomocą niezwykłych właściwości Kamienia Życia z*

*klejnotów znalezionych pod ziemią. Gdy powróciła mu moc, sprowadził tu*

*Wyrocznię i jej sługi. Teraz Wyrocznia zamieszkuje odnowiony umysł smoka.*

*– To ciało jest nie tylko odpowiednie, ale nad wyraz udane – pochwaliła*

*Wyrocznia. – Będzie żyło przez wiele wieków. Posiada także ogromną moc.*

*– Co więcej, zawsze będzie czuwała, pilnując Kamienia Życia – dorzucił Pug.*

*– Gdyby ktoś zaczął przy nim majstrować – zginie, jak wszystko na tej planecie.*

*Dopóki nie odnajdziemy sposobu, by dotrzeć i zająć się ostatecznie Pantathianami,*

*zawsze będzie wisiądo nad nami niebezpieczeństwo, że ktoś przywoła Valheru.*

*Lyam przyglądał się Kamieniowi Życia. Bładozielony, drogocenny kamień*

*emanował delikatną poświatą i zdawał się pulsować ciepłym, wewnętrznym*

*światłem. W samym środku sterczał złoty miecz.*

*– Nie wiemy, czy to zniszczyło Jeźdźców Smoków, czy tylko ich uwięziło –*

*powiedział Pug. – Nawet magia, którą odziedziczyłem po Macrosie, nie jest w stanie*

*spenetrować jego wszystkich tajemnic. Obawiamy się usunąć miecz Tomasa. Nie*

*wiemy, co się stanie. Może się to okazać zupełnie bezpieczne, ale może też*

*gwałtownie uwolnić to, co zostało wewnątrz uwięzione.*

*Lyam wzdrygnął się. Ze wszystkiego, o czym mu opowiedziano, potęga*

*Kamienia czyniła go najbardziej bezradnym. Podszedł do niego i powoli wysunął rękę. Kamień był ciepły i nappełnił go przyjemnym, relaksującym uczuciem.*

*Wyczuwał w nim jakąś sprawiedliwość i dobroć. Podniósł wzrok na mieniącego się klejnotami smoka.*

*– Pani, nie mam nic przeciwko twojej opiece nad Kamieniem. – Zamyślił się na moment, a później zwrócił się do Aruthy. – Zaczynij rozpowiadać po cichu, że na mieście spoczywa klątwa. Dzielny mały Humphry nie żyje. Do jego tytułu nie ma żadnego spadkobiercy. Przesiedlę ocalałych mieszkańców w inne miejsce i wypłacę odszkodowania. Ponad połowa miasta i tak leży w gruzach. Trzeba wszystkich wysiedlić, żeby Wyrocznia miała zapewniony spokój. No panowie, czas na nas. Zbierajmy się, bo ktoś może zauważyć naszą nieobecność i ruszy na poszukiwania. – Odwrócił się jeszcze raz do smoka. – Pani, życzę wszystkiego dobrego w nowej roli. Gdybyś miała jakieś potrzeby, prześlij mi wiadomość, magicznie lub ziemskim sposobem, a zrobię, co w mej mocy, by cię wspomóc. Tylko nasza czwórka i brat Martin będziemy znali prawdę o tobie. Po nas wyłącznie nasi następcy i spadkobiercy.*

*– Łaskawy jesteś. Wasza Wysokość. Tomas wyprowadził ich z jaskini, a potem w górę, ku powierzchni ziemi.*

*Arutha wszedł do namiotu i stanął jak wryty. W jego łóżku spał Jimmy.*

*Potrząsnął nim delikatnie.*

*– A co to ma znaczyć? Myślałem, że przydzielono ci kwaterę.*

*Chłopak spojrział na Księcia z kiepsko skrywanym rozdrażnieniem. Nie lubił, gdy go budzono.*

– To przez Lockleara. Całe cholerne miasto wali nam się na głowę, a on znajduje sobie nową dziewczynę. Wpada chyba w nałóg, czy co? Całą poprzednią noc przespałem na gołej ziemi, więc pomyślałem sobie, że się chwilkę zdrzemnę. Już wstaję. Znajdę sobie inne miejsce.

Arutha roześmiał się i pchnął młodzieńca z powrotem na pryczę.

– Zostań tutaj. Ja prześpię się w namiocie królewskim. Lyam był zajęty cały czas, wręczając wieczorem dowody swej wdzięczności. Ty drzemałeś, a Locky... robił, co robił, cokolwiek to było. W tym całym zamieszaniu zapomniałem o was dwóch. Cóż powinienem uczynić, aby was, łobuzy, wynagrodzić za trud i staranie, co?

Jimmy uśmiechnął się przekornie.

– Mianuj Lockleara Starszym Szlachcicem, a ja sobie wrócę do bezpiecznego i spokojnego żywota złodziejskiego. – Ziewnął szeroko. – Teraz nic mi nie przychodzi do głowy... oprócz jednego: marzę, żeby przespać cały tydzień.

Arutha uśmiechnął się.

– W porządku. Prześpij się trochę. Sam coś wymyślę dla dwóch młodych drani. – Zostawił Jimmiego i skierował kroki ku namiotowi Lyama. Gdy podchodził do wejścia, rozległy się donośne okrzyki i fanfary, oznajmiające przyjazd zakurzonego powozu z królewskim herbem na drzwiczkach. Anita i Carline szybko z niego wyskoczyły. Arutha patrzył zdumionym wzrokiem na żonę i siostrę. Podbiegły i zaczęły go ścisnąć i obsypywać pocałunkami.

– A wy tutaj skąd ?

– Jechaliśmy za Lyamem – wyjąkała przez łzy Anita. – Przecież nie mogliśmy spokojnie czekać w Rillanonie, nie wiedząc, czy ty i Laurie żyjecie. Gdy

*tylko dotarły wieści, że wszystko w porządku, zwinęliśmy obóz i pośpieszyliśmy tutaj.*

*Arutha objął ją mocno. Carline, słysząc śpiew, nadstawiła ucha.*

*– Albo to zakochany po uszy słowik, albo mój małżonek, który zapomniał, że jest teraz księciem. – Jeszcze raz cmoknęła Aruthę w policzek. – Znowu będziesz wujkiem.*

*Zaśmiał się radośnie i wziął siostrę w ramiona. – Carline, życzę ci szczęścia i żeby wszystko poszło jak należy. Tak, to Laurie. On i Baru przybyli dzisiaj razem z Vandrosem.*

*Uśmiechnęła się.*

*– No nic, chyba już pójdę, by przysporzyć mu kilku siwych włosów.*

*– Co miała na myśli, mówiąc „znowu”? – spytał Księżę. Anita podniosła wzrok ku twarzy męża.*

*– Królowa spodziewa się dziecka. Ogłosili to podczas twojej nieobecności.*

*Ojciec Tully zapewnia Lyama, że według wszystkich znaków na niebie i ziemi będzie to Księżę. Tully twierdzi, że jest zbyt stary, by thuc się po gościńcach, lecz cały czas towarzyszyły wam jego modlitwy.*

*Na ustach Aruthy pojawił się radosny uśmiech.*

*– Wszystko wskazuje, że wkrótce będę miał z głowy bycie następcą tronu.*

*– Nie tak szybko. Dziecko nie zawita do nas jeszcze przez najbliższe cztery miesiące.*

*Radosny krzyk z wnętrza namiotu powiedział im, że Carline przekazała mężowi wieści, iż spodziewa się dziecka. Następny krzyk powiadomił, że przekazano mu wiadomość od Tully'ego.*

*Anita objęła czule męża.*

*– Twoi synowie są zdrowi i rosną jak na drożdżach – szepnęła. – Tęsknią za tatusiem... jak i ja. Czy będziemy mogli wymknąć się wkrótce?*

*Arutha roześmiał się.*

*– Jak tylko pokażemy się oficjalnie. Ale musiałem oddać łóżko Jimmy'emu.*

*Locky poczuł przyływ namiętności i Jimmy nie miał gdzie się podziać na noc.*

*Trzeba będzie skorzystać z jednego z gościnnych namiotów. – Weszli do środka.*

*Zgromadzeni zerwali się na nogi, by powitać księcia i księżnę Krondoru.*

*Ambasador Kesh, Hazara-Khan skłonił się nisko. Arutha wyciągnął do niego rękę.*

*– Dziękuję, Abdur. – Przedstawił następnie Anitę Hokanu, któremu również*

*serdecznie podziękował. Dolgan rozmawiał z Galainem. Arutha pogratulował*

*Krasnoludowi korony Zachodnich Krasnoludów. Dolgan puścił do niego oko i*

*uśmiechnął się szelmowsko. W chwilę potem zapadła cisza. Laurie zaczął grać.*

*Słuchali z uwagą. Śpiewał smutną balladę na cześć swego przyjaciela Roalda.*

*Sławił jego męstwo i wzajemną przyjaźń. Pieśń mówiła też o smutku Lauriego po*

*śmierci Roalda. Skończyła się jednak potężnym, triumfalnym akordem, po którym*

*nastąpiła niespodziewanie krótka, rozszczebiotana idiotycznie puenta. Wszyscy,*

*którzy mieli okazję poznać Roalda, wybuchnęli śmiechem. Ostatni fragment ballady*

*wspaniale uchwycił i oddał radosną i łobuzerską naturę zmarłego.*

*Gdy Laurie skończył, do Księcia podeszli Gardan i Volney.*

*– Czy można na słówko. Wasza Wysokość? – spytał pan na Landreth.*

*Anita powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu. Księżę zaprowadził*

*mężczyzn, sprawujących władzę w czasie jego nieobecności, do pomieszczenia*

sąsiadującego z królewską kwaterą. Na łóżku leżała ogromna postać. Sapała ciężko.

Arutha przyłożył palec do ust.

Gardan wyciągnął szyję.

– Amos Trask? – szepnął.

– To bardzo długa historia – powiedział Arutha cicho. – Najlepiej będzie, jak on sam wam opowie. Nigdy by mi nie darował, gdybym go uprzedził. No dobrze, o co chodzi?

– Wasza Wysokość, pragnę powrócić do Landreth – szepnął Volney. Od czasu twej domniemanej śmierci nie dało się zarządzać miastem. Całkowite bezhołowie. Przez ostatnie trzy lata robiłem co w mej mocy, ale mam już dosyć. Chcę wrócić do domu.

– Volney, nie mam cię kim zastąpić. – Zwalisty księżę zaprotestował, ale Arutha uciszył go gestem ręki. – Posłuchaj, Volney, wkrótce będziemy mieli nowego księcia Kronodoru, więc potrzebny będzie również regent.

– Wykluczone. Przecież to zobowiązanie na osiemnaście lat. Odmawiam.

Arutha przeniósł spojrzenie na Gardana. Ten uśmiechnął się i wznosił ręce do góry.

– Nie patrz na mnie. Lyam obiecał mi, że będę mógł powrócić do Crydee z Martinem i jego panią. Teraz, gdy Mistrzem Miecza został Charles, wojaczkę zostawiam synowi. Mam zamiar spędzić resztę dni, łowiąc ryby z falochronu przy latami. Wkrótce będzie ci także potrzebny nowy marszałek. Arutha zaklął pod nosem.

– To oznacza, że jeśli szybko kogoś nie znajdę, to Lyam mianuje mnie jednocześnie księciem Kronodoru i marszałkiem. Chcę go zmusić, by dał mi jakieś



*małe księstwo, na przykład Tuckhill, i nigdy więcej nie wytykać nosa z domu. –*

*Myślał intensywnie. – Chcę od was obu jeszcze po dziesięć lat służby.*

*– Absolutnie wykluczone! – sprzeciwił się gwałtownie Volney. Mówił podniesionym głosem. – Ostatecznie jestem gotów pozostać jeszcze rok, by pomóc w okresie przejściowym przekazywania pałeczki – ani dnia dłużej.*

*Oczy Aruthy zwęziły się w wąskie szparki.*

*– Sześć. Sześć lat od każdego z was. Jeśli się zgodzicie, ty, Volney, możesz wrócić do Landreth, a ty, Gardan, do Crydee. Jeżeli nie, to wynajdę jakiś sposób, abyście już nigdy nie odgięli karku spod stałych kłopotów.*

*Gardan wybuchnął śmiechem.*

*– Arutha, ja już mam oficjalną zgodę Lyama. – Spostrzegł, że gniew Księcia wzbiera gwałtownie. – Ale jeśli Volney się zgodzi, ja również zostanę rok... w porządku, dwa lata, ale nie więcej.*

*W oczach Aruthy zapłonęły złowieszcze ogniki. Zwrócił powoli wzrok ku Gardanowi.*

*– Teraz, gdy przetoka została ponownie otwarta, będzie nam wkrótce potrzebny nowy ambasador przy dworze Cesarza Tsuranich... – Przeniósł spojrzenie na Volneya. –... i nowy ambasador w Wielkim Keshu.*

*Mężczyźni wymienili spojrzenia.*

*– W porządku, ty szantażysto. Trzy lata – wycharczał Volney wściekłym głosem. – Co będziemy robić przez te trzy lata? Arutha uśmiechnął się krzywo.*

*– Chcę, żebyście się zajęli nauką i szkoleniem Jimmiego i Locky'ego.*

*Osobiście, Volney. Nauczysz ich wszystkiego, co sam umiesz na temat zarządzania, administrowania i w ogóle. Ładuj w nich tyle roboty, aż będą padali na pysk. Wtedy*

*dorzuć im jeszcze trochę. Chcę, żeby te dwa, zbyt aktywne umysły spożytkowały swoją energię we właściwy sposób. Uczyń z nich najlepszych zarządców w Królestwie.*

*Gardan, w czasie, gdy nie będą zajęci nauką, jak zarządzać państwem, masz uczynić z nich prawdziwych żołnierzy. Ten bandyta już rok temu poprosił mnie o wynagrodzenie swoich trudów. Teraz będzie musiał mi pokazać i udowodnić, czy sprosta swemu żądaniu. A jego kompan w złym, ma zbyt wiele talentów, aby go odsyłać do majątku tatusia. Locky jest najmłodszym synem, więc się po prostu zmarnuje. Gdy wy odejdziecie, będzie nam potrzebny nowy książę i marszałek. A kiedy i mnie zabraknie, on zostanie regentem. Będzie potrzebował sprawnego i zaufanego kanclerza, który pomoże mu dźwigać ciężar władzy. Podsumowując: nie chcę, aby przez najbliższe cztery lata któryś z nich miał wolne chociaż pięć minut.*

*– Cztery lata! – warknął oburzony Volney. – Przecież powiedziałem trzy!*

*Z łóżka, obok którego stali, rozległ się najpierw upiorny chichot, a potem przeciągłe westchnienie.*

*– Arutha, masz jakieś pokrętne, zwyrodniałe wyobrażenie o wynagradzaniu zasług oddanym ci ludziom. Przyznaj się, co sprawiło, że zostałeś taką cholerną kanalią?*

*Arutha pokazał zęby w szelmowskim uśmiechu.*

*– Odpocznij sobie jeszcze trochę... Admirale. Amos zwałił się ciężko na pryczę.*

*– Ach, Arutha, ty ciągle pozbawiasz życie całej przyjemności!*